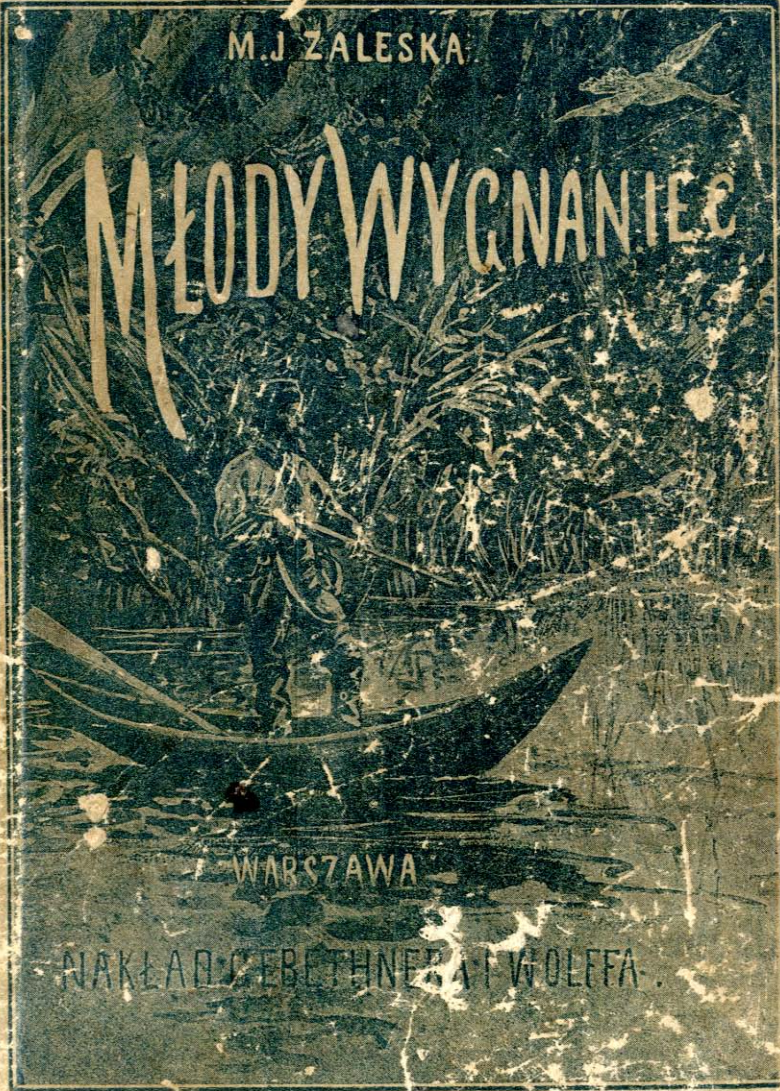


N 110 Maria Julia

M. J. ZALESKA

MŁODY WYGNANIEC



WARSZAWA

NAKŁAD CEBETHNERA I WOLFFA.

Zabeshe Maria Julia 1831-89



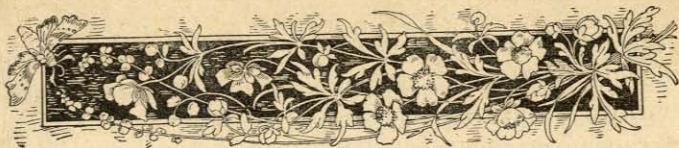
268970

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
Im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0145785

W/162/03 im. tego aut. 4 k.



I.

Spotkanie.

W zachodniej stronie Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej, o kilkaset mil za rzeką Missisipi, rozciąga się puszcza niezmierzona; w części ją pokrywają ogromne, niedostępne lasy, a w części stepy zielone, bujną, wysoką trawą porośłe. Trzy większe rzeki, Kanadyjska, Arkansas i rzeka Czerwona przeryniają rozległy ten obszar ziemi, tocząc swe wody w kierunku wschodnim i zabierając po drodze większe i mniejsze dopływy. Niezliczone stada dzikich koni, żubrów, jeleni, antylop, a także i gromady drapieżnych zwierząt wszelkiego rodzaju ożywiają tę krainę, uposażoną najrozkoszniejszą w świecie roślinnością.

Podczas wypadków, które opowiadać zamierzamy, to jest przy końcu XVIII-go stulecia, puszcza ta jeszcze była dziksza i bardziej odosobniona od świata cywilizowanego, niż za dni naszych. Najpotężniejsze i najokrutniejsze plemiona Indian czerwonoskórych miały tu swoje myśliwskie koczowiska — Kriksowie,

Osagowie, Pawnisy, Komanszowie i inni krążyli ustawicznie po lasach i stepach, wiodąc pomiędzy sobą krwawe walki i napadając białych, którzy ważyli się wkraczać w odwieczne ich siedziby i przywłaszczając je sobie.

A jednak wielu ludzi odważnych osiedlało się w tych okolicach niegościnnych, tyłu skarbami przyrody obdarzonych; myśliwi, tak zwani traperzy czyli sidlnicy, łowiący w sidła bobry i pomniejszą zwierzynę, wędrowni rozmaici, zwabieni obfitością myśliwskiej zdobyczy lub spragnieni swobody i przygód niezwykłych, stawili śmiało czoło niebezpieczeństwu, grożącym im wśród puszczy. Tu i ówdzie znalazł się nawet nieustraszony *skwater**), zakładający osadę w jej obrębie, chociaż wiedział dobrze, iż zuchwalstwo to w każdej chwili życiem przypłacić może.

Przenieśmy się teraz myślą w głąb tej puszczy niezmierzonej, na wybrzeże jednego z licznych strumieni, wpadających do rzeki Arkansas'u. Było to przy końcu czerwca r. 1792 w godzinach popołudniowych. Straszliwy upał, panujący dnia tego nawet w cienistych gąszczach leśnych, ustawał już po trochu, gdyż lekki wietrzyk odświeżył powietrze i rozpędził roje dokuczliwych moskitów, drobnych komarów które są plagą tych okolic, zwłaszcza w pobliżu bagien i moczarów, rozsianych po lasach.

Rzeka, wijąca się pomiędzy drzewami w rozlicznych zakrętach, była w tem miejscu dosyć szeroka,

*) Skwaterami nazywają ludzi, którzy osiedlają się w dzikich okolicach, nie mając żadnych praw własności, karczując las uprawiają ziemię wprzód nietkniętą i zbierają z niej plony.

ka, a prawdopodobnie i głęboka. Klony i wiązy, rosnące na niskich brzegach, pochylały swe konary ponad wód zwierciadłem, i w wielu miejscach osłaniały rzekę wspaniałem zielonem sklepieniem.

W małej zatoce, wrzynającej się w gęstwinę nadbrzeżną, pluskała się gromadka dzikich gęsi, które w mieliznie szukały pożywienia. Nie okazywały najmniejszego niepokoju, widocznie czuły się zupełnie bezpieczne w tem zaciszu, gdzie może jeszcze nigdy nie postąpiła stopa ludzka, nie ozwał się wystrzał palnej broni. A jednak po jakimś czasie ptaki przerwały swoje poszukiwania i powyciągały szyje, nasłuchując z ciekawością raczej niżeli z trwogą. W tej samej chwili huk ozwał się nagle, dwie gęsi padły ugodzone strzałem, reszta zerwała się z przeraźliwym wrzaskiem i znikła wśród gęstwiny leśnej.

Tymczasem daly się słyszeć silne uderzenia wiosel i mała łódka, mknąca jak strzała, ukazała się na rzece. Było to czółenko z kory drzewnej, używane zwykle przez krajowców czerwonoskórych; człowiek, kierujący niem zręcznie, wpłynął do zatoki, pochwycił jedną gęś zabita i puścił się w pogoń za drugą, żyjącą jeszcze, która usiłowała odpłynąć na środek rzeki. My tymczasem przypatrzmy się bliżej żeglarzowi.

Był to młodzieniec, wyglądający na lat dwadzieścia cztery najwyżej. wysokiego wzrostu, silnie zbudowany, prawdziwie atletycznej postawy. Czarna gęsta broda nadawała pięknej jego twarzy wyraz męskiej dojrzałości; czoło miał wyniosłe, pogodne, duże ciemne oczy, ocienione łukami brwi czarnych, żywym blaskiem jaśniały, usta kształtne szczelnie były zam-

knięte. Twarz ta, pomimo wielkiego spokoju, który jej dziwny urok nadawał, zdradzała ciężki jakiś smutek, snąć trwający od dawna, gdyż wyrył na niej ślady głębokie. Wyraz rysów młodego żeglarza wogóle bardzo korzystnie wywierał wrażenie; należał on do rzędu tych szczęśliwych ludzi, którzy na pierwszy rzut oka wszystkich pociągają ku sobie.

Ubiór jego był bardzo prosty; miał na sobie obcisłe spodnie, bluzę myśliwską z bawelnianej tkaniny, wyszywaną kolorową wełną i przepasaną na biodrach szerokim pasem skórzanym, obuwie z miękkiej jeleńiej skóry, sięgające wyżej kolan, czapkę bobrową, z pod której wymykały się bujne kędziory kruczych włosów. Przy nim leżała w czółenku długa, ciężka strzelba, z za pasa wyglądała błyszcząca siekierka i nóż myśliwski o szerokim ostrzu. U pasa zwieszały się także dwa rogi bawole, napelnione prochem i kulami. Oprócz tego myśliwiec — gdyż z opisu jego powierzchowności czytelnik odgadł już zapewne myśliwca — miał u boku dość dużą torbę, zawierającą różne przedmioty codziennego użytku. Młodzieniec silnie robił wiosłami, goniąc za gęsią zranioną, która wciąż jeszcze trzepotała się w wodzie i odpływała coraz dalej.

— Daremne twoje usiłowania, kochanko, nie ujdiesz mojej ręki — mruknął myśliwiec przez zaciśnięte zęby; lecz wymówiwszy te słowa, przestał nagle wiosłować, podniósł głowę, jakby zapomniał o zdobyczy, którą prąd rzeki unosił i z natężoną uwagą zdawał się łowić uchem jakiś odgłos oddalony.

— To szczekanie psów — szepnął znów sam do

siebie — gdzieś bardzo daleko, w każdym razie trzeba się ukryć i czekać, co z tego będzie.

Mówiąc to, myśliwiec skierował śpiesznie czółenko swoje do brzegu, wyskoczył, wyciągnął je z wody i ukrył wśród zwieszających się gałęzi drzewa tak doskonale, że najbystrzejszy wzrok nie zdołałby go tam dojrzeć. Potem stanął za pnem potężnego klonu, nie zdradzając najlżejszym szelestem swej obecności.

Tymczasem szczekanie psów stawało się coraz wyraźniejsze i zbliżało się szybko; szmer przygluszony dał się słyszeć pośród zarośli na przeciwnym brzegu rzeki. Myśliwiec podniósł strzelbę, gotując się do obrony w razie niebezpieczeństwa, a wtem czarna postać ludzka wynurzyła się z zarośli, wskoczyła do wody i płynęła do brzegu, na którym strzelec był zaczajony.

— Zbiegły niewolnik — szepnął młodzieniec, opuścił strzelbę i patrzył spokojnie na płynącego murzyna.

Jeszcze biedny zbieg nie przebył i połowy szerokości rzeki, gdy na wybrzeżu, z którego przed chwilą wskoczył do wody, ukazały się dwa psy ogromne. Chrapliwe ich sapanie, wywieszone z paszcz języki, świadczyły o długim i nużącym biegu. Gdy ujrzały murzyna, zaczęły ujadać wściekle, a jednocześnie w niewielkiej odległości ozwały się głosy ludzkie, nawołujące psy i pobudzające je do pogoni. Zwierzęta biegały jak oszalałe po wybrzeżu, nareszcie jeden gwałtownie rzucił się do wody i począł płynąć tak śmiało i szybko, że zbliżył się wkrótce do zbiega, a ten na widok tak groźnego niebezpieczeństwa wydał przeraźliwy okrzyk trwogi i rozpacz.

— To przecież człowiek, tamto zwierz tylko — mruknął myśliwiec i z nieopisanym spokojem podniósł strzelbę. Zaledwie przyłożył ją do skroni, gdy już i strzał rozległ się w powietrzu. Pies zawył żałośnie, opuścił leb i zatonął w wodzie; po chwili wypłynął znów na powierzchnię, lecz nie dawał już żadnych znaków życia, a prąd wody porwał martwe szczątki i uniósł na falach.

— Śmiało, przyjacielu, śmiało! — wołał myśliwiec do murzyna, który ze strachu odchodził prawie od przytomności i zaledwie był w stanie utrzymać się na wodzie. Mówiąc to młodzieniec nabijał strzelbę na nowo i wysuwając się nieco z za drzewa, ukazał się oczom zbiega; ten wydał okrzyk radosnego zdziwienia i żwawiej poczał płynąć do brzegu. W chwili, gdy wreszcie z pomocą myśliwca stanął na ziemi, po drugiej stronie rzeki ukazało się dwóch ludzi uzbrojonych, jeden starszy, drugi znacznie młodszy; z podobieństwa rysów łatwo było poznać w nich ojca i syna. Mieli na sobie zwykłą odzież osadników leśnych, obaj byli zadyszani, jakby po długim i śpiesznym biegu.

Starszy zaklął straszliwie, spostrzegłszy szczątki zabitego psa na rzece, a na wybrzeżu murzyna, pod opieką nieznanego człowieka.

— Hej! myśliwce, traperze, czy co tam jesteś za jeden! — wykrzyknął grzmiącym głosem.

— Czego pan sobie życzysz? — zapytał spokojnie myśliwiec, podczas gdy murzyn, nową trwogą przejęty, osunął się jakby martwy u stóp jego.

— Jakiem prawem zabiłeś mego psa? — wołał osadnik z wściekłością.

— Zabiłem go, bo szło o uratowanie życia ludzkiego — odrzekł tamten, zawsze z tym samym niewzruszonym spokojem.

— Ten pies miał dla mnie większą wartość od przekłętą murzyna, którego w każdym razie śmierć czeka. A ciebie, bratku, potrafię także ukarać za to, że się mieszasz w moje sprawy.

— Popróbuj pan, i owszem, obaczmy, czy ja pozwolę sobie krzywdę wyrządzić.

— Zastrzelę cię tak samo, jak ty mego psa.

— Obaczmy — powtórzył myśliwiec z najmniejszą krwią, nie spuszczać ani na chwilę z oczu obu swych przeciwników i trzymając broń w pogotowiu.

— Powiedz-że mi z łaski swojej — spytał stary osadnik po chwili milczenia — co cię obchodzi ten czarny lotr, który już po raz trzeci odemnie ucieka?

— Po raz trzeci, powiadasz pan?

— Tak, tak, po raz trzeci, czyż nie zasłużył na śmierć?

— To jeszcze pytanie.

— Jakto, cóż to znów za żarty?

— Ja tylko stąd wnoszę, że biedak musiał być gorzej traktowany od tego psa, którego pan tak żałujesz.

— To do ciebie nie należy. A teraz pytam raz jeszcze, czy oddasz mi dobrowolnie murzyna?

— Musisz pan na odpowiedź trochę poczekać.

— A to dla czego?

— Niech wprzód ten nieszczęśliwy, który o mało ducha nie wyzionął, przyjdzie do siebie i da mi pewne wyjaśnienia.

- A potem?
- Potem zobaczymy — cierpliwości!
- A bodajże cię jasne pioruny!...
- Czy tak? — zawołał myśliwiec i szybko wymierzył. Strzał padł i wytracił broń z ręki młodszego skwatera, który ukrywał się za drzewem i widocznie w złych zamiarach wysunął z za pnia lufę swojej strzelby. Młody myśliwiec, strzelivszy uskokzył także szybko za drzewo, nabił broń na nowo, potem znów wyszedł z ukrycia, spokojnie oparł się na kolbie, mówiąc:
 - Jestem na rozkazy.

II.

Cezar.

Murzyn aż do tej chwili leżał na ziemi nieprzytomny; teraz zaczął się zwolna podnosić. Był to chłopak bardzo jeszcze młody, zaledwie szesnastoletni, nieduży, lecz silnie zbudowany. Twarz jego nie była szpetna, nie miała tego odrażającego wyrazu, pospolitego u rasy murzyńskiej, który tak niemile wywiera wrażenie, — tylko czarna barwa skóry, nos nieco splaszczony i usta wydatne, świadczyły o afrykańskim jego pochodzeniu. Łagodność i roztropność malowała się w rysach chłopca, zwłaszcza w oczach błyszczących i pełnych głębokiego wyrazu.

Oczy te w tej chwili zdradzały trwogę śmiertelną, niespokojnie spoglądały dokoła, chociaż biedny murzyn widocznie nie przyszedł jeszcze zupełnie do

przytomności i nie zdawał sobie sprawy ze swego położenia. Dopiero gdy obaczył na brzegu przeciwnym swoich prześladowców, przypomniał sobie wszystko i dreszcz przerażenia przeszedł go od stóp do głowy. Zerwał się nagle z ziemi, potem padł na kolana przed myśliwcem i wołał, obejmując jego kolana.

— O panie, ratuj mnie, ratuj! — a łzy rześiste spływały po czarnych jego policzkach.

— Bądź spokojny — odrzekł myśliwiec, spoglądając ze współczuciem na młodego murzyna — nie dam ci wyrządzić krzywdy; rozumie się, jeśli na to zasługujesz. A najpierw powiedz mi, jak się nazywasz.

— Cezar, kochany, dobry panie, Cezar.

— A ten twój pan, co tam stoi?

— Nazywa się Jakób Wattson.

— Jesteś jego niewolnikiem?

— Tak panie.

— On powiada, że już trzeci raz uciekasz od niego, czy to prawda?

— Prawda panie.

— Powiedz-że mi, dla czego uciekasz?

— Bo wytrzymać nie mogę. Traktują mnie jak psa, o nie! daleko gorzej, niż psa.

— Czy to tylko prawda?

— Cezar nigdy nie kłamie, nigdy, bo nie chce martwić swego ukochanego starego pana, który już nie żyje i poszedł do nieba, lecz i stamtąd na biednego murzyna patrzy. Jeśli pan chcesz się przekonać, obejrzyj tylko moje plecy, a znajdziesz tam ślady tego strasznego okrucieństwa i uwierzysz mi pewnie.

Mówiąc to, murzyn rozpiął lekką bawełnianą

koszulę i ukazał na plecach, piersiach i ramionach, okropne, głębokie blizny, niektóre dotąd zakrwawione.

— Czy to podobna! — zawołał myśliwiec z oburzeniem: — więc to wszystko ślady kańczuga twego pana?

— Cezar nigdy nie kłamie.

— I to sam stary Wattson własną ręką cię tak kaleczył?

— On sam najmniej.

— A któż?

— Pan Jan, ten, co tam stoi obok niego, a także panicze: Ben i Dik *).

— Czy to synowie twego pana?

— Tak, trzech synowie.

— A czy wszyscy już dorośli?

— O nie, panie! Ben ma rok piętnasty, Dik czternasty dopiero, obaj znacznie młodszy odemnie.

— Jakto! i ci chłopcy, malcy jeszcze prawie, tak się okrutnie także z tobą obchodzili?

— Ach, panie, ci najgorzej! Nieraz Cezar musiał im służyć za wierzchowca, a oni dla zabawy kluli go w boki ostrogami, umyślnie na to przyczepionymi do obuwia, i biczem tak okropnie smagali, że krew z ran tryskała.

— I nikt w całym domu twego pana nie miał litości nad tobą?

— O, i owszem, panna Ella bardzo dobra była dla Cezara.

— A któż to jest panna Ella?

*) Benjamin i Ryszard.

— Córka mego pana, szesnastoletnia panienka, śliczna i dobra, jak anioł.

— Więc ta jedna lepiej się z tobą obchodziła?

— Panna Ella nigdy Cezara nie uderzyła, nigdy go nawet nie polajala, a często usiłowała go bronić przed okrucieństwem braci. O! żeby oni choć trochę byli do siostry podobni, żeby jej słuchać chcieli, nigdyby Cezar nie uciekał.

— Ależ, biedny chłopcze, dwa razy już przecież cię schwytano, czyż nie pomyślałeś o tem, że i teraz na tem skończyć się musiało?

— Myślałem o tem panie, lecz nie mogłem wytrzymać takich okropnych męczarni. Prawda, że już dwa razy mnie psy chwytaly, a potem byłem bity najokropniej; kilka dni leżałem jak nieżywy a jednak uciekłem znowu, chociaż tym razem miałem być śmiercią ukarany. Uciekłem, bo wołałem śmierć, niż takie straszne życie.

— I znowu psy cię wytropiły.

— Ach tak, te psy niegodziwe, z których jednego pan zabiłeś. Tym razem miałem nadzieję, że ucieczka mi się uda. W osadzie mego pana był wielki niepokój, bo wykryto ślady dzikich Indian w pobliżu mieszkania. Pewnego wieczora sam stary pan Wattson z synem Janem i dwoma sługami białymi, Jerzym i Tobiaszem, wyruszył na zwiady; mieli przez noc obejść całą okolicę dokoła osady, a gdyby nie było słyhu o Indianach, wybrać się następnego dnia dalej na łowy i do domu powrócić dopiero późnym wieczorem. Podслуchałem to wszystko przypadkiem i postanowiłem uciekać. Wymknąłem się niepostrzeżenie z osady po odejściu pana, szedłem noc całą bez odpoczynku

i zapuściłem się daleko w głąb lasu. Już słońce wzeszło i podniosło się dość wysoko na niebie, gdy siły mię opuściły; nie mogąc ani na krok dalej postąpić, zawlokłem się na czworakach pod drzewo i snem kamiennym usnąłem.

Gdym się przebudził, było już po południu, czułem się wzmocniony i znowu parę godzin szedłem bez odpoczynku. O panie, jakże mi serce biło radośnie w piersi na myśl, że jestem wolny, że naprawdę wyrwałem się z rąk moich prześladowców. Lecz Bóg chciał inaczej. Nagle krew w żyłach moich zastygła, nogi zachwiały się podemną, stanąłem jak wryty. Usłyszałem wyraźnie w oddaleniu szczekanie psów, znowu więc i tym razem mię wytropiły. Pan mój wcześniej niż zapowiedział musiał powrócić do domu i zaraz w pogoń za mną się puścił. Stałem czas jakiś, jak skamieniały, a szczekanie psów odzywało się coraz bliżej i coraz wyraźniej. Ocknąłem się wreszcie z odurzenia i zacząłem biedz z całych sił, chociaż wiedziałem, że to darmo. Trwoga śmiertelna mię opadowała, dopadłem wybrzeża rzeki, wskoczyłem do wody prawie nieprzytomny, resztę pan już wiesz.

Myśliwiec słuchał z największą uwagą opowiadania chłopca, a jednocześnie bacznie śledził wszystkie poruszenia obu osadników na przeciwnym brzegu.

— Dobrze mój kochany — rzekł po chwili namysłu — uczynię dla ciebie, co będę mógł. Wprzód jednak chciałbym, żebyś mi jeszcze jedną rzecz wyjaśnił; wspomniałeś o jakimś sędziwym panu, który już jest w niebie. Miałeś więc przedtem innego pana, nim się dostałeś do tego Wattsona?

To zapytanie wywołało nagłe wzruszenie na

twarz młodego murzyna, oczy jego zaszyły łzami, w głosie brzmiał żal głęboki.

— Ach tak, miałem dobrego ukochanego pana — mówił — on mnie nie traktował jak niewolnika, lecz jak rodzonego syna. To też i ja go także uważałem za ojca, kochałem bardzo, bardzo serdecznie.

— I umarł?

— Tak, pan Smith dostał żółtej febry i umarł.

— Gdzież on mieszkał, ten pan twój dawny? — pytał myśliwiec — opowiedz mi o nim coś więcej.

— O, najchętniej, panie, ja tak lubię mówić o moim drogim panu Smith'ie — odrzekł Cezar, ocierając łzy z oczu — był to pan bogaty, miał piękny dom w mieście Baton-Rouge w Kanadzie. Ojciec mój i matka, którzy już także nie żyją od dawna, byli niewolnikami w jego domu, i ja tam na świat przyszedłem. Ale o niewoli wyobrażenia nie miałem, póki żył ten dobry pan mój i opiekun. Byłem zupełnie spokojny, on mnie kazał uczyć czytać, pisać, a przede wszystkim poznawać i kochać Boga, który króluje w niebie i światem całym rządzi. Pan Smith był bardzo pobożny, i nieraz, gdym miał jeszcze zaledwie lat kilka, brał mnie na kolana, uczył pacierza i przykazań Bożych. Byłem szczęśliwy i nie przeczuwałem nawet, jak smutna przyszłość mię czeka. Lata mijały, wyrosłem na sporego chłopca, aż tu półtora roku temu w mieście, gdzieśmy mieszkali, wybuchła żółta febra. Pan Smith postanowił wyjechać, aby uniknąć zarazy, ja z kilku innymi murzynami miałem mu towarzyszyć. Lecz pan mój ukochany zachorował w podróży. Było to wśród lasu, wyszukaliśmy opuszczoną chatkę drwała, usłaliśmy mu łóżko z mchu i liści, pielegno-

waliśmy go z całą troskliwością. Niestety! wszystko nadaremnie, tej samej nocy pan Smith zakończył życie, a my oplakiwaliśmy go rzewnymi łzami.

Murzyn umilkł na chwilę, opuścił głowę na piersi i zapłakał znowu, a uspokoiwszy się nieco, mówił dalej:

— Odwieźliśmy ciało pana Smith'a do Baton-Rouge, gdyż przed śmiercią tak rozporządził, chciał być pochowany w rodzinnym grobie. Ciężkie czasy nastały wówczas dla mnie i innych niewolników tego dobrego pana. Nie miał on dzieci, majątek przeszedł na dalekich krewnych, a ci murzynów nie potrzebowali. Wyprowadzono nas na rynek miejski i sprzedano z publicznego targu. O panie! co wycierpiałem dnia tego, opowiedzieć nie potrafię. Obcy ludzie rozkupili wszystkich moich towarzyszy, ja dostałem się panu Wattsonowi.

— Ileż on zapłacił za ciebie? — zapytał myśliwiec.

— Nie wiem, panie, nie powiedziano mi tego.

— Muszę więc zapytać samego Wattsona — rzekł myśliwiec i zwracając się do osadników, których za długą rozmowa z murzyinem niecierpliwiła do najwyższego stopnia, zawołał głosem donośnym: — Hej! panowie osadnicy, teraz pomówimy z sobą.

— Cóż tam, panie myśliwy, czy już porozumiałeś się z tym czarnym hultajem? — ozwał się stary Wattson z gniewem.

— Skończyłem właśnie.

— Musiał nakłamać przed tobą, a ty mu wierysz.

— Jestem przekonany, że mówił prawdę i dla tego mu wierzę — odrzekł myśliwiec.

— O dzięki ci, dobry panie! — wołał murzyn, chcąc ucałować rękę młodzieńca, na co ten nie pozwolił.

— Co to za głupie żarty! — wykrzyknął skwater, drżąc ze złości — nie dbam o to wcale, czy wierzysz, czy nie wierzysz temu nieponiowi, byleś mi go oddał, bo jest własnością moją, rozumiesz?

— O panie, miej litość nademną! — błagał murzyn, obejmując kolana myśliwca.

— Uspokój się, mój chłopcze — mówił ten, podnosząc biedaka i znowu zwrócił się do osadników. — Nie oddam tego nieszczęśliwego w wasze ręce, bo schronił się pod opiekę moją i ze wszech miar godnym jest współczucia.

— Jakto! nie oddasz mi własnego mego niewolnika? — wykrzyknął Wattson z wściekłością i groźnie podniósł strzelbę.

— Nie radzę wam, moi panowie, brać się do broni — rzekł spokojnie myśliwiec, trzymając także strzelbę w pogotowiu — bo i ja strzelać umiem. Porównajmy lepiej rozsądnie, a może potrafimy się porozumieć, tym sposobem prędzej dojdziemy do końca.

— Ja nie chcę żadnego porozumienia! — wołał Wattson ze złością — oddaj mi niewolnika i basta!

— Gniewy i krzyki na nic się ze mną nie przydadzą — mówił z krwią zimną myśliwiec — raz jeszcze zapytuję, czy wysłuchasz pan spokojnie tego, co ci mam do powiedzenia? Bo jeżeli nie, to zaraz stąd odchodzę w swoją stronę i tego chłopca zabieram z sobą. Zobaczmy, czy mi kto przeszkodzi.

— Mówże prędzej — mruknął skwater.

— Ile pan zapłaciłeś za tego murzyna?

— Cóż to ma kogo obchodzić?

— Proszę mi odpowiedzieć.

— Sto pięćdziesiąt dolarów.

— Tak dużo?

— Do czego to wszystko prowadzi?

— Do tego, że chciałbym tego murzyna kupić

— Kupić? naprawdę? — ozwał się stary Wattson, niezmiernie zdziwiony, nagle uprzejmy ton przybierając i spuszczać strzelbę, co też natychmiast i myśliwiec uczynił — nie żartujesz pan, chcesz mi zapłacić za murzyna?

— Wcale nie myślę żartować.

— Ależ to całkiem inna sprawa, mój panie myśliwy — mówił osadnik coraz grzeczniej — o tem możemy pomówić, i owszem.

— Wszak chciałeś pan śmiercią ukarać tego biednego chłopca, nieprawdaż? — spytał myśliwy.

— Byłbym go już dotąd zastrzelił — odrzekł Wattson — żebym go miał w swoich rękach, hultaja.

— I cóżbyś pan zyskał na tem?

— Nic, alebym złość przynajmniej zadowolil.

— Wyrzucając pieniądze za okno, czy to nie szkoda? Posłuchajże teraz, co ci za niego ofiarować mogę. Mam dwie przepyszne skóry jaguarów i pół tuzina najpiękniejszych skórek bobrowych. Sądzę, że to dostateczna zapłata za niewolnika, z którego i tak nie miałbyś pan żadnego pożytku, bo wołał zginąć, niż pozostać w twoich rękach.

— Nic nie mam przeciwko temu — odrzekł osadnik, zupełnie udobruchany — ale musisz pan jeszcze parę skórek dolożyć, ażebyśmy targu dobili.

— Nie mam ich więcej w tej chwili, a nie targowałbym się, daję słowo.

— Ależ to rzecz najmniejsza; możesz mi pan oddać resztę należności za dni kilka, poczekam chętnie.

— Jeżeli tak, to dobrze. Ileżbyś pan żądał jeszcze?

— Niewiele, ze sześć skórek bobrowych.

— I wtenczas ustąpisz mi pan raz na zawsze praw swoich do tego chłopaka?

— Najzupełniej.

— Musimy tedy spisać umowę — rzekł myśliwiec i postąpił do zarośli, gdzie łódka jego była schowana, aby się przeprawić na drugą stronę i oddać obiecane skóry osadnikowi. Lecz musiał się zatrzymać na pół drogi, bo Cezar go dogonił, objął za nogi i wołał z uniesieniem radości:

— O dzięki ci, dzięki, dobry panie, niech ci Bóg nagrodzi — potem zerwał się i jak szalony zaczął skakać, koziołki przewracać, w najzabawniejszy sposób okazując swoje uszczęśliwienie.

— Nie ciesz się przed czasem, mój chłopcze — rzekł myśliwiec z uśmiechem — wszak nie przestałeś być niewolnikiem i nie wiesz jeszcze, jaki cię los czeka.

— O panie! ja się tak cieszę, tak cieszę, chciałbym ziemię całą objąć i uściskać. Pan będzie dobry dla Cezara i z pewnością nie obije go nigdy do krwi jak dzieci pana Wattsona. Ale i Cezar pana kochać będzie i chętnie w ogień skoczy dla pana.

— No, no, zobaczymy; poczekajże tu na mnie — mówił myśliwiec łagodnie do biednego murzyna, sam zaś spuścił czółenko na wodę, wskoczył w nie i po

chwili wylądował na drugim brzegu, gdzie obaj osadnicy na niego czekali.

Jakób Wattson był to mężczyzna ogromnego wzrostu i silnie zbudowany, syn wyglądał podobnie. Z wyrazu twarzy obu tych ludzi łatwo było poznać, że się nie odznaczali ani szlachetniejszymi uczuciami, ani wyższem wykształceniem, nie wywierali jednak przy bliższem zetknięciu zbyt przykrego wrażenia. Okrutne postępowanie z murzynem nie przemawiało wprawdzie na ich korzyść, lecz trzeba o tem pamiętać, że w tych czasach wszyscy osadnicy w Ameryce obchodzili się podobnie z nieszczęśliwymi niewolnikami, uważając ich na równi z bydłami roboczymi. Kupowano murzynów za pieniądze, mieli też tylko dla właściciela wartość wydanej na to kwoty pieniężnej. I Wattson mógł być człowiekiem prawym i uczciwym pod każdym innym względem, chociaż te przekonania podzielał.

Obaj osadnicy mieli na sobie długie myśliwskie bluzy, pasy skórzane, u których zwieszały się rogi z prochem i kulami. Uzbrojeni byli, oprócz strzelb, w siekierki i ogromne noże myśliwskie, do krótkich mieczów podobne, zatknięte za pasem. Reszta ubrania ich składała się ze spodni płóciennych i bardzo długich kamaszy skórzanych, do bioder prawie sięgających. Obuwie, niezmiernie proste, zrobione było z kawałka skóry bawolej, zesnurowanej rzemykiem na wierzchu nogi, z podeszwą z takiejże skóry podwójnej. Kapełuszki filcowe ze zbitej sierści bawolej dopełniały tego stroju, używanego i dziś powszechnie przez skwatterów amerykańskich. Myśliwiec zbliżył się wolnym krokiem do obu Wattsonów i rzekł, wyciągając do nich rękę:

— A więc zgoda już między nami?

— Zgoda, zgoda — mówił stary Wattson wesoło, ściskając podaną rękę z największą serdecznością. — Gdybyś pan był od razu powiedział, że chcesz tego czarnego nicponia kupić odemnie, nie przyszloby wcale do tej niepotrzebnej sprzeczki.

— Zapewne, ale musiałem się przecież wprzód przekonać, czy chłopak wart tego, co dla niego robię.

— Co prawda, wielkiej pociechy pan z niego mieć nie będziesz, leń jest i do niczego, takim też pewnie zostanie do śmierci. Ale to już nie moja rzecz, rób pan z nim, co ci się podoba. A teraz, czy nie zechcesz wymienić swego nazwiska? Ja się nazywam Wattson.

— Co do mnie — odrzekł myśliwiec — Osagowie, z którymi żyję w stosunkach przyjaźni, nazywają mnie Sercem prawem, a myśliwi, towarzysze moi, nadali mi miano Pogromcy tygrysów.

— Do pioruna! że też ja tego nie odgadłem od razu! — zawołał Wattson w uniesieniu i po raz drugi począł ściskać dłoń myśliwca — cieszę się niezmiernie, że mam sposobność poznać tak słynnego myśliwca; nasłuchiłem się o panu немало, na sto mil dokoła opowiadają o tobie. Wybacz pan, proszę, niewłaściwe moje postępowanie, nie wiedziałem, z kim mam do czynienia.

— Dajmy już temu pokój, zakończmy lepiej nasz interes, żebym mógł wystarać się jak najprędzej o resztę skórek, które mam panu jeszcze oddać wedle umowy.

Mówiąc to, myśliwiec, Serce prawe, wyjął z torby swej pugilares skórzany, znalazł w nim ćwiartkę

papieru i ołówek, napisał słów kilka i podał osadnikowi ten prosty dokument, aby swój podpis na nim położył.

— Teraz więc murzyn prawnie już do mnie należy — rzekł, chowając znowu kartkę do pugilaresu — a za trzy, cztery dni najdalej, przyniosę panu sześć skór bobrowych.

— Wielki to będzie zaszczyt dla mnie — mówił osadnik — radbym tak milego gościa zatrzymać w moim domu przez kilka dni przynajmniej, i spodziewam się, że mi pan tej przyjemności nie odmówisz. Drogę do naszej osady wskaże panu ten czarny ladaco, który jest teraz twoim sługą; to bardzo niedaleko, pięć mil stąd, nie więcej.

— A czy pan tu już dawno mieszkasz w tej okolicy — zapytał Serce prawe, ukłonem podziękowawszy za uprzejme zaproszenie.

— Niedawno, od pół roku dopiero — odpowiedział Wattson.

— Muszę też panu powiedzieć, żeś nie bardzo stosowne miejsce wybrał na założenie osady.

— A to dlaczego?

— Bo plemiona indyjskie od niejakiego czasu w tych okolicach najczęściej pładrują; nigdzie biali nie są przez nich prześladowani z takim okrucieństwem, jak tu właśnie.

— Czy w rzeczy samej?

— Więc pan nie wiedziałeś o tem?

— Ani się domyślałem.

— Dotąd widocznie szczęście panu sprzyjało. Wspomniał mi jednak Cezar, opowiadając szczegóły

swojej ucieczki, że w pobliżu osady spostrzeżono ślady Czerwonoskórych. Czyżby miał skłamać?

— Tego nie powiem, ślady te były rzeczywiście widziane, lecz sam z synem i dwoma sługami przetrząsałem całą okolicę i nigdzie Indian nie napotkałem.

— I jesteś pan spokojny? A jednak wiem z pewnością, że gromady Pawnisów włóczą się od kilku dni w tych stronach.

— Czy być może! — wykrzyknął osadnik, bardzo nieprzyjemnie zdziwiony — widziałeś pan ich na własne oczy?

— Napotykałem po kilkakrotnie ich ślady, lecz spotkania starałem się unikać.

— Ta wiadomość mię przeraża.

— Powinna być raczej przestrogą i skłonić pana do przedsięwzięcia środków ostrożności.

— Nie sądzę pan, abym już dotąd tego nie uczynił. Osada moja jest doskonale zabezpieczona od napadu, obaczysz pan sam, jeśli nas odwiedzisz, jak obiecałeś.

— W każdym razie radzę panu pośpieszać do domu, bo Indianie są nadzwyczaj czujni i podstępni, nieobecność pańska z pewnością nie ukryje się przed nimi.

— Ej, niema tam przecież tak wielkiego niebezpieczeństwa nawet w razie napadu — mówił osadnik — czujności i wierności sług moich jestem pewny, z bronią zaś nie tylko dwaj młodzi synowie, ale i córka moja obchodzić się umie. Pięć strzelb, to nie fraszka, potrafią sobie dać radę.

— Ja jednak powtarzam raz jeszcze, nie trać pan czasu, śpiesz do domu i w drodze nie zapomnij o ostrożności.

— Bądź pan spokojny, nie od dziś przecież znam puszcę. Ruszemy stąd zaraz na całą noc i jutro rano będziemy w domu.

— Niech was Bóg prowadzi.

— Bywaj pan zdrów.

Ojciec i syn najserdeczniej uściskali dłoni myśliwca, zabrali skóry, stanowiące zapłatę za murzyna i puścili się w drogę. Olbrzymie ich postacie zniknęły wkrótce wśród gęstwiny leśnej. Myśliwiec wsiadł do łódki i na drugi brzeg powrócił. Murzyn poskoczył na spotkanie nowego pana, szalone objawy jego radości ustąpiły miejsca spokojniejszym uczuciom, lecz twarz cała rozpromieniona i oczy błyszczące wyrażały uszczęśliwienie.

— No, rad jestem, że cię tu zastaję — rzekł Serce prawe.

— A gdzieżbym ja mógł być? — zapytał chłopiec zdziwiony.

— Mógłbyś skorzystać z mojej nieobecności i znowu do lasu drapnąć.

— Czy pan doprawdy to myśli, co mówi?

— Czemuż nie? miałeś rzeczywiście wyborną sposobność do ucieczki.

— Więc pan podejrzewał Cezara o tak czarną niewdzięczność?

— Wiem tylko, że pragniesz swobody, skoro wolałeś śmierć ponieść, niż pozostawać dłużej w niewoli.

— To wcale co innego, uciekłem od okrucieństwa, od prześladowców moich; a pan jesteś moim dobroczyńcą, zbawcą, uratowałeś mi życie.

— Po to tylko, ażeby cię uczynić swoim niewolnikiem.

— Ależ ja z radością, z rozkoszą największą będę niewolnikiem pańskim.

— Czy zupełnie szczerze to mówisz?

— Ja pana tak kocham, a pan mi nie wierzy — i cień smutku zasępil twarz murzyna.

— To dobrze, uspokój się, chłopcze, ja ci wierzę. Widzę, że masz poczciwe serce i w nagrodę obdarzę cię tem, czego najgoręcej pragnąłeś.

— Nie rozumiem, co pan chcesz powiedzieć.

Myśliwiec wyjął tymczasem drugą ćwiartkę papieru ze swego pugilaresu, napisał coś na niej i podał murzynowi, mówiąc:

— Przeczytaj to, wszak umiesz czytać.

— Umie — odpowiedział Cezar, przebiegając oczyma wyrazy nakreślone na papierze, z twarzy jego znikł zupełnie wyraz radości, który ją przed chwilą ożywiał, a oczy napelniły się łzami.

— I cóż? spytał myśliwiec, ze zdziwieniem spoglądając na chłopca.

— Pan mi daje wolność, mam być odtąd wyzwolonym z niewoli — mówił murzyn, nie okazując bynajmniej, aby treść odczytanego dokumentu przyjemność mu sprawiła.

— I cóż się tak skrzywiłeś, nie dziękujesz mi nawet? Obdarzam cię wolnością, czyli tak mało dar ten cenisz? Wyglądasz tak w tej chwili, jak gdyby cię nieszczęście spotkało.

— Bo też rzeczywiście jestem nieszczęśliwy.

— Cóż to ma znaczyć?

— Pan nie lubi biednego Cezara, pan go odpydza.

— Któż ci to powiedział?

— Ten papier. Pan tu napisał własną swoją ręką, że mi daje wolność i od obowiązków uwalnia.

— Od obowiązków niewolnika, ale nie myślałem wcale cię odpędzać.

— A! więc będą mógł zostać przy panu? — zawołał chłopak i oczy jego znowu radością zabłysły.

— Jeśli masz ochotę zostać, to i owszem, ale cię nie zmuszam, chyba że to uczynisz z dobrej woli.

Murzyn wydał okrzyk szalonej radości, podskoczył raz i drugi, potem kozła przewrócił, śmiał się, klaskał w ręce, jak małe dziecko, gdy dostanie nową zabawkę.

— Pocieszny z ciebie chłopiec — mówił myśliwiec z uśmiechem.

— Ale i sługa dobry, obaczy pan — rzekł Cezar uspokoiwszy się trochę — będę panu wiernie i gorliwie służył.

— Byle dobrowolnie, nie mam przeciwko temu.

— I czy ja na zawsze, na całe życie przy panu zostanę.

— Od ciebie to będzie zależało, mój kochany. Wyglądasz na bardzo pocziwego chłopaka, jeżeli takim okażesz się rzeczywiście, chętnie cię zatrzymam przy sobie. Ale pamiętaj, że będziesz miał prawo opuścić mnie w każdej chwili. Życie myśliwca takiego, jak ja, pełne jest niebezpieczeństw, trudów, niewygód wszelkiego rodzaju; jeśli ci się czasem uprzykrzy wędrować ze mną po lasach i stepach, powiedz tylko słówko, a rozstaniemy się zgodnie i każdy pójdzie w swoją stronę.

— Cezar nigdy nie rozstanie się ze swoim dobroczyńcą — rzekł murzyn stanowczo — zresztą ten

sposób życia, jaki pan prowadzi, nie jest obcy dla mnie. Pan Smith lubił także dalekie wycieczki i nieraz wybrawszy się na łowy, tygodnie całe spędzał wśród puszczy. Ja zawsze towarzyszyłem mu wtedy i nie było dla mnie większej rozkoszy, jak wędrować tak po świecie Bożym, podziwiać wspaniałe cuda przyrody, dzieła wszechmocnego Stwórcy. Zwiedziłem tym sposobem z dawnym panem moim znaczną część Stanów Zjednoczonych północnych i południowych. Cieszę się niezmiernie, że teraz znów z panem podróżować zacznę.

— To bardzo dobrze. Dowiedźże się przedewszystkiem, że ja się nazywam Serce prawe; a teraz chodź, — upatrzmy sobie miejsce na nocleg, jutro rano poszukamy bobrów. Trzeba i łódkę wyciągnąć z wody.

Zmierzch szybko zapadał, w lesie ściemniało się coraz więcej, wkrótce też ozwał się z głębi puszczy zwykły chór nocny. Ponury ryk większych zwierząt drapieżnych mieszał się z piskliwymi głosami mniejszych stworzeń i urywanem wyciem wilków. Myśliwiec wyciągnął z pomocą murzyna łódkę swoją z wody, poczem obaj powędrowali dalej, szukając wygodnego miejsca na nocleg, a w ustroniu, gdzie się rozgrywały wypadki, opisane powyżej, nie pozostało najmniejszego śladu obecności ludzkiej.

III.

Osada.

Przenieśmy się teraz o pięć mil dalej, do pięknej, malowniczej doliny, tąż samą rzeką przerzniętej, którą poznaliśmy w rozdziałach poprzednich. Na wybrzeżach

jej ciągnął się las gęsty, obfitujący w zwierzyne wszelkiego rodzaju, w rzece było ryb pełno, a łąki pobliskie, bujną trawą pokryte, dostarczały wybornej paszy dla koni i bydła.

Na samym środku tej rozkosznej doliny, o tysiąc kroków od rzeki, nad małym strumykiem, wpadającym do niej, usadowił się Jakób Wattson ze swoją rodziną. Główny budynek osady, dom mieszkalny, wyglądał naksztalt blokhauzu; płaski dach, pokryty trzcina i sitowiem dla zabezpieczenia od ognia i gwałtownych wichrów, przysypany był ziemią i drobnymi kamykami. Dom ten składał się po prostu z grubych bierwion, ułożonych jedno na drugich, w miejscu okien miał tylko otwory, siekierą wyrąbane w belkach drewnianych, które na noc przykrywano okiennicami z grubych desek.

O siedm lub ośm metrów od mieszkalnego domu wznosił się drugi budynek podobny, znacznie większy. Tam mieściły się zwierzęta domowe osadnika, kilka krów, kilka wołów i koni, znacznie większa liczba świń, a i drób chronił się tam razem z bydłem na noc i w czasie sloty. Przestrzeń pomiędzy dwoma budynkami przykryta była dachem, łączącym je między sobą i tworzyła rodzaj galeryi, gdzie składano narzędzia rolnicze i graty rozmaite.

Dwa te budynki stały w obszernym dziedzińcu, otoczonym palisadą, na trzy metry wysoką, złożoną z grubych pali, splecionych u góry prętami łoziny. W dziedzińcu była i studnia, nigdy w niej jednak podczas dłuższej suszy nie starczyło wody na użytek domowy. Z tego powodu osadnik rozszerzył ogrodzenie o tyle, aby zajęło część strumyka; pale wbijane były

w tem miejscu trochę rzadziej, aby woda swobodnie przepływać mogła pomiędzy nimi.

Tu i ówdzie w palisadzie powycinane były otwory okrągłe, mogące służyć za strzelnice w razie napadu. Zwykle też strzegły osady cztery ogromne, bardzo czujne psy, z których obecnie dwóch brakowało, bo je osadnik zabrał z sobą, udając się w pogoń za murzynem. W tej malej twierdzy mieszkał Wattson z rodziną, składającą się, jak wiemy z opowiadania Cezara, z trzech synów: Jana, Benjamina i Ryszarda czyli Dika i jedynej córki Elli. Matka ich dawno już nie żyła. Dwaj słudzy, Tobiasz i Jerzy, obaj nie młodzi, także prawie za członków rodziny byli uważani, gdyż od lat wielu wiernie dzielili losy Wattsona i przywiązani byli niezmiennie do niego i do dzieci.

Poza ogrodzeniem, stykając się z niem bezpośrednio, rozciągały się pola uprawne, zasiane zbożem, kukurydzą, patatami, warzywem rozmaitem, a wszystko to wybornie się udawało na tej ziemi dziewiczej, po raz pierwszy plugiem Wattsona zoranej. Dla zabezpieczenia od zwierząt leśnych, i pola otoczone były ogrodzeniem dość wysokiem, lecz nie tak gęstem i starannem, jak palisada dokoła domu. Za polami ciągnęły się znów łąki naprzemian z kępami drzew, tak że całość sprawiała wrażenie ogromnego parku.

Było to tegoż samego wieczora, gdyśmy się rozstali z Sercem prawem i murzynem o pięć mil wyżej nad rzeką. Już coraz więcej się ściemniało, coraz dłuższe cienie padały z lasu pobliskiego na łąki i pola osady. Służba pracowała jeszcze na łanie. Ella została w domu z dwoma młodszymi braćmi tylko. Była to prześliczna dziewczyna, niezbyt dużego

wzrostu, ale silna i kształtna. Duże, szafirowe oczy, pełne wyrazu, ożywiały miłą jej twarzyczkę; włosy miała jasne, w dwa grube warkocze splecione, dość było spojrzeć na nią, aby odgadnąć, że musi być dobra, łagodna, a zarazem roztropna i odważna.

— Benie! Diku! — wołała młoda dziewczyna, stojąc we drzwiach mieszkania i spoglądając ku miejscu, gdzie strumyk przepływał pod palisadą — co wy tam robicie?

Ben skinął ręką, lecz nie odpowiedział; ani on ani brat nie przerwał swojego zajęcia. A szczególnie to było zajęcie. Ben, starszy, stał w mętnej wodzie strumyka, która mu prawie do pasa dochodziła i trzymał na plecach Dika, ten zaś z namiętną uwagą spoglądał poza ogrodzenie przez jedną ze szpar pomiędzy palami, rzadziej w tem miejscu stojącymi.

Ella sądziła, że bracia wymyślili sobie jakąś zabawę przy palisadzie, weszła więc do mieszkania, nie troszcząc się o nich więcej i zajęła się przygotowaniem wieczery dla wszystkich domowników. Po chwili weszli chłopcy, obaj na swój wiek rośli i silnej budowy.

— Musicie dziś sami bydło przypędzić z łąki — odezwała się do nich Ella — wiecie, że Cezara няма. Ale co wy robiliście tam przy palisadzie? — tu spojrziała uważniej na braci i mówiła dalej z nagłym niepokojem — Mój Boże! co tobie się stało, Diku? taki jesteś błądy i zmieniony.

— Przestraszyłem się — odparł chłopak krótko.

— A to czego?

— Coś widziałem, coś okropnego!

— Mówcież prędzej, coście widzieli?

— Nosiliśmy drzewo rąbane do szopy — rzekł Ben — jak ojciec kazał, a wtem...

— Ja raptem krzyknąłem przeraźliwie — dokończył Dik — ach! Ello, nigdy w życiu nie widziałem takiej okropności, tak się przeląknąłem...

— Pędź braciszku, pędź mów, co to było — nagiła nań siostra.

— Nosząc te drwa, spojrzałem przypadkiem w górę na palisadę ponad strumykiem i obaczyłem głowę ludzką. Krzyknąłem, a głowa w mgnieniu oka znikła.

— Gdy Dik tak okropnie krzyknął — mówił z kolei Ben — i powiedział mi, co obaczył, popatrzałem w tej samej chwili na palisady, ale już tam tej okropnej głowy nie było.

— Jakże ona wyglądała? — pytała Ella, zwracając się do Dika.

— Ja sam nie wiem — odrzekł chłopak.

— Ależ przypomnij sobie.

— Oczy czarne, błyszczące, jak płomień, a tak strasznie na mnie wytrzeszczone...

— Cóż jeszcze, mów dalej.

— Twarz pomalowana w kolorowe desenie, włosy długie, czarne, na samym czubie sterczał pęk piór czaplich, czy nie wiem już jakich. Co tu długo mówić, to była głowa Indyanina.

Ella pochylila się do garnka, w którym gotowała wieczrę, zamieszała łyżką polewkę, potem odezwała się spokojnie do starszego brata:

— Cóż ty na to mówisz, Benie?

— Ja mówię, że Dik sobie coś uroił, jużemy się o to posprzeczali.

— I dobrze mówisz — potwierdziła Ella.
— Widziałem doskonale — mówił Dik stanowczo.
— Wyobrazileś sobie, braciszku.
— Nie, nie, Ello, nie wyobrazilem sobie.
— W tych dniach mówiliśmy ciągle w domu o Indyanach, ty to słyszałeś, nabiłeś sobie głowę Indyanami, i stąd ci się ta postać przywidziała.

— Niezawodnie — dodał Ben.

— Co wy wmawiacie we mnie jakieś przywidzenia — odrzekł chłopak zadąsany — byłem przecież zupełnie przytomny i nie spałem, nie mogło mi się to przyśnić, a o Indyanach dziś nawet ani myślałem.

— Pleciesz Diku, pleciesz — odezwał się znów Ben — już ci to mówiłem na dziedzińcu, że Indyanin jest taki sam człowiek, jak każdy inny, i nie może zniknąć w jednej chwili, nakształt widziadła.

— Więc jesteście pewni, że więcej się nie pokazał? — pytała Ella.

— Patrzyliśmy na wszystkie strony — odpowiedział Ben — Dik sam przecież zaglądał przez szparę w palisadzie, ja go trzymałem na plecach. Stamtąd widać wszystko, jak na dłoni, a nigdzie nie ma ani drzewa, ani nie takiego gdzieby się człowiek mógł schować.

— Jak to dobrze — mówiła Ella — że ojciec wyrąbał wszystkie drzewa i krzaki naokoło domu. Gdyby Indyanin naprawdę wlaźł na palisadę, jak utrzymuje Dik, nie mógłby w żaden sposób tak prędko odbiedz do lasu: bo przecież, jak powiadacie, w tej samej chwili zajrzeliście przez palisadę i nigdzie go już nie było. Gdzieżby się podział? To niepodobieństwo.

— Niepodobieństwo, zupełnie niepodobieństwo — potwierdził Ben.

— Mówcie wy sobie co chcecie, a ja wiem, co widziałem — rzekł Dik z miną obrażoną.

— Co za uparty z ciebie chłopak — odparła siostra, wzruszając ramionami — ale dajmy pokój sprzeczkom, nie ma czasu na to, trzeba jak najprędzej bydło spędzić do obory. Weź z sobą strzelbę, Benie, może jaką zwierzynę zobaczysz pod lasem. Zdałaby się bardzo, bo mi już mięsa zabraknie niedługo. Idźcie przez pola i przyslijcie Tobiasza, trzeba tę dużą kłodę rozrąbać i nałupać drzazek. Jerzy niech pójdzie z wami i pomoże wam krowy spędzić. A śpieszcie, chłopcy, żeby was noc pod lasem nie zaskoczyła. Może i ty, Diku, chcesz strzelbę zabrać? Weź, weź, po zachodzie słońca najłatwiej zejść kunę lub tchórza, a tu nie brak tych szkodników, co raz to mi jakiej kury lub kurczęcia zabraknie.

Wszystko to młoda dziewczyna mówiła spokojnie, nie zdradzając ukrytej myśli; nie chciała trwożyć braci, a jednak postanowiła na wszelki wypadek dać im broń do ręki. Jakkolwiek opowiadanie Dika rzeczywiście uważała za przywidzenie, czuła jednak, iż środków ostrożności nie należało zaniedbywać. Obaj chłopcy niezwłocznie wyruszyli ze strzelbami na plecach do miejsca dość odległego, gdzie Jerzy i Tobiasz kończyli jakąś gospodarską robotę.

— Co za szkoda, że nie ma tego głupiego murzyna — mówił Dik — możnaby sobie teraz siedzieć spokojnie w domu, a onby bydło spędzał. Zresztą, gdyby już koniecznie trzeba było tej roboty dopil-

nować, toby się nie szło pieszko, bo z tego czarnego hultaja wyborny był wierzchowiec.

— Tylko nie mów tego przy Elli — rzekł Ben — wiesz, jak ona się gniewa zawsze za tego murzyna; nie pozwoliłaby go nawet dotknąć.

— Ach! Ella jest czasem śmieszna, ktoby tam zważał na to, co ona mówi.

— No tak — mówił Ben — co do murzyna jest śmieszna, ale zresztą bardzo dobra i pocziwa.

— Najpocziwsza w świecie, ale czasem naprawdę nedorzecznosci plecie. Czy ty wiesz, co ona kiedyś o murzynach mówiła?

— Cóż takiego?

— Mówiła, że murzyn to taki sam człowiek, jak i my. Czy słyszał kto kiedy co podobnego?

— To nedorzecznosc! — zawołał Ben — murzyn wcale nie jest człowiekiem, chociaż mówić umie, to bydłę, nic innego; nawet i ojciec to nieraz powtarzał, a tego Cezara kupił tylko na to, żebyśmy mieli z niego zabawkę.

— Ciekawym bardzo, co ojciec z nim robi, jeżeli go i tym razem złapie.

— Powiedział, że go zastrzeli, jak psa.

— Ej, szkoda byłoby tego lotra; wyborna na nim była jazda, pędził, jak koń prawdziwy, byle się tylko bicia nie szczydziło.

— Dałaby ci Ella, żeby zobaczyła.

— Pocóż miała widzieć? Ja zawsze byłem ostrożny, wyprowadzałem go daleko od domu, gdy chciałem konno się przejechać.

— Może też ojciec jeszcze i nie zastrzelił tego

nieponia. Jabym także chciał popróbować na nim nowego biczyka, który sobie dziś sporządziłem.

Tak przechwalając się nieludzkim swem postępowaniem, chłopcy biegli śpiesznie przez pola. Na pół drogi spotkali Jerzego i Tobiasza, którzy wracali z roboty i nieśli motyki na plecach.

— Cóż tam słychać? — spytał Dik ciekawy, czy też który z nich nie spostrzegł Indyanina, którego głowa tak go przerażała.

— Co ma być słychać? — odrzekł spokojnie Tobiasz, przekładając zwitek tytoniu, który żuł w ustach, z jednej strony na drugą.

— Wracaj do domu Tobiaszu — odezwał się Ben — Elli tam trzeba nalupać drzazek; a ty Jerzy, chodź nam pomóż bydło zapędzić.

— Bo też już i pora po temu — mruknął Jerzy — chłopcy pomknęli śpieszniej, Jerzy poszedł za nimi, a Tobiasz wolnym krokiem ku domowi podążył.

Ażeby nie było potrzeby pilnować krów przez dzień cały, Wattson ogroził także i pastwisko pod lasem niskim płotem. Gdy bydło wyjadło trawę w jednym miejscu, lekkie to ogrodzenie przenoszono dalej. Dotychczas nigdy się nie zdarzyło, aby krowa lub inne jakie bydło wymknęło się z tej zagrody — wieczorem zaś zabierano wszystkie na noc do obory. Dwaj chłopcy wraz z Jerzym obaczyli wkrótce przed sobą ogrodzenie, noc była widna, bo księżyc wypłynął przed chwilą na niebo.

— Co to znaczy do pioruna! Gdzie się bydło podziało? — zawołał nagle Jerzy przestraszony.

— Alboż niema bydła w zagrodzie? — spytał

Dik — który patrzył na wszystkie strony, a najmniej wprost przed siebie.

— Ja przynajmniej go nie widzę — rzekł Jerzy.

— Ani ja także — dodał Ben.

— Prawda! — wykrzyknął także i Dik — czyżby jaguar wpadł do zagrody i bydło rozpedził?

— To niepodobna — odparł Jerzy.

— Dlaczego niepodobna?

— Bo jaguary rzadko bardzo zbliżają się do mieszkań ludzkich i tylko późno w noc z lasu wychodzą. O tej porze jaguar tu być nie mógł.

Obeszli dokoła zagrodę i spostrzegli, że w jednym miejscu plot był wylamany; łatwo więc odgadli, że mała trzoda wymknęła się tędy.

— A to jednak haniebna sprawa! — wołał Jerzy.

— Narzekanie na nic się nie zda — zauważył roztropnie Ben — musimy bydło odszukać.

— To się rozumie — mówił Jerzy — ale gdzie i kiedy je teraz znajdziemy, Bóg to raczej wie.

— Niema innej rady, tylko trzeba iść za śladami — rzekł Dik — widać je bardzo dobrze, bydło poszło stąd prosto do lasu.

Wszyscy trzej poszli za śladami kopyt, wyciśniętymi bardzo wyraźnie na miękkim gruncie wilgotnej łąki.

— A to skaranie Boże! — zawołał nagle Jerzy, zatrzymując się — przekłete bydło tu się rozdzieliło, kilka sztuk poszło na prawo, a reszta na lewo. I co tu teraz począć?

— To rzecz prosta — ozwał się Ben — ty pójdziesz na prawo, a my z bratem na lewo.

— Niema bo innej rady — mruknął stary sługa

i nie tracąc czasu puścił się w stronę wskazaną, chłopcy zaś poszli w przeciwną. Jerzemu bliżej było do lasu, im trochę dalej; idąc oglądali się raz po raz i widzieli doskonale starego sługę przy świetle księżyca, obaczyli go już pod samym lasem, gdy nagle obaj chłopcy stanęli jak wryci. Z lasu wysunęła się gromadka ciemnych, strasznych postaci, w jednej chwili otaczających dokoła Jerzego, który krzyknął przeraźliwie, rozpaczliwym, rozdzierającym głosem. Po tym okrzyku cisza znowu zaległa dokoła.

— Indyanie — szepnęli dwaj bracia drżącymi ustami i zawróciwszy się, pędem strzały biegli ku domowi. Tymczasem inne ciemne postacie ze wszystkich stron występowały z lasu; od strony osady ozwał się huk wystrzału, a po chwili dał się słyszeć donośny dźwięk rogu, jakim zazwyczaj osadnicy zwołują służbę rozproszoną po polach.

IV.

Strasza noc.

Ella starała się wmówić w siebie, że opowiadanie Dika było urojeniem, wytworem zaniepokojonej wyobraźni, a jednak gdy bracia, których tkliwie kochała, odeszli i ona sama w domu pozostała, niewytłómaczone uczucie trwogi, jakby przeczucie nieszczęścia, ścisnęło jej serce. Nie mogąc usiedzieć w zamkniętej izbie, wyszła na dziedziniec, przywołała psy i zajrzała wraz z nimi do wszystkich kątów, nigdzie jednak nie znalazła nic podejrzanego. Weszła na koniec po drabinie na dach domu. Na samym szczycie

jego wznosiło się małe wywyższenie, naksztalt wieżyczki, urządzone tam umyślnie w tym celu, aby można było widzieć wszystko, co się działo dokoła osady. Kilka wschodków prowadziło na wierzchołek tej malej strażnicy, otwartej na wszystkie strony, u góry tylko osłoniętej lekkim daszkiem gontowym. Ella bystrym wzrokiem przebiegła cały widnokrąg, tonący w mroku wieczornym, uśpiony w głębokiej ciszy. Wszędzie dokoła panował spokój, lecz w sercu młodej dziewczyny coraz silniejsza burza wrzała, niewysłowioną trwogą rozrywając jej piersi.

— O, żebyż ojciec już powrócił z Janem — mówiła w duszy, z ciężkiem westchnieniem wychylając się ze strażnicy i spoglądając na miejsce, gdzie strumyk z pod palisady na dziedziniec wypływał. Woda sączyła się powoli, jakby tamą jaką powstrzymana; w rzeczy samej po drugiej stronie palisady nagromadziła się znaczna ilość sitowia, trzciny, wodorostów przez prąd naniesionych i tamujących swobodny bieg strumienia. Nie było w tem nic dziwnego, powtarzało się to dość często i wówczas oczyszczano dno strumyka przy palisadzie. Dziewczyna przyzwyczajona była do tego, a jednak w tej chwili wszystko ją niepokoiło i dość długo wzrok zatrzymała na tem nagromadzeniu sitowia.

— Muszę dziś jeszcze kazać służbie oczyścić strumyk przy palisadzie, bo woda całkiem zatamowana — szepnęła i zaczęła schodzić ze strażnicy.

Weszła do mieszkania. W pierwszej izbie wisiało kilka strzelb na ścianie, obok rogi z kulami i prochem. Ella zdejmowała broń jedną po drugiej, oglądała ją wprawmem okiem i wprawną ręką do-

tykała, a przekonawszy się, że wszystkie strzelby nabite i w dobrym stanie, odetchnęła swobodniej.

— Mamy czem się bronić — szepnęła — zawieszając ostatnią na swoim miejscu.

A wtem psy zaczęły szczekać i ujadać na dziedzińcu. Dziewczyna chwyciła strzelbę i wyszła zobaczyć, co je tak zaniepokoić mogło. Lecz w dziedzińcu pusto było i cicho i pomimo bacznych poszukiwań, Ella nic podejrzanego nie wykryła. Psy nieraz w podobny sposób szczekały zajadle, zwęszywszy w pobliżu osady lisa, wilka, lub inne zwierzę leśne. Taż sama przyczyna mogła je i teraz zaniepokoić. Ella powróciła więc do mieszkania, strzelbę postawiła przy drzwiach wchodowych, aby ją mieć pod ręką w razie potrzeby, i następnie udała się do kuchni by zajrzeć do garnków. Nie mogła jednak długo na miejscu usiedzieć, znowu na próg wybiegła i spojrzała na dziedziniec. Psy ujadły ciągle, ale już nie z taką gwałtownością.

— To dziwna rzecz, że Tobiasza dotąd niema — szepnęła dziewczyna; wzięła więc strzelbę na ramię i weszła po drabinie na dach, aby raz jeszcze obejrzeć okolicę. Na strażnicy zawieszony był ogromny róg bawoli, do zwoływania służby używany, którego dźwięk donośny rozchodził się niezmiernie daleko. Przy bladym świetle księżyca, rozświecającem łąki i pola, Ella spostrzegła wkrótce Tobiasza, zbliżającego się krokiem miarowym, lecz braci i trzody nie było nigdzie widać. Instynktem jakimś wiedziona, rzuciła okiem na sitowia, tamujące bieg strumyka przy palisadzie. I nagle zadrżała, bo jej się zdało, że wśród tego nagromadzenia różnych roślinnych

szczałków coś się poruszało, a prąd wody był w tej chwili za słaby, aby mógł taki ruch wywołać. Jednocześnie psy zaszczeły głośniejszą na dziedzińcu. Ella wzrok wyteżyła i pomimo nocnego mroku niedługo pozostawała w niepewności; pochwyciła strzelbę drżącymi rękoma i lufę jej skierowała prosto w miejsce, gdzie z pod sitowia i wodorostów podniosła się ciemna postać ludzka i usiłowała wspinać się na palisadę.

Strzał wypadł, nie trafił jednak, gdyż postać w tył odskoczyła, a po chwili pomknęła chyżo przez łąki i pola w stronę lasu, wydając zwyczajny okrzyk krajowców czerwonoskórych: «hug!». Ella porwała róg bawoli i z całej siły zatrąbiła; przeraźliwe jego dźwięki ponuro zabrzmiały wśród ciszy nocnej i wnet ujrzała Tobiasza, pędem już teraz biegnącego do wrót palisady. Odważna dziewczyna zeszła szybko z drabiny, wpadła do mieszkania, zdjęła jeszcze jedną strzelbę ze ściany i pośpieszyła otworzyć furtkę, do której Tobiasz dobijał się gwałtownie.

— Indyanie włóczą się w pobliżu osady — rzekła, podając strzelbę staremu słudze — pilnuj tu na podwórzu, a ja znowu na dach wybiegnę obaczyć, czy bracia nie wracają.

Wymówiwszy te słowa urywanym głosem, Ella z szybkością strzały pomknęła na strażnicę. Z trwogą niewypowiedzianą usiłowała wzrokiem przebiec ciemności i dojrzeć w oddaleniu jakiś ślad braci. Serce jej uderzyło gwałtownie, gdy w rzeczy samej ujrzała wkrótce zbliżające się postacie.

— O Boże, to oni! — szepnęła i cisnęła ręką bijące serce — ale tuż za nimi gonią Indyanie —

jest ich dwóch, trzech, ach! cała gromada dzikich pędzi za biednymi chłopcami. O Boże, wielki Boże!

Trudno było przypuścić, ażeby malcy zdolali umknąć przed pogonią Indyan. Ella musiała patrzeć beczynn timer na to straszliwe widowisko: chociaż broń nabitą trzymała w ręku, nie śmiała strzelać, gdyż z takiej odległości łatwo mogła chybić celu i którego z braci trafić. Trzymała jednak broń w pogotowiu przyłożoną do skroni i rozpaczliwym głosem wołała dla dodania chłopcom odwagi:

— Benie, Diku, pośpieszajcie!

Znowu upłynęło parę chwil okropnego oczekiwania.

— Dziej się wola Boża, nie wytrzymam! O Panie, kieruj moją ręką! — i wzięła na cel jednego z goniących Indyan; mierzyła z nadzwyczajną uwagą, od tego strzału zależało tak wiele! Nacisnęła kurek, Indyanin runął na ziemię, inni się zatrzymali, popłoch wśród nich powstał, lecz jednocześnie w oddaleniu ozwały się dzikie okrzyki: nowe tłumy biegły goniącym na pomoc.

— Tobiaszu, Tobiaszu! — wołała Ella w trwodzie śmiertelnej, lecz stary sługa, usłyszawszy wystrzał, sam już wbiegł po drabinie i stał na dachu. Dziewczę wyrwało mu strzelbę z ręki, wołając:

— Biegnij do furtki, otwieraj!

Ben i Dik tymczasem znacznie wyprzedzili swych prześladowców, byli już o kilkanaście kroków od palisady. Ella strzeliła po raz drugi i znowu padł Indyanin, a reszta powstrzymała się w biegu. Nareszcie furtka skrzypnęła, dziewczyna z niewysłowio-

nem uczuciem radości złożyła ręce i oczy wzniosła do nieba.

— Uratowani! — szepnęła — o, dzięki ci, Boże.

Zapomniała zupełnie w tej chwili, że i teraz jeszcze najokropniejsze niebezpieczeństwo groziło osadzie i jej mieszkańcom. Zbiegłszy na podwórze, ujrzała przed sobą obu chłopaków. Byli zdyszani, bez tchu prawie; Dik zaledwie na nogach mógł się utrzymać i padł na pół omdlały w objęcia siostry, która i jego i Bena tkliwie przyciskała do serca. Chłopcy w krótkich słowach opowiedzieli swoje przygody. Tobiasz zapłakał zrazu, potem zębami zgrzytał ze złości, dowiedziawszy się o nieszczęściu Jerzego.

Gwałtowne szczekanie psów ostrzegło rozmawiających, że trzeba myśleć o obronie. Tobiasz wziął teraz dowództwo na siebie. Wyniesiono na dziedziniec wszystką broń, znajdującą się w domu i ponabijano na nowo dwie strzelby z których Ella strzelała. Tobiasz rozdzielił siły wojenne w taki sposób, że w każdym rogu podwórza położył parę strzelb, — sam stanął w jednym, w innym ustawił młodą dziewczynę i dwóch chłopców.

— Te lotry czerwone będą tu ze wszystkich stron pewno podchodzili — rzekł stary sługa — i wszędzie ich kule powitają. Pamiętajcie tylko chłopaki, strzelajcie śmiało i mierzcie zawsze w najgęstszą kupę. Panienka da sobie radę.

— Bądź spokojny Tobiaszu, i o nas — mówili chłopcy, którzy prędko ochłonęli z przerażenia i pośpieszyli na miejsca, wyznaczone im przez Tobiasza.

Ale godzina mijała po godzinie, a o napastnikach nie było ani słyhu. Już świtać poczynało, zo-

rza poranna różowym blaskiem oblewała obłoki na wschodzie, gwiazdy bladły coraz więcej na szafirowym sklepieniu, tarcza księżyca pobieliała, a na samym krańcu widnokregu rysowała się smuga purpurowa, zapowiadająca ukazanie się słońca. Mieszkańcy malej twierdzy zebrali się na wspólną naradę.

— Sądzę, że niebezpieczeństwo już minęło — odezwał się Ben — Ella dzielnie powitała tych łotrów, to ich musiało odstręczyć od dalszej napaści.

— Dalby Bóg, żeby tak było — westchnął Tobiasz.

— Czy wątpisz o tem.

— Najzupełniej.

— Dlaczego?

— Bo znam dobrze zwyczaje czerwonoskórych. Nigdy oni nie zniechęcają się tak łatwo po pierwszym niepowodzeniu i nie zrzekają się upatrzonej zdobyczy. — Ale dlaczegożby w takim razie odkładali napad?

— Musieli wprzód zebrać radę wojenną i obmyślać najlepsze środki pokonania nas, bez narażenia siebie na niebezpieczeństwo.

— Mnie się zdaje, że Tobiasz ma słuszość — odezwała się milcząca dotąd Ella.

— Żebyśmy przynajmniej mogli odgadnąć, jaki szatański sposób wynajdą ci niegodziwcy, aby nas zgłębić — rzekł Tobiasz.

— Przedewszystkiem musimy czuwać i nie zaniedbać żadnych środków ostrożności — mówiła Ella.

— Dobrze mówisz — rzekł Ben — ostrożność nie zawadzi, a jak obaczą, że ich wyglądamy, to z pewnością nie przyjdą.

— Niech przyjdą, i owszem! — wołał Dik — pożałują tego, jak ich ze wszystkich czterech rogów dziedzińca przywitamy kulkami. Oj, dałbym ja im dobrze!

— A ja! — dodał Ben — żalby mi było naprawdę, żebym stracił sposobność rozprawienia się jak należy z tą hołotą o czerwonej skórze.

— Nie taka to rzecz pożądana, jak się zdaje — mruknął stary Tobiasz.

— Ben dobrze mówi — wykrzyknął Dik z kolei — szkoda byłoby sposobności, radbym bardzo pokazać, że i ja nie jestem tchórzem.

— Dajcie pokój przechwałkom, chłopcy — napolinała siostra — a i zawiści nie należy żywić w sercu, takie uczucia obrażają Boga.

— Alboż nie mamy im za co odplacić? — ozwał się Dik — czy mało nam strachu napędzili wczoraj.

— A biednego Jerzego zamordowali już może — dodał Ben.

— »Mnie zostaw zemstę«, mówi Pan. — rzekła poważnie siostra — przykro mi bardzo słyszeć was mówiących w taki sposób. Czyż nie dość, że musimy krew bliźnich wylewać dla obrony własnego życia, mamyż jeszcze z okrucieństwem nieludzkiem pragnąć do tego sposobności?

— Krew bliźnich — powtórzył Ben pogardliwie — wszak tu idzie tylko o Indian.

— Indianie są także ludźmi.

— Tak, zapewne, ale to są ludzie zupełnie odrębnego rodzaju.

— Masz słusność, są ciemni, nieoświeceni, jak

wszystkie ludy dzikie. A jednak i w ich duszach tkwią dobre zarody, obok wad mają także niejedną cnotę. Zresztą, czy to ich wina, że są takimi?

— Ciebie trudno przekonać, masz swoje wyobrażenia — odrzekł Ben niechętnie — ja jednak zawsze twierdzić będę, że Indianie, murzyni i inna hołota podobna, to nie są ludzie tacy sami, jak my. Mów ty sobie co chcesz, ja stoję przy swoim.

— O, co za straszne zaślepienie! — westchnęła Ella.

— Powiedzże mi na przykład — zagadnął ją Dik z kolei — co my zawiniliśmy tym hultajom czerwonoskórym, że nas prześladują, knują przeciw nam spiski i grożą zniszczeniem i zgubą?

— Nie sądź, ażebyśmy byli zupełnie bez winy.

— A to coś nowego! — zawołał Ben zdziwiony — wytłómacz się, co chcesz przez to powiedzieć?

— I ja także ciekawy jestem niezmiernie — dodał Dik.

— Do kogo należy ten grunt, na którym ojciec nasz osadę założył? — spytała Ella.

— Śmieszne pytanie! — wykrzyknęli obaj bracia jednogłośnie — do ojca i do nas, do kogożby miał należeć?

— Jakimże sposobem nabyliśmy tę ziemię, która nas żywi, komu zapłaciliśmy za drzewo, z któregośmy pobudowali mieszkanie nasze?

— Niedorzeczne pytanie! — zaśmiał się Dik.

— Nie potrzebowaliśmy tego wszystkiego nabywać — rzekł Ben — ani płacić komukolwiek. Za-

staliśmy grunta nieuprawne, las nieużytkowany, zabraliśmy to dla własnej korzyści i koniec.

— Któż nam dał prawo do tego?

— Nie potrzebowaliśmy pytać o to.

— W każdym razie nie pytaliśmy wcale, czy kto inny przed nami nie miał praw wcześniejszych do posiadania tej ziemi.

— Że nie pytaliśmy, to prawda — rzekł Dik.

— Bo ich nikt nie miał, tych praw — dodał

Ben — więc pocóż było się o to troszczyć?

— Otóż w tem mylisz się bardzo — mówiła

Ella — ponieważ prawa te wcześniejsze mieli właściwie krajowcy tutejsi, Indyanie.

— Co ty mówisz?

— Mówię prawdę, nie innego.

— Żartujesz chyba, siostrzo!

— Wcale nie, nie mam ochoty do żartów.

— Wytlómaczże nam to jaśniej, siostrzyczko.

— Posłuchajcie. Indyanie od czasów niepamiętnych zamieszkiwali ziemię amerykańską. Jeszcze na niej nie powstała stopa białego człowieka, gdy oni ją mieli w posiadaniu i wówczas nikt im praw tych nie zaprzeczał, polowali swobodnie po lasach i stepach, rozkładali wszędzie koczowiska swoje. Tak i tu było w tej puszczy, pókiśmy nie przybyli i o nie nie pytając, najlepszych gruntów nie zagarnęli dla siebie. Strzelaliśmy zwierzyne, rąbaliśmy las, gospodarowaliśmy jednym słowem, jakby na swoim. A toż samo, co my, czynią inni; setki, tysiące ludzi najeżdżają ziemię Indyan, przywłaszczają ją sobie, rugując z niej dawniejszych prawych właścicieli. Ten grunt coraz więcej z pod nóg im się usuwa, muszą

się cofać coraz dalej przed najazdem, a przestrzenie, na których jeszcze swobodnie polować mogą, zmniejszają się ustawicznie. Możnaż im brać za złe, że stają w obronie praw swoich i opierać się usiłują napastnikom? Lecz nie dość na tem: osadnicy biali, wyrugowawszy krajowców z własnej ziemi, jeszcze w najokrutniejszy sposób ich tępią. Cóż dziwnego, że ludzie dzicy, słuchając tylko popędów swej zemsty, ścigają białych wszędzie, gdzie ich napotkają i za krzywdy swe długoletnie prześladowają? Czyż nie pojmujecie teraz, że i my tę osadę przywłaszczyliśmy sobie bezprawnie?

— Rzeczywiście, zaprzeczyć temu trudno — mruknął Ben.

— A jednak pomyśl tylko, gdyby inni biali ludzie tu przybyli, usiłowali nas stąd wypędzić, ażeby osadę zabrać dla siebie. Cobyście na to powiedzieli?

— Na to przecież nie moglibyśmy nigdy zezwolić — wykrzyknęli chłopcy jednogłośnie — ależ to całkiem co innego.

— Różnica niewielka — mówiła Ella — moglibyśmy tylko powiedzieć, że prawa nasze do tego kawałka ziemi są dawniejsze, nie więcej.

— Z tobą nikt nie dojdzie do końca — rzekł wreszcie Ben, bo nie wiedział, co odpowiedzieć.

— Niema co, trzeba zamilknąć — dodał Dik.

— Będzie to zapewne najrozsądniej w okolicznościach obecnych — odezwał się Tobiasz, który przysłuchiwał się w milczeniu, kiwając tylko głową kiedy niekiedy, gdy Ella mówiła.

Rozmowa ta nie przeszkadzała mieszkańcom osady zwracać bacznej uwagi na całe otoczenie.

— Już szarzeje, to u nich pora ulubiona do napadu — szepnął półgłosem Tobiasz sam do siebie i nateżonym wzrokiem spoglądał w stronę lasu, usiłując dopatrzeć wśród ciemności, czy drzewa nie ukrywały jakiej zasadzki.

— Wejdę znowu na dach — rzekła Ella, która dosłyszała słowa starego slugi.

— To w każdym razie nie zawadzi — odparł Tobiasz — ja tymczasem obejść dziedzinię dookoła, — psy znowu zaczynają strasznie ujadać tam nad strumykiem. Wy obaj, chłopcy, stańcie tu przy palisadzie, tylko baczność, pamiętajcie.

— Bądź spokojny — odpowiedział Ben.

— Mamy przecież oczy — potwierdził Dik.

Ella weszła na strażnicę; chociaż nic nie zapowiadało nowego niebezpieczeństwa, trwoga niewysłowiona ścisłała znowu jej serce.

— O, żebyż ojciec tu był z Janem! — westchnęła, wysyłając w dal wzrok tęskny i niespokojny. — O Boże, co to jest? — szepnęła po chwili z przerażeniem najwyższym — słyszę tętent koni, licznych koni, w pełnym galopie; słyszę, jak ziemia głucho huczy i drży pod ich stopami, a jednak nie widzę wśród ciemności. O Boże! ześlij nam przynajmniej dzień biały! O miłosierny Panie, widzę już, widzę, to oni!

I z tym wykrzykiem Ella podskoczyła do drabiny, a z dołu doleciało ją wołanie Tobiasza:

— Panienko, prędzej, prędzej!

— Jada! jada! — powtarzała dziewczyna, zbiegając na podwórze.

— Wiemy już, widzieliśmy ich — wołali obaj chłopcy, trzymając strzelby w pogotowiu.

— Na konie powsiadali, głupcy, tem gorzej dla nich — rzekł Ben.

— Czy tak sądzisz? — ozwał się Tobiasz, potrząsając głową.

— Zapewne, bo łatwiej nam będzie brać ich na cel.

— Nie koniecznie.

— Cóż ty o tem myślisz? powiedz.

— Ja myślę, że w tem tkwi jakiś podstęp szatański — odrzekł Tobiasz.

— Ale jaki?

— Dowiemy się wkrótce. Teraz nie pora rozprawiać, czas nagli, tętent się zbliża, Indianie zaraz tu będą. Baczność, młodzie! Stańcie tu wszyscy. Cała banda bieży razem, to także rzecz niezwykajna. Zobaczymy, co to z tego będzie. Panienko, i wy, chłopaki, bierzcie dobrze na cel, nie strzelajcie na chybił traf, bo kul szkoda, i nie wszyscy razem, tylko po kolei, jak się należy. Najpierw Dik, potem Ben, potem panienka, a ja na samym końcu. Każdy, co strzeli, niech zaraz prędko strzelbę na nowo nabija, aby był gotów, gdy kolej na niego przyjdzie. Pozostałe strzelby będą tu leżały nabite na wszelki wypadek, nie ruszajcie ich, chyba w ostatecznej potrzebie.

Tobiasz wydawał wszystkie te rozporządzenia z nadzwyczajnym pośpiechem; rzeczywiście nie było czasu do stracenia, gdyż konie zbliżały się pędem, w liczbie stu co najmniej.

— To rzecz dziwna, że jeźdźców dojrzeć nie mogę — rzekł Dik stłumionym głosem.

— Ani ja także — ozwał się Ben.

— Boże mój, co to znaczy! — zawołała z przestachem Ella, zwracając się do starego sługi.

— Ba! hultaje umięją tak zręcznie ukryć się za szyją konia, że ich nie widzicie, oto cała rzecz.

— A toż dopiero! — wykrzyknął Dik przerażony — jakże ich teraz brać na cel?

— Widzisz, nie mówiłem, że w tem tkwi podstęp szatański! ale to nie koniec.

— Czy spostrzegłeś coś jeszcze? — spytała Ella.

— Rozumie się.

— O wiem już, wiem co! — wołał Ben — pod brzuchem każdego konia uczepiony jest drugi Indyanin. I co oni sobie myśla?

— Z pewnością nic dobrego dla nas. No, teraz baczność! niezbyt wysoko mierzyć, lepiej konia trafić, niż spudłować. Żwawo, pał, Diku!

Rozległ się strzał, koń zachwiał się i padł na ziemię.

— Dobrze. Teraz Ben i panienka, jedno po drugim.

Dwa strzały padły w krótkich odstępach i znowu dwa konie się potoczyły. Ale Indyanie nie zważali na to, lecz przyskakiwali aż do palisady, wydając dzikie okrzyki. A wtem nagle, niespodzianie, jakby nową jakąś myślą tknięci, zawrócili konie i wszyscy pędem puscili się do lasu; wówczas dopiero Tobiasz strzelił.

— Czyżby to na tem miał być koniec? — rzekł Ben.

— Bynajmniej, to dopiero początek! — wykrzyknął Tobiasz grzmiącym głosem, a chwytając dwie

strzelby nabite do ręki, biegł na środek podwórza — za mną, za mną, wszyscy! Stójcie tu i patrzcie bacznie na palisady. Jak tylko się głowa gdzie pokaże, brać na cel i strzelać! Na teraz nic więcej.

O wielki Boże na niebie, zlituj się nad nami! — żałośnie powtarzała Ella raz po raz.

— Nie rozumiem, co się wam stało obojgu? — spytał Dik.

— Ani ja także — dodał Ben.

— Wszakże Indyanie odjechali — ciągnął dalej Dik.

— Oprócz tych, którzy siedzieli pod brzuchami koni — odpowiedział posępnie Tobiasz, trzymając ciągle strzelbę przy skroni, w czem go i młodzież naśladowała.

— Gdzież oni są? — pytał Ben.

— Pod samemi palisadami.

— To byloby okropne — wykrzyknął Dik.

— To niepodobna — utrzymywał Ben.

— Ja powiem, jakim sposobem się to stało — mówił Tobiasz z wielkim pośpiechem — gdy jeźdźcy zawrócili konie, ci spuścili się na ziemię, z szybkością błyskawicy podpełzli pod palisady jak węże, i teraz tam siedzą. Do nich to ja strzeliłem, lecz za ledwo jednego trafić mogłem, za mało było czasu.

— Ja muszę spojrzeć poza palisady — rzekł Ben.

— Jeżeli chcesz dostać strzałą w oko lub tomahawk¹⁾ po głowie — przestrzegał Tobiasz.

¹⁾ Tomahawk, siekierka wojenna krajowców amerykańskich.

— Czy nie lepiej byłoby schronić się do domu? — spytała Ella.

— Nie jeszcze, w każdym razie dom będzie ostatnią naszą ucieczką. Ha, otóż i oni, na cel dzieci! A bacznie mierzyć!

Strasliwe, ogłuszające wrzaski ozwały się nagle po drugiej stronie palisad. W tej samej chwili na wierzchołku ich, i to jednocześnie ze wszystkich stron, ukazały się liczne twarze miedziane, jaskrawo pomalowane. Cztery strzały padły jeden po drugim w krótkich odstępach i cztery głowy znikły.

— Do domu! — huknął Tobiasz piorunującym głosem, gdyż spostrzegł, że reszta napastników nie dała się odstraszyć i jedni po drugich przelazili ze zręcznością kotów przez palisady, zeskakiwali z nich jednym susem i tak szybko puścili się w pogon za uciekającą gromadką, że dogonili ją, nim zdołała drzwi domu zamknąć za sobą. Z przeraźliwym okrzykiem tryumfu, dzicy wpadli do środka mieszkania.

V.

Orzeł czubaty.

— Zrobiliśmy w każdym razie wyborny interes — mówił Jan Wattson do ojca, wracając z nim nocą do domu, po pożegnaniu z Sercem prawem — i wskazał z uśmiechem na sporą paczkę pięknych skór, otrzymanych za murzyną.

— I ja tak myślę — odrzekł stary Wattson sucho i z dziwnie posepną miną.



— Pozbyliśmy się tego czarnego nieponia, nie tracąc ani grosza — mówił Jan dalej — ale temu panu myśliwcowi można powinszować nabytku. Co on z nim będzie robił?

— To już jego rzecz.

— Prawda i to, że taki myśliwiec będzie miał zawsze czas gonić za hultajem, gdy mu ucieknie, co niezawodnie nastąpi.

— Cóż nas to ma obchodzić?

— Co ci się stało, ojcze, że w takim złym jesteś humorze?

— Czy mało powodów mam do tego?

— Pewnie cię tak zaniepokoiło to, co ten myśliwiec powiedział o Indyanach.

— Alboż niema czem się niepokoić.

— Ręczę, że Serce prawe strasznie przesadził.

— Nie wierz temu; ci ludzie, którzy z upodobaniem narażają się na największe niebezpieczeństwa, nie mają zwyczaju mówić o nich z przesadą.

— Ależ i my także mamy oczy — rzekł Jan, upierając się przy swoim — bylibyśmy przecież wykryli jakieś ślady czerwono-skórych, zwłaszcza gdyby rzeczywiście w większej liczbie wałęsali się w naszych stronach.

— To prawda. Pamiętaj jednak, że my nie mamy tyle przenikliwości i przebiegłości, co taki myśliwiec, nie mówiąc już o Indyanach.

— Oho!

— Bądź pewny, że tak jest. Indyanie niedarmo są postrachem białych osadników; chytrość ich, a zwłaszcza przebiegłość bywa niekiedy zadziwiająca, niepojęta prawie. Sposób życia, jaki prowadzą

od dzieciństwa, zmusza ich do ustawicznego ćwiczenia zmysłów; wszystkie też, a mianowicie wzrok, słuch i węch są u nich rozwinięte do najwyższego stopnia. Od dzikich zwierząt czerpią pod tym względem naukę, a ponieważ mają nad niemi tę wyższość, że rozumem wrodzonym mogą czynności swoje obmyślać i prawdopodobne ich skutki obliczać, dokonywają nieraz czynów istotnie nadzwyczajnych, okazują przenikliwość, która czasem na cudowną wygląda. Wiem to już po trosze i z własnego doświadczenia. Zwłaszcza, gdy chcą ślady swoje utaić przed oczyma poszukujących, biorą się na sposoby niezmiernie dowcipne; a niemniej dowcipnie umieją znów wykryć ślady swych przeciwników. O sto mil by cię dogonili, gdyby tylko potrzebowali cię odszukać. Puszcza nie ma dla nich najmniejszej tajemnicy, czytają w niej, jak w księdze otwartej; nigdy się nie mylą, nigdy nawet nie zawahają się ani na chwilę.

— Ja ich się jednak nie obawiam — rzekł olbrzymi Jan, bijąc się w piersi potężną pięścią.

— Ani ja także; ale tym razem lepiej nam było podobno pilnować domu, aniżeli gonić za tym przeklętym murzynem. Niechby go było лихо porwało.

— Patrz-no, patrz, ojcie — szepnął półgłosem Jan, rad, że może odwrócić uwagę ojca od niemilego przedmiotu rozmowy.

— Co takiego? — spytał tamten równie cicho, biorąc broń do ręki mimowolnym ruchem.

— Nic złego — ciągnął dalej syn — tylko jeleni, ale pyszni, dawno już podobnego nie widziałem.

— Gdzież ty go widzisz?

— Ot tam na polance.

— Prawda, prawdziwy wirginijski! — zawołał Wattson, który bystrym wzrokiem dopatrzył także jelenia, pomimo wzrastających ciemności. Prześliczne to było zwierzę, kasztanowatej maści, z ciemniejszymi smugami na grzbiecie. Wielkością nie przerosił jelenia europejskiego, lecz okazalsze miał kształty, szyję dłuższą, wysmukłą i głowę niezmiernie zgrabną. Jeleń wirginijski przebywa we wszystkich lasach Ameryki północnej, oprócz okolic najbardziej na północ wysuniętych. Mięso jego smaczniejsze jest od wszelkiej innej zwierzyny. Niedziw, że ojciec i syn z upragnieniem gorącym poczęli się skradać do tej wspaniałej zdobyczy.

— Musimy go zejść jednocześnie z dwóch stron — mówił Jakób Wattson do Jana — ty idź za wiatrem, a ja podsunę się ze strony przeciwnej. Ciebie, rozumie się, zwierzy wcześniej i jeśli się nam zasadzka powiedzie, uciekając, puści się prosto na mnie.

— Dobrze — odparł Jan i pomknął ostrożnie we wskazanym kierunku. Jeleń tymczasem nie poruszał się z miejsca i gryzł gęstą, niską trawę, rosnącą na polance. Kiedy niekiedy jednak podnosił głowę i wietrzył, lecz zwracał się w inną zupełnie stronę, wcale nie tam, skąd nadchodzili obaj Wattsonowie. Ci zaś skradali się z wielką ostrożnością, lecz niedaleko jeszcze odeszli jeden od drugiego, gdy nagle się zatrzymali, jakby w niepewności, poczem syn podbiegł na palcach do ojca i szepnął mu do ucha:

— Sam nie wiem, co to jest.

— Ja także nie mogę dobrze rozpoznać.

— Zdaje się, że drugi jeleni mniejszy. Tak ciemno, ani sposobu dojrzeć.

— Coś mi się nie zdaje, żeby to był jeleni.

— Ależ widzę wyraźnie rogi.

— To nic nie znaczy, jelenie po ziemi nie pelzają.

— Możebyśmy podeszli bliżej.

— Podejdziemy, lecz bądź bardzo ostrożny.

— Zapewne, bo obie sztuki mogą nam umknąć.

— Nie to ja mam na myśli.

— A cóż innego?

— Obawiam się, aby skóra i rogi zwierzęcia nie ukrywały czasem człowieka.

— Do pioruna! może to naprawdę Indyanin — i odważny Jan przeląkł się jednak cokolwiek.

— Tak mi się zdaje — rzekł ojciec, a w głosie jego ledwie dosłyszalnym, brzmiała także trwoga. — Indyanie często polują tym sposobem, okrywając się skórą zabitego jelenia i uwiązując sobie rogi jego na głowie. Tak przebrani podsuwają się do zwierzyny, nieraz im się uda zakraść pomiędzy stado jeleni, i nim zwierzęta podstęp dostrzegą, jednego a nawet i kilku zastrzelić z łuku.

— Cóż my pocniemy w takim razie?

— Przekonamy się najpierw, czyśmy się nie omylili. Ale jeśli podejrzenie moje się sprawdzi będzie to dowód najlepszy, że przestrogi myśliwca zasługują na uwagę i w takim razie niema czasu do stracenia, musimy wziąć nogi za pas i jak najspieszniej powracać do domu.

Prowadząc tę rozmowę półgłosem, ojciec i syn zbliżali się powoli i z ostrożnością największą do

miejsca, gdzie pał się duży jeleni wirginijski i wie-trzył ciągle, z pewnym niepokojem spoglądając na drugiego jelenia, który już dość blisko do niego się podsunął.

— Nie, to nie jest jeleni, teraz nie mam najmniejszej wątpliwości — szepnął stary Wattson, zatrzymując się o jakich trzydzięści kroków od dziwnej postaci, naśladującej jelenia.

— I ja to widzę — dodał syn.

— To też nie mamy tu co długo popasać; gdzie jest jeden Indyanin, tam z pewnością znajdzie się ich więcej. Ruszajmy więc coprędzej do domu i niech nas Bóg uchwali od bliższego spotkania z czerwonymi skórami.

— Chciałbym jednak obaczyć — rzekł Jan — czy Indyanin upoluje jelenia.

— To się rozstrzygnie za chwilę, jeśli sobie życzysz, poczekamy jeszcze trochę.

I w samej rzeczy po chwili jeleni podskoczył na miejscu, jak szalony.

— Indyanin musiał strzelić — szepnął Jan.

— I trafił — odrzekł ojciec.

— Oho! patrz, ojcie, zwierzę się odwraca i bie-gnie prosto na nas.

— O! to nam wcale nie na rękę, chowajmy się coprędzej.

— A gdybym ja teraz zastrzelił jelenia?

— Niech cię Bóg broni! uciekaj za mną.

W pobliżu polanki wznosiło się kilka skał, zbli-żonych do siebie, w odstępach pomiędzy niemi mo-żna było ukryć się wybornie; tam też szybkimi kro-kami pobiegli ojciec z synem. Zraniony jeleni zwró-

cil się także w tę stronę i z chwiejnej jego postawy łatwo było poznać, że był ugodzony śmiertelnie. Potykał się co chwila, szedł coraz wolniej, wreszcie niedaleko kryjówki Wattsonów osunął się na kolana, podniósł się znówu, postąpił kilka kroków i resztę sił utraciwszy, padł martwy na ziemię o parę kroków zaledwie od skał.

Dwaj osadnicy przytulili się do zagłębienia skały; sami nieruchomi, jak glazy, oddech powstrzymując w piersiach, patrzyli wzrokiem wyteżonym w stronę, z której śpiesznym krokiem zbliżała się wysoka postać ludzka. Widzieli ją coraz wyraźniej, najmniejszej wątpliwości nie mieli, że to był Indyanin. Nie zdjął on z siebie skóry jeleniej, — duże rogi sterczały mu i teraz na głowie, — lecz przy świetle księżyca łatwo było dojrzeć twarzy miedzianej.

Przygluszony okrzyk: «hug!» wyrwał się z piersi Indyanina, gdy stanął obok zabitego jelenia. Pochylił się nad nim i wprawna ręką obracał zwierzynę swoją na wszystkie strony, oceniając jej wartość. Wkrótce jednak uwaga jego zwróciła się widocznie na inny jakiś przedmiot, gdyż zaczął szperać po ziemi, jakby szukał czegoś w trawie; powtórnie, lecz ciszej jeszcze wymówił «hug!», potem wyjął nóż z kieszeni i najspokojniejszy na pozór zaczął skórę z jelenia zdejmować.

— Ten hultaj odkrył nasze ślady — szepnął stary Wattson do ucha synowi.

— Chyba na swoje nieszczęście — odrzekł tamten równie cicho.

— A jednak wolalbym go nie zaczepiać.

— Jabym mu zaraz palnął kulę w łeb.

— Ani się waż!

— Dlaczegoż to, ojcze?

— Bo cała banda tych lotrów czerwonych musi być gdzieś w pobliżu.

— To prawda. Ale jeżeli już raz odkrył nasze ślady i wypuścimy go cało, da znać swoim towarzyszom, a wtedy będziemy ich wszystkich mieli na karku. Czy tak czy tak, nie unikniemy niebezpieczeństwa.

— Trzebaby znaleźć jakiś sposób, aby go nie-szkodliwym uczynić.

— Spuść się na mnie, ojcze.

— Cóż ty chcesz zrobić?

— Indyanin jest tak blisko, że w mgnieniu oka mogę go dosięgnąć, rzucić się na niego, no... reszta już łatwo pójdzie.

— Nie chciałbym daremnie krwi rozlewać.

— Niema zresztą potrzeby go na śmierć udusić. Możemy tylko związać mocno hultaja i usta mu zakneblować. Nim go towarzysze odnajdą, my już będziemy w domu.

— To niezły pomysł; nie zwlekajmyż więc i żwawo bierzmy się do dzieła.

Obaj złożyli ostrożnie strzelby u stóp skały. Jan, jako młodszy i zwinniejszy, miał pierwszy rzucić się na Indyanina, a ojciec pośpieszyć mu niezwłocznie z pomocą.

— Najważniejsza rzecz, żeby nie miał czasu krzyknąć, nim się z nim załatwimy — mówił stary Wattson.

— Bądź spokojny, ojcze — szepnął Jan i przypadłszy do ziemi, zaczął pełzać, jak wąż, po trawie, usiłując zająć Indyanina od tyłu. Ten zdawał się cał-

kowicie pogrążony w swej robocie i najlżejszym ruchem nie zdradzał, aby cośkolwiek innego obchodzić go mogło w tej chwili.

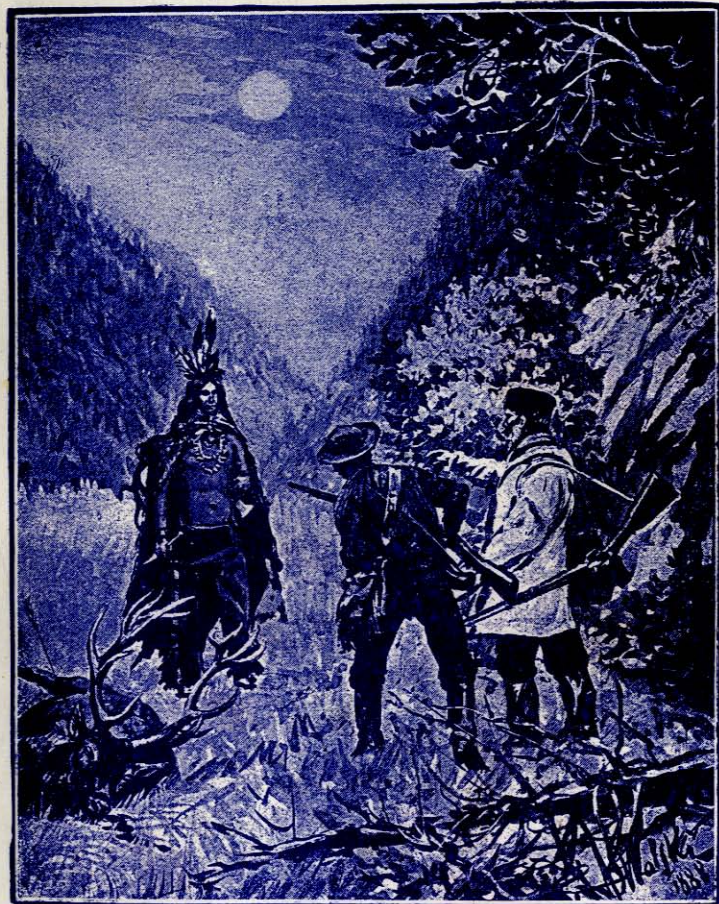
Lecz był to pozór tylko. W rzeczywistości wychowaniec puszczy śledził czujnie najlżejszy szelest; ani cicha rozmowa obu osadników w kryjówce, ani poruszenia Jana w trawie nie uszły jego uwagi. Wiedział on doskonale, że kule białych ludzi dosięgną go z łatwością, gdyby próbował umknąć i dlatego się nie poruszał z miejsca. Indianie nigdy w takim razie nie ratują się ucieczką.

Jan był już blizkim celu, gdy dziki zerwał się nagle na równe nogi, zrzucając z siebie jednocześnie skórę i rogi jelenie. Syn osadnika ujrzał przed sobą młodzieńca swojego wieku, wysokiego wzrostu, o kształtach wysmukłych, lecz silnych zarazem; twarz jego nie miała w sobie nic wstrętnego, i patrząc na białego człowieka wzrokiem przenikliwym, badawczym, stał nieruchomy, trzymając nóż skrwawiony w rękę. Tymczasem stary Wattson ukazał się obok syna i podnosząc broń, zawołał dobitnie:

— Jeżeli tylko krzykniesz, czerwonoskóry, w tej chwili kulą w leb dostaniesz.

— Orzeł czubaty nie ma potrzeby krzyzczeć — odrzekł Indianin spokojnym, dźwięcznym głosem — a ojciec mój może ten piorun na inny wypadek zachować, bo Orzeł czubaty ani myśli wstępować na ścieżkę wojenną i chce żyć w zgodzie z białymi swoimi braćmi.

— Jeśli Orzeł czubaty szczerze mówi, to i ja także nie mam najmniejszej ochoty krwi rozlewać —



odrzekł osadnik, mierząc podejrzliwym wzrokiem Indyanina.

— Orzel czubaty nie ma podwójnego języka — mówił tamten, ocierając nóż i za pas go wkładając — nie jest też wcale Pawnisem, tylko Osagiem, a Osagowie żyją w przyjaźni z białymi.

— Nie jesteś Pawnisem? — powtórzył Wattson przyjemnie zdziwiony, gdyż plemię Pawnisów najgorszej używało sławy, a myśliwiec przed ich napaścią właśnie go przestrzegał.

— Orzel czubaty jest Osagiem i wstydziłby się być Pawnisem — powolnym głosem mówił Indyanin.

— Więc Orzel czubaty tak nie lubi Pawnisów? — spytał osadnik.

— Pawnisy są psy — rzekł tamten krótko, a z oczu jego błyskawice strzeliły.

— Czy Orzel czubaty nie napotykał tu gdzie Pawnisów?

— Tu nie. Ale włóczę się niezbyt daleko w tej stronie, skąd słońce wschodzi.

Wattson pobrał. W kierunku, wskazanym przez Indyanina, leżała właśnie jego osada.

— Czy to tylko prawda? — wymówił drżącymi ustami.

— Orzel czubaty wie, co mówi, nie jest gadatliwą kobietą.

— Czy włóczę się w znacznej liczbie w tamtej okolicy?

— Szerokie i liczne ścieżki wydeptują w lesie.

— Orzel czubaty nie wie, w jakim celu przybyli w te strony?

— Wybrali się na żubry i na ludzi białych.

— Skądże Orzel czubaty ma tę wiadomość?

— Z własnych ust Pawnisów to słyszał; oni już od dawna zbierali się wykurzyć białych ze swoich gruntów myśliwskich.

— Widać stąd jednak, że Orzel czubaty utrzymuje stosunki z Pawnisami.

— Ojciec mój zawsze jeszcze ma złe myśli, ale Orzel czubaty nie ukrywa fałszu w swem sercu, niech ojciec mój temu wierzy. Pawnisy są nieprzyjaciółmi Osagów, a Orzel czubaty nie wdaje się z nimi w rozmowę, tylko ich podsłuchal.

— Czy Orzel czubaty i teraz jest w wojnie z Pawnisami?

— I teraz, i zawsze. W tej chwili jednak Orzel czubaty nie prowadzi wojowników swoich na ścieżkę wojenną.

— Orzel czubaty jest zapewne wodzem?

— Ojciec mój prawdę powiedział.

— Iluż wojowników ma Orzel obecnie pod swoimi rozkazami w tych stronach?

— Tylko tylu, ile mój ojciec ma palców u obu rąk.

— Jakto, dziesięciu, nie więcej?

— Ojciec mój jeszcze mi nie ufa.

— Rzeczywiście, sam nie wiem.

— Orzel czubaty radby jednak bardzo przekonać swego białego ojca i młodego brata, że nie jest podstępny jak wąż. Wódz Osagów najchętniej nawet zawarłby przymierze z nimi.

Indyanin wyrzekł te słowa z taką prostotą i szczerością, że podejrzenia osadnika znikły; był tylko zdziwiony i zapytał:

— Jakież powody ma Orzel czubaty do tego, by z nami zawrzeć przymierze?

— Orzel ma do tego dwa powody.

— Niechże syn mój mówi szczerze — rzekł osadnik, naśladując sposób mówienia Indyanina.

— Najpierw — odpowiedział tamten — Orzel czubaty nie ma żadnej niechęci do ludzi białych, przeciwnie...

— To szczególne! Orzel wcale jest w tem niepodobny do reszty braci swoich czerwonoskórych.

— Bo też oni czasem i nie bez przyczyny nienawidzą białych, — ojciec mój i sam to wiedzieć musi.

— A z jakiej-że przyczyny Orzel czubaty ma życzliwość dla białych ludzi?

— Bo jeden biały uczynił mu dużo dobrego i jest najserdeczniejszym jego przyjacielem. Przez wzgląd na tego jednego, Orzel czubaty życzliwym jest dla wszystkich białych.

— Któż to taki?

— Ojciec mój nie zna go zapewne, nazywa się Serce prawe, — jest wielkim, sławnym myśliwcem.

— Dziś właśnie się z nim poznałem, chociaż imię to od dawna nie było mi obce. Niema jeszcze godzinę, jakeśmy się rozstali.

— Hug! — wykrzyknął Indyanin radośnie.

— Czy wódz Osagów radby się widzieć z Sercem prawem?

— Orzel czubaty umyślnie przyszedł w te strony, aby się spotkać z wielkim myśliwcem. On tu zazwyczaj łowi bobry, Orzel wie o tem, i odbył daleką drogę, bo ma o ważnych sprawach pomówić z Sercem prawem, a potem zaraz powracać musi do swoich.

— Wódz Osagów wspomniał przed chwilą, że ten myśliwiec wyświadczył mu wiele dobrego. Może to ciekawość niewłaściwa, lecz radbym bardzo wiedzieć...

— Orzeł czubaty najchętniej ciekawość białego ojca swego zaspokoi — odezwał się Indyanin z żywością. — Serce prawe wzięty był do niewoli przez Osagów, gdy liczył szesnaście wiosen za ledwie, Osagowie napotkali go wśród lasu, wędrującego sam jeden z bronią w rękę, jakby myśliwiec dorosły i doświadczony. Nie łatwo było pochwycić chłopca, gdyż schronił się do kryjówki urządzonej naksztalt twierdzy, gdzie zapamiętałe się bronil. Okazał on wówczas odwagę jaguara i przebiegłość lisa. Ani jeden muskuł jego twarzy nie drgnął, gdy go prowadzono na śmierć i do pała uwiązano. To męstwo w tak młodym wieku wzruszyło serce Osagów. Wodzem był natenczas ojciec Orła czubatego, który przystąpił do młodzieńca i rzekł: że Osagowie darują mu życie, jeżeli zostanie odtąd sprzymierzeńcem ich i przyjacielem. Serce prawe przystał na to chętnie i odtąd przebywał pośród plemienia Osagów i nigdy zaufania ich nie zawiodł; myśliwiec biały jest odtąd najserdeczniejszym przyjacielem czerwonych swych braci. Orzeł czubaty był chłopczykiem trzynastoletnim, gdy Serce prawe zbratał się z Osagami. Obaj pokochali się wzajemnie, jakby dzieci jednego ojca. Razem polowali, razem odbywali wycieczki, Serce prawe opiekował się młodszym bratem i nieraz uratował mu życie z narażeniem własnego. Orzeł czubaty umie być wdzięcznym, i chętnie także oddałby życie za myśliwca białego.

— Czemuż więc Serce prawe opuścił teraz Osagów?

— On lubi samotność, — cięży na nim wielki jakiś smutek. Osagowie strzedz go nie potrzebują, gdyż pewni są, że wszędzie i zawsze zachowa dla nich też same uczucia przyjaźni; do zdrady jest niezdolny, dlatego też nosi to imię: Serce prawe.

— Cóż to za smutek gnębi tak młodego myśliwca?

— Orzeł czubaty nie wie tego i nikt tego nie wie. Serce prawe umie milczeć jak grób. Pytania sprawiają mu przykrość i nikt też nigdy nie nalegał na niego, aby tę tajemnicę wydobyć z jego duszy, chociaż wszyscy wiedzą, że go trapi ciężkie zmartwienie.

— Szczególna rzecz.

— Tak, bardzo szczególna.

— Ale Orzeł czubaty powiedział, że ma podwójny powód sprzyjania nam — rzekł Wattson.

— Tak, w rzeczy samej.

— Jakiż jest drugi powód?

— Wódz Osagów lubi odwdzińczyć każdemu wyświadczone dobrodziejstwo.

— Ależ wódz Osagów nie ma żadnych obowiązków wdzięczności dla mnie i dla mego syna.

— Ojciec mój i młody brat postąpili szlachetnie, Orzeł czubaty cenić to umie.

— Nie pojmuję wcale.

— Ojciec mój i brat nie są spragnieni krwi czerwonoskórych, jak inni ludzie biali.

— Skądże wódz Osagów wie o tem?

— Wszak mają obaj broń piorunową i mogli ze swej kryjówki zastrzelić Orła czubatego, jak psa.

— To czysta prawda, mogliśmy to uczynić — rzekł stary Wattson.

— Nie strzelaliśmy jednak dlatego... — odezwał się Jan i urwał nagle.

— Orzeł czubaty nie potrzebuje wiedzieć, dlaczego się to stało — odrzekł żywo Indyanin — dosyć dla niego, że młode jego życie ocalało i że to winien ojcu swemu i bratu. Orzeł czubaty pragnąłby się odwdziżyć; czy ojciec mój w tej chwili nie potrzebuje pomocy?

Osadnik, znający dobrze chytrłość i przebiegłość Indyan, wahał się jeszcze, gdyż trudno mu było w te zapewnienia przyjaźni uwierzyć.

— Gdzież są owi wojownicy, których wódz Osagów przyprowadził z sobą? — spytał po chwili milczenia, a w głosie jego nieufność brzmiała tak wyraźnie, że młody Indyanin poznał to od razu.

— Ojciec mój jeszcze nie wierzy wodzowi — rzekł z odcieniem smutku.

— Wódz nie odpowiada na pytanie moje — mówił osadnik nieprzekonany.

— Wojownicy Orła czubatego ukryci są w tych skalach, w tem samym miejscu, z którego ojciec mój i brat wyszli przed chwilą.

— Czyż to podobna — wykrzyknął Jan ze zdumieniem.

— Tak jest — rzekł Indyanin spokojnie — Osagowie nie czynią nigdy niepotrzebnego hałasu. Wojownicy Orła byli w pobliżu i nieznacznie zaczęli się za skalami, podczas gdy wódz rozmawiał z ojcem swoim i bratem.

— Nie, ja w to uwierzyć nie mogę! — zawołał Jan i chciał biec do skał, aby się przekonać o tem naocznie. W tej chwili z ust Indyanina wyszedł

dźwięk, naśladujący doskonale świerszcza. Z szybkością błyskawicy wypadły z za skał ciemne postacie i okrażyły wodza dokola: dziesięciu rostrych, silnych wojowników stanęło przy jego boku. Obaj Wattsonowie z przerażeniem pochwycili broń do ręki.

— Ojciec mój i brat mogą być spokojni — odezwał się wódz tym samym serdecznym tonem — ci wojownicy byliby mogli na znak Orła czubatego przeżyć ich serca w jednej chwili swemi strzałami, nie dając im czasu piorunów w strzelbach zbudzić.

— To prawda — rzekł stary Wattson.

— Wodzu, jesteś rzeczywiście zacny i szlachetny! — zawołał Jan, przystępując do Indyanina i podając mu rękę.

— Życie nasze było w twojej mocy — mówił ojciec, idąc za przykładem syna.

— Tak samo i życie Orła czubatego było w mocy białego ojca jego i brata — odpowiedział krótko Indyanin.

— A więc skwitowaliśmy się — rzekł stary Wattson.

— Co ojciec mój powiedział?

— Powiedziałem, żeśmy już sobie odplacili nawzajem i nie mamy obowiązków wdzięczności jedni dla drugich.

— Ojciec mój bardzo się myli.

— Jakto?

— Ojciec mój i brat pierwsi okazali wspaniałość, a Orzeł czubaty naśladował ich tylko; ale nie, inaczej było: wódz Osagów chciał dowiedzieć, że język jego nie jest rozdwojony, a serce nie ma fałszu w sobie. Czy teraz ojciec i brat ufają mu już zupełnie?

— Najzupełniej — odrzekli obaj osadnicy.

— Muszę ci się przyznać otwarcie, wodzu — dodał Jan, który nie umiał jeszcze tak dobrze, jak ojciec, naśladować sposobu mówienia Indyan — że zadziwiasz mnie swoim postępowaniem. Niewiele dobrego słyszałem dotąd o Indyanach i nie przypuszczałem, żeby mogli się znaleźć pomiędzy nimi ludzie tak szlachetnie myślący. Jeżeli dbasz cokolwiek o moją przyjaźń, ofiaruję ci ją z całego serca.

— Brat mój znajdzie przyjaźń wzajemną w sercu Orla czubatego — odrzekł Indyanin z uśmiechem, a potem dodał, zwracając się razem do ojca i syna — wódz Osagów pyta raz jeszcze: czy ojciec i brat jego nie potrzebują w tej chwili pomocy?

— Jaby miał prośbę do Orla czubatego — odpowiedział stary Wattson.

— Niech ojciec mój mówi z całem zaufaniem.

— Mam osadę niezbyt stąd daleko, w pięknej dolinie nad rzeką, wpadającą do Arkansasu.

— W której stronie? — spytał Indyanin — może tam? — i wskazał w stronę wschodu.

— Tam właśnie. Czyżby wódz znalazł osadę moją?

— Orzel czubaty był w pobliżu tej osady.

— Jak dawno?

— Przed kilku dniami, właśnie idąc tu na spotkanie Serca Prawego.

— Czemuż to twarz mego syna nagle pochmurną się stała? — zapytał Wattson zaniepokojony, gdyż młody Indyanin namarszczył czoło i zamyślił się pośpiesznie.

— Pawnisowie włóczą się w tej okolicy — od-

rzekł po chwili milczenia — mój ojciec zostawił tam dzieci same, Orzel czubaty obawia się o nie.

— Skądże wódz Osagów wie o moich dzieciach? — ozwał się osadnik zdziwiony.

— Dwóch chłopaków i młoda dziewczyna, nieprawdaż? — mówił dalej Indyanin.

— Ależ tak, w rzeczy samej, czy Orzel czubaty ich widział?

— Orzel czubaty widział na łące, gdzie bydło się pasło, obu chłopców z młodym murzynem. Potem nadeszła córka mego ojca, niosła jedzenie dla dwóch robotników, pracujących w polu. Ojciec mój pysznić się może taką córką, piękna jest, jak kwiat na łące; oczy Orla czubatego oderwać się nie mogły od jej postaci, i obraz białej dziewczyny wyrył się głęboko w jego sercu.

Umilkł Indyanin i znowu się zamyślił na chwilę, wreszcie podniósł głowę i żywo zapytał:

— Jaką drogą ojciec mój chce powracać do domu?

Osadnik wskazał mu, w którym kierunku iść zamierzali.

— To najgorzej — mówił wódz, kręcąc głową — ojciec mój i brat wpadliby bardzo prędko w ręce tych psów Pawnisów i byliby zgubieni.

— A więc cóż mamy czynić? — pytał Wattson przerażony.

— Orzel czubaty sam poprowadzi ojca swego i wskaże mu drogę bezpieczną.

— Takiej usługi nie zapomnialbym do śmierci! — zawołał osadnik z uniesieniem.

— Wódz Osagów odprowadziłby chętnie ojca

swego i brata aż do samej osady, ale teraz nie ma czasu, musi śpieszyć do przyjaciela, a potem u siebie w domu ważne ma sprawy.

— Wielka szkoda! Bylibyśmy szczerze radzi wodzowi Osagów w naszym mieszkaniu.

— A piękna córka mego ojca, czy także byłaby mu rada? — spytał nieśmiało Indyanin.

— Czemuż nie? Wszyscybyśmy Orla czubatego przyjmowali, jak najmilszego gościa.

— Szkoda — szepnął Indyanin z westchnieniem — a jednak nie mogę żadnym sposobem. Ale chodźmy już, nie ma czasu do stracenia.

Jeden z Osagów przez ten czas zajęty był sporządzeniem zabitego jelenia; oczyściwszy skórę, odciał najlepsze części mięsa, jedno i drugie wziął na plecy i na znak wodza ruszył za nim wraz z innymi wojownikami. Orzeł czubaty szedł naprzód, wskazując drogę, a obrał kierunek wprost prawie przeciwny temu, który dwaj osadnicy za najdogodniejszy uważali.

VI.

Smutny powrót.

Pochód gromadki wędrowców trwał bez przerwy do samej północy. Orzeł czubaty i jego towarzysze nie okazywali żadnego znużenia, lecz obaj Wattsonowie, którzy już dnia poprzedniego kawał drogi odbyli z niezwykle pośpiechem, widocznie upadali na siłach.

— Możeby ojciec mój i brat wypoczęli nieco? — pytał troskliwie wódz Osagów.

— Już nóg nie czuję, to prawda — westchnął stary osadnik — ale trzeba śpieszyć, Orzeł czubaty sam to najlepiej rozumie.

— Kiedyż my się dostaniemy do domu? — mruknął Jan z niezadowoleniem — zdaje mi się, że musimy grubo nakładać drogi.

— Brat mój zobaczy dom swój, gdy słońce podniesie się na niebie ponad niższe drzewa.

— Nie prędzej? Na miłość Boską!

— Nałożyliśmy znacznie drogi, to prawda.

— Czyż to koniecznie było potrzebne?

— Mój brat może być tego pewny. Gorzej byłoby, gdyby brat mój wpadł w ręce Pawnisów, bo wówczas nie dostalby się nigdy do domu.

— Może to i słuszna uwaga.

— Niezawodnie. A czy ojciec mój i brat znają tę okolicę? czy byli tu już kiedy i trafiliby stąd sami do swojej osady?

— Nie, zdaje mi się — odrzekł stary Wattson — nie mam wyobrażenia, w której stronie puszczy znajdujemy się obecnie i zabłądziłbym z łatwością.

— Ja odprowadzę mego ojca aż do takiego miejsca, które mu już dobrze będzie znane.

Poszli dalej w milczeniu i znowu postępowali bez odpoczynku przez parę godzin. Chociaż księżyc świecił, w lesie pomiędzy drzewami prawie zupełne ciemności zalegały, nie łatwe więc było zadanie w takich warunkach kierować się wśród puszczy. A jednak wódz Osagów ani razu się nie zawahał, nie okazał najmniejszej niepewności. Czasem tylko wzrok badawczy podnosił do gwiazd, lub wprawna ręką do-

tykał kory drzew, rozpoznając na niej różne znaki, niewidzialne w nocy.

— Ojciec mój dalej iść nie może, musi koniecznie zatrzymać się choć na godzinę — powiedział Orzel czubaty, nie uszło bowiem jego uwagi, że Wattson ostatnich sił dobywał i ledwo nogami włóczył.

— Nie, nie, idźmy dalej, niema czasu do stracenia — odrzekł osadnik, którego obawy wzmagaly się z każdą chwilą.

— Ojciec mój siły zupełnie wyczerpie, a kto wie, czy nie będą mu potrzebne, gdy dzień nastanie.

— Orzel czubaty ma słuszość — odezwał się Jan — jak wypoczniemy trochę, to potem śpieszniej będziemy mogli iść dalej i wynagrodzimy czas stracony.

— Niechże i tak będzie — westchnął Wattson i mówiąc to, osunął się ociężale na trawę.

Na znak wodza, Indianie nazbierali suchych gałęzi i po chwili wesoly ogień zapłonął i rozjaśnił ciemności dookoła naszych wędrowców.

— Ojciec mój i brat powinni teraz usnąć, to ich pokrzepi. Orzel czubaty i wojownicy jego czuwać będą nad nimi — przemówił wódz.

Osadnicy z wielką ochotą usłuchali tej rady, a po kilku minutach obaj na wyścigi chrapali. Upłynęło tak ze dwie godziny. Pierwsze brzaski świtu różowym blaskiem oblały wierzchołki olbrzymich drzew puszczy i przejmujące wonie poranne rozlały się w powietrzu; powiał świeży wietrzyk, księżyc pobladł, a gwiazdy jedna po drugiej znikaly na błękie niebios. Ucichły ryki i wrzaski zwierząt leśnych, a natomiast odezwaly się tu i ówdzie w gąszczach

głosy ptaszat i mniej przyjemne brzęczenie owadów, które poranek zbudził z uśpienia.

Wódz Osagów przez cały czas siedział przy ognisku, głęboko w myślach pogrążony. Sen ani na chwilę powiek jego nie zmrużył. Teraz dopiero powstał. Widocznie żał mu było budzić śpiących tak smacznie. Zbliżył się jednak do starego Wattsona i za rękaw go pociągnął.

— Mój ojciec wstawać już musi — rzekł miękim, łagodnym głosem. — Słońce zaraz ukaże się na niebie, świat cały się budzi. Czy ojciec mój słyszy?

Osadnik zerwał się szybko, przetarł oczy, potem oparł czoło na dłoni i mówił z wyrazem głębokiego smutku.

— Miałem sen taki przykry!

— Wakondah*) często przemawia we śnie do ludzi — powiedział wódz indyjski uroczyście, nie pytał jednak osadnika o sen jego, lecz gotował się do dalszego pochodu.

— Janie, wstawaj! — wołał Wattson, niecierpliwie potrząsając śpiącego syna.

Jan zerwał się śpiesznie na równe nogi.

— Co tu tak przyjemnie pachnie? — zapytał, wciągając z upodobaniem powietrze w nozdrza.

— Wojownicy moi upiekli kawał zabitej przezemnie zwierzyny — odpowiedział wódz — niechże ojciec i brat mój posilą się nieco, zanim puścimy się w dalszą podróż.

Pieczeń jelenia, zawieszona nad ogniem na kiju drewnianym, miała rzeczywiście woń niezmiernie

*) Nazwa najwyższego bóstwa u Indian.

pociągającą. Ojciec i syn nie dali się długo prosić, a posiłek ten przydał się bardzo na zgłodniałe żołądki. Soczyste mięso smakowało im wybornie, chociaż bez żadnej przyprawy było podane. Indianie pochłonęli także ogromne kawały pieczeni.

Śniadanie to niewiele czasu im zabrało. Gromadka wędrowców śpiesznie wyruszyła w dalszą drogę i około ósmej zrana przybyła do pięknej kotliny, gdzie po obu stronach wznosiły się niezbyt wyniosłe wzgórza.

— Teraz już wiem, gdzie jesteśmy! — zawołał Wattson — znam tę dolinkę i trafię stąd do domu.

— To dobrze — rzekł wódz Osagów — ojciec mój i brat dadzą sobie radę sami, a Orzel czubaty pójdzie w swoją drogę.

— Niechże Orzel czubaty idzie, skoro ważne sprawy go powołują i niech będzie pewny, że osadnik Jakób Wattson i syn jego Jan zachowają dlań wdzięczność do śmierci.

— Orzel czubaty nigdy nie zapomni o białych przyjaciółach swoich, lecz nie żąda od nich żadnej wdzięczności.

— Czy syn mój sądzi — zapytał Wattson — że tu już nie grozi nam żadne niebezpieczeństwo ze strony Pawnisów?

— Orzel czubaty ma wzrok tak bystry, jak ptak, którego nazwę nosi, nie wykrył jednak żadnego śladu Pawnisów po drodze, zapewne więc niema ich i dalej z tej strony.

— Ależ ja nawet nie zauważyłem, aby wódz Osagów szukał po drodze jakich śladów — odezwał się Jan zdziwiony.

— Pawnisy chodzą jak krowy i widoczne bardzo ślady zostawiają po sobie. Orzel czubaty nie potrzebuje się schylać, ażeby je dostrzedz.

Pożegnanie krótko trwało, lecz w ostatniej chwili wódz Osagów zatrzymał się, jakby chciał jeszcze coś powiedzieć.

— Czy syn mój życzy sobie czego? — spytał Wattson.

— Orzel czubaty byłby bardzo szczęśliwy — rzekł młody Indianin cichym i wzruszonym głosem — gdyby mógł usłyszeć imię pięknej córki mojego ojca, podobnej do polnego kwiatka.

— Córka moja nazywa się Ella.

— Ella! co za ładne imię. Niech mój ojciec wybaczy tę ciekawość.

I pomknął śpiesznie za swoimi wojownikami, którzy go już znacznie wyprzedzili. Wkrótce Indianie znikli z oczu Wattsonów, oglądających się za nimi.

— A to doprawdy nieoszacowany chłopak, ten Orzel czubaty — rzekł Jan do ojca, idąc obok niego pośpiesznym krokiem — zaczynam mieć całkiem inne wyobrażenie o Indianach.

— Żebyż wszyscy byli tacy — mruknął ojciec.

Szli dość długo w milczeniu, gdyż stary Wattson popadł znów w posępne zamyślenie. Jan po jakimś czasie usiłował go rozerwać i rozpoczął rozmowę w te słowa:

— Wiesz, ojcze, to wcale niezły pomysł, ten rodzaj polowania, któryśmy wczoraj widzieli. Jabym sam chciał kiedy popробować przebrać się za jelenia.

— Spróbować możesz — odparł ojciec — wątpię

jednak, ażeby ci się powiodło. Do tego trzeba zręczności i przebiegłości Indyana.

— Naprawdę muszę spróbować — mówił dalej Jan — to przecież zabawniej daleko, niż stać godzinami na stanowisku i czatować na zwierzynę.

— A ja bym zawsze wolał polować ze strzelbą, jak na prawdziwego myśliwca przystało. Wszelkie inne wymysły nie mogą iść w porównanie z tym najszlachetniejszym i najstosowniejszym dla człowieka oświeconego sposobem polowania.

— Przyznam ci się ojczu, że ja niewiele wiem o wszelkich sposobach polowania. Czy nie mógłbyś mi opowiedzieć coś z twoich dawniejszych myśliwskich przygód? Ty tyle ciekawych rzeczy widziałeś w życiu.

Jan wiedział, że najprędzej oderwie myśl ojca od smutnych przeczuc, gdy o myśliwstwie mówi z nim zacznie i dlatego na ten przedmiot naprowadził rozmowę.

— Niektórzy myśliwcy — mówił Wattson — urządzają polowanie na łodziach. Wprzód, rozumie się, wypatrują miejsca, gdzie zwierzyna przy brzegach strumieni się zbiera i czatują na nią w łodziach. Psy, przyuczone do tego, wpędzają zwierzynę do wody, żeglarz goni za nimi, strzela z łodzi i zdobycz do niej zabiera.

— Ja bym nie lubił takiego rodzaju polowania — odrzekł Jan.

— Mniej jeszcze spodoba ci się zapewne inny sposób, dziś rozpowszechniony w Wirginii, gdzie w młodych latach moich długo przebywałem. Wybiera się do tego pora zimowa, gdy spadnie duży

śnieg. Myśliwi wkładają łyżwy śniegowe, na których mogą przebywać znaczne przestrzenie z nadzwyczajną szybkością, a gdy zdolają wytropić jelenie w lesie, łatwo bardzo je doganiają i trafiają niechybnie, bo zwierzęta tak grzęzną i w śnieg zapadają, że nie są w stanie uciekać.

— Obrzydliwość! ja bym się wstydził korzystać ze słabości biednego stworzenia; to podług mnie wcale nie po myśliwsku.

— Cóż powiesz na to, co widziałem także w Wirginii. Na wybrzeżach strumieni, gdzie zwierzęta pięć przychodzą, umieszczają mocne niezmiernie żelazne sidła w taki sposób, że są zupełnie niewidoczne, a jednak za pociśnięciem chwytają z wielką siłą zwierzę większych nawet rozmiarów i często łamią mu nogi.

— To rzeczywiście okropniejsze jeszcze — mówił Jan — bo chwytac w podobne sidła lisy, wilki lub inne drapieżne zwierzęta, to pojmuję, ale nigdy bym tak podstępnie nie chciał upolować jelenia. Taka zdobycz, osiągnięta bez najmniejszego trudu, nie może sprawić przyjemności myśliwcowi z powołania. Dla szlachetniejszej zwierzyny powinny być także i szlachetniejsze sposoby polowania.

— Poczekaj, to jeszcze nie wszystko — opowiadał dalej osadnik, ożywiony temi wspomnieniami — widziałem także, jak łąki lub leśne ustronia, gdzie stada jeleni się pasły, otaczano dość wysokim płotem, a od strony wewnętrznej wbijano w pewnych odstępach pale, ostro zakończone. Chcąc przez płot przeskoczyć, jelenie wpadają na pale i czasem długo się męczą, nim kto przyjdzie je podobiać.

— Cóż to za barbarzyństwo!

— Ale ze wszystkich rodzajów polowania najosobliwsze jest polowanie z ogniem. Widziałem to w Karolinie, będąc tam kiedyś w odwiedzinach u przyjaciela mego, osadnika. Było to w noc bardzo ciemną. Osadnik zabrał z sobą ogromną panew i pęk smolnego luczywa. Obaj oprócz tego uzbroiliśmy się w strzelby i poszliśmy na pobliską łąkę, gdzie zwykle pasło się mnóstwo jeleni. Towarzysz mój rozpalil luczywo na swojej panwi, mówiąc mi, abym strzelbę miał w pogotowiu, bo sposobności do strzałów nie zabraknie. Szliśmy dalej z tym ogniem rozpalonym i natrafiliśmy wkrótce na stadko przepysznych wirginijskich jeleni. Ku wielkiemu mojemu zdziwieniu, zbliżenie nasze wcale ich nie przstraszyło, bo ani myślały uciekać. Wytłómaczył mi później osadnik, że to nagły widok ognia tak je odurza i olśniewa; nie widzą nawet myśliwców, tracą zupełnie głowę i stoją, jakby w ziemię wrosnięte. Strzelający zaś z łatwością mierzyć może do zwierzyny, bo płomień odbija się w oczach jeleni, które błyszczą z daleka, jak gwiazdeczki i wybornie za cel służą. Udało mi się tej nocy zastrzelić kilka przepysznych jeleni, bo nawet huk broni nie rozpędzał głupich zwierząt na długo, gdyż po chwili znowu powracały, zwabione płomieniem.

— To rzeczywiście szczególniejszy pomysł — rzekł Jan — ale nie tylko jelenie ulegają takiemu odurzeniu na widok ognia. Wiadomo, jak trudno uratować domowe zwierzęta podczas pożaru.

— Posłuchajże jeszcze, co się stało nocy następnej. Takeśmy się rozochoćili z moim przyjacielem, że poszliśmy znowu na tę samą łąkę. Tym razem

ja rozniecałem ogień, a on strzelał. Nie natrafiliśmy jednak na większe stado, tylko pojedynczo błysnęły w pobliżu oczy zwierza; towarzysz mój strzelił i trafił, lecz nie zabił go na miejscu; miał on dość siły, aby odbiedz dalej. Toż samo powtórzyło się po raz drugi. Nie mieliśmy ochoty szukać po nocy naszej zdobyczy, odłożyliśmy to do dnia następnego. I znaleźliśmy ją bez żadnej trudności, lecz wyobraź sobie przerażenie osadnika, gdy zobaczył, że nie dwa jelenie zastrzelił, jak mu się zdawało, tylko dwa piękne żrebce własne, pasące się także na łące. Przyznał mi się nawet, że mu się już nie pierwszy raz zdarzyło, zamiast zwierzyny, domowe swoje zwierzęta upolować tym sposobem. Okropnie był zły, bo żrebce miały znaczną wartość; przysięgał sobie, — nie wiem, czy dotrzymał, — że już nigdy w życiu nie urządzi polowania z ogniem.

— To zabawna przygoda — mówił Jan, śmiejąc się.

Rozmowa ta nie przeszkadzała im pośpieszać, o ile tylko mogli, a im więcej się zbliżali do celu, tem większy niepokój dręczył starego Wattsona, tem niecierpliwiej spoglądał w stronę, z której ukazać się miał dach osady. Około dziesiątej zaczęli wchodzić na grzbiet jednego z większych wzgórków, opasujących malowniczą dolinę, w której mieściła się ich siedziba. Nagle osadnik stanął, przysłonił oczy, serce jego uderzyło gwałtownie.

— Nie rozumiem, co to może znaczyć — rzekł po chwili drżącymi ustami — zdaje mi się, że widzę ogromny słup dymu. Popatrz-no ty, Janie.

— W rzeczy samej — potwierdził młodzieniec,

i wyraz przestachu pojawił się na jego twarzy, lecz zapanował nad sobą i dodał spokojniej — Jerzy i Tobiasz musieli ogień rozpalić na polu.

— Ze zwyczajnego ogniska nie powinniśmy być tyle dymu — mówił ojciec i z nadzwyczajnym pośpiechem, biegnąc raczej niż idąc, zdążył na sam wierzchołek wzgórza, skąd roztaczał się widok rozległy na całą dolinę. Obaj stanęli tam wkrótce, bo i Jan za ojcem pośpieszał.

— O Boże wielki!... Co to jest?! — wykrzyknął Wattson. Głos jego rozległ się po lesie, brzmiała w nim rozpacz najwyższa. Jan milczał, lecz pobladł strasznie, nogi się pod nim zachwiały, drżał cały od stóp do głów.

Widok, który się oczom ich przedstawił, był w rzeczy samej przerażający. Na miejscu, gdzie stały budynki osady, pozostały tylko zgłiszcza, z których się unosił ów ogromny słup dymu. Dokoła walały się po ziemi szczątki zniszczonej i polamanej palisady.

— O, mój sen!... moje przeczucia! — jęknął Wattson rozzwierającym głosem i runął na ziemię, jak dąb wichrem złamany.

— Boże, Boże, co za nieszczęście! — wołał Jan, zalamując ręce.

Lecz stary Wattson zerwał się po chwili i z takim pośpiechem zbiegł ze wzgórza, że zapomniał o strzelbie, która mu się z ramienia zsunęła i padła na trawę. Podniósł ją Jan i za ojcem podążył. Doszli wkrótce do miejsca, gdzie wczoraj jeszcze była spokojna siedziba szczęśliwej rodziny, a dziś dopalały się smutne zgłiszcza.

Jakób Wattson jak szalony zaczął się uwijać pośród tych dymiących, a gdzieniegdzie i płonących jeszcze szczątków. Nie zważał na to, że go dym dusił, stapał po węglach żarzących, które mu paliły obuwie, z trwogą śmiertelną szukał jakiegoś śladu ukochanych swych dzieci, powtarzał ich imiona, jak gdyby sądził, że je przywoła, lub dowie się, co się z nimi stało. Lecz echo tylko mu odpowiadało, a nieszczęśliwy człowiek padał na ziemię, rwał włosy z głowy, potem znów twarz ukrywał w dłoniach i szlochał. Jan próbował przemówić do ojca, lecz głos mu w piersi zamierał i lzy go dławily. Był on niezmiernie przywiązany do młodszego rodzeństwa; Ellę szczególnie kochał niezmiernie, bo też wszyscy kochali dobrą i śliczną dziewczynę.

— Ojcie! — zawołał w końcu — może to był pożar przypadkowy, skutek jakiejś nieostrożności. W takim razie Ella wraz z braćmi i ze sługami musiała się ukryć w lesie; kto wie, czy ich nie zobaczymy za chwilę zdrowych i całych.

— Patrz — rzekł krótko ojciec i wskazał mu liczne ślady nóg bosych, odcisnięte w miękkiej, wilgotnej ziemi na dziedzińcu. Jan umilkł i westchnął głęboko.

— Niema żadnej nadziei, wszyscy zginęli — mówił nieszczęśliwy ojciec z rozpaczą — a ciała ich spaliły się zapewne. Okrutnicy nawet tej ostatniej pociechy mi nie zostawili, abym mógł martwe szczątki moich ukochanych oglądać i uczcić pogrzebem. Ach Janie! przeszukajmy te zgłiszcza, może ich ciała nie spłonęły jeszcze do szczętu, może choć ślad jaki odnajdziemy.

Mówiąc to, chwycił żarzącą się belkę i z siłą olbrzymia na bok ją odrzucił. Jan mu pomagał i obaj pracowali tak gorliwie, że pot dużymi kroplami ściekał im z czoła. Jan spostrzegł motykę, rzuconą na podwórzu; była to ta, z którą Tobiasz z pola powrócił. Młodzieniec użył jej do rozrzucania węgla rozpalonych, wkrótce jednak drewniana rękojeść motyki zaczęła się palić i musiał ją gasić w strumieniu, ale i to nie na długo pomogło. W końcu ojciec i syn przekonali się, że daremnie sobie trudy zadają, gdyż niepodobna było rozrzucić takiej masy rozpalonego drzewa.

— Możeby wodą zalać zgłiszcza — rzekł ojciec i pobiegł do strumienia, lecz wnet spostrzegłszy, że nie ma żadnego naczynia do nabierania wody, powrócił z opuszczonemi rękoma. Jan zbliżył się i znowu próbował rozpacz ojca ulagodzić, wlać jakąś nadzieję do jego serca.

— Nie mamy jeszcze żadnych dowodów na to — mówił — że Ella i bracia, i Jerzy z Tobiaszem nie żyją. Wszak mogli umknąć, schronić się do lasu, a w najgorszym razie mogli ich Indianie wziąć w niewolę i uprowadzić.

— Ach, Janie! to rzeczywiście jest możliwe — odrzekł osadnik i czoło zimnym potem okryte oparł na dłoni. W pierwszych chwilach szalonej rozpacz nie przyszło mi nawet na myśl to przypuszczenie, dość jednak prawdopodobne — masz słuszość, takie wypadki nieraz się zdarzały, — ciągnął dalej po chwili namysłu — chociaż najczęściej dzicy mordują od razu swoje ofiary. Ale tonący chwyta się nawet

zdźbła słomy. Natychmiast przetrząśniemy całą okolicę, może ślad jaki ukochanych naszych wykryjemy.

I osadnik, jak stał, tak pobiegł prosto przed siebie.

— Strzelba, ojcze! — zawołał Jan, pośpieszając za nim i broń mu podając — o ostrożności nigdy zapominać nie należy. Bardzo być może, że Indianie włóczą się jeszcze w okolicy.

— O! gdybym ich teraz napotkał — rzekł Jakób Wattson, zgrzytając zębami — krwiaby mi swoją zapłacili.

— Dziś obowiązkiem jest naszym — mówił Jan — ochraniać życie i swobodę, ażebyśmy byli w stanie ratować ukochanych naszych, jeśli żyją, lub przynajmniej ich pomścić.

— Dobrze mówisz — odparł ojciec, opatrując starannie strzelbę, co też i Jan uczynił.

Doszli wkrótce do skraju lasu. I tu tak samo, jak na polach, otaczających spalone mieszkanie, cicho było i pusto. Tylko brzęczenie moskitów i pszczoł leśnych, szukających pożywienia, odzywało się w powietrzu; kiedy niekiedy dawało się słyszeć kucie dzięciola, wiewiórki wesoło wyskakiwały po gałęziach. Lecz ani Indian, ani jakichkolwiek istot ludzkich nie widać było w lesie, chociaż liczne ślady kopyt końskich świadczyły o niedawnej obecności czerwono-skórych. Obaj Wattsonowie oglądali te ślady bardzo starannie, ludzkich jednak pomiędzy nimi nie odkryli, nie mogli więc i teraz rozstrzygnąć pytania, czy ukochani ich zginęli, czy uprowadzeni zostali w niewolę. Próbowali wołać głośno po imieniu Elli i chłopców, lecz echo im tylko odpowiadało.

Postępując ciągle brzegiem lasu, doszli wreszcie do miejsca, gdzie Indianie wieczorem pochwycili biednego Jerzego i niezwłocznie zamordowali; trupa jego, leżącego tam i teraz, spostrzegł pierwszy Jan, a na okrzyk zgrozy, jaki się z jego piersi wyrwał, nadbiegł wnet i ojciec.

— Jerzy! zamordowany, oskalpowany!*) — zawołał z boleścią

— Niestety! — potwierdził Jan.

— Ten sam los okrutny musiał spotkać ukochane moje dzieci — jęknął osadnik.

— Nie traćmy jeszcze wszelkiej nadziei, ojcie — pocieszał Jan, usiłując powstrzymać łzy, gwałtem cisnące mu się do oczu.

— Idźmy stąd, idźmy! wołał Jakób Wattson.

— Pozwól mi, ojcie, pogrzebać biednego Jerzego — rzekł Jan.

— Masz słuszość; zajmij się tem, a ja pójdę dalej, może jakimkolwiek ślad odszukam.

— Bądź tylko ostrożny, ojcie, nie narażaj się; niebezpieczeństwo na każdym kroku spotkać cię może.

— A po cóż mi to nędzne życie?

— Ojcie, nie rozpaczaj jeszcze.

— To już lepiej zostanę tu z tobą i pomogę ci pochować szczątki wiernego naszego slugi. Bierzmyż się do dzieła.

— Nie mam czem ziemi rozkopać, pobiegnę po motykę.

*) Indianie mają zwyczaj zwyczajnym przeciwnikom obcinać skórę dokoła włosów i ściagać z czaszki razem z włosami. Nazywają to skalpowaniem.

— Tylko nie marudź, ja tymczasem zajrzę do tej gęstwiny.

Jan pośpieszył po motykę, którą przy zgłiszczach zostawił, a ojciec zapuścił się w pobliższe gąszcze leśne. Raz po raz wołał głosem donośnym, lecz zawsze napróżno. W kwadrans nadbiegł Jan, w jednej ręce trzymając motykę, a w drugiej mały jakiś przedmiot, który w palcach ścisnął.

— Ojcie, ojcie! — wołał głosem, rozlegającym się daleko po lesie.

— Jestem już, jestem! — odpowiedział osadnik i zbliżał się szybkim krokiem, zdyszany, z oczyma błyszczącymi wzruszeniem nadzwyczajnem.

— Czy poznajesz? — zapytał drżącym głosem, ukazując synowi mały nożyk.

— To nożyk Elli — rzekł Jan zdziwiony — a czy poznajesz to, ojcie? — i pokazał mu czarną, wąską aksamitną tasiemeczkę, którą trzymał w ręku.

— Wielki Boże! tę aksamitkę ona zawsze na szyi nosiła! — wykrzyknął osadnik, chwytając tasiemeczkę z rąk syna — skąd ją masz, gdzie ją znalazłeś?

— Niedaleko stąd w lesie, a ty, ojcie, gdzie znalazłeś nożyk?

— Pod krzakiem, tuż przy miejscu, gdzie las jest rozrzedzony i mnóstwo śladów kopyt końskich widać na ziemi.

— Ojcie, te odkrycia mają dla nas nadzwyczaj ważne znaczenie.

— Być może, nie śmiem jednakże budować na tem jakichś nadziei.

— Ależ zastanów się, ojcie, toż jest jasne jak

dzień. Ella z Benem i Dikiem niezawodnie znajdują się w niewoli u tych przeklętych czerwonoskórych. Skądżeby się ten nożyk i ta tasiemeczka wzięły w leśie? Ella sama zapewne rzuciła pokryjomu te przedmioty, ażebyśmy je znaleźli i pomyśleli o wyswobodzeniu jej i braci.

— O, gdybyż to było prawdą!

— Mnie się zdaje, że tu niema najmniejszej wątpliwości.

— Mogli Indianie zabrać nożyk i wstążeczkę wraz z innemi rzeczami, gdy rabowali mieszkanie, a potem zgubić po drodze.

— Wszak sam mówisz, ojczu, że nie na samej drodze, tylko z boku pod krzakiem nożyk znalazłeś; widocznie więc nie był zgubiony, lecz rzucony umyślnie.

— To prawda — rzekł osadnik i w oczach jego zajaśniał promyk nadziei.

— Ojczu, my ich wybawimy z niewoli.

Jakób Wattson, pogrążony w myślach, milczał czas jakiś. Gdy podniósł głowę, twarz jego miała wyraz całkiem odmienny: znikła z niej rozpacz i straszne przygnębienie ustąpiło miejsca uczuciom zgodniejszym z wrodzonym usposobieniem osadnika, który przez całe życie z nieustraszoną odwagą narażał się na niebezpieczeństwa wszelkiego rodzaju i bez wahania podejmował najtrudniejsze zadania.

— Uczynimy wszystko, co jest w naszej mocy, aby ich uratować — wyrzekł głosem stanowczym i spokojnym prawie — bo rzeczywiście można mieć nadzieję, że żyją.

Kochający ten ojciec jeden tylko cel widział teraz przed sobą: odszukać dzieci i wyzwolić je

z niewoli. A wiedział, że to nie łatwa sprawa, znając przebiegłość przeciwników, z którymi miał do czynienia. Na nicby się nie przydało biedz na oślep i działać zbyt pośpiesznie. Należało rozważyć wprzód wszystko, z zimną krwią i roztropnością obmyślić plan działania. Wiedząc o tem dobrze, osadnik całą siłą woli starał się opanować wzruszenie i spokój odzyskać. Wśród takich smutnych okoliczności już i to dużo znaczyło, że jakkolwiek nadzieję odzyskał, nie upadał przynajmniej pod ciężarem bólesci, przechodzącej siły ludzkie.

Ojciec i syn za pomocą motyki wykopali dół w ziemi, wysypali go zielonymi liśćmi i złożyli ciało Jerzego w tym ubożuchnym grobie. Odmówili pacierz, zasypali dół ziemią i położyli na wierzchu pęk cierniowych gałęzi dla odstraszania drapieżnych zwierząt; wreszcie przewiesili strzelby i puścili się drogą śladami kopyt końskich oznaczoną.

VII.

Dik na zgłiszczach osady.

W pół godziny później, na skraju tegoż samego lasu, lecz w innej stronie, dość daleko od miejsca, gdzie Wattsonowie złożyli zwłoki wiernego sługi, ukazał się pies duży i silny, choć niezbyt piękny. Zaczął biedz prosto ku zgłiszczom osady, gdy wtem z gęstwiny leśnej ozwało się gwizdanie i przyciszone wołanie:

— Sultan! tu, Sultan, tu!

Po chwili wysunął się z za drzew młody chłopiec, uzbrojony w strzelbę z rogiem bawolim, uwiązanym u pasa. Głowę miał odkrytą, oczy zaczerwienione od płaczu, a na twarzy jego malowała się boleść głęboka. Po cóż mamy czytelników dłużej trzymać w niepewności. Tym chłopakiem był Dik, znany nam dobrze, najmłodszy syn osadnika. Obejrzawszy się bacznie dokoła, i on także wraz z psem skierował się w stronę, gdzie słup dymu wznosił się z dogorywających szczątków.

— Jak to dobrze — szepnął chłopak sam do siebie — żem się w porę opatrzył przyjść tutaj i czekać powrotu ojca i Jana. Że też mi to odrazu na myśl nie przyszło! Z tego przestachu zupełnie głowę straciłem. Teraz tu sobie gdzieś usiądę i będę czekał, bo oni niezawodnie nadejdą niezadługo. Mój Boże, gdybym przynajmniej wiedział, co się stało z Ellą, z Benem, z Tobiaszem...

Tu głośnie lkanie mowę mu przerwało; lzy puściły się z oczu, a pies ze współczuciem zbliżył się do chłopca i lizał mu rękę.

— O Ello, Benie, czy ja was kiedy jeszcze obaczę — mówił znów biedny Dik, płacząc rzewnie. W końcu jednak otarł oczy, gdyż musiał myśleć o własnem bezpieczeństwie i znów zaczął niespokojnie rozglądać się dokoła.

— Zdaje się — mówił sam do siebie — że można już teraz tam pójść na podwórze. Tak wszędzie cicho i pusto, widać wszystko doskonale. Indyanie musieli się przenieść gdzieś dalej, nie mieli tu już po co dłużej popasać, zrobili swoje. Pies zaszczeakałby niezawodnie,

gdyby tu kto obcy był w pobliżu. Pójdź tu, Sultan, idźmy śmiało.

Pies poskoczył wesoło naprzód, a chłopiec szedł za nim ostrożnie, trzymając strzelbę w pogotowiu.

— Jakże tu smutno i okropnie! — rzekł znowu, zbliżywszy się do zgłiszczów — żeby przynajmniej ojciec i Jan powrócili. Mój Boże, jak oni długo siedzą! Ale już lepiej dziś stąd nie odejść, ukryję się za tym stosem gruzów, będę tu przecież tak samo bezpieczny, jak i w lesie, a przynajmniej zaraz zobaczę ojca i Jana z daleka, bo musieli już murzyna dogonić i pochwycić.

Chłopiec usiadł na kłodzie niedopalonej i zagasłej, spoglądając ciągle na wszystkie strony, czy nie dojrzy powracających ojca i brata. Smutne, bardzo smutne myśli snuły się biedakowi po głowie.

— Gdybyśmy obaj z Benem nie byli dokuczali tak okropnie temu Cezarowi, byłby nie uciekał, a ojciec i Jan nie potrzebowalby wydalać się na tak długo z osady. Gdyby oni tu byli z nami podczas napadu Indyan, możeby wszystko inaczej się było skończyło. Ella jednak dobrze mówiła...

Chłopak westchnął głęboko, zamyślił się i tak w dalszym ciągu rozumował:

— Tak, niema co mówić, sami ściągnęliśmy na siebie to nieszczęście okrucieństwem i nieludzkim postępowaniem z murzynem. Zawiniliśmy i Bóg nas ukarał. O, gdybyż można było odrobić to, co się stało.

I znowu lzy go oblały, lecz tym razem były to lzy żalu i skruchy. Dik gorzkie sobie czynił wyrzuty. W rodzinie osadnika był zwyczaj odmawiania wspólnych modlitw rano i wieczorem. Dik odmawiał je

także, lecz modlił się tylko ustami; nie myślał o Tym, do którego przemawiał i nie pamiętał o przykazaniach Jego. O, z jakże odmiennem uczuciem chłopiec powtarzał teraz słowa pacierza, jak gorąco błagał o pomoc i opiekę Pana wszechrzeczy, bez którego woli włos z głowy ludzkiej nie spadnie.

Siedział tak dość długo pogrążony w myślach. W takim stanie ducha, gdy terażniejszość jest ciężka i smutna, a przyszłość w posępniejszych jeszcze barwach się przedstawia, jedna chwila większy często wpływ wywiera, niż długie lata, w spokoju spędzone. Słońce wzniosło się tymczasem wysoko na niebie i prostopadle jego promienie spadały na odkrytą głowę chłopca.

— Niepodobna tu usiedzieć w taki upał — szepnął — nie doczekam się już dziś chyba ojca i Jana. — Mówiąc to, wstał i odszedł znów do lasu; nie zapuszczał się jednak dalej, tylko tuż przy skraju usiadł w cieniu rozłożystego drzewa.

Mijały godziny jedna po drugiej, słońce poczęło się zniżać ku zachodowi, wreszcie na skraju widnokręgu rozciągnęła się purpurowa smuga, zwiastująca wieczór. Dik nie siedział przez ten czas na miejscu: coraz większy ogarniał go niepokój, chodził więc tu i ówdzie, rozglądając się tęsknym wzrokiem na wszystkie strony. Wszystko nadaremnie, nikt nie nadchodził. Od dnia wczorajszego nie jadł, dotąd nie pomyślał jednak o posiłku, bowiem smutek i trwoga zagłuszyły w nim głód, — teraz dopiero żołądek wyścieńczony upominał się o swoje prawa.

— Mam strzelbę, mógłbym z łatwością zwieźrzyć jaką upolować, gdybym dalej w las poszedł,

a nie śmiem stąd odchodzić, bo ojciec i Jan muszą kiedyś powrócić — mruczał smutnie. I znowu się zamyślił; coraz czarniejsze przeczucia go trapiły, zaczął się zastanawiać nad tem, co pocznie, jeżeli ojciec i brat nie nadejdą wcale, jeżeli ich także nieszczęście spotkało po drodze; mogli i oni wpaść w ręce Indyan.

— Nie, nie, to niepodobna, to byłoby za nadto! — wykrzyknął na głos i twarz ukrył w dłoniach.

Zmierzch zapadał coraz wyraźniej, noc zbliżała się szybko, a głód dotkliwy dawał się chłopcu uczuwać.

— Ha, dobra myśl! — zawołał nagle, gdyż zaspokojenie tej najpilniejszej potrzeby prawie wyłącznie go zajmowało w tej chwili.

Podążył śpiesznie na pole, graniczące ze zniszczonem mieszkaniem, trafił z łatwością do grządek, zasadzonych rzepą i patatami; wyrwawszy z ziemi kilka dużych korzeni, oczyścił je nożykiem, który miał w kieszeni i zajał ze smakiem. Posiliwszy się, powrócił na dawne miejsce przy skraju lasu. Tymczasem chmury zbierać się poczęły i zasłoniły księżyc. Tak się ciemno zrobiło, że Dik nie mógł dojrzeć nic o kilkanaście kroków. Niepokój go zdjął na myśl, iż nie obaczy ojca i Jana, gdyby nadeszli w nocy.

— Teraz już niema niebezpieczeństwa, mogę i tam przenocować — rzekł i puścił się w stronę zgłiszczów. Lecz wkrótce stanął i nasłuchiwał. Z daleka odezwał się straszliwy ryk jaguara; wtórowały mu inne głosy, także niemile i groźne, a ten nocny chór puszczy przypominał chłopcu, że nie ma żadnego schronienia.

— Bezpieczniej będzie wdrapać się na drzewo — rzekł znowu sam do siebie i cały drżący powrócił do lasu. Wybrał potężny dąb o grubym pniu i rozłożystych konarach. Nielatwa to była sprawa wdrapać się na takie ogromne drzewo, ale Dik był zręczny i wprawny we wszystkich ćwiczeniach ciała, wydostał się więc aż na najwyższą gałąź dębu. Sultan nie mógł mu towarzyszyć, biegł więc pod drzewem i poszczekiwał. Po jakimś czasie uspokoił się i legł u stóp pnia olbrzymiego.

Dik nie usiadł jednak długo na drzewie, noc była bardzo ciemna, nic nie widział i wnet ogarnął go taki niepokój, że rady sobie dać nie mógł.

— Nie, ja tu nie wytrzymam — rzekł w końcu — tam ojciec z Janem lada chwila pewnie nadejdą, a ja ich nie zobaczę, ani usłyszę. Zresztą nie bardzo mi tu bezpiecznie, bo jaguary i niedźwiedzie łażą doskonale po drzewach.

Zlaził z dębu i pobiegł szybko ku zgłiszczom. Węgłe rozżarzone blaskiem swym jaskrawym zwróciły na siebie uwagę chłopca.

— Jakiż ja jestem niemądry! — zawołał, uderzając się dłonią po czole — wszakże mogę tu sobie ogień rozpalić, a ten odstraszy drapieżne zwierzęta.

Wyszukał natychmiast pomiędzy szczątkami palisady parę płaskich kawałków drzewa, za pomocą których wygarnął trochę rozżarzonych węgli, dołożył do nich drewek suchych, których tu nie brakło i wkrótce ognisko zapłonęło, trzaskając i sypiąc iskrami. Dik, nie mogąc usnąć, podsyczał je nieustannie.

— Otóż to pomysł wyborny — mówił sobie

chłopiec, siedząc przy ogniu, z ręką opartą na kulatym łbie Sultana, strzelbę złożywszy obok siebie.

Mijały godziny jedne po drugich, było już pewnie po północy. Dik ciągle nasłuchiwał, czy nie usłyszy kroków ojca i brata, lecz żaden odgłos nie przerywał ciszy. Uczuł wreszcie, że go sen morzyć zaczyna; usiłował się przemódz, otwierał szeroko oczy i spoglądał w przestrzeń oddaloną, która przy blaskach ogniska jeszcze ciemniejszą się wydawała. Ale powieki jego kleiły się mimowoli, jeszcze przez czas jakiś otwierał je niekiedy, w końcu zamknęły się na dobre i chłopak usnął smacznie, przytulony do Sultana.

Już do dnia było niedaleko, gdy pies zerwał się nagle, wysuwając z pod głowy Dika miękki swój grzbiet, który mu za poduszkę służył. Chłopiec się przebudził i ze strachem spostrzegł, że drobny deszczyk, który padać zaczął, prawie zupełnie zgasił ognisko. Sultan wyl z cicha, jakby strwożony i położył łeb na kolanach młodego swego pana, a ten z nieopisaną trwogą poczuł, że pies drży cały. Pochwycił strzelbę do ręki, ale wśród ciemności nie zrazu nie mógł dojrzeć. Nareszcie wzrok jego wyteżony natrafił na jakąś ciemną, wydłużoną postać, przesuającą się w pewnej odległości tam i napowrót. Z zachowania się psa wnosił, że to było jakieś zwierzę drapieżne. Wniosek okazał się trafny; ciemna postać zbliżyła się zwolna i Dik zdołał nareszcie rozpoznać czarnego niedźwiedzia, zwanego *baribalem*, bardzo pospolitego w owych czasach w Ameryce północnej.

Baribal wielkością i siłą dorównywał niedźwiedziowi europejskiemu. Futro ma piękne, czarne

i lśniące. Chociaż wygląda niezgrabnie i ociężale, jest jednak czujny, roztropny, a nawet zwinny, biega szybko, pływa doskonale i zręcznie lazi po drzewach. Żywi się głównie roślinnymi pokarmami, nie gardzi jednak mięsem i ze szczególnem upodobaniem rzuca się na łagodne zwierzęta domowe; często też włóczy się w pobliżu osad, dusi owce i cieleta.

Rozpoznawszy nieproszonego gościa, Dik przede wszystkim poczał jak najspieszniej rozniecać na nowo ognisko. Wkrótce buchnął płomień i chłopak z radością obaczył, że niedźwiedź przystanął, a potem ociężałym krokiem się oddalił i znikł wśród ciemności.

— Dobrze przynajmniej, że mam tego pocziwego psa przy sobie — rzekł chłopiec i poglaskał Sultana. Nie usnął już więcej i dokładał ciągle drzewa do ognia, lecz trudniej się teraz paliło, bo deszcz padał nieustannie. Lekkie ubranie Dika na wskroś przemokło, dopiero po wschodzie słońca rozpogodziło się i chłopiec osuszył suknie przy ogniu, którego i teraz nie przestał podniecać. Nie mogąc odgadnąć, że ojciec i Jan tu już byli i odeszli, ciągle ich wyglądał, tłómacząc sobie rozmaitymi sposobami to opóźnienie. Tymczasem gdy i ten dzień upłynął, a oczekiwania jego były zawsze daremne, nadzieja opuszczać go poczęła i trwoga nieopisana ścisnęła mu serce.

Przytem już i drzewa zabrakło na paliwo, a przynieść nowy zapas z lasu było prawie niepodobieństwem, bo nie miał czem go urąbać. Nazbierał jednak na ziemi suchych gałęzi, których mu starczyło na całą noc, gdyż dorzucił ich nader oszczędnie, w obawie, aby ogień nie zagasł i dla tego samego powodu nie zmrużył oka aż do rana. Nie chcąc się zapuszczać

w głąb lasu po zwierzynę, poprzestał i dnia tego na patatach. Biedny Sultan, nie mogąc się zadowolnić tym roślinnym pokarmem, wybrał się sam za pozwoleniem pana na wycieczkę myśliwską. Powrócił z niej z niezłą zdobyczą, gdyż udało mu się pochwycić zwierzątko, zwane dydelfem, *opossum*, do rzędu workowatych należące.

Niepokój, trapiący serce Dika, wzrastał dnia tego z każdą godziną, z każdą niemal minutą. Sam nie wiedział, czy miał jeszcze dłużej wyglądać w tem pustkowiu ukochanych swoich, czy puścić się w drogę na odszukanie ich? Wahał się długo, nareszcie postanowił tę jedną noc tu przebyć, a nazajutrz rano, gdyby go oczekiwanie zawiodło, wyruszyć gdzie go oczy poniosą.

Noc przeszła spokojnie; zajaśniał ranek, lecz daremnie chłopak wpatrywał się tęsknym wzrokiem w oddalony widnokrąg: wyglądani z tak gorącym upragnieniem brat i ojciec nie nadeszli. Gdy słońce podniosło się na niebie, Dik ukląkł na zgłiszczach rodzinnego domu. «Kiedy trwoga, to do Boga» — przysłowie to sprawdziło się na nim. O, jakże serdecznie się modlił, z jaką skrucą się obwinał i postanawiał poprawę. Taka modlitwa, z głębi serca płynąca, nigdy nie jest bezskuteczną: daje pociechę, siłę i odwagę. Gdy powstał, lżej mu było na sercu i oczy zaczerwienione od płaczu spokojniej, śmieiej patrzyły. Poszedł raz jeszcze na pole, gdzie rosły pataty i nakopał zapas tych smacznych korzeni na drogę.

— Pójdę gdzie mnie oczy poniosą — rzekł wreszcie i gwizdnąwszy na Sultana, puścił się wprost

przed siebie. Na nieszczęście obrał kierunek, który go nie mógł zbliżyć do ojca i do brata, lecz przeciwnie oddalał od nich coraz więcej.

VIII.

Łowienie bobrów.

Opuściliśmy młodego myśliwca i murzyna Cezara w chwili, gdy mieli sobie upatrzeć miejsce dogodne na nocleg. Serce prawe wyciągnął czółenko swoje z wody, a Cezar, nie czekając rozkazu, wziął je na plecy i poszedł za nowym panem tak żwawo, jak gdyby nie czuł wcale tego ciężaru. Na dobroduszej jego twarzy igrał ciągle wesół uśmiech i kiedy niekiedy nogi zdawały się same unosić do podskoku. Łatwo było poznać, że chłopiec zachwycony był zmianą swego położenia.

— Więc ty naprawdę obeznany jesteś z puszcą?— zapytał myśliwiec po dłuższej chwili milczenia.

— Oho! Cezar doskonale zna puszcę.

— Rad jestem z tego, a i dla ciebie to dobrze.

— Ja też niezmiernie się z tego cieszę.

— A czy znasz się także trochę i na polowaniu?

— Pan Smith lubił nad wszystko polowanie, — Cezar mu zawsze towarzyszył.

— Na jakąż zwierzyinę polowaliście z twym panem?

— Na najrozmaitszą.

— Wymień mi niektóre zwierzęta.

— Polowaliśmy na jaguary, kuguary czyli pumy,

pantery, rysie kanadyjskie, wilki stepowe, śmierdziele, niedźwiedzie czarne, szopy, dydelfy, no i na wiele innych zwierząt.

— Hm! aż miło posłuchać. Więc twój pan celnie strzelał?

— Doskonale, znakomicie!

— A ty, czy miałeś kiedy strzelbę w rękę?

— Czy raz?! I umiem także strzelać.

— Radbym się o tem przekonać.

— To niechże pan pozwoli Cezarowi strzelić na próbę.

— I owszem. Czy widzisz tę wiewiórkę, tam wysoko, aż na szczycie jodły?

— Widzę ją doskonale.

— Jakże ci się zdaje, czy potrafiłbyś ją zastrzelić?

— Cezar popróbuje, jeżeli pan pozwoli — i mówiąc to, złożył czółenko na ziemi.

— Masz strzelbę. Czy nie za ciężka dla ciebie?

— Ach, gdzieżtam! leciutka, jak piórko.

Murzyn się roześmiał i podniósł ciężką strzelbę jedną ręką, potrząsając nią na wszystkie strony.

— Silny jesteś, jak niedźwiadek — rzekł myśliwiec zdziwiony — a teraz strzelaj.

— Czy pan każe zwierzątko trafić w głowę?

— Oho, dosyć będzie, jeśli je trafisz w którąkolwiek część ciała. Strzelba jest kulą nabita, a o zmierzchu trzeba mieć dobre oczy, aby nie spudłować.

— Cezar ma dobre oczy — mówił murzyn, przykładając strzelbę do skroni. Mierzył bardzo krótko: strzał padł i w tejże samej chwili wiewiórka osunęła się z wyższej gałęzi na niższą i spuszczaając się ko-

lejno z jednej na drugą, w końcu spadła na ziemię. Miała głowę przestrzeloną na wylot.

— To był strzał mistrzowski! widzę, żeś był w dobrej szkole — powiedział Serce prawe z widocznym zadowoleniem, biorąc strzelbę z rąk murzyna i niezwłocznie nabijając ją na nowo — trzeba będzie się wystarać o strzelbę dla ciebie.

— Tu w puszczy nietatwo pan strzelbę dostanie — odrzekł Cezar, śmiejąc się.

— Łatwiej może, niż sobie wyobrażasz. To już moja rzecz. Ale teraz idźmy dalej.

Cezar włożył znowu czółenko na plecy i poszedł za myśliwcem, postępującym przodem.

— Czy widziałeś także bobry i znasz sposoby łowienia ich? — spytał Serce prawe, zawiązując na nowo przerwana rozmowę.

— To rzecz dziwna, Cezar nigdy nie widział żywego bobra, chociaż tyle się po lasach nawędrował — odparł murzyn.

— I nie wiesz, jakim sposobem się łowią?

— Nie słyszałem o tem nigdy. Dawny pan Cezara nie lubił łowić bobrów.

— To mnie dziwi. Mało jest zwierząt tak osobliwych, jak bobry; ja też z wielkiem upodobaniem je łowię, — jestem myśliwcem i traperem zarazem.

— Toż dopiero radość dla Cezara! nauczy się jeszcze i bobry łowić — i murzyn znowu dał susa.

— Zaraz jutro rano będziesz miał tę przyjemność. Czy bardzo jesteś teraz zmęczony?

— Ej, tak bardzo, to nie.

— A jednak uciekając od pogoni musiałeś wszystkie siły wyczerpać, bo padłeś, biedaku, jak nieżywy.

— O, wtenczas Cezar był zmęczony, to prawda. Ale wypoczął, a radość dodała mu siły i poszedłby teraz jeszcze i kilka mil, gdyby pan sobie tego życzył.

— Poczekaj, zdejmę z ciebie przynajmniej tę łódkę.

— Broń Boże! Cezar nie czuje jej nawet na plecach.

W rzeczy samej po chwili myśliwiec się zatrzymał. Znajdowali się obecnie w małej kotlinie, zamkniętej pomiędzy dwoma wzgórkami.

— Tu rozłożymy się na nocleg — rzekł Serce prawe i ustawił strzelbę pod drzewem — czy wiesz, co mamy do roboty?

— Sporządzimy sobie najpierw szalas z gałęzi — odpowiedział murzyn bez namysłu.

— Dobrze, widzę, że znasz życie leśne. A więc do dzieła — i myśliwiec wyjął siekierę z za pasa.

— Cezar to wszystko sam zrobi — rzekł murzyn.

Chwycił siekierę z rąk myśliwca i zrywał cztery młode drzewka, z których w przeciągu chwil kilku sporządził cztery pale rozmaitej długości. Wbił je potem w ziemię, tworząc czworobok; dwa krótsze pale umieścił naprzeciw dwóch dłuższych, potem powiązał je pomiędzy sobą u góry giętkimi pręcikami. Następnie naciął liściastych gałęzi i ułożył je w taki sposób na wierzchu, że utworzyły wyborny spadzisty dach, mogący nawet od deszczu zabezpieczyć. Ziemię w szalasie usłał liśmi i mchem. Serce prawe nie mieszał się do niczego, lecz wsparty o pień drzewa spoglądał z zadowoleniem na murzyna — bo też miło było patrzeć, jak zręcznie i porządnie szła robota.

— Czy już koniec? — spytał Serce prawe, gdy Cezar urządził szalas, jak należy, przykrywszy nawet i bok jeden od strony wiatru gałęziami.

— Jeszcze Cezar ma ogień rozpalic dla odstraszenia zwierząt drapieżnych od obozu.

Co rzekł, to uczynił. Wziął znów siekiere i pobiegl z nią żwawo w las, a w dziesięć minut powrócił, niosąc duży pęk suchego drzewa. Tymczasem Serce prawe wyjął z torby myśliwskiej upolowaną dziką geś, oskubał ją, wypróżnił, a wszystko to trwało jedną chwilę. Następnie za pomocą krzesiwa rozpalil drzewo, ułożone w stos przez Cezara, ten zaś zastrugał kij i zatknawszy geś na rożen, umieścił ją przy ogniu. Wkrótce miły zapach rozszedł się dokoła w powietrzu.

Jakże to piecyste smakowało obu wędrowcom! Zabrali się do niego tak żwawo, że wkrótce z dużej geśi kosteczki tylko zostały.

Ściemniło się przez ten czas zupełnie, to też myśliwiec z murzynem udali się zaraz po wieczery na spoczynek. Noc upłynęła bez żadnych przygód; o świcie obaj się przebudzili jednocześnie i wyszli z szalasu. Cezar znowu wziął łódkę na plecy i puścili się w dalszą drogę. Słońce wzniosło się już wysoko ponad widnokręgiem, gdy stanęli na brzegu dość dużego, bagnistego jeziora. Myśliwiec zatrzymał się za kępą drzew, skąd widzieli doskonale całe jezioro, sami będąc ukryci.

— Jesteśmy na miejscu — rzekł Serce prawe.

— Czy to tu mają być bobry? — zapytał murzyn ze zdziwieniem.

— Tu właśnie są.

— Nigdzie ich jednak nie widać!

— Tak ci się zdaje, przypatrzo się lepiej. Czy nie osobliwego nie dostrzegasz na tem jeziorku?

— Ależ nie a nie.

— Czy tak? A przecież to jezioro jest prawdziwą osobliwością.

— Cóż ono ma w sobie nadzwyczajnego?

— Ani się domyślasz, że masz przed oczyma staw sztuczny, przez bobry urządzoney.

— Pan chyba żartuje.

— Wcale nie. Przedtem płynął tu tylko mały strumyczek, stawu nie było i śladu, niedawno się pojawił.

— I skądże się wziął?

— Stąd, że bobry w poprzek tej kotlinki zbudowały groblę, którą też i przez strumień przeprowadziły. Bieg jego tym sposobem się zatamował, woda wystąpiła z brzegów i zalała kotlinkę aż do grobli, na tej zaś powstał mały wodospad. Możesz to wszystko obejrzeć własnymi oczyma.

— To jednak rzecz dziwna — mówił murzyn, słuchający tych objaśnień z największą uwagą — bo z czegoż takie bobry mogą pobudować groblę?

— Ba! rąbią drzewo.

— Co, co? drzewo rąbią? — wołał murzyn ze zdumieniem — ależ do tego trzeba narzędzi?!

— Mają one narzędzia wyborne: i cieśla lepszymi się nie pochwali.

— Ależ to rzecz niepojęta!

— Nic niepojętego w tem niema. Stwórca dał im zęby nadzwyczaj silne i ostre; rozcinają nimi pieńki do trzydziestu i więcej centymetrów mające.

— Jakżeż one to ciężkie drzewo zanieść mogą do wody?

— Jeśli pień ma być użyty w całości, wybierają drzewko rosnące nad samym brzegiem strumyka i nacinają je dokoła zębami, a tak dowcipnie, że drzewko zawsze obali się w stronę wody. Ułożywszy dostateczną ilość takich większych kłoców, przeplatają je gałęziami i przyciskają ziemią i szlamem. Pracują tak dotąd, póki grobla nie dosięgnie dostatecznej wysokości. Czasem potrzebują i mniejszych kawałków drzewa, a wówczas ogolacają ścięte drzewko z gałęzi i przecinają je na części właściwej długości.

— O, cóż to za cuda, panie, cóż to za cuda!

— Niemniej zadziwiające są mieszkania, domy, które sobie bobry budują.

— To jest nory, nieprawdaż?

— Wcale nie, są to budynki w całym znaczeniu tego wyrazu. Bobry, samotnie żyjące, poprzestają na prostych mieszkaniach, lecz gdy się liczniej gromadzą, jak tu na przykład, stają się daleko wymyślniejsze, budują sobie domy nawet o kilku piętach.

— Ależ to trudne do uwierzenia!

— Tak jednak jest. Czy widzisz te pagórki zaokrąglone, tu i ówdzie rozsypane na wodzie u brzegów stawu, a nawet i po środku?

— Zauważyłem je od razu i chciałem już pana zapytać, co to takiego.

— Otóż to są właśnie domy bobrów. Budują je zwykle blisko brzegu, ale także i pośrodku stawu, urządzonego przez siebie na mieliznach. Wyrzebuja najpierw w kierunku ukośnym przejście podziemne, którego otwór ukryty jest pod powierzchnią wody. Budynek właściwy wznosi się ponad wodą, lecz tylko podwodne ma wyjście. Złożony jest z kawałków

drzewa, nagromadzonych z wielkim trudem i dowcipnie spojonych gliną, piaskiem i szlamem; tym sposobem tworzą się ściany mocne i trwałe, a całość przybiera, jak widzisz, kształt pagórka. Owe korytarze, wygrzebane w ziemi, znajdują się pod budynkami; te zaś dochodzą wysokości półtora do dwóch metrów. Wewnątrz zawierają dużą izbę główną i parę mniejszych, w których przemysłne zwierzęta gromadzą zapasy żywności. Są to korzonki, młode pędy roślinne, po większej części paki wierzb, topoli, olsz, jesionów i brzoź. Bobry także z upodobaniem ogryzają młodą korę z drzew, zwłaszcza brzożową. Nielatwo je zejść przy robocie, bo są nadzwyczaj lekkie i czujne i za najmniejszym szelestem ukrywają się w wodzie. W nocy nawet w osadach bobrów rozstawione są strażę, dające znać o niebezpieczeństwie szczególnem klaskaniem. Już to co prawda najsroższym nieprzyjacielem tych niewinnych stworzeń jest człowiek; w niektórych okolicach tak zawzięcie na nie polowano, że wytępiono je zupełnie...

— O ciszej, panie, ciszej — szepnął Cezar i wzrokiem wyteżonym spoglądał na staw.

— A tak, to one — odpowiedział myśliwiec również półgłosem — możesz je teraz dokładnie obejrzeć.

W rzeczy samej niezbyt daleko od brzegu, na którym stali nasi znajomi, wychyliło się z wody kilka bobrów. Gonily się po stawie, to dając nurka, to znów wypływając na powierzchnię, uderzając ogonami, a woda pluskała i rozbryzgiwała się dokoła. Podczas gdy jedne, młodsze zapewne, igrały w ten sposób wesoło, ukazały się inne, spokojne i poważne i spoglądały z daleka na zabawy swych towarzyszy, nie

okazując jednak najmniejszej ochoty wzięcia w nich udziału. Wreszcie popłynęły do brzegu i wylądowały. Cezar wstrzymywał oddech i patrzył na nie z ciekawością niewypowiedzianą. Bobry przysiadły na tylnych łapkach obok młodego drzewka rosnącego na brzegu stawu i zaczęły je zębami obrabiać. Nieraz obrywały duże kawalki kory i trzymając je w przednich łapkach, gryzły zawzięcie i wykrzywiały się przytem najzabawniej w świecie, co przypominało trochę małpy, gdy gryzą orzechy. Z ogólnej postaci, a zwłaszcza z ruchów, bobry mają dużo podobieństwa do wydry.

— Czy pan do nich nie będzie strzelać? — spytał Cezar ledwo dosłyszalnym głosem.

— Broń Boże — odrzekł również szeptem Serce prawe — strzał wystraszyłby je tak, że przez dni kilka żadenby nie wyszedł z kryjówki.

Chociaż obaj mówili bardzo cicho, musiały jednak bobry ich dosłyszeć. W mgnieniu oka pomknęły do wody i znikły.

— Jaka szkoda! — rzekł murzyn.

— Tym razem nie na długo się zapewne przestraszyły, — możesz stąd jednak brać miarę, jak są lekkie.

— Jakimże sposobem można schwytać takie mądre i przezorne zwierzątko?

— Nie łatwa to sprawa w rzeczy samej. Łowiec musi mieć tyleż przebiegłości i dowcipu, co i one. Opowiem ci, jak ja te łowy urządza. Mam do tego wyborne sidła, o mocnych, żelaznych kleszczach. Zastawiam je przy brzegu stawu, gdzie są mieszkania bobrów, wybierając do tego zazwyczaj godziny polu-

dniowe, bo one wtenczas siedzą w swoich kryjówkach. Nie dość na tem, wbijam oprócz tego pal w dno jeziora i przytwardzam doń sidła łańcuszkiem, bo inaczej silny zwierz pociągnąłby je za sobą i umknąłby wraz z sidłami. Za przynętę służy mała gałązka umieszczana w pewnej cieczy, mocno woniejącej, którą my miksturą nazywamy. Jeden koniec gałązki wkłada się w sidła, drugi sterczy nad wodą na siedm do dziewięciu centymetrów. Zwabiony ulubionym zapachem, bóbr się przybliża, a jeśli jest niedoświadczony, porywa gałązkę i z całych sił ją ciągnie. Tym sposobem porusza kleszcze, które wyskakują i chwytają go za nogi. Zwierzę przerażone usiłuje się wyswobodzić i zwykle póty nadaremnie szamocze się pod wodą, póki nie osłabnie i nie zginie. Czasem jednak duży i silny bóbr ciągnie za sobą sidła i wyrывa pal, a traper gonić musi za nim z trudem niemałym. Lecz w takim razie musi zaniechać nadal łowienia bobrów w tem miejscu, bo wypadek ten służy wszystkim za przestrożę i mają się potem na baczności. Stare doświadczone bobry nie tylko same nie wpadają w sidła, lecz ochraniają swych młodszych braci od niebezpieczeństwa; umieją bowiem tak zręcznie szturchać sidła kijem, że kleszcze zaskakują nic nie złowiwszy i nieszkodliwe się stają. Indykanie utrzymują, iż bobry mają rozum ludzki, mowy im tylko brakuje. Czasem naprawdę bierze ochota w to uwierzyć.

Myśliwiec umilkł, murzyn zamyślił się na chwilę, wreszcie zapytał:

— Czy pan zastawił już sidła w tym stawie?

— Zastawiłem ich z tuzin.

— I sądzi pan, że się co złapało?

— Zobaczymy. Sidła po większej części umocowane są z tamtej strony stawu. Może też się zlapało choć parę bobrów.

— A nie pójdziemy zobaczyć?

— Nie zaraz, za kilka godzin, jak słońce wyżej się wzniesie.

Czas ten upłynął szybko i obaj przeprawili się łódką na drugą stronę stawu, gdzie sidła były zastawione. Lecz ku wielkiemu niezadowoleniu naszego trapera, jeden tylko bóbr dał się ponętą «miksturą» zwabić do pułapki. Przyciągnięto go bez trudności do brzegu. Było to zwierzę dość okazałych rozmiarów. Długość jego ciała wynosiła około 80 centymetrów, długość ogona 30, a wysokość od stóp do grzbietu 28 centymetrów.

— Nie powiem jednak, ażeby bóbr bardzo był ładny — mówił murzyn, przypatrując się uważnie zdobyczy.

— Ładny nie jest — potwierdził Serce prawe — tułów ma szeroki i niezgrabny, szyję krótką i grubą, głowę dużą, pysk jakby obcięty; wszystko to nadaje mu postać ociężałą, pękata i niekształtną.

— Ale to futerko ciemno-brunatne jest przesliczne.

— Nie wszystkie są jednakowo zabarwione; u niektórych futerko miewa odcień popielatawy, a mnie samemu zdarzało się już łowić bobry białe lub centkowane. Lecz to są bardzo rzadkie wyjątki.

— Mnie ogon bobra wydaje się najdziwniejszy, a także i tylne łapy.

— Rozumiem, bo ogon pokryty jest łuskami zamiast sierści, a tylne nogi spięte błoną.

— A tak, jak to pan zgadł od razu.

— Bo widzisz bóbr jest doskonałym pływakiem. Tylnymi nogami posługuje się, jak wiosłami, ogon zaś zastępuje mu rudel, używa go do kierowania reszty ciała w wodzie. Ten szczególny skład tylnych nóg i ogona ma dla niego niezmiernie ważne znaczenie.

— Jakież to wszystko jest osobliwe!

Podczas tej rozmowy myśliwiec nie był bezczynnym; zastawił znowu sidła, potem odszedł z Cezarem dalej trochę od brzegu i zaczął zdejmować skórę z bobra.

— Taka skórka musi się drogo sprzedawać! — rzekł murzyn, który ośmielony przez myśliwca puścił wodze swej gadatliwości.

— Bardzo drogo. Gdyby te skóry nie były kosztowne, niktby się z takim trudem nie uganiał za bobrami. Patrz, pomiędzy gęstą i miękką sierścią są jeszcze włosy dłuższe, szczecinkowate. Te się wyrrywają z futra, gdyż mu piękności nie dodają, za to wyrabia się z nich wyborny filc na kapelusze i inne przedmioty, także dużą wartość mające w handlu. Z jednego bobra traper może mieć dochodu od 8 do 18 dolarów.

— Czy to podobna! pan chyba żartuje.

— Wcale nie; nie porachowałem nawet jeszcze bobrowego stroju, czyli *castoreum*.

— A cóż to znów takiego, ten strój bobrowy?

— Zaraz zobaczysz.

Zdejmowanie skóry ze złowionego zwierzęcia odbywało się z szybkością zadziwiającą. Myśliwiec odciął teraz mięsisty ogon bobra, zręcznym cięciem rozplątał brzuch w tem miejscu i wyjął coś nakształt

dwóch małych woreczków, a raczej pęcherzyków. Gdy rozciął je tym samym nożem, ukazała się masa gęsta, ciemna i szczególnie, przejmujący zapach rozszedł się w powietrzu.

— Ależ to wcale nie pachnie — rzekł Cezar, zatykając nos — czy to jest ten strój bobrowy, panie?

— Tak, ta substancja nazywa się także *castoreum*.

— Czemuż pan nie wyrzuci tej obrzydliwości?

— Bo mi za nią dobrze zapłacą.

— Na cóż to się może komu przydać?

— Jest to lekarstwo bardzo skuteczne w kurczach nerwowych.

— Aha! I ogona pan nie wyrzuci?

— Z ogona będziemy mieli wyborne śniadanie — rzekł Serce prawe.

— Ogień trzeba rozpalić! — zawołał Cezar i nie czekając odpowiedzi, wziął siekierę i poszedł po drzewo do lasu. W kwadrans potem soczysty ogon bobra smażył się przy ognisku.

— O, to to pysznie pachnie — mówił murzyn, wciągając woń pełną w nozdrza.

— A lepiej jeszcze smakuje — dodał myśliwiec.

Osobliwsza ta pieczeń gotowa była w krótkim przeciągu czasu i rzeczywiście okazała się bardzo smaczną.

— Czy i resztę mięsa bobra jeść można? — zapytał Cezar, oblizując się po śniadaniu.

— Będziemy jedli i resztę — odrzekł Serce prawe — szczególnie smaczne jest mięso bobrów, które się karmią liliami wodnymi, — ulubione to ich pożywienie.

Po śniadaniu myśliwiec powstał z kłody, na której

usiadł był wraz z murzynem, i zaczął zbierać swoje graty, gotując się do drogi.

— Co za głupia sprawa — rzekł niechętnie — żeby też teraz właśnie nie mieć szczęścia, kiedy mi te skórki najpotrzebniejsze. Widzę, że nie załatwię się z tem prędzej, jak za dwa lub trzy dni. Bardzo mi to nie na rękę.

Na stawie panowała głęboka cisza, ani jeden bóbr się nie pokazywał. Gdy dalej nieco odeszli, murzyn zapytał:

— A czy nie lepiejby to było, proszę pana, żebyśmy tu gdzie niedaleko od stawu poczekali?

— Na nieby się to nie przydało — odrzekł myśliwiec — odstraszylibyśmy tylko bobry. Zresztą dziś już niema co zaglądać do sidła, wrócimy więc jutro o tej samej porze.

— To nudna rzecz — mówił murzyn. Nie nudził się jednak wcale, a czas szybko upływał. Nazajutrz zastali dwa bobry złapane; trzech jeszcze brakowało do liczby, którą traper, wedle umowy, miał odnieść osadnikowi, jako resztę zapłaty za murzyna. Następnego dnia znowu dwa bobry były w sidłach.

— A do pioruna! jedna pułapka znikła! — zawołał Serce prawe z niezadowoleniem, przeszukawszy dokładnie miejsce, gdzie zastawił dnia wczorajszego sidła i nie znajdując ich nigdzie.

— A ot tam, tam! — zawołał Cezar, wskazując na środek stawu.

— Patrzyć go! Wyrwał pal i pułapkę mi zabiera — mówił traper, rzuciwszy okiem w tę stronę — ale poczekaj, bratku, ze mną nie taka łatwa sprawa. Dawaj tu prędzej łódkę!

Cezar poskoczył pędem strzaly i po chwili łódka kołysała się na wodzie. Traper wskoczył w nią razem z chłopcem, ujął wiosło silną ręką i pomknął chyżo za bobrem. Ten jednak nie dawał za wygraną: z zadziwiającą siłą ciągnął za sobą pułapkę wraz z ciężkim palem, do którego była uwiązana i płynął do swojego domu, dość oddalonego od wybrzeża.

— Możeby strzelić? — spytał Cezar, który gorąco pragnął czemkolwiek przysłużyć się swemu panu.

— Nie potrzeba — odrzekł Serce prawe — gdybyś trafił, ciężka pułapka pociągnęłaby go za sobą na dno, a tam musielibyśmy długo szukać zguby.

Tymczasem bóbr był już niedaleko swojego domu, ale i pogoń zbliżała się coraz więcej. Już mieli go dosięgnąć, gdy nagle zwierzę dało susa i znikło w wodzie.

— Niestety! już się pewnie dostał do swego korytarza i ukryje się w domku.

— Chciałby on tej sztuki dokazać — odparł spokojnie traper — ale mu się to nie uda, bo nie wejdzie do tego korytarza, mając nogi ściśnięte kleszczami.

— Więc gdzież on siedzi?

— U wejścia, i usiłuje dostać się do środka.

— I cóż dalej będzie? pan myśli, że on utonie?

— Nie; posiedzi biedak pod wodą, póki mu oddechu nie zabraknie, wypłynie na powierzchnię, na widok nas znów się zanurzy i będzie próbował wejść do korytarza, lecz zawsze nadaremnie. I tak raz po raz, póki go siły nie opuszczą. Wtedy z łatwością go z wody wyciągniemy.

— Tak się też stało, jak Serce prawe przepowiedział i bóbr wpadł niezdługo w jego ręce.

— Teraz mam już przecież sześć skórek — rzekł traper, kładąc bobra na dnie czółenka — i to wielkie szczęście, bo trzeba będzie na długo zaniechać łowów w tym stawie. Żaden bóbr ani się pokaże, wszystkie się zamurują w mieszkaniach, nie warto nawet siidel zastawiać.

Tegoż samego dnia przed wieczorem Serce prawe puścił się w drogę do osady Wattsona a murzyn służył mu za przewodnika. Dnia następnego około dziesiątej z rana Cezar oznajmiał, że najdalej za pół godziny staną na miejscu.

IX.

Za śladami.

Im więcej Serce prawe zbliżał się do miejsca, gdzie wedle wskazówek murzyna znajdować się miała osada Wattsona, tem posępniejszą i bardziej zamyśloną stawała się twarz jego. Często pochylał się ku ziemi i oglądał tam coś z wielką uwagą.

— Tłumy czerwonoskórych były w tej okolicy — mruczał półgłosem sam do siebie, przyspieszając kroku.

— Może i teraz są gdzie w pobliżu — odezwał się niespokojnie murzyn.

— Nie, to są ślady dawniejsze, z przed kilku dni. Pawnisy musieli się przenieść dalej. Daj tylko Boże, aby pobyt ich tutaj nie stał się przyczyną jakiego strasznego nieszczęścia.

— Czy pan ma na myśli osadę?

— W rzeczy samej.

— Cezar jest o to spokojny, do domu pana Wattsona nie łatwoby się Indyanie dobrali.

— Ba! tybyś może i rad był, żeby im się udało.

— Co pan chce przez to powiedzieć?

— Albo mało masz powodów nienawidzić mieszkańców tej osady?

— Jakież pan ma złe wyobrażenie o Cezarze! — rzekł murzyn ze smutkiem.

— To przecież rzecz bardzo prosta: nie możesz mieć życzliwości dla tych, którzy ci tyle złego wyrządzili.

— «Zemsta do mnie należy», mówi Pan, a ludzie nigdy za żadne krzywdy mścić się nie powinni. Czytałem to w pięknej książce, którą mi darował mój dawny pan — rzekł murzyn z prostotą.

— Ależ w tym razie nie byłbyś sam sprawcą ich nieszczęścia, więc trudno to zemstą nazywać z twojej strony, gdybyś...

— Gdybym się cieszył z ich niedoli? O, panie, a cóżby to było innego, jeśli nie uczucie zemsty?

— Wattsonowie są twoimi nieprzyjaciółmi, — toby cię usprawiedliwiał całkowicie.

— A jednak w tej pięknej książce napisano było, żeśmy powinni miłować nieprzyjaciół naszych i tych, którzy nam złe czynią.

— Ej, łatwo to powiedzieć, ale wykonać niepodobna.

— Czy pan Serce prawe naprawdę tak myśli? — pytał murzyn, przenikliwie spoglądając w oczy myśliwca.

— A gdyby tak było?

— Cezar zmartwilby się tem bardzo, ach, jak bardzo!

— Dlaczegoż to?

— Bo dobry, kochany pan Smith nigdy nie podobnego nie mówił, bo... bo...

— Powiedz śmiało, co myślisz! Czemuż nie kończysz?

— Bo Cezar miał nadzieję, że Pan Bóg dał mu drugiego pana równie dobrego, jak był tamten, którego zabrał do siebie — mówił chłopiec nieśmiało i oczy jego napelnily się łzami.

— Więc miałeś o mnie przedtem lepsze wyobrażenie, niż teraz?

— Pan Serce prawe ma taki piękny, szlachetny wyraz twarzy i tak mi we wszystkim przypominał pierwszego mego pana.

— Masz stąd naukę, że wyraz twarzy omylić może.

Murzyn zamyślił się na chwilę, potem twarz jego się rozpogodziła i mówił weselszym głosem:

— Cezar temu wierzyć nie chce. Pan Serce prawe próbuje tylko murzyna; nieprawdaż?

— A gdyby tak było rzeczywiście?

— O, Cezar byłby taki szczęśliwy!

— Widzę, mój Cezarze, że z ciebie naprawdę bardzo pocziwy chłopak, nie omyliłem się na tobie. Tak, w rzeczy samej, chciałem cię wypróbować; czyś teraz ze mnie zadowolony?

— A co! Ja wiedziałem, że pan jest dobry, i nie może tak myśleć — mówiąc to, murzyn pochwycił rękę myśliwca i nim tamten przeszkodzić temu zdołał, ucałował ją serdecznie.

Tak rozmawiając doszli do skraju lasu, skąd, jak upewnił Cezar, powinni byli obaczyć osadę Wattsonów. Murzyn pobiegł naprzód i nagle krzyk przeraźliwy wyrwał się z jego piersi.

— Co to jest? — zawołał myśliwiec, a na poważnej jego twarzy ukazał się wyraz przestachu.

— O Boże, jakie nieszczęście, jakie okropne nieszczęście! — powtarzał Cezar, łamiąc ręce.

Po chwili myśliwiec stał przy nim.

— To okropne! — szepnął półgłosem, utkwivszy wzrok osłupiały w smutne zgłiszczu i gruz, nagromadzone w miejscu, gdzie stały przedtem budynki osady.

— Biedna panna Ella! Biedni panicze! — mówił Cezar żałośnie i twarz ukrył w dłoniach.

— Trzeba to jednak z blizka obejrzeć — odezwał się po jakimś czasie myśliwiec, którego rysy odzyskały już zwykły spokój, i poszedł wraz z murzynem ku zgłiszczom. — Że Pawnisy są sprawcami tego zniszczenia — mówił półgłosem — to nie ulega żadnej wątpliwości.

— Czy pan sądzi, że ci niegodziwcy Indyanie wymordowali całą rodzinę? — spytał murzyn, a twarz jego, gdy to mówił, miała wyraz szczerego smutku.

— Niepodobna tego odgadnąć — odpowiedział Serce prawe. — Już to wogóle Pawnisy są okrutni, nie mają zwyczaju oszczędzać przeciwników, którzy im w ręce wpadną.

— Ach, to byłoby okropne! — szepnął murzyn i lzy po twarzy jego pociekły.

— A jednak — dodał myśliwiec — i to jest możliwe, że wzięli w niewolę dzieci osadnika. Co się

tyczy panny Elli szczególnie, rzecz jest nawet dość prawdopodobna, bo i oni nawet rzadko kiedy kobiety mordują.

— O panie, żeby to tak było naprawdę! Mogłaby się panna Ella wyswobodzić z niewoli.

— Zapewne, bo inaczej... śmierć nawet byłaby lepsza dla biednej dziewczyny, aniżeli niewola u Pawnisów.

— Ach! niech pan tego nie mówi. Może my ją zdołamy uratować, i braci.

— My?

— Czyż pan nie ulituje się nad nimi? Pan taki dobry, czyż nie zechce pan przyjść w pomoc nieszczęśliwym?

— Jakto, i tym niegodziwym chłopcom, którzy cię za wierzchowca używali?

— O! gdyby Cezar mógł ich uratować, jakżeby chętnie to uczynił! W większej książce powiedziano: chlebem płac za kamień.

— Gdyby to Orzeł czubaty tu był — szepnął Serce prawe sam do siebie tak cicho, że murzyn nie rozumiał słów jego, a głośniejsze dodał: — To dobrze, zrobi się, co będzie można. Ale wprzód musimy tu wszystko obejrzeć dokładnie.

Człowiek, nie znający zwyczajów puszczy, zdziwiłby się niezmiernie, gdyby był świadkiem, w jaki szczególny sposób Serce prawe oglądał widownię nieszczęścia. Często przykłękał na ziemi z oczyma utkwionymi w jakiś punkt, mierzył objętość śladów stóp, odciśniętych na ziemi, jedno z drugimi porównywał, chociaż deszcz znacznie te ślady pozacierał. Powracał po kilkakrotnie na jedno miejsce; najdrobniejszy przedmiot

zwracał na siebie jego uwagę. To postępowanie przypominało trochę wyżła, tropiącego zwierzynę. Nie wymówił przytem ani jednego słowa; wszystkie władze umysłu jego zwrócone były ku tym poszukiwaniom. Skończył wreszcie, stanął w ulubionej swej postawie, oparty na strzelbie i rzekł krótko:

— To dobrze — i pogrążył się w myślach; murzyn patrzył na niego w milczeniu, nie śmiejąc mu przeszkadzać. — To dobrze — powtórzył po raz drugi. Znać było i na twarzy i w głosie, że uczynił jakieś postanowienie.

— Czy pan co odkrył? — zapytał Cezar, który już dłużej nie mógł powstrzymać niepokoju i ciekawości.

— Rozmaite rzeczy.

— A Cezar nie mógłby się o tem dowiedzieć?

— I owszem. Otóż wiem teraz na pewno, że Wattson ze starszym synem przyszedł tu, gdy już było po wszystkim i zastał tylko zgłiszcza swojego mieszkania.

— A więc ci dwaj nie zginęli.

— Przynajmniej nie tu, można to twierdzić z całą pewnością.

— Żeby tylko później nie wpadli w ręce Pawnisów.

— Nie zdaje mi się, bo Pawnisy musieli już być daleko, gdy oni nadeszli.

— A jakże pan to wszystko wiedzieć może?

— Poznałem ze śladów. Ślady nóg osadnika i jego syna ukazują się wszędzie z wierzchu na śladach Pawnisów, ani razu nie napotkałem ich pod spodem. To jest dowód najlepszy, że Wattson daleko

później od nich tu chodził, oglądając zniszczenie już dokonane.

— Ach, to prawda! Jakże to doskonale wykrył pan Serce prawe. A czy nie odszukał pan także śladów panny Elli, paniczów, Tobiasza i Jerzego?

— Napotkałem ślady jednego tylko dorosłego człowieka zmieszane ze śladami Indyan i widoczne także dalej na drodze, wiodącej do lasu. Musieli więc Pawnisy uprowadzić ze sobą jednego z tych sług. Był też zapewne zraniony, bo znalazłem na śladach jego zastygłe krople krwi.

— I cóż jeszcze, panie? — wołał murzyn z niepokojem, gdy myśliwiec umilkł na chwilę — co się stało z panną Ellą? — i z nadzwyczajnem wzruszeniem, bez tchu prawie czekał odpowiedzi.

— Nigdzie nie natrafiłem na ślady małej, wąskiej nóżki dziewczęcej...

— O wielki Boże!

— A jednak mam nadzieję, że panienka ta żyje.

— Czy naprawdę? Ach, panie!

— Jeżeli Indianie nie zamordowali sługi tu na miejscu, tembardziej nie uczyniliby tego z młodą dziewczyną. Musieli ją posadzić na konia.

— To prawda! Tak, tak było niezawodnie i panienka żyje! Co za szczęście! — i widocznie miał ochotę podskoczyć z radości, lecz powstrzymała go myśl nowa i spytał. — A nie wie pan, co się stało z Benem i Dikiem?

— Obaj ci chłopcy prawdopodobnie żyją, jeśli ich jakie inne nieszczęście nie spotkało — mówił myśliwiec z wielką pewnością siebie i spokojem — a nie tylko żyją, lecz, jak sędzę, nie poszli wcale do niewoli.

Ten młodszy, Dik, był tu już po odejściu starego Wattsona z Janem, świadczą o tem wyraźnie ślady tego malca, pokrywające inne, tak czerwonoskórych, jak i ojca. Za nim przybiegł pies dość duży, zapewne jeden ze stróżów domowych. Później jeszcze od młodszego brata przychodził tu ów starszy, Ben; ślady jego, cokolwiek od tamtych większe, są najświeższe, po nim tu już aż do przyjścia naszego nie było żywego ducha. Ślady obu tych chłopaków idą po kilkakrotnie stąd w stronę lasu i napowrót, a co jest najdziwniejsze, prawie w jednym kierunku, chociaż z pewnością nie chodzili razem, tylko każdy z osobna.

— Cóż my teraz robić będziemy, proszę pana? — zapytał Cezar; znać było z oczu jego, utkwionych w myśliwca, jak niecierpliwie i niespokojnie czekał odpowiedzi.

— Musimy najpierw wykryć, co się stało z obu chłopcami. Panna Ella i służący są niezawodnie w rękach Indian. O wyswobodzeniu ich pomyślimy później, wprzód musimy się zająć losem malców, narażonych na największe niebezpieczeństwa, jeżeli sami błądzą w puszczy. Zresztą ojciec i brat starszy zapewne już puścili się za śladem dziewczyny. Oby tylko zachowali się roztropnie i ostrożnie, bo mogą z łatwością i sami uleść przemocy, nim zdołają wyrwać ją z rąk tych okrutników.

— Byle tylko ci straszni Indianie nie zamordowali tymczasem panienki — westchnął murzyn.

— Tego z pewnością nie uczynią. Oni nieraz i mężczyzn jeńców miesiącami żywcem trzymają, ko biety zaś, jak ci już mówiłem, rzadko kiedy mordują. A teraz naprzód, każda chwila jest droga.

Mówiąc to, myśliwiec przewiesił strzelbę przez plecy i puścił się wraz z murzynem w kierunku, który obrał Dik, gdy opuścił zgliszcza rodzinnego domu. Droge wskazywały mu ślady, dla niego tylko widoczne, pozostawione przez obu chłopców na trawie. Ślady te ciągle ukazywały się prawie razem, niekiedy rozchodziły się cokolwiek i znów potem łączyły. Obaj chłopcy widocznie powędrowali w głąb lasu.

— Zdawałoby się, że starszy brat podążył za młodszym, który go w każdym razie nie o wiele wyprzedził — odezwał się Serce prawe po dłuższem milczeniu — byłby to bardzo szczęśliwy zbieg okoliczności, i dla nich obu, i nawet dla nas, gdyby się spotkali w lesie. To się wkrótce pokaże.

I znowu czas jakiś postępowal w milczeniu, ciągle z największą uwagą odszukując ślady. W końcu zatrzymał się i mówił z pewnym niepokojem:

— Sądziłem zrazu, że brat starszy z umysłu szedł za śladem młodszego, chociaż zbacał od nich niekiedy. Ale, jak się teraz przekonuję, on tych śladów nie dostrzegał wcale, — po prostu przypadkiem puścił się w tym samym kierunku.

— Jakże pan to odgadł?

— Bo ślady obu chłopców tu się rozchodzą zupełnie i idą dalej w przeciwnych prawie kierunkach. Ben poszedł na południe, a Dik z psem zwrócił się na wschód.

— O panie! i co tu robić teraz?

— Ty sam rozstrzygnij, za którym z dwóch mamy się najpierw puścić.

— Mój Boże! Cezar pragnąłby pomóc jednemu i drugiemu jak najspieszniej...

— Lecz skoro to jest niepodobieństwem...

— Dik ma psa przy sobie, więc nie jest bez żadnej opieki.

— Dobrze mówisz, — i ja to już myślałem. Idźmyż więc za śladami starszego.

Z godzinę szli obaj w milezeniu, zwracając się ciągle ku południowi, naraz Serce prawe znów się zatrzymał.

— Hm! cóż to ma znaczyć? — rzekł ze zdziwieniem.

— Czy pan co nowego zobaczył? — spytał murzyn niespokojnie.

— Obok śladów chłopca widzę tu ślady dorosłego człowieka, z pewnością białego.

— Ach prawda! Tak są wyraźne, że ja sam widzę je doskonale, podeszwy obuwia odcisnęły się głęboko w miękkim gruncie — mówił Cezar, który przykląkł na ziemi i bacznie oglądał miejsce, wskazane przez myśliwca.

— Teraz musimy się jeszcze przekonać — rzekł Serce prawe — czy ślady idą i dalej razem, czy też się rozchodzą; chociaż to prawie niepodobna, aby chłopiec miał się rozstać z napotkanym człowiekiem.

I przyspieszonym krokiem poszli za śladami.

— Co to jest? — zawołał Cezar ze zdumieniem, zatrzymując się jednocześnie z myśliwcem i razem z nim spoglądając na liczne ślady, nie tylko stóp ludzkich, lecz kopyt koni i mułów, ukazujące się w tem miejscu. — O Boże! może to Indianie pochwycili tu biednego Bena!

Serce prawe nie zrazu nie odpowiedział, ukląkł na ziemi i z uwagą największą śladom się przypa-

trywał. Powstał wreszcie, twarz jego była spokojna, chociaż ów dziwny wyraz smutku, rozlany na niej zwykle, wyraźniej jeszcze zarysował się w tej chwili.

— To dobrze — powiedział krótko — teraz pójdziemy znowu za śladami młodszego.

— A cóż się mogło stać ze starszym, proszę pana?

— Według wszelkiego prawdopodobieństwa znajduje się w dobrych rękach.

— O, co za szczęście! — wykrzyknął Cezar.

— Z tych śladów łatwo poznać, że tu przechodziła gromadka myśliwców i traperów meksykańskich — rzekł Serce prawe, a potem, zwracając się w inną stronę, dodał tak cicho, że murzyn słów jego dosłyszeć nie mógł: — Któż wie, może przyszli prosto z moich stron rodzinnych...

Cezar był tak zajęty oglądaniem śladów, że nie spostrzegł nawet, jaki ból straszny odbił się w pięknych rysach jego pana. Myśliwiec ochłonął prędko ze wzruszenia, i głosem zupełnie już spokojnym powtórzył ulubione swoje wyrażenie:

— To dobrze — i zwracając się na tę samą drogę, którą tu przybyli, dodał: — Teraz pójdziemy odszukać młodszego.

Po jakimś przeciągu czasu powrócili do miejsca, gdzie ślady obu się rozdzielały, i podążyli dalej. Wkrótce musieli zwolnić kroku, gdyż las stawał się coraz gęstszy, coraz więcej niedostępny.

— Ten niemądry chłopak powlókł się w najdzikszą okolicę puszczy — mruknął myśliwiec, postępując ostrożnie, nie wahając się jednak ani na chwilę.

Pnie większych drzew nie stały tu wprawdzie nazbyt blisko jedne przy drugich, lecz pomiędzy nimi rosły najrozmaitsze niższe krzaki, a także wysokie zielone sitowia, przez które z trudnością przecisnąć się było można. Pośród olbrzymów leśnych odznaczały się szczególnie czarne orzechy amerykańskie, dochodzące 23 metrów wysokości. Pnie ich, wysmukłe i proste dopiero w górze, niedaleko od wierzchołka wypuszczają liczne konary, tworzące wspaniałą, rozłożystą koronę. Obok nich rosły przepyszne wiązy o liściach szerokich, dęby rozmaitych gatunków i wiele innych drzew najpiękniejszych, tej strefie właściwych.

Pomiędzy niższymi krzakami ukazywał się gdzieś niedziedzie jadalny sumak o liściach jasno-zielonych, podługnych, lśniących, których zapach wstrętny przestrzega ludzi i zwierzęta o zabójczych własnościach tej rośliny. Okazałe kasztany amerykańskie pokrywały miejscami znacznie większe przestrzenie, a na wybrzeżach strumieni stały długim szeregiem orzechy i wierzby.

Już wieczór się zbliżał, gdy dwaj wędrowcy zatrzymali się nad małym jeziorkiem, porośniętym przy niskich brzegach trzciną i wodnymi roślinami. Mnóstwo gęsi i dzikich kaczek pływało po jeziorze, lecz skoro tylko spostrzegły ludzi, zerwały się wszystkie z przeraźliwym wrzaskiem i odleciały.

— Ten chłopak musi mieć jednak strzelbę — rzekł Serce prawe, spoglądając za odlatującym ptactwem.

— Skądże to panu na myśl przyszło? — spytał murzyn.

— Dowiedziałem się o tem od tych ptaków.

— Nie pojmuję, co pan chce przez to powiedzieć.

— Bo w takiej dzikiej puszczy, gdzie człowiek ukazuje się bardzo rzadko, ptaki i wszelkie zwierzęta nie są wcale lękliwe; dają się zbliżyć do siebie i z największą łatwością podejść je można. Lecz gdy raz tylko usłyszą huk palnej broni, śmiałość opuszcza je na czas długi; na widok człowieka zaraz wrzask podnoszą i uciekają, jak tego mieliśmy przykład przed chwilą. Jeden tylko gatunek kaczek stanowi wyjątek od tego prawidła. Jest to tak zwana «strzałka», gdyż ma ogonek wydłużony w kształcie strzały. Jeżeli się strzeli w środek stada takich kaczek, głupie ptaki nie odlatają, tylko skupiają się dokoła zabitej i chowają główki pod skrzydła. Myśliwiec może wtedy wejść do wody i całe stado zabrać, jeśli ma ochotę.

— Coż to za głupie stworzenia! — zawołał Cezar.

— Ale nie o tem mówić chciałem — rzekł Serce prawe. — Otóż widzisz, z postępowania tych gęsi i kaczek wnosić można, że chłopak ma strzelbę i że w tem miejscu strzelał do ptactwa.

— Byłoby to wielkiem szczęściem dla niego, gdyby miał rzeczywiście broń przy sobie, zresztą mieć ją musi, bo się pan nigdy nie myli.

Myśliwiec szedł dalej brzegiem jeziora, nie tracąc z oczu śladów Dika.

— Czy pan widzi te piórka, rozsypane na trawie? — odezwał się po chwili murzyn.

— Rozumie się, że widzę — odrzekł Serce prawe — to są piórka dzikiej gęsi, którą chłopak zastrzelił, a pies zapewne z wody mu przyniósł. Tu w tem miejscu ptak był oskubany. Nie widzę jednak nigdzie śladów ognia, — nieborak oczywiście nie mógł go rozpałić. Zapewne więc

przelknął kawalek surowego mięsa dla zaspokojenia gwałtownego głodu, a resztę pies pożarł. To wielkie szczęście, żeśmy pośpieszyli na ratunek biednego chłopca, bo nie potrafiłby sobie radzić wśród tej dzikiej puszczy nawet ze strzelbą i psem, — tembardziej, że w tej porze roku niema tu jeszcze prawie żadnych jagód ani orzechów. Ale mam nadzieję, że go nieza długo dogonimy.

— Ach! żebyśmy go już dogonili! On jednak na parę dni przed nami puścił się w drogę.

— To prawda, lecz nie może iść tak prędko, jak my. Miejmy ufność w Bogu; los tego chłopca, zarówno jak i nasz, jest w Jego ręku. Patrz, patrz, teraz ślady idą prosto ku tym zarośłom, dochodzą aż do stóp pięknego różanecznika, co ma liście gładkie z wierzchu a pod spodem omszone i kwiaty tak przyjemnie woniejące. Chłopak tu musiał się rozłożyć na nocleg.

Mówiąc to, myśliwiec przyklęknął pod krzakiem i pochylił się do ziemi.

— Rzeczywiście tak jest, jak przypuszczałem — rzekł po chwili — trawa zgnieciona w miejscu, gdzie leżał. Porozrzucił też resztki patatów; musiał je przynieść z sobą, uzbierawszy zapas na uprawnych polach osady. Nierozsądnie było z jego strony, że w takiej gęstwinie nocował. Na odkrytem miejscu zawsze jest bezpieczniej, i od napadu zwierząt i od dzikich ludzi. No, ale śpieszmy, niema czasu do stracenia, jeżeli chcemy uratować biednego chłopca.

— Ach, panie! Cezar radby mieć skrzydła.

Po niejakim czasie, gdy zmierzch zupełnie zapadł, myśliwiec zatrzymał się, mówiąc:

— To darmo, wśród nocy nikt nie zdoła śladów

odszukać, nie widzę już nic a nic. Musimy tu zano-cować, innej rady niema.

Nie będziemy powtórnie opisywali przygotowań do noclegu; wszystko się odbyło tak samo, jak pierwszym razem. Po rozpaleniu ognia myśliwiec upiekł przy nim upolowanego tego dnia indyka; spożywszy ze smakiem wieczerzę, wędrowcy ułożyli się do snu, którego też do rana nic im nie przerwało. Nazajutrz, skoro tylko się rozwidniło, ruszyli w dalszą drogę, przyspieszając kroku o ile możliwości. Godziny poranne upłynęły szybko, a o południu upał wzmógł się prawie nie do wytrzymania. Wskutek tego podróżnicy zmuszeni byli czas jakiś wypocząć w cieniu rozłożystego drzewa, poczem na nowo puścili się w drogę, usiłując pośpiechem wynagrodzić czas stracony. Nieraz w ciągu dnia tego nadarzała się sposobność zabicia zwierzyny, lecz myśliwiec nie chciał się zatrzymywać i dopiero nad wieczorem zastrzelił parę jarząbków i cietrzewia, byle głód czemkolwiek zaspokoić. W ciągu dnia tego kilkakrotnie natrafiali na miejsca, gdzie Dik widocznie na nocleg rozkładać się musiał.

— Biedny chłopak! niewiele mu już sił zostało, skoro kilku dni potrzebował na przebycie tej drogi — mówił myśliwiec — pewnie ledwo nogami włoczy. A jak dziwnie błdził, jakby w kółko się kręcił! Daj Boże, ażebyśmy go odszukali jak najprędzej, bo wszystko to dowodzi, że nieborak z głodu, strachu i osłabienia zupełnie głowę stracił i na oślep krąży po puszczy.

— O panie mój drogi, śpieszmy, śpieszmy! — wołał Cezar, składając ręce i nie mogąc pokonać niecierpliwości; parę razy wyrwał się naprzód, chcąc

wyprzedzić myśliwca, prędko jednak spostrzegł, że sam nie potrafi odnajdywać śladów i powracał z westchnieniem.

Serce prawie śpieszył także wszelkimi siłami, bo czuł, że każda chwila opóźnienia mogła stanowić o życiu nieszczęśliwego chłopca. A jednak jeszcze i tego dnia nie zdołali go dogonić. Nadszedł wieczór. Myśliwiec był milczący i zadumany, Cezar nie śmiał ust otworzyć. Smaczne pieczone żadnemu z nich nie smakowało i większa część jego poszła nietknięta do torby podróżnej. I do snu nie mieli ochoty, siedząc naprzeciw siebie przy ognisku, w smutnych pograżeni myślach.

Noc nie zapadła była jeszcze zupełnie, lecz zmierzch szybko rozciągał nad światem czarną zasłonę. Z daleka ozwało się wołanie ptaka przedrzeźniacza, *Mimus polyglottus*, naśladującego najrozmaitsze głosy skrzydlatej rzeszy, poczynawszy od świego tu skowronka do przeraźliwego wrzasku orla. Ptak ten, do rzędu drozdów zaliczony, przedrzeźnia niejako wszystkich swych braci, — stąd pochodzi jego nazwa. Słychać było także swięgotanie drobniejszych ptasząt leśnych, gruchanie dzikich gołębi i niezbyt dźwięczny krzyk papug, sadowiacych się gromadnie w dziuplach drzew. Do tych niewinnych odgłosów dołączyło się i przygłuszone mruczenie kuguara, ostrzegając wędrowców, by się mieli na baczności. Lecz wzmagająca się ciemność stopniowo uciszyła ptactwo, a i kuguar powlókł się gdzieś dalej. Milczenie zapanowało dokoła i tylko szelest liści, powiewem wiatru poruszanych, odzywał się wśród głębokiej nocnej ciszy.

Myśliwiec usnął wreszcie tym snem niezmiernie

lekkim, właściwym ludziom, którzy są zwykle otoczeni niebezpieczeństwami. Już i Cezar drzemać poczynął, gdy nagle ogarnął go jakiś nieopisany niepokój. Nie mogąc go stłumić, zerwał się po chwili na równe nogi i usiłował przebić wzrokiem ciemności; nie jednak nie mógł dojrzeć, gdyż noc była nadzwyczaj ciemna, a księżyc za parę godzin dopiero miał wypłynąć na niebo. To poruszenie murzyna nie uszło uwagi myśliwca; przebudził się natychmiast i pochwycił strzelbę, gdyż nawet podczas snu miał lewe ramię przez ramię jej przełożone.

— Co się stało? — zapytał półgłosem, lecz nie czekając odpowiedzi, zerwał się także i pilnie nasłuchiwał.

— Czy słyszy pan? — szepnął Cezar — co to może być za głos?

— Jest zanadto oddalony — odpowiedział myśliwiec — abym mógł rozpoznać od razu, co to za stworzenie. Może sowa, albo... prawdopodobniej jeszcze — pies.

— Ja to już właśnie i sam myślałem — odrzekł murzyn.

— Tak, tak, nie ulega wątpliwości, to jest szczekanie psa — mówił Serce prawie po dłuższej chwili uważnego nasłuchiwania.

— Ale w takim razie to pies Dika!

— I ja tak myślę.

— Ach, panie! czyż nie pośpieszmy do niego?

— Trzeba czekać do rana.

— A jeżeli pies tym szczekaniem wzywa rątku? Może pan jego znajduje się w wielkim niebezpieczeństwie!

— Na to niema rady.

— Ależ, panie...

— Nie rozumiesz tego, że my sami narazilibyśmy się na najokrutniejsze niebezpieczeństwa, gdybyśmy niebaczenie wędrowali po nocy wśród puszczy.

— Ja myślałem, że pan się nie lęka żadnych niebezpieczeństw...

— Posłuchaj tylko: gdybyśmy broń Boże natrafili na bagna, zginęlibyśmy niechybnie. Bagno wśród puszczy, to jest rzecz okropna. Biada wędrowcowi, który na nie wpadnie! Gdy raz zagrzeźnie w miękkim trzęsawisku, już po nim; im więcej dokłada usiłowań, aby się wydostać z niego, tem głębiej zapada. Takie miejsca zazwyczaj są z wierzchu pokryte zielonemi roślinami, które niedoświadczony w dzień nawet łatwo wziąć może za zwyczajną murawę, cóż dopiero wśród ciemnej nocy! Najbystrzejszy wzrok nie rozpozna takiego trzęsawiska.

Murzyn milczał przez chwilę, wreszcie odezwał się błagalnym tonem:

— Jabym chciał pana o coś prosić.

— O co? mów śmiało.

— Niech mi pan pozwoli iść samemu! ja doskonale słyszę szczekanie psa i pójde prosto w tę stronę. Nie mogę słuchać tego bezczynnie!

— Idź, jeżeli chcesz koniecznie. Ale raz jeszcze ci powtarzam, że nim Dika uratujesz, sam zginąć możesz bardzo łatwo.

— Mniejsza o to! ja się nie boję! — odrzekł murzyn i nie zwlekając ani chwili, oddalił się szybkimi krokami.

— To dobrze — mruknął myśliwiec sam do

siebie — odważny, dzielny, najpocziwszy w świecie chłopak — i mówiąc to, wziął strzelbę do ręki i śpiesznym krokiem podążył za Cezarem.

— Poczekaj tam na mnie! — zawolał donośnym głosem.

— Jakto? czy pan już inaczej się namyślił? — wykrzyknął murzyn radośnie i pobiegł do swego pana.

— Namyśliłem się; dalej, w drogę!

— O, jakież pan dobry, jaki bardzo dobry!

I obaj śpiesznie biegli w stronę, skąd ciągle w krótszych lub dłuższych odstępach czasu dawał się słyszeć głos psa. Teraz, gdy już byli bliżej, nie mogli nawet wątpić, że to pies tak poszczekiwał i wylżałośnie, jak gdyby w przystępie trwogi.

— Jak się nazywały psy, które pan twój zostawił w osadzie? — zapytał myśliwiec.

W tej chwili byli już niedajeko miejsca, skąd dochodziło wycie psa, dziwnie złowrogo brzmiące wśród tej dzikiej puszczy i głuchej nocnej ciszy.

— Sultan i Nero, proszę pana.

— A czy na głos twój przybiegały?

— Jeden tylko Sultan, tamte wszystkie niecierpiały Cezara i rzucały się na niego. Pan Wattson i panice nieraz je podszczuwali umyślnie, — nie chcieli, aby się zaprzyjaźniły z murzynem.

— Nie bez powodu to czynili.

— Ach, tak, panie, nie bez powodu.

— Spróbuj zawołać na cały głos: Sultan!

Murzyn począł wołać z całej siły, aż echo rozległo się po lesie. Potem umilkł, — pies także się nie odzywał więcej.

— Teraz jestem pewny, że to rzeczywiście ten Sultan — rzekł myśliwiec — zawołaj jeszcze, ale łagodnie, pieszczotliwie.

Cezar usłuchał i po kilkakroć powtarzał imię Sultan w sposób wskazany.

— Pies już biegnie — mówił myśliwiec — wołaj jeszcze.

— Sultan tu, tu Sultan! — wołał murzyn, a w tejże samej chwili ogromne psisko wyskoczyło z zarośli i stanęło przed naszymi wędrowcami. Był to rzeczywiście Sultan, który ku wielkiemu podziwieniu murzyna, zaczął się doń lasić i lizać mu ręce, czego nigdy dawniej nie czynił. Po chwili odskoczył, podbiegł w stronę, z której przybył i znów się zawrócił, powtarzając to kilkakrotnie.

— Teraz i chłopca odnajdziemy niezadługo — szepnął myśliwiec i poszedł za psem.

— O Boże! żebyż tylko nie zapóźno — rzekł Cezar głosem wzruszonym.

Szli przez czas jakiś w milczeniu; wreszcie Serce prawe zatrzymał się i pochylił do ziemi.

— Co pan tam zobaczył? — spytał murzyn niespokojnie.

— Chłopca.

— O mój Boże! czy nie żyje?

— Nie wiem jeszcze, zobaczymy.

Myśliwiec podniósł się; trzymał on teraz Dika na silnych swych rękach, lecz nie zdawał się wcale czuć tego ciężaru. Głowa chłopaka spoczywała na jego piersiach, lecz zwieszona była bezwładnie, jak u trupa. Serce prawe wyniósł go z zarośli na miejsce odkryte i złożył na posłaniu z mchu i liści, które

Cezar na prędce przygotował, poczem przyłożył ucho do piersi chłopca. Murzyn czekał, powstrzymując oddech w sobie.

— Żyje — rzekł wreszcie Serce prawe.

— Żyje! Dzięki Ci Boże! — wykrzyknął murzyn i w uniesieniu radości dał potężnego susa.

— Nie ciesz się zawczasu — mówił myśliwiec poważnie — życie jego wisi na włosku, i to tak cienkim, że w jednej chwili może być po wszystkim.

— O, panie! trzeba go ratować!

— Przedewszystkiem poszukaj gdzie wody.

— Idąc tu widziałem mały strumyczek. Polecę i za dziesięć minut będę z powrotem.

— Weźże tę szklankę z sobą — rzekł Serce prawe i podał mu naczynie skórzane, które wyjął ze swej torby.

Murzyn popędził, jak jeleń; nie upłynęło i dziesięciu minut, a już powrócił z naczyniem napelnionem wodą. Myśliwiec bryznął nią silnie w twarz omdlałego chłopca i parę kropel wlał mu do gardła. Nakoniec Dik otworzył oczy i westchnął głęboko. Wzrok jego, nieprzytomny prawie, padł najpierw na murzyna: przerażenie okropne odmalowało się na twarzy chłopca i znowu zamknął oczy.

— O, jakiż ja głodny — wyszeptał po chwili, ledwo dosłyszalnym głosem.

— Nie dziwię się temu — rzekł myśliwiec dzwicznym, spokojnym głosem.

— Ojcie! — wykrzyknął chłopak, otwierając oczy i podnosząc się z wysileniem.

— Nie jestem twoim ojcem — mówił tamten

łagodnie, ale gotów jestem tymczasem zastąpić jego miejsce. Masz tu kawalek mięsa.

Cezar tymczasem na znak swego pana już był dostał z torby skrzydło pieczonego jarząbka, pokrajał je nożem na małe kawalczki i włożył jeden z nich chłopcu do ust.

— Gdzie ojciec?— spytał Dik, zając się chciwie.

— Ojca twego tu niema — odpowiedział Serce prawe — nie wiem, gdzie się obecnie znajduje.

— Więc ojciec ciebie nie schwytał, Cezarze? — pytał znów Dik — skądże ty się tu wziąłeś?

— Ten pan, dobry pan, Serce prawe, uratował mię od śmierci i teraz do niego należę.

Tu murzyn opowiedział w kilku słowach swoje przygody. Dik słuchał w milczeniu i żarłocznie polykał kawałki mięsa, które mu Cezar do ust wkładał.

— Dosyć — rzekł myśliwiec — nie można mu na raz dawać jeść tak dużo.

— Mogę poczekać — odrzekł chłopiec — już nie jestem tak okropnie głodny i czuję się zupełnie dobrze.

— To dobrze, jeżeli to tylko głód tak cię osłabił, będziesz jutro zdrow. Pójdźże teraz z nami do naszego obozu, tam wygodniej się wypiszesz, — oprzeż się na Cezarze!

Dik musiał sobie przypomnieć okrutną swoją jazdę na murzynie, gdy ten pocziwiec z największą troskliwością go podtrzymywał i przybywszy do obozu, pomagał mu ułożyć się na miękkim posłaniu z mchu i liści.

X.

Twierdza.

Nazajutrz o świcie Dik obudził się jednocześnie z myśliwcem i Cezarem. Chociaż czuł się bardzo osłabiony, nie wątpił jednak zrazu, że będzie mógł puścić się w drogę z obu towarzyszami, których mu Opatrzność zesłała. Lecz okazało się wkrótce, iż przecenił swe siły: postępował z wielką trudnością, dysząc ciężko i ledwo nogami włócząc, co nie uszło uwagi myśliwca.

— Cóż robić — rzekł on, zwracając się do Dika — musisz dziś wypocząć, mój chłopcze, bo nie nadażysz za nami. Jeden dzień zwłoki nic nie stanowi; rozłożymy tu obóz, a jutro, gdy będziesz silniejszy, powędrujemy dalej.

Zatrzymali się na szczycie wzgórza, w cieniu kilku wyniosłych drzew; niższych zarośli nie było nigdzie dookoła. Na zachód ciągnął się rozległy step, właściwy tej okolicy, z innych stron las bezgraniczny jak okiem sięgnąć otaczał wzgórze.

— Jakież to pyszne miejsce na obóz — rzekł Cezar, usiłując pocieszyć zasmuconego Dika.

— W rzeczy samej niezłe — odparł Serce prawe — teraz przedewszystkiem trzeba pomyśleć o jakiejś większej zwierzynie; dotychczas brakło nam na to czasu. Zostań tu z chłopcem, Cezarze, a ja powrócę do tej polanki, gdzieśmy nocowali, bo spostrzegłem tam ślady całej gromadki jeleni.

I zaledwie wymówił te słowa, puścił się w drogę, a po chwili wyniosła jego postać znikła wśród gę-

stwiny leśnej i Dik z Cezarem pozostali sami. Pierwszy z nich był niezmiernie milczący, tylko wzrok jego często ze szczególnym wyrazem wzruszenia zatrzymywał się na uśmiechniętej twarzy murzyna; ten zaś z wielką gorliwością urządzał dla osłabionego chłopaka wygodne posłanie z mchu i liści.

— Chodź, usiądź tu przy mnie — odezwał się wreszcie Dik, usadowiwszy się na tej miękkiej pościółce.

— Ja sobie tu stanę, panie — odrzekł Cezar, i urwawszy gałązkę, stanął za chłopcem, oparty o drzewo i począł opędzać z twarzy jego i szyi dokuczliwe komary.

— Zostaw to, zostaw — mówił Dik — ja się sam potrafię opędzać od komarów, a ty usiądź przy mnie.

— Panicz jest bardzo dobry dla Cezara — odpowiedział murzyn, siadając przy dawnym swoim prześladowcy.

— A najpierw proszę cię, nie nazywaj mnie paniczem, tylko po prostu mów mi po imieniu, «Diku» — rzekł chłopiec.

— Ależ jabym nie śmiał — tłumaczył się Cezar zakłopotany.

— Proszę cię, zrobisz mi tem wielką przyjemność.

— Czy panicz szczerze to mówi?

— Najzupełniej szczerze.

— A więc dobrze, jeżeli Dik życzy sobie tego.

— Zostaw te wszystkie ceremonie i bądźmy z sobą na ty. Jestem młodszy od ciebie i niczem nie lepszy.

— Co też Dik mówi! Ja jestem tylko biedny murzyn.

— Jesteś najzacniejszy w świecie chłopak, dobrem za złe mi odpłacasz! Ach! Cezarze, czy to być może, żebyś ty naprawdę mnie i bratu memu zupełnie przebaczył okrutne postępowanie nasze z tobą?

— Cezar o wszystkim zapomniał, — niechże i Dik nie wspomina o tem więcej.

— I nie masz żadnej nienawiści do nas?

— Najmniejsze, wierzaj mi, Diku.

— Podajże mi rękę na znak zgody i przyjaźni.

Uścisnęli sobie dłonie serdecznie i swobodnie gawędzić zaczęli. Dik nigdy przedtem nie zniżał się do rozmowy z pogardzanym murzynem; zdziwił się też niezmiernie, spostrzegłszy, że był bardzo roztropny, i daleko więcej umiał od niego. Coraz też więcej utwierdzał się w przekonaniu, jak niesprawiedliwie i niegodnie czynił, pogardzając tym biedakiem i obchodząc się z nim gorzej, niż z bydłem, dlatego jedynie, że miał czarną skórę. Zrozumiał teraz, że wartość człowieka nie na takich powierzchownych cechach polega.

W parę godzin powrócił myśliwiec, niosąc na plecach tłustego, młodego jelenka. Oczy jego radością błysnęły, gdy spostrzegł poufale stosunek obu chłopaków. Nic jednak nie powiedział, ani nie okazał zdziwienia, jak gdyby to było rzeczą zupełnie zwyczajną. Murzyn rozpalil ogień i wkrótce soczysta pieczeń smażyła się na rożnie drewnianym, miłą woń roznosząc dokoła. Dik tymczasem umilkł znowu, zamyslił się głęboko i parę razy westchnął z wyraźnym smutkiem.

— Myślisz zapewne o rodzinie — ozwał się Serce prawe, który odgadł powód smutku chłopaka — nie

martw się jednak i nie trwóż zbyt. Jak ci to już powiedziałem, ojciec twój i dwaj bracia, według wszelkiego prawdopodobieństwa nie wpadli w ręce Indyan, którzy porwali tylko siostrę twoją i starego sługę. Że ich jednak nie zamordowali, o tem jestem najmocniej przekonany. Mam nadzieję, że ich wszystkich z pomocą Bożą wyswobodzimy. Nie trąp się więc smutnymi myślami, bo to źle wpływa na zdrowie, a ty potrzebujesz siły odzyskać, abyś nam mógł towarzyszyć. A teraz nam opowiedz, jakim sposobem udało ci się wyrwać z rąk tych dzikich Pawnisów w owej strasznej godzinie, gdy napadli na wasze mieszkanie.

Dik zaczął opowiadać od początku, jak Indyanie zakradli się pod palisadę, jak przeskoczyli przez nią i wpadli na dziedziniec, co wszystko już wiemy; dalej zaś mówił w te słowa:

— Nie mieliśmy jeszcze czasu zamknąć za sobą drzwi mieszkania, gdy Indyanie wpadli tam razem z nami. My z Benem bieглиśmy najprędzej. Ja wdrapałem się po drabinie na strych i ukryłem się pod stosem kukurydzy tam złożonej. Nie wiem doprawdy, czemu Ben nie poszedł za moim przykładem. Leżąc tak nad pulapem, słyszałem tylko, jak Tobiasz kłął i krzyczał. Elli ani Bena nie było slychać. Wstyd mi bardzo, że nie próbowałem nawet ratować kochanej mojej siostrzyczki; oplakałem gorzkimi łzami to tchórzostwo, lecz z przerażenia zupełnie straciłem przytomność.

— Niepotrzebne sobie czynisz wyrzuty — pocieszał go myśliwiec — cóżbyś ty mógł poradzić przeciw tak licznyemu napastnikom?

— Co się dalej stało z Ellą, Benem i Tobiaszem, tego już nie wiem — mówił Dik po chwili milczenia — musiałem chyba zupełnie odejść od zmysłów. Jak przez sen przypominam sobie tylko, co się działo ze mną; raz mi się wydało, że ktoś chodził koło mnie, ale musiało to być przywidzenie. Gdy przyszedłem do siebie, cicho było w całym domu, słyszałem tylko trzaskanie, jakby palącego się drzewa i dym okropny mnie dusił; spostrzegłem, iż wydobywał się z dołu przez pulap. Przerażony, wyskoczyłem z mojego ukrycia; miałem przy sobie strzelbę i rożek z prochem. Pobiegłem do drabiny ale cała już stała w płomieniach, a ogniste języki dochodziły aż do strychu. Tą drogą uciekać nie mogłem. Wybiegłem więc na dach, gdzie ojciec urządził małą strażnicę i stamtąd zobaczyłem dom cały w płomieniach. Nie było innego ratunku, jak zeskoczyć z dachu na dziedziniec, a że to było niezbyt wysoko, nie mi się złego nie stało.

Zaledwie odbiegłem o kilkanaście kroków, gdy dach runął z łoskotem. Suche belki paliły się nadzwyczaj szybko; jeszcze nie dostałem się był do lasu, a już odwróciwszy się, ujrzałem na miejscu, gdzie stał nasz dom, ogromny stos palącego się drzewa, nic więcej. Tak okropnie obawiałem się pogoni Indyan, że zeskoczywszy z dachu, pędem uciekałem do lasu. Nie zatrzymałem się nawet dopadłszy do gęstwiny, biegnąc bez odpoczynku coraz dalej; byłem jakby obłąkany, nie mogłem myśli zebrać, ani się zastanowić. W lesie spotkałem poczciwego Sultana; musiał on podczas zamieszania uciec tak samo, jak i ja, od Indyan. Ucieszyłem się niezmiernie na widok wiernego psa, a i on także witał mnie z wielką czułością.

Później dopiero przyszło mi na myśl, że ojciec z Janem wrócić pewnie do osady, że więc nie należy się od tego miejsca oddalać. Tymczasem zabiegłem tak daleko w głąb puszczy, że trudno mi było trafić napowrót, i gdyby nie Sultan, który mnie z lasu wyprowadził, możebym sobie i nie był dał rady. Kilka dni i nocy spędziłem przy zgliszcach naszego domu, czekając na ojca i Jana, a co wycierpiałem, i wówczas, i potem błądząc w puszczy, tego wypowiedzieć nie potrafię.

— Wierzę ci, biedaku — rzekł myśliwiec — ciężkie was wszystkich nawiedziły ciosy. Lecz z wolą Boga zgodzić się potrzeba; on wie, co czyni, pewnie też nie bez celu nieszczęście to zesłał na was.

— O tak — mówił Dik wzruszonym głosem — Bóg nas ukarał ciężko, lecz sprawiedliwie. I ja i brat mój Ben zawiniliśmy bardzo. O, jakże jesteśmy upokorzeni i zawstydzeni!

— To dobrze, mój chłopcze, żeś sam już przyszedł do tego przekonania. A teraz powiedz mi jeszcze, czy spostrzegłeś ślady brata twego Bena w lesie, czy też przypadkiem tylko szedłeś czas jakiś tą samą drogą?

— Przypadkiem tylko, panie myśliwy.

— Nazywaj mnie Sercem prawem bez żadnych ceremonii; to imię jest mi najmiłsze.

— Jeżeli Serce prawe życzy sobie tego, będę posłuszny.

— Wszak ci już powiedziałem, że brat twój Ben napotkał białych myśliwców i znajduje się zapewne pod ich opieką. Obaj więc jesteście bezpieczni.

— A Serce prawe tyle sobie trudu zadał, aby

mię odszukać i uratować. I ten murzyn poczciwy, z którym obchodziłem się tak okrutnie, stał się moim wybawcą. O mój Boże!

— To dobrze, nie mówmy już o tem. Teraz musimy się namyślić, jakim sposobem wyrwać twoją siostrę ze szponów Pawnisów. Mam już pewien pomysł.

— Czy naprawdę? — pytał Dik ze wzruszeniem i niepokojem — jakież to pomysł ma Serce prawe?

— Przedewszystkiem muszę wyznać, że sam nie wiele uczynić mogę i darmobym się porywał na potężne plemię Pawnisów. Muszę więc postarać się o pomoc.

— O pomoc? Ależ to zapewne nie łatwa sprawa.

— Nie tak jednakże i trudna, jak ci się zdaje. Jestem zaprzyjaźniony w najserdeczniejszy sposób z innym plemieniem indyjskim, niemniej potężnem, noszącem nazwę Osagów. Osagowie są odwiecznymi nieprzyjaciółmi Pawnisów i byłem tylko poprosił ich o to, natychmiast wypowiedzą im wojnę, ja zaś pójdę razem z nimi. Jakkolwiek nie chciałbym pobudzać Indian do walk bratobójczych, jednak dla uratowania białych ludzi, musimy się uciec do tej smutnej konieczności.

— O Boże! Serce prawe chciałby to uczynić, by siostrzyczkę moją wyswobodzić? — zawołał Dik, składając ręce — czemże my potrafimy wywdzięczyc się za takie poświęcenie!

— To nie jest żadne poświęcenie — rzekł myśliwiec. — Powinniśmy przychodzić bliźnim z pomocą w potrzebie, — to obowiązek chrześcijański.

— A czy to stąd bardzo daleko do tych Osagów? — zapytał Cezar.

— Wcale nie blisko — odrzekł Serce prawe — najmniej pięćdziesiąt, może i sześćdziesiąt mil.

— Niestety! — jęknął Dik.

— Ileż dni iść potrzeba, aby się tam dostać? — pytał dalej murzyn.

— Nieraz, gdy okoliczności wymagały pośpiechu, przebywałem tę przestrzeń w tydzień, a nawet i prędzej. Teraz także radbym się dostać jak najspieszniej do moich przyjaciół czerwonoskórych.

— Cezar z pewnością nadaży za panem — rzekł murzyn.

— Nie wątpię o tem, lecz czy nadaży Dik?

— Kto wie, zobaczymy — odezwał się chłopak.

— Jesteś nadto osłabiony i wycieńczony.

— Gdy powiem sobie, że idzie o ocalenie ukochanej mej siostry, będę silny i wytrwały.

— Chęci masz pewnie jak najlepsze, ale czy zdołasz je wykonać? Spróbujemy. Dziś w każdym razie wypoczywać będziesz dzień cały.

— Mnie się zdaje, że już mi sił przybyło, mógłbym dziś jeszcze przejść mil kilka.

— To dobrze, możemy spróbować; wprzód jednak posilimy się tą wyborną pieczenią.

— Pieczeń już gotowa — odezwał się Cezar, który pilnował różną.

W godzinę potem trzech wędrowcy puścili się w drogę i szli, nie zatrzymując się do samego wieczora. Dik nie ustał ani na chwilę, znać było jednak, że szedł z największym wysileniem. Przewyciężył wprawdzie znużenie, ale go to dużo kosztowało. Wieczorem jadł bardzo mało, nie skarżył się na żadne cierpienie, położył się i zasnął, lecz sen jego był nad-

zwyczaj niespokojny. Serce prawe kilka razy zbliżał się do niego, dotykał ręką jego czoła i smutnie kiwał głową.

— Będziemy musieli podróż przerwać na czas dłuższy — szepnął do murzyna, który także czuwał jeszcze — Dik na dobre zachorował, ma silną gorączkę. Jutro rano przyrządzę mu napój orzeźwiający ze znanych mi ziół.

— Czy to niebezpieczna choroba? — spytał Cezar niespokojnie.

— Nie sądzę, teraz przynajmniej niema jeszcze żadnego niebezpieczeństwa. Żałuję jednak niezmiernie, że chłopak nie może iść dalej choćby tylko przez dzień jutrzejszy.

— Dlaczegoż przez dzień jutrzejszy? Cóżby nam stąd przyszło?

— Bo o dzień drogi od tego miejsca mam w tej puszczy małą twierdzę, leżącą w takiej okolicy, gdzie w razie potrzeby możnaby bardzo wygodnie na czas dłuższy zamieszkać.

— Twierdza? ciekawa rzecz, jak też to może wyglądać — mówił murzyn.

— Jest to schronienie doskonale ukryte i zabezpieczone. Mam tam skład rozmaitych przedmiotów, których zabrać z sobą nie mogę: trochę odzienia, zapas kul i prochu, nawet i broń. Każdy porządniejszy myśliwiec i traper upatruje sobie takie kryjówki w puszczy, inaczej bowiem byłby nieraz w kłopot, gdy mu zabraknie amunicji, bo wielkich ciężarów niepodobna ciągle na sobie dźwigać. W mojej twierdzy jest pomiędzy innemi gratami wyborna strzelba, którą wła-

śnie dla ciebie przeznaczyłem, Cezarze, bo nie chcę, żebyś wędrował w puszczy bez broni.

— O, jakież pan Serce prawe jest dobry dla mnie! Cóż to będzie za radość dla Cezara, gdy tę strzelbę dostanie! — i murzyn miał ochotę podskoczyć.

— Żebyśmy tylko mogli dojść do tej twierdzy. To kłopot straszny z tą chorobą Dika.

— Jabym go mógł doskonale zanieść na plecach do tej fortecy, proszę pana — mówił Cezar.

— Wiesz co, to myśl wcale nie zła — odrzekł myśliwiec — na plecach nie pozwolę ci dźwigać chłopca, ale zrobimy nosze z gałęzi i we dwóch go zanieśliemy; to nas zbyt znacznie nie zmęczy.

— O! jakże to pan wyśmienicie wymyślił! tak, tak, na noszach go zanieśliemy — wołał Cezar uradowany.

Nazajutrz okazało się, że stan biednego chorego, jakkolwiek nie pogorszył się znacznie, nie a nie się nie polepszył. Miał czoło i policzki gorące, usta spieczzone i pragnienie strasznie mu dokuczało. Serce prawe przyrządził napój z ziół leczniczych, ale i to mu żadnej na razie nie przyniosło ulgi; chłopiec jednak zaklinał na wszystko myśliwca, aby podróży nie przerywał, i upewniał, że pójdzie tak śpiesznie, jak i wczoraj.

Serce prawe pokręcał głową, pozwolił mu jednak popробować, lecz Dik bardzo prędko tak upadł na siłach, że prawie omdlały osunął się na ziemię. Myśliwiec zabrał się niezwłocznie z pomocą murzyna do sporządzenia noszy. Niewiele to czasu zabrało; poczem ułożywszy chorego na miękkiej pościółce z mechu i liści, wzięli nosze na plecy i poszli dalej. Jakkolwiek pośpieszali o ile tylko mogli, nie zdołali jednak z takim

ciężarem dotrzeć tegoż samego dnia do owej twierdzy. Dopiero nazajutrz w godzinach porannych przybyli do prześlicznej malowniczej okolicy. Nie była to już dzika, jednostajna puszcza, roślinność nawet miała tu cechy całkiem odmienne. Pasma niewielkich wzgórz, drzewami porosłych, ciągnęło się w kierunku zachodnim; małe kotlinki, pokryte ukwieconymi łąkami, przecinały w różnych kierunkach lesiste wyżyny. Porozrzucane tu i ówdzie skały o kształtach dziwnych, podnosiły jeszcze urok pięknego krajobrazu.

— To miejsce — mówił Serce prawe — należy do najrozkoszniejszych, jakie mi się w życiu napotkać zdarzyło. W tych gąszczach leśnych mnóstwo jest zwierzyny wszelkiego rodzaju, — a nigdzie też, na sto mil dokoła, nie znajdzie się tyłu drzew owocowych, krzewów, smaczne jagody wydających, i ziół przeróżnych o soczystych, jadalnych korzeniach. Błogosławiona ta kraina zajmuje znaczną przestrzeń, — od północy graniczy z niezmiernymi stepami. Nieraz tu już przebywałem po kilka tygodni, opływając w wygodę, jakich nie posiada żadna inna część puszczy.

Tymczasem wędrowcy nasi dostali się na szczyt wzgórza, którego stoki porosłe były taką gęstwiną drzew, krzaków i wijących się roślin, że nie bez trudności się przez nie przedzierałi.

— Jesteśmy na miejscu — rzekł Serce prawe i zatrzymał się na wierzchołku pagórka, uwieńczonego licznymi, stromo sterczącymi skałami; u stóp jednej z największych złożono nosze, na których Dik spoczywał. Skała ta od dołu była prawie prostopadła, tak, iż najzręczniejszy gimnastyk nie zdołałby się wdrapać na nią, — dopiero na wysokości pięciu me-

trów conajmniej ukazywały się rozpadliny i szpary. Gęste zarośla przytykały do niej, a pośród zieleni wytryskało u stóp jej źródło czystej, przejrzystej wody. Tuż obok wznosiły się dwa piękne drzewa tulipanowe, których wysmukłe pnie dochodziły trzydziestu metrów wysokości; najwyższe ich gałęzie pokryte były przepysznyimi kwiatami, z kształtu podobnymi do lili, o barwie jaskrawej, mieniającej się w odcienia złociste, pomarańczowe i czerwone.

— Na miejscu jesteśmy? — powtórzył Cezar zdziwiony, oglądając się bacznie dokoła — jeżeli to ma być miejsce mieszkalne! Jabym był przysięgł, proszę pana, że tu nigdy jeszcze stopa ludzka nie stała.

— To ustronie ma w samej rzeczy taki pozór, co stanowi właśnie największą jego zaletę.

— I czy to tę skalę pan «twierdzą» swoją nazywa?

— Tak, za chwilę zobaczycie ją sami, a ty, Cezarze, możesz i zaraz iść za mną.

Mówiąc to, myśliwiec zdjął z siebie strzelbę, postawił ją pod drzewem, złożył na ziemi siekierkę i torbę myśliwską, — potem z zadziwiającą zręcznością wdrapał się na pień tulipanowca, najwięcej zbliżonego do skały. Zrównawszy się z miejscem, gdzie stroma ściana poczyniała się rozpadać na szpary, szczeliny i sterczące cyple, przeskoczył jednym susem z gałęzi na skalę i w tejże samej chwili znikł z oczu zdumionych chłopców.

Cezar czekał parę minut z widoczną niecierpliwością, wreszcie, nie mogąc wytrzymać, wlaż także na drzewo tulipanowe, a następnie przeskoczył na

skalę w tem samem miejscu, co i myśliwiec. Nadaremnie jednak zaglądał, szperał, nigdzie nie dostrzegł nic podobnego do przejścia do kryjówki, dokądby człowiek mógł się schronić, żadnego śladu nie zostawiając po sobie.

— A to dopiero ciekawa rzecz, gdzie on się mógł podziać — mruczał murzyn sam do siebie, drapiąc się za uchem.

— I cóż tak bardzo ciekawego? — odezwał się w tej chwili tuż obok niego głos myśliwca. Cezar obejrzał się, ale i teraz dojrzeć go nie mógł: zdziwienie chłopca doszło do ostatecznych granic. A wtem w pobliżu miejsca, na którem siedział, głaz poruszył się zwolna i niewielka, płaska płyta się podniosła, odkrywając wązki otwór. Ukazał się w nim Serce prawe, unoszący na ramionach niezbyt ciężką płytę, którą wreszcie na bok trochę odsunął.

— O! cóż to za wyborna kryjówka — wykrzyknął murzyn zachwycony.

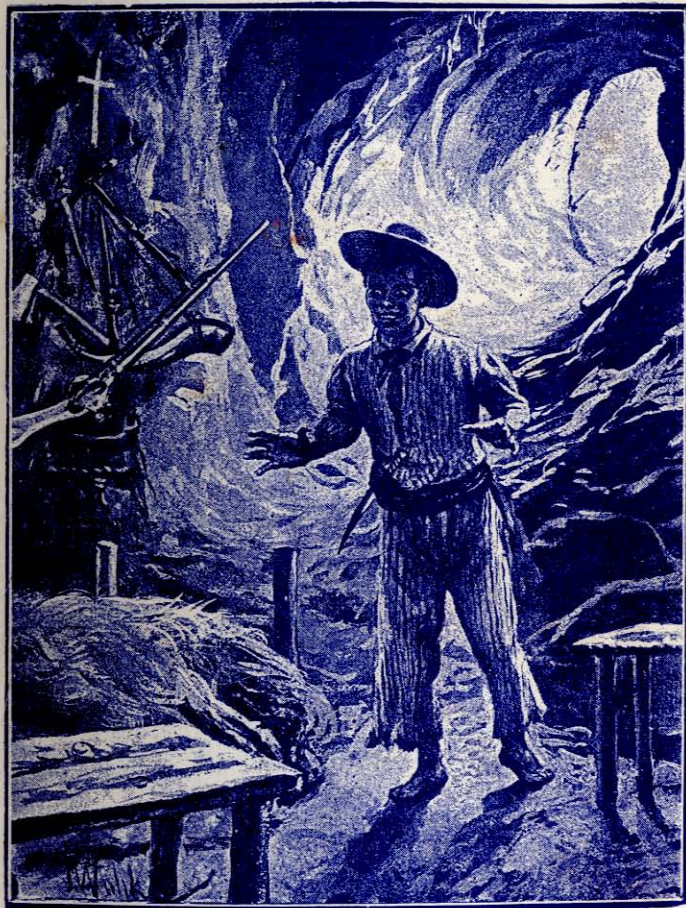
— Nieprawdaż? — odrzekł tamten z uśmiechem — drugiej podobnej nie znalazłbyś w całej puszczy. Ale chodźże tu bliżej i obejrzyj dokładnie moją twierdzę.

Cezar nie czekał powtórnego wezwania; schylił się i na czworakach wpelznął do ciasnego przejścia, które jednakże bardzo prędko rozszerzać się zaczęło, tak, że i murzyn po chwili mógł się wyprostować. Przejście to prowadziło do obszernego i wysokiego podziemia; nie było tam zupełnie ciemno, gdyż w ścianach skały ukazywały się liczne szczeliny, wpuszczające do wnętrza światło dzienne i świeże powietrze. Otwory te mogły w potrzebie służyć za strzelnice,

a tym sposobem kryjówka ta rzeczywiście zasługiwała na nazwę twierdzy.

Jeżeli już sama budowa podziemia wprawiła murzyna w zdumienie, o ileż więcej zachwyciło go wewnętrzne urządzenie i przyozdobienie tego schronienia. W kącie, na grubej warstwie miękkiego mchu leżało kilka przepysznych skór niedźwiedzi i tygrysich, a obok nich duża koldra welniana, rozesłana na ziemi. W innem miejscu stał stolik a przy nim ławeczka. Sprzęty te były, rozumie się, bardzo proste; składały się z kilku kijów wbitych w ziemię i splecionych loziną w sposób, który im kształt żądany nadawał. Taka gęsta plecionka tworzyła i blat stolika, i siedzenie u ławeczki. Ale pomimo pierwotnej swej prostoty, sprzęty te jednak ogromną wygodę stanowiły w głębi puszczy.

Na kolkach, wbitych w ścianę, wisiała owa strzelba, o której wspominał myśliwiec; obok niej siekierka i parę noży, dalej róg bawoli olbrzymich rozmiarów, napelniony prochem, worek z kulami, odzienie rozmaite i obuwie. W innem miejscu zawieszony był duży worek skórzany; na zapytania murzyna Serce prawe objaśnił, że to był zapas «pemi-kanu»; tak nazwają mięso suszone i utłuczone na proszek. Nie brakło tam i stągiewki na wodę, urządzonej z dużej kłody, wyżłobionej za pomocą siekiery i noża. Obok stało drugie podobne naczynie, choć znacznie mniejsze, zastępujące wiadro do noszenia wody, w tym też celu opatrzone było paskiem rzemiennym. Poszukawszy dobrze, znalazłoby się tam jeszcze parę czarek drewnianych, woreczek z solą i różne gospodarskie naczynia.



— W tem rozkosznem mieszkaniu Dik niezawodnie za dni kilka przyjdzie do zdrowia — rzekł Cezar.

— I ja tak myślę — odrzekł myśliwiec — ale on tam biedak sam został; pójdźmyż po niego i wprowadźmy go do tego wspaniałego apartamentu.

— Ach! — mówił Cezar zakłopotany — czy tylko Dik będzie miał siłę wdrapać się na drzewo i przeskoczyć na skałę: on taki osłabiony!

— Ja też go nie myślę tą drogą wprowadzać; pójdź za mną.

Myśliwiec poszedł w najodleglejszy kąt jaskini, podniósł siekiere i ostrze jej wbil w małą, prawie niewidzialną szparę w ścianie. Za pociśnięciem otworzył się powiększył, kamień, zastępujący drzwi, przesunął się na bok i ukazało się ciemne, wąskie przejście.

— Za mną! — powtórzył myśliwiec, wchodząc sam na czworakach, a Cezar bez wahania puścił się za nim. Przejście to, nieco spadziste, nie było długie, tylko ciemne strasznie, — nie dochodził doń żaden promyczek światła. W końcu jednak rozwidniło się nagle, gdyż Serce prawe usunął znów kamień, zamykający podziemny korytarz od strony zewnętrznej u samego dołu skały, pośród najgęstszych zarośli. Tu w pobliżu wytryskało źródelko.

— Cóż to za pyszny zamek obronny! — wykrzyknął Cezar z zapalem — sądzę, że ta droga nie będzie zbyt uciążliwa dla Dika.

— I mnie się tak zdaje — mówił myśliwiec, przeciskając się wraz z murzynem przez zarośla i zbliżając do miejsca, gdzie chory chłopak spoczywał na noszach. Nie bez trudności biedny Dik dowlókl się przez ciemny

korytarz do podziemia; zmęczony i zdyszany padł na wygodne posłanie, gdzie usnął niebawem. Sultan śmiało poszedł za swoim panem i legł przy nim na ziemi. Serce prawe tak starannie ułożył kamień ruchomy na swoje miejsce, że najbystrzejsze oko nie zdołałoby dopatrzyć nieznacznej rysy, oddzielającej go od reszty skały. Potem myśliwiec wdrapał się na drzewo tulipanowe i tą drogą, powyżej opisaną, dostał się do wnętrza jaskini.

Wypocząwszy nieco, Serce prawe wyjął ze szczeliny skały, służącej za schowanko, drabinę sznurową z mocnych roślinnych włókien, wyszedł na dach swojego mieszkania, to jest na skałę i do ostrego jej cypla uczepił jeden koniec drabinki, drugi zaś spuścił na ziemię. Była to droga o wiele dogodniejsza, niż wspinanie się i spuszczenie z drzewa. Powróciwszy do podziemia, myśliwiec obejrzał starannie Dikę; nie musiał być jednak zadowolony ze stanu chorego, bo czoło jego zasępiło się, i wyraz niepokoju ukazał się na twarzy.

— Tak mi się pić chce — szepnął Dik.

— Jak to dobrze, że źródło tak blisko — rzekł Cezar chwytając wiadro i śpiesząc po wodę.

— Oto masz sznur — wołał za nim myśliwiec, podając mu mocną plecionkę z roślinnych włókien — uwiąż wiaderko i spuść je, a łatwo nabierzesz wody.

Dostawszy się na skałę, murzyn spostrzegł zaraz drabinę, spuszczoną ku ziemi.

— Patrzcież, co to za wygody — mruknął sam do siebie z uśmiechem i nabrawszy wody w wiaderko za pomocą sznura, postawił ją na skałę, a sam dla wypróbowania drabinki spuścił się po niej i znowu

w jednej chwili wybiegł na górę. Świeża woda orzeźwiła chorego, który zdrzemnął się znowu.

— Jak będziesz miał ochotę — rzekł myśliwiec do Cezara — to nalej więcej wody w stągiewkę. Mamy tu w fortecy dostateczną ilość żywności, trzeba więc pamiętać, aby i wody nie brakło.

— Oho! czy to pan obawia się może napadu Indyana w tem pustkowiu? — zapytał Cezar.

— Kiedyś tu byłem już obleżony przez Osagów — odpowiedział Serce prawe — musiałem się w końcu poddać. Osagowie nie uczynili mi zresztą nic złego, przeciwnie, stali się najlepszymi, najwierniejszymi przyjaciółmi moimi.

— O! żebyż to pan opowiedział, jak to było!

— Później kiedyś, gdy będę swobodniejszy, a wy obaj z Dikiem słuchać zechcecie, opowiem wam różne ciekawe swoje przygody. Teraz chciałem tylko powiedzieć, że w puszczy nigdy o wszelkich środkach ostrożności zapominać nie należy. Ile razy na czas dłuższy sadowię się w fortecy, zawsze ją zaopatruję jak najporządniej w żywność i wodę. Ponieważ liczba mieszkańców się zwiększyła, muszę więc niezwłocznie wybrać się na polowanie, by przynieść jaką większą zwierzynę, której mięso wysuszymy na słońcu. A oprócz tego trzeba będzie wyszukać w lesie jagód, orzechów i smacznych korzonków, bo tu jest wszędzie obfitość tego wszystkiego.

— O! jaka szkoda, że ja na tę wycieczkę pójść nie mogę — odezwał się Dik.

— I że ja nie mogę spróbować tej ślicznej strzelby, którą mi kochany mój pan podarował — dodał Cezar.

— A toż czemu? cóż ci w tem przeszkadza? — spytał chory chłopak.

— Cezar musi siedzieć przy Diku — odrzekł murzyn — za nicby go samego nie zostawił.

— Rozumie się — potwierdził myśliwiec — zresztą ja powrócę niezadługo; w tej okolicy jest mnóstwo zwierzyny, a ponieważ od dawna tu nie byłem, więc i lękać się zbytecznie nie będzie.

Przewidywanie myśliwca sprawdziło się w zupełności; nie upłynęła i godzina, a już powracał z polowania, niosąc na plecach ogromnego, tłustego jelenia. Cezar przez ten czas napelniał stągiewkę wodą i wyszedł jeszcze po coś. Serce prawe zastał Dika samego; chłopak był niezmiernie smutny i przygnębiony.

— Czy cię tak mocno głowa boli? — spytał myśliwiec ze współczuciem — czegoś się tak zasepił?

— Głowa mię boli, lecz nie dlatego jestem taki zmartwiony — mówił chłopiec z westchnieniem. — Myślę o biednej siostrze, o ojcu, o braciach...

— Już ci mówiłem, żeś nie powinien zbytecznie się o nich niepokoić, bo możesz się jeszcze gorzej rozchorować.

— Jakże ja nie mam się martwić — rzekł chłopak — niedość, że tu leżę beczynnie, jeszcze i Serce prawe, i Cezar, muszą przy mnie czas tracić, zamiast spieszyć na pomoc mojej nieszczęśliwej siostrze.

— W tem rzeczywiście masz słusność, to bardzo przykry zbieg okoliczności. Moznaby jednak poradzić i na to. Właściwie niema żadnej potrzeby, byście wy obaj z Cezarem towarzyszyli mi w podróży do Osagów. Ja nawet sam jeden daleko prędzej się tam dostanę, aniżeli z wami. Otóż byłoby najlepiej, gdybyś

tu został z Cezarem w tej bezpiecznej i wygodnej kryjówce. Poczciwy murzyn troskliwie cię dopilnuje, póki nie wyzdrowiejesz; — potem będziecie sobie obaj wychodzili na polowanie i jakoś sobie czas zajmiecie do mego powrotu. Cóż, czy się na to zgadzasz?

— O, mój Boże! żeby tylko Cezar chciał tu ze mną zostać — rzekł Dik, widocznie uradowany.

— A gdzież to poszedł Cezar? — spytał Serce prawe.

— Poszedł z siekierą do lasu po suche drzewo.

— To dobrze, ten chłopiec o wszystkim myśli. Ale zdaje mi się, że już powraca.

W rzeczy samej murzyn wszedł po chwili do podziemia. Był zgrzany i zdyszany, a duże krople potu spływały mu po czole i twarzy.

— Cóż, czy przyniosłeś drzewa? — zapytał myśliwiec.

— Rozumie się. Rozłożyłem je na słońcu, żeby jeszcze lepiej wyschło.

— Czyż to taka śpieszna była robota, żeś się tak zmęczył i spocił?

— Bo przyrzekłem Dikowi powrócić za kwadrans. A myślałem, że skoro pan Serce prawe chce zaopatrzyć twierdzę w żywność i wodę, to przecież i o drzewie pomyśleć trzeba.

— Masz zupełną słusność; cieszę się niezmiernie, że jesteś taki roztropny i przezorny. Teraz posłuchaj mnie, mam ci coś ważnego do powiedzenia. Postanowiłem was obu z Dikiem zostawić w tej bezpiecznej kryjówce, a sam podążę, nie tracąc czasu, do czerwonoskórych moich przyjaciół. Cóż ty na to powiesz?

— Powiem tylko, że mnie to już samemu przychodziło do głowy, gdyś tę pyszną twierdzę obaczył.

— I nie obawiałbyś się zostać sam jeden z Dikiem w takim pustkowiu?

— Cezar miałby się obawiać? nie, nie, Cezar nigdy w życiu nie był tchórzem — mówił murzyn z wielką stanowczością.

— To dobrze; a więc rzecz skończona, zostajecie obaj. Czy ci to przykrości nie sprawia?

— Cezar wolałby zapewne nie rozstawać się z ukochanym swoim panem, lecz rozumie, że inaczej być nie może.

— Chciałbym wiedzieć — odezwał się Dik — na jak długo Serce prawe nas odejdzie?

— Nie łatwo to naprzód oznaczyć — odrzekł myśliwiec — musicie się przygotować na kilka tygodni co najmniej, a może i miesiące się z tego złożą.

— Jakto! — zawołał murzyn z niedowierzaniem — wszak pan sam mówił, że nieraz tę podróż odbywał w ciągu jednego tygodnia.

— To prawda, do Osagów dostanę się za tydzień, lecz nie będę mógł zaraz powrócić, jeśli mamy przedsięwziąć wyprawę dla wyswobodzenia jeńców. Twierdza ta leży na uboczu, daleko od dróg, wiodących do koczowisk Pawnisów; sami przyznacie, że wracać tu jedynie po to, aby się z wami zobaczyć, byłoby niepotrzebną stratą czasu. Nie mam też wcale ochoty zabierać z sobą Dika, gdy wyruszę na tę wojenną wyprawę z Osagami. Wolę go tu w tem bezpiecznem schronieniu zostawić.

— O! jakież ja tu będę niespokojny, nim Serce prawe powróci — mówił żałośnie chory chłopak.

— Starajcie się rozrywać o ile możności. Mam nadzieję, że choroba Dika nie potrwa długo. Obaj przecież umiecie polować, a Cezar obeznany jest z puszcza. Nie zapominajcie jednak o ostrożności, przedewszystkiem nigdy późnym wieczorem nie oddalajcie się od twierdzy. Okolica ta obfituje w zwierzęta wszelkiego rodzaju: można tu często napotkać, oprócz jeleni i żubrów, niedźwiedzie, pantery czarne, nawet niekiedy i jaguary. Szczególnie chodząc po stepach bądźcie bardzo uważni: te łąki niezmierzone, jednostajną zielonością pokryte, ukrywają czasem straszne niebezpieczeństwa...

— Już niech pan będzie spokojny — przerwał Cezar — ja doskonale znam lasy i stepy. Czy to ja mało się nawędrowałem z nieboszczykiem panem Smithem, gdyśmy polowali na żubry!

— Przestroga w każdym razie nie zawadzi — mówił dalej myśliwiec — a na wypadek, wielce nieprawdopodobny, gdybyście spostrzegli Indyan w okolicy, zdejmcie tylko drabinę ze skały i siedźcie cichutko w fortecy, wyglądając ostrożnie przez szpary. Trudno zresztą przypuścić, aby nieprzyjacieli kryjówkę waszą wyszedł. Ale choćby nawet do tego przyszło, jeszcze nie tak prędko dostanie się do niej, jeżeli dopilnujecie, aby ruchome kamienie szczelnie były utwierdzone na swoich miejscach. Byle tylko twierdza była zaopatrzona w żywność i wodę, możecie się w niej długo utrzymać. W ostatecznem niebezpieczeństwie uciekajcie przejściem, wychodzącym na zarośla. Nie dlatego mówię wam to wszystko, ażeby was straszyć, lecz przeciwnie, abyście zrozumieli, jak pewne i bez-

pieczne jest to schronienie, a także, abyście żadnych środków ostrożności nie zaniedbywali.

Cezar i Dik przyrzekli najsolennie wszystkie te przestrogi zachować w pamięci i polecenia wypełnić. Dnia następnego raniutko, przed wschodem słońca, Serce prawie puścił się w drogę. Pożegnanie było krótkie, lecz bardzo serdeczne.

— A teraz jesteśmy zupełnie sami — westchnął Dik, gdy szelest kroków myśliwca w przejściu podziemnym przestał być słyszany.

— Nie sami, bo Bóg jest z nami — pocieszał go murzyn.

XI.

Losy Elli.

Musimy raz jeszcze cofnąć się do owego strasznego poranku, gdy osada Wattsonów stała się pastwą płomieni dzikich Pawnisów. Jak wiadomo, zgraja napastników jednocześnie z nieszczęsnymi mieszkańcami wpadła do domu. Indyanie rzucili się tak gwałtownie na Ellę i Tobiasza, że chociaż oboje trzymali strzelby w ręku, bronić się nie mieli czasu. Tobiasz zaledwie zdołał uniknąć śmierci zręcznem pochyleciem głowy. Tomahawk, który miał czaszkę roztrząskać, przeciął mu głęboko ramię. Obalono starego na ziemię i skrupowano mu tak silnie ręce i nogi, że nie mógł powstrzymać bolesnego okrzyku.

Podobny los zagrażał także zrazu i Elli; ciężkie pięści popychały i szarpały biedne dziewczę bez litości.

Wtem nagle dzikie te postacie się rozstały i młoda dziewczyna ujrzała przed sobą wojownika indyjskiego okazalej i uderzającej powierzchowności. Głową przenosił wszystkich towarzyszy; cała budowa jego ciała miała rozmiary olbrzymie, twarz tylko za drobną się wydawała w stosunku do reszty postaci. Miał duży nos orli, a oczy czarne i błyszczące ożywiały rysy regularne, których wyraz nie budził jednak wcale zaufania, bowiem łatwo w nich wyczytać było wielką przebiegłość, chytrość i skrytość. Uderzony pięknnością i wdziękiem młodej dziewczyny, Indyanin spoglądał na nią przez chwilę w milczeniu, — potem wziął ją za rękę i głośnie «hug!» wyrwało się z ust jego. Mała rączka biednej Elli zadrżała w jego szerokiej dłoni.

— Czegóż to biała twarzyczka się boi? — zapytał Indyanin ostrym, niemiłym głosem.

— Ja się nie boję — odrzekła dziewczyna, która zarówno jak ojciec i brat starszy znała mowę Indyan — ufam szlachetności wojowników Pawnisów i nie sądzę, aby chcieli obchodzić się okrutnie ze słabą kobietą.

— Piękne słówka spadają jak perły z ust bladej dziewczyny — mówił Indyanin, siląc się na uśmiech pochlebny, który wykrzywił tylko jego rysy — biała twarzyczka wygląda jak słońce, gdy wyjrzy z za chmur, a mowa jej brzmi jak najmiłsza muzyka w uszach wodza Pawnisów. Biała dziewczyna może śmiało zaufać Tygrysowi zębataemu.

— Dziękuję bardzo wodzowi.

— Jak się nazywa biała twarzyczka?

— Ella.

— Czy imię moje nie podoba się wodzowi? — spytała dziewczyna.

— Nie, to nieładne imię. Błada twarzyczka będzie się odtąd inaczej nazywała; piękne jej oczy przypominają lekliwe wejście sarny; powinna się nazywać Sarenką modrooką. Cóż na to powie Sarenka?

— Będę posłuszna woli wielkiego wodza.

— Dobrze. Tygrys zębaty weźmie w opiekę Sarenkę modrooką, posadzi ją przy sobie na koniu i odwiezie do swego «wigwamu» *). Czy Sarenka zadowolona?

— Bardzo zadowolona — szepnęła Ella, nie chcąc drażnić wodza, chociaż serce jej omdlewało ze strachu.

— A tę twarz bladą wy zabierzcie! — wykrzyknął wódz do swoich wojowników, wskazując im Tobiasza. — Kobiety nasze dawno już nie widziały bladych jeńców, uwiązanych do śmiertelnego pala, — będą miały widowisko.

Z dzikim wrzaskiem usłuchali Indianie rozkazu wodza; wywłókszy Tobiasza na dziedziniec, zdjęli z niego krępujące sznury, lecz natomiast uwiązali go mocnym rzemieniem do jednego z koni, trzymanyh za uździenice. O ucieczce więc nie było co myśleć.

— A teraz niech ogień pochłonie siedlisko bladych twarzy! — wykrzyknął znowu wódz. Rozkaz ten równie śpiesznie został wykonany, jak i pierwszy; wkrótce płomienie objęły cały budynek, a kłęby dymu uniosły się ku chmurom.

Tymczasem wódz wyprowadził Ellę na dziedziniec. Na skinienie jego jeden z Pawnisów przyprowadził przepysznego, białego, jak mleko, konia, na którym wódz umieścił młodą dziewczynę i sam obok

*) Wigwam, dom w języku czerwonoskórych.

niej usiadł. Rumak zarżał i pomknął w stronę lasu, dokąd inni Indianie pośpieszyli za wodzem. Biedny Tobiasz pieszko biedz musiał za koniem, do którego był uwiązany, co było dlań okropną męczarnią, tembardziej, że krew strumieniem płynęła mu z nieopatrzonej rany.

Straszny niepokój miotał sercem Elli; nie tylko o sobie myślała, lecz o całej rodzinie. Nie wiedziała, co się działo z ojcem i Janem, a dwaj młodzi bracia znikli jej z oczu w chwili, gdy Indianie wpadli do domu. Nie chciała zaś pytać o nich prześladowców swoich, miała bowiem nadzieję, że chłopcy umknęli, gdyż nie widziała, aby szukano zbiegów. Mogli też byli dżicy obecności ich nie spostrzedz, gdyż tak wszyscy byli zajęci rabowaniem osady, że o niczem nie myśleli.

Gdy Tygrys zębaty uwoził ją szybkim pędem przez błonia, Ella nieznacznie zdjęła z szyi tasiemeczkę aksamitną i rzuciła na ziemię. Przyszło jej na myśl, że ojciec i brat mogą ten znak znaleźć i domyśleć się, co się z nią stało. Wódz na szczęście nie spostrzegł jej ruchu i tasiemeczka uleciała z wiatrem na pola. Później, gdy dojechali do lasu, dziewczyna wyjęła nożyk, który zawsze nosiła w kieszeni i trzymała go w ręce. W chwili, gdy koń podskoczył gwałtownie, udając wielki przestach, obie ręce podniosła do góry i zręcznie upuściła nożyk na ziemię, z przykrością jednak spostrzegła, że wpadł pod zarośla. Tygrys zębaty i tym razem nic nie zauważył.

Zgraja dzikich dłuższy czas już pędziła z jednokowym pośpiechem. Tobiasz upadał prawie ze znużenia, z największym wysileniem wlokąc się za klusującym

koniem. Serce Elli pękało z żalu na widok męczarni wiernego sługi; w końcu odważyła się przemówić do okrutnego wodza.

— Czy Tygrys zębaty nie zechce wysłuchać prośby mojej? — spytała głosem błagającym.

— Niech Sarenka modrooka powie, czego żąda — odpowiedział wódz krótko.

— Proszę o litość dla starego jeńca.

— A blade twarze, czy mają litość nad Indyanami?

— Ten jeniec nigdy żadnej krzywdy nie wyrządził Indyanom.

— Jakto? czyliż dziś nawet nie wysłał dwóch dzielnych wojowników Pawnisów do pośmiertnych siedzib myśliwskich?

— Uczynił to, gdyż musiał własne życie ratować.

— To wszystko jedno. Tygrys zębaty pomści swoich wojowników, bo to jest obowiązkiem wodza — odrzekł Indyanin i chmurym wzrokiem zmierzył śmiało dziewczę.

— Tygrys zębaty popełnia wielką niesprawiedliwość.

— Niech Sarenka modrooka milczy! — wykrzyknął wódz głosem grzmącym.

— Nie mogę milczeć...

— Co to znaczy? Sarenka milczeć nie chce?!

W głosie wodza, gdy wymawiał te słowa, brzmiała wściekłość straszliwa, oczy ciskały błyskawice, a ręka mimowolnym ruchem pochwyciła tomahawk, wiszący u pasa.

— Jeniec jest niewinny — mówiła nieustraszona dziewczyna — bo to ja sama zabiłam dwóch Pawnisów.

Wódz ryknął, jak zwierz rozjuszony... Ostrze tomahawku błysnęło nad głową Elli; twarz jej pokryła się bladością śmiertelną, lecz wzrok spokojny i śmiały utkwiony był w rozwścieczonej twarzy wodza. Dziewczyna czuła, że tylko zimną krwią i przytomnością umysłu uratować się może.

— Tygrys zębaty nie jest wielkim wodzem, tylko tchórzem — rzekła — zabija własną ręką bezbronne kobiety.

— W piersi Sarenki modrookiej bije serce wojownika — wymówił wódz głosem łagodniejszym, wkładając za pas wyjęty tomahawk — śmiałość uratowała życie Sarenki; ale gniew Tygrysa zębatego jest straszny, niechże Sarenka strzeże swego języka.

— Wódz słyszał, co powiedziałam, że to ja zabiłam dwóch wojowników Pawnisów?

— Czy Sarenka modrooka naumyślnie złość Tygrysa pobudza?

— Wcale nie. Żądam tylko sprawiedliwości, a wiem, iż Tygrys zębaty jest wielkim wodzem i słynnym bardzo wojownikiem.

— Wigwam Tygrysa zębatego cały jest obwieszony skalpami nieprzyjaciół — rzekł Indyanin, czuły na pochlebstwo.

— Szlachetność i sprawiedliwość na większe jeszcze uwielbienie zasługują, niż waleczność.

— Zemsta jest pierwszym obowiązkiem wodza.

— Ależ nieszcześliwy jeniec zaledwie na nogach utrzymać się może.

— Prowadzący go wojownik ma tomahawk w rękę i potrafi sobie dać radę.

— To rzecz okropna.

— Niech Sarenka modrooka o sobie lepiej myśli. Los jej jest w ręku Tygrysa zębatego i w chwili gniewu może on łaskę swoją od niej odwrócić; wówczas Sarenka będzie musiała sama znosić podobne męczarnie.

Ella umilkła; głos zamarł jej w piersiach i ogarnęło ją głębokie przerażenie. W tej chwili jeden z wojowników przyskoczył do wodza. Był to młodzieniec lat ośmnastu najwyżej, wyniosłej i kształtnej postaci. Długie, gęste włosy czarne spadały mu na ramiona i osłaniały wklęsłe cokolwiek czoło. Oczy czarne, błyszczące, miały wyraz niepospolitej roztropności. Rysy młodzieńca nie były tak ostre i surowe, jak u większej części jego towarzyszy; przebiegała w nich miękkość, łagodność prawie niewieścia. Podobnie jak i inni ubrany był w spodnie dziwacznie wyszywane kolorowymi sznurkami i paciorkami i miał ciało po pas obnażone, ozdobione fantastycznym malowidłem.

— Czego żąda brat mój Jeleń wrzący? — zapytał wódz przybyłego uprzejmie i z odcieniem szacunku.

— Błady człowiek jest wycieńczony, jak stary żubr, trafiony strzałą w serce — rzekł młody Indyanin głosem łagodnym i dźwięcznym.

— Jeleń wrzący może kazać posadzić jeńca na koniu, póki nie przyjdzie do siebie — odpowiedział Tygrys zębaty. — Jeleń ma prawo rozkazywać, jest przecież wodzem, tak samo, jak i brat jego Tygrys zębaty.

— Dobrze — odrzekł młody Indyanin i odjechał.

Przez czas tej krótkiej rozmowy wzrok jego utkwiony był nieustannie w śmiertelnie bladej twa-

rzycze Elli. Odjeżdżając, odwrócił się raz jeszcze i spojrzał na nią; dziewczyna także popatrzała na niego i ze zdziwieniem spostrzegła na ustach młodzieńca uśmiech szczególny, bardzo życzliwy; skinął jej nawet głową przyjaźnie.

— O, gdybym mogła zbliżyć się do tego Jelenia wrzącego — pomyślała Ella — musi on być daleko lepszy od wszystkich innych i z pewnością mi dopomógł.

Jazda trwała do południa; po drodze spotykano ciągle nowe gromadki Indyan na koniach, a wszystkie przylączyły się do oddziału Tygrysa zębatego. Ella była już bardzo zmęczona, gdy wreszcie jeźdźcy się zatrzymali i Tygrys zсадził ją z konia. Z rozmowy Indyan młoda dziewczyna zrozumiała, że przybyli w te strony jedynie po to, aby zniszczyć osadę jej ojca, a teraz, po dokonaniu tego dzieła, mają zamiar niezwłocznie powracać do głównych swych koczowisk.

Dziewczyna od najpierwszej chwili, gdy wpadła w ręce Pawnisów, ciągle myślała o ucieczce, chociaż to wcale niełatwa była sprawa, gdyż pilnowano jej dobrze, — zwłaszcza Tygrys zębaty ani na chwilę nie spuszczał jej z oczu. Lecz ufala Opatrzności, sądząc słusznie, że miłosierna ręka Boża znajdzie sposób wyzwolenia jej z tej straszliwej niewoli, jeśli na tę łaskę zasłuży.

Wypoczynek południowy przeciągnął się kilka godzin. Ponieważ Ella była pod opieką naczelnego wodza, wszyscy wojownicy okazywali jej uszanowanie, co ją tak ośmieliło, że sama weszła w tłum Indyan. Nie uczyniła tego bez celu. Przedewszystkiem szło jej o to, aby się zobaczyć z Tobiaszem i choć

słówkiem go pocieszyć. Powtórę zaś chciała się bliżej zapoznać z dobrym Jeleniem wrzącym.

Odszukała wkrótce biednego Tobiasza, który odzyskał wprawdzie przytomność, lecz upadał ze znużenia. Pomimo to nie zdjęto mu więzów z ramion rąk, chociaż napuchnięte były wskutek silnego skrepowania.

— Mój biedny, pocciwy Tobiaszu — mówiła Ella ze łzami w oczach — jakże ty się czujesz?

— Bardzo niedobrze — odpowiedział stary sługa słabym głosem — rana na ramieniu okropnie boli, ale najwięcej mi dokuczają te więzy.

— Może ja potrafię rozluźnić je trochę — szepnęła Ella, pochylając się nad nim.

— Na miłość Boga! — odrzekł Tobiasz równie cicho — niech panienka da pokój, bo gdyby który z tych łotrów to spostrzegł, mogłoby być nieszczęście.

— Muszę jednak spróbować — mówiła dziewczyna i usiadła tuż obok jeńca na ziemi.

Dotychczas otaczający ich Indianie udawali, że nie zwracają uwagi na rozmowę Elli z Tobiaszem, lecz było to tylko pozorem, bo w rzeczy samej na chwilę nie spuszczała z oczu obojga. Tygrys zębaty, który się spać położył po jedzeniu, musiał wydać pod tym względem surowe rozporządzenia. Zaledwie dziewczyna, przysunawszy się bliźsiutko do jeńca, zaczęła nieznacznie, jak się jej zdawało, rozsuwać krępujące go sznury, nagle zjawili się dwóch olbrzymich Pawnisów, którzy w mgnieniu oka pochwycili Tobiasza na ręce i odnieśli go w inne miejsce, zostawiając Ellę samą. Kilku innych stanęło przed nią, w pewnej wprawdzie odległości, lecz groźne ich spojrzenia

dostateczną były dla niej przestrogą, aby się miała na baczności.

Żalność wielka ścisnęła serce Elli, zakryła twarz rękoma i cicho płakać zaczęła. Po chwili uczuła lekkie dotknięcie czyjejś dłoni na swoim ramieniu, a głos, który poznała od razu, zapytał:

— Czegoż to Sarenka modrooka tak płacze?

Obejrzała się i spotkała się z płękem, łagodnym wejrzeniem Jelenia wrącego. Młodzieniec ten traktowany był z wielkiem uszanowaniem przez starszych nawet wojowników, był bowiem synem znakomitego wodza i sam tę godność piastować miał niezadługo, gdyż pomimo młodego wieku zdołał się już odznaczyć niepospolitą odwagą i walecznością.

— Jeleń wrzący niepotrzebnie o to pyta — odrzekło dziewczę rozżalone — widzę, że Pawnisy z rozkoszą patrzą na lzy i cierpienia swych jeńców.

— Siostra moja nie jest wojownikiem. Pawnisy śmieją się z takich mężczyzn, co nie umieją znosić cierpienia i płaczą, jak kobiety. Ale Sarenka modrooka płakać może bez wstydu. Cóż, czy nie powie siostra moja, co jest lez jej przyczyną?

— Nie nad sobą płaczę, ale nieludzkie postępowanie Pawnisów z biednym jeńcem serce mi rozdziera.

— Jeniec jest mężczyzną.

— A jednak tak upadł na silach, że te cierpienia zabijają go niezawodnie.

— Chyba jest kobietą — rzekł Indyanin pogardliwie.

— Ależ on raniony!

— Sarenka tej rany nie widziała. To tylko lekkie rozcięcie, — Indyanin nie zważałby na taką drobnostkę.

— Więcej od rany dolega mu okropne skrepowanie. Wojownicy Pawnisy ścisnęli mu ręce w sposób okrutny.

— Bo jest jeńcem.

— A przecież biedak i bez tych więzów nie miałby ani siły ani ochoty uciekać.

— Więc czegoż żąda Sarenka modrooka?

— Darmobym mówiła, czego żądam.

— Niech siostra moja zaufa Jeleniowi wrzącemu.

— Ach! gdyby Jeleń wrzący zechciał spełnić moją prośbę i kazał zdjąć, lub przynajmniej rozluźnić więzy biednego jeńca — mówiła Ella, składając ręce błagalnie.

— Jeleń wrzący gardzi tym jeńcem, który się żali, jak kobieta, a jednak spełni prośbę Sarenki modrookiej.

— O, dziękuję, serdecznie dziękuję Jeleniowi wrzącemu — rzekła dziewczyna i wyciągnęła rękę do młodego wojownika; on uściśnął lekko tę małą rączkę i przyjaźnie się do dziewczyny uśmiechnął.

— Niech siostra moja idzie za mną — rzekł i poszedł prosto do miejsca, gdzie jęczał biedny Tobiasz, którego cierpienia stawały się coraz dotkliwsze. Na skinienie Jelenia wrzącego, Indyanie, otaczający jeńca, natychmiast się rozstąpili. Młodzieniec pochylił się nad Tobiaszem i w mgnieniu oka zręcznie porozluźniał sznury, które się powpijały w ciało biedaka.

— Czy teraz Sarenka modrooka zadowolniona? — rzekł młody Indyanin, zwracając się do Elli.

— Jeleń wrzący ma dobre i szlachetne serce — odpowiedziało dziewczę — nigdy w życiu nie zapomnę tego dobrodziejstwa.

— Dzięki, dzięki! — powtarzał także stary Tobiasz, lecz zwracał się przytem więcej do swojej pаниenki, niż do wojownika indyjskiego.

— Jeleń wrzący jest tak wspaniałomyślny — mówiła dalej Ella — że odważę się poprosić go o coś jeszcze. Czy mogę mówić?

— Siostra moja może śmiało serce swoje otworzyć przed Jeleniem wrzącym.

— Chciałabym opatrzyć ranę biednego jeńca i obłożyć ją sokiem gojących roślin.

— Niech Sarenka modrooka dogodzi litościwemu swemu sercu — rzekł Jeleń wrzący i własną ręką rozszerzył otwór, przecięty ostrzem tomahawka w odzieniu Tobiasza, aby ranę odkryć. Rana ta rzeczywiście nie była głęboka, i tylko utrata krwi zmęczyła starego. Podczas gdy Ella obmywała ranę, a potem przykładła do niej kawałeczek płótna, z własnej chusteczki oddarty i umoczony w soku pewnej rośliny, obficie wszędzie rosnącej, Jeleń wrzący odszedł do ogniska, przy którym wojownicy obracali na różnie smakowitą pieczeń żubrzą. Wyjął nóż, uciął spory kawał mięsa i przyniósł go Tobiaszowi.

— Na masz, jedz — rzekł krótko do jeńca, a potem, zwracając się do Elli, mówił tonem proszącym raczej niż rozkazującym: — Niechże moja siostra już stąd odejdzie.

Dziewczyna usłuchała natychmiast, czuła bowiem że i tak niemało dokazała. Usiadła więc spokojnie pod drzewem opodal od Tobiasza i nie ruszała się więcej, tylko wzrok jej pełen wdzięczności zwracał się kiedyniekiedy na młodego Indyanina, który jej tyle okazał współczucia. Tygrys zębaty przebu-

dział się wkrótce: na dany przez niego znak wojownicy dosiedli koni i puscili się w dalszą drogę.

Wieczorem kalwakata dotarła do końca lasu, poza którym rozpoczynał się step niezmierny. Tygrys zębata zatrzymał się i oznajmił swoim wojownikom, że ma zamiar jedną dobę przebyć w tem miejscu i urządzić wielkie łowy. Indianie zajęli się tymczasem zwykłymi przygotowaniami do noclegu; rozpalono kilka wielkich ognisk i dokola obozu ustawiono strażę. Wojownicy zasiedli przy ogniskach. Po większej części milczący byli i zadumani; niektórzy tylko ze starszych opowiadali młodzieży o bohaterstwach swych czynach, przyczem często przechwalali się i chęlipili w najśmieszniejszy sposób. Wkrótce jednak sen ich zaczął morzyć po całodziennych trudach; jeden po drugim rozciągał się na miękkiej trawie i usypiał. Każdy miał skórę żubrzą, która mu na koniu zastępowała siodło, teraz zaś służyła za koldrę, gdyż noc była dość zimna.

Na gorące prośby Ellii, Tygrys zębata pozwolił jej spędzić noc obok Tobiasza; pamiętał jednak o tem przezorny wódz, aby dobrze nad obojgiem czuwano. Młoda dziewczyna i z tego była rada, że mogła rozmawiać ze starym sługą, pocieszać go i dawać mu otuchy; smutny jego los więcej ją od jej własnego niepokoił.

— Ach, panienko! — rzekł Tobiasz — co tu mówić: niedobrze jest z nami, bardzo niedobrze, a później może być jeszcze gorzej.

— Nie upadajmy jednak na duchu — odrzekła Ella — ja nie tracę nadziei. Zastanów się, czyż po-

dobna, aby ojciec i Jan nie pomyśleli o uratowaniu nas z niewoli?

— Ja tam nie wiele już mam nadziei — mówił Tobiasz — na własne uszy słyszałem, jak ci hultaje mówili między sobą, że gotują przyjemne widowisko dla swoich żon i dzieci, a ja mam główną rolę w niem odegrać. Na nieszczęście nasłuchiłem się już nieraz o tych przedstawieniach, — wiem dobrze, co mnie czeka.

— Uspokój się, mój dobry Tobiaszu, nie przyjdzie do tego; wierzaj mi, ojciec i Jan nas nie opuszczają.

— Jeżeli sami nie wpadli do tej pory w ręce Pawnisów.

— To być nie może; gdyby byli schwytani, toby ich tu zaraz przyprowadzono do głównego obozu.

— A czy to panienska jest pewna, że ich jeszcze jutro nie przyprowadzą? Ha, wszystko w ręku Boga! Największe to jednak strapienie, że nie wiemy, co się mogło stać z chłopcami, z Benem i Dikiem.

— Ach! ta myśl i mnie także strasznie niepokoi — mówiła Ella ze smutkiem — a jednak i tu rozpacz nie należy. Chłopcy według wszelkiego prawdopodobieństwa wymknęli się z domu podczas napadu Indian i ukryci w lesie szczęśliwsi są od nas, bo uniknęli tej strasznej niewoli.

— To być może, — ale i o nieszczęście nie trudno.

— Prawda, — a jednak mam w sercu mimowolne, głębokie jakieś przeświadczenie, że Bóg miłosierny i sprawiedliwy nie dopuści, aby szczęście całej rodziny zniszczone być miało do szczytu za sprawą złych ludzi.

— Drogi Boskie ukryte są przed naszymi oczyma, nie zawsze zrozumieć je zdołamy.

— A więc módlmy się, prosimy gorąco, aby nas łaską swoją oświecił, okazał miłosierdzie swoje nad nami, lub obdarzył cierpliwością i nauczył nas zgadzać się z wolą Jego świętą.

— O dobra, zacna, anielska moja panienko, do brze ty mówisz, pomódlmy się, to jedyna nasza pociecha.

Modlitwa wspólnie odmówiona wielką im ulgę przyniosła i wlała w serca stroskane nową nadzieję i odwagę. Ella gorąco błagała Pana wszechrzeczy, aby się ulitował nad jej ojcem i braćmi, nad Tobiaszem... O sobie zapomniała; taki to już był zwyczaj pocziwej dziewczyny, że zawsze o innych tylko myślała, a nigdy o sobie. Cisza panowała dokoła. Indianie spali, poowijani w skóry żubrze. Tymczasem zajaśniał na niebie księżyc i bladymi promieniami oświecił obozowisko. Z daleka odzywał się kiedy-niekiedy głos ptaka przedrzeźniacza, lub smętne nawoływanie puhacza. Noc całą przyroda darzyła spokojem, który wstąpił i w serca Elli i Tobiasza pod wpływem szczerzej, gorącej modlitwy.

— Ufajmy Bogu, On czuwa nad nami — odezwiała się młoda dziewczyna po chwili milczenia — ale i sami rąk nie opuszczajmy; starajmy się ratować własnymi siłami, a i Bóg nam dopomoże.

— Bardzo słusznie i pięknie panienka mówi.

— Otóż mojem zdaniem powinniśmy wziąć na odwagę i popробować ucieczki; sposób obmyśli się powoli, stosownie do okoliczności. Ja mam nadzieję, że Indianie z czasem przestaną nas strzedz tak czuj-

nie, jak teraz, jeżeli się o to postaramy. Słyszałem o ich zwyczajach i jestem pewna, że w ciągu tej podróży nieraz naumyślnie pozostawia nas bez dozoru, — lecz będzie to tylko próba; nie dajmy się więc wyprowadzić w pole i nie korzystajmy z tego pozornego niedbalstwa, bo wkrótceby nas pochwycili. Gdy jednak zobaczą raz i drugi, że dobrą sposobność opuszczamy i nie mamy ochoty uciekać, nie będą sobie tyle kłopotu zadawali z pilnowaniem nas i wówczas zobaczymy, co czynić wypadnie. Cóż ty o tem myślisz, Tobiaszu?

— Podziwiam mądrość i odwagę panienki. Ale ciszej, bo jakiś Indyanin tu idzie.

W rzeczy samej jeden z wojowników Pawnisów zbliżał się do nich, idąc prawie bez szelestu po trawie.

— To Jeleń wrzący — szepnęła Ella — czego on może od nas żądać?

— Tego niema co się obawiać — odrzekł równie cicho Tobiasz — to niezły jakiś chłopak.

Jeleń wrzący, gdyż on to był rzeczywiście, nadszedł tymczasem, niosąc na plecach ogromną skórę żubrza, która mu spadała aż po kostki.

— Noc jest zimna — rzekł młody Indyanin półgłosem — niech Sarenka modrooka okryje się tą skórą.

I mówiąc to, podał skórę Elli.

— Dziękuję serdecznie — odezwiała się młoda dziewczyna — ale Jeleń wrzący potrzebuje pewnie tego okrycia dla siebie.

— Wcale nie — odpowiedział młodzieniec — wojownicy nie mają zwyczaju się pieścić, — powinni znosić i zimno i gorąco. Jeleń wrzący jest

silny i zahartowany, a Sarenka potrzebuje cieplej się okryć.

— Jeleń wrzący jest dzielny i szlachetnym wojownikiem — odezwał się Tobiasz, wiedział bowiem, jak Indyanie lubią pochlebstwo — nie wątpię, że będzie kiedyś znakomitym wodzem.

— Jeleń wrzący niezadługo wodzem zostanie — odrzekł młody Indyanin z odcieniem zadowolonej dumy — już i dziś wszyscy wojownicy szanują go, jak wodza.

Wymówiwszy te słowa, odszedł równie cicho, jak przyszedł i niezbyt daleko od nich sam do snu się ułożył na trawie.

— Ty się okryjesz tą skórą, Tobiaszu — rzekła Ella i chciała go sama otulić, ale stary oparł się temu i odepchnął skórę, mówiąc:

— Co też panienka robi, czy to można!

— Jesteś ranny i chory, mój dobry Tobiaszu, tyle krwi utraciłeś! Musisz mieć dreszcze, a mnie wcale nie zimno.

— Od kiedy panienka opatrzyła moją ranę, nie a nic mnie nie boli; czuję się znacznie zdrowszy.

— Ale mógłbyś się przeziębic i znowuby się stan twój pogorszył.

— Nie, nie, za nic się na to nie zgodzę, — niech panienka okryje się sama.

Podczas tej sprzeczki Tobiasz parę razy zdejmował z siebie skórę i oddawał ją Elli, a ona go nią gwałtem okrywała. Spostrzegł to Jeleń wrzący i nadbiegł z drugą skórą, którą rzucił na Tobiasza, mówiąc:

— Niech błąd człowiek tę weźmie dla siebie,

a Sarenka modrooka swoją siebie okryje — i śpiesznie odbiegl.

— Ależ to naprawdę pocziwy chłopak ten Jeleń wrzący — mruknął Tobiasz, owijając się miękką skórą z widocznym zadowoleniem.

Długo jeszcze Ella cichym szeptem rozmawiała ze starym sługą, gdyż żadne z nich, pomimo znużenia, nie miało do snu ochoty. W obozie panowała głęboka cisza; oprócz Indyan, którzy stali na warcie, wszyscy inni spali. Jeńcom wyznaczono miejsce po środku; śpiący Pawnisy otaczali ich dokoła, lecz w pewnym oddaleniu. Tak rozporządził Jeleń wrzący; Ella wiedziała o tem i nieskończenie wdzięczną była młodemu Indyaninowi. Nakoniec nad ranem znużenie przemogło niepokój: młoda dziewczyna pierwsza usnęła, a potem i stary Tobiasz zdrzemnął się na parę godzin.

XII.

Polowanie na żubry.

Dnia następnego rano Tygrys zębaty w towarzystwie kilku towarzyszy wybrał się na przejażdżkę po stepie; chciał upatrzeć stado żubrów, by wyprawić wielkie łowy. Ranek był prześliczny. Konie, parszając wesoło, chyżo unosiły jeźdźców przez błonia rozległe, porośłe bujną trawę; gdzie okiem spojrzeć, wszędzie ciągnął się step niezmierny, rzadka tylko przerywany kępami drzew i krzaków, przez myśliwców zwanych wysepkami. Wyglądało

to na kształt wspaniałego parku, lecz parku olbrzymich rozmiarów, do jakich dzieła ludzkie dojść nie zdołają.

Nieco dalej step już odmienny przedstawiał widok. Znikały drzewa i krzaki, a natomiast w dal nieskończoną rozciągało się morze zieleni, połyskujące tęczowymi barwami jaskrawych kwiatów, falujące nieznacznymi pagórkami. Jak najpyszniejszy kobierzec, w dolinach Kaszmir utkany, wyglądała ta murawa, strojna w nieporównane bogactwo kwiecia. Żółte złocenie, purpurowe malwy, fiołkowe gwiazdosze, śnieżne stokrocie, szkarłatne pysznogłówki czyli monardy, ostromlecze o liściach srebrzystych i mnóstwo innych roślin, których wyliczyć niepodobna, bujnie i rozkosznie zdobiło ten bogaty ogród Boży. Wietrzyk poranny kołysał lekko barwne główki kwiatów i woń ich przejmującą roznosił w powietrzu. A ile tam było ruchu i życia na tej rozkosznej łące! Ile motyli jaskrawych trzepotało pięknymi skrzydłkami, jakie roje pszczół dzikich brzęczały ponad kielichami kwiatów i wysysały z nich słodycz pożądaną!

Prześliczna ta łąka ciągnęła się długo, całe mile; w końcu step znowu odmienną przybrał postać. Kwiaty ukazywały się coraz rzadziej, niknąc wśród bujnej, wysokiej trawy, która nareszcie zapanowała wyłączenie i jednolitą zielenią pokryła całą przestrzeń dokoła. W trawie tej jeździec z koniem mógł się ukryć; żdźbła jej potężne wszędzie prawie przenosiły wysokość metra. To morze roślinne, jak fala wodna nieustannie kołyszące się za powiewem wiatru, przedstawiało widok, niedający się opisać.

Lecz jeźdźcy indyjscy nie zachwycali się tymi

cudami przyrody. Szukali oni pilnie śladów zwierzyny i wkrótce natrafili na miejsca, gdzie trawa zdeptana kopytami świadczyła o przejściu licznych stad koni i żubrów, które tu na tych stepach znajdują ulubioną swoją trawę. Tu i owdzie pojawiały się po drodze gromadki wilków stepowych, nie napadały jednak jeźdźców, lecz umykały przed nimi, kryjąc się wśród wysokiej trawy. Czasem znów jelenie i antylopy przed oczyma Indian pomykały z szybkością błyskawiczną po stepie, a w jednym miejscu, gdzie gęste zarośle przepysznych hyacynthów wskazywało bliskość wody, ujrzeli stado przechadzających się poważnie żorawi, które na widok ludzi uniosły się w powietrze i chyżo odleciały.

I znowu zmieniła się postać stepu. Jednostajna równina stała się coraz bardziej falującą. Nie była to już płaszczyzna, na której z rzadka pojawiały się nieznaczące wyniosłości. Tu wzgórza ciągnęły się pasmami i rozległa przestrzeń całkowicie niemi była usypana, a że trawa porastała zarówno pagórki, jak i zagłębienia pomiędzy nimi, stąd step w tem miejscu przypominał zupełnie powierzchnię oceanu wzburzoną i silnymi bałwanami pokrytą. Nieustanne kołysanie się trawy za powiewem wiatru dopełniało złudzenia. Dla tego stepy podobne przezwano falującymi lub toczącymi się, *rolling prairie*. Stada żubrów są na nich bardzo liczne.

Wycieczka poranna wodza Pawnisów miała na celu wysledzenie tego stada. Potrzebował on wojowników swoich zaopatrzyć w zapasy żywności, których już brakować zaczynało. Do koczowisk swych mieli jeszcze drogę daleką, a wyżywienie tylu ludzi

nie łatwą było sprawą. Postanowił więc wódz upolować od razu tyle zwierzyny, aby starczyło na całą podróż, którą potem miał zamiar odbywać już bez przerwy.

Liczne ślady żubrów krzyżowały się na stepie w rozmaitych kierunkach, lecz Tygrys zębata wszystkie omijał obojętnie; dopiero po dłuższym przeciągu czasu zatrzymał wierzchowca i skinął na jednego ze starszych Indyan.

— Co powie Przedrzeźniacz na te ślady? — zapytał.

— Są bardzo świeże, przed godziną zaledwie wydeptane — odpowiedział wojownik, Przedrzeźniaczem zwany; obejrawszy dokładnie ślady — żubry muszą być stąd bardzo niedaleko.

— Przedrzeźniacz dobrze mówi — rzekł wódz i skierował konia za śladami, które szły w kierunku pobliskiego wzgórza; wjechał na wierzchołek jego, a towarzysze podążyli za nim. Tu nagle niespodziewany widok uderzył ich oczy... W kotlinie pomiędzy dwoma wzgórzami a nawet na ich stokach pasło się spokojnie ogromne stado żubrów. Dalej znów w ustronnem miejscu dwa olbrzymie żubry, odłączone od reszty stada, wiodły zażartą walkę. Z rykiem wściekłym, sapaniem, parskaniem, grzebały ziemie kopytami, przyskakiwały do siebie gwałtownie, uderzając się łbami z takim rozpędem, że raz po raz upadały przednimi nogami na kolana. Potem znów obaj zapaśnicy cofali się w tył i z pewnej odległości rzucali się na siebie, tłukąc się wzajemnie łbami z taką zapamiętałością, że aż czaszki trzeszczały, a ziemia drżała pod kopytami rozżartych zwierząt.

Bój musiał już trwać dość długo, gdyż obu walczących widocznie siły opuszczały. Oczy ich krwią nabiegłe zdawały się z łbów występować, języki z pysków wywieszone krwawą pianą były okryte, a i z boków ściekała krew; pomimo to walka nie ustawała ani na chwilę. Po jakimś czasie jednemu z żubrów udało się zająć przeciwnika z boku i nim tamten zdołał uskoczyć, śmiały napastnik uderzył go tak silnie rogami, że mu przebił bok aż do wnętrzości. Zwyciężony ryknął z bólu i gniewu i padł na ziemię, a zwycięzca, nie poprzestając na tem, póty nie przestał kopać powalonego przeciwnika nogami i bić go zajadłe rogami, póki ten ostatniego tchnienia nie wyzionął.

Indianie dość obojętnie spoglądali na tę walkę, gdyż widowisko to nie było dla nich nowością. Całą ich uwagę pochłaniało stado: ilość żubrów dochodziła z pewnością kilku tysięcy. Niektóre z nich, pasące się najbliżej, poczęły podnosić łby i dostrzegłszy jeźdźców, ryknęły z cicha, inne odpowiedziały im rykiem podobnym i wnet po stepie rozległ się odgłos, do oddalonego gromu podobny. Ryk żubrów amerykańskich jest zazwyczaj przygłuszony, w wyjątkowych razach tylko bywa przeraźliwy. Wkrótce jednak zwierzęta umilkły i znowu pasły się spokojnie.

— Polowanie będzie niezłe — rzekł Tygrys zębata.

— Setki żubrów możnaby zabić z łatwością — potwierdził Przedrzeźniacz.

— Niema czasu do stracenia — mówił dalej wódz, śpiesznie zawracając konia, i popędził tą samą drogą, którą tu przybył. Mała gromadka jeźdźców

w parę godzin stanęła w obozie. Tygrys zębaty wydał w kilku słowach stosowne rozporządzenie i wnet wśród tłumu Indyan zawrzało, jak w ulu. W mgnieniu oka prawie pochwytano konie, pasące się na łące; okiełznanie ich także nie trwało długo: każdy jeździec zacisnął tylko szczęki swego wierzchowca uździelnicą, z cienkich rzemyków splecioną, końce jej wziął w ręce, wskakując na niego i już był gotów. Łuki i zapas strzał mieli wszyscy przy sobie.

Jeleń wrzący przystąpił do Elli, która siedziała i teraz obok Tobiasza, pogrążona w smutnych myślach, nie zważając prawie na ruch niezwykły, panujący w obozie.

— Czego Sarenka modrooka taka zasmucona? — zapytał młody Indyanin łagodnie.

— Czyż mogę być wesola i spokojna? — odrzekła Ella żałośnie, lecz przytem z wyrazem przychylności spojrzała na młodzieńca.

— Niech Sarenka modrooka nie obawia się niczego. Jeleń wrzący bierze ją od tej chwili w swoją opiekę.

— Cieszę się z tego bardzo i wdzięczną jestem Jeleniowi.

— Możeby siostra moja chciała się trochę rozerwać? — zapytał Indyanin — mała przejażdżka nie zaszkodziłaby Sarence modrookiej, nieprawdaż?

— O, niezawodnie na zdrowie wyjdzie panience rozrywka i przejażdżka — odezwał się Tobiasz.

— Czy Sarenka modrooka umie konno jeździć? — pytał znów Indyanin.

— Umiem nieźle — odpowiedziała dziewczyna.

— Panienka doskonale jeździ — potwierdził Tobiasz.

— Sarenka modrooka nigdy zapewne nie widziała, jak Indyanie polują na żubry — mówił młody wojownik.

— Nie miałam do tego sposobności — odrzekło dziewczę, uśmiechając się mimowoli na te słowa, bezmyślnie przez Indyanina wymówione.

— A więc może Sarenka zechce teraz zobaczyć nasze polowanie, — to ją pewno zabawi i rozerwie.

— Nie jestem usposobiona do zabaw i rozrywek...

— Niechżeż panienka mu nie odmawia — szepnął Tobiasz — starajmy się zjednać go sobie.

— Polowanie będzie pewno wspaniałe i widok jego zająłby Sarenkę z pewnością — nalegał Indyanin.

Ella wahala się jeszcze chwilę, w końcu rzekła:

— Pojadę, jeżeli Jeleń wrzący tego sobie życzy. Czy tylko wódz pozwoli?

— Jeleń wrzący nie jest już dzieckiem i nie potrzebuje pozwolenia wodza. Za dni kilka sam zostanie wodzem plemienia potężniejszego, niż plemię Tygrysa. Wojownicy Jelenia wrzącego wybrali się na wspólną wyprawę ze swoimi braćmi, lecz są tu pod rozkazami syna własnego wodza. Niechże Sarenka modrooka nie zważa wcale na Tygrysa zębatego, bo jest teraz pod opieką Jelenia.

Dziewczyna z nietajoną radością słuchała tych słów młodego Indyanina; ponury Tygrys zębaty, chociaż jej żadnej krzywdy nie wyrządził, odpychał ją, a nawet przerażał niemilą powierzchownością swoją.

Teraz czuła się spokojniejszą i w duchu dziękowała Bogu za tę pociechę.

Tymczasem Jeleń wrzący przyprowadził konia, okrytego skórą żubrzą i usadowił na nim Ellę. W tej chwili nadjechał Tygrys zębata i spojrzał na nich zachmurzonym wzrokiem.

— Jeleń wrzący bawi się, zamiast myśleć o polowaniu — rzekł przytłumionym od gniewu głosem.

— Jeleń wrzący nie potrzebuje zdawać sprawy wodzowi ze swoich czynności — odpowiedział młodzieniec wyniośle, a z oczu jego strzeliły także błyskawice gniewu.

— Mniejsza o to — mówił Tygrys łagodniej, nie chciał bowiem wobec wojowników rozpoczynać kłótni z synem znakomitego wodza — mój brat ma prawo robić, co mu się podoba; Tygrys zębata jest mu przyjacielem i tylko jako przyjaciel zapytuje, po co to Jeleń wrzący posadził Sarenkę modrooką na konia?

— Sarenka modrooka pojedzie na polowanie.

— Mój brat zapomniał widocznie, że ta blada dziewczyna jest niewolnicą Tygrysa zębatego.

— Sarenka modrooka nie należy wyłącznie do Tygrysa, bo sprzymierzone plemiona Pawnisów mają równe prawa do zdobyczy — odparł śmiało młodzieniec.

— Mój brat trochę za wiele sobie pozwala — rzekł wódz, z trudnością złość powstrzymując — ale to mała rzecz. Jeżeli Jeleń wrzący chce dla zabawki zabrać bladą twarz na polowanie, to czemużby nie miał tego uczynić? Tygrys zębata i Jeleń wrzący nie posprzecząją się przecież o taką drobnostkę, bo są wiernymi przyjaciółmi.

I oddalił się szybko, lecz Ella przelekła się wyrazu jego twarzy, gdy odjeżdżając raz jeszcze rzucił wzrokiem na nią i na młodego Indyanina.

— Jeleń wrzący niepotrzebnie obraził wodza — odezwiała się po chwili milczenia, a w głosie jej brzmiał niepokój.

— Jeleń wrzący nikogo się nie obawia — odpowiedział młodzieniec z pogardliwym uśmiechem — Tygrys zębata nie odważyłby się nigdy rozpocząć kłótni z synem największego wodza Pawnisów.

Tygrys zostawił kilkunastu wojowników na straży przy Tobiaszu, inni wszyscy wyruszyli na łowy: wódz jechał na czele, zaś Jeleń wrzący z Ellą zamykali pochód. Młoda dziewczyna z rozkoszą oddychała powietrzem, nasycenem wonią kwiatów stepowych. Wspaniały krajobraz zachwycił jej oczy, jazda na rączym koniu ożywiła ją i odurzyła przyjemnie, tak że zapomniała na chwilę o troskach, oczy jej zabłysły prawie wesoło, i rumieniec wykwitł na bladej twarzy. Spostrzegł to Jeleń wrzący i widocznie był ucieszony. Starł się rozerwać ją rozmową, a Ella zadawała mu różne pytania, gdyż wszystko, co widziała, zajmowało ją niezmiernie.

— Ojciec nieraz mi opowiadał — mówiła — że na stepach pasą się niezliczone stada żubrów; mają tu podobno ulubioną swoją potrawę?

— Ojciec Sarenki modrookiej miał słuszość — odpowiedział uprzejmy towarzysz. — Jeleń wrzący widział już nieraz stada nieprzeliczone, jak gwiazdy na niebie. Raz mu się zdarzyło przez dni pięć z rzędu wędrować pośród żubrów. Niech siostra moja pomyśli, ile ich być musiało. Gdy takie niezmierne stado jest

w pędzie, ziemia drży i słycać loskot, jak gdyby Wakondah gromy spuszczał z nieba. Niemilo jest spotkać wielkie stado rozbiegane; żubry nie zważają na żadne przeszkody, wszystko po drodze obalają i traktują kopytami. Na koniu jednak łatwo umknąć można przed nimi, — dobry jeździec zawsze je prześcignie. Pieszy wędrowiec powinien się chronić pod drzewo lub pod skałę, jeżeli drzewo lub skała jest w pobliżu, inaczej nie zdoła się uratować i żubry wyślą go do pośmiertnych siedlisk myśliwskich.

— Czy te stada zawsze jednych miejsc się trzymają? — pytała dziewczyna z zajęciem.

— O nie, lubią odbywać dalekie wędrówki. Gdy stepy pokryte są białym śniegiem, wynoszą się w tę stronę, gdzie słońce świeci o południu i przebywają setki mil. Gdy kwiaty odżyją na łące, powracają tu znowu, lecz zawsze z miejsca na miejsce przechodzą. Zwykle trzymają się w pobliżu strumieni, tych żył wodnych, co tak płyną po ziemi, jak krew w ciele człowieka. W dni gorące, gdy słońce skórę na nich wysusza, żubry zanurzają się w wodzie, tak że tylko pyski im widać na powierzchni. Niezmiernie lubią wodę i pływają tak doskonale, jak bobry. W wędrówkach swoich przebywają wpław rodzica strumieni (Mississipi).

— Czy naprawdę? nie sądziłam, żeby taką szeroką i głęboką rzekę przepłynąć mogły.

— Wszystkie stada przeprawiają się tą drogą i wówczas tylko są w niebezpieczeństwie, jeśli natrafiają na brzeg wysoki, lub gdy na dnie wody dużo jest lepkiego mułu, który im do nóg przylega. A najgorsza dla nich bywa przeprawa, jeżeli się spóźnią i mróz

mosty pobuduje na wodzie. O, wtenczas ginie ich nieraz mnóstwo, bo lód często pod ciężarem stada się zalamuje.

— Czy Indianie dla mięsa tylko polują na żubry?

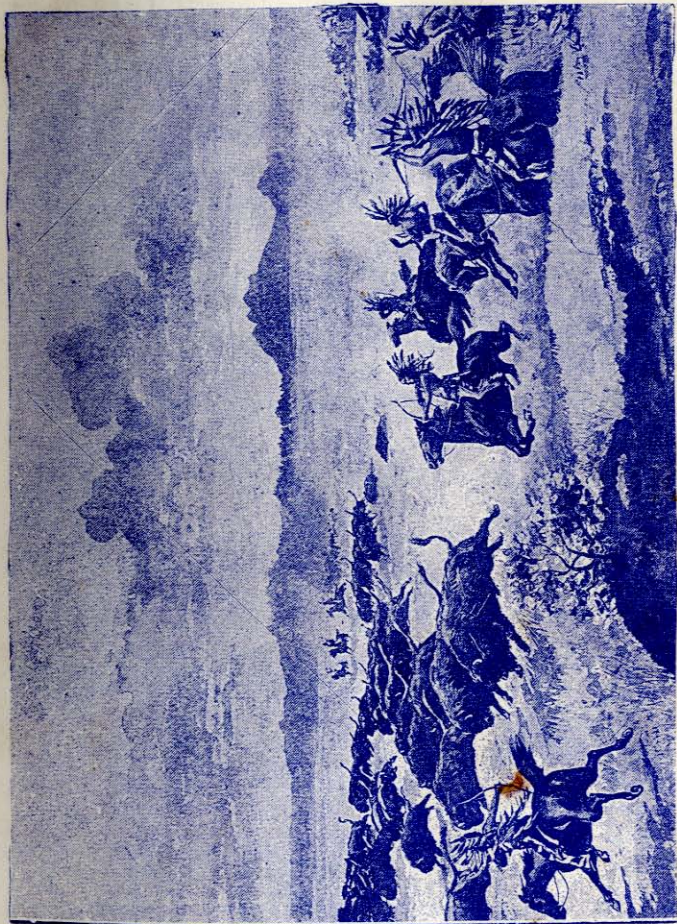
— O nie. To zwierzę jest najszacowniejszym darem Wakondy. Skóra jego daje ciepłe okrycie, pościel wygodną, służy także do osłony namiotu, do wyścielania łodzi, do przykrywania koni i do wielu innych użytków. Z kości wyrabiają Indianie rękojeści do nożów i innych narzędzi, z żył cięciwy do luków i nici do szycia, z nóg wygotowują klej, a z długich włosów mocne splatają sznury. O, Indyanin umie roztropnie spożytkować wszystkie części żubra, nie tylko mięso.

— Prawda, że to bardzo użyteczne zwierzę — mówiła Ella, która z zajęciem tych szczegółów słuchała. Wśród takich i tym podobnych rozmów czas upływał jej szybko i ani się spostrzegła, gdy gromadka Indyan dojechała do miejsca przeznaczenia. Stado żubrów nie opuściło stanowiska, posunęło się tylko cokolwiek dalej po spasienu trawy na pewnej przestrzeni; a ta przestrzeń, którą po sobie zostawiało, była tak całkowicie ogolona z trawy, że wyglądała, jak pole świeżo zorane.

Było to około południa; żubry wypoczywały, leżąc wygodnie na trawie i przeżuwały lub przeciągały się leniwie. Indianie objechali poza wzgórzami w taki sposób, że zwierzęta zwietrzyły ich dopiero, gdy już byli dość blisko. Spostrzegłszy jeźdźców, poczęły okazywać wielki niepokój. Tysiące lbów kosmatych podniosło się w górę i ryk przygluszony, jakby odgłos

gromu, rozległ się dokola w powietrzu. Po chwili stado całe porwało się na nogi i pędem pomknęło po stepie, lecz Indianie dogonili je prędko: żubry nie mogą iść z końmi w zawody. Każdy strzelec wybierał sobie młodego żubra lub tłustą samicę, bo mięso starych samców jest twarde i niesmaczne, a pędząc obok upatrzonej zdobyczy, przeszywał ją strzałami, dopóki nie padła. Konie, przyuczone do tego rodzaju polowania, raz wypuszczone za żubrem, wybranym przez jeźdźcę, gonili go już dalej same, nie potrzebując być kierowane. Strzelec wówczas całą uwagę skupiał na uciekającym zwierzęciu, a strzalał jego, z bliska wypuszczona, zawsze trafiała do celu; gdzie zaś jedna nie starczyła, tam druga i trzecia niechybnie zadawała cios śmiertelny. W chwili, gdy strzala świszczała w powietrzu, roztropny wierzchowiec natychmiast odskakiwał w tył, aby uniknąć uderzenia kopyt rozjuszonego żubra, gdyż nawet i śmiertelnie rany rzadko kiedy pada od razu. Konie Pawnisów były widocznie doświadczone pod tym względem i umiejętnie przyuczone do polowania.

Już mnóstwo zabitych żubrów pokrywało błonie, a Indianie, uniesieni zapalem polowania, wciąż jeszcze gonili za uciekającym stadem i zatrzymali się dopiero, gdy konie ich zdyszane ustały zupełnie. Nie obyło się bez wypadków; tu i ówdzie leżał koń, który nie zdążył w porę odskoczyć i stratowany kopytami padł obok żubrów na placu. Tam znów dogorywał jeździec, zrzucony przez konia, oszalałego z bólu i strachu, — kto raz wpadł pomiędzy rozbiegane stado, ten nie mógł wyjść cało z tej przygody. Nie-



mało też ludzi i koni poniosło większe lub mniej znaczne rany.

Jeleń wrzący tak był uprzejmy dla Elli, że nie brał udziału w polowaniu, aby jej nie odstępować; stali obok z boku i patrzeli, a rzeź ta przykre wrażenie wywarła na młodej dziewczynie.

— Mnie się zdaje — rzekła — że Indianie za dużo zwierzyny zabili. Nie będą mogli nawet zabrać wszystkiego.

— O, zapewne — odpowiedział Jeleń wrzący, który spoglądał błyszczącymi oczyma na towarzyszy, goniących za zwierzyną — i polowy nie zabiorą.

— Więc pocóż tyle zwierząt mordują?

— Bo polowanie sprawia im przyjemność.

— Ale jak zaczną tak nieogłędnie polować, to ilość żubrów na stepach co rok zmniejszać się będzie.

— Indianin nie myśli o tem. Zwierzyna była wczoraj, jest dziś i jutro pewnie się znajdzie.

— A jednak, przy takim niemiłosiernem wytepieniu, niezawodnie kiedyś, choćby po latach wielu, żubrów zabraknąć musi i źle będzie Indianom bez tych pożytecznych zwierząt.

— Co będzie kiedyś, to Indian dzisiejszych obchodzić nie może. Ci, co wówczas żyć będą, niech sobie radzą, jak chcą.

— Więc polowę tylko tych zabitych żubrów zabiorą Indianie — mówiła Ella po chwili milczenia — a cóż się stanie z resztą?

— Wilki i sępy będą miały na długo pożywie nie. Sarenka modrooka nie potrafiłaby zliczyć, ile to żubrów zabijają po to tylko, aby z nich kudły ze drzeć, albo po to, by im poodrzynać języki.

— To bardzo niedobrze, Indianie pożałują tego kiedyś.

— W każdym razie nie ci, którzy dziś żyją, bo żubrów jest moc wielka, wytepić je niełatwo.

— A czy Indianie zawsze w ten sposób gromadnie polują? — spytała Ella.

— Najczęściej, ale nie zawsze. Czy siostra moja widziała te gęste kudły, spadające aż na oczy żubrom?

— O tak, widzę je doskonale u tych zwierząt zabitych, których tu tyle leży wszędzie.

— Te kudły wcale im nie przynoszą pożytku, bo oczy osłaniają. Indianie umieją z tego skorzystać.

— Ciekawa jestem bardzo, jaką korzyść może stąd mieć Indianin, że żubr niedobrze widzi.

— Zaraz to Sarenka modrooka zrozumie. Żubr nie obawia się żadnego zwierzęcia, nie wyłączaając szarego niedźwiedzia. Na widok wilka stepowego nigdy lba nie podnosi. Indianin wkłada na głowę skórę wilka i na czworakach zakrada się do stada, trzymając w ręku luk i strzały. Jeżeli tylko wiatr nie zdradzi obecności człowieka, — bo żubry węch mają dobry, — strzelec może podejść tak blisko, że z największą łatwością żubra trafia.

— A reszta stada umyka, nieprawdaż?

— Nie zgadła Sarenka, przeciwnie, żaden się nawet nie poruszy, pasą się dalej najspokojniej; zaledwie najbliżsi sąsiedzi odsuną się trochę, gdy zobaczą padającego towarzysza.

— I ręczę, że ten zaczajony strzelec zabija bez żadnej potrzeby jednego żubra po drugim.

— Tym razem Sarenka odgadła trafnie. O! Sa-

renka modrooka jest bardzo roztropna. Indianin strzela póty, póki mu strzał nie zabraknie.

— I zostawia żubry zabite na pastwę wilków i sępów.

— Odcina im języki, z dwóch lub trzech zdejmuje skóry, czasem zabierze jakiś lepszy kawałek mięsa, pokraje na pasy i ususzy na słońcu.

Podczas tej rozmowy podjechali do miejsca, gdzie leżał stary żubr olbrzymiej wielkości, zabity wraz z innymi w zapale polowania, chociaż mięso jego na nic się przydać nie mogło. Długość ogromnego zwierza wynosiła dwa metry i pół, wysokość od kopyt do grzbietu dwa metry. Ważyć mógł co najmniej dwadzieścia cetnarów. Przednia część jego ciała znacznie była wyższa od tylnej i zadziwiające miała rozmiary. Szyja krótka i gruba podtrzymywała łeb potężny, uzbrojony niedużymi, lecz silnymi, lekko wygiętymi rogami. Cały przód tułowia zwierzęcia porośnięty był ciemną, szaro-brunatną sierścią, która na grzbiecie, na karku i na łbie nad oczyma przedłużała się w kudły, tworzyła bujną grzywę, i łączyła się z podobną brodą. Tył ciała pokryty był znacznie krótszą sierścią. Rogi, racice i pysk odbijały od reszty ciała barwę całkowicie czarną.

Łowy były ukończone. Indianie zabrali porządny zapas mięsiwa i skór, lecz mnóstwo żubrów nie-
tkniętych pozostało na stepie. Gromady wilków krążyły już teraz dookoła, a ptactwo drapieżne krakało w powietrzu. Jeźdźcy puścili się z powrotem do obozu, lecz dojechali tam dopiero wieczorem, gdyż wieźli kilku rannych, którzy nie mogli jechać szybko.

Ella nie żałowała wcale, że się dała nakłonić

do przejażdżki, gdyż widok tego niezwykłego polowania zajął ją niezmiernie; po powrocie raz jeszcze podziękowała serdecznie Jeleniowi wrzącemu, który ją namówił, aby mu towarzyszyła.

— Sarenka modrooka może liczyć na przyjaźń Jelenia wrącego — odrzekł młody Indyanin z uśmiechem i odszedł. Młoda dziewczyna później dopiero miała się dowiedzieć o przyczynie tej osobliwszej życzliwości Jelenia wrącego.

XIII.

Chybione usiłowania.

Było już około północy. Niebo zachmurzyło się z wieczora i silny wicher powiał od stepu na obóz indyjski. Kiedy niekiedy błysła gwiazdka na niebie, lecz znikła po chwili pod osłoną gęstych, ciemnych chmur, które wiatr pędził szybko.

W obozie Pawnisów panowała cisza głęboka. Przewidując deszcz w nocy, Indianie urządzili sobie szałas z gałęzi i wszyscy się w nich schronili. Za staraniem Jelenia wrącego szałas Elli doskonale był opatrzonej. Niezbyt daleko leżał Tobiasz pod lżejszą i mniej wykwinutą budką z gałęzi. Wszystkie inne szałas ustawione były w ten sposób, że jeńcy znajdowali się po samym środku i dość odosobnieni.

Poza obozem stał Indyanin na warcie, wsparty o pień drzewa. Był to ogromny, silny wojownik, w rękę jego błyszczało ostrze tomahawku; wzrok miał utkwiony w pobliską kępę drzew, niewiele je-

dnak mógł dojrzeć wśród ciemności. Walczył on widocznie ze znużeniem, opanowującym go coraz silniej. Przeszedł się parę razy tam i napowrót, chcąc się rozruszać, niewiele to pomogło, więc znów oparł się o drzewo i stał nieruchomy.

Nie zdołał jednak pokonać zmęczenia i wkrótce głowa jego pochyliła się na piersi, a oddech głęboki chociaż niezbyt głośny zdradzał dostatecznie, że Pawnis usnął, pomimo tak niewygodnej postawy. Wprawdzie po chwili poruszył się i oczy otworzył, lecz patrzył na wół tylko przytomnie i znowu wkrótce powieki jego przymknęły się mimowoli. Nakoniec śpiący wojownik zachwiał się i osunął na ziemię. Ruch ten przebudził go; próbował powstać, nie starczyło mu na to siły: głowa opadła na trawę, oddech wyraźniej jeszcze niż przedtem świadczył o śnie głębokim i smacznym. Teraz już nielatwo mu było się przebudzić. Nie słyszał, jak wicher huczał, uginając gałęzie drzew i otrząsając z nich liście, nie czuł, jak ciężkie krople deszczu spadały mu na głowę.

Tymczasem o trzy lub cztery kroki od śpiącego Pawnisa działy się rzeczy dziwne i niezwykłe. Pod rozłożystym kasztanem ciemna postać ludzka leżała skulona na ziemi, najlżejszem poruszeniem nie zdradzając swej obecności. Można by ją było wziąć za martwą, gdyby nie oczy błyszczące, jak dwa płomienie, wlepione w miejsce, gdzie Pawnis, stojący na warcie, tak niedbale obowiązki swoje spełniał. Człowiek ten prawdopodobnie długo już tam czatował, czekając chwili sposobnej.

Teraz dopiero, gdy Pawnis mocno usnął, skulona postać poczęła się nieco poruszać. Cicho bez najmniej-

szego szelestu wyciągnęła się jak wąż, na trawie i wolno posuwała się w kierunku innego zarośla, o dwadzieścia lub trzydzieści kroków oddalonego. Za zbliżeniem się pelzającej postaci, z za krzaku wysunęło się cicho trzech ludzi i wszyscy zamieniali pomiędzy sobą jakieś znaki, najcichszym szeptem nie przerywając milczenia. Nareszcie tamci trzej pokładli się także na ziemi i popelzli ostrożnie i bez szelestu za pierwszym. Posuwali się jak duchy, jakby nie dotykali po drodze ani gałązek, ani liści suchych. Upłynęło dość czasu, nim dotarli do celu; celem tym był Pawnsis, uśpiony na warcie.

Dwóch przypelzło doń blisko, z prawej i lewej strony, jeden z szybkością błyskawicy przykrył mu usta dłonią, drugi trzymał głowę, dwaj inni przybyli wnet z pomocą i w przeciągu chwil kilku skrepowano i zakneblowano rozbudzonego tym nagłym napadem Pawnisa tak doskonale, że ani pisać, ani poruszyć się nie mógł. Wszystko to odbywało się bez najmniejszego szelestu, nic nie przerywało ciszy nocnej ani na chwilę.

Jeden z pogromców Pawnisa, ten sam, który go tak długo był szpiegował z za kasztana, zdjął mu teraz z głowy strój z piór i włożył na siebie, zabrał skórę żubrzę, służącą mu za okrycie, sam się nią owinał, a trzej inni zanieśli skrepowanego Indyanina w zarośla. Wszyscy czterej szeptali przez chwilę pomiędzy sobą, potem się rozdzielili, zaś człowiek przebrany w strój pokonanego Pawnisa skierował się do obozu. Trzej towarzysze jego oddalili się w inną stronę i wkrótce napotkali gromadkę, złożoną z dziećmiu ludzi, z którą się połączyli. Pomiędzy nimi

nawet i w mroku nocnym można było odróżnić dwóch białych, pozostali byli Indyanami. Człowiek, zakradający się do obozu Pawnisów, był również czerwonoskórym. Postępował on śmiało pomiędzy szalasami, unikając jednak niepotrzebnego hałasu. Bystry wzrok jego wkrótce odkrył dwa szalasy odosobnione, w których Ella i Tobiasz spoczywali, do tych bez wahania kroki swoje skierował. Niejeden Pawnsis, ze snu zbudzony, podniósł głowę, spojrzał na niego, lecz dostrzegłszy postać owiniętą w skórę żubrzę, z piórami na głowie, każdy spokojnie na drugi bok się przewracał, w przekonaniu, że wartę się zmieniają.

Dopiero w pobliżu środkowych szalasów Indyanin, który tak zręcznie udawał skrepowanego Pawnisa, położył się na ziemi i zaczął z największą ostrożnością pelzać jak wąż, a zbliżywszy się do szalasu Elli, zajrzał do niego i uśmiech zadowolenia pojawił się na jego twarzy. Młoda dziewczyna spała na posłaniu z mchu i liści, owinięta w ciepłą skórę żubrzę, którą ją dobry Jeleń wrzący obdarzył. Sen jej nie był jednak spokojny; ciche jęki i westchnienia wyrwały się z piersi biednej Elli, — musiała marzyć o ojcu i braciach.

Czatujący przy szalasiu Indyanin wpelznął do środka, powstał, wyjął z pod skóry żubrzę, którą był owinięty, drobny jakiś przedmiot i wcisnął go dziewczynie do ręki. Potem cofnął się znowu i położył u progu na ziemi a po chwili pociągnął lekko za brzeg skóry, która dziewczynie za koldrę służyła. Ella natychmiast się przebudziła, usiadła na posłaniu i spostrzegła, że jej coś z ręki wypadło. Podniosła ów przedmiot, obejrziała go i na wpół senna mówiła cicho sama do siebie:

— Co to ma znaczyć? Jakieś malutkie pudełeczko miałam w ręku. Nie mogę sobie przypomnieć, czy mi je kto wczoraj podarował i poco trzymałam to przy sobie?

I tak rozmawiając sama ze sobą, dziewczyna wstała, a ponieważ była zupełnie ubrana, więc wyszła na próg szalasu i starała się przyjrzeć bliżej owemu przedmiotowi, który w tak dziwny sposób dostał jej się do ręki. Indyanin tymczasem szybko cofnął się w bok i ukrył za szalasem. Nagle Ella zadrżała; o mało na głos nie wykrzyknęła, powstrzymawszy się jednak całą siłą woli, szepnęła z cicha:

— O wielki Boże! czy to złudzenie czy rzeczywistość! Wszak widzę tabakierkę mego ojca, on ją zawsze nosił przy sobie. Czyżby to miał być znak, że ojciec i Jan wiedzą już, co się dzieje ze mną i z pomocą mi śpieszą? Ale co tam się rusza? — dodała z niepokojem, gdyż w tej chwili usłyszała szelest kroków tuż obok siebie i ciemna, wysoka postać stanęła przed nią.

— Niech Ella się nie obawia — szepnął głos ledwo dosłyszany — wojownik z plemienia Osagów przynosi jej wieści od ojca. Ta tabakierka świadczy o tem, że ojciec Elli go przysłał.

— Wojownik z plemienia Osagów? — powtórzyła dziewczyna równie cicho, lecz z odcieniem nieufności — skądże ojciec ma znać Osagów?

— Czy Ella pozwoli mi wejść do szalasu?

— Dobrze — odrzekło dziewczę po chwili wahania — chociaż może popełniam nieostrożność.

— Niech siostra moja usunie wszelki niepokój z serca — mówił Indyanin, wchodząc do szalasu. Ella

tymczasem oprzytomniała trochę i lepiej mu się przyjrzała.

— A jednak wojownik mnie oszukuje — rzekła — bo ja wiem, że Osagowie odmienny strój noszą na głowie; to jest strój Pawnisów.

— Strój ten zabrany był gwałtem Pawnisowi, stojącemu na warcie, ażeby Osag mógł się zakraść do obozu. Pawnisowie łatwo podejść się dają, w dzień nawet niedowidzą, a cóż dopiero w nocy. Siostra moja śmiało zawierzyć może Osagowi, on to włożył jej podczas snu tabakierkę ojca do ręki, aby wiedziała, że spotka przyjaciela na swej drodze.

— A jeżeli Osagowie zamordowali mego ojca i zabrali jego tabakierkę — rzekła dziewczyna, której ta straszna myśl w tej chwili przyszła do głowy.

— Siostra moja jest podejrzliwa — mówił Indyanin smutnym głosem — ale przekona się, gdy usłyszy, co przyjaciel jej ojca ma do powiedzenia.

— Chciałabym wiedzieć, jak się ten przyjaciel ojca mego nazywa i słuchać go będę z uwagą.

— Orłem czubatym zowią go jego bracia, jest on wodzem wielkiego i potężnego plemienia Osagów.

— Z przyjemnością teraz posłucham, co Orzeł czubaty mi powie.

I Ella z coraz większą ufnością wpatrywała się w szlachetne rysy znanego nam już młodego wodza. Ten opowiedział jej przygody, wiadome czytelnikom z rozdziałów poprzednich, spotkanie swoje z ojcem jej i bratem, wspólną wędrówkę do osady, w której on był przewodnikiem, a wspomniawszy nareszcie, że musiał się rozstać z nimi z powodu ważnych spraw, nim doszli do domu, tak mówił dalej.

— Ścieżka Osagów krzyżowała się kilkakrotnie z drogami Pawnisów. Orzel czubaty wyszedł wkrótce, że ci nieprzyjaciele jego ludu zaglądali do mieszkania białych ludzi, z którymi się zaprzyjaźnił. Oglądając uważnie ślady, znalazł na nich krople krwi. To go niezmiernie zaniepokoiło: obawiał się, aby dzieciom jego przyjaciela nie stało się coś złego. Orzel czubaty postanowił niezwłocznie pójść wraz z towarzyszami do osady, lecz po drodze napotkał dwóch białych przyjaciół, i ci mu opowiedzieli o strasznym nieszczęściu, zniszczeniu domu, zamordowaniu jednego sługi i uprowadzeniu Elli wraz z drugim. Łzy biednego ojca wzruszyły serce Orla czubatego.

— Kochany ojciec — mówiła młoda dziewczyna, wybuchając rzewnym płaczem — ileż trosk i ciężkich zmartwień spadło na jego głowę.

— Wielki duch białych twarzy wszelkie troski przyjaciół moich przemieni w radość — pocieszał ją wódz Osagów.

— Czy ojciec ma jaką wiadomość o dwóch młodszych moich braciach? — spytała Ella, uspokoiwszy się nieco.

— Na nieszczęście, Orzel czubaty nie może siostrze swojej odpowiedzieć na to dobrą wieścią. Ojciec był przekonany, że i oni także są w niewoli u Pawnisów. Teraz dopiero błąd swój poznał.

— O mój Boże! — zawołała Ella z boleścią — biedni bracia musieli zginąć w puszczy.

— Wielki duch białych twarzy czuwa nad nimi!

— Czy ojciec nawet i śladów ich nie napotkał w puszczy?

— Błady człowiek nie myślał o tem wcale, był pewny, iż Pawnisy uprowadzili wszystkie jego dzieci.

— Ale teraz, gdy już wie, że się omylił, powinienby nie odwracając puścić się na poszukiwanie biednych chłopców.

— Uczyni to niezawodnie; jak tylko córkę wyrwie z rąk Pawnisów, pójdzie za śladami synów.

— To jednak najpilniejsze, mnie tu obecnie niebezpieczeństwo nie grozi.

— Jeńcom Pawnisów zawsze grozi niebezpieczeństwo.

— Zjednałam tu sobie przyjaciela, on się mną opiekować będzie.

— Jakże się zowie ten przyjaciel?

— Jeleń wrzący.

— Jeleń wrzący nie jest jeszcze wodzem, chociaż ma wielkie znaczenie pomiędzy Pawnisami. Jest dzielny, dobry i szlachetny, lecz Ella znajduje się w mocy wodza.

— Tygrysa zębatego, nieprawdaż?

— Tak, wódz nazywa się Tygrys zębaty.

— Jeleń wrzący mnie obroni, gdyby wódz chciał mi coś złego uczynić.

— Niech siostra moja pamięta, że Jeleń wrzący nie jest jeszcze wodzem, a Tygrys zębaty nie zna litości.

— Ach! niedarmo ja go się tak bałam od razu! Czy Orzel czubaty zna bliżej tego wodza Pawnisów?

— Orzel czubaty spotykał się z nim nieraz oko w oko na ścieżce wojennej i nienawidził go zawsze, lecz teraz nienawiść ta stała się stokroć silniejszą.

— Dlaczegoż to Orzel czubaty tak nienawidzi Tygrysa zębatego?

— Wódz Pawnisów napadł z wojownikami swoimi na wioskę Osagów, gdy ci byli na wyprawie myśliwskiej, a w wigwamach pozostały tylko kobiety, starcy i dzieci. Jak zwierzę ów drapieżny, którego nazwę nosi, Tygrys zębaty pastwił się okropnie nad niewinnymi ofiarami. Matka, siostra i młodszy brat Orla czubatego, padli pod razami jego tomahawku. Teraz Ella pojmuje, dlaczego wódz Osagów tak nienawidzi wszystkich Pawnisów, a szczególnie Tygrysa zębatego. Orzel czubaty poprzysiągł sobie przed Wakondą, że nie spocznie póty, póki nie pomści krwi starców, kobiet i dzieci, niewinnie wylanej.

— Kiedy to straszne nieszczęście się stało?

— Bardzo niedawno; zaraz po powrocie z tej wyprawy, Pawnisy wyruszyli do osady białych twarzy.

— Dziwi mnie to, że Osagowie nie puścili się natychmiast w pogoń za napastnikami.

— Nie mieli sił dostatecznych, aby wystąpić do walki z liczniejszymi daleko Pawnisami; musieli sobie wprzód wyszukać sprzymierzeńców.

— A teraz, czy już ich wyszukali?

— Tak, wszystko jest w pogotowiu; jak tylko Orzel czubaty powróci do swoich, natychmiast Osagowie wyruszą na ścieżkę wojenną przeciw Pawnisom. Wódz Osagów potrzebuje jeszcze tylko naradzić się z jednym białym myśliwcem, wielkim przyjacielem swoim.

— O, jakże ja się obawiam tego niegodziwego Tygrysa zębatego! — mówiła Ella — Jeleń wrzący

uspokoil mnie trochę, ale rzeczywiście jestem w mocy wodza.

— Ella może się z rąk jego uwolnić, byle tylko chciała.

— Niech Orzel czubaty mówi jaśniej.

— Czy siostra moja jest odważna?

— Jestem córką osadnika i od dzieciństwa nawykłam do niebezpieczeństw.

— Niechże siostra moja posłucha. Orzel czubaty obmyślił dla niej sposób ratunku; Ojciec jej i brat przystali na to, byle tylko Ella sama chciała...

— Czy ojciec i brat mój są stąd niedaleko?

— Bardzo blisko, ukryci w zaroślach.

— Mój Boże! jeszcze i oni mogą wpaść w ręce Pawnisów!

— Niech Ella będzie o nich spokojna. Osagowie znają dobrze swoich nieprzyjaciół, a Orzel czubaty głową ręczy za bezpieczeństwo białych, którzy mu zaufali.

— I jakież to jest ten sposób ratunku dla mnie?

— Niech Ella włosy uwiąże wysoko i włoży na głowę te pióra, w których tu przyszedł Orzel czubaty, owinie się w tę skórę żubrzą i śmiało wychodzi z obozu. Noc ciemna i Pawnisowie nie poznają Elli. Byle raz tylko siostra moja dostała się do lasu, — tam wojownicy Orla czubatego, porozstawiani w różnych miejscach, czekają na nią, i wnet odprowadzają do ojca i brata. + +

— A cóż wódz Osagów ze sobą zrobi? — spytała młoda dziewczyna.

— Schowa się najpierw w tym szalasie; gdy Ella będzie już bezpieczna pod opieką ojca i brata,

wojownicy Orla czubatego zniemacka napadną na obóz Pawnisów; powstanie hałas, zamieszanie, a wśród nocy Orzeł czubaty da sobie radę i nim się Pawnisowie opatrzą, połączy się ze swoimi.

— A gdyby ten plan się nie powiódł? Warty są porozstawiane dokoła obozu, mogą spostrzedz Osagów z daleka i nie dopuścić do tego, aby się zbliżyli.

— Niech siostra moja nie namyśla się długo, bo niema już na to czasu; dzień pocznie wkrótce walczyć z nocą, a wówczas będzie po wszystkim.

— Ale cóż się stanie z Tobiaszem, wiernym naszym sługą? — odezwała się dziewczyna której boleśniej było opuszczać towarzysza niedoli.

— Niech siostra moja pójdzie do niego i opowie mu o wszystkim, a będzie mógł umknąć razem z Orłem czubatym. Tylko niech Ella się śpieszy.

— Za chwilę będę gotowa.

I dziewczyna pobiegła szybko do szalasu Tobiasza; stary wysłuchał z radością niespodziewanej wieści, pochwalił pomysł wodza Osagów i naglił ją do pośpiechu. Ona też, nie tracąc czasu, powróciła do Orla czubatego i przebrała się w strój wojownika Pawnisa.

— A teraz niech siostra moja obróci twarz w tę stronę i idzie ciągle prosto przed siebie — mówił wódz Osagów, wskazując jej drogę, którą sam przybył — i niech Wielki Duch białych twarzy prowadzi ją szczęśliwie.

Ella z najżywszą wdzięcznością uściśnęła dłoń Indianina; teraz już nie wątpiła, że był on szczerym i serdecznym jej przyjacielem.

— Niech siostra moja nie okazuje obawy i idzie

śmiało obok szalasów, tylko nie robiąc niepotrzebnego hałasu — szepnął jeszcze młody Indianin na pożegnanie.

Dziewczyna zebrawszy całą odwagę, miarowym krokiem postępowała obok szalasów, w których spoczywali wojownicy; słyszała głośnie bicie własnego serca, a za najbliższym szelestem drżała mimowoli od stóp do głowy. Nagle stanęła jak wryta. Z szalasów, obok którego przechodziła, wysunęła się olbrzymia postać; pomimo ciemności, Ella odrazu poznała Tygrysa zębatego.

— Pocóż to wojownik po nocy wychodzi z obozu? — zapytał wódz półgłosem.

Ella upamiętała się szybko i zmieniając głos o ile możliwości, odpowiedziała szeptem prawie:

— Idę wartę zmienić — i chciała spokojnie iść dalej, lecz w tej samej chwili Tygrys zębaty wykrzyknął stłumionym głosem »hug!«, i położywszy rękę na ramieniu dziewczyny wymówił nad samą jej uchem:

— Sarenko modrooka.

— Bystry wzrok Tygrysa zębatego poznał mnie, jak widzę — rzekła biedna dziewczyna, a serce jej ścisnęło się trwogą śmiertelną.

— Gdzież to Sarenka modrooka tak wędruje? — pytał wódz Pawnisów.

— Niedaleko — odpowiedziała Ella, byle zyskać na czasie — tam do tych zarośli.

— Poco? — nalegał Tygrys zębaty.

— Widziałam tam pewne zioła — odrzekła dziewczyna, rada, że wybieg ten przyszedł jej do głowy.

— A na cóż to Sarenka modrooka tych ziół potrzebuje?

— Jeniec, mój towarzysz, skarżył się znowu, że go rany gorzej bolą...

— Aha! — przerwał wódz, a na ustach jego ukazał się uśmiech złośliwy — moja siostra ma takie dobre serce, po nocy chciała iść po zioła uzdrawiające.

— Tak, w rzeczy samej, nie mogę znieść widoku cierpienia, wyszłam więc po te zioła.

— Ależ tu wszędzie jest mnóstwo tych ziół, rosną bardzo obficie i po środku obozu; czy Sarenka tego w dzień nie zauważyła?

— I owszem, — lecz tu są zgniecione i do użytku niezdatne.

— Konieczne więc Sarenka modrooka postanowiła szukać ich poza obozem?

— Bo widziałam jedno miejsce, gdzie zioła te rosną nadzwyczaj bujnie, — garściami je zbierać można a trafić tam łatwo i po nocy.

— Jaka też Sarenka modrooka jest uważna!

— Niechże wódz pozwoli mi iść dalej.

— Zaraz, zaraz; niechno Sarenka wprzód powie, skąd dostała ten strój, który ma na głowie?

— Ten strój?... — powtórzyła Ella i zająknęła się, bo zapomniała była o przebraniu, które ją zdradzało.

— Sarenka modrooka nie potrzebuje szukać wykrętów, Tygrys zębaty od razu odgadł wszystko: Sarenka miała zamiar umknąć z obozu Pawnisów.

— Wódz trafnie odgadł — rzekła śmiało dziewczyna, widząc, że innej rady niema.

— Sarenka modrooka jest bardzo nieroztropna.

— Czyż Tygrys zębaty może się dziwić, że pragnę odzyskać swobodę?

— Chociażby Sarenka nawet odzyskała swobodę, znalazłaby za to śmierć pewną. W puszczy tyśiączne niebezpieczeństwa zagrażają niedoświadczonym wędrowcom. Sarenka modrooka jest pod opieką Tygrysa zębatego, a on nie może na to pozwolić, aby ją własna nieroztropność zgubiła. Tygrys zębaty młodej siostrzyczce swojej sprzyja i nie wypuści jej ze swej opieki.

— Wódz Pawnisów jest na mnie zanadto łaskawym — szepnęła dziewczyna z goryczą, usiłując pokonać straszną obawę, która dręczyła jej serce. W rzeczy samej położenie było okropne. Wiedziała, że ojciec i brat są w pobliżu obozu, że Osagowie wyglądają jej w lesie, a tu nie było sposobu zawiadomić ich o tem, co się stało. Większe jeszcze niebezpieczeństwo groziło Orłowi czubatemu, ukrytemu w obozie. Tygrys zębaty spostrzegł nadzwyczajne wzruszenie młodej dziewczyny, popatrzał na nią podejrzliwie i rzekł z odcieniem szyderstwa:

— Dostyc już tego, niech Sarenka modrooka wraca do swojego szalasu, Tygrys zębaty ją odprowadzi.

— Niechże wódz nadaremnie się nie trudzi, pójdę i sama — mówiła Ella, a w głosie jej znać było wzrastającą trwogę.

— I czegoż Sarenka taka jest przestraszona? — spytał Tygrys zębaty, uważnie się w nią wpatrując.

— Nie jestem przestraszona, sama nie wiem, co mi się stało...

— Dziwna rzecz, dziwna rzecz! — powtarzał wódz z uśmiechem złośliwym. I gwizdnął trzy razy. Był to znak, że w obozie dzieje się coś niezwykłego. Hasło rozległo się daleko dokoła i wnet ze wszystkich szalasów poczęły się wysuwać ciemne, wysokie postacie Pawnsów.

— Niechże siostra moja idzie ze mną — powiedział raz jeszcze wódz i chwycił drżącą dziewczynę za rękę. — Tygrys zębata ciekawy jest niezmiernie, kto to Sarenka modrookiej dał ten strój głowy i kto ją do ucieczki namówił.

— Nikt mię nie namawiał, wódz się myli! — wołała Ella jak mogła najgłośniejszym głosem, chcąc przestrzedz Orła czubatego o niebezpieczeństwie.

— A pocóż to Sarenka tak krzyczy? — pytał wódz ze zjadliwym uśmiechem.

Ona nic już nie odpowiedziała, i widząc, że odgadł wszystko, szła za swym prześladowcą, jak ofiara na śmierć skazana. Los szlachetnego wodza Osagów zatrzymał ją do najwyższego stopnia. Doszli tymczasem do szalasu. Tygrys zębata przejrzał bacznie wszystkie kąty, lecz szalas był próżny: Orzeł czubaty znikł bez śladu. Młoda dziewczyna odetchnęła głęboko, tymczasem nadbiegł i Jeleń wrzący, zbudzony wraz z innymi.

A wtem od strony, którą Ella wymknąć się miała z obozu, ozwały się dzikie okrzyki; powstał hałas i zamieszanie, na których odgłos Tygrys zębata i Jeleń wrzący śpiesznie wybiegli z szalasu, Ella zaś padła na kolana, gorąco błagając Boga, aby się ulitował nad szlachetnym Osagiem i uratował go z rąk śmiertelnych wrogów.

Wśród wrzasku i hałasu odezwał się przeraźliwy głos sępa i rozległ daleko, a zaraz potem dały się słyszeć dzikie okrzyki tryumfu. Następnie ucichło wszystko. Trwoga najokropniejsza ogarnęła dziewczynę: prawie już wątpliwości nie miała, że Orzeł czubaty wpadł w ręce okrutnych Pawnsów. — Niedługo czekała na ostateczną wiadomość. Jeleń wrzący nadszedł śpieszniejszym krokiem, posępniejszy niż zwykle; spostrzegła to Ella pomimo ciemności.

— Sarenka modrooka bardzo źle postąpiła — rzekł młody Indyanin z wyrzutem i smutkiem zarazem — nie powinna była związywać się ze śmiertelnymi wrogami Pawnsów. Teraz już i Jeleń wrzący nie potrafi obronić swej siostry, gdy ją strzedz będą ściślej i gorzej się z nią obchodzić, niż dotąd. Gniew Tygrysa zębatego jest straszny i tym razem słuszny. To jednak uspokoiło go nieco, iż schwycił najznakomitszego wodza Osagów.

— A cóż się stanie z Orłem czubatym? — pytała Ella z głęboką boleścią.

— Pawnsy zabiorą go ze sobą do swoich wiosek.

— I cóż z nim uczynią?

— Orzeł czubaty wie dobrze, co go czeka. Sarenka modrooka nie potrzebuje pytać o to, pocóż ma się nadaremnie zasmucać?

— Smutek mój już i tak jest dość ciężki, — wolę wiedzieć całą prawdę. Niech Jeleń wrzący powie mi wszystko.

— Orzeł czubaty musi odejść do wiekiustych gruntów myśliwskich, gdy Pawnsy do siedzib swych powrócą.

— To niegodziwe okrucieństwo mordować bezbronnych jeńców! — zawołała młoda dziewczyna.

— Pawnisy nie wszystkich jeńców mordują. Jeżeli który przyrzeknie pozostać z nimi dobrowolnie, być ich sprzymierzeńcem i bratem i krew swą przelewać wraz z wojownikami Pawnisami, chętnie na to przystają i uważają go za brata. Lecz wódz uczynić tego nie może; musi zanucić pieśń śmiertelną i zginąć mężnie, jak na wojownika przystało. Orzeł czubaty jest wielkim i słynnym wodzem, potrafi on znieść najsroższe cierpienia, nie zmrużywszy nawet oczu.

— Gdzie jest Tygrys zębaty? — spytała Ella, a głos jej zdradzał nadzwyczajne wzruszenie.

— Czego Sarenka modrooka chce od wodza?

— Padnę przed nim na kolana i błagać będę o litość nad szlachetnym wodzem, który dla uratowania mnie własne życie naraził.

— Sarenka modrooka trudziłaby się nadaremnie.

— Muszę jednak spróbować, muszę koniecznie.

— Tygrys nie chciałby tego nawet słuchać; zresztą niema go już w obozie.

— Czy odjechał?

— Sarenka modrooka musiała słyszeć niedawno krzyk sępa. To był głos Orła czubatego. Powtórzyć go nie mógł, gdyż padł w tej samej chwili na ziemię, powalony przez Pawnisów, którzy mu usta zatkali. Lecz okrzyk ten dowodzi, że Orzeł czubaty ma przyjaciół w pobliżu, i chciał ich przestrzedz o niebezpieczeństwie. Tygrys zębaty przetrząsa teraz całą okolicę dookoła obozu. Czegóż to znów Sarenka modrooka tak się przejęła?

— Nie przejęłam się, nic mi nie jest — mówiła

Ella, pomimo że dreszcz zimny przeszedł ją od stóp do głowy.

— Moja siostra musi wiedzieć, kto tu się kręci w pobliżu obozu Pawnisów, nieprawdaż?

Dziewczyna nic nie odpowiedziała, lecz ciężkie westchnienie wyrwało się z jej piersi.

— Jedno tylko niech Sarenka modrooka powie bratu swemu — rzekł łagodnie Jeleń wrzący — czy Osagowie przyszli tu w znacznej liczbie?

— Nie, jest ich niewiele.

— Czy Sarenka modrooka wie to z pewnością?

— Orzeł czubaty sam mi to mówił.

— W takim razie Pawnisy nie będą tracili czasu na odszukanie kilku Osagów. Czy siostra moja jedynie o wojowników Orła czubatego tak się niepokoi?

Ella milczała, lecz cięższe jeszcze westchnienie dostatecznie zdradzało, że młody Indyanin dotknął czulej struny w jej sercu.

— Niech siostra moja zaufa Jeleniowi wrzącemu — mówił dalej — może on znajdzie dla niej pociechę.

Ale ona wahała się jeszcze; nie miała tyle odwagi, by zwierzyć się zupełnie Pawnisowi, jakkolwiek przychylnym okazywał się dla niej.

— Mniejsza o to — rzekł Jeleń wrzący po chwili milczenia — niech siostra moja zachowa przy sobie tę tajemnicę; Jeleń wrzący w każdym razie postara się o to, aby zaprzestano szukać tych Osagów.

— A więc zaufam zupełnie Jeleniowi — odezwiała się wreszcie Ella — ojciec mój i brat przyszli tu z Osagami.

— Jeleń wrzący i sam się tego domyślał.

— I nie nadużyje Jeleń mego zaufania?

— Sarenka modrooka może być spokojna. Tygrys zębaty powróci do obozu, jak tylko się przekonają z odszukanych śladów, że wojowników Osagów jest niewielu; pozwoli on im odejść do swoich ze smutną wieścią o uwięzieniu wodza. Tygrys zębaty pragnie, aby Osagowie jak najspieszniej dowiedzieli się o tem; to ich wprawi w strasliwą wściekłość, zechcą też niezawodnie pomścić Orła czubatego. Lecz Pawnisy ich się nie boją, cóż znaczy ciało bez głowy? Orzeł czubaty był głową swego plemienia, — gniew Osagów jest teraz bezsilny. Ale Sarenka modrooka powinna się położyć i wypocząć. Odtąd kilku wojowników będzie dzień i noc czuwało przy niej, inaczej być nie może; Sarenka sama sobie winna. Niech jednak siostra moja nie trwoży się zbytecznie, Jeleń wrzący jest zawsze jej przyjacielem i nie przestanie się nią opiekować.

Młody Indyanin odszedł, natomiast kilku olbrzymich Pawnisów zbliżyło się do szalasu Elli i zasiadło tuż przy nim. Młoda dziewczyna ukryła się pod osłoną galezi i padła na posłanie, lecz zasnąć nie mogła. Wkrótce zajaśniał ranek. Niebo wypogodziło się zupełnie; — po smutnej i ponurej nocy dzień zapowiadał się tem piękniej i weselej.

Tygrys zębaty w rzeczy samej powrócił do obozu, jak tylko odszukał nieliczne ślady Osagów i białych. Tu wezwawszy na radę najstarszych i najznakomitszych wojowników, zasięgał ich zdania, czy należało gonić zbiegów, czy też puścić ich wolno. Jeleń wrzący, a z nim wielu innych, twierdziło, że

byłoby to niepotrzebną stratą czasu; postanowiono więc niezwłocznie wyruszyć w dalszą drogę. Tygrys zębaty przystał na to chętnie, gdyż jak to trafnie odgadł Jeleń wrzący, radował się w duszy, wyobrażając sobie przerażenie i rozpacz Osagów na wieść o uwięzieniu wielkiego wodza.

XIV.

Syn marnotrawny.

A teraz musimy opuścić na czas jakiś wszystkie osoby, z którymi zapoznaliśmy czytelników naszych w poprzednich rozdziałach i przenieść się myślą w odległą okolicę, a nawet cofnąć się nieco w przeszłość.

Prowincya Sonora zajmuje północną część rozległej krainy meksykańskiej. Na północ graniczy z rzeką Rio-Gila, na wschód z pasmem gór Sierra Madre, na zachód z odnogą Kalifornijską, na południe z prowincją Kinalou.

Przyroda z hojnością szczególną obsypała tę krainę najszacowniejszymi darami. Klimat jej, niezmiernie miły, nie jest ani za gorący, ani za zimny. Urodzajność gruntu, wszędzie w Meksyku niepospolita, tu występuje w całej pełni. Najpyszniejsze owoce, najpożyteczniejsze rośliny, obficie wyrastają na tej błogosławionej ziemi. Jest to ojczyzna bawelny, wanilii, trzciny cukrowej, palmy kokosowej, drzew kampeńskich, mahoniowych i wielu innych płodów. Ale największe jej bogactwo stanowią szlachetne metale:

złoto, srebro, a także drogie kamienie i piękne gatunki marmurów.

Na nieszczęście liczne plemiona indyjskie zamieszkują rozkoszną tę krainę, zwyczajem swoim prześladując zawzięcie białych osadników i nie dając im używać spokojnie tych wszystkich darów Bożych. Najwięcej osiedlało się tu zawsze Hiszpanów. Znaczniejsze miasta Sonory zowią się Guaymos, Hermosillos i Arispe. Hermosillos jest głównym składem morskiego handlu; w czasie wypadków tu opowiadanych, liczyło ono koło sześciu tysięcy mieszkańców. Miasto, zbudowane na płaskowzgórzu, ciągnącem się w kierunku północno zachodnim i spuszczałem się lekko ku morskim wybrzeżom, z drugiej strony przytyka do wzgórza, Dzwonnica zwanego. Wierchołek jego usypany jest ogromnymi glazami, wydającymi za dotknięciem dźwięk metaliczny; stąd nazywa dzwonnicy.

O ile miejscowość ta malowniczo się przedstawia, o tyle miasto samo wcale niepowabnie wygląda. Ulice brudne, domy ciężkie, z niewypalanej cegły, niemile sprawiają wrażenie, — co zresztą powtarza się w wielu miastach amerykańskich.

Było to na ośm lat przed wypadkami, opowiedzianymi w rozdziałach poprzednich... Pewnego popołudnia w marcu, na jednej z głównych ulic miasta Hermosillos, panował hałas nie do opisania. Tłumy ludzi z przeraźliwymi okrzykami cisnęły się przed dużym, okazałym domem. Z okien i balkonów innych mieszkań mnóstwo głów mężczyzn i kobiet zwracało się do tego domu. Żołnierze hiszpańscy, — w owym czasie Meksyk należał do Hiszpanii, — dużo trudu

zadawać sobie musieli, aby utrzymać ludność w porządku. Nieraz zniecierpliwieni uciekali się do włóczni, popychali i kluli najbliższych stojących, co wcale nie przyczyniło się do zmniejszenia krzyku i hałasu.

Zamieszanie doszło do ostatecznych granic, gdy z bramy wspaniałego budynku wypadł nagle jeździec na rozhukanym koniu i nie zważając na tłumy ludu i ścisk na ulicach, puścił się wprost przed siebie szalonym pędem, roztrącając wszystkich i wszystko po drodze. Odezwały się okrzyki przerażenia; kto mógł uchodził przed szalonym jeźdźcą, nie każdemu się to jednak udało: wielu padło na ziemię, ponosząc większe lub mniejsze skaleczenia. A wtem z okien tegoż samego domu ozwał się okrzyk donośny:

— Trzymajcie, chwytajcie mordercę, kto ma lasso*), niech go chwyta i żywcem przyprowadzi!

Słowa te od ust do ust przechodziły po całej ulicy, — nikt jednak nie miał ochoty porwać się na szalonego jeźdźcę. Był to młodzieniec, chłopak raczej, mogący liczyć zaledwie piętnaście lub szesnaście lat. Pomimo tak młodego wieku, wzrostem wysokim i silną budową ciała dorównywał prawie dorosłym mężczyznom. Twarz jego, bardzo piękna, pałała dzikim gniewem, oczy ciskały błyskawice; w prawej ręce trzymał dużą szpicrutę i wywijal nią na wszystkie strony, smagając bez miłosierdzia każdego, kto nie dość śpiesznie z drogi mu nie ustępował, i opóźniał bieg jego szalony.

— Co to za chłopak? — pytano tu i owdzie.

*) Lasso, pętla z mocnego rzemienia, używana głównie do chwytania dzikich koni.

— To Rafael, syn don Ramona de Saavedra — odpowiadali inni.

— Czy popełnił jaką zbrodnię?

— Grał w karty i straciwszy dużo pieniędzy, wpadł w taką wściekłość, że pchnął nożem tego, który go ograł, syna wysokiego urzędnika. Rana jest podobno śmiertelna. Szalony to i nieposkromiony chłopak, próżniak i nicpoń, który nieszczęśliwemu ojcu już nie jedną ciężką zgryzotę przyczynił. Żadne środki, ani łagodne, ani surowe, nie wywierają na niego wrażenia. Tym razem hultaj nie ujdzie zasłużonej kary.

Podczas tych rozmów, Rafael de Saavedra dojechał do końca ulicy i miał skrócić na inną, gdy nagle zastąpił mu drogę *vaquero* *) olbrzymiego wzrostu i nie-milej wielce powierzchowności. Twarz jego miała wyraz złośliwy i dziki. Rozwijał on łąso, odjęte od pasa i mrucał pół-głosem:

— Już ja sobie z tym smarkaczem poradzę. Nikt nie ma odwagi go pochwycić, lecz z rąk moich nie ujdzie. Ho, ho! poczekaj, paniczku, Kornelio weźmie cię na łąso, jak niesfor nego żrebaka i odprowadzi do kryminału.

A tłum uliczny, dla którego każde widowisko jest pożądane, wnet spostrzegł przygotowania *vaquero*'sa i począł mu dodawać otuchy

— Doskonale! chwytaj hultaja, Kornelio — wołano ze wszystkich stron — do kryminału mordercę, do kryminału!

— A spraw się dobrze, nie daj mu uciec, Kornelio! — wołali inni.

*) Tak nazywają ludzi, pasących stada na wpół dzikiego bydła na stepach.

— Nie turbujcie się — odparł *vaquero*, śmiejąc się hulaśliwie — moje łąso nigdy nie chybia celu. Nie popisywałem się jeszcze co prawda ze swoją sztuką na mieście, tembardziej postaram się dobrze sprawić wobec tylu widzów.

Chłopak tymczasem nadjechał w całym pędzie. Twarz jego pokryła się śmiertelną bladością, gdy spostrzegł zastępującego mu drogę człowieka. Znał on go dobrze: Kornelio służył dawniej u jego ojca i z powodu różnych wykroczeń został wypędzony, za co straszliwie się odgrażał. Teraz wybiła dla niego godzina zemsty.

— Aha! poznajesz mnie? — rzekł Kornelio, zgryzając zębami, gdy młody chłopak był już blisko niego.

— Poznaję cię, Kornelio — odpowiedział jeździec, który w jednej chwili odzyskał przytomność i śmiałość — i radzę ci ustąpić z mojej drogi. Jeśli tego nie uczynisz, możesz się na wielkie nieszczęście narazić. Ostrzegam cię!

— Chwytaj go, chwytaj! Do kryminału — wołał tłum, pobudzając olbrzymiego *vaquero*'sa.

— Poddaj się dobrowolnie chłopcze! — odezwał się Kornelio i trzymając ciągle łąso w pogotowiu, posunął się śpiesznie za jeźdźcem, który z trudnością teraz przeciskał się przez napływające ze wszystkich stron tłumy, chociaż nie żałował szpicruty i wywijał nią żwawo. — Poddaj się! — powtórzył i podniósł łąso ponad głowę — nie ujdiesz moich rąk, trzeci i ostatni raz mówię ci: poddaj się!

— Za nic! — wykrzyknął Rafael — nie doprowadzaj mnie do ostateczności!

— Cha cha cha! — zaśmiał się dziko Kornelio —

grozi mi, smarkacz jakiś! malec, dzieciak, mnie groził! Poczekaj, dostaniesz za swoje.

Lasso świsnęło w powietrzu. Lecz w tem samym mgnieniu oka jeździec cofnął konia, zeskoczył z niego i z szybkością błyskawicy, jednym susem, jak jaguar, poskoczył do olbrzymiego napastnika: nóż błysnął w jego ręce i zanim ktokolwiek zdolał temu przeszkodzić, chłopak wbił go po samą rękojęść w pierś Kornelia. Krew trysnęła strumieniem i olbrzym jak kłoda powalił się na ziemię; a chłopiec, wywijając nożem w prawo i lewo, wskoczył znowu na konia. Wszystko to stało się z taką niepojętą szybkością, że tłum odurzony, zdumiony, nie myślał go nawet zatrzymywać. Padło wprawdzie kilka strzałów za uciekającym, lecz żaden nie trafił i szalony jeździec znikł wkrótce obecnym z oczu.

Liczniesze jeszcze tłumy otoczyły Kornelia, który nie dawał znaków życia. Obrzucano mordercę klątwami i groźbami, chociaż *vaquero* nie miał tu ani krewnych ani przyjaciół. Znaleźli się jednak wśród zgromadzonych i tacy, którzy podziwiali nieustraszoną odwagę i zręczność chłopaka. Nagle rozległy się okrzyki:

— Z drogi, z drogi, «Juez de Letras» jedzie!

Tak nazywano najwyższego urzędnika sądowego. Jechał on na czele kilkunastu alguazilów, czyli policyantów, uzbrojonych od stóp do głowy; zbliżywszy się do miejsca wypadku, zsiadł z konia, obejrzał ranego i pokiwał głową, wydał rozkaz, aby go odniesiono do szpitala miejskiego; następnie począł rozpytywać świadków o szczegóły smutnej sprawy.

— A teraz — rzekł urzędnik, zwracając się do

alguazilów — puścimy się niezwłocznie w pogoń za młodym mordercą. Don Ramon jest zacnym i poważnym człowiekiem; serdecznie nad tym nieszczęśliwym ojcem ubolewam, — lecz musi się stać zadość sprawiedliwości. Za mną, nie traćmy czasu!

To rzekłszy, urzędnik odjechał śpiesznie z gromadką swoją, kierując się według wskazówek obecnych w stronę, gdzie znikł przed chwilą uciekający jeździec.

O parę mil od miasta Hermosillos, w malowniczej okolicy wznosiła się wielka i piękna «hacienda» *). Okazały dom mieszkalny otoczony był licznymi, porządnymi zabudowaniami gospodarskimi, o dachach płaskich z trzciny, usypanej po wierzchu ziemią. Nazwa, którą zwykle tej uroczej siedzibie wiejskiej nadawano, była «hacienda del Milagro», to jest hacienda cudowna. Wszystko tu świadczyło o zamożności właściciela. Nietylko że dom mieszkalny posiadał szklane okna, co w owych czasach liczyło się do niepospolitych zbytków, lecz oprócz tego szyby od strony zewnętrznej opatrzone były ozdobnymi pozłacanymi kratami. Można by przytoczyć dużo innych szczegółów, z których łatwo było wnosić o dostatkach mieszkańców haciendy.

Zwróćmy teraz uwagę na scenę, rozgrywającą się w rozległym dziedzińcu tej wiejskiej siedziby. Do ogrodzenia dość znacznych rozmiarów spędzono ze sto sztuk bydła, wypasione go na łąkach okolicznych i na rzeź przeznaczonego. Czynność ta odbywała się w sposób bardzo prosty i bardzo okrutny zarazem.

*) Hacienda, folwark z gospodarstwem wiejskim.

Kilku ludzi, stojących wewnątrz ogrodzenia pomiędzy bydłem, wypędzało jedną sztukę po drugiej ku wąskiemu wyjściu. Tu czatował na nią silny vaquero, trzymając w ręce nóż zakrzywiony w kształcie sierpa. W chwili, gdy bydlę usiłowało przemknąć się obok niego, człowiek ten zręcznem uderzeniem ostrego noża rozcinał mu ścięgna u tylnych nóg. Zwierzę, okaleczone tak straszliwie, padało na ziemię, — wtedy inny vaquero zbliżał się z drugiej strony i zadawał mu cios śmiertelny.

Pomimo zręczności i wprawy obu tych ludzi, nieraz zdarzało się, że zwierzę uniknęło uderzenia zakrzywionego noża, wyskoczyło z zagrody i rozdrażnione zapachem krwi, jak oszalałe biegło po dziedzińcu. W takim razie inny znów vaquero wskakiwał na konia, rozwijał lasso i chwycił zbiega za rogi, poczem w mgnieniu oka rozcinano mu ścięgna i dobijano.

Mężczyzna lat średnich, przybrany w wytworny strój letni, w pięknym kapeluszu Panama, stał wsparty o kratę dziedzińca i spoglądał na to osobliwsze, choć niezbyt mile widowisko. Twarz jego była niezmiernie smutna; głęboko pogrążony w myślach, zdawał się nie widzieć wcale tego, co się działo dookoła. Był to don Ramon de Saavedra, ojciec Rafaela, młodziutkiego zbrodniarza.

Cała powierzchowność don Ramona nosiła wyraźne cechy pochodzenia hiszpańskiego. W rzeczy samej wiódł on ród swój od pewnego hiszpańskiego oficera, który jeszcze z Ferdynandem Kortezem przybył do Meksyku, tu wraz z rodziną stale się osiedlił i przekazał następcom swym ogromny majątek. Don Ramon był jednym z najbogatszych ludzi w całej okolicy;

posiadał piękny dom w mieście i liczne dobra. Po śmierci żony, z którą przeżył lat kilkanaście w szczęściu niczem niezmaconem, przeniósł się z dwojgiem dzieci, — znanym nam już Rafaelem i siedemnastoletnią córką Karmelą — do uroczego ustronia wiejskiego, zwanego «hacienda del Milagro».

Don Ramon kochał dzieci miłością najczulszą, to też bolał nad tem niezmiernie, że Rafael, pomimo niepospolitych zdolności, nie poszedł taką drogą, na jakiej dobry ojciec widzieć go pragnął. Chłopak był samowolny i uparty do najwyższego stopnia; żaden nauczyciel nie mógł wywrzeć na niego wpływu, nawet ojca słuchać nie chciał; przytem jeszcze przebywał w najgorszym towarzystwie, a szalone jego wybryki często krwawiły serce ojca i starszej siostry, wcale do niego nie podobnej. Próbowano wszelkich środków, aby niesfornego chłopca sprowadzić na drogę poprawy, ale wszelkie usiłowania były daremne. Może też tylko nikt nie umiał trafić do jego serca, bo Rafael niezaprzeczenie w gruncie serce miał dobre, i tylko zgubne namiętności brały nad niem górę.

I teraz, spoglądając z roztargnieniem na krwawe widowisko, które miał przed oczyma, don Ramon myślał z niepokojem o Rafaelu.

— Gdzie też on teraz być może? — mówił półgłosem sam do siebie, a ilekroć wzrok jego spotkał pogodną i wesołą twarz którego z vaquero'ów, mimowoli cisnęła mu się do głowy myśl, że każdy z tych ludzi ubogich szczęśliwszy był zapewne od bogatego swego pana, bo go nie pożerały tak ciężkie troski.

— Co tu robić, ach, co tu robić, wielki Boże! — powtarzał, wdychając głęboko i niepokojem dręczony

przechodził z miejsca na miejsce; w końcu wszedł do mieszkania i zatrzymał się we drzwiach salonu, urządnego z magnackim zbytkiem. We framudze okna siedziała młoda, śliczna dziewczyna, zajęta jakąś wytworną robotką.

— Moja droga Karmelo, czy nie wiesz, gdzie Rafael pojechał? — zapytał jej don Ramon.

— Wiem, ojcie — odrzekła młoda dziewczyna — pojechał do Hermosillos.

— Do Hermosillos? A mnie nic o tem nie wspomniał. Prosił tylko o pozwolenie przejechania się konno, dziwiłem się więc, że tak długo nie wraca. Nigdy już więcej nie pozwolę mu wyjeżdżać samemu; tam w mieście zjeżdżają się zaraz z niegodziwymi swymi kamratami i znowu jakąś lotrowską sztukę urządzają. Sam nie wiem, dlaczego dziś właśnie tak strasznie jestem o niego niespokojny.

— Niepotrzebnie się tak martwisz, ojcie — pocieszała Karmela — drobna jakaś okoliczność mogła go w mieście zatrzymać; za chwilę pewnie przyjedzie.

— Dałby Bóg tylko, żeby się nic złego nie stało — westchnął don Ramon — ale już wieczór się zbliża, a on wyjechał zrana.

— Możeby posłać którego ze sług do miasta, żeby go odszukał?

— Dobrze mówisz, córko, zaraz to uczynię — i miał już wychodzić, gdy Karmela, stojąca przy oknie, zatrzymała go, mówiąc z odcieniem niepokoju:

— Jacyś jeźdźcy jadą drogą od miasta... Zbliżają się do naszej haciendy... Kto to być może?

Don Ramon stanął obok córki, spojrzał w okno i śmiertelna bledność pokryła twarz jego.

— Co ci jest, ojcie? — wykrzyknęła młoda dziewczyna, spostrzegłszy przerażenie jego.

— Nie wiem, co to znaczy — odpowiedział drżącym głosem — to są alguazile.

— Wielki Boże! Pocóż oni tu jadą?

— Bóg to raczy wiedzieć.

— Widzę jednak na przedzie jeźdźca w cywilnym ubiorze, ale to nie Rafael, poznałabym go nawet z tak daleka.

— Nie, nie Rafael, i ja to widzę. Zdaje mi się jednak, że tego jeźdźcę poznaję... za chwilę zobaczymy, czy się nie mylę.

Oblicze don Ramona stało się jeszcze bledsze; utkwil osłupiały wzrok w jadącym na przedzie jeźdźcu i usta zacisnęły mu się kurczowo.

— Cóż, ojcie, czy już go poznałeś? — spytała Karmela.

— Tak — odrzekł don Ramon przytłumionym głosem — to największy urzędnik sądowy z Hermosillos, Juez de Letras.

— Może w odwiedziny przyjeżdża do ciebie — rzekła Karmela, nie zdając sobie sprawy z trwogi śmiertelnej, która ścisnęła jej serce na widok pomieszanego ojca.

— Nie sędzę — odpowiedział ojciec, zapanowawszy już nieco nad wzruszeniem — w takim razie nie byłby brał ze sobą tego orszaku alguazilów. Przybysza tu zapewne w jakiejś sprawie swojego urzędu, a Rafael... jest w Hermosillos! Dowiemy się za chwilę, czego żąda w domu moim Juez de Letras.

To mówiąc wyszedł i na ganku oczekiwał przybycia urzędnika; znalazł go wprawdzie osobiście, lecz

nie łączyły ich żadne bliższe stosunki. Kawalkata zatrzymała się wreszcie przed gankiem.

— Wybacz, don Ramonie de Saavedra — rzekł urzędnik sądowy, zsiadając z konia — ci alguazile muszą natychmiast otoczyć twe mieszkanie i pilnować, aby nikt z niego nie wyszedł. Wierżaj mi pan, spełnienie tego obowiązku jest dla mnie nadzwyczaj przykre. Sam pan zapewne domyślasz się, iż sprowadziły mnie tu powody ważne i bardzo smutne.

— Cóż się stało? — spytał don Ramon na pozór spokojnie, chociaż najokrutniejsza trwoga ścisłała jego serce.

— Syn pański Rafael popełnił przestępstwo, wskutek czego musi być oddany w ręce sprawiedliwości.

— Jakie przestępstwo? — pytał nieszczęśliwy ojciec.

— Dwóch ludzi ranił śmiertelnie; czeka go kara morderców.

— To niepodobna! — jęknął don Ramon i oparł się o ścianę.

— Na nieszczęście tak jest — odpowiedział urzędnik — obie ofiary są blizkie śmierci. Muszę odszukać przestępcę.

— Wejdz pan — wymówił ledwo dosłyszalnym głosem don Ramon — i spełnij powinność swoją, — lecz syn mój nie powrócił do domu.

Urzędnik z dwoma alguazilami przeszukał jednak całe mieszkanie, a nie znalazłszy nigdzie Rafaela, zbliżył się znowu do nieszczęśliwego ojca, który przez cały ten czas stał jakby nieprzytomny we framudze okna, z załamanemi rękoma. Ujrawszy przed sobą

urzędnika, pokonał na chwilę straszne wewnętrzne wzruszenie i począł go rozpytywać o szczegóły okrokných wypadków. Juez de Letras opowiedział wszystko i rzekł w końcu:

— Przykro mi to niezmiernie, don Ramonie, lecz muszę pozostawić w domu pańskim tych alguazilów, aby przestępcę pochwycili, gdyby się tu pokazał. Uprzedzam pana, że ludzie ci będą mieli odemnie polecenie nie wypuszczać z domu nikogo, dopóki zbieg nie dostanie się w ręce sprawiedliwości.

— Czy nie mógłbyś pan odstąpić od tego ostatniego warunku? — spytał don Ramon. — Niezmiernie ważna i pilna sprawa zmusza mnie tej nocy jeszcze wyjechać do miasta Arispe. Jestem już zupełnie wybrany do tej drogi i jednego tylko wiernego sługę chcę zabrać ze sobą.

— Jak długo pan tam masz zabawić?

— Tydzień najdłużej. Wszak panu nic zależeć nie może na mojej obecności w domu, skoro go oddaje dobrowolnie do rozporządzenia pańskiego.

— W rzeczy samej, don Ramonie, mogę w tym razie odstąpić od zwykłych przepisów. Czynię to jedynie przez szacunek i współczucie dla pana. Musisz jednak zgodzić się na to, aby kilku alguazilów odprowadziło pana na pół drogi przynajmniej od domu.

— Zgadza się — rzekł krótko don Ramon.

— O której godzinie pan wyjeżdżasz?

— Około dziesiątej.

— Dobrze, wydam zaraz stosowne rozporządzenia i wracam do miasta, bo muszę rozesłać alguazilów w różne strony, aby szukali przestępcy. Żegnaj pana.

— Żegnam.

Po wyjściu urzędnika, don Ramon de Saavedra wszedł do swego pokoju i zamknął za sobą drzwi na klucz. Dotychczas musiał straszną boleść swą pokonywać, — teraz mógł zapłakać nad marnotrawnym synem. Wyczerpany cierpieniem i walką wewnętrzną osunął się na sofę i gwałtowne łkanie wstrząsnęło pierś jego. Długo oddawał się tej straszliwej rozpacz, napół przytomny z bólu i zwątpienia, wreszcie poczał się uspokajać i wpadł w głębokie zamyślenie. Nagle zerwał się: twarz przybrała wyraz stanowczości, a oczy wyrażały silne postanowienie.

— Tak, innego ratunku niema — szepnął sam do siebie i pociągnął za sznur od dzwonka, wiszący przy drzwiach. Młody murzyn w kosztownej liberyi wszedł do pokoju.

— Niech tu natychmiast przyjdzie Euzebio — rzekł, a gdy murzyn odbiegł spełnić rozkaz, poczał się przechadzać wielkimi krokami po pokoju.

XV.

Wyrok ojcowski.

Euzebio pełnił w domu don Ramona de Saavedra obowiązki zarządcy, majordomo. Był to człowiek już sędziwy; włosy miał białe, jak mleko, a długa, śnieżna broda, spadała mu na piersi. Wysoki, chudy, pomimo lat podeszłych, trzymał się bardzo prosto. Twarz jego, licznymi zmarszczkami poorana, miała wyraz

dobroci i łagodności, — oczy błyszczały jeszcze żywym blaskiem.

Euzebio służył dawniej u ojca don Ramona, a pan jego dzisiejszy żywił dlań wiele szacunku i zaufania i uważał go raczej za najlepszego przyjaciela, niż za sługę. Euzebio zasługiwał na to ze wszech miar; przywiązany niezmiennie do dobrego pana, dzieci jego, Rafaela i Karmele, kochał całem sercem. Staruszek stawiał się natychmiast na wezwanie, a twarz jego, gdy wszedł do pokoju, wyrażała smutek głęboki.

— Wiesz zapewne o wszystkim? — zagadnął go don Ramon.

— Wiem, dobry mój panie — szepnął majordomo ledwo dosłyszczanym głosem — jeden z alguazilów opowiedział mi rzecz całą.

— To dobrze. Pojedziesz ze mną tej nocy.

— Dokąd, panie drogi?

— Tam, gdzie prawdopodobnie ukrywa się młody złoczyńca.

— Chce go pan ukryć bezpiecznie?...

— Nie, chcę wyrok nad nim spełnić.

— Nie rozumiem pana; lecz w każdym razie nie odda go pan przecież w ręce sprawiedliwości.

— Nie, ale... posłuchaj mnie, Euzebio: Rafael postępowaniem swoim shańbił nazwisko, które nosi, — nie wart jest zwać się synem moim. Popelniając przestępstwo, wyrzekł się ojca, więc i ja go się wyrzekam.

— O panie, kochany panie...

— Pozwólże mi dokończyć, nie przerywaj. Surowy, nieublagany obowiązek nakazywałby mi oddać przestępcę w ręce sprawiedliwości. Lecz w takim ra-

zie poniósłby karę morderców, — zginąłby na rusztowaniu. Wówczas hańba, którą ten syn niegodny okrył moją głowę, przylgnęłaby do naszego rodu na wieki, i niewinna siostra pokutowaćby musiała za niego. To być nie powinno, i temu właśnie przeszkodzić pragnę. Nazwisko nasze utrzymało się dotąd nieskalane; od wieków nie było przykładu, aby który de Saavedra popełnił coś hańbiącego. Chłopiec, noszący dotychczas to szanowne nazwisko, pierwszy ze swego rodu rzucił na nie straszną plamę. Plamy tej zmasać całkowicie nie potrafię, lecz mogę przynajmniej większy rozgłos nieszczęścia naszego powstrzymać. Gdy złoczyńca zniknie z widowni świata, ludzie powoli o nim zapomną. Postanowiłem, ażeby zniknął jak najprędzej...

— Panie, mój dobry panie, czyż pan chcesz własną ręką odebrać mu życie?! — mówił stary sługa w najwyższym przerażeniu.

— Niech mię Bóg broni, abym miał przelewać krew własnego dziecka! — odrzekł don Ramon, niemniej od starca wzruszony. — Chcę go tylko uczynić nieszkodliwym, chcę, aby świat sądził, że nie żyje, aby nikt nie domyślił się nawet jego istnienia, oprócz mnie i ciebie. Odbiorę go z mocy ludzkiej i oddam w ręce wszechmocnego Stwórcy; niech On z nim czyni, co mu się podoba. Euzebio, czy mogę ci zaufać zupełnie?

— Pan wiesz dobrze — mówił starzec uroczyście — że przez całe życie służyłem wiernie domowi chlebobawców moich i resztę dni chętnie na ich usługi poświęcę.

— A więc posłuchaj, jakie postanowienie powziąłem.

Tu don Ramon zniżył głos i długo coś szeptał

wiernemu służyć na ucho. Ten słuchał uważnie i rysy jego przybierały stopniowo wyraz przerażenia.

— O panie — odezwał się wreszcie głosem drżącym, gdy tamten mówić przestał — wszak on jeszcze taki młody, dziecko prawie...

— Starcze, nie pytałem cię o radę — odparł don Ramon surowo — czyż sam nie pojmujesz, że to ostatni, jedyny ratunek? Czy wolałbyś, aby wpadł w ręce sprawiedliwości?

— To nie. Lecz gdybyśmy go dobrze ukryli, mógłby się z czasem poprawić, zmienić, on taki młody...

— Nie, nie, on się już nie poprawi — mówił don Ramon z niewypowiedzianą boleścią — czyliż nie próbowałem wszelkich sposobów, aby go na lepszą drogę naprowadzić? Moje napomnienia, lzy i prośby siostry najmniejszego wrażenia nie wywierały na tym upartym i niesfornym chłopaku. Zepsuty jest do gruntu; dawno już straciłem nadzieję, aby zwyczajne środki poprawić go mogły. Ale nieszczęście jest wielką szkołą. Niech się bliżej zapozna z trudami, niedostatkiem, z przeciwnościami wszelkiego rodzaju, a kto wie, czy duch ten nieugięty nie upokorzy się w końcu, czy umysł zbłąkany nie przyjdzie do równowagi.

— Nie będzie na to czasu — mówił żałośnie Euzebio — nieszczęśliwy padnie prędko ofiarą drapieżnych zwierząt lub dzikich Indian.

— Niech się broni, dam mu strzelbę, — zapas kul i prochu.

— Wszak to chłopiec szesnastoletni, — czyż będzie on w stanie obronić się od tylu niebezpieczeństw?

— Ten chłopiec szesnastoletni był jednak w stanie zamordować z zimną krwią olbrzymiego Kornelia.

— O, nie z zimną krwią! uczynił to w gniewie, w szalonym gniewie, — był nieprzytomny. A potem, nie zamordował go przecież na śmierć i rękę, że Kornelio jeszcze się wyliże.

— Usiłowanie morderstwa karane jest tak, jak morderstwo. Jeśli nie zabił na miejscu obu ofiar swoich, zrzucił to jedynie przypadek. Popędlivość popchnęła go do zbrodni dwa razy i niezawodnie popychałaby do dalszych raz po raz. Może walki z drapieżnymi zwierzętami i dzikimi Indyanami tę krew gorącą oziębią.

— O panie, litości!

— Słuchaj, stary, odpowiedz na moje pytanie, nie więcej: czy gotów jesteś mi dopomódz?

— Ciężkich rzeczy wymagasz pan odemnie, bardzo ciężkich — rzekł starzec, ocierając łzy — kocham te dzieci, jakby swoje własne. Rosły mi w oczach, na rękach je piastowałem. I one także mnie zawsze kochały, nawet i Rafael, mamże teraz?...

— A więc odejdziesz, jeśli tak — przerwał zniecierpliwiony don Ramon — nie mam ci więcej nic do powiedzenia. I bez ciebie potrafię wykonać swe postanowienie, od którego nie odstąpię. Odejdziesz, Euzebio.

— Mój Boże! pan się na mnie gniewa...

— Nie gniewam się, ale cię nie potrzebuję. Obejdę się bez ciebie, — odejdziesz.

A jednak pomimo powtórzenia rozkazu, Euzebio nie odchodził. Widocznie ciężką walkę toczył sam z sobą. Usta jego drżały, twarz pobiadła więcej jeszcze, a oczy napędlily się łzami...

— Przedewszystkiem — rzekł głosem przytłumionym po chwili przykrego milczenia — przedewszyst-

kiem winienem panu posłuszeństwo, bezwarunkowe posłuszeństwo; inaczej nie byłbym wiernym sługą. Serce moje ucichnąć musi, chociaż niełatwo mu to przyjdzie. Czynilem co mogłem, aby pana od tego strasznego zamiaru odwieść. Nie powiodło mi się... Teraz znów jestem tylko starym, wiernym sługą, — nie pytam, po co to lub owo się robi, lecz ślepo wykonywam pańskie rozkazy.

— Dobrze, mój poczciwy Euzebio — rzekł don Ramon łagodniej — każ natychmiast osiedlać dwa konie wierzchowe, a na trzeciego naładować wszystko, co jest do dłuższej podróży potrzebne. Zabierz także broń dla tego, którego dotychczas zwałem synem moim; wybierz najlepszą, jaka jest w domu, oraz zapas kul i prochu, dostateczny na czas długi. Gdy dziesiąta wybiję, wyruszymy w drogę; pamiętaj więc, aby wszystko było gotowe. Czy słyszysz?

— Spełnię rozkazy pańskie — odpowiedział starzec, ocierając łzy, których powstrzymać nie był w stanie.

— Odejdźże teraz, bo muszę jeszcze z córką pomówić.

Don Ramon poszedł do pokoju córki, której uszu również już była doszła okropna wieść. Zalana łzami rzuciła się w objęcia ojca; po chwili jednak dziwny jego spokój przeraził młodą dziewczynę, nie wiedziała bowiem jak straszliwa burza spokój ten pozorny poprzedziła.

— Nie płacz, moje dziecko — rzekł ojciec — chłopiec ten nie wart, abyśmy się tak ciężko o niego martwili. Pojadę zaraz tej nocy i ułatwię mu ucieczkę, bo kara złoczyńców, na którą zasłużył, i nas najnie-

winniej okryłaby hańbą. Nie obawiaj się, gdybym dłużej trochę zabawić musiał.

— A czy ja nie będę mogła go zobaczyć? — spytała Karmela, płacząc rzewnie.

— To niepodobna. Zresztą ten niegodziwy chłopak nie zasłużył na to, żeby ci w oczy spojrzeć.

— Cóż się z nim stanie, ojcze, gdzie on się schroni?

— Sam jeszcze nie wiem, zostaw mnie o tem staranie.

— O biedny, biedny mój bracie, kiedyż ja cię obaczę? — powtarzała młoda dziewczyna, tonąc we łzach.

O godzinie dziesiątej dwa konie wierzchowe i trzeci obładowany pakunkami stanęły przed gankiem haciendy. Euzebio dał panu znać, że wszystko gotowe. Don Ramon, pożegnawszy córkę, siadł na konia i puścił się w drogę, — za nim jechał Euzebio, prowadząc trzeciego konia. Dwóch alguazilów przyłączyło się do nich z rozporządzenia urzędnika sądowego i gromadka jeźdźców śpiesznie pokłusowała drogą, prowadzącą do miasta Arispe. W godzinę dojechano do ustronnej *venty*, czyli gospody, leżącej przy gościńcu. Don Ramon zatrzymał się i kazał alguazilom podać najlepszego wina, zapraszając uprzejmie, by się posilili na drogę. Podobalo im się to niezmiernie: uraczyli się porządnie i wkrótce zaszumiało im w głowie, gospodarz zaś z polecenia don Ramona ciągle jeszcze nowego trunku poddawał. Właśnie wniósł świeżych parę butelek i zabrał się do ich odkorkowania, gdy don Ramon, spojrzawszy na zegarek, podniósł się nagle i zawołał.

— Przykro mi bardzo, moi panowie, ale nie mogę

ani chwili dłużej tu bawić, bo mi pilno do Arispe. Wstawajcie więc co prędzej i w drogę.

Alguazilom przeciągnęły się twarze; z żalością spojrzawszy na pełne butelki, z którymi tak niespodzianie rozstać się mieli, zaczęli szeptać pomiędzy sobą, — nakoniec jeden z nich wstał i rzekł do don Ramona:

— Właściwie niema w tem najmniejszego sensu abyśmy panu koniecznie do pół drogi towarzyszyli. Jesteśmy przekonani, że pan i bez nas, tak samo jak i z nami, pojedzie prosto do Arispe. Otóż, mojem zdaniem, najlepiej tak zrobić: niech pan jedzie dalej, nie tracąc czasu, a my tu sobie parę godzin przesiedzimy i jeśli łaska pańska, wypijemy jeszcze parę butelek za jego zdrowie.

Don Ramon ukrył starannie swe zadowolenie, gdyż, jak zapewne domyślają się czytelnicy, nie bez powodu uczęstował alguazilów, i odpowiedział najspokojniej:

— Dla mnie to, rozumie się, nie stanowi żadnej różnicy, czy panowie towarzyszyć mi będziecie, czy nie, pocóż więc darmo mam was narażać na męczącą podróż po nocy? Co do wina, chętnie zapłacę jeszcze za tyle butelek, ile ich wypić zdołacie. A więc bawajcie zdrowi.

— Jeszcze jedno — rzekł starszy alguazil, przysuwając się bliżej i głos zniżając — czy pan będzie tak dobry i nie wspomni o tem nikomu?...

— Daję na to słowo honoru.

— No to dobrze; szczęśliwej podróży życzymy panu.

I alguazil zasiadł za stołem obok towarzysza, a don Ramon i Euzebio ruszyli w drogę. Jak tylko

oddalili się od gospody o tyle, że już tam tętentu ich koni dosłyszeć nie było można, zawrócili się i pojechali winnym kierunkiem, wprost przeciwnym prawie; zboczyli z gościńca na grunta piaszczyste i kamieniste, wreszcie dotarli do lasu. Tu musieli nieco powstrzymać bieg koni, gdyż wśród gęstwiny leśnej otoczyły ich głębokie ciemności. Było już około godziny pierwszej po północy, gdy ujrzeni przed sobą mały, napół rozwalony budynek. Niegdyś, za dawnych czasów, gdy don Ramon z zamięrowaniem oddawał się polowaniu, wystawił był tu domek myśliwski w lesie dla własnej wygody. Później jednak z wiekiem przestał do niego zaglądać i domek zaczął się rozpadać w gruzy.

Rafael nieraz już ukrywał się po kilka dni w tem ustronnem schronieniu, mało komu znanem; zdarzało się bowiem, iż szalone jego wybryki przybierały takie rozmiary, że musiał ludziom zejść na czas pewien z oczu i przed słusznym gniewem ojca uchodzić. Ile razy młodzieniec zniknął w taki sposób, ojciec, czuwający nad nim nieustannie, wiedział doskonale gdzie go szukać, nigdy się jednak z tem nie wydał, nie gonił za nim, pozostawiając mu czas do upamiętania się w tem osamotnieniu. Nie wątpił więc, że młody przestępca i teraz w zwykłej swej kryjówce przebywa, sądząc się tam bezpiecznym.

Dwaj jeźdźcy stanęli przed domkiem i zsiadli z koni; w tejże samej chwili rzenie innego rumaka ozwało się w pobliżu.

— To jego wierzchowiec, zastaliśmy go — szepnął don Ramon i obaj na palcach podeszli do drzwi domku: były na klucz zamknięte. Musiał to przewidywać don Ramon, gdyż wyjął klucz z kieszeni i otworzył je bez

najmniejszego hałasu. Pan i sługa weszli do środka, lecz panowała tu taka ciemność, że nie dojrzeć nie mogli. Don Ramon miał przy sobie świeczkę woskową, którą zapalił za pomocą krzesiwa. Z małej sionki, w której znajdowali się obecnie, dwoje drzwi, także zamkniętych, wiodło do dalszych pokoi. Don Ramon do obojga kolejno przykładając ucho, nasłuchując; przy drugich zatrzymał się dłużej i skinął na starego sługę. Obaj usłyszeli wyraźnie głęboki oddech śpiącego. Czas jakiś stali, jak skamieniali, i bladeść śmiertelna pokryła im twarze.

— Wejdzmy — szepnął wreszcie don Ramon i po cisnął klamkę; drzwi otworzyły się cicho, bo nie były na klucz zamknięte. Błady płomyk woskowej świeczki oświetlił niedużą izdebkę... W kącie, na posłaniu z mechu i liści, leżał Rafael. Po trudach i wzruszeniach dnia tego, chłopak znużony zapadł w sen tak głęboki, że ani szelest, ani światło go nie przebudziły.

Wzrok ojca zatrzymał się z nieopisanym wyrazem na pięknych rysach uśpionego młodzieńca, na silnej, kształtnej jego postaci. Otchłań bólesci wyczytać było łatwo w oczach, napelnionych łzami, których nieszczęśliwy oderwać nie mógł od marnotrawnego syna.

— O panie, czy nie zmienisz pan teraz postanowienia? — szepnął Euzebio, którego uwagi nie uszło to nadzwyczajne wzruszenie don Ramona. Lecz ten poruszył głową przecząco, a rysy jego przybrały znowu wyraz nieubłaganej stanowczości.

— Zbudź chłopca — rzekł krótko.

Euzebio zbliżył się do śpiącego, pochylił się nad nim i dotykając lekko jego ramienia, zawołał łagodnie:

— Rafaelu, Rafaelu.

Chłopiec otworzył oczy, lecz nie spostrzegł w pierwszej chwili ojca, stojącego nieco dalej.

— Euzebio! — zawołał Rafael zdziwiony i podniósłszy się, usiadł na posłaniu.

— Tak, to ja, — wstawaj, Rafaelu.

— Czegoż ty chcesz odemnie? Jakim sposobem odszukałeś mnie w tym ukrytym zakątku?

— Nie ja cię odszukałem, obejrzyj się, Rafaelu...

— Co, to ty, ojciec! — wykrzyknął chłopak przerażony, gdy wzrok jego spotkał się z ponurem wejściem don Ramona, i zerwał się szybko na nogi.

— Nie ojciec, — lecz sędzia stoi przed tobą — odezwał się tamten przytłumionym głosem — nie masz już ojca, a ja nie mam syna.

Usta młodzieńca drgnęły nagle, jak gdyby pod wpływem gwałtownego bólu, lecz po chwili twarz jego znowu przybrała wyraz zaciętego uporu; stał nieruchomy i milczał.

— Padnij do nóg ojcu, błagaj go o przebaczenie — mówił półgłosem Euzebio.

— Nic z tego! — zawołał don Ramon, który to dosłyszał — nie mam nic wspólnego ze zbrodniarzem, który się zmazał krwią bliźniego. Przybyłem tu po to jedynie, aby spełnić nad nim wyrok... Rafaelu, nie możesz żyć w towarzystwie ludzi: stałeś się szkodliwym dla nich; odtąd musisz przebywać pośród dzikich zwierząt, bo do nich jesteś podobny.

Rafael stał nieporuszony; usta jego zacięte nie wydały głosu. Surowe słowa ojca nie tylko nie zmięczyły serca chłopaka, lecz przeciwnie utwierdziły go w uporze.

— Niema czasu do stracenia — mówił dalej don Ramon. — Euzebio, przyprowadź konie; mamy przed sobą daleką drogę. W głębiach puszczy, gdzie nigdy stopa ludzka nie postąpiła, będzie mógł wściekłość swoją wywierać do woli na zwierzętach drapieżnych, — to najwłaściwsze dla niego towarzystwo.

— I owszem, i owszem! — zawołał Rafael, siląc się na wesołość — lubię walkę z dzikimi zwierzętami.

— Nie mów tak, szalony chłopcze — szeptał Euzebio przerażony, a gdy don Ramon wyszedł obejrzeć konie, stary sługa dodał błagalnym głosem — Rafaelu, padnij do nóg ojcu, nie urągaj mu tak straszliwie, nie doprowadzaj go do ostateczności.

— Wszak do ostateczności już doszło — odparł chłopiec — don Ramon de Saavedra wyrzekł się mnie, serce jego zamknęło się dla mnie na wieki; żadne błagania i prośby nie zdołałyby go zmięczyć, a ja znów przed nikim się nie upokorzę.

— O zaślepiiony, nieszczęśliwy chłopcze, wejdź w siebie, czyż nie obawiasz się kary Bożej?...

— Przestań mię dręczyć, ty stary puszczyku — przerwał chłopiec z gniewem, lecz po chwili dodał łagodniej: — Ale nie, z tobą nie chcę się rozstawać w ten sposób; tyś był zawsze moim przyjacielem, podaj mi rękę na zgodę. A teraz powiedz, co się dzieje z Karmelą? czy wie o moich bohaterskich czynach?

— Biedna Karmela ma oczy czerwone od płaczu. Nie wiem, czy zdoła kiedy pocieszyć się po stracie brata, którego może nie zobaczy już nigdy w życiu.

— To prawda, pewnie się nie zobaczymy nigdy, nigdy... Żal mi szczerze tej pocziwej dziewczyny... Gdy o niej pomyślę, wyrzucam sobie tę chwilę uniesienia.

Dla miłości Karmeli byłbym darował życie temu lotrowi, który mnie w grze oszukiwał... Ale już się stało. Żal po niewczasie na nic się nie przyda.

Euzebio westchnął głęboko nad bezprzykładną lekkomyślnością chłopaka. Don Ramon naglił do pospiechu; koń Rafaela, posłuszny jak pies, przybiegł na głos chłopca, któremu ojciec skinieniem kazał na niego wsiąść. Potem wyjął z kieszeni chustkę i rzekł zwracając się do starego slugi.

— Zawiaż mu oczy.

— I owszem, i owszem — odezwał się chłopak tym samym szyderskim tonem — chociaż to niepotrzebna komedia, bo ja i tak nie powróciłbym tą drogą. Dobrze mi będzie w puszczy, doskonale, rozkosznie!

— Cicho, cicho, szaleńcze — szeptał Euzebio do ucha chłopca, który pochylił się do niego i podsunął mu oczy do zawiązania.

— A teraz w drogę! — zawołał don Ramon, chwytając za uździenicę konia Rafaela i pomknął naprzód, wiedząc go przy sobie; Euzebio, wzdychając ciężko, jechał za nim i prowadził jucznego konia.

Don Ramon więcej ust nie otworzył, tamci obaj także milczeli, i jeźdźcy jak cienie przemylkali się pośród gęstwiny leśnej, w której panowała niezmacona niczem cisza, gdyż nawet kopyta końskie nie tętniły po miękkim, mchem usłanym gruncie. Jechali tak bez wytchnienia, dopóki słońce nie wzniosło się wysoko na niebie. Konie upadały ze znużenia, trzeba się było zatrzymać. Ale i podczas popasu nikt milczenia nie przerwał, a Rafael miał ciągle oczy zawiązane.

Jak tylko konie wypoczęły nieco, mała gromadka puściła się w dalszą drogę. Okolica, przez którą jechano,

stawiała się coraz dzikszą. Duże łachy piaszczyste przerwały gdzieniegdzie niezmierzoną puszcę leśną. Na tych łachach, zajmujących znaczne przestrzenie, nie było widać najmniejszego śladu roślinności, — nigdzie też nie odezwał się głos żyjącej istoty, i czasem tylko ptak drapieżny zakrakał nad głowami wędrowców. W lesie za to uszu ich raz po raz dochodziły ryki i wycia dzikich zwierząt, a gdy wieczór zapadł, głosy te połączyły się wszystkie w jeden chór straszliwy. Don Ramon nie zatrzymał konia, póki się nie ściemniło zupełnie.

— Tu nocować będziemy — rzekł wreszcie. Pierwsze to było słowo, które od początku podróży wyszło z jego ust. Wszyscy trzej zsiadli z koni i Euzebio otrzymał pozwolenie odwiązania oczu Rafaelowi. Stary sluga wydobyl zapasy żywności, którymi posilono się w milczeniu: tylko przytłumione westchnienia przerwały je kiedy niekiedy. Puściwszy konie na paszę, wędrowcy ułożyli się do snu na trawie i cisza głębsza jeszcze zaległa dokoła.

Noc przeszła spokojnie. Przy pierwszym blasku jutrzeńki don Ramon pierwszy zerwał się ze snu. Wzrok jego padł na śpiącego Rafaela i nagle wzruszenie pojawiło się na jego twarzy. Chłopiec miał policzki, zwłaszcza pod oczami, silnie zaczerwienione, co mogło pochodzić jedynie od długiego i rzewnego płaczu. Serce ojcowskie don Ramona nie mogło pozostać obojętnem na ten widok. Ale Rafael przebudził się, a spotkawszy wzrok ojca, nachmurzył się i zacisnął usta; w jednej chwili wszelki ślad rozrzewnienia i żalu znikł z jego twarzy.

Nie będziemy tu opowiadali szczegółów dalszej

podróży, która trwała dni pięć. Szóstego dnia około dziesiątej z rana don Ramon się zatrzymał i zsiadł z konia. Na jego znak Euzebio zсадził także i Rafaela i odwiązawszy mu oczy, zaczął odpakowywać broń przeznaczoną dla chłopca. Wszystko to odbywało się w milczeniu.

— Chłopcze — odezwał się don Ramon głosem surowym, zwracając się do Rafaela — to miejsce oddalone jest o mil sześćdziesiąt najmniej od haciendy del Milagro, gdzie tak niegodnie zmarnowałeś młode swoje lata. Nie waż się nigdy powracać do ojczyzny, bo cię tam czeka śmierć i hańba. — Pozostaniesz tu sam jeden. Puszczą ta jest bezludna; czasem tylko, bardzo rzadko, w głąb jej zapędzi się odważny myśliwiec, lub przemknie przez nią gromadka dzikich Indian. Pamiętaj, że odtąd nie masz ani ojca, ani siostry, ani krewnych, ani znajomych. Nie umiałeś się zastosować do obyczajów ludzi cywilizowanych, — żyjże tu w dzikiej puszczy. Nie chciałeś ulegać nikomu, — tu będziesz musiał uleść woli Bożej, bo On tylko jeden, Stwórca miłosierny, który czuwa nad każdym stworzeniem, mocen jest wspierać cię w tem osamotnieniu. Może też łaska Jego niewyczerpana wzruszy w końcu harde i nieugięte serce twoje i natchnie je lepszymi uczuciami. Ostateczny to dla ciebie ratunek; nie próbuj więc zmięczyć mnie i przebłagać, gdyż postanowienie moje jest niewzruszone.

— Ja też wcale nie myślę zniżać się do błagania — odrzekł Rafael zimnym, szyderskim tonem. — Chcesz być katem moim, — któż zdoła zmięczyć serce kata!

Don Ramon drgnął cały, zapanował jednak

wkrótce nad sobą, i nie odpowiedziawszy nic na zuchwale słowa syna, mówił dalej, wskazując przedmioty, które blade i zapłakany Euzebio rozpakowywał i rozkładał:

— Masz w tych torbach zapasy żywności na czas dłuższy; tu znów krzesiwo i hupkę do rozniecania ognia. Te rogi bawole pełne są prochu i kul; oszczędzaj tej amunicji, a starczy ci na długo. Oto jest strzelba wypróbowana. Ten, którego ojcem twym zwałeś, nie chybił z niej nigdy. Daję ci także dwa wyborne noże myśliwskie i siekierę. Żyjąc tu wśród ustawicznych niebezpieczeństw, będziesz musiał być ciągle uzbrojony. Szanujże tę broń, ochraniaj życie... Rozpoczniesz je tu na nowo: oby było lepsze... Niech cię Bóg oświeci i opiekuje się tobą... On nie opuszcza tych, którzy pomocy Jego wzywają... Bywaj zdrow... na zawsze...

Wymówiwszy te słowa, don Ramon śpiesznie się odwrócił i wskoczył na konia. Panował nad sobą do ostatniej chwili; mówił spokojnie, choć w piersi nieśczęśliwego ojca wrzała straszna burza; na twarz wdział maskę surowości, choć serce się rozdzierało i krwawiło. Dopiero gdy konia spiał ostrogami i chyżo odjechał, lzy gorące strumieniem z ocz jego popłynęły, a pierś podniosła się gwałtownem lkanie. Euzebio pochwycił Rafaela w objęcia, nie ukrywając łez rzewnych, a i chłopiec teraz zapłakał głośno. Rozdzierające to było pożegnanie.

— O Rafaelu — mówił stary sługa szlochając — serce moje przeczuwa, że jeszcze kiedyś powrócisz w progi rodzinne.

— Nie, nigdy! — wykrzyknął chłopak, ocierając

lzy, i zwykły wyraz zaciętego uporu znowu zabłysnął w jego oczach. — Ojciec wyrzekł się mnie, skazał na wygnanie wśród dzikich zwierząt. Niechże tak będzie, nie zobaczy więcej syna. Nie obawiaj się o mnie zbyt, Euzebio; dam ja sobie radę z dzikimi zwierzętami; uspokój także Karmelę. O, Karmelo, siostrzyczko moja ukochana!...

A wtem gwizdanie odezwalo się z oddalenia.

— Ojciec twój się niecierpliwi — rzekł Euzebio. — Bywaj zdrow, Rafaelu, niech cię Bóg strzeże; stary Euzebio i Karmela codziennie w modlitwach swoich polecać cię będą Jego opiece. A teraz weź to jeszcze na pamiątkę odemnie i zachowaj na ciężkie chwile, gdy potrzebować będziesz pociechy w smutku, umocnienia, światła w opuszczeniu i samotności.

Wymawiając te słowa wśród tłumionego łkania, starzec podał chłopcu mały jakiś przedmiot, w papier owinięty. Raz jeszcze pochwycił go w objęcia, raz jeszcze złożył pocałunek na jego czole. Rafael, zalewając się także rzewnymi łzami, wyrwał się z jego uścisku i wołając:

— Bywaj zdrow, uściskaj siostrę odemnie — pomknął w las, jak szalony. Starzec przez chwilę spoglądał za nim wzrokiem zalzawionym, wreszcie siadł na konia i śpiesznie odjechał.

XVI.

Poselstwo.

Rok po roku upływał, aż nadeszła wiosna, poprzedzająca o parę miesięcy ów skwarny dzień letni,

od którego rozpoczęliśmy opowiadanie nasze. Pewnego dnia w kwietniu, przed wieczorem, jeździec kurzem okryty zatrzymał się przed haciendą del Milagro. Od pierwszego rzutu oka łatwo było poznać, że koń i jeździec długą i nużącą odbyli drogę. Jeździec był człowiekiem lat średnich, niezbyt wysoki, lecz silnej, herkulesowej budowy. Twarz jego poważna, a nawet posepna, miała ten wyraz nieokreślony, właściwy ludziom zamkniętym w sobie, którzy niechętnie słuchają gwaru rozmów, sami zaś tylko z konieczności otwierają usta. Nazwa «odludek» wypisana była wyraźnie na chmurnem jego czole. Jeździec ten miał na sobie zwykły ubiór myśliwski i stosowne uzbrojenie.

Jak wspomnieliśmy wyżej, stanął on przed haciendą pod wieczór, a że zastał bramę zamkniętą, uderzył w nią kilkakrotnie kolbą swojej strzelby. Szczekanie psów odpowiedziało na to niezbyt wykwentne oznajmienie odwiedzin. W parę chwil potem otworzyła się furtka, umieszczona obok bramy i ukazał się biały, jak gołąb, staruszek. Twarz jego blada miała wyraz głębokiego smutku.

— Czego pan sobie życzysz? — zapytał drżącym od starości głosem.

— Czy to jest hacienda del Milagro? — wycedził przybysz przez zęby; — widać było, że wygłoszenie tylu słów na raz wiele go kosztowało.

— Dom ten rzeczywiście tak się nazywa.

— Czy sam don Ramon de Saavedra? — pytał znów dziwny gość, zsiadając powoli z konia.

— Nie — odrzekł krótko staruszek.

— Może Euzebio?

— Pan mnie znasz?

— Z imienia tylko.
— Jakże się pan nazywasz?
— Johnson.
— Czy przypadkowo, czy z umysłu zajechałeś pan do haciendy de Milagro?

— Z umysłu. Chcę się widzieć z don Ramonem.
— Czego pan żadasz od niego?
— Przybyłem tu w poselstwie. Ale poco te pytania? Starzy ludzie, czy mężczyźni, czy kobiety, zawsze są niezdolnie gadatliwi. Otwieraj prędzej bramę, staruszku i prowadź mnie do twego pana.

— Odmawia w tej chwili modlitwy wieczorne, przerywać mu nie wolno.

— Dobrze, poczekam.

— Chodź pan tymczasem do mego pokoju, panie Johnsonie — rzekł starzec uprzejmie i zawołał masztalerza, któremu kazał zabrać konia obcego przybysza.

— Jakże się miewa don Ramon de Saavedra? — zapytał ten ostatni, gdy weszli do mieszkania Euzebia.

Twarz starca stała się jeszcze smutniejsza.

— Niedobrze się miewa — odrzekł półgłosem.

— Ba! nie dziwnego, przy takiej zgryzocie.

— Czyżbyś pan miał wiedzieć?...

— Wiem wszystko.

— O Rafaelu?

— Tak. Ubolewam nad ojcem, lecz syn na większe jeszcze zasługuje współczucie.

— Co pan wiesz o nim? — wołał Euzebio, drżąc cały ze wzruszenia.

— Wiem tylko tyle, że młodzieniec ten musiał być zawsze w gruncie zły i szlachetny, a jeśli

zawinił przez lekkomyślność, wymierzona kara była zanedo surowa.

— Ach! i ja to don Ramonowi mówiłem.

— A jednak dopomagałeś mu, panie Euzebio.

— Jestem sługą, panie Johnsonie i musiałem być posłuszny. Lecz nie możesz pan sobie wyobrazić, jak cierpię strasznie od tej pory. Obraz tego nieszczęśliwego chłopca nie opuszcza mię ani we dnie ani w nocy.

— A ojciec?

— Czy znałeś go pan dawniej?

— Nie widziałem go nigdy w życiu.

— Gdybyś pan był znał don Ramona przed ośmiu laty, nie potrzebowałbyś pytać, czy wspomnienie zaciążyło na jego sercu. Człowiek ten, niestary jeszcze, w tym krótkim przeciągu czasu zmienił się do niepoznania; stał się starcem zgrzybiałym i szybkim krokiem posuwa się grobu.

— Gdyby wiedział!... Ha! dowie się wkrótce.

— O, panie Johnsonie, pan musisz coś wiedzieć o późniejszych losach Rafaela! Mów pan, mów na miłość Boską!

— Powiem wszystko w swoim czasie. Wprzód jednak, panie Euzebio, musisz mi opowiedzieć ze szczegółami, jak najdokładniej, w jakim usposobieniu jest obecnie don Ramon de Saavedra dla tego syna, którego skazał na wygnanie w dzikiej puszczy, na życie pośród drapieżnych zwierząt.

— Skąd pan to wiesz, panie Johnsonie? — pytał Euzebio, mierząc gościa przenikliwym wzrokiem. — Nikt inny, tylko sam Rafael mógł panu to opowiedzieć... Żywa dusza, oprócz niego, don Ramona i mnie nie była świadkiem tego, co się stało w puszczy. Pan

musiałeś widzieć Rafaela, może niedawno? o, zlituj się pan, powiedz mi co o nim!

— W swoim czasie, — wprzód, panie Euzebio, musisz mi odpowiedzieć na moje pytanie o don Ramonie.

— Ach! dręczysz mnie pan okropnie. Lecz cóż mam robić, będę mówił; tylko pamiętaj pan, że to są sprawy rodzinne, nie godziłoby się rozgadywać tego po świecie.

— Czy ja wyglądam na plotkarza? — mruknął Jonhson, wzruszając ramionami.

— A więc posłuchaj pan — mówił Euzebio, westchnąwszy głęboko. — Jestem przekonany, że biedny pan mój zaraz tegoż samego dnia, gdy spełnił ten czyn okrutny, już go w duszy żałował. Nie mówił tego wprawdzie, lecz ja to i bez słów poznałem. Ileż razy nagle zatrzymywał konia wśród lasu i nasłuchiwał, czy nie usłyszy głosu syna. Czasem zdawało mi się, że się zawróci, lecz on tem gwałtowniej bódł konia ostrogami i pędził dalej! Straszne bo było jego położenie, pomyśl pan tylko: gdyby sam nie był go ukrył przed sprawiedliwością, stałby się współnikiem jego hańby; gdyby go wydał w ręce sędowników, winowajca nie uniknąłby sromotnej śmierci na rusztowaniu. Chociaż bowiem obie ofiary popędliwości Rafaela pozostały przy życiu, ojciec młodzieńca, którego przy grze w karty niebezpiecznie zranił, człowiek możny, wielkie wpływy mający w Hermosillos, domagałby się nań kary morderców.

— To prawda — mruknął znów Johnson — położenie było trudne; zaczynam wierzyć, że don Ramon nie mógł postąpić inaczej, a jednak...

— A jednak serce jego ojcowskie straszliwie na tem cierpiało. Gdyśmy powrócili do domu, z dniem każdym stawał się bledszy i smutniejszy. Niekiedy zrywał się nagle, jak gdyby w gwałtownem przerażeniu, i wybiegał z domu; kazał sobie siodłać konia, jechał do lasu i po kilka godzin, czasem dni całe spędzał na tych przejażdżkach, których dawniej nie miał wcale we zwyczaju. Trwało to przez kilka tygodni; sen odbiegał od jego powiek, rzadko się rozbierał; natomiast po całych nocach, jak widmo, błądził po pustych pokojach Unikał towarzystwa ludzi, — nawet od własnej córki uciekał.

— A Karmela, siostra Rafaela? nic mi jeszcze o niej nie mówiłeś, panie Euzebio.

— Biedna Karmela! nieszcześliwa dziewczyna! — mówił dalej Euzebio, łzę ocierając — co się wycierpiała, napłakała; bo serdecznie przywiązana do brata, pocieszyć się nieboga nie mogła, a ojciec nic jej nie chciał powiedzieć o jego losie. Długo pozostawała w niepewności. Później dopiero przypadkiem dowiedziała się o prawdzie.

— A więc dowiedziała się; jakimże sposobem?

— Najsmutniejszym w świecie. Zgryzota don Ramona z dniem każdym zdawała się wzrastać; nadzwyczajny niepokój, który przytem okazywał, budził w sercu Karmeli straszliwe domysły. Dnia pewnego odważyła się z naleganiem zapytać ojca, co się stało z Rafaelem. Don Ramon ofuknął ją z niezwykłą u niego szorstkością i nie odpowiedział wcale. Jestem pewny, że biedna dziewczyna wyobraziła sobie coś gorszego jeszcze od rzeczywistości. Może sądziła, że ojciec własną ręką zamordował syna... Nie śmiała temu

ojcu w oczy spojrzeć, w końcu poczęła go unikać, a że i on ze swojej strony nie szukał córki, nieraz więc przez całe tygodnie nie widywali się wcale. Od owego czasu i ona także zaczęła blednąć i chudnąć coraz więcej.

— A więc wygnaniec nie był zapomniany, więc ojciec nie zdołał wyrwać w serca miłości dla niego! Bo też on na to z żadnego względu nie zasługiwał... Ale mów dalej, staruszk.

— Tymczasem obaj ci ludzie, którzy mieli być śmiertelnie ugodzeni przez Rafaela, żyli i w krótkim przeciągu czasu zupełnie do siebie przyszedli. Teraz i w mieście wszyscy już zaczęli się inaczej zapatrywać na tę sprawę. Przyznawano, iż chłopiec działał w zapalczywości i uniesieniu, nie będąc panem siebie; zawinił wprawdzie, lecz nie zasługiwał na nazwę zbrodniarza. Możesz pan sobie wyobrazić, co się działo z nieszczęśliwym ojcem, jak straszny żal zbudził się w jego duszy; bowiem okazał się on sroższym sędzią dla własnego dziecka od ludzi obcych, ukarał go, jak złoczyńcę. Pewnego rana pan mój wyjechał sam z domu i nie powrócił ani wieczorem, ani dni następnych. Ja jeden domyślałem się celu tej podróży, chociaż mi nie powiedział, bo i do mnie rzadko kiedy słowo przemówił. Byłem pewny, że błdził w głębi puszczy, szukając Rafaela... Na nieszczęście znaleźć go nigdzie nie zdołał; puszcza jest jak otchłań morska: pochłonięła ofiarę swoją, lecz zwrócić jej nie chciała.

— Szukał go w puszczy! O, jakże mię to cieszy — mówił półgłosem Johnson — szukajcie, a znajdziecie.

— Nie znalazł jednak, ach, nie znalazł! — odrzekł staruszek, wzdychając ciężko — a gdy po dwóch tygo-

dniach powrócił, wyglądał okropnie: postarzał o lat dziesięć i wzrok miał wyraz obłąkania. W kilka dni zapadł na silną gorączkę, która go o mało nie zaprowadziła do grobu. W czasie owej choroby Karmela czule pielęgnowała ojca, dzień i noc nie odstępując od jego łóża i wówczas to dowiedziała się całej prawdy o losie brata: pan mój, będąc nieprzytomnym, w gorączce wypowiedział wszystko. Biedna dziewczyna na nowo opłakała brata, bo nie przypuszczała nawet, aby mógł uniknąć tylu okropnych niebezpieczeństw, otaczających go w puszczy. Ja także to jej przekonanie podzielałem aż do chwili obecnej.

— Możesz je zmienić, panie Euzebio — mruknął obey przybysz.

— Pan mój chorował długo i ciężko, w końcu jednak zaczął powoli przychodzić do siebie, chociaż znać było, że życie stało się już dlań ciężarem niezdolnym. Milczący, zadumany, więcej jeszcze niż przedtem unikał towarzystwa ludzkiego, i rzadko kiedy nawet do mnie lub do Karmeli słowo przemówił. Tak mijały miesiące, lata, a czas, leczący podobno wszelkie rany, żadnego wpływu nie wywarł na smutny stan don Ramona, najmniejszej mu nie przyniósł pociechy. I on, i Karmela, i ja, z jednakową boleścią oplakujemy ciągle Rafaela. Już utraciliśmy byli zupełnie nadzieję, aby jakakolwiek wieść o nim dojść mogła do nas, aż oto pan powiadasz... mój Boże, gdybyż to była prawda!

— Nie myślę cię udreczać dłużej, panie Euzebio — rzekł przybysz, powstając i kładąc rękę na ramieniu starca. — Rafael żyje.

— Dzięki Ci Boże! — wykrzyknął Euzebio i wznosił-

szy obie ręce do góry, począł szeptać cichą modlitwę. Potem z młodzieńczą żywością przyskoczył do gościa, pochwycił go za oba ramiona, utkwil w nim wzrok badawczy i zawolał: — Błagam cię, panie, powtórz raz jeszcze, że to prawda!

— Czy ja wyglądam na oszusta? — rzekł Johnson spokojnie, wzruszając ramionami. — Rafael żyje, mogę to sto razy powtórzyć.

— Gdzież on jest?

— O tysiąc mil stąd.

— I pan go znasz, i przynosisz wieści od niego?

— Znam, i wieści przynoszę.

— Czy pomyślne?

— Pomyślne.

— Może on sam przysłał tu pana?

— W każdym razie w poselstwie od niego przychodzę.

— Masz pan list od Rafaela?

— Nie, ustnie wypowiem wszystko.

— Mówże pan, mów prędzej.

— Będę mówił w obecności don Ramona.

— Biegnę do niego, choćbym mu miał przerwać modlitwy...

— Ja sędzę, że należałoby go nieco przygotować.

— Rozumie się; nagle i niespodziewana radość mogłaby zabić biednego mego pana.

Euzebio wybiegł śpiesznie, bawił jednak z kwadrans przeszło, a gdy powrócił, oczy miał od łez zaczerwienione, choć wyraz twarzy świadczył dostatecznie, że to nie były łzy smutku.

— I cóż? — zapytał Johnson.

— Jakkolwiek starałem się mówić ostrożnie —

rzekł starszek — nagle ta i niespodziewana wiadomość tak gwałtownie wywarła na biednym panu wrażenie, iż omdlał na chwilę, a gdy przyszedł do siebie, był przez czas jakiś jakby nieprzytomny. Śmiał się i płakał jednocześnie, wołał córki, której nie widział od tygodnia... Zdawało mi się w pierwszej chwili, że bredzi, że dostał obłąkania. W końcu uspokoił się nieco i sam chciał tu biedz do pana, — ledwośmy go powstrzymali. Ale chodźże pan jak najprędzej do niego.

— Chodźmy — powiedział Johnson i prowadzony przez starego sługę, szedł za nim do pokoju don Ramona. Zastali tam i Karmelę, która z niemniejszą od ojca niecierpliwością wyglądała gościa. Twarzyčka jej zawsze była piękna i miła, chociaż nosiła ślady głębokiego smutku.

Gdyby kto po ośmiu latach niewidzenia spojrział teraz na don Ramona, nie poznałby go z pewnością. Z silnego, przystojnego mężczyzny przemienił się w niedołężnego starca. Postać cała pochylila się, włosy i broda pobielały jak śnieg, blask oczu zagasł, a głos stał się drżący i bezdźwięczny. Ujrzawszy wchodzącego gościa, podbiegł żywo ku niemu, wołając ze wzruszeniem, którego nie mógł opanować:

— Czy to prawda, że syn mój żyje? Czyś pan to rzeczywiście powiedział?

— Tak jest.

— I pamięta o rodzinie?

— Pamięta.

— Czy pan to wiesz na pewno?

— Nigdy nie mówię tego, czego nie wiem na pewno.

— O Boże miłosierny, dzięki! — zawołał don

Ramon, składając ręce i znów począł pytać z gorącką niecierpliwością: — Wszak wspominałeś pan coś o poselstwie; jakież to poselstwo mi przynosisz?

— Pozwól mi pan pierwszej usiąść, jestem mocno zmęczony długą podróżą — odrzekł Johnson, sadowiać się wygodnie w fotelu.

— O, wybacz pan moją nieuwagę — rzekł don Ramon, siadając naprzeciw niego. — I jakież to poselstwo?

— Nie tak nagle, — poczekaj pan, muszę wprzód wspomnieć o różnych innych okolicznościach. Nie lubię dużo mówić, na ten raz jednak opowiadanie moje musi się trochę dłużej przeciągnąć. Posłuchajcie państwo: Będzie już temu rok przeszło, jak wybrałem się na polowanie na wybrzeża rzeki Czerwonej. Na nieszczęście spotkałem tam gromadę Komanszów. Ze wszystkich czerwonoskórych najwięksi to niezawodnie hultaje. Nie przeczuwałem nawet, aby się w tych stronach włóczyć mieli; opadli mnie tedy znienacka i ani się spostrzegłem, gdy już byłem okrażony dookoła i ujęć im nie mogłem. Nie poddałem się jednak bez walki: kilku napastników położyłem trupem, dwóch czy trzech kolbą obaliłem na ziemię, w końcu mnie jednak ta hałastra pokonała; nie dziw zresztą — byłem sam jeden przeciw licznej bandzie tych lotrów. Powalili mnie i skrewali, jak barana, na rzeź przeznaczonego.

Że mi to wcale nie w smak poszło, każdy to zrozumie; wiedziałem, że chcą pomścić zabitych towarzyszy, a znałem się trochę na ich zwyczajach. Niedługo się namyślali: uwiązali mnie do pąla i oznajmili, żem godzien ponieść śmierć wojownika, ponieważ złożyłem jawne dowody mej waleczności. Wiedziałem ja, co

to znaczy i byłbym się chętnie zrzekł tego zaszczytu. Nie mając powołania do śmierci męczeńskiej, która u tych głupców jest przywilejem wielkich wojowników, usiłowałem ich rozzłościć wszelkimi sposobami, ażeby przynajmniej prędzej tę niemiłą sprawę załatwili. Ale nadaremnie! upierali się przy swoim i z godzinę już trwała ta arcynieprzyjemna zabawka. Strzały świstały mi przy samych uszach, siekiery latały nad głową. Jakkolwiek człek nie jest tchórzem, jednakże byłby coś dał za to, aby się od tego wykreścić. Tymczasem po błyszczących oczach oprawców zmiarkowałem, że już niezadługo będzie koniec ze mną; co chwila wyglądałem śmiertelnego ciosu i odmawiałem po cichu modlitwy, polecając duszę Bogu.

A wtem, patrząc, biały jakiś myśliwiec, ogromny, przystojny mężczyzna bieży prosto do mnie. Wyższy odemnie o głowę, silnie zbudowany, — olbrzym prawdziwy! jeszcze takiego w życiu swoim nie widział nigdy. Wyglądał bardzo młodo, na lat dwadzieścia jeden, dwa najwyżej. Pędził mnie do trzech zliczył, myśliwiec ten rozciął więzy, którymi byłem do pąla przymocowany. Komanszowie stali wszyscy, jakby w ziemię wrosli, i żaden nawet nie próbował przeszkodzić memu wybawcy. Dosłyszałem tylko, jak szeptali pomiędzy sobą: «Wielki biały myśliwiec»!

Musiał on mieć u nich niemałe znaczenie. Cała zgraja stała przed nim nieporuszona, pokorna i milcząca, a młodzieniec spoglądał na nich z góry i groźnie przemawiał coś w ich języku. Trudne to do uwierzenia, — a jednak naprawdę nietylko żaden z tych hultajów mu się nie sprzeciwił, lecz jeszcze sami nieproszeni oddali mi nóż, strzelbę, oraz inne rzeczy, które

mi byli zabrali podczas napadu. Myśliwiec podał mi rękę i obaj najspokojniej poszliśmy w las. Komanszowie ani myśleli iść za nami i wkrótce straciliśmy ich z oczu.

Zacząłem serdecznie dziękować memu wybawcy, — bo też winien mu byłem wdzięczność niemałą — lecz on mi przerwał mowę pytaniem, czy nie byłbym tego samego uczynił na jego miejscu? Temu rozumie się zaprzeczyć nie mogłem, a on mi nie dał dłużej mówić o wdzięczności. Szliśmy dalej w milczeniu i wówczas dopiero spostrzegłem, patrząc na młodego myśliwca, jak dziwny, głęboki smutek rozlany był na jego twarzy. Nie należę do ludzi, którzy się łatwo roztkliwiają, a jednak serce mi się ścisnęło, gdy pomyślałem, jaki ból straszny musiał się gnieździć w jego duszy, jeśli na obliczu tak widoczne wyrył ślady. Ale muszę śpieszniej opowiadać, widzę, don Ramonie, jak gorąco pragniesz dowiedzieć się czegoś więcej.

— Powiedz mi pan jedno tylko słowo — mówił właściciel haciendy głosem drżącym — czy to był mój syn?

— Tak jest.

— O Boże, dzięki ci stokrotnie! — wołał don Ramon ze łzami rozrzewnienia.

— Masz pan syna, którym się pysznić możesz — rzekł Johnson.

— O bracie mój, bracie ukochany! — szepnęła Karmela, zalewając się łzami radości.

— Że też ja dożyłem tej chwili — mówił półgłosem Euzebio, ocierając oczy.

— A teraz mów pan dalej — odezwał się don Ramon — niechże już dowiem się o wszystkim.

— Ze dwie godziny szliśmy tak obok siebie przez las — opowiadał Johnson — kiedyniekiedy tylko otwierając usta, by parę wyrazów wymówić, gdy młody myśliwiec się zatrzymał, spojrzał na mnie swymi pięknymi, a tak głęboko smutnymi oczyma, podał mi rękę i rzekł:

— Jesteś pan już teraz bezpieczny od napaści Komanszów; możemy się pożegnać.

Dziwnie mi się jakoś przykro zrobiło. Zawahałem się chwilę, a potem odrzekłem:

— Miałbym prośbę do pana.

— Jaką? — zapytał.

— Smutno mi rozstawać się z panem, czy nie moglibyśmy odtąd razem wędrować po lesie? Ja także jestem myśliwcem i traperem.

— Z przykrością odmówić muszę — rzekł łagodnie — ale ja przywykłem do samotności.

— Poproś pan mego towarzystwa przez krótki przeciąg czasu przynajmniej.

— Dobrze — wyrzekł po chwili namysłu.

— A więc dobrze! pozostaniemy razem przez dni czternaście, dziesięć, cztery zresztą, — jak się panu podoba.

— Niech będzie cztery dni na początek — odpowiedział.

— Cztery dni upłynęły prędko; byłem w wielkiej obawie, gdy nadszedł piąty. Lecz i ten jakoś przeminął szczęśliwie i syn pański nie wspomniał o rozstaniu, a naturalnie ani ja także. Odtąd już nie tylko dni, lecz tygodnie i miesiące upływały, a my ciągle wędrowaliśmy razem wśród puszczy; towarzystwo moje widocznie nie przykrzyło się młodzieńcowi, ja zaś

najszcześliwszy się czulem przy boku wybawcy mojego. Zaczęliśmy coraz częściej rozmawiać z sobą, — w puszczy ludzie odwykają od mowy. Tak było aż do 20 stycznia. Nigdy dnia tego nie zapomnę. Syn pański był od samego rana smutniejszy jeszcze i posępniejszy, niż zwykle; spostrzegłem nawet, że lzy ocierał ukradkiem...

— To było 20 stycznia? wszak tak pan powiedział? — przerwał don Ramon z gwałtowniejszym jeszcze wzruszeniem.

— Tak jest, 20 stycznia — potwierdził myśliwiec.

— A czy pan wiesz, jakie znaczenie ma dzień ten w rodzinie naszej?

— Wiem, to dzień pańskich urodzin.

— Czy syn mój to panu powiedział?

— Tak jest.

— O, mów pan dalej, mów dalej!

— Już nieraz usiłowałem wybadać, jaki to smutek tak ciężko dręczył jego duszę. Nigdy jednakże nie chciał mi odpowiedzieć. Dnia tego lepiej mi się powiodło; widocznie uczył gwałtowną potrzebę wynurzenia się. Wyznał mi więc, iż w młodych latach zawinił bardzo i ojciec zmuszony był go się wyrzec. Lecz Bóg zmiłował się nad nim, otoczył wygnańca swoją opieką, pychę jego zamienił w pokorę i t. d., nie potrafię tego wszystkiego tak pięknie wypowiedzieć. Sam mi później mówił, że to wyznanie wielką mu ulgę przyniosło i odtąd już codziennie rozmawialiśmy o rodzinnym jego domu, o panu, don Ramonie, o córce pańskiej i o tym staruszk. Wkrótce przyszło do tego, że syn pański prawie o niczem innem nie mówił.

— I nie oskarżał mnie, nie narzekał na mnie? —

zapytał don Ramon i przyciskał niespokojnie bijące serce.

— Nie, nigdy; siebie tylko oskarżał, — o ojcu mówił zawsze z miłością i żalem.

— O zacny, szlachetny mój synu!

— Tak, masz pan zacnego i szlachetnego syna, — możesz być z niego dumny.

— A czy nigdy nie wspominał, że radby wrócić do rodzinnego domu?

— Nie, nigdy.

— Czemużeś go pan nie namawiał do tego?

— Namawiałem.

— I cóż?

— Powiedział, żeś mu pan zabronił wracać do ojczyzny, gdyż jest hańbą i zaklą rodzinę.

— Niestety! rzeczywiście wymówiłem te okrutne słowa.

— Chciałem wmówić w niego — ciągnął dalej myśliwiec — żeś pan już dawno musiał mu przebaczyć i przyjałyś go z roztwartymi rękoma, bo dziś stałby się chlubą rodziny. Bóg świadkiem, że mówiłem szczerze.

— I niczem przekonać się nie dał?

— Niczem. A jednak...

— Cóż jednak?

— Widziałem ja to dobrze, jak tęsknił za rodziną, za ojczyzną, widziałem, jak mu to wygnanie straszliwie ciąży i uczyniłem postanowienie, które wykonałem bezzwłocznie. Rozstałem się z nim pod pozorem jakiejś osobistej sprawy, oznaczyliśmy miejsce, gdzie znowu spotkać się mamy i puściłem się w drogę.

— O Boże! mamże temu wierzyć? — zawołał

don Ramon — czyżbyś pan umyślnie odbył tę długą podróż, aby syna mego ze mną pojednać?

— W rzeczy samej, po to tu przybyłem. Nie upoważnił on mnie wprowadzić do tego poselstwa, a jednak...

— O dzięki ci, zacny, szlachetny człowieku! — przerwał don Ramon, ściskając serdecznie dłoń myśliwca.

— Nie ma pan za co dziękować. Uczynilem to dla pańskiego syna jedynie, pana nie znałem przecież wcale. Przykro mi było patrzeć na wieczny, przynębiający smutek młodego mego przyjaciela, postanowiłem więc wrócić mu spokój i zadowolenie. Zadanie to, będzie spełnione, jeśli mu przywiozę dowody przebaczenia ojca. Chciej więc, don Ramonie, powierzyć mi list do syna z wynurzeniem tych uczuć ojcowskich, które jak widzę, serce twoje przepełniają. Jutro rano myślę wyruszyć z powrotem.

— List? o nie, listu nie napiszę — wołał właściciel haciendy, z młodzieńczą żywością przechadzając się po pokoju, widocznie w myślach pogrążony.

— A więc nie chcesz mu pan przebaczyć? — mruknął Johnson, chmurząc się groźnie.

— Jak pan możesz to przypuszczać?! Wcale co innego miałem na myśli. Ale powiedz mi pan, czy syn mój nie domyślał się nawet celu twej podróży?

— Rozumie się, że nie. Chciałem mu niespodziankę sprawić. Jest on przekonany, że pojechał do Missouri; wymienilem mu na chybił-trafil tę miejscowość.

— Otóż ja sędzę, że niespodzianka będzie je-

szcze większa i przyjemniejsza, gdy ja sam razem z panem pojadę na spotkanie mego syna.

— Czy naprawdę chciałbyś pan to uczynić? — zawołał myśliwiec uradowany.

— Nie zniósłbym niepewności i oczekiwania! Pojadę, nie mnie nie powstrzyma!

— O, to dobrze, to doskonale — mówił Johnson zacierając ręce z zadowoleniem, a po chwili milczenia dodał: — Czy tylko sił panu starczy? Droga to bardzo daleka i uciążliwa, uprzedzam pana.

— Wiem o tem — odpowiedział don Ramon, który w tej chwili wyglądał jak inny człowiek, jak gdyby nagle odzyskał dawną stanowczość i energię — nie pierwszy to raz będę podróżował w puszczy. Nadzieja ujrzenia ukochanego mego syna doda mi sił i pomoże do zniesienia największych trudów.

— Dobrze, doskonale — powtarzał myśliwiec. — I kiedyż wyruszymy w drogę?

— Nie prędzej, jak za tydzień, chociaż radbym nie tracić ani chwili czasu. Muszę jednak zabrać ze sobą ze trzydziestu ludzi uzbrojonych, abyśmy podróż odbyć mogli z zupełnem bezpieczeństwem.

— Wybornie, doskonale! — powtórzył tamten raz jeszcze z wielkiem zadowoleniem.

— Ojcie, mój drogi ojcie — odezwiała się Karmela, której śliczna twarzyczka promieniała szczęściem — mam prośbę do ciebie, czy ją spełnisz?

— Z góry ci to przyrzekam — odpowiedział ojciec — dziś nie odmówiłbym nic nikomu, a tem mniej tobie, Karmelo, któraś się tyle nacierpiała w ciągu tych smutnych ośmiu lat — i mówiąc to, czule uściłskając córkę.

— Zabierz mię ze sobą, — rzekła Karmela błagalnie — ja także pragnę jechać po Rafaela.

— Żadasz niepodobieństwa, moje dziecko — odpowiedział don Ramon, zdziwiony temi niespodziewanemi słowami.

— A jednak z góry przyrzekłeś spełnić moją prośbę, ojcze; trzymam cię za słowo i na świadków biorę pana Johnsa i Euzebia.

— Czysta prawda, słowo się rzekło — mruknął myśliwiec.

— Panienka ze mną zostanie — odezwał się Euzebio. — Będziemy razem pilnowali domu i wyglądali Rafaela, który powróci do nas na zawsze, — na zawsze, o, co za myśl radosna!

— Powiem to samo, co ojciec: nie zniosłabym oczekiwania i niepewności, skonałabym z niepokoju, z tęsknoty. Mój drogi ojcze!...

— Cóż pan o tem mówisz? — zapytał don Ramon, zwracając się do myśliwca.

— Daleś pan słowo — odrzekł tamten — niema co, trzeba go dotrzymać. Zresztą, czemużby panna Karmela jechać nie miała? Wszak nie będzie bez opieki; trzydziestu ludzi uzbrojonych, to siła nielada wśród puszczy.

— Mogę wziąć nawet czterdziestu, wyszukam silnych, roztropnych, obeznanych z puszcza.

— Tem lepiej — mruknął Johnson.

— Słyszysz, Karmelo — rzekł don Ramon — pojedziesz z nami. Przygotujże się jak należy do tej podróży.

— Bądź spokojny, ojcze, natychmiast wezmę się

do przygotowań — odpowiedziała młoda dziewczyna uszczęśliwiona i wybiegła z pokoju.

— A ty, poczciwy Euzebio, wierny sługo mego domu, będziesz przez ten czas strzegł tu wszystkiego i czekał naszego powrotu — mówił właściciel haciendy.

— I wszelkich starań dołożę — odrzekł starszek — aby wynagrodzić poprzednie niedbalstwo. Bo też szczerze wyznaję, że w ciągu lat ostatnich, wśród tylu trosk i zgryzot, nieraz człek i dobra pańskiego tak nie dopilnował, jak należy. Ale to się naprawi; Rafael zastanie wszystko w porządku i nie powie, że stary sługa nie dbał o mienie jego rodzinne.

— Zacny, poczciwy przyjacielu — odrzekł don Ramon.

Hacienda del Milagro zawrzała ruchem i życiem. Don Ramon objeżdżał konno okolicę, wynajdując, gdzie tylko można było, ludzi najpewniejszych, których zamierzał uzbroić i zabrać ze sobą na wyprawę do puszczy. Ponieważ obiecywał sowitą nagrodę, nie trudno mu przyszło zebrać żadaną gromadkę. Jeszcze tydzień wyznaczony przez don Ramona nie był upłynął, gdy już wszystko do podróży było gotowe. Johnson, jako najlepiej obeznany z niebezpieczeństwami puszczy, miał objąć dowództwo nad małym oddziałem zbrojnych ludzi.

Pewnego pięknego poranku gromadka jeźdźców wyruszyła z haciendy i skierowała się na północ; Karmela, wybornie jeżdżąca konno, nie pozostawała w tyle za innymi, trzymając się przy boku ojca. Przed bramą stał Euzebio i zalawionemi oczyma spoglądał za odjeżdżającymi. Długo powiewała z daleka biała

chustka Karmeli, wreszcie wszystko znikło w mgłę porannej.

— Boże, prowadź ich, bądź ich obrońcą i opiekunem! — szeptał staruszek i wzrok jego wzniósł się w niebo. Potem wolnym krokiem powrócił do hacjendy.

XVII.

Polowanie na gołębie.

Opuściliśmy Cezara i Dika owego poranku, gdy Serce prawe pożegnał się z nimi i powędrował do przyjaciół swoich Osagów. Stan zdrowia Dika znacznie się polepszył, lecz chłopak był tak osłabiony, że przez dni kilka jeszcze nie mógł się podnieść z posłania. Cezar pielegnował go ciągle z największą troskliwością, wówczas tylko na chwilę odstępując chorego, gdy trzeba było koniecznie przynieść świeżej wody lub inną spełnić usługę. Łatwo sobie wyobrazić, że tem pocziwem postępowaniem coraz więcej serce Dika pociągało ku sobie. Syn osadnika nieraz niespodzianie zarzucał obie ręce na szyję murzyna i serdecznie całował czarne, wystające jego policzki i usta grube, lecz wcale nie wstrętne.

Dik tem prędzej do zdrowia i sił powracał, że murzyn obmyślił sposób przyrządzania mu najstosowniejszego dla chorych posiłku. Po odejściu myśliwca zaczął on głowę nad tem łamać, jakby tu rosół ugotować. Przedewszystkiem trzeba było wystarać się o garnek; odtąd więc Cezar o niczem nie myślał,

tylko o tem, skądby dostać garnka? — Garnek znaleźć wśród puszczy?! ależ to niepodobieństwo! — powie zapewne czytelnik.... A jednak wyszukał go w końcu pomysły Cezar. Nie był to zapewne zgrabny garnuszek gliniany, wypalony w piecu garncarza, lecz po prostu kamień głęboko wyżłobiony, który dnia pewnego wpadł w oczy murzynowi. Prawda, że w tym osobliwym garnku o dnie bardzo grubem niełatwo było wodę zagotować, ale materiału opałowego przecież nie brakło, a Cezar póty cierpliwie ognia dokładał, póki kamień nie rozpalił się należyście. Codziennie tym sposobem przyrządzał wyborny rosół z dzikich gołębi, a Dik zachwycał się tym genialnym pomysłem przyjaciela.

Nie dziw, że przy takich staraniach chory szybko przychodził do zdrowia. Wkrótce też mógł wychodzić z Cezarem na przechadzki po lesie, a potem i na dalsze wycieczki myśliwskie. Rozrywka ta bardzo była biednemu chłopcu potrzebna, bo pomimo upewnienia myśliwca, że ukochanym jego nie grozi żadne większe niebezpieczeństwo, był on zawsze bardzo niespokojny o nich.

Dnia pewnego słońce zniżało się ku zachodowi, gdy dwaj przyjaciele powracali z takiej myśliwskiej wyprawy. Byli już niedaleko od fortecy, gdzie tym razem zostawili Sultana na straży i szli krokiem przyspieszonym, gdy nagle Cezar przystanął i bacznie począł nasłuchiwać.

— Co to? — zapytał syn osadnika.

— Czyż Dik nie słyszy? — odparł murzyn.

— Prawda. Słychać w oddaleniu jakiś szcze-

gólny szum i loskot — mówił tamten po chwili milczenia — cóż to być może?

— To są gołębie, tak zwane gołębie wędrowne — odpowiedział Cezar bez wahania — ogromne stada tych ptaków przeciągają często w różnych okolicach Ameryki.

— Gołębie, powiadasz? Czyż podobna, aby ptaki taki straszny hałas sprawiały?

— Taki szelest skrzydeł, nie więcej, tylko, że ich tam leci wielkie mnóstwo. Czy Dik nigdy nie widział jeszcze gołębi wędrownych?

— Nie, nigdy. A ty, czy je widziałeś już kiedy?

— I nieraz, gdy podróżowałem z dawniejszym moim panem, wielkim myśliwym. Niegdyś, pamiętam, w okolicy rzeki Missouri napotkaliśmy stado gołębi, które, lecąc, zajmowało co najmniej milę szerokości, a leciało nam ponad głowami przez całe trzy godziny.

— Chyba więc to niezmierne stado gołębi miało z półtorej mili długości na milę szerokości? — spytał Dik, potrząsając głową z niedowierzaniem.

— Myli się Dik — odpowiedział murzyn z uśmiechem — to stado miało około czterdziestu pięciu mil długości. Wędrowne gołębie nadzwyczaj szybko latają. Według obliczenia myśliwców i podróżników, przebywają całą milę *) w przeciągu czterech minut, a więc na godzinę mil piętnaście. Ponieważ zaś to stado leciało przez trzy godziny ponad naszymi głowami, więc śmiało mogliśmy wnosić, że zajmowało przestrzeń czterdziestu pięciu mil.

*) Mowa tu o milach angielskich, równych prawie wiorście.

— Trafnie obliczasz, chociaż to się wydaje nieprawdopodobne.

— A jak też Dik myśli, ile tam mogło być gołębi w tem stadzie?

— Pewnie kilkakroć sto tysięcy.

— Oho! daleko więcej. Pan Smith obliczał to stado na jaki bilion. Bo przypuśćmy na przykład, że dwa gołębie tylko zajmowały pół metra kwadrato-
wego — niechże Dik obliczy, ile ich mogło się pomieścić na takiej ogromnej przestrzeni.

— To prawda. Nie potrafię ja tego obrachować, ale łatwo sobie wyobrazić, że w tem stadzie rzeczywiście musiało być niesłychane mnóstwo gołębi.

Podczas tej rozmowy szelest skrzydeł zbliżał się coraz więcej i stał się ogłuszający. Nagle dokoła młodych wędrowców padł cień, jak gdyby gęsta chmura przysłoniła słońce, a jednocześnie i szum wzrastał i stał się podobny do szumu wzburzonych fal morskich; w powietrzu, poruszonem skrzydłami ptactwa, powstał przeciąg wiatru. Stado gołębi było ogromne, nie dochodziło jednak do takich rozmiarów, jak to, o którym Cezar opowiadał.

— Możebyśmy palnęli do nich — odezwał się Dik.

— Nie teraz, nie teraz jeszcze — odpowiedział Cezar — bądźmy cierpliwi, a upolujemy ich więcej niż potrzeba. Czyż nie uważasz, że ptaki zwalniają lotu? Musiały odkryć żer w pobliżu i niezadługo się spuszcza.

Murzyn miał słuszość: gołębie poczęły lecieć coraz wolniej i coraz niżej, czas jakiś jeszcze unosiły się ponad wierzchołkami drzew, nakoniec spuściły się na ziemię i pokryły ją całkowicie na zna-

cznej przestrzeni. Ptaki poczęły pilnie szukać żywności, grzebały i przetrząsały liście, leżące na ziemi, wynajdując tam żołędzie i różne orzeszki. Obfitość tego jadła musiała być wielka, bo je tak chętnie przelykały, że dławiły się i dusiły, co łatwo było poznać po ich niespokojnem szamotaniu się i trzepotaniu skrzydłami. Przytem najmniejszej uwagi nie zwracali na obu chłopców, spoglądających z podziwieniem na to niezwykle widowisko.

— Czy można już palnąć? — zapytał Dik.

— Jeszcze chwilę cierpliwości, mój Diku — prosił murzyn — gołębie niezadługo usadowią się do snu na drzewach; będziemy ich wtenczas mogli nabici tyle, ile zechcemy, bo siadają bardzo gęsto. Lubią też sypiać na jednym miejscu, jeżeli gdzie dłużej przebywają. Pamiętam jak raz do pana Smitha przyjechał w odwiedziny przyjaciel jego, pan Brown. Był to niemłody osadnik, który niegdyś po całej Ameryce podróżował, a w końcu zamieszkał w stanie Kentucky w pobliżu rzeki Zielonej. Jest to prawdziwa ojczyzna gołębi i pan Brown niezmiernie ciekawe rzeczy opowiadał o nich, jak się gnieźdzą, jak sadowią na noc, jakie niesłychane szkody wyrządzają i wreszcie, jakimi sposobami myśliwi na nie polują.

— Powtórzcie mi cośkolwiek z tego, jeżeli pamiętasz — mówił Dik.

— Najchętniej — odrzekł murzyn, a musiał mieć pamięć wyborną, gdyż bez zająknięcia opowiadał następujące prawdziwe szczegóły o gołębiach:

— W pewnym lesie wysokopiennym, gdzie mniejszych krzaków było niewiele, gołębie sadowiły się zwykle na nocleg. P. Brown przybył tam na dwie

godziny przed zachodem słońca, lecz gołębi jeszcze nie zastał, a tymczasem mnóstwo ludzi czatowało już na nie ze strzelbami; niektórzy z nich przybyli konno lub wozami. Dwaj osadnicy z odległych o sto mil folwarków przypędzili ogromne trzody świń, ażeby je napaść mięsem gołębi. Było tam i zabitego ptactwa niemało; ludzie je solili, pakowali w beczki, przyrządzali na przechowanie różnymi sposobami. Pomiot, spadający z drzew, pokrywał wszędzie ziemię grubą warstwą, jak gdyby spadł obfity śnieg. Drzewa na znacznej przestrzeni były pooblamywane; grube gałęzie, nawet pnie całe zgruchotane leżały na ziemi, jakby po przejściu huraganu. Wszystko to wskazywało, że stado gołębi, które tu założyło siedlisko swoje, musiało być niesłychanie liczne.

Wieczór nadszedł i każdy gotował się na przyjęcie ptactwa. Jedni mieli naczynia miedziane z siarką, którą palić zamierzali, inni trzymali smolne pochodnie. Niektórzy uzbrojeni byli w strzelby, — mnóstwo zaś ludzi przyszło z ogromnymi kijami. Wszystkie oczy zwróciły się w górę, — przez chwilę trwało oczekiwanie. Nagle ozwał się okrzyk jednogłosny: «Lecą! lecą!» I w rzeczy samej nadleciały, a szum taki, jakiśmy sami przed chwilą słyszeli, oznajmił ich przybycie. Zapalono pochodnie i ogniska i osobliwszy, prawie straszliwy widok przedstawił się oczom obecnych. Niezmierna chmara gołębi spuszczała się na drzewa; ludzie uzbrojeni w kije zabijali je tysiącami, lecz inne nieustannie nadlatywały i wkrótce pokryły wszystkie drzewa dokoła. Gałęzie trzeszczały i łamały się, — całe pnie padały na ziemię, przyniatając setki ptaków swym ciężarem. Powstało

straszne zamieszanie i gwar taki, że, jak upewniał p. Brown, tylko po iskrach i dymie można było spostrzedz wystrzał palnej broni.

Dopiero o świcie zaczęło się wszystko uspokajać stopiowo; gołębie odlatywały jedne po drugich i gdy słońce wzeszło, zniknęły co do jednego. Natomiast odezwało się oddalone wycie wilków, głosy pomieszane zwierząt leśnych, rysiów, kugarów, niedźwiedzi, a jastrzębie i sępy krakały w powietrzu. Nie wiele jednak pozostało dla nich, bo ludzie chciwie tę pożądaną zdobycz zabierali; zabite gołębie układano w stosy ogromne, ładowano na wozy i konie, w końcu wypuszczono trzody świń i te zmiotły resztki prawie do szczętu.

— To doprawdy bardzo dziwne i ciekawe — rzekł Dik — ale wspomniałeś także o gniazdach gołębi; może i o tem masz coś zajmującego do powiedzenia.

— O, i niejedno, tyle się nasluchałem o tych gołębiach od p. Browna. Mówił on na przykład, że i w miejscach, gdzie się gnieźdzą gołębie, takąż sama rzeź zazwyczaj się odbywa. Ptaki te urządzają gniazda na wysokich drzewach, niezbyt daleko od wody. Nieraz na jednym wielkiem drzewie widziano po kilkadziesiąt i po sto gniazd. Samica składa dwa tylko jaja zupełnie białe. Podczas gdy siedzi na jajach, samiec żywi ją z wielką troskliwością. Po wykluciu piskląt, oboje rodzice pielęgnują je czule i dostarczają im pokarmu, póki nie podrosną. Dopiero po sześciu miesiącach młode opuszczają rodziców i same zaczynają myśleć o swoich potrzebach. Nie zawsze jednak ludzie dają im się wychodować spokojnie. Gdy wysiedzą miejsca w lesie, w których gołębie gromadnie

się gnieźdzą, wyrąbują drzewa, starsze z gniazd wybierają, a niezmierna ilość drobniejszych piskląt ginie przytem marnie.

— Tym sposobem — rzekł Dik — niezadługo zapewne wytepią do szczętu te nieszczęśliwe gołębie.

— I pan Smith powiedział to kiedyś, lecz p. Brown innego był zdania. Mówił, że gołębie wędrowne wówczas chyba wyginą, gdy lasów w Ameryce nie stanie. Od lat niepamiętnych, pomimo tak niemilosierznego tępienia, nie ubyło ich wcale i zawsze stada nieprzeliczone wędrują z miejsca na miejsce.

Podczas opowiadania murzyna, ptaki podniosły się z ziemi, nie odleciały jednak, lecz posiadały na drzewach, widocznie na nocleg. Pełno ich było nawet na najniższych gałęziach, łatwo więc mogli chłopcy zbliżyć się do nich i kijem nawet zabijać. To też młodzi nasi myśliwcy zaopatrzyli się w zwierzynę, nie spaliwszy ani ziarnka prochu: pamiętali o tem, co zalecał Serce prawe, aby oszczędzali amunicji. Gołębie nie okazywały najmniejszej obawy, gdy który z chłopców się zbliżał; a co dziwniejsze, nawet i wtedy nie uciekały, gdy widziały, jak ich bracia padali pod śmiertelnymi ciosami. Cezar i Dik nie mordowali jednakże biednych ptaków dla zabawki; zabili ich więc tylko tyle, ile rzeczywiście potrzebowali.

Dik z wielkiem zajęciem przypatrywał się ptakom z bliska. Gołąb wędrowny jest dość silnie zbudowany; ma szyję długą, małą główkę, skrzydła wydłużone i spiczaste, nogi krótkie lecz silne. Pióra jego na grzbiecie są popielato-błękitnawe, na brzuchu przechodzą w odcień czerwony; oczy ma błyszczące, purpurowe, czarny, niezbyt długi dziób, a nogi także

czerwone. Ptaki te wyrządzają ludziom nieobliczone szkody, — głównie też z tego powodu tak niemilosierdzie są tępione. Łatwo sobie wyobrazić, co się dzieje na łąkach i polach uprawnych, gdy takie ogromne stado gołębi wędrownych spuści się na nie i szuka pożywienia. Tak samo, jak w innych stronach świata po przejściu szarańczy, w krótkim przeciągu czasu z pracy rolnika nie pozostaje nic, oprócz nagiej i огоłoconej roli. Sady, ogrody, uprawne pola, wszystko to żarłoczne ptactwo pustoszy i niszczy do szczętu.

Już zmierzch począł zapadać, gdy Dik i Cezar, obladowani zwierzyną, puścili się śpiesznie w drogę, chcąc przed nocą do fortecy powrócić. Lecz po raz drugi tego dnia odgłos niezwykle obil się o ich uszy. Był to wyraźnie ryk drapieżnego zwierza.

— Jaguar — szepnął Dik strwożony.

— Nie, to kuguar czyli puma — odrzekł murzyn — znam dobrze to zwierzę i głos jego odróżnić potrafię. Jaguar zresztą rzadko w tej okolicy się przytrafia, chociaż niekiedy zapędza się daleko na północ i zachód. Nie należy bowiem wyobrażać sobie, że zwierz ten właściwy jest tylko południowej Ameryce. Lecz kuguar częściej daleko napotyka się w Ameryce północnej, w Kanadzie nawet się pojawia.

— Z ciebie doprawdy uczony człowiek, mój Cezarze — mówił Dik, który szczerze podziwiał wszechstronne wiadomości murzyna.

— Cezar to wszystko zawdzięcza dobremu p. Smith'owi; on to uczył go rozmaitych rzeczy, a oprócz tego dawał mu do czytania piękne książki. Dik nie ma wyobrażenia, jak wiele nauczyć się można z takich książek.

— O, ja to rozumiem, chętnie czytywałbym książki, gdybym je miał.

Tymczasem głos drapieżnego zwierzęcia zbliżał się coraz więcej i coraz wyraźniejszy się stawał.

— Co tu robić? — spytał Dik, opatrując starannie strzelbę.

— Najlepiej stańmy tu z boku i czekajmy — odrzekł murzyn — kuguar zwęszył już także gołębie, idzie tu niezawodnie po to, aby sobie porządną ucztę wyprawić. Zaraz go zobaczymy.

— A jeżeli zechce i naszej skóry zakosztować? Taby nie była wcale rzecz przyjemna.

— O to Dik może być spokojny, niema żadnego niebezpieczeństwa. Kuguar jest rzeczywiście nadzwyczaj drapieżny, gdy ma do czynienia ze słabszymi zwierzętami, lecz na człowieka bardzo rzadko się rzuca. Zresztą mamy przecież strzelby. Najlepiej byłoby gdybyśmy się wdrapali na drzewo; widzielibyśmy go stamtąd doskonale.

— Zapominasz chyba, że kuguar łazi po drzewach, jak wiewiórka.

— Pamiętam o tem, ale niech się Dik nie obawia. Kuguar będzie prawdopodobnie łaził po drzewach i chrupał gołębie; a choćby nawet zabłądził do nas przypadkiem, z pewnością ucieknie zaraz, gdy nas zobaczy. Gdyby się rozzuchwalił, zakosztuje naszych kulek.

— Niechże i tak będzie — rzekł Dik — ja także radbym temu złośliwemu kotowi przypatrzeć się bliżej.

Murzyn upatrzył drzewo stosowne i obaj wdrapawszy się na nie, usadowili się wygodnie pod osłoną

liści, skąd wszystko widzieć mogli doskonałe, sami nie będąc widziani. Zabite gołębie uwiązali obok na gałęzi w miejscu jak najmniej widocznem.

XVIII.

Kuguary i inne zwierzęta leśne.

Zaledwie dwaj przyjaciele usadowili się w swej kryjówce, gdy pod tem samem drzewem dał się słyszeć szelest. Dik trącił lekko Cezara w ramię, tamten skinął głową na znak porozumienia. Obaj ujęli strzelby i trzymali je w pogotowiu. Spojrzawszy w dół, ujrzeli tam ciemną jakąś postać, która krążyła pod drzewem i leć co chwila podnosiła. Przy patrzeniu jej się lepiej, poznali kuguara. Tymczasem z dwóch stron jednocześnie ozwały się głosy innych kugarów, także niezbyt oddalonych.

— Ej, źle podobno będzie z nami — szepnął Dik przestraszony do ucha murzyna.

— Niech Dik się nie boi, jeszcze nam żadne niebezpieczeństwo nie zagraża — odpowiedział tamten równie cicho.

— Nie widzę już zwierza — szeptał znów Dik — czyżby nas zwietrzył i uciekł?

— Nie sądzę. Kuguar, podobnie jak i inne koty, ma wzrok i słuch doskonały, lecz węch nieszczególny. Nawet i o jaguarze powiedzieć to można. Aha!... czy słyszysz?... wszak to trzepotanie skrzydeł gołębi.

— Masz słusność — potwierdził Dik — żarłok musiał wdrapać się na drzewo i zajada gołąbki.

— A gdy się nasyci, będzie je dusił dla przyjemności — mówił Cezar, zawsze cichym głosem, chociaż nie było obawy, aby go zwierz posłyszał, — jest okrutny i krwiożerczy do najwyższego stopnia. Straszne szkody wyrządza, gdy zakradnie się do zagrody gospodarskiej, bo zagryza naraz mnóstwo bydła, owiec, drobiu, chociaż i połowy pożreć nie jest w stanie. Morduje bez miłosierdzia wszystko, co mu pod ząb wpadnie. Nieraz w ciągu jednej nocy udusi do pięćdziesięciu owiec, po to tylko, aby wyssać z każdej trochę krwi. Zwykle skacze zwierzętom do gardła, rozdziera je i cheiwie gorącą krew żłopie. Gdy się opije dowoli tego przysmaku, dostaje jakby odurzenia i zapada zwykle w długi, głęboki sen. Często też odbiera karę zasłużoną wkrótce po dokonaniu tych okrucieństw, gdyż łatwo jest odszukać go uśpionego w pobliżu.

Murzyn ucichł, gdyż w tej samej chwili ruch i szelest zaczął się wzmacniać pomiędzy drzewami. Skaczące postacie kotów migły wśród ciemności; słyszeć było żalosne gruchanie i trzepotanie gołębi, latających tu i owdzie.

— Chciałbym wiedzieć przynajmniej — odezwał się Dik ledwo dosłyszalnym szeptem — ile tam tych obrzydłych kotów uwija się po lesie.

— Ze trzy lub cztery — odpowiedział Cezar. — Szkoda, że tak ciemno i nie można zobaczyć, jak one dokazują. Moglibyśmy jednak spuścić się trochę niżej; nie nam się przecież nie stanie, a na wszelki wypadek mamy strzelby, których wystrzał rozpędzi tę drapieżną zgraję od razu.

Dik zgodził się chętnie i obaj przyjaciele spuścili się ostrożnie na niższą, grubą gałąź, z której la-

twiej można było coś dojrzyć. Siedzieli tam krótką chwilę zaledwie, gdy straszliwy hałas odezwał się pod samem drzewem. Dwa kuguary wiodły ze sobą walkę zawziętą. Przyskakiwały jeden do drugiego z szalonym rozpędem i gryzły się zażarcie, to znów tarzały się razem po ziemi, a przytem mruczały i ryczały wściekle. Ponieważ obaj zapaśnicy nie ustępowali jeden drugiemu w sile i zaciętości, losy walki przez czas dość długi pozostawały nierozstrzygnięte.

— Możeby strzelić? — spytał cichutko Dik.

— Niech Bóg Broni, nie strzelaj — odrzekł murzyn.

A wtem i na placu boju zmieniła się postać rzeczy. Świadkowie tego krwawego widowiska ani na chwilę nie spuszczały z oczu obu kugarów i naraz ujrzeni, jak jeden z nich wyrwał się gwałtownie z pazurów przeciwnika, jęknawszy żałośnie; zapewne niezwykle bolesną otrzymał ranę. Widocznie też uznał się za zwyciężonego, gdyż jednym susem wskoczył na drzewo, na którem siedzieli nasi znajomi. Z szybkością błyskawicy zwierzę stanął przed nimi i zmierzzył ich iskrzącymi oczyma.

Dik skamieniał z przerażenia i nie pomyślał nawet o obronie. Ale i Cezar się nie poruszył, chociaż nie stracił przytomności i trzymał palec na cynglu strzelby. Śmiało spoglądał on oko w oko zwierzęciu, które zdawało się nadzwyczajnie zdziwione widokiem ludzi. Kuguar stał tak przez czas jakiś, szczerząc zęby i mrucząc zupełnie jak kot, poczem odwrócił się i zaczął uciekać. Wszystko to trwało daleko krócej niż opowiadanie nasze, a przez ten czas nowe zaszły wypadki. Drugi kuguar puścił się w pogoń

za zbiegiem, wdrapał się także na drzewo i gdy pierwszy uciekał śpiesznie od naszych znajomych, ujrzał niespodzianie przed sobą rozwartą paszczę swego zwycięzcy.

— Teraz pora — szepnął Cezar do towarzysza — bierz na cel pierwszego, a ja się z drugim rozprawię. Tylko mierz dobrze, Diku, mierz dobrze.

Dik ochłonął już z przestachu o tyle, że mógł spełnić to polecenie murzyna; wycelował uważnie i pewną ręką trzymał strzelbę.

— Pal! — wykrzyknął Cezar na głos.

Oba strzały padły jednocześnie. Kuguar, którego na cel wziął Cezar, spadł z drzewa zabity na miejscu. Nie tak dobrze powiodło się Dikowi. Trafiał on wprawdzie także, lecz zranił tylko zwierzę, czem je wprowadził we wściekłość. Wielkie niebezpieczeństwo zagrażało teraz obu młodym myśliwcom. Kuguar, szczerząc zęby i mrucząc groźnie, przyskoczył do murzyna, który własnem ciałem osłonił towarzysza i podniósł nóż myśliwski. Dik tymczasem śpiesznie broń nabijał.

Nieustraszona postawa Cezara onieśmieliła zwierzę na chwilę, — spoglądało na przeciwnika, niepewne, czy rzucić się na niego, czy cofnąć. A chwila ta pomimo ciemności wystarczyła Dikowi do nabicia strzelby. Podał ją przyjacielowi, rozległ się strzał i kuguar, który był przysiadł właśnie, gotując się do skoku, jęknął głucho, i podskoczywszy tylko na miejsce, martwy spadł z gałęzi na ziemię.

— Dzięki ci, Panie! — zawołał Dik i odetchnął głęboko. — Jednak nie mów ty już nigdy więcej, Ce-

zarze, że kuguar czyli puma nie jest niebezpieczny dla człowieka!

— Niechże Dik pamięta, że spotkanie nasze z tymi drapieżnikami nastąpiło wśród szczególniejszych okoliczności. Można więc uważać to za wyjątek od reguły, że kuguar nigdy nie napada człowieka. No teraz nasze strzały musiały wypłoszyć wszystkich niepotrzebnych włóczęgów nocnych. Wracajmyż coby prędzej do naszej twierdzy, tylko wprzód strzelby nabijmy.

Dwaj towarzysze spuścili się z drzewa, murzyn pierwszy, a za nim Dik. Oba kiguary nie dawały już znaków życia.

— Jutro rano zdejmujemy z nich skórę — rzekł Cezar. — Wprawdzie niewiele warta, myśliwcy wcale się za nią nie ubiegają. Mięso na nic się nam nie przyda, chociaż niektórzy utrzymują, iż jest jadalne i przypomina smakiem cielęcinę.

— Fe! dziękuję za taką cielęcinę — odparł Dik, krzywiąc się ze wstrętem.

— Mam podostatkiem gołębi — mówił murzyn, który nie zapomniał zabrać tę zdobycz, nim z drzewa się spuścił. Musimy tu jednak w każdym razie jutro powrócić, — mam nadzieję, że napotkamy jeszcze niejedno osobliwe zwierzątko, zwabione przelotem gołębi. Z pewnością będę mógł ci pokazać szopa, a także i dydelfy. Są to zwierzęta workowate, zabawne bardzo, sam się o tem przekonasz.

— O! bardzobym rad zobaczyć je z blizka — zawołał Dik — ale ty musisz wiedzieć mnóstwo ciekawych szczegółów o ich życiu i obyczajach. Jabym tak chętnie słuchał, gdybyś zechciał opowiadać...

— I owszem. Żadne zwierzę nie jest mi obce, bo często z p. Smith'em puszczailiśmy się na długie myśliwskie wyprawy po lasach i stepach. Zaczniemy od szopów. Szop, blisko spokrewniony z niedźwiedziem, przebywa wyłącznie w Ameryce. rozpowszechniony jest bardzo, i na południu, i na północy. Na nieszczęście myśliwcy tak zawzięcie się za nim wszędzie uganiają, że jeżeli to dłużej potrwa, wytępią go niezawodnie do szczętu. Teraz jest ich jeszcze dosyć po lasach, i tu ślady szopów napotykałem nieraz. Zwykle sadowią się na brzegach rzek i strumieni, gdyż ryby są najulubieńszym ich pokarmem, z wielką też zręcznością je łowią. Nie gardzą jednak i innymi pokarmami. Tak samo, jak pokrewne im niedźwiedzie, jedzą prawie wszystko, co im pod ząb wpadnie, tak zwierzęce, jak i roślinne pokarmy. Lubią kasztany, kukurydzę, jagody leśne, owoce wszelkiego rodzaju. Ale chwytają także łapczywie ptaki, jaja z gniazd wybierają, duszą kury i gołębie, pożerają nawet mięczaki i owady. Jednem słowem, szop jest to żarłok nad żarłokami i niemało szkody z tego powodu wyrządza osadnikom. Bliskość wody z innego jeszcze względu jest mu potrzebna. Zwierz ten ma osobliwy zwyczaj, że każdy pokarm przed jedzeniem musi koniecznie w wodzie oplukać. Oj! napatrzyłem się niemało ciekawych rzeczy, gdyśmy z p. Smith'em polowali na szopy.

— Opowiedzże mi co o tych wycieczkach.

— Wyruszaaliśmy w nocy z pochodniami, zabierając ze sobą całą sforę psów, przyuczonych do tego rodzaju polowania. Te zwykle prędko wytropiły szopa i gonily zawzięcie, dopóki zwierz znużony nie wdra-

pał się na drzewo. Wówczas stały na straży pod drzewem i czekały na nas. Zwykle jednak nawet przy świetle pochodni niepodobna było dojrzeć zwierza pośród gałęzi drzewa. Rozpalaliśmy więc wielki ogień; płomienie wznosiły się do góry, — widno było w lesie, jak w białym dniu. Ale i tak jeszcze najczęściej nie mogliśmy szopa odszukać, bo umie on bardzo dowiecnie się skurczyć, zwinąć w kłębek i siedzi nieruchomo pod osłoną liści. Musiał więc który ze sług wlażyć na drzewo. Umyślnie na to polowanie zabierało się ludzi, umiających jak małpy wdrapywać się na najgładsze, najgrubsze pnie. Rozpoczęła się pogon zawzięta na drzewie, a zawsze tem się kończyła, że człowiek rzucał szopa z gałęzi na ziemię. Tu czatowały na niego psy, które go chwytaly zębami i dusiły.

— To musi być naprawdę zabawnie gonić za zwierzyną w nocy, przy pochodniach — odezwał się Dik — ale takie polowanie strasznie dużo czasu zabiera, a i kłopotu niemało przyczynia.

— To prawda; wielu jednak myśliwców lubi je namiętnie, może dlatego, że jest tak niezwykle. Można też tym sposobem schwytać szopa żywcem; trzeba go tylko zaraz obronić od psów, bo zwykle załatwiają się śpiesznie z biedakiem. Mnie samemu udało się raz uratować młodego szopa i p. Smith pozwolił mi go hodować. Wkrótce się oswoił i chodził po całym domu, jak pies. Taki był wesoły, żwawy i zabawny, że go wszyscy domowi lubili, chociaż nieraz rozmaite psoty płał. To ukradł mięso kucharce, to wyjadł w ogrodzie truskawki, winogrona, wiśnie lub śliwki, to znów wlażł do kurnika i drób wydusił.

Musiał się nudzić w niewoli, bo często wymyślał sobie najdziwniejsze zabawy. Raz na przykład usiadł w kącie i z poważną miną usiłował sobie żdźbło słomy uwiązać na nosie. Innym razem przewrócił się na wznak, całą kupkę siana nałożył na brzuch i przyciskał tę poduszkę, ściągając ogon i przednią łapę, jakby rzemienie łomoka. Siedząc przy ścianie, drapał ją ostrymi pazurami i obdzierał niemiłosiernie.

Widok kadzi z wodą wprawiał go w szaloną radość. Jeżeli mu tylko nikt nie przeszkodził, wlażył natychmiast do wody; a zawsze wprzód zaglądał przezornie, czy nie za głęboka. Zaraz też szukał przednimi łapami na dnie kadzi, a znalazłszy jakikolwiek drobny przedmiot, czy to trzaskę, czy czerep stłuczonego garnka lub filiżanki, poczynął go oplukiwać z tak pocieszną pilnością i uwagą, że nieraz pokładaliśmy się od śmiechu.

Mój szop zaprzyjaźnił się serdecznie z dużym wyżłem. Obaj nieraz chodzili za mną krok w krok, a nigdy najłżejsze nieporozumienie zgody ich nie zakłóciło. Jak tylko szopa spuszczano z łańcucha, biegł szukać przyjaciela, i zbliżywszy się do niego, stawał na tylnych łapach, a przednimi obejmował psa za szyję i łeb kudłaty do niego przytulał.

— Jakież to musiało być zabawne! — rzekł Dik. — I cóż się stało z tym twoim szopem?

— Niestety! pan Smith go zastrzelił. Żał mi było niezmiernie pociesznego zwierzęcia, nie mogłem jednak zaprzeczyć, że pan mój miał słuszość. Szop pewnej nocy zerwał się z łańcucha, wlażł cichaczem do kurnika i wydusił najpiękniejsze kury. Pan Smith,

dowiedziawszy się o tem, wpadł w taki gniew, że chwycił strzelbę i na miejscu winowajcę trupem położył.

— Wszystko, co opowiadasz, mój Cezarze, jest nadzwyczaj zajmujące — mówił Dik, gdy murzyn umilkł. — Skoro już tak się rozgadałeś, możebyś za jednym zachodem przypomniał sobie coś ciekawego o dydelfach. Mówiłeś przed chwilą, że jutro prawdopodobnie obaczymy je także na miejscu noclegu gołębi.

— Jeżeli tylko masz ochotę słuchać — odrzekł murzyn — nie zabraknie mi przedmiotu do opowiadania. Zwierzęta workowate żyją przeważnie w Australii. Jeden gatunek, mianowicie dydelf, *opossum*, właściwy Ameryce, zamieszkuje Meksyk, chociaż napotkać go można i znacznie dalej na północ. Dydelf jest zwierzęciem drapieżnem w całym znaczeniu tego wyrazu. Dusi i pożera wszelkie słabsze zwierzęta ssące i ptaki; lazi doskonale po drzewach i straszne spustoszenia wyrządza w gniazdach ptasich. Zakrada się często do kurników, a taki jest krwiożerczy, że podobnie jak kuguar, gotów wymordować wszystek drób, chociaż i czwartej części zjeść nie może, tylko krwi trochę wyssie z każdej sztuki. I on tą krwią się upaja, — często też nie zdąży nawet się oddalić i na miejscu, gdzie nabroił, usypia. Zawzięty zwierz, gdy raz krwi zakosztuje, nie przerwie sobie za nic rozpoczętej uczty i gdy go służba zechce na uczynku, prędzej się da zabić, niż wypłoszyć.

Zwierzątko to nieduże i napozór niezbyt silne, wytrzymałe jest do najwyższego stopnia. Sam widziałem, jak pewien osadnik, pochwyciwszy dydelfa w szkodzie, zbil go tak okropnie, że wyglądał zupełnie, jak nieżywy. Pysk miał rozwarty, język wywie-

szony, oczy zamglone, nikt nawet nie przypuszał, aby mógł odżyć. A jednak zaledwieśmy się cokolwiek oddalili, chytry zwierz zerwał się na nogi i umknął tak szybko, że go dogonić nie zdołano.

— A to musiał być zły ten osadnik — odezwał się Dik.

— Zły był, naturalnie; mnie jednak w tym wypadku głównie zajął przykład wielkiej wytrzymałości i przebiegłości zwierzęcia.

Tak rozmawiając, dwaj młodzi myśliwcy przybyli do twierdzy, gdzie ich Sultán powitał z wielką radością. Spali smacznie tej nocy po trudach przebytych, a nazajutrz, skoro tylko szarzyć zaczęło na niebie, wyruszyli znowu do miejsca, gdzie nocowały gołębie wędrownie. Już z daleka usłyszeli szelest skrzydeł ptaków, fruujących niespokojnie tu i owdzie między drzewami.

— Szopy i dydelfy muszą się tuż uwijać — szepnął murzyn — byłem pewny, że je zastaniemy przy robocie.

— Cobym dał za to — rzekł Dik — żeby mi się udało choć jednego szopa zastrzelić, albo i dydelfa zresztą.

— Czemużby się nam udać nie miało? bierzmy się tylko bacznie i roztropnie do rzeczy. Niema zresztą czasu do stracenia, bo rozwidnia się szybko; gołębie już nie śpią. Słyszysz jak gruchają? zwołują się widocznie i niezadługo odlecą dalej.

— A wtenczas zapewne i te wszystkie drapieżne stworzenia, co się tu zbiegły na biesiadę, rozproszą się także w różne strony.

— Tak prędko nie. Nażarły się pewnie dobrze

i zaopatrzyły w zdobycz na dni kilka, więc będą przez czas jakiś krążyły w tej okolicy.

Przypuszczenie Cezara okazało się trafne. Wkrótce też celne strzały naszych młodych myśliwców położyły trupem i szopa, i parę dydelfów. Gołębie tymczasem uniosły się w powietrze i wkrótce całe stado znikło im z oczu. Dik zaczął uważnie oglądać zabitaą zwierzynę. Szop z powierzchowności podobny był do borsuka, miał pięćdziesiąt kilka centymetrów długości. Futro szarawe, ciemniejszymi smugami oznaczone, powszechnie jest znane. Barwa jego przedstawia niejakie podobieństwo do kory starych drzew.

Dydelf niewiekszy był od domowego kota, a z kształtu wyglądał zupełnie, jak olbrzymi szczur; długi jego ogon, przy nasadzie tylko włosami obrośnięty, dochodził dwudziestu ośmiu centymetrów. Cezar wytłómaczył towarzyszowi, że ogon ten, czepnym zwany, wielce jest pożyteczny zwierzęciu przy łazieniu po drzewach; owija go bowiem około gałęzi i łatwiej tym sposobem ogromne susy przesadza.

Ale najbardziej zajął Dika ów osobliwy worek pod brzuchem zwierzęcia, od którego pochodzi nazwa wszystkich zwierząt workowatych. W worku tym matki noszą swoje małe, póki te ostatnie nie podrosną o tyle, że mogą się obejść bez ich starań. A trzeba wiedzieć, że małe dydelfy przychodzą na świat nadzwyczaj słabe i niedołężne, potrzebują więc i ciepła, które znajdują u łona matki, i pieczołowitości szczególnej, aby się wychować mogły. Nawet i starsze, umiające już biegać, chętnie chronią się do tego worka, gdy im jakie niebezpieczeństwo zagraża, lub gdy matka dalsze wędrówki z niemi odbywa.

— Czyż dydelf nie ma stałego siedliska?

— Zazwyczaj przenosi się z miejsca na miejsce. W nocy wychodzi na żer i pozostaje cały dzień tam, gdzie do rana zawędruje. Weiska się w dziupłę drzewa lub jakąkolwiek kryjówkę, najczęściej zaś wchodzi do nory innego mniejszego zwierzątka, zagryza je, i tym sposobem zapewnia sobie zarazem i biesiadę i schronienie.

— Mile stworzonko, niema co mówić — mruknął Dik i podniósłszy jednego z zabitych dydelfów, wywinął nim w powietrzu, jak gdyby go chciał zarzucić daleko w krzaki.

— Oho! cóż znowu — rzekł murzyn, wstrzymując mu rękę — niechno Dik nie żartuje, bo futro dydelfa ma swoją wartość. Nie dorównywa co prawda pięknym i na całym świecie poszukiwanym szopom, ale zawsze nie jest do pogardzenia. Co do szopów, słyszałem, że i mięso ich ma smak niezły.

— Nie mam ochoty go kosztować — odparł Dik — ale skóry pozdejmujemy ze wszystkich zwierząt zabitych, choćby dlatego, żeby się mieć czem pochwalić, gdy powróci Serce prawe. Niech wie, jak to nam polowanie się udaje.

Zalatywili się szybko z tą robotą.

— A teraz trzeba jeszcze odszukać kuguary — mówił murzyn. Znaleźli je oba nietknięte na miejscu, gdzie padły pod ich strzałami dnia poprzedniego. Były to dwa samce. Oba miały około metra długości i tyleż wysokości. Tułów ich był wysmukły, głowa, stosunkowo do reszty ciała, wydawała się mała. Silne nogi, łapy szerokie ostrymi pazurami uzbrojone, mocno uwydatniały ich przynależność do kociego rodu.

Sierć, na grzbiecie żółto-czerwonawa, jaśniejsza na brzuchu, a biała na podgardlu, ciemniejszą barwę przybierała tylko na długim ogonie, dochodzącym pięćdziesięciu kilku centymetrów. Cezar z wielką zręcznością i wprawą zdjął z nich skórę i młodzi myśliwcy, obładowani zdobyczą, podążyli z powrotem do fortecy.

Niedaleką mieli drogę, a jednak nim zaszli, spotkała Dika przygoda, której żadną miarą do przyjemnych zaliczyć nie można, chociaż życiu jego nie tym razem nie zagrażało. Chłopak, usłyszawszy szelst w krzakach, spojrzał, wołając:

— O, jakie ładne zwierzątko! — puścił się szybko w pogon za zgrabnem stworzeniem wielkości kota domowego, które umykało przed nim z całej siły.

— To śmierzdel, niech Dik nie zbliża się do niego! — wołał murzyn i wolnym krokiem podążył za towarzyszem. Ale Dik nie zważał na przestrożę, chociaż Cezar powtórzył ją raz, drugi i trzeci; uradowany widokiem nieznanego zwierzątka, pędził za nową zdobyczą, chcąc ją koniecznie do poprzednich dołączyć.

Dik nigdy przedtem nie widział śmierzdela i nie słyszał o nim, nie domyślał się więc nawet, jakie niebezpieczeństwo mu zagraża. Powierzchowność zwierzątka nie przedstawiała nic strasznego; przypominało ono bardzo łasicę. Tułów miało wysmukły, futerko w białe i czarne pręgi, duży puszysty ogon i małe łapki, przyczem nie odznaczało się wcale zwinnością i zgrabnością; to też Dik już je miał dogonić bez zbytniego trudu, gdy nagle zwierzątko zatrzymało się, i nie okazując wcale przestachu, z nieopisanym

wyrazem, jakby ufności i przyjaźni, spojrzało na swego prześladowcę.

— Na miłość Boską, uciekaj! — zawołał raz jeszcze donośnym głosem murzyn. Ale Dik i tym razem wcale na tę przestrożę nie zważał: zbliżył się znów o parę kroków do zwierzęcia i wziął je na cel. Nim jednak zdążył pociągnąć za cyngiel, krzyknął przeraźliwie, rzucił strzelbę na ziemię i zaczął uciekać, jak szalony. Smród najokropniejszy i nadzwyczaj mocny rozszedł się dokoła w powietrzu.

— Ach, uduszę się, uduszę! Cezarze, ratuj! — wołał Dik rozpaczliwym głosem.

— Przestrzegalem, prosiłem, — Dik mię słuchać nie chciał i teraz ma za swoje; ja tu nic nie poradzę — mówił Cezar; przybył jednak na ratunek towarzysza, szczelnie nos zatkawszy. Dik miał twarz, ręce i zwierzchnie odzienie zbryzgane cieczą, wydającą tę woń straszliwą.

— O, co za potwór! Czy ja mogłem przypuścić coś podobnego? Ach! jakież to smród okropny, mdłości mię porywają!

— Zdejmij jak najprędzej zwierzchnie odzienie — rzekł Cezar i nie zważając na smród, pomógł Dikowi śpiesznie się rozebrać. Potem rzucił ubranie jego na trawę i zaczął twarz i ręce chłopca, zbryzgane cuchnące cieczą, pocierać ziemią.

— Jaka szkoda, że tu niema wody — ubolewał Dik.

— Woda w takim razie nic nie pomaga: ziemią zwykle się naciera i to z godzinę najmniej, ażeby tę woń odpędzić. Niechże Dik sam wyciera ręce, a ja twarz, to zaraz będzie ulga.

Murzyn miał słuszość. Woń zaczęła słabnąć powoli; po godzinie nieustannego wycierania ziemią nieustąpiła wprawdzie jeszcze zupełnie, lecz stała się przynajmniej znośną.

— Moje nieszczęśliwe odzienie przepadło — mówił Dik, spoglądając żałośnie na jedyny swój ubiór.

— Ej, nie — odparł murzyn — musimy je tylko okurzyć jak najprędzej. Rozpalimy zaraz ogień; dym doskonale na to działa.

Cezar rozłożył śpiesznie ognisko i podsycił je zielonemi gałęziami, ażeby wydawało jak najwięcej dymu. Potem powiesił odzienie Dika na dużym kiju ponad ogniskiem i całą godzinę je tak trzymał.

— Fe! jeszcze śmierdzi okropnie — rzekł Dik, gdy Cezar zdjął suknie, uważając je za dostatecznie okurzone — niepodobna będzie tego włożyć.

— Teraz nie — potwierdził murzyn — ale przyszedłszy do domu, zakopimy to odzienie w ziemi na dwadzieścia cztery godzin przynajmniej, a zapewne powoli smród się rozejdzie. Ziemia i dym, to jedyne środki przeciw obrzydliwej cieczy śmierdziela. Najlepiej jest spalić zanieczyszczone tą obrzydliwością przedmioty, lecz ponieważ tu w puszczy o nowy strój nie tak łatwo, musimy sobie radzić, jak można.

— Skąd to szkaradne zwierzę bierze tę ciecz piekielną? — spytał Dik, gdy murzyn zwinął cuchnące odzienie i wziął je pod pachę, zbierając się do drogi — tyle tylko pamiętam, że podniosło ogon wysoko, nim ładunek mię dosięgnął.

— Rozumie się, bo właśnie pod ogonem ma kilka gruczołów, z których wydziela się owa ciecz cuchnąca. Gruczoły te są dość duże i mięskami obciśnięte w ten

sposób, że zwierzę może dowolnie ciecz wyrzucać na mniejszą lub większą odległość. Przyroda obdarzyła śmierdziela szczególną bronią, która, słabe to zwierzątko prawdziwie strasznie czyni.

— Taka broń starczy za każdą inną — mruknął Dik.

— Zapewne, niejeden na własną szkodę przekonał się o tem.

— Między innymi niejaki Dik Wattson.

— Trzeba ci wiedzieć, że nawet jaguar i kuguar uchodzą przed śmierdzielą. On też tak jest pewny swej potęgi, że rzadko kiedy ucieka przed nieprzyjaciółmi; zwykle czeka na nich najspokojniej, a w ostateczności tryska straszliwą cieczą.

— Wiem o tem z doświadczenia, niestety! No, ale więcej się to nie zdarzy; do razu sztuka!

XIX.

Przebyte niebezpieczeństwa.

W kilka dni po zdarzeniach, opisanych w poprzednim rozdziale, młodzi nasi przyjaciele spostrzegli, że im już wkrótce zabraknie świeżego mięsa, niezwłocznie więc postanowili wyruszyć na dalszą wycieczkę myśliwską i postarać się o zwierzynę. W pobliżu twierdzy brakło jej zupełnie, bo strzały młodych myśliwców wypłoszyły stąd wszelkie żyjące stworzenia. To też Cezar i Dik umyśliли w dalszych stronach próbować szczęścia.

Po kilkugodzinnej wędrówce natrafili na małą,

wązką kotlinkę, przez którą przepływał rączy strumień z szumem i pluskiem. Wybrzeża jego, porośłe najrozmaitszemi drzewami i krzakami, uroczy przedstawiały widok. Tuż nad brzegiem wody stały liczne drzewa dereniowe, o pniach niezbyt wysokich, konarach rozłożystych, obficie jasno-zielonymi liśćmi pokrytych. Ponad nimi wznosiły się tu i owdzie wierzchołki ogromnych grabów, dwudziestu ośmiu metrów wysokości dochodzących. Z pod liści ich błyszczących zwisały się długie kotki kwiatowe. Gdzieniedzie nie tak wysoki, lecz wspaniały klon potężne swoje konary rozkładał ponad wodą. Idąc dalej, młodzi wędrowcy napotkali gromadkę pięknych klonów cukrowych, które sączą z pnia ciecz słodką, dostarczającą równie dobrego cukru, jak trzcina cukrowa.

Rosły tam także inne drzewa pożyteczne, jak orzechy z gatunku zwanego w Ameryce «pekan» *juglans pecan*. Okazały te drzewa, o pniach potężnych i rozłożystych konarach, mało się różnią od orzechów włoskich, większe są tylko znacznie. Owoc ich podługowaty, gładki, ma jądro ze smaku zupełnie do zwyczajnych orzechów podobne. Orzechy pekanowe są przysmakiem poszukiwanym w całej Ameryce. Znajomi nasi mocno żalowali, że jeszcze nie były dojrzałe. Odstępy pomiędzy temi wyniosłemi drzewami zapelniały flaszowce dloniaste, dorastające w tym klimacie rozmiarów zaledwie niezbyt dużych krzewów, i sumaki pewnego gatunku o liściach pierzastych; młode ich odrośle, sterczące przy korzeniach, kształtem i barwą przypominały rogi jelenie. Trudno byłoby wyliczyć wszystkie krzewy większe i mniejsze, które się tuliły w cieniu olbrzymów leśnych. Nie

brakło tam i jerzyn i innych jagód; dziki szczep winny owijał giętkie swe lodygi na okół gałęzi drzew w towarzystwie najrozmaitszych płatorośli, które w wielu miejscach gęstwinę czyniły prawie niedostępną. Ta bujna, urozmaicona roślinność, nadawała tej części puszczy charakterystyczne cechy tak zwanych lasów dziewiczych.

W miejscu cokolwiek więcej przerzedzonym młodzi wędrowcy, ku wielkiej swej radości, napotkali dwie rośliny niezmiernie pożyteczne, a mianowicie: tak zwaną rzepe stepową i dziką cebulę. Pierwsza ma korzeń gruby, bardzo smaczny, a przytem zawierający w sobie dużo pożywej mączki. Myśliwcy i traperzy znają dobrze tę rzepę, która im niejako chleb zastępuje. Dziką cebulą, tak samo jak i ogrodową, stanowi smaczną przyprawę do potraw. Cezar i Dik postanowili później, wolniejszym czasem, zaopatrzyć twierdzę w porządną zapas obu tych roślin.

Nietylko świat roślinny, lecz i zwierzęcy zwrócił na siebie uwagę młodych wędrowców. W tem pustkowiu, nigdy może nietkniętem stopą ludzką, wrzało wszędzie życie, roilo się mnóstwo najrozmaitszych zwierząt, a tysiące głosów przerywało ciszę. Miły świegot ptaszat śpiewających mieszał się z krakaniem drapieżnego ptactwa; gruchanie gołębi z przeraźliwym wrzaskiem papug; to znów przedrzeźniacz zdawał się szydzić ze wszystkich swych braci skrzydlatych. Wiewiórki przeskakiwały z gałęzi na gałąź, z drzewa na drzewo. Kiedyniekiedy migiała wśród liści duża wiewiórka lisia, piękne zwierzę, którego futro wysoko jest cenione. Zewsząd odzywało się kucie dzieciółów, a ile owadów brzęczało w powietrzu, ile różnych

szmerów dochodziło, i z trawy, i z gęstwiny liści, tego żadne pióro opisać nie zdola. Ale wśród wszystkich głosów skrzydlatej rzeszy jeden szczególnie uderzył Cezara.

— Indyki dzikie — rzekł, wskazując ręką stronę, z której głosy tych ptaków słyszeć się dawały.

— Musimy parę upolować — odezwał się Dik.

— Rozumie się — potwierdził Cezar. — Wprawdzie są niezmiernie bojaźliwe i najmniejszy szelest je płoszy, jednak z powodu swej głupoty łatwo się podejść dają. Idźmy ostrożnie i cichuteńko w tę stronę, a może nam się uda je wypatrzeć.

Musieli przebyć dobry kawał drogi z ogromną ostrożnością, go w tej gęstwinie niełatwą było rzeczą.

— Stój! — szepnął wreszcie Cezar, stanąwszy za grubym pniem drzewa i skinieniem wskazał towarzyszowi, aby uczynił toż samo. Wnet z ukrycia swego murzyn począł naśladować gdakanie indyka w tak mistrzowski sposób, że w podziw wprowadził Dika. Kilka indyków odpowiedziało natychmiast na to wezwanie, które Cezar powtarzał raz po raz, a za każdym razem głosy indyków bliżej się odzywały. Nareszcie kilka ptaków nadleciało, i usiadłszy na pobliskim drzewie, z ciekawością oglądały się na wszystkie strony, szukając kolegi, który je tu sprowadził. Na to tylko czekał Cezar; podniósłszy strzelbę, wymierzył i dał znak przyjacielowi, by go naśladował; dwa strzały rozległy się jednocześnie i dwa tłuste indyki spadły na ziemię. Reszta odleciała z wrzaskiem przeraźliwym.

— A to nam się udało, co się nazywa! — zawołał Dik, podnosząc w górę swoją zdobycz. — Ale już

to z ciebie, mój Cezarze, myśliwiec niełada. Nie wiem, czy znalazłaby się tu w lesie taka zwierzyna, którejbyś ty rady nie dał.

— Wszystko to Cezar zawdzięcza dobremu, nie odżałowanemu swemu panu — odrzekł murzyn z prostotą. — Ale są także i inne sposoby polowania na dzikie indyki.

— O! proszę cię, opowiedz mi o nich, ja tak lubię słuchać twego opowiadania.

— Indyki rozprzestrzenione są w całej Ameryce północnej — mówił murzyn. — W wielu okolicach nie strzelają do nich wcale, tylko je żywcem łowią, korzystając z głupoty tych ptaków. W miejscach, gdzie przebywają stada indyków, urządzają w tym celu budki z desek, które przykrywają chrustem, a u dołu wyrzynają w desce nieduży otwór, tak odmierzony, aby indyk mógł się przezeń przecisnąć. W prostą tą pułapkę nasypują następnie ziarn kukurydzowych i na pewnej od wejścia przestrzeni rozsypują trochę tych ziarn, tworząc jakby ścieżeczkę, wiodącą do budki. Indyki wkrótce tę przynętę spostrzegają, i idą za śladem ziarn, a zającąc je ze smakiem, dochodzą na koniec do budki. Jeden po drugim wchodzi do środka: czasem tyle ich się tam napcha, że aż ciasno i wszystkie są schwytane w pułapkę.

— Jakto schwytane? Przecież mogą wyjść tak samo, jak weszły.

— Wcale nie. Za głupie są na to, aby odszukać otwór i siedzą w klatce.

— Czy to być może!

— Tak jest niezawodnie. Kręcą się, jak szalone, wyciągają szyje, tłuką lekami o ściany budki, krzy-

czą w niebogłosy, a żadnemu nie przyjdzie do głowy, żeby się schylić i wysunąć przez wyjście rozwarte. Właściciel budki przychodzi czasem aż późnym wieczorem i zawsze zastanie w niej wszystkie indyki, które w ciągu dnia do niej zawędrowały.

— Ależ to głupota niepospolita! — rzekł Dik.

Młodzi myślnicy zabrali swoją zdobycz i poszli z powrotem do kotliny, gdzie Cezar na wybrzeżach strumyka zauważył był już poprzednio ślady jeleni i innych większych zwierząt. Nagle Cezar przystanął i pilnie począł nasłuchiwać, a jednocześnie podnosił głowę i wypatrywał czegoś pomiędzy wierzchołkami drzew. Dik także słuch i wzrok wyteżył, a po chwili spytał:

— Co to za dziwne brzęczenie?

— To pszczoły — odpowiedział murzyn.

— Pszczoły, tu w lesie? cóż znowu.

— Niezawodnie; zresztą niema w tem nic dziwnego, — można nieraz ogromne roje pszczół napotkać w puszczy.

— Skądże one się biorą? Czy to dzikie pszczoły?

— Nie dzikie, lecz zdziczałe. Uciekają od osadników, trudniących się pszczelnictwem, i dziczeją. Miód jednak robią bardzo dobry i jeżeli Dik ten przysmak lubi, możemy się o niego postarać; właśnie nadarza się dobra sposobność.

— Wątpię, abys tak łatwo potrafił odszukać dziuplę, w której te pszczoły miód składają — odrzekł tamten.

— Nie musi być daleko, bo pócóżby pracowite robotnice daleko odlatywały po swoje zapasy, kiedy

wszędzie, dokąd się tylko obróca, mają podostatkiem upragnionej słodyczy?

— To prawda, i teraz zapewne powracają z zapasami, więc nam wskażą drogę. Tylko czy my zdążymy za nimi? skrzydeł przecież nie mamy.

— Za temi, które brzęczą nam teraz nad głową, naturalnie nie zdążymy. Ale będą leciały inne i jeszcze inne.

Dik przyznał słuszość towarzyszowi i obaj puścili się w pogoń za brzęczącym rojem owadów. Droga, którą iść musieli, nie należała wcale do wygodnych i przyjemnych. Nieraz trzeba było przedzierać się z trudnością przez gęste i poplątane zarośla, przelażać przez pnie olbrzymie, obalone wskutek starości lub gwałtownych huraganów, przeskakować doły i w bród przechodzić strumienie. Wędrówka ta tem uciążliwsza była dla nich, że ciągle musieli spoglądać w górę, aby nie stracić z oczu lecących pszczołek. Lecz wszystkie te przeszkody nie mogły powstrzymać chciwych na słodki przysmak chłopaków.

Z godzinę tak wędrawali bez wytchnienia, aż wreszcie doszli do drzewa, które niewątpliwie było mieszkaniem miododajnych owadów, gdyż wszystkie doń zmierzały i ukrywały się w wydrążeniach pnia. Był to ogromny dąb farbierski, widocznie bardzo stary, w którego pniu, nawpół spróchniałym, mnóstwo było wszędzie dziupli i szpar głębokich. Pszczoły usadowiły się dość wysoko.

— Jakże my się dobierzemy do tego miodu? — pytał Dik — niełatwa to sprawa na ten pień się wdrapać i rozpoczynać walkę z pszczołami.

— Ja też o tem wcale nie myślę, — mam lepszy

słodkim miodem. Dziwi mię to nawet trochę, żeśmy tego kudłacza nie spotkali dotąd w okolicy, gdzie przebywają pszczoły. Co prawda, muszę się przyznać, że spotkanie to nie sprawiłoby mi wielkiej przyjemności.

— Widziałem niedźwiedzia z blizka raz w nocy na zgliszczach naszego domu — rzekł Dik z westchnieniem.

— Niechże Dik zagasi ogień — odezwał się żywo murzyn, chcąc oderwać chłopca od smutnych myśli — ja tymczasem załatwię się z tym miodem i pójdziemy dalej.

Cezar wyciął nożem kilka pięknych plastrów miodu, poczem starannie zatknawszy otwór dziupli, nagromadzili duży stos suchych gałęzi i zasypali nimi pień obalonego drzewa, szczególnie w miejscu, gdzie zapas miodu się znajdował. Czas było już puścić się w dalszą drogę; Cezar chciał koniecznie powrócić przed południem do owej kotliny, na brzeg strumienia, gdyż miał nadzieję napotkać tam większą zwierzynę. Nie tak łatwo jednakże zdołali odszukać drogę; chociaż Cezar znał dobrze wszystkie sposoby kierowania się wśród puszczy, zaledwie w południe, po długiej i nużącej wędrówce, ujrzeni przed sobą kotlinę i strumień. Dik był tak znużony, że ledwo nogami włóczył; spostrzegł to pocziwy murzyn.

— Dik musi teraz dobrze wypocząć — rzekł — najchętniejby zrobił, żeby zasnął na godzinę.

— Wyborna rada — odpowiedział tamten i niezwłocznie wyciągnął się na koldrze, rozesłanej przez Cezara. — A ty nie zaśniesz razem ze mną?

— Cezar wcale się nie zmęczył, poszuka tymczasem zwierzyny.

— To dobrze; ja bym ci chętnie pomógł, ale mi się okropnie oczy kleją; dobranoc.

Murzyn odszedł kilka kroków, lecz wnet zatrzymał się i szepnął sam do siebie:

— Nie można go tak samego zostawić.

Usiadł na trawie pod krzakiem i nie spuszczał z oczu Dika, który po chwili spał już w najlepsze, a głęboki, miarowy jego oddech rozlegał się wśród ciszy. Słońce przygrzewało silnie, upał nawet w cieniu drzew uczuwać się dawał; cała przyroda zdawała się wypoczywać o tej porze. Ucichły głosy ptactwa i różnych zwierząt leśnych, nawet brzęczenie dokuczliwych owadów ustało na chwilę; skwar południowy uspił wszelkie żyjące stworzenia. I Cezar był znużony, chociaż nie przyznawał się do tego, wkrótce też opanowała go senność niepokonana. Oczy jego przymknęły się mimowoli, otworzył je raz i drugi, spoglądając na uspiętego Dika, — w końcu zmęczenie przemogło i usnął w siedzącej postawie, wsparty o pień drzewa.

Już dawno minęła była godzina południowa i słońce posunęło się znacznie ku zachodowi, gdy w rozległej puszczy wszystko zbudziło się znów do ruchu i życia. Cezar ocknął się również z głębokiego snu i wzrok jego padł najpierw na Dika, którego oddech spokojny i głęboki odzywał się i teraz tak samo, jak przedtem. Nagle drgnął cały; twarz jego przybrała wyraz gwałtownego przerażenia i oczy stanęły mu słupem... W rzeczy samej widok, który w tej chwili przedstawił się oczom murzyna, musiał zatrwo-

żyć nawet jego nieustraszone serce. Dwa węże, mogące mieć około metra długości, usadowiły się tuż obok Dika. Jeden z nich leżał zwinięty na koldrze obok chłopca i zdawał się także uspiiony; drugiego widać było nieco dalej w trawie, jak pelzał powoli ku rozeslanej koldrze, wydając przy tem szczególny loskot.

— Grzechotnik! — wymówił Cezar drżącym i zmienionym głosem.

Któryż z czytelników naszych nie słyszał o straszliwych grzechotnikach, któryż z nich nie wie, że ukąszenie tego jadowitego węża jest prawie bezwzględnie śmiertelne. Wielka drażliwość grzechotnika czyni go jeszcze niebezpieczniejszym. Jeśli zakradnie się do człowieka śpiącego w lesie, co zdarza się dość często, ruch najlżejszy, okrzyk trwogi nieszczęśliwej ofiary, wprawia go w gniew i natychmiast się na nią rzuca. Jakże łatwo mógł biedny Dik, nieprzeczuwający w tej chwili okropnego swego położenia, przez sen się poruszyć, wyciągnąć rękę bezwiednie i dotknąć nią węża, który się obok niego na koldrze usadowił. Tymczasem Cezar nie śmiał go przebudzić, bo gdyby nawet miał tyle przytomności i natychmiast spostrzegł grożące mu niebezpieczeństwo, jeszcze mogło mu zabraknąć czasu do ucieczki; dość bowiem było jednego mgnienia oka, by wąż go dosięgnął. Przebudzić śpiącego w taki sposób, aby się nie poruszył i najlżejszym szelestem nie rozdrażnił węża, było niepodobieństwem. W tak strasznym położeniu Cezar na chwilę stracił głowę i sam nie wiedział, co począć. Lecz wkrótce odzyskał zwykłą odwagę i przy-

temność umysłu. Jedną myśl miał tylko: uratować Dika, albo zginąć z nim razem.

Przedewszystkiem należało uczynić nieszkodliwym potworne stworzenie, pelzające dalej nieco po trawie, i widocznie w podejrzanym zamiarach zakradające się ku śpiącemu. Cezar powstał, wziął siekierkę do ręki i cichutko, ostrożnie postępować zaczął. Wąż jednak musiał usłyszeć lekki szelest jego kroków, gdyż zatrzymał się, podniósł nieco głowę i straszne oczy zwrócił w stronę, skąd murzyn się przybliżał. Coraz głośniejszy odzywał się odgłos grzechotek, w końcu wąż zmienił kierunek i szybko zwijając giętkie swoje cielsko, zmierzał prosto do Cezara. Temu to było właśnie bardzo na rękę; śmiało postąpił jeszcze parę kroków i w tej samej chwili, gdy grzechotnik w rozpędzie rzucił się na niego, siekierka błysnęła w powietrzu i za jednym zamachem odcięła głowę potwora.

Po dokonaniu zwycięstwa, murzyn spojrzał na śpiącego Dika i znowu krew zastygła w jego żyłach. Drugi wąż, dotychczas nieruchomy, przebudził się, podniósł z wolna głowę i jakby brał w posiadanie upatrzoną ofiarę, oparł tę straszną głowę na ramieniu chłopca. Brakowało tylko, aby ten najlżejszym ruchem pobudził gniew grzechotnika, a ukąszenie śmiertelne mogło go w mgnieniu oka dosięgnąć. Lecz szybki, jak błyskawica, Cezar w dwóch susach był już przy nim, bez namysłu pochwycił węża obiema rękoma za szyję i odrzucił go daleko w trawę.

A w tejże samej chwili wśród liści pobliskiego drzewa dał się słyszeć szelest; jakiś wielki ptak

spadł jak strzała na węża, i pochwyciwszy go potężnymi szponami, uniósł się z nim w powietrze. Stało się to z tak niepojętą szybkością, że Cezar zaledwie dostrzedz zdołał, skąd mu ta niespodziewana pomoc przybyła; bystre jego oko poznało jednak sokoła wężojada. Ptak ów zapewne już od dłuższego czasu czatował na pożądaną dlań zdobycz i tylko widok ludzi prawdopodobnie go wstrzymywał; w każdym razie bardzo w porę nabral odwagi i murzyn serdecznie mu za to był wdzięczny... Tymczasem i Dik się przebudził, a rzuciwszy okiem na Cezara, który stał z siekierą w ręku, pomieszany i drżący, pochwycił broń, i zrywając się na równe nogi, począł pytać niespokojnie:

— Co to jest, co się stało?... Ach!... grzechotnik! — dodał, ujrzawszy w trawie zabitego węża.

— Dik zna te obrzydłe węże? — odezwał się Cezar i oparł się o pień drzewa, bo teraz, gdy niebezpieczeństwo już minęło, siły go opuściły i nogi zachwiały się pod nim.

— Znam je bardzo dobrze — mówił tamten.

— Dwa ich tu było; Dik ani się domyśla, że jeden z tych potworów głowę opierał mu na ramieniu.

— Na miłość Boską! Jakimże cudem ocalałem?

— Cezar się z nimi krótko rozprawił: jednego siekierą zabił, drugiego chwycił rękoma i odrzucił; pocciwy ptak zabrał go sobie i oszczędził roboty Cezarowi.

— Więc znowu uratowałeś mi życie? O, Cezarze!

— Wielka to radość, wielkie szczęście dla Cezara!

— I sam narażałeś się na największe niebezpieczeństwo, aby mnie wybawić!

— Czyżby Dik nie był uczynił tego samego na miejscu Cezara? — rzekł murzyn z prostotą.

— O, ty najpocciwszy, najwierniejszy przyjacielu, czyż zdołam ci się kiedy wywdzięczyc? — wołał chłopak, rzucając się murzynowi na szyję i ścisnąc go czule.

Gdy minęły pierwsze chwile wzruszenia i rozrównienia, młodzi myślicy obejrżeli z blizka zabitego węża. Wierzch jego ciała oznaczony był czarnymi, poprzecznymi prążkami na tle szaro-brunatnem; pod spodem miał barwę żółtawą, upstrzoną czarnymi kropieczkami. W budowie tej żmii najosobliwszą jest grzechotka, umieszczona na końcu ogona, złożona z twardych obrączek rogowych, które płaz dowolnie porusza, sprawiając ów łoskot odrębny, podobny do tego, jaki powstaje przy poruszaniu dużej torebki nasiennej, pełnej suchego ziarna. Nie potrzebujemy dodawać, iż nazwa węża od tego dziwnego przyrządu pochodzi. Grzechotka odzywa się, gdy płaz jest głodny, a zwłaszcza, gdy się ma rzucić na upatrzoną ofiarę; czasem też odgłos ten już z daleka przestrzega o niebezpieczeństwie. Ukąszenie tej jadowitej żmii, rozprzestrzenionej prawie w całej Ameryce, jest zabójcze; w wyjątkowych tylko razach śpieszny ratunek może ocalić życie ofiary. Zwykle zaś miejsce ukąszone puchnie bardzo szybko i śmierć następuje już po kilku godzinach.

Możecie stąd wnosić, jak gorącą wdzięcznością

przejęty był Dik dla zanego murzyna, który go uchronił od tak wielkiego niebezpieczeństwa. Ani jeden ani drugi nie zapomniał jednak najpierwej przesłać dziekczynnych modłów Temu, którego opatrzna ręka kierowała wszystkim i obu zachowała przy życiu.

Już słońce chyliło się ku zachodowi, gdy młodzi myśliwcy wyruszyli ku domowi, niosąc zabite indyki i plastry miodu. Późnym wieczorem zbliżyli się do twierdzy i ku niemałemu zdziwieniu swemu usłyszeli z daleka zawzięte szczekanie Sultana, którego przed wyjściem na tę wycieczkę zamknęli w jaskini.

— Hoho! — rzekł murzyn, przystając i z wielką uwagą oglądając strzelbę — co się też psisku stało? to nie może być bez powodu. Musiał zwierz jakiś zaglądnąć do naszego mieszkania, może szop albo dydelf.

— Byle nie co gorszego — mówił Dik — a co byś na to powiedział, żeby Indyanie przybyli do nas w odwiedziny?

— Rzecz jest możliwa — odpowiedział murzyn — lecz w tym razie bardzo nieprawdopodobna. Gdyby Indyanie trafili do naszej kryjówki, nie pozwoliliby przedewszystkiem Sultanowi tak czekać i ostrzegać nas o niebezpieczeństwie. Zarazby pocziwego psa udusili i czekali nas w najgłębszym milczeniu. W każdym razie musimy się dowiedzieć, jaka jest przyczyna niepokoju Sultana.

Dwaj chłopcy położyli się na ziemi i pełzając na rękach i nogach, ostrożnie, bez najmniejszego szelstu, zbliżyli się do twierdzy. Zatrzymawszy się u stóp skały, poczęli z uwagą nasłuchiwać.

— Niedźwiedź — szepnął Cezar po chwili do ucha towarzysza — czy Dik nie słyszy, jak zwierz sapie i chrapie tam na skale? Musiał tu niezbyt dawno przywędrować.

— Słyszę go doskonale — odpowiedział Dik — żebyż to tylko nie był straszny niedźwiedź szary.

— Skądżeby się tu wziął? Szare niedźwiedzie bardzo rzadko zachodzą w te strony, żyją daleko wyżej na północy. Zresztą szary niedźwiedź nie wylazłby z pewnością na taką wysoką skalę; w młodości tylko drapie się na drzewa, później staje się ociężały. To musi być niedźwiedź czarny, czyli baribal, nie tak straszny, chociaż i z nim żartować nie należy.

— I jakże my tego jegomości wyprosimy stamtąd? — zapytał Dik.

— Onby sobie i sam poszedł, żebyśmy na noc wynieśli się do lasu. Ale Cezar nie radby wyrzec się dobrowolnie takiej pysznej zdobyczy i ma już pewien pomysł... Wpierw jednak trzeba, żeby Dik schronił się do jaskini.

— Do jaskini? Jakimże sposobem, a niedźwiedź?

— Alboż to nie mamy tajemnego przejścia przy źródelku? Dik może tą drogą dostać się do podziemia. Raz tam siedząc bezpiecznie, nic łatwiejszego, jak upatrzyć szparę stosowną i palnąć do niedźwiadka.

— Zapewne, i chętnie to uczynię. Lecz cóż ty przez ten czas robisz zamierzasz?

— Ja wdrapię się na to dalsze tulipanowe drzewo. Tym sposobem weźmiemy go we dwa ognie. Jak tylko Dik wypali, Cezar huknie także ze swojej

strzelby i trudno, aby obie kule chybiły z tak wielkiej odległości.

Obaj przypelzli ostrożnie do miejsca, gdzie kamień ruchomy ukryty był w zaroślach i wyjęli go bez najmniejszego szelestu. Dik wsunął się w ciasny otwór i po chwili był już w jaskini obok Sultana, który na chwilę szczeukać przestał z wielkiej radości, gdy ujrzał niespodzianie młodego swego pana.

Tymczasem Cezar wylazł ostrożnie na drzewo tulipanowe i usadowił się na niem w taki sposób, że patrzył na wierzchołek skały, sam nie będąc widzianym. Ujrzał teraz najwyraźniej postać zwierzęcia, siedzącego na płaskiej skale. Trzymając strzelbę w pogotowiu, murzyn czekał tylko, aż się odezwie z głębi podziemia strzał towarzysza. Oczekiwanie jego nie trwało długo: wśród ciszy nocnej rozległ się głośny huk; niedźwiedź z głuchym rykiem podskoczył na miejscu, a potem, mrużąc groźnie, zaczął pazurami drapać skałę, nie mogąc oczywiście zrozumieć, skąd go tak ta niespodzianka spotkała. Teraz z kolei Cezar wypalił. Kula trafiła, gdyż zwierz ryknął boleśnie, nie padł jednak na miejscu, lecz chwiejącym się krokiem postąpił w stronę, z której ten drugi strzał go dosięgnął. Murzyn tymczasem jak najspieszniej nabijał strzelbę na nowo. Niedźwiedź rozwścieczony posunął się aż nad brzeg skały, lecz stracił równowagę i całym ciężarem runął na ziemię.

Cezar był prawie pewny, że zwierz odszuka go na drzewie i gotował się na przyjęcie gościa, to też zdziwił się nieco, gdy oczekiwanie jego się nie spełniło. Darmo jednak w ciemnościach wzrok wyteżał; nie mógł nawet dojrzeć niedźwiedzia, który, spadłszy

ze skały, nie dawał znaku życia. Przez chwilę murzyn sam nie wiedział, czy zejść z drzewa, czy jeszcze czas jakiś czekać cierpliwie. Nagle odezwało się z podziemia zajadłe szczeukanie Sultana, któremu towarzyszył okrzyk trwogi Dika; usłyszawszy go, Cezar w mgnieniu oka spuścił się z drzewa, i wlaższy na drugie bliższe, skoczył na skałę.

Dik strzelił był do niedźwiedzia przez szparę, znajdującą się u góry w sklepieniu podziemia i był pewny, że trafił. Ale zwierz ani się zachwiał, choć ryknął wściekle, co niepomalu młodego strzelca zdziwiło. Patrzył ciągle przez szparę i dopiero po strzale Cezara spostrzegł, iż niedźwiedź widocznie traci siły, a gdy spadł na ziemię, Dik uważał sprawę za skończoną. Ponieważ jednak murzyn się nie pokazywał i zachowywał milczenie, więc i on cicho się sprawował, usiłując nadaremnie dopatrzeć, co się stało z niedźwiedziem. Na nieszczęście nie przyszło mu na myśl nabici strzelbę, sądził się bowiem zupełnie bezpiecznym w jaskini.

A gdy tak stał przy szczelinie skały i wyglądał w noc ciemną, Sultan nagle zaszczekał gwałtownie. Wnętrze podziemia było oświetlone małą lampką, którą Dik był zapalił zaraz po przyjsciu do jaskini. Odwrócił się niespokojnie do Sultana, który ujadł coraz wścieklej, zwrócony do kamienia, zamykającego podziemne przejście do groty. Jakież było przeżalenie chłopaka, gdy usłyszał wyraźnie za tym kamieniem, bardzo słabo ubezpieczającym wejście do podziemia, groźny ryk niedźwiedzia. Teraz dopiero przypomniał sobie, że obaj z murzynem w pośpiechu zapomnieli włożyć na miejsce kamień, który od strony

zewnątrznęj przejście to zamykał. Zwierz oczywiście weisnął się w wązki otwór i przybywał w odwiedzinę nieproszony i wcale nie pożądaný. Dik krzyknął z przestachu i podbiegłszy do ruchomego kamienia, całym ciężarem swego ciała go przyciskał, gdyż był to jedyny sposób powstrzymania niedźwiedzia. Tymczasem i Cezar przybiegł na ratunek drugim wejściem.

Niedźwiedź dobijał się gwałtownie; drapał kamień pazurami, zębami o niego dzwonił i gdyby nie to, że był już mocno osłabiony z powodu ran otrzymanych, odwaliliby go niezawodnie bez trudności. Ryk jego brzmiał straszliwie w tej ciasnej, zamkniętej przestrzeni, wściekłość sił mu dodawała i dwaj przyjaciele zaledwie zdołali kamień utrzymać wspólnem usiłowaniem. Murzyn miał wprawdzie strzelbę nabitą, bo jeszcze na drzewie o tem pamiętał, lecz nie mógł z niej zrobić użytku; ani na chwilę nie śmiał odejść od kamienia, żeby zwierz nie wpadł do jaskini, a nie było pewności, że trzecia kula go dobije od razu, wobec znanej, prawdziwie zadziwiającej wytrzymałości niedźwiedzia.

Nie więc nie pozostawało obu obłączonym, tylko trzymać mocno kamień i nie wpuszczać napastnika do twierdzy. Pocieszali się nadzieją, że zwierz w końcu musi osłabnąć wskutek wysilenia i utraty krwi, a wówczas jeden będzie mógł kamień utrzymać, drugi zaś, strzelając raz po raz, położy w końcu trupem nieproszonego gościa. Nie omylili się w tem przewidywaniu. Niedźwiedź coraz to słabiej się dobijał, chwilami nawet wypoczywał, widocznie znużony, ryczał, sapął, lecz kamienia nie wstrząsał wcale.

— Bierz moją strzelbę — zawołał podczas ta-

kiego przerwania murzyn do towarzysza — ja już sam kamień utrzymam.

Dik, nie tracąc ani chwili, pochwycił strzelbę, leżącą obok nich na ziemi, poczem niezwłocznie podparł znowu kamień, gdyż niedźwiedź rozpoczął szturm na nowo.

— A teraz, jak tylko się zmęczy i przycichnie, przesuniemy troszeczkę kamień, aby lufa przejść mogła przez szparę i pal! w imię Boże.

Nadeszła wkrótce pożądana przerwa.

— Do dzieła! — krzyknął Cezar i przesunął ostrożnie kamień; ale w tejże samej chwili niedźwiedź z podwójną wściekłością dobijać się począł, jakby resztki sił zbierając. Udało mu się nawet przez otwór łapę wsunąć do środka podziemia, a w tejże samej chwili ponad tą łapą błysnęło oko krwią nabiegłe.

— Śpiesz, Diku, śpiesz na miłość Boską! — wołał Cezar i całą siłą trzymał kamień, ażeby zwierz nie wpadł do jaskini.

Dik przyłożył lufę prawie do oka potwora i pociągnął za cyngiel: łapa i oko znikły nagle. Dwaj chłopcy, powstrzymując oddech, słuchali... Krótkie sapanie, wraz z przygłuszonym jękiem, doszło ich uszu, poczem w podziemiu zapanowała cisza grobowa.

— Diku — nabij zaraz obie strzelby — rzekł murzyn, niedowierzając jeszcze, by nieprzyjaciel ostatecznie był pokonany i nie przestając mocno przytrzymywać kamienia.

— Bądź spokojny, już on się teraz nie ruszy — odpowiedział Dik, spełniając jednak śpiesznie polecenie murzyna.

Dopiero gdy obaj mieli broń w rękę, Cezar pu-

ścił kamień i odskoczył na drugi koniec jaskini, pociągając za sobą towarzysza. Lecz zbytek to już był tylko ostrożności: w podziemnem przejściu panowała głucha cisza. Pomimo to znajomi nasi po niejakiem czasie dopiero odważyli się odjąć kamień i zajrzeć ze światłem do ciemnej kryjówki. Z radością przekonali się, że niedźwiedź był tym razem na dobre zabity; ostatnia kulka Dika zadala mu cios stanowczy.

— Dzięki Bogu! I to niebezpieczeństwo przeżyliśmy szczęśliwie — rzekł Dik, oddychając swobodniej.

— Wielka to była nieuwaga z mojej strony — mówił murzyn — żem zapomniał położyć natychmiast kamień u wejścia. Będzie to dla nas nauką na przyszłość, jakie skutki pociągnąć może za sobą najmniejsza nieostrożność. Biegnę też przedewszystkiem to wejście zamknąć, jak należy.

— Poczekajże — odparł Dik — musimy przecież wprzód niedźwiedzia stąd wydobyć.

— Łatwiej nam będzie przenieść go przez jaskinię i na wierzch skały wyciągnąć. Zabierzemy się do tego jutro rano.

I nie tracąc czasu, murzyn poszedł opatrzyć starannie wszystkie wejścia i pozasuwać kamienie, a uspokoiwszy się zupełnie o bezpieczeństwo twierdzy, powrócił do towarzysza i obaj po trudach dnia tego smacznie usnęli. Niedźwiedź pozostał na noc w podziemnem przejściu. Nazajutrz od samego rana znajomi nasi zajęli się wydostaniem go stamtąd, co niełatwą było sprawą, gdyż zwierz był duży i ciężki; miał dwa metry długości, dziewięćdziesiąt centymetrów wysokości. Piękne, czarne, puszyste futro bari-

bala wysoko jest w handlu cenione. Po dwugodzinnych zaledwie usiłowaniach udało się chłopcom za pomocą sznurów, drągów i tym podobnych przyrządów dźwignąć tę okazalą zdobycz i przenieść ją na dach swojego mieszkania, to jest na płaski wierzchołek skały. Tu zdjęli mu najpierw skórę, potem zaś, wycięli najlepsze kawały mięsa, zwłaszcza łapy, które uchodzą za wyszukany przysmak. Tak więc całkiem niespodziewanie śpiżarnia ich na czas długi zaopatrzoną została w zapasy żywności. Kości i resztę szczątków zwierzęcia zrzucili ze skały, i odciągnąwszy je dalej nieco, zakopali w ziemię, ażeby woń padliny nie naprowadziła im innych jeszcze nieproszonych gości.

— Część mięsa ususzymy na słońcu — rzekł Cezar, powracając z towarzyszem do fortecy po ukończeniu tej roboty — a najlepsze kawałki uwędzimy.

— Jakże ty będziesz wędził? — zapytał Dik.

— Zaraz zobaczysz — odrzekł murzyn. Nazbięrał suchego drzewa, i rozłożywszy je w zagłębieniu skały zapalił. Gdy wszystko spłonęło i pozostały tylko węgle silnie rozżarzone, murzyn urządził ponad ogniskiem rodzaj rusztu z prętów i zielonych gałęzi, i rozłożył na tem mięso, pokrajane w wąskie i cienkie pasy, a to pod wpływem silnego gorąca nader szybko wysychało i ciemniejszą przybierało barwę.

— Mięso wędzone tym sposobem doskonale się przechowuje przez całe miesiące — mówił Cezar. — Indyjanie i myśliwcy często je tak przyrządzają, zwłaszcza jeżeli nie mają czasu suszyć go na słońcu.

— Wyborny sposób w rzeczy samej — potwierdził Dik.

XX.

W lesie i na stepie.

Kilka tygodni upłynęło od wypadków, opisanych powyżej. Młodzi myśliwcy odbyli przez ten czas niejedną bliższą i dalszą wycieczkę, nigdy jednak nie oddalali się zbyt daleko od twierdzy: najdłuższe ich wędrówki nie przeciągały się dłużej nad dwa dni. Nie obeszło się też bez przygód rozmaitych, a Dik coraz więcej nowych i zajmujących wiadomości nabывая od przyjaciela swego Cezara, coraz więcej uczył się podziwiać wszechstronną jego wiedzę. Bo też w rzeczy samej murzyn niewyczerpany był w opowiadaniach o różnych zwierzętach, zamieszkujących niezmierzone lasy i stepy amerykańskie. Z czworonogów, które młodzi myśliwcy napotkali i upolowali, wymienimy rysia kanadyjskiego, *lynx canadensis*, zwanego przez krajowców «piszu». Ojczyzną jego jest cała Ameryka północna; mniejszy nieco i słabszy od europejskiego imiennika, nie różni się od niego obyczajami i rodzajem życia. Znajomi nasi mieli także sposobność zapoznać się z rysiem kasztanowatym, *lynx rufus*, — zwierzę to, nie większe od psa jamnika, odznacza się pięknem, czerwonym futrem w ciemniejsze smugi i plamki, niezmiernie cenionem w handlu. Z tego też powodu rokrocznie tysiące tych zwierząt padają pod strzałami myśliwców, którzy zawzięcie na nie polują.

Oglądali także i węże rozmaite. Raz nad brzegiem większej rzeki ujrzeli ogromną żmiję czarną,

dwóch metrów długości dochodzącą, ukrytą wśród trzciny i sitowia, które są ulubionem jej siedliskiem. Wierzch jej ciała jest granatowo-czarny, spód szary, prawie biały na podgardlu. Żmija ta nadzwyczaj zwinnie czołga się po ziemi, wchodzi z łatwością na skały i drzewa, a nawet przepływa szerokie rzeki. Tępi zawzięcie młode grzechotniki i z tego względu zaliczona jest do stworzeń pożytecznych.

Innym razem spostrzegli w trawie węża z rodzaju biczowatych, pospolitego w Ameryce. Wszystkie węże biczowate są niezmiernie wysmukłe, główkę mają podługną, jajowatą, cienką szyję; ogon ich długi, cieniutki, jak nitka, koniuszeczek ma zaokrąglony, twardy, jak róg.

Ale z największym zajęciem przypatrywał się Dik szczególnym zwierzętom, które w owych czasach bardzo były pospolite w północno-zachodniej Ameryce. Podczas jednej z dalszych myśliwskich wycieczek, dwaj towarzysze przechodzili nad brzegiem rzeki Arkansasu; w pewnym miejscu cała jej szerokość prawie pokryta była drzewem, które prąd wody zwołał unosząc, a niekiedy osadzał na mieliźnie przy brzegu.

— To szczególne — rzekł Dik, spoglądając na te pływające wyspy — patrz, jak te pnienie ułożyły się jedno na drugich. Na spodzie leżą najdłuższe, na tych krótsze, a na wierzchu jeszcze krótsze. Ale cóż to znów znaczy? te najkrótsze zaczynają się poruszać!

— Bo to, co Dik bierze za kloce drewniane — odrzekł murzyn śmiejąc się — to są żyjące stworzenia.

— Ach! aligatory, nie innego, tylko aligatory! — zawołał Dik.

— No tak — potwierdził murzyn — aligatory, kajmany, czy też krokodyle, bo rozmaicie je nazywają, usadowiły się na tych pniach pływających, jakby na tratwach, a na grzbietach matek siedzą młode i wygrzewają się na słońcu.

— Ależ jest ich tu gromadka nielada — mówił Dik — żeby tak zliczyć, byłoby ich ze sto niezawodnie.

— Najmniej. Często można i liczniejsze gromady napotkać. Wcale też nie są bojaźliwe; łódką możnaby podpłynąć do nich bardzo blisko.

W tej chwili odezwał się głos jednego z aligatorów, podobny trochę do ryku byka. Wszystkie inne mu zawtórowały i powstał koncert, nie należący wcale do najprzyjemniejszych, niezadługo jednak przeraźliwe głosy umilkły.

— Mógłbym tu kilku tych ichmościów przywabić do brzegu — rzekł murzyn.

— A czyż to nie byłaby niebezpieczna zabawa? — zapytał tamten.

— O nie, aligator obawia się ludzi. Na lądzie zwłaszcza tchórzostwo jego dochodzi do najwyższego stopnia, a i w wodzie łatwo mu dać radę. Sam nieraz widziałem, jak pastuchy przepędzali bydło przez rzekę, w której pełno kajmanów pływało. Brali oni do ręki duże kije drewniane i odpędzali nimi obrzydliwe płazy od bydła, tłukąc je z całej siły po łbach, aż się rozlegało, — a chociaż mocne to łby i niewiele im te kije szkodziły, usuwały się jednak bydłu z drogi. Ale zwierzęta, nad którymi człowiek nie czuwa, la-

two padają ofiarą żarłocstwa aligatora. Rzuca się śmiało na owce, kozy, psy, krowy, konie nawet, gdy piją wodę z rzeki i pociągnawszy je za sobą, zanurza pod wodę i topi, a potem pożera. Nieraz widziano, jak pokonywał tym sposobem drapieżne zwierzęta. Trudno się więc dziwić, że potwór ten wszędzie jest zawzięcie tępiony. A nielatwa to sprawa, bo obrzydłe płazy są nadzwyczaj wytrzymałe. Kto chce do nich strzelać, musi mierzyć prosto w czaszkę lub serce, bo inaczej kula żadnej szkody im nie wyrządzi. Dlatego też zazwyczaj łowią je w sidła i siekierą dobijają. Ale muszę sobie uciechę wyprawić i przywabić na łąd kilka tych jaszczureczek. One to dosyć lubią, czasem dla przyjemności wędrują po ziemi od jednej rzeki do drugiej.

Dwaj przyjaciele ukryli się za krzakami, tak jednak, że całe wybrzeże widzieć mogli. Tu Cezar zaczął naśladować po mistrzowsku beczenie kozy. Odgłos ten wywołał pośród aligatorów wielkie poruszenie. Jedne po drugich spuszczały się z pni drzewnych w wodę i płynęły do wybrzeża skąd ponętny głos kozy się odzywał. Nie wszystkie jednak miały ochotę wylądować, dwa tylko odważniejsze z wody wylazły, reszta krążyła w pobliżu i nasłuchiwała. Dwa przedsiębiorcze aligatory, a były to największe z całej gromady, wygramoliły się nie bez trudu na brzeg, ciągnąc za sobą długie ogony, szlamem oblepione i czółgały się po trawie tak powoli, że ruch ich zaledwie dostrzedz było można. Murzyn wraz z towarzyszem odszedł dalej, ciągle naśladowując beczenie kozy, ażeby płazy w pole wyprowadzić i o ile

możności odciągnąć od właściwego im żywiołu, wiedział bowiem, iż na lądzie są bezsilne.

— Teraz mi już nie ujdą — zawołał nagle Cezar, wychodząc ze swej kryjówki i śmiało zmierzając naprzeciw dwóch żarłoków.

— Bądźże ostrożny, bądź ostrożny — mówił Dik, postępując jednak bez trwogi za towarzyszem.

— Niema żadnego niebezpieczeństwa — uspakajał murzyn — już sam nasz widok napędził im niemalo strachu. Teraz tylko pilnujmy się, żeby nas który nie dosięgnął tym obrzydliwym, zabłoconym ogonem, bo w nim aligatory mają siłę największą; jednym uderzeniem mogą człowiekowi nogę lub ramię zgruchotać. Zresztą nie potrafią się nawet bronić; będziemy je siekierami bili po głowach i głupie stworzenia nic na to nie poradzą. O! jak się upokarzają.

W rzeczy samej kajmany na widok myśliwców splaszczyły się na ziemi i przytuliły do niej pyski. Pozostały tak całkowicie nieruchome, oczyma tylko niespokojnie mierzając nieprzyjaciół. Gdy Cezar i Dik stanęli prawie tuż przy nich, płazy podniosły się na nogi, ale nie próbowały uciekać, tylko poczęły się nadymać, dmuchając przytem jak miechy kowalskie.

— O, głupcy! myślicie, że się przestraszymy waszego dmuchania — mówił Cezar — poczekajcie, lotry, najpierw musimy was obejrzeć, jak należy.

Zaczęli tedy obaj z Dikiem oglądać uważnie olbrzymie jaszczurki. Długość ich dochodziła czterech metrów, barwa na grzbiecie była zielonkawoliwkowa, na brzuchu żółtawa. Aligator, krokodyl amerykański, różni się od wszystkich braci swoich kształtem głowy, którą ma podobną do głowy szczu-

paka. Z obyczajów i sposobu życia zbliżony jest do innych krokodylów. Całe jego ciało okryte jest łuskami, na grzbiecie grubemi nakształ narośli, na wierzchniej części ogona karbowanemi i ząbkowanemi. Palce, w liczbie pięciu u nóg przednich, a czterech u tylnych, przerosłe są błonami. Szczęki potwornego zwierza otwierają się tak szeroko, że paszcza jego rozwarta, najeżona straszliwymi zębami, zajmuje całą długość głowy. Szczególny skład kości pacierzowej krokodyla utrudnia mu niezmiernie ruchy, nie może też szybko się obrócić, gdyż musi całem ciałem krąg zakreślać. Z tego powodu jest prawie całkowicie bezsilny na lądzie. Najmniejsze niebezpieczeństwo nie grozi człowiekowi z jego strony, jeżeli tylko nie zbliży się zbyt do paszczy lub potężnego ogona potworu.

Wiedział o tem Cezar doskonale i dlatego tak śmiało szedł na spotkanie aligatorów, nie obawiając się o bezpieczeństwo Dika i własne. Gdy już potworne stworzenia dokładnie na wszystkie strony obejrżeli, Cezar powiedział do towarzysza:

— Sam nie wiem, co teraz zrobić z tem obrzydliwym bydłem. Gdyby się mogło bronić albo przynajmniej uciekać, odżalowałbym już kulkę dla niego; ale mordować bezbronne stworzenie, jakkolwiek potworne, to nie moja rzecz.

— Masz słusność — potwierdził Dik — niechże sobie głupcy wracają do wody, tam przecież potrafią uciekać przed kulą; może więc nic nie będziesz miał przeciw temu, abym którego poczęstował, a wyznając, że mam ogromną do tego ochotę.

— Tak będzie najlepiej; odejdźmyż teraz, nie

potrzebujemy ich odprowadzać, a nim się dowloka do rzeki, możemy się rozprawić z ich braćmi.

Tak też uczynili; poszli na brzeg rzeki i w parę chwil dwa aligatory pływały martwe po wodzie. Dik tym razem strzelił nie gorzej od murzyna i obie kulki trafiły w najczulsze miejsca potworów. Nie chcąc jednak marnować więcej amunicji, znajomi nasi zadowolnili się zglądzeniem ze świata dwóch aligatorów i wzięwszy strzelby na plecy, puścili się dalej brzegiem rzeki. Po półgodzinnej wędrówce Cezar zatrzymał się i słuch wyteżył.

— To kaczki — rzekł Dik po chwili milczenia — najwyraźniej słyszę ich kwakanie.

— Że to są kaczki, o tem nie wątpię ani na chwilę — odpowiedział Cezar — idzie tylko o to, jakie kaczki. Zakradniemy się do nich i obaczymy, ale trzeba największą ostrożność zachować, bo wszystkie dzikie kaczki są nadzwyczaj lekkie.

Kierując się za głosem ptaków, młodzi myśliwcy doszli niezadługo do miejsca, gdzie rzeka tworzyła głęboką zatokę i ukrywając się za krzakami, z przyjemnością spoglądali na piękny widok, który się stąd przedstawiał ich oczom. Po zatoce pływało całe stado prześlicznych kaczek, świetnie upierzonych; szczególnie je zdobiły długie, zwieszające się czuby na łapkach. A nie tylko ładne piórka, lecz zwinne i zgrabne ruchy tych ptaków zachwyciły naszych znajomych. Zszybkością strzały przepływały od jednego brzegu zatoki do drugiego, kiedyniekiedy zręcznie zanurzały łepki w wodzie i wyciągały żywność, to znów rozgłośnem kwakaniem wiodły wesół rozmowę z towarzyszkami. Niektóre wychodziły na brzeg, osuszały się na słońcu,

lub przechadzały się z ucielnymi ruchami, poczem znów wskakiwały do wody, a inne wychodziły na brzeg, na ich miejsce; jednym słowem była to prawdziwa sielanka, pełna wdzięku i życia.

— To są kaczki czubate, zwane także leśnemi lub karolińskimi — szepnął murzyn — właściwe są całej prawie Ameryce północnej, a zwłaszcza tej okolicy. Mięso ich jest najwyszukańszym przysmakiem.

— To doskonałe — odpowiedział Dik równie cicho i przygotował strzelbę, co też i murzyn uczynił. Potem zakradli się jeszcze cokolwiek bliżej i każdy upatrzył sobie jedną kaczkę pośród stada, biorąc ją na cel z największą uwagą. Ponieważ mogli być pewni, że reszta kaczek na dalsze strzały czekać nie będzie, więc trzeba było dobrze się przyłożyć, aby nie spudłować. Co do Cezara, ten nigdy prawie nie chybiał, ale tym razem i Dikowi się powiodło: dwie pyszne kaczki zostały na placu, reszta z wrzaskiem przeraźliwym uniosła się w powietrze i znikła z oczu myśliwców. Po powrocie do twierdzy upiekli kaczki i Dik przyznał, że nigdy w życiu nie kosztował tak wyborowego pieczystego.

Niejedną jeszcze podobną wycieczkę odbyli dwaj towarzysze i tym sposobem upłynęło trzy tygodnie od rozstania ich z Sercem prawem. Wnet jednak krótkie te przechadzki w pobliżu twierdzy przestały zadawałniać przedsięwzięciom chłopaków. Przedłużali je więc coraz więcej; nieraz po trzech i czterech dniach dopiero do domu powracali, ale i to im nie starczyło. W końcu nieustraszony i spragniony niezwykłych przygód murzyn namówił towarzysza, aby się wraz z nim wybrał na dalszą wyprawę.

W każdym razie postanowili nie przedłużać tej wędrówki nad dwa tygodnie.

Parę tygodni poświęcić wprzód było potrzeba na przygotowania. Zwłaszcza obuwiu obu wędrowców potrzebowało gruntownej reperacji. Na szczęście znaleźli w jaskini wszelkie potrzebne do tego przybory i dzięki zręczności murzyna, wkrótce to zniszczone obuwiu doprowadzone zostało do porządku.

Pewnego rana, w najpiękniejszą pogodę, dwaj młodzi przyjaciele, zaopatrzeni w amunicję na czas dłuższy, w zapasy żywności, pomiędzy którymi główne miejsce zajmowała spora ilość soli, puścili się w drogę w kierunku północnym, zabierając z sobą tym razem i Sultana. Rozumie się, że twierdzę najstaranniej ze wszystkich stron pozamykali i pochowali przedmioty, mogące zdradzić obecność ludzi w tem miejscu.

Gdy przybyli do okolicy oddalonej, gdzie jeszcze przedtem nigdy nie byli, Cezar wyjął z za pasa ostrą siekierkę, zbliżył się do pięknego białego dębu i wyciął w korze jego duży znak okrągły. Rosło tam dużo drzew podobnych i znak ten widoczny był z daleka.

— Co ty robisz? — zapytał Dik.

— Trzebaż pomyśleć o drogokazach.

— Jakto o drogokazach?

— Wybieramy się w daleką podróż; gdy zapełnimy się w głąb puszczy, jakże potem trafimy z powrotem do twierdzy? Muszę więc tak wszędzie w pewnych odstępach poznać drzewa, żebyśmy z łatwością drogę odszukać mogli nawet po upływie kilku tygodni.

— Ty o wszystkim pamiętasz, doprawdy po-

dziwiam twoją przezorność i roztropność — rzekł Dik, który zawsze unosił się nad dowcipnymi pomysłami przyjaciela.

Młodzi wędrowcy codziennie prawie dokonywali nowych odkryć w państwie zwierzęcem lub roślinnem. Najrozmaitsze krajobrazy roztaczały się przed ich oczyma; mijali wzgórza i doliny, rzeki i jeziora, gęszcze leśne i rozległe stepy, trawą porosłe. Murzyn, posiadający rozliczne wiadomości, umiał zawsze towarzyszowi wyjaśnić wszystko, co dla tego ostatniego było obce i nieznane. W pewnej okolicy, gdzie roślinność miała pozór posępny i dziki, natrafili niespodzianie na drzewa i ziola jadalne. Co do drzewa, był to gatunek sosny, której szyszki zawierają ziarna mączaste, dość smaczne, zwłaszcza gdy są przyrumienione na ogniu. Oprócz rzepy indyjskiej, znaleźli tu jeszcze dwa gatunki roślin o pożywnych korzonkach: najpierw agawę, a potem sago zielne z rodziny liliowatych, o drobnych cebulkach, wielkości orzechów laskowych, które się gotują i pieką, jak ziemniaki. Mieli więc zawsze młodzi myśliwcy przypawę do zwierzyny, a tej im nigdy nie brakło.

Napotkali także podczas owej dłuższej wędrówki rozmaite piękne ptaki, którym Dik z największym zajęciem się przypatrywał. Raz naprzykład, wczesnym rankiem, w rozkosznej gęstwinie leśnej, wśród gałęzi drzew, okrytych bujnem liściem i oplątanych lianami, spostrzegł gromadkę ptaków świetnie upierzonych i ślicznie śpiewających. Zachwycony tym widokiem, pobiegł do Cezara i dowiedział się od niego, że to są grubodzioby czubate, zwane także kardynałami (*cardinalis virginianus*). Okazały ten ptaszek, do-

chodzący dwudziestu centymetrów długości, cały jest ciemno-karmazynowy z jaśniejszym nieco czubkiem, a przód łebka dookoła oczu i dzióbka ma czarny, zarówno jak podgardle. Kardynał żyje w całej Ameryce północnej, nie tylko w odludnych puszczech, ale i w bliskości miast.

Piękniejsze jeszcze są ptaki z rodzaju *tanagrów*, zbliżone do naszej zięby, lecz daleko ozdobniej upierzone, lśniące najjaskrawszymi barwami czerwonych, zielonych, błękitnych odcieni z czarnem i białem. Najwspanialszy, karmazynowy, *tanagra aestiva*, jest razem i najrzadszy. Na mokradłach upolowali myśliwcy nasi ptaszka wielkości szpaka, który przebywa w najdzikszych, najbardziej odludnych okolicach. Zowią go ptakiem żubrów, gdyż zwykle siada na grzbiecie tych zwierząt i wyjada z ich skóry pasorzyty, nazwa zaś jego naukowa jest *molotrus pecoris*. Zasługuje on na uwagę jeszcze z tego względu, że samica jego ma zwyczaj składać jaja w cudzych gniazdach, jak kukulka.

Najwięcej jednak zajmowały młodych wędrowców dzięcioły, które w Ameryce do olbrzymich dochodzą rozmiarów. Spotykali ich niemało po lasach; między innymi widzieli wspaniałego dzięcioła cesarskiego *campephilus imperialis* i białodzioba, *c. principalis*. Pierwszy dochodzi sześćdziesięciu centymetrów długości, piórka ma ciemne, czarne prawie, z białym naszyjnikiem i czerwonym czubem. Drugi, mało co mniejszy, podobny z powierzchowności do tamtego, odznacza się dziobem białym, jak kość słoniowa. Dzięcioły amerykańskie kuja tak zawzięcie, jak i nasze, a odgłos stąd powstający rozlega się daleko po lasach.

Z ptaków drapieżnych, właściwych Ameryce, znajomi nasi mieli sposobność oglądać z bliska wielkiego myszolowa pstrokatego i czarnego sepa. Oba te ptaki trzymają się okolic cieplejszych Ameryki północnej, i dość są podobne do siebie z postaci. Myszolów, większy i silniejszy, przypomina nieco upierzeniem indyki; łowi, oprócz ptactwa, małe jagnięta i prosięta.

Młodzi wędrowcy przebyli tym sposobem znaczny kawał drogi, a nawet strumienie i szersze rzeki nie zatrzymywały ich w pochodzie, obaj pływali bowiem doskonale. Niejedna też spotkała ich przygoda, chociaż wszystkich opisywać tu niepodobna. Zatrzymali się nareszcie na skraju niezmierzonego stepu. Serce prawe przestrzegał ich odchodząc, że stepy większe jeszcze przedstawiają niebezpieczeństwa dla wędrowców, niż puszcza leśna; konno przebywać je łatwiej, lecz niemniej potrzeba odwagi, aby pieszo puszczać się na te bezbrzeżne łąki, gdzie na każdym kroku napotkać można zasadzkę niespodziewaną.

Cezar i Dik długo naradzali się nad tem, czy zawrócić stąd i taż samą drogą dążyć, do twierdzy, czy też puścić się na dalszą wędrówkę i korzystając ze sposobności, zapoznać się jeszcze ze stepem. Dla murzyna wprawdzie i step już nie był nowością, znał dobrze wszystkie niebezpieczeństwa jego, równie jak i sposoby uchronienia się od nich. Jakkolwiek jednak wielką miał ochotę na taką wycieczkę, nie namawiał na nią jednak Dika. Ale tamten marzył tylko o tem, aby zobaczyć na własne oczy stada żubrów i dzikich koni, hasające po stepie i tak gorąco pragnął urzeczywistnić to marzenie, że w końcu, ku nie-

małej radości Cezara, stało na tem, aby się puścić dalej stepem. Dla uspokojenia sumienia, obaj przyrzekli sobie uroczyscie nie zaniedbać żadnych środków ostrożności i nie narażać się na niebezpieczeństwa, których uniknąć nie mogli. Spędzili więc noc ostatnią pod drzewami, na skraju stepu, a nazajutrz o świcie wyruszyli w drogę; najpiękniejsza pogoda im sprzyjała.

Step wyglądał zrazu jak park wspaniały, z kolei ukazywały się kępy drzew i łąki cudnie ukwiecone. Po większej części kwitły tam wśród bujnej trawy złociste słoneczniki, purpurowe malwy, żółte i białe łubiny, różowy proświronik, mak kalifornijski i fiołki najrozmaitszych gatunków. Ogromne motyle o skrzydłach jaskrawych, roje pszczół i innych owadów unosiły się ponad tym różnobarwnym kobiercem kwiatowym. Tu młodzi wędrowcy po raz pierwszy ujrzeli kolibry, maleńkie ptaszyny, nie przechodzące ośmiu centymetrów długości, o piórkach tak świetnie zabarwionych, że blaskiem przypominają kosztowne klejnoty. Gatunek najpospolitszy w tej okolicy, który też najczęściej spotykali, odznacza się szmaragdowym grzbiecikiem, szyjką i piersią purpurową w czarne plamki, i skrzydełkami ciemniejszej czerwonej barwy. Ptaszek w tej jaskrawej sukience wygląda jak duży motyl i podobnie do motyli żywi się sokiem kwiatów. Nazwa jego naukowa jest *Trochylus colubris*.

Cezar i Dik z wielką przyjemnością przypatrywali się tym pięknym stworzeniom. Ptaszyny z szybkością strzały unosiły się wysoko w powietrze i spadały znów z tą samą chyżością w kierunku prostopadłym, wydając przytem skrzydełkami szelest,

do brzęczenia owadów podobny; to znów krążyły niżej, zaglądając w kielichy kwiatowe, a kiedy-niekiedy ukrywały się w nich całkowicie, zwłaszcza w dużych kwiatach surmii czyli bignonii, które zdawały się nad inne przekładać. Często fruwały tak blisko obu chłopaków, że Dik mimowoli wyciągał rękę, próbując je pochwycić.

— Oho! to darmo — mówił murzyn, śmiejąc się — nie złapie ich Dik, zanadto chyżo latają. Śliczne te maleństwa należą jeczczu do największych pośród swojego rodzaju. Kolibry przebywają głównie w Ameryce południowej, gdzie można napotkać ptaszyny z rodzaju tak zwanych sylfów, które zaledwie pięciu centymetrów długości dochodzą.

Młodzi wędrowcy szli coraz dalej bez zbytniego pośpiechu, nieraz ukrywając się prawie wśród wysokich traw i ziół, które im aż do głowy sięgały. W jednym miejscu ujrzeli przed sobą niespodzianie szeroko wydeptaną ścieżkę.

— Cóż to znaczy? — wykrzyknął Dik zdziwiony — droga wśród pustyni!

— A tak — odpowiedział murzyn — nie ludzie jednak ją urządzili, tylko żubry. Całe stada zazwyczaj wydeptują taką ścieżkę, przechodząc nią raz po raz; tym sposobem ziemia się ubija, trawa w tem miejscu rosnąć przestaje i wygląda to jak prawdziwy bity gościniec. Łatwo też poznać i po innych śladach, że stada żubrów przebywają niedaleko: spojrzysz, ile tu wszędzie gnoju tych zwierząt. Gnoj ten, wysuszony na słońcu, używany jest przez myśliwców i wędrowców jako paliwo; na stepach, gdzie często rozległe obszary całkowicie z drzew i krza-

ków są ogolococone, bywa to nieraz jedyny sposób rozpalenia ogniska.

— Znakomity pomysł! — zawołał Dik uradowany — a ja łamałem sobie nad tem głowę, jak my tu mięso upieczemy, gdy zapuścimy się dalej w step. Wiesz, Cezarze, ja myślę, że i żubry muszą być gdzieś niedaleko, skoro tu urządziły sobie drogę?

— Stanowczo twierdzić tego nie można: gnój nie jest świeży, ani dzisiejszy, ani wczorajszy, już więc kilka dni co najmniej upłynęło od czasu, gdy żubry tędy przechodziły. Niech Dik czeka cierpliwie, jeszcze my się z nimi spotkamy i może niekoniecznie radzi temu będziemy.

Nad wieczorem młodzi myśliwcy upolowali kilka kurek stepowych, których mięso dostarczyło im wyborowego pieczystego na wieczerzę. Kurka stepowa trzyma się zwykle łąk trawiastych, gdzie już drzewa nie rosną wcale; stąd też nawet w najdzikszych i najmniej żyznych okolicach stepów napotkać ją można. Jest to ptak dość duży, dochodzący czterdziestu kilku centymetrów długości.

Pierwszy dzień wędrówki po stepie upłynął bez żadnych niezwykłych przygód. Kępy drzew, które przez czas jakiś urozmaicały krajobraz, ukazywały się coraz rzadziej, coraz szerzej natomiast rozciągały się rozległe łąki, jednostajnie pokryte trawą i różnobarwnem kwieciami; gdzieniegdzie tylko równinę przerywały nieduże wzgórza lub skały, stojące długim szeregiem. U stóp jednej z takich skał, pod osłoną kilku drzewek orzechowych z gatunku zwanego *hickory*, w klasyfikacji naukowej *carya porcina*, rozłożyli się wędrowcy nasi na nocleg. Na nieszczęście przez całą

noc dokuczał im niemiły wrzask żab drzewnych, które na gałęziach ponad ich głowami obrały sobie siedlisko. W pobliżu skały tryskało źródło i stamtąd także oprócz szmeru wody, dochodziły niezbyt przyjemne dźwięki ogromnych świerszczy stepowych; pomimo to jednak znużeni wędrowcy usnęli w końcu snem kamiennym; pocciwy Sultan czuwał przy nich wiernie.

XXI.

Bez drogi.

Dnia następnego dwaj przyjaciele o świcie wyruszyli w dalszą drogę. Drzewa i krzaki zupełnie były już znikły im z oczu, gdy około południa ujrzeli przed sobą niezmierną, płaską równinę, na której jednak rozsypane były małe pagórki, w regularnych odstępach od siebie leżące.

— Jakże to dziwnie wygląda! — zawołał Dik — Patrz, Cezarze, możnaby sądzić, że te wzgórki sztucznie są usypane.

— Bo też tak jest rzeczywiście — odpowiedział Cezar — widzimy tu wioskę piesków łąkowych. Małe te zwierzątka, do rodziny wiewiórkowatych należące, mają głos podobny nieco do szczekania psa, skąd nazwa ich pochodzi. Czy Dik nigdy ich jeszcze nie widział?

— Nigdy w życiu. Na myśl mi nawet nie przyszło, żeby zwierzęta mogły wioski zakładać. Bardzo rad jestem, że tę osobliwość na własne oczy zobaczę.

— Zwłaszcza, że jak mi się zdaje, jest to wioska nielada. Bywają niekiedy osady tak rozległe, że ledwie w dni kilka można je przejść od końca do końca.

— Co też ty mówisz? żartujesz chyba!

— Wcale nie, sam takie wioski widziałem.

— I tam pod każdym pagórkiem zwierzątka mieszkają?

— Tak jest, to są ich domki. Nora podziemna ma zawsze dwa wejścia. Idźmy teraz cichutko, ostrożnie, a może nam się uda spostrzedz które z tych żwawych zwierzątek. Chętniebym nawet kilka z nich złowił, bo wcale są dobre na piecyste, ale nielatwa to sprawa, gdyż najłżejszy szelest je płoszy, a sil mają tyle i przytomności, że nawet śmiertelnie ranione prawie zawsze umykają do nory. Popróbujemy jednak. Najlepiej będzie położyć się na ziemi i podpelnąć cichuteńko na czworakach do najbliższych pagórków. Ponieważ wioska jest nieustannie strzeżona przez kilku wartowników, czuwających nad bezpieczeństwem ogólnem, gdybyśmy się tylko pokazali, zarazby przestrzegli całą osadę głośnem szczeniem i wszystko co żyje pochowałoby się po norach. Trzeba także i Sultana dopilnować, — każ mu leżeć.

Roztropne psisko na rozkaz Dika położyło się na trawie i czekało cierpliwie powrotu panów. Myśliwcy zaś zaczęli się czołgać cichuteńko i niepostrzeżenie przybliżyli się do pagórków. Przebiegłe zwierzątka dały się tym razem wyprowadzić w pole i nasi znajomi mogli jak najdokładniej im się przypatrzeć. W całej osadzie, jak okiem sięgnąć, panował

w tej chwili ogromny ruch i ożywienie. Zwierzątka uwijały się tu i owdzie, podskakując zgrabnie, to znów przysiadaly na tylnych nóżkach; bawiły się uciesznie, goniąc się, tocząc pozorne bójki pomiędzy sobą, tarzając się po ziemi i przewracając z najzabawniejszymi w świecie ruchami. To znów poważniejszą przybrawszy postawę, obgryzały młodą trawkę, myły się łapkami, jak koty, lub kręciły ogonkami, podnosząc je w górę.

— O, jakież to zabawne, jakie zabawne! — zawołał Dik, zachwycony tym widokiem. Słowa te niebacznie wymówił głośniej i wnet odezwały się głosy wartowników, przestrzegające o niebezpieczeństwie; ze wszystkich stron odpowiedziały im inne podobne i w kilka chwil cała ożywiona gromadka pochowała się po norach. Dik o mało znów głośno z żalu nie wykrzyknął; powstrzymał go od tego murzyn, kładąc palec na ustach i obaj czas jakiś leżeli na trawie nieruchomo, najgłębsze zachowując milczenie. Wkrótce nastąpił skutek pożądany: zwierzątka znów jedno po drugim wysuwać się zaczęły z podziemnych kryjówek. Znajomi nasi szczerze podziwiali ich ostrożność; chociaż już cisza panowała dokoła, one jednak ciągle oglądały się bacznie na wszystkie strony i nie odchodziły od swoich nor, aby w razie nowego niebezpieczeństwa natychmiast się do nich schronić. Nie przeczuwały jednak wcale, że teraz właśnie zbliżało się najgroźniejsze niebezpieczeństwo: Cezar wysunął strzelbę cichuteńko i gotował się do strzału. Tymczasem pieski łakowe znowu powychodziły z kryjówek, uwijały się i igrały w najlepsze na trawie.

— Pst! — odezwał się teraz murzyn głosem przy-

ciszonym. Nowy popłoch powstał wśród zwierzątek; zaczęły śpiesznie ukrywać się po norach, tylko młodsze i mniej doświadczone pozostały na placu, i podnosząc się tylko na tylnych nóżkach, zaglądały ciekawie w stronę, skąd podejrzany odgłos się odezwał. Cezar na to właśnie czekał. Rozległ się huk wystrzału i jedno z najbliższych zwierzątek padło z lepkiem rostrzaskanym. Próbowало jeszcze dowlec się do nory, lecz siły je opuściły i u samego wejścia pozostało nieruchome. Dwaj przyjaciele zerwali się i pobiegli po zdobycz. Długość małego zwierzątka wynosiła trzydzieści centymetrów; głowę miało stosunkowo bardzo dużą, uszy szerokie, zaokrąglone. Sierć na wierzchu ciała była barwy jasno-kasztanowatej w szare i czarne pręgi, pod brzuchem brudno-biała. Nazwa naukowa pieska łąkowego jest *Cynomys Ludovicianus*.

— Czy te ucieszne stworzenia nigdy nie oddalają się od swych mieszkań? — spytał Dik.

— Nigdy — odpowiedział murzyn — trawa, rosnąca na pagórkach i dokoła na łące, zupełnie im wystarcza; są bardzo niewymagające.

— Ale nie widzę tu nigdzie wody w pobliżu — mówił Dik — ciekawym, gdzie one idą pić?

— Według wszelkiego prawdopodobieństwa pieski łąkowe mogą się obejść bez wody; poprzestają one na wilgoci, którą trawa w sobie zawiera.

— Ale czemuż biedne stworzenia żywią się w ziemi, gdy trawy niema?

— W zimie nie potrzebują ani trawy, ani wody, bo zapadają w głęboki sen na kilka miesięcy, tak jak pokrewne im świstaki górskie. Gdy zimne wiatry zapowiadają mrozy zimowe, ukrywają się w swoich no-

rach, zatykają szczelnie wszystkie otwory, aby chłód do nich nie doszedł i śpią aż do wiosny. Ciepleszy powiew budzi je znów do życia.

Tak rozmawiając, murzyn zdjął skórę z zabitego zwierzątka, rozpalil ogień z wysuszonego gnoju żubrzego i wkrótce dwaj młodzi wędrowcy posilali się smacznem pieczysem. Bardzo byli radzi, że osada piesków łąkowych ciągnęła się w bok, bo nie mieli ochoty wędrować dni całe pomiędzy pagórkami, utrudniającymi pochód. Droga ta wprawdzie i tak nie była zbyt wygodna, z powodu, że ciągle przeciskać się musieli przez wysokie trawy; przytem drzew na całej przestrzeni, którą mogli objąć okiem, nie widzieli wcale, — gdzieniegdzie tylko sterczały koleczaste kaktusy lub zarośla drzewiastych szalwii. Napotkali tu inny gatunek kur stepowych, nie mogli jednak ani jednej zastrzelić, gdyż ptaki te, dochodzące wielkości cietrzewia, nadzwyczaj są lekkie.

Niemalą to był kłopot dla naszych wędrowców, że tu na stepie, całkowicie drzew pozbawionym, nie mogli stawiać drogowskazów, jak mówił Cezar, i zapewnić sobie sposobu odszukania powrotnej drogi, a na tych obszarach niezmiernych, jednostajnie pokrytych trawą, najdoświadczeńszy wędrowiec łatwo zabłądzić może. Ta myśl tak ich zaniepokoiła, że powtórnie naradzać się zaczęli, czy wędrować dalej, czy niezwłocznie powracać. I chociaż gorące pragnienia Dika dotychczas się nie spełniły, nie napotkali bowiem ani stada żubrów, ani dzikich koni, po głębszym namyśle stanęło na tem, aby powracać. Cezar miał nadzieję, że teraz jeszcze trafi z łatwością do swoich drogowskazów.

Niestety! nadzieja ta zawiodła go tym razem. Po całodzienniej wędrówce chłopcy nasi ujrzeli się w okolicy całkiem nieznanej, niepodobnej do tych wszystkich, które przebywali dotąd. Przed nimi ciągnęły się wzgórza wyniosłe, poprzerzynane głębokimi wąwozami; tak jak i wszędzie i tu jednak brakło zupełnie drzew i krzewów, przed oczyma rozciągały się przestrzenie porośnięte tylko trawą stepową. Znużeni drogą i upałem wędrownicy nasi dotkliwie uczuwać zaczęli brak wody, a pomimo najstaranniejszych poszukiwań, nigdzie nie mogli odkryć żadnego jej śladu. Już mrok rozpostarł się nad ziemią, gdy spragnieni chłopcy, ku swej wielkiej radości ujrzeli na kamiennej wyżynie kilka krzaków opuncyi z rodzaju jeżomelonów. Cezar znalazł dobrze duże kuliste ich owoce, wypełnione wodnistym sokiem, które często w okolicach pozbawionych wody prawdziwym są dobrodziejstwem dla zabłąkanych wędrówców. Dwaj chłopcy ściąwszy kilka tych owoców, ugasili ich sokiem palące pragnienie, musieli jednak pójść spać bez wieczery, gdyż dnia tego nic nie upolowali, oprócz pieśka łakowego.

Dnia następnego o świcie ruszyli w dalszą drogę, — a smutna to była wędrówka bez celu, bo już nie mogli wątpić, że zabłądzili w pustyni. Około dziesiątej rano, gdy upał się wzmagał i nogi ustawać im poczynaly, z radością spostrzegli w oddaleniu gromadkę drzew. Spodziewali się napotkać tam także i wodę, co też się i spełniło; doszedłszy do owej kępy pięknych orzechów «hickory», ujrzeli małe, lecz czystą i świeżą wodą tryskające źródelko. Zaspokoiwszy

pragnienie, wędrownicy nasi postanowili resztę dnia i noc spędzić w tem pięknem ustroniu.

— Napiliśmy się wybornej wody — rzekł Cezar — teraz idzie o to, aby głód zaspokoić; może w tym gaju i na to znajdzie się rada. Pewny jestem, że niejedno zwierzę stepowe przychodzi pić wodę u tego źródelka. Na nieszczęście, niema tu gdzie schować się, jak należy, a widok nasz wypłoszy i w nocy zwierzyne. A najmniej nam teraz potrzebny Sultan; ten nawet dużo nam zaszkodzić może.

— A czy nie moglibyśmy ukryć się na drzewach pośród gałęzi? — spytał Dik — jak owej nocy, gdyśmy zabili kuguary?

— To prawda — odrzekł murzyn — z wieczora przynajmniej trzeba to zrobić, a może doczekamy się jakiej zdobyczy. Tylko co zrobić z Sultanem?

— On jest tak przyuczony, że można mu kazać godziny całe leżeć na ziemi i ani się ruszy, ani piśnie — mówił Dik — mogę nawet odprowadzić go trochę dalej i każe mu w jakim kącie cicho siedzieć.

Przystał na to Cezar a tymczasem obaj rozciągnęli się wygodnie na trawie i wypoczywali w cieniu. Zaledwie jednak chwilę poleżeli, gdy znów zerwali się na równe nogi. Z wielkiego oddalenia dało się słyszeć poszczekiwanie i wycie licznych zwierząt; stawało się coraz wyraźniejsze, widocznie zwierzęta zbliżały się w tę stronę.

— To wilki stepowe — wyjaśnił Cezar — co im się stać mogło? Te żarłoki wiecznie zgłodniałe muszą gonić jakieś zwierzę, prawdopodobnie zranionego żubra. Bardzo być może, że nam tu zdobycz napędza, bo zmierzają w tę stronę; ukryjmyż się te-

raz na drzewach, ażeby ich nie spłoszyć, lecz przede wszystkim niech Dik zaraz się z psem załatwi.

Dik niezwłocznie spełnił polecenie murzyna; posłuszny Sultan skulił się w zaroślach tak, że go wcale widać nie było, poczem obaj chłopcy wdrapali się na drzewo i starannie ukryli pośród liściastych gałęzi.

— Patrz, patrz, co tam może być za zwierzę? — wołał już po chwili Dik, wyciągając rękę w stronę, z której coraz to głośniejsze ujadanie wilków się odzywało.

— Mów ciszej — odrzekł Cezar — to antylopa widloroga, zwykle zwana kabri; omylić się trudno, bo w Ameryce północnej przebywa ten jeden tylko gatunek antylop. Biedne stworzenie musi być chore albo ranione, ledwo nogami włóczy. Dlatego też jedynie wilki ją z tak bliska gonią, inaczej nie zadawałyby sobie daremnego trudu, bo antylopa nadzwyczaj chyżo biega, i zdrowej nigdy wilki nie dałyby rady. Ale te drapieżniki zwykle czatują na zwierzęta osłabione i pędzą za niemi póty, póki ich nie zameczą do ostatka.

Antylopa zbliżała się coraz więcej. Było to zwierzę wielkości sarny, na grzbiecie miało sierść płowokasztanową, na brzuchu zupełnie białą, rogi sterzące w kształcie widel, stąd pochodzi nazwa amerykańskiej antylopy (*antilopa furcifer*). Myśliwi nie bardzo się za nią ubiegają, gdyż mięso jej nie odznacza się wytwornym smakiem. Zgłodniali nasi wędrowcy nie pogardziliby byli w tej chwili i taką zdobyczą, to też z wielkiem zajęciem śledzili ruchy uciekającej antylopy; zwracała się wyraźnie w stronę

źródłka, a zgraja wilków prawie następowała jej na pięty.

— Już ją mam — szepnął Cezar; wypalił a antylopa padła martwa pod samem prawie drzewem. Wilki zatrzymały się zdziwione, a po chwili uciekać zaczęły, lecz w pewnem oddaleniu przystały znowu; widocznie żał im było zrzekać się upatrzonej zdobyczy; poczęły oglądać się, nasłuchiwać, a pragnąc prawdopodobnie wysledzić, skąd strzał pochodził.

— Cicho, cicho — szeptał murzyn do ucha towarzysza — niechno hultaje się tu zbliża, a dostaną za swoje.

W rzeczy samej wilki, ośmielone ciszą, wkrótce podstały pod drzewo i myśliwcy mogli je obejrzeć dokładnie. Wilk stepowy amerykański zajmuje miejsce pośrednie pomiędzy wilkiem właściwym a lisem, więcej nawet zbliża się do tego ostatniego, cokolwiek jest jednak od niego większy. Puszyste futro zwierzęcia na grzbiecie ma odcień brudno płowy, na brzuchu jaśniejszy. Wilki stepowe włóczą się zwykle licznymi gromadami i razem napadają słabsze zwierzęta; nadzwyczaj są przytem śmiałe i natrętne, i gdy wysledzą podróżników, dni całe biegną w ślad za nimi, chwytając resztki jedzenia.

Znajomi nasi o mało nie pożałowali tego, że przywabili żarłoczną zgraję, bo wilki gwałtownie rzuciwszy się na antylopę, w mgnieniu oka poczęły ją szarpać w kilku miejscach; gdyby nie interwencja naszych znajomych, byłyby się bardzo prędko z nią załatwiły.

— A rabusie! — a lotry! — wołał murzyn i strzelił; Dik poszedł za jego przykładem, i dwa wilki pa-

dły obok antylopy, — reszta z przeraźliwym wyciem uciekła, nie odbiegła jednak daleko, lecz zatrzymała się w pewnem oddaleniu.

Młodzi myśliwcy spuścili się z drzewa, i przywołali psa, który zresztą jednak nie okazywał najmniejszej ochoty zadzierania z wilkami i na krok nie odstępował Dika. Trzeba było jak najprędzej zabezpieczyć mięso antylopy od nowego napadu, gdyż wilki widocznie czekały tylko na sposobność po temu. Nie zdołał ich odstraszyć widok ludzi, ani zabójcze strzały, a na psa najmniejszej nie zdawały się zwracać uwagi. Zdejmując skórę z antylopy, chłopcy nasi ze zdziwieniem spostrzegli, że oprócz kuli murzyna, która przebiła na wylot jej czaszkę, inna takąż sama kula pozostawiła wyraźny ślad pod łopatką zwierzęcia. Odkrycie to wywarło na młodych wędrowcach wielkie wrażenie: należało zeń wnosić, iż w pobliżu znajdują się myśliwi lub Indyanie, bo i ci ostatni już wówczas mieli niekiedy broń palną. Roztrząsając z ożywieniem to zdarzenie i snując przeróżne domysły, nie tracili jednak czasu; wyciąwszy najlepszy kawał mięsa antylopy, który zamierzali zaraz upiec, resztę pokrajali na cienkie pasy do ususzenia. Zaledwie się z tą robotą załatwili, gdy Cezar znów bystrem uchem dosłyszał jakieś oddalone odgłosy i śpiesznie się położył, przykładając ucho do ziemi. Gdy powstał, twarz jego wyrażała wielkie zadowolenie.

— Doczekaliśmy się наконец! — mówił z uśmiechem. — Stado bawolów się zbliża! A jak się w porę wybrały. Niemale to dla nas szczęście, że możemy

schronić się na drzewa, inaczej, kto wie, czy nie rozdeptałoby nas, jak muchy.

— Ale czy ty nie uważasz — odezwał się Dik, pociągając nosem — jak tu okropnie dym czuć? Co to być może?

W pierwszej chwili Cezar nic nie odpowiedział; nagle wesołość znikła z jego twarzy, a natomiast ukazał się na niej wyraz mocnego wzruszenia. Z szybkością strzały poskoczył na drzewo, dając towarzyszowi ręką znak, aby pozostał na dole; poczem w mgnieniu oka prawie spuścił się z takąż samą szybkością, wołając z przerażeniem:

— O Boże! pożar na stepie! Ogromne płomienie unoszą się wszędzie w górę, straszliwe obłoki dymu pędzą prosto w tę stronę. Żubry uciekają, przed pożarem. Diku, rozpalajmy ogień jak najprędzej, od tego pośpiechu życie nasze zależy!

I murzyn rzucił się, jak szalony, do zbierania suchych gałęzi; wyrwał pęki trawy, zapalał to wszystko i rozkładał naokoło kępy drzew, tworząc krąg obszerne, który w parę chwil żywym ogniem zapłonął. Nie rozumiejąc wcale celu tego wszystkiego, Dik pomimo to pomagał mu ze wszystkich sił; ogień szybko się rozszerzył i ogarnął znaczną przestrzeń, posuwając się coraz dalej, a tymczasem w miejscu, gdzie go dwaj wędrowcy rozniecili, wygasł powoli. Tym sposobem dokoła drzew utworzył się teraz krąg, na którym trawa całkowicie była wypalona; od ziemi naglej i оголоconej z roślinności buchało wprawdzie straszliwe gorąco, lecz płomienie znikły; nawet dym już się nie unosił nad tym pasem. Dopiero teraz Dik zrozumiał, o co murzynowi chodzi: pożar nie mógł

objąć tego miejsca, gdzie całkowicie brakło materiału do podsyceńcia ognia, — był to niejako pas ochronny.

— Na drzewo, czempredzej na drzewo! Żubry! — wykrzyknął nagle murzyn i ciągnąc towarzysza za sobą, śpiesznie wdrapał się na jedno z największych drzew. Psa pozostawić musieli własnemu przemysłowi; roztropne zwierzę jak gdyby pojęło położenie, położyło się u stóp potężnego pnia i leżało tam spokojnie.

Tymczasem coraz bliżej dawał się słyszeć tent, do gromu podobny i ziemia poczęła drżeć pod kopytami biegnących szalonym pędem żubrów. Już można było dojrzeć w oddaleniu przednie straże stada. Ogień, rozpalony przez młodych wędrowców, płonął ciągle; wiatr pędził go coraz dalej i żubry ujrzały niespodzianie na swej drodze drugi pożar. Wzięte tym sposobem we dwa ognie, zawahały się przez chwilę; potem stado rozdzieliło się; jedna połowa zwróciła się na prawo, druga na lewo, omijając koło ogniste. Łeb przy łbie, w ścieśnionych szeregach, z podniesionymi w górę ogonami, żubry przeleciały jak huragan po obu stronach kępy drzew. Niejeden padł po drodze i nie podniósł się więcej, bo reszta przebiegła po nim i zdeptała go kopytami. Stado było tak liczne, że z kwadrans tak płynęło, jak rzeka; wreszcie zaczęło się przerzedzać, lecz jeszcze przez czas jakiś przebiegały pojedynczo zapóźnione słabsze zwierzęta. Jedno z takich zbliżyło się na odległość strzału od kryjówki naszych wędrowców.

— Będziemy mieli znowu zapas mięsa — rzekł Cezar i celnym strzałem powalił na miejscu żubra, który i tak już wyglądał bardzo osłabiony.

Zaledwie stado żubrów znikło z oczu młodzieńców, gdy otoczyły ich tak gęste obłoki dymu, że z trudnością oddychać mogli. Dym ten całkowicie przesłonił im widok dookoła; nie widzieli więc ognistego morza, które ich zewsząd otaczało, — czuli tylko w powietrzu żar straszliwy, duszący, który im tamował oddech. Dziwne szmery, sykania, pryskania rozszalałego żywiołu, tak ich po pewnym czasie ogłuszyły, że nie słyszeli nawet szczekania i wycia strwożonego Sultana; obraz, który mieli przed oczyma, posiadał taką niedającą się opisać grozę, iż wędrowcy nasi, jakkolwiek zupełnie bezpieczni w swoim schronieniu, nie mogli pokonać uczucia przerażenia i trwogi. Zamęt ten nie trwał jednak długo; wkrótce po upływie pół godziny wszystko się uciszyło i w powietrzu powiało tchnienie orzeźwiającego wietrzyka.

— Radbym wiedzieć, co się stało z żubrami? — rzekł Dik, gdy obaj przyszli nieco do siebie.

— Pożar musiał ich w końcu dosięgnąć i pewnie wszystkie zginęły, — chyba, żeby się wiatr odwrócił w inną stronę; może też natrafiły na rzekę i wplaw ją przebyły.

— A o wilkach zapomnieliśmy zupełnie — mówił znów Dik — znikły bez śladu.

— Widziałem — odrzekł murzyn — jak umykały pędem przed żubrami; prawdopodobnie musiały paść pod ich kopytami, lub w ogniu się usmażyć. Przyznam się, że mnie wcale los tych rabusiów nie obchodzi.

Młodzi nasi wędrowcy starali się skrócić sobie czas rozmową, gdyż jeszcze nie mieli odwagi wychylić się ze swego schronienia. Już wprawdzie wielkie

plomienie przestały buchać na stepie, lecz iskry przelatywały w powietrzu i opary rozpalone podnosiły się z ziemi. Po upływie godziny jednak mogli już bezpiecznie dostać się do żubra zabitego przez Cezara; był to zwierz olbrzymi i musiał mieć siłę niepospolitą, to też dziwnem się wydało murzynowi, że pozostał w tyle za stadem. Zdejmując z niego skórę, myśliwcy spostrzegli pod łopatką żubra ranę głęboką, wyraźnie pochodzącą od kuli, — nie była to kula Cezara, bo ta trafiła prosto w oko i przebiła czaszkę.

— Toż samo, co z antylopą — rzekł murzyn — mamy nowy dowód obecności ludzi w tej okolicy. Jeżeli to ludzie biali, dałby Bóg, abyśmy się z nimi spotkali, — jeżeli czerwone skóry, niech nas Opatrzność od tego uchowa. Prawdopodobnie jednak muszą to być biali myśliwcy, gdyż Indianie zazwyczaj do polowania używają luków. Sądzę więc, że powinniśmy teraz skierować się w stronę, skąd nadbiegła antylopa i stado żubrów i gdzie wybuchł ten wielki pożar.

Dik podzielił w zupełności zdanie przyjaciela, ponieważ jednak było już po południu, postanowili więc tu jeszcze przenocować i dopiero dnia następnego puścić się w dalszą drogę. Żał im było opuszczać miejsce, gdzie natrafili na tak wyborną wodę, gdyż wiedzieli z doświadczenia, że na stepie nie zawsze o nią łatwo. Tymczasem zajęli się przyrządzeniem mięsa żubra, którego najlepsze części zaraz upiekli na wierzchu, inne zaś uwędzili sposobem opisanym w jednym z poprzednich rozdziałów. Paliwa mieli tu dość pod ręką.

Dnia następnego o świcie, wezwawszy pomocy

Bożej gorącą modlitwą, wędrowcy nasi wyruszyli w drogę, kierując się na wschód, z tej strony bowiem dnia poprzedniego nadciągnęła zgraja wilków, goniących antylopę i stado żubrów. Step przedstawiał smutny widok zniszczenia i opustoszenia: ziemia była całkowicie оголоcona z trawy, czarna, okopconą, znikło z niej wszelkie życie i tylko szelest kroków samotnych wędrowców przerywał głuchą ciszę, panującą nad gwarnym niedawno stepem.

Okazało się wkrótce, że na tej niezmierzonej, jednostajnej przestrzeni, niepodobna było trzymać się jakiegoś wytkniętego kierunku; daremnie bowiem wzrok znużony szukał oparcia, nigdzie, aż do najdalszych krańców widnokregu, nie napotykał przed sobą ani drzewka, ani krzaczka. Cezar musiał wyznać, że cały jego dowcip na nic się tu przydać nie mógł, i że jeśliby im się udało dotrzeć przynajmniej do lasu, graniczącego ze stepem, przypadkowi jedynie zawdzięczać by to mogli. Na domiar nieszczęścia dostali się teraz do okolicy całkowicie pozbawionej wody. Zbliżała się już znowu południowa godzina; pragnienie dokuczało im strasznie, a nigdzie zbawczego źródła dopatrzeć nie mogli. Dik, mniej wytrzymały od towarzysza, tak był osłabiony, że ledwie na nogach się trzymał.

Usiedli więc na wypoczynek u stóp skały. Na bezbrzeżnych równinach stepowych często napotkać można urwiste, prawie prostopadle sterczące skały, podobne do tych, które się wznoszą zazwyczaj na morskich wybrzeżach. Dik zapadł natychmiast w sen niespokojny; podczas tego Cezar obszedł skalę dokoła i upatrzywszy miejsce dogodne, wdrapał się na jej

wierzcholek. Odkrywał się stąd widok rozległy, który jednak bynajmniej nie dodał murzynowi otuchy: gdzie okiem zajrzeć, wszędzie rozciągała się też sama płaska, jednostajna równina, stykająca się z niebem na krańcach widnokregu, — gdzieniegdzie tylko odrzynana się od monotonnej, płaskiej powierzchni stepu stercząca skała, pagórek lub krzak kolczasty. Wszędzie, daleko dokoła, step przedstawiał ów obraz спустoszenia, który wędrowcy od rana mieli przed oczyma, — pożar ogarnął widocznie obszary bardzo rozległe.

Z ciężkiem westchnieniem powrócił Cezar do towarzysza; patrzeć musiał na jego cierpienia, a nie na nie poradzić nie mógł. Po kilkugodzinnym wypoczynku puścili się obaj w dalszą drogę, lecz postępowali bardzo wolno; nogi pod nimi się chwiały i coraz więcej upadali na siłach. Sultan z wywieszonym językiem włókł się za panami, wyjąc żałośnie od czasu do czasu.

— Nie, ja już dalej iść nie mogę — jęknął Dik po trzech czy czterech godzinach uciążliwego pochodu. Już też i słońce zniżało się ku zachodowi.

Tym razem musieli nocować na otwartym polu i pod gołym niebem, gdyż nawet skały nigdzie nie było dokoła. Po dniu upalnym nastąpiła, na szczęście, noc dosyć chłodna: spadła rosa tak obfita, że przemoczyła zupełnie odzienie śpiących wędrowców, co im przyniosło niejaką ulgę; usnęli spokojnie i po krzepieniu zbudzili się o świcie. Lecz gdy tylko słońce wzniosło się wyżej na niebie, upał znowu dokuczał im zaczął; stopniowo pragnienie tak im się dało we znaki, że chociaż mieli zapas mięsa, nie byli w stanie go przelknąć. Nawet Sultan odwrócił leb ze wstrę-

tem, gdy mu podano tak pożądaną zazwyczaj przysmak. Biedne psisko wyło prawie bezustannie i żałośnie spoglądało na panów, jakby błagając ich o ratunek.

Nieszczęśliwi wędrowcy wyruszyli w końcu w dalszą drogę, dobywając ostatnich sił, w nadziei, że może nareszcie natrafią na zbawcze źródelko. I w rzeczy samej po upływie dwóch godzin, w ciągu których przeszli niewielki kawał drogi, z niewymowną radością spostrzegli przed sobą w oddaleniu gromadkę drzew. Przyspieszyli kroku, tak jednak byli już osłabieni, iż upłynęło znów kilka godzin, nim się do tych drzew dowlekli; były to orzechy stepowe. Już z daleka u stóp ich spostrzegli wyraźne zagłębienia gruntu, prawie pewni więc byli, że w nich wodę zastaną; to też łatwo sobie wyobrazić rozpacz, jaka ich ogarnęła, gdy przyszedłszy na miejsce, ujrzeli się w tej nadziei zawiedzeni. Owe zagłębienia gruntu były tak zwanymi «sadzawkami żubrów». Nazwa owa stąd pochodzi, iż zwierzęta zazwyczaj kąpią się w kałużach, powstałych z deszczowej wody, a i te początek swój także zawdzięczają żubrom, które zwykle, gdy im owady zbyt wiele dokuczają, tarzają się po ziemi i to w taki sposób, że na jednym miejscu się kręcą, dopóki nie utworzą w ziemi wklęsłości; w czasie pierwszego deszczu woda do niej spływa i sadzawka coraz więcej się pogłębia. Na nieszczęście susza trwała już od dłuższego czasu i znajomi nasi nie znaleźli w sadzawkach owych ani kropelki wody. Cezar spojrział w niebo, lecz i na niem nie dostrzegł ani jednej chmurki; palące promienie słońca padały prostopadłe na step niezmierny.

— Nie pójdę dalej; sił mi już braknie, umrę już tutaj, jeżeli taka wola Boża — jęknął Dik i osunął się na ziemię pod drzewem.

— Nie można jeszcze rozpaczać — mówił murzyn, chociaż i w jego sercu mało już pozostawało nadziei — w oddaleniu widać inne drzewa, może tam wodę znajdziemy.

— Ja już tam nie zajdę — odrzekł Dik, rozciągając się na trawie — nie ruszę się stąd; wolę umrzeć, niż znosić dłużej takie okropne męczarnie.

— Bóg miłosierny może w ostatniej chwili ratunek zesłać — pocieszał murzyn — niechże Dik tu zostanie z Sultanem, a ja sam do tamtych drzew pójdę. Jeśli wody nie znajdę, będę miał zawsze dość siły, aby się tu dowlec napowrót, a wtedy niech się spełni wola Boża nad nami. Tylko niech Dik stąd nie odchodzi i czeka na mnie; nie będę dłużej bawić nad parę godzin.

— Bądź spokojny — odrzekł tamten, siłąc się na uśmiech — ja się stąd nie ruszę, choćbym chciał nawet. Nie powrócisz ty jednak tak prędko, jak ci się zdaje, te drzewa mogą być bardzo oddalone; tu na tych stepach wszystko się zdaje blizkiem, ale to tylko złudzenie wzroku.

— Odwagi i cierpliwości — rzekł raz jeszcze murzyn i uściskawszy serdecznie dłoń przyjaciela, wyruszył tak śpiesznie, jak tylko mu na to pozwalało wielkie jego osłabienie.

Po odejściu murzyna Dik uczuł dziwny zawrót głowy; oczy przymknęły mu się mimowoli i przytomność prawie zupełnie go opuściła. Sam już nie wiedział, jak długo pozostawał w tym stanie, gdy nagle

ocuciło go głośnie szczekanie Sultana. Siłą woli podniósł głowę, wsparł się na lokciu i szeroko oczy otworzył: ujrzał bowiem kilku jeźdźców, zbliżających się do miejsca, gdzie leżał. Jeszcze nie mógł rozpoznać ich postaci i ogarnęła go trwoga straszliwa, czy to nie Indianie; niedługo jednak pozostawał w niepewności. Jeźdźcy podjechali bliżej: byli to biali ludzie w strojach myśliwskich, uzbrojeni od stóp do głowy.

XXII.

Wyprawa don Ramona.

Możemy już teraz być spokojni o los Dika i Cezara; powrócimy zatem do owej gromadki wędrowców, która pod wodzą don Ramona de Saavedra i myśliwca Johnsona wyruszyła na spotkanie Rafaela w głąb puszczy. Żadne niezwykle przygody nie zatrzymały jej po drodze; przebyła szczęśliwie północną część Meksyku, wdzierając się na grzbiety gór Sierra de las Mimbras, tworzące odnogę Kordylierów. Wspaniałe, dzikie krajobrazy roztaczały się nieraz przed oczyma wędrowców, zwłaszcza gdy wkroczyli w strefę lasów iglastych. Do miejsc zamieszkałych i miast, leżących po drodze, zaglądali tylko w razie, jeśli im zabrakło amunicji lub zapasów żywności. W prowincyi Kohahuila przeprawili się przez rzekę Rio del Norte i dostali się do Teksasu.

Ponieważ podróż trwała już dość długo bez przerwy, a wierzchowce i muły juczne bardzo były pomęczone, pomimo niecierpliwości don Ramona, na

wniosek Johnsona postanowiono zatrzymać się na kilkodniowy odpoczynek. Napotkano po drodze malowniczą, lasem porośniętą dolinę, którą przerywał szeroki, przejrzysty strumień. Tu na znak myśliwca karawana się zatrzymała; jeźdźcy zsiadli z koni, poczem zdjęto z mulów ciężary i zabrano się do urządzenia obozu. W krótkim przeciągu czasu w pustkowiu leśnem stanęło kilka szalasów; najwygodniejszy z nich przeznaczony był dla Karmeli, która doskonale znosiła trudy podróży. Młoda dziewczyna milem swem obejściem i wdziękiem nieporównanym wkrótce pozyskała wszystkie serca; szczególnie ponury i milczący Johnson był wielkim jej wielbicielem. Jego nieustanna troskliwość, przezorność i doświadczenie niemało też przyczyniły się do zmniejszenia niewygód, przykrości wszelkiego rodzaju, nieodłącznych od tak długiej podróży. Prawda, że i Karmela odplacała mu to, o ile mogła, i uprzedzając jego życzenia, starała się czytać w jego oczach, — serce jej było pełne wdzięczności dla tego, który tyle przywiązania okazywał ukochanemu jej bratu i stał się pośrednikiem pomiędzy nim a ojcem.

Tegoż samego dnia, gdy karawana rozłożyła się obozem w dolinie, Karmela z ojcem i Johnsonem wybrała się przed wieczorem na małą wycieczkę w okolicę. Jadąc wybrzeżem rzeki, z przyjemnością spostrzegła w wodzie niezmierne mnóstwo ryb większych i mniejszych.

— O, patrz pan, — panie Johnsonie — wołała — jak tu w tej przezroczystej wodzie doskonale widać rybki. Jaka szkoda, że nie mamy wędek, takbym je chętnie łowiła.

— Poradzimy na to, panno Karmelo — rzekł myśliwiec swym zwykłym lakonicznym sposobem.

— Doprawdy? O, to byłoby wybornie!

— Czy dziś jeszcze chce panienka łowić ryby?

— Mogę poczekać do jutra.

— A więc dobrze. Jutro nałowi ich panienka, ile tylko zechce.

— Skądże pan tu dostanie wędkę?

— Sporządzę. Odrobinę włosa, gałązkę klonową i kawałek sznurka potrafię przecież i tu znaleźć.

— A cóż to pan tam oglądasz? — zapytał don Ramon myśliwca, który pochylony nad ziemią pilnie się czemuś przypatrywał.

— Nic — odpowiedział krótko Johnson, lecz nagle zmiana wyrazu jego twarzy nie uszła oczu don Ramona ani jego córki. Zdawał się wzruszony i zaniepokojony.

— Czyś pan odkrył coś niemiłego? — odezwiała się z kolei Karmela.

— Nie, nie, ale wołałbym, aby mię nie pytano — odpowiedział chmurząc brwi myśliwiec. — Wracajmy — dodał po chwili i nie zwracając uwagi na zdanie innych, zawrócił konia w stronę obozu. Ojciec i córka nie mogli odgadnąć, co nagle w taki zły humor wprawiło Johnsona, nie pytali jednak więcej, znali już bowiem jego dziwactwa, i wiedzieli, że jeżeli uparł się milczeć, nie dowiedzą się nic więcej od niego.

Gdy tylko powrócili do obozu, myśliwiec zaczął bardzo starannie oglądać swoją strzelbę. Rozebrał ją, poodeczyszczał wszystkie sztuki, ponapuszczał oliwą i złożywszy ją napowrót, jeszcze raz na wszystkie strony obejrzał. Późnym wieczorem wziął tak od-

czyszczoną broń na plecy, a na zapytanie don Ramona, czy myśli dziś jeszcze polować, odrzekł krótko:

— Tak, upatrzyłem zwierza.

I puścił się brzegiem rzeki w tę samą stronę, gdzie przed wieczorem był z don Ramonem i Karmelą. Po chwili znikł pomiędzy drzewami. Gdy o godzinie dziesiątej dopiero powrócił do obozu, twarz jego była jeszcze posępniejsza, niż zwykle. Nazajutrz o świcie odszedł znowu i powrócił aż o południu, wcale nie w lepszym usposobieniu.

— Cóż będzie z moją wędką, panie Johnsonie? — spytała Karmela.

— Ach, prawda, obiecałem panience wędkę; zapomniałem o tem. Czy to naprawdę panna Karmela myśli łowić ryby?

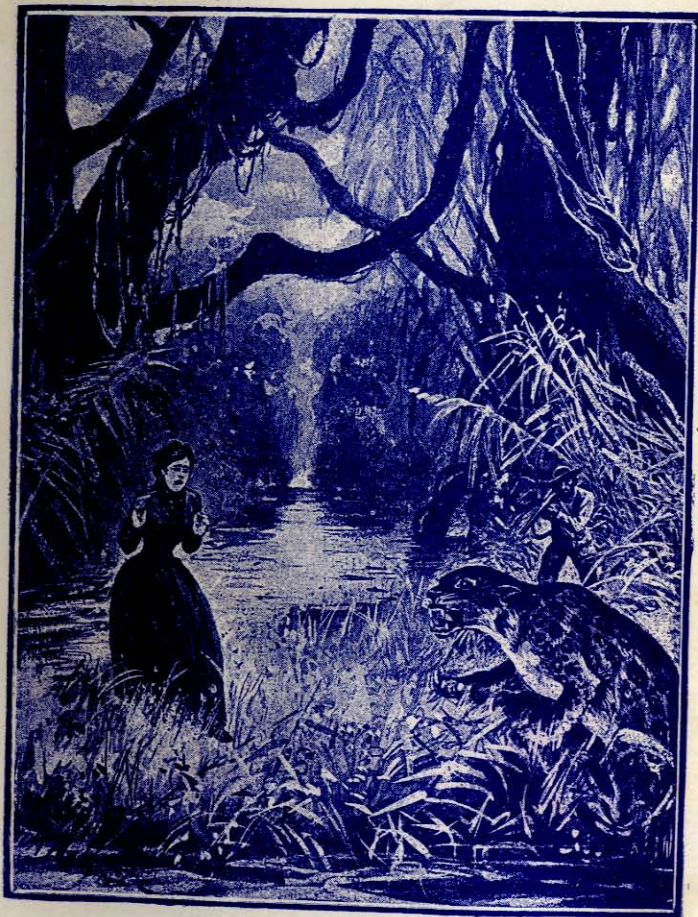
— Naprawdę. Ale nie chciałabym panu bynajmniej kłopotu przyczynić, — wołałabym wyrzec się wędkę...

— No, niewielki kłopot, będzie panienka miała wędkę; ale pójdziemy chyba we dwoje na te ryby?

— Pocóż mam panu czas zabierać? — czy to ja sobie i sama nie dam rady?

— Jak tam sobie panienka chce — mruknął myśliwiec po chwili namysłu.

W godzinę potem przyniósł przyrząd, mogący zastąpić najlepszą wędkę, chociaż niezbyt wykwintnie wyglądał. Oddał także Karmeli mały koszyczek z robakami na przynętę; zabrawszy te przybory młoda dziewczyna przed wieczorem poszła sama w górę strumienia, póki nie upatrzyła dogodnego miejsca do łowienia ryb. Rzeka w tem miejscu tak się zakręcała, że tworzyła półkole; Karmela, siedząc



nad jednym jej ramieniem, drugie miała wprost za plecami. Młoda dziewczyna zajęła się gorliwie położeniem i nie zważała na nic, co się dookoła niej działo.

Po niejakiem czasie jednak podniosła nagle głowę i wyteżyła słuch. Usłyszała była taki plusk wody, jak gdyby w pobliżu pływał człowiek lub większy jaki zwierz. Odgłos ten odzywał się z tej części rzeki, którą miała poza plecami, a chociaż się odwróciła, nic dojrzeć nie mogła, gdyż wybrzeże w tem miejscu porosłe było drzewami i gęstymi krzakami. Karmela zaniepokojona wstała i szybko pobiegłszy do brzegu, przeszła przez zarośla; spojrzała na rzekę, której całą szerokość teraz miała przed sobą i spostrzegła odrazu wielkie zwierzę, płynące właśnie w jej stronę. Już było niedaleko od niej i Karmela, strwożona tym widokiem, krzyknęła przeraźliwie. A przestрах jej był najzupełniej usprawiedliwiony: miała przed sobą drapieżnego jaguara, najniebezpieczniejsze ze wszystkich zwierząt amerykańskich, rozpowszechnione głównie w Ameryce południowej, lecz i w cieplejszych okolicach północnej dość pospolite. Położenie Karmeli było okropne: znajdowała się w głębi owego półkola, opasanego zakrętem rzeki, a zwierz zmierzał właśnie do miejsca, gdzie wyskakując na brzeg, przecinał jej jedyną drogę ucieczki.

Karmela była odważna i przytomna; nieraz już śmiało stawiała czoło rozmaitym niebezpieczeństwom, ale obecne spadło na nią tak gwałtownie i niespodziewanie, że na chwilę od zmysłów prawie odeszła i dreszcz niewypowiedzianej trwogi przeszedł ją od stóp do głowy. Uplynęła krótka chwila strasznego oczekiwania; zwierz wreszcie dopłynął do brzegu i wdra-

pał się nań z łatwością, czepiając się pazurami nadbrzeżnych krzaków, poczem potężnym susem na ląd wyskoczył i puścił się wprost ku Karmeli. O kilka kroków od niej przystanął z głową wyciągniętą, paszczą rozwartą i oczy nieco przymrużone, błyszczące, jak rozpalone węgle, utkwil w drżącej dziewczynie. Potem powoli wyciągnął się na trawie i zaczął bić ziemię ogonem. Karmela wiedząc, że drapieżny zwierz tym sposobem gotuje się do skoku, nie wątpiła, że wybiła jej ostatnia godzina. Myśl dziewczyny wzniosła się ku Temu, bez którego woli włos nawet nie spadnie z głowy, błagając Go gorącą modlitwą o ratunek lub o skrócenie męczarni. Ta straszliwa chwila wiekiem jej się wydała.

Jaguar poruszywszy grzbietem, przymknął oczy tak, że małe tylko iskierki błyskały z pod powiek spuszczonej, i już miał skoczyć, gdy nagle rozległ się huk palnej broni. Zwierz ze straszliwym rykiem przewrócił kozła, podniósł się jednak i ze wściekłością usiłował podpełznąć do Karmeli, chociaż zaledwo poruszyć się zdołał. Lecz nawet i w takim stanie byłby mógł jej jeszcze немало złego zrobić, gdyby w tej samej chwili nie nadbiegł Johnson z nożem myśliwskim w ręku. Myśliwiec wyglądał tak, jakim go Karmela nigdy jeszcze nie widziała: oczy jego rzucały błyskawice, rysy zmienione były do niepoznania. Ze zwinnością, zadziwiającą w człowieku niemłodym i nieco ociężałym zwykle, przyskoczył do jaguara, wyprzedził go i stanął przed nim, czem uwagę zwierza na siebie zwrócił i Karmelę od wszelkiego niebezpieczeństwa uchronił; po chwili podniósł nóż i po samą rękę wbił go w bok potwora. Ja-

guar wywrócił się na wznak, lecz jeszcze wściekle wywijał łapami. Myśliwiec wyciągnawszy nóż po raz drugi wbił go w inne miejsce, i powtarzał to wielokrotnie, chociaż zwierz już się nie poruszał. Jak gdyby w napadzie nagłego oblędu, raz po raz przebijał nożem ślepią, paszczę rozwartą, wszystkie części ciała zwierzęcia; oczy myśliwca błyszczały przytem dzikim płomieniem, ciężki oddech pierś mu podnosił, i piana wystąpiła na usta. Karmela z przerażeniem patrzyła na tego człowieka, który sam teraz do dzikiego zwierza był podobny.

W końcu jednak szal ten przeminał, — namiętne wzruszenie uspokoiło się zwolna. Johnson westchnął głęboko, a odstąpiwszy od jaguara, włożył nóż za pas i otarł pot z bladej śmiertelnie czoła.

— Ach! panienka tu jest — rzekł z cicha, jakby zakłopotany; widocznie w straszliwym rozdrażnieniu zapomniał był nawet o obecności dziewczyny. — Przepraszam pannę Karmelę za ten przykry widok...

— Za cóż mnie pan przepraszasz? Uratowałeś mi życie, nigdy ci tego nie zapomnę; o, panie Johnsonie, ileż ja panu wdzięczności będę winna!

Karmela ochłonęła tymczasem z przerażenia, a twarz myśliwca przybrała znów zwykły wyraz posępny lecz spokojny.

— Żadna mi się wdzięczność nie należy — odrzekł — dogodziłem sobie, ho! dogodziłem. Wczoraj jeszcze przed wieczorem dostrzegłem śladów tego... potępieńca. Nie wspomniałem o tem, ażeby państwa nie straszyć. Oczatowałem na niego i wczoraj wieczorem, i dziś rano, lecz nadaremnie. A ten zbój upatrzył sobie tymczasem dobrą zdobycz. Znam ja upo-

dobania tych piekielnych lotrów. Kiedy panienka uparła się bezemnie iść na ryby, poszedłem cichutko w tę samą stronę, bo przeczuwałem nieszczęście. Dzięki Bogu, że mi się udało przybyć w porę.

— O tak, zjawileś się pan w samą porę, jak narzędzie Opatrzności — rzekła Karmela, wyciągając do niego rękę.

— Nie mogłem strzelić wcześniej — mówił jakby tłumacząc się myśliwiec — musiałem czekać, póki przekłety hecarz nie przysiadzie do skoku. Raz tylko pośpieszyłem się zbyt mocno w podobnej chwili, raz jeden w życiu... — tu umilkł i wyraz niewypowiedzianej boleści rozlał się na jego twarzy. Lecz siłą woli pokonał to wzruszenie i mówił dalej: — Chodźmy już, panno Karmelo, trzeba panience wypocząć po tym okropnym przestachu.

— Dobrze, chodźmy do obozu — odrzekła dziewczyna, opierając rękę na ramieniu myśliwca — ale chciałabym pana o coś zapytać, panie Johnsonie, jeżeli zasłużyłam na ufność i życzliwość pańską.

— Czyż panienka może wątpić o tem? — odrzekł Johnson, postępując wraz z nią w stronę obozu.

— A więc, powiedz mi pan, czy mię przecucie serca nie myli? zdaje mi się, — prawie pewna jestem — że pan masz jakiś ciężki smutek, panie Johnsonie.

— Skądże to panience taka myśl przyszła do głowy?

— Oto i teraz, gdyś pan mówił, żeś przedtem raz jeden w życiu strzelił zawczasie do jaguara w chwili podobnej, było coś tak dziwnego w twoim głosie... a i to niepojęte postępowanie z zabitym jaguarem. Ja z tego wszystkiego wnoszę, iż smutek

pański musi mieć jakiś związek z temi straszliwymi zwierzętami.

— Coś się przysniło panience — mruknął Johnson i nachmurzył się po swojemu — mówmy lepiej o czem innym.

Karmela nie śmiała pytać więcej, gdyż знаła skryte i nieprzystępne usposobienie myśliwca, szli więc przez czas jakiś w milczeniu obok siebie; po pewnym czasie dziewczyna mimowoli cofnęła rękę z ramienia towarzysza. Naraz Johnson zatrzymał się i szorstką dłoń swoją wyciągnął do Karmeli. Ona podniosła na niego oczy i znowu dziwną zmianę spostrzegła na twarzy posępnego myśliwca; wyczytała na niej rozrzewnienie głębokie.

— Daruj mi, panno Karmelo — rzekł głosem wzruszonym — tyś mi okazała tyle szczerości, a ja cię ofuknałem. Żle zrobiłem, lecz naprawię to, — będziesz moją powiernicą. Odgadłaś trafnie, panno Karmelo, mam na sercu ciężki smutek, straszliwe mię dotknęło nieszczęście. Zwierzyłem się już raz przed bratem twym, panienko, zwierzę się i przed tobą. Posłuchaj...

Poszli dalej, a myśliwiec, odzyskawszy już zwykły swój spokój, opowiadał w te słowa:

— Ojczyzną moją jest Szkocya. Młode lata spędziłem w pięknej wiosce górskiej nad brzegami Klydy. W ośmnastym roku życia straciłem rodziców, których jedynym byłem synem. W spadku pozostawili mi stary domek i mnóstwo długów; oddałem więc dom wierzycielom, a sam wyruszyłem do Ameryki. Słyszałem od ludzi, że jeżeli komu się nie wiedzie w ojczyźnie, może lepszy los znaleźć na drugiej półkuli i wraz z innymi puściłem się za ocean. Dostałem

się do Kalifornii i zostałem poszukiwaczem złota. Nie żałowałem trudu: dzień i noc motyki nie wypuszczałem z ręki i wiodło mi się nieźle, — dorobiłem się majątku. W tym czasie zabrałem znajomość z pewnym Meksykaninem, niemłodym już człowiekiem, który nie po złoto, lecz w jakimś interesie przybył do Kalifornii. Miał on piękną posiadłość ziemską na wybrzeżach rzeki Sant Jago w prowincyi Chalisko. Cuda mi opowiadał o swojej ojczyźnie, jej rozkosznym klimacie i urodzajności gruntu. Kalifornia już mi się była uprzykrzyła; złota miałem dosyć, łatwo więc namówić się dałem i w towarzystwie pana Mittsena, tak się nazywał mój znajomy, wyruszyłem do Meksyku. Przekonałem się, iż stary nie przesadzał; kraj podobał mi się niezmiernie, za swoje złoto nabyłem pyszną posiadłość i osiedliłem się tam na dobre. Pan Mittsen miał liczną rodzinę; jedna z jego córek została moją żoną. Śliczna była i dobra, wiedliśmy życie tak szczęśliwe...

Tu nagle umilkł myśliwiec, jakby mu głosu zabrakło w piersi. Po chwili dopiero potarł ręką czoło i mówił dalej:

— Pan Bóg nam dał dziecię, ślicznego chłopczyka. Rósł zdrowo, podobniuteńki był do matki; dałem mu imię Allan. Miał lat dziesięć zaledwie, a już z lekkiej strzelbiny palił tak celnie, jak stary myśliwiec. Nie dziwnego, był przecież moim uczniem... Ale czy to on tylko strzelał celnie? Co to był za chłopak!... ach, co za chłopak!

Ciche lkanie przerwało znów mowę myśliwca. Mileczał przez chwilę i gwałtownie tarł ręką czoło, poczem znów opowiadał spokojnie:

— Było to w wigilię urodzin Allana. Chcąc mu przygotować jakąś niespodziankę wybrałem się konno do miasta Guadalaksary, o parę mil od naszej haciendy, po sprawunki. Obiecałem żonie powrócić tegoż samego dnia wieczorem. I dotrzymałem słowa, jeszcze się nie ściemniło, gdy już byłem o pół godziny drogi tylko od haciendy. Przebyłem niewielki las i dostałem się na odkrytą łączkę, — wtęm ujrzałem o jakich pięćdziesiąt kroków przed sobą skradającego się jaguara. Poznałem odrazu, że zbój musiał mieć już jakąś upatrzoną zdobycz. Zacząłem się rozglądać pilnie dokoła i wkrótce spostrzegłem na samym skraju lasu leżącą u stóp drzewa postać ludzką. Podjechałem bliżej; jakież było przerażenie moje, gdy poznałem mego chłopca, mego Allana, śpiącego spokojnie pod drzewem. Spiąwszy konia ostrogami, popędziłem za jaguarem, poczem zeskoczyłem na ziemię, jak szalony i strzeliłem... Niestety! straciłem głowę; ręka mi drżała, — jaguar był w pełnym biegu, czyż mogłem wymierzyć, jak należy? Trafiłem wprawdzie, lecz zraniłem tylko lekko zwierzę i doprowadziłem je do wściekłości. Gdybym był poczekał, aż przysiadzie do skoku... Ale ja głupiec, szaleniec, pośpieszyłem się; jaguar ryknął i biegł nie zatrzymując się prosto do chłopaka. Widziałem, jak Allan przebudzony zerwał się na równe nogi i chwycił strzelbę, którą miał przy sobie, lecz nie miał czasu strzelić; po chwili leżał na ziemi, przyciśnięty łapami drapieżnego zwierza. Wszystko to stało się w mgnieniu oka, nim zdążyłem na nowo strzelbę nabić. Przyskoczyłem wprawdzie i przyłożywszy otwór lufy do ucha potworu, wypaliłem; tym razem padł trupem, lecz

konając nawet nie wypuścił chłopca ze strasznego uścisku. Pazury jego wpily się tak głęboko w ciało mego Allana, że gdy to ciało skrwawione oderwał i podniósł... było już martwe... trzymałem na ręku trupa jedynego dziecka...

Gwałtowne lkanie wyrwało się z piersi myśliwca, Karmela także płakała rzewnie, ściskając jego rękę w swych dłoniach.

— Odniosłem syna mego do domu — mówił Johnson, uspokoiwszy się nieco. — Droga była niedaleka, a jednak szedłem bardzo długo... Co kilkanaście kroków upadałem pod tym ciężarem, tak niewielkim na moje siły! W pobliżu mojej haciendy złożyłem ukochane szczątki pod krzakiem i okryłem je płaszczem, a sam poszedłem dalej, chcąc żonę przygotować do tego okropnego nieszczęścia. Ale nie umiałem udawać spokoju: biedaczka spojrzała tylko na mnie i zbladła, jak ściana, a żem na jej pytania odpowiadał głośnie płaczem, więc odgadła odrazu wszystko. Jak wąż krzewina ugodzona piorunem, tak ona zachwiała się i upadła u nóg moich na ziemię. Gdy odzyskała zmysły, dowiedziałem się od niej, że Allan wyszedł przed wieczorem na moje spotkanie. Okropny ów wypadek przytrafił się w miejscu, gdzie się rozchodziły dwie drogi, do miasta wiodące. Chłopak nie wiedział, którą powrócę, zapewne też usiadł pod drzewem i czekał, a tymczasem sen go zmorzył... Ach! wszystko się tak okropnie złożyło na naszą zgubę!

Znowu nastala chwila milczenia, którego Karmela przerywać nie śmiała; myśliwiec, odetchnawszy głęboko, mówił:

— Niewiele mi już pozostało do opowiadania. We trzy miesiące potem szedłem za trumną żony. Gwałtowne wzruszenie dnia tego podkopało wątłe jej zdrowie, a zgryzota ostatecznie ją dobiła. Pochowawszy ją, oddałem posiadłość w ziemi rodzinie nieboszczki, a gotówkę odesłałem do Szkocyi ubogim krewnym. Zostawiłem sobie tylko kilka dolarów, strzelbę i przybory myśliwskie i wypowiedziałem wojnę zawziętą wszystkim braciom piekielnego zbója, który zniweczył moje szczęście. W ciągu lat kilku zabiłem już niemało tych drapieżników; nie brak ich w Meksyku, mogłem więc sobie dogodzić. Nigdy jednak nie strzelałem inaczey, tylko w chwili, gdy zwierzę przysiadło do skoku, czy na mnie samego napadając, czy na innego człowieka, czy na zwierzę. Panienska spostrzegła, jaka mnie wściekła złość ogarnęła, gdy tego jaguara trupem położył. Nie zdołałem powstrzymać się od tego nigdy, ile razy spotkam się oko w oko z takim potworem. Ale i moje żelazne zdrowie nie mogło przetrwać tych okropnych wstrząśnień, póki się częściej powtarzały; zachorowałem w końcu i o mało życiem nie przepłaciłem namiętnych porywów. To mię upamiętało; zaprzestałem zawziętego tępienia jaguarów i wyniosłem się nawet naumyślnie w okolice, gdzie rzadko je mogłem napotkać. Gdy jednak przypadek sprowadzi na moją drogę przeklętego zbója, szal mnie ogarnia, — przestaję być panem siebie... Skończyłem, panno Karmelo; teraz już panienska wie, jaki jest powód mego smutku i dlaczego tak się zapomniałem po zabiciu jaguara, za co przepraszam raz jeszcze.

Karmela upewniła go serdecznemi słowy, że nie ma mu nic do przebaczenia i starała się okazać nie-

szczęśliwemu swoje współczucie. Gdy powrócili do obozu, twarz myśliwca miała zwykły wyraz, pośpyny lecz spokojny. Odprowadziwszy Karmelę do szałasów poszedł znowu w las ze strzelbą na ramieniu i późno w noc dopiero powrócił. Nie potrzebujemy opowiadać, z jak wielkiem wzruszeniem don Ramon dowiedział się o strasliwym niebezpieczeństwie, które zagrażało jego córce i jak gorąco dziękował jej wybawcy.

Wiść o przygodzie Karmeli rozniosła się po całym obozie; wszyscy się zbiegli do ukochanej panny, która musiała opowiedzieć ze szczegółami całe wydarzenie, zamilczała jednak o tem co usłyszała od Johnsona; ojcu tylko później, gdy pozostali sami, powtórzyła te smutne dzieje. Kilku doświadczonych myśliwców, należących do wyprawy don Ramona, poszło przez ciekawość odszukać szczątki jaguara, które przyniesiono do obozu i oglądano z wielkim zajęciem. Dziwiło to wszystkich niezmiernie, że skóra zabitego zwierzęcia w tylu miejscach była podziurawiona.

Zwierz niepospolite miał rozmiary, śmiało go można było zaliczyć do olbrzymów jego rodzaju. Długość całego ciała jaguara dochodziła półtora metra, wysokość od stóp do grzbietu siedmdziesiąt centymetrów. Futro żółtawo-kasztanowate, na brzuchu, podgardlu i nogach od strony wewnętrznej prawie białe, odznaczało się centkami czarnymi, okrągłymi lub podługnymi, rozsyanymi na tle jaśniejszem. Straszliwie wyglądały zęby i pazury potworu; ogromne, silne, niezbyt jednak ostre, tem okropniejsze rany zadają, szarpiąc i rozrywając ciało ofiary niemilosiernie. Rozumie się, że gromadka wędrowców, złożona

z ludzi obeznanych z myśliwstwem, przez cały wieczór nie mówiła o niczem innem, jak tylko o jaguarach i sposobach polowania na nie.

— Hoho! miałem ja już nieraz do czynienia z tymi drapieżnikami — rzekł stary vaqueros, Rupertem zwany. Twarz jego i ręce okryte bliznami świadczyły, że był w rzeczy samej w niejednej przygodzie. — Mieszkalem dawniej dość długo w Paragwaju i w Buenos Ayres w Ameryce południowej, a wiadomo, że to jest prawdziwa ojczyzna jaguarów. Nasłuchiwałem się tam niemało szczegółów zajmujących o obyczajach i sposobie życia tych zwierząt, no, i osobiście się z nimi zapoznałem.

— Opowiedzcie i nam cośkolwiek o tem — mówili inni, zwłaszcza młodzi.

— Bardzo chętnie, jeżeli macie ochotę słuchać — odrzekł stary. — Jaguar trzyma się zazwyczaj po lasach, na wybrzeżach rzek i strumieni, w pobliżu moczarów. Na Pampasach w Buenos-Ayres, gdzie lasów niema, ukrywa się wśród wysokiej i bujnej trawy. Najlepiej jednak lubi pobyt w lesie; we dnie drzemie, a wieczorem o zmroku, rano przed wschodem słońca i w noc jasne, podczas pełni księżyca, na żer wychodzi, straszliwy to jest drapieżnik, nadzwyczaj zwinny i zręczny, choć z pozoru wygląda ociężałe. Siłę ma tak wielką, że i konia i wołu pokonywa. Nieraz też okropne szkody wyrządza wśród trzód bydła, wiem to z własnego doświadczenia. Ze szczególnem żarłoczstwem rzuca się na młode cielecia, ale i starsze zwierzęta napada; oj, nieraz mi się dał we znaki, gdym pilnował koni i mułów. Takie większe sztuki dusi zwykle, skacząc im do gardła i żyły

tam rozrywając straszliwymi zębami. Mniejsze morduje uderzeniem potężnej łapy. Osobliwszym dla niego przysmakiem są pocziwe psy; sam tym sposobem utracilem wiernego towarzysza. W braku większej zdobyczy, nie gardzi jednak jaguar i drobnymi stworzeniami, takimi, jak szczury lub gady.

— Lubi także i ryby — odezwał się drugi stary myśliwiec, znany Sandowal — widziałem raz na własne oczy, jak jaguar ryby łowił. Przykucnął na brzegu rzeki, w miejscu, gdzie woda szybszym prądem po kamykach spadała. Warto było widzieć, jak wyciągał szyję i bacznie zaglądał na dno rzeki. Niekiedy szybko jak błyskawica zapuszczał łapę w głąb wody i chwytal nią ładną rybkę, doradą zwaną, którą też natychmiast w paszczę pakował i pożerał.

— Czy to prawda, że jaguar doskonale pływa? — zapytał jeden z młodszych.

— O, i jak jeszcze! — odrzekł Ruperto — płynąc, trzyma głowę i grzbiet nad powierzchnią wody, a łapami szybko wiosłuje. Przyznam się, że nie miałbym ochoty ścigać się z tym jegomością w wodzie, chociaż pływam, jak ryba.

— Cha cha cha! — zaśmiał się Sandowal — wiem z własnego doświadczenia, jakiego to wrażenia człowiek doznaje, gdy płynie i słyszy za plecami pluskanie i sapanie takiego zbroja. Stałem raz z dwoma innymi myśliwcami nad brzegiem rzeki, a w tem miejscu uwiązana była właśnie łódka pewnego znajomego nam przewoźnika. Patrzymy, aż tu płynie coś w poprzek rzeki i zmierza prosto do nas. Rozpoznaliśmy wkrótce, że to był ogromny jaguar, olbrzym prawdziwy. Na lądzie każdy z nas pokonał niejednego

jaguara, żaden jednak nie miał nigdy do czynienia z taką poczwarą w wodzie. Chcąc i tego popробować w życiu, ja z drugim towarzyszem odwiązałem łódkę i popłynęliśmy naprzeciw jaguara, a trzeci został na brzegu ze strzelbą nabitą, aby nam pomoc dać w potrzebie. Popłynęliśmy dość blisko, bo zuchwały zwierzę nawet nie uciekał przed nami i towarzysz mój dał ognia. Ale łódka ustawicznie się chwiała, a że i jaguar nie był na tyle grzecznym, by na kulkę czekać spokojnie, trafił więc przyjaciel mój, lecz w miejsce niezbyt niebezpieczne i zwierzę zranione, wpadłszy wściekłość, zaczął na nas nacierać nie na żarty. Domyślacie się zapewne, że to nas cokolwieczek zaniepokoiło; poczęliśmy więc wiosłować żywo i łódka chwiała się jeszcze mocniej. Wypaliłem i ja z kolei. Kula moja musiała go szturchnąć w leb, bo kręcił nim i potrząsał przez chwilę, co mu jednak nie przeszkodziło podpłynąć do nas tak chyżo, żeśmy nie mieli nawet czasu nabić strzelb na nowo. Przebrzydłe bydlę, nie zważając na nic, zapuściło pazury w spróchniałe drewno naszego czółenka. Myśmy nie próżnowali, jak domyślacie się zapewne; w braku kul tłukliśmy kolbami z całej siły po łbie i łapach potwora, ale on sobie nic a nic z tego nie robił; w końcu, wyobraźcie sobie, wdrapał się do łódki i usiadł przy nas bez żadnej ceremonii. Miły towarzysz, nieprawdaż? Nie było rady; rozsądniejszy, jak mówią, musi ustąpić, a ponieważ głupie bydlę ani myślało o tem, więc my okazaliśmy większy rozsądek, co niby ma znaczyć, żeśmy wskoczyli nie wiele myśląc do wody i ratowali się wpław. Na szczęście jaguar upodobał sobie widocznie żeglującą łódkę, bo nie wyskoczył zaraz i dał

się unosić prądowi rzeki. Nie trwało to jednak długo; hultaj rzucił się w końcu do wody i zaczął gonić za nami. Słyszeliśmy wyraźnie straszliwe jego sapanie i szum wody, którą łapami odgartywał. Byłoby po nas niezawodnie, gdyby zwierz na szczęście nie był się zbliżył do brzegu o tyle, że trzeci nasz towarzysz mógł nas mistrzowskim strzałem uratować. Od tej pory nigdy nie porywałem się na jaguara w wodzie, a na lądzie wybierałem zwykle chwilę, gdy go zszedł siedzącego na drzewie; miałem do tego nieraz sposobność w lasach Ameryki południowej. Prawdziwa to jest uciecha, daję słowo, gdy taka poczwara spada martwa z gałęzi, — lubilem ten widok niezmiernie.

— Najdowcipniej sobie z nim radzą Indyanie — odezwał się jeden ze słuchaczy — gdy upatrzą jaguara na drzewie, ukrywają się w pobliżu i strzelają do niego po prostu ze trzcinowej rurki.

— Co, ze trzcinowej rurki? — odezwało się kilka głosów — a któżby to w takie żarty wierzył?

— To czysta prawda — rzekł Ruperto — dajcież mu dokończyć, a zobaczycie.

— Indyanie — mówił dalej ów myśliwiec — używają do tego mocnej rury bambusowej i strzelają ładunkami z ostrych cierni. Nie wyobrażajcie sobie, aby te ciernie mogły jaguara zabić, ale są one napuszczone jadem straszliwym zwanym *curare*, który piorunujący skutek wywiera, gdy tylko się do krwi dostanie.

— A, to co innego — odrzekli niedowiarki.

Tymczasem ten i ów poziewać zaczął; wkrótce rozmowa ustala i gromadka wędrowców poszła za

przykładem don Ramona i Karmeli, który już dawno w szalasach swoich byli usnęli.

Po kilkudniowym odpoczynku karawana wyruszyła w dalszą drogę; podróż trwała bez przerwy prawie kilka tygodni, nareszcie wędrowcy, posunawszy się znacznie ku północy, przybyli do znanej nam z rozdziałów poprzednich okolicy, gdzie stała dawniej osada Wattsona. Pewnego wieczora Johnson oddalił się zwyczajem swoim ze strzelbą na plecach, chcąc upolować świeżą zwierzynę i stanął za drzewem na brzegu małej polanki, na której spostrzegł był ślady jelenia. Jakież było jego zdziwienie, gdy zamiast oczekiwanej zwierzyny ujrzał wychodzącego z zarośli młodziutkiego chłopca, niosącego także strzelbę na plecach. Johnson nie zaraz wyszedł ze swej kryjówki, gdyż chciał wprzód przypatrzeć się lepiej temu myśliwcowi. Gdy chłopak, nie spostrzegłszy obecności jego, przechodził z wolna przez środek małej polanki, Johnson zauważył, że był nadzwyczajnie blady i mizerny i szedł krokiem niepewnym, jakby się nogi pod nim chwiały. Chłopiec ten wreszcie usiadł pod drzewem i ukrywając twarz w dłoniach, począł lkać głośno jak dziecko.

— Żal mi biedaka — mruknął myśliwiec sam do siebie — radbym wiedzieć, dlaczego on sam jeden wałęsa się po lesie i tak rozpacza?

Mówiąc to, wyszedł z za drzewa i zaczął kaszleć głośno, chcąc w ten sposób zwrócić na siebie uwagę chłopca. Jakoż, w rzeczy samej ten ostatni zerwał się na nogi i pochwycił strzelbę.

— Dajno pokój strzelbie, mój kochany — rzekł myśliwiec — ja nie mam żadnych złych zamiarów.

Na te słowa wyraz żywej radości zajaśniał na twarzy biednego chłopca, który postąpił parę kroków naprzeciw myśliwca.

— Co ty tu robisz sam jeden w puszczy? Czyś zabłądził? — zapytał Johnson.

— Tak, mój dobry panie, zabłądziłem — odrzekł chłopiec.

— Skądże ty jesteś?

— Nie mam domu. Indyanie dom mój rodzinny spalili... — i chłopiec westchnął żałośnie.

— O, biedny chłopcze! — wykrzyknął myśliwiec ze współczuciem — jakże się nazywasz?

— Ben Wattson.

Nie będziemy tu powtarzali dalszej rozmowy znajomego naszego Bena z Johnsonem; wszystko, co opowiadał chłopak o napadzie Indyan na osadę, znane nam jest od dawna. Wspomnimy tylko w kilku słowach, jakim sposobem Ben wymknął się z rąk Pawnisów owego poranku, gdy okrutna ta zgraja wpadła do domu. Wbiegł on niepostrzeżony do kuchni, skąd małe drzwiczki wiodły do zakrytej galeryi, łączącej dom mieszkalny z budynkiem gospodarskim. Przejście to ułatwiało przynoszenie drzewa i wody do kuchni; Ben wymknął się niem teraz i ukrył się pod stosem słomy. Indyanie tak byli zajęci Ellą i Tobiaszem, że o obu chłopcach zapomnieli. Pawnisy, jak wiemy, zaraz po podpaleniu domu, przeznaczonego na zniszczenie, odjechali; ani jednego z nich nie było już na podwórzu, gdy chłopiec musiał kryjówkę swą opuścić i ratować się od ognia. Zajrzał do głębi domu przez drzwi rozwarłe, zawołał po imieniu na siostrę, na brata: nikt mu nie odpowiedział; tymczasem pło-

mienie ogarniały coraz gwałtowniej cały budynek, i chłopiec, gnany przestachem, pobiegł copędzej do lasu. Stracił zupełnie głowę i pędził wprost przed siebie póki mu sił starczyło, to jest do samego wieczora, nie myśląc nawet o obraniu jakiegokolwiek kierunku. Gdy padł pod drzewem na ziemię, znużenie jego było tak wielkie, że pomimo trwogi i zgryzoty usnął snem kamiennym; nazajutrz, przebudzwszy się, znowu poszedł dalej w głąb puszczy, nie zastanawiając się nad tem, dokąd tym sposobem zająć może. Zabłądził więc tak samo, jak i Dik, a po dwudniowej wędrówce z podziwieniem i przestachem znowu ujrzał przed sobą zgliszcza spalonego domu; rozumie się, że już tu nie zastał ani ojca i brata starszego, ani Dika. Na szczęście, tak samo jak i tamten, zabrał ze sobą strzelbę i amunicję, mógł więc od czasu do czasu zastrzelić jaką zwierzynę i surowem mięsem uchronić się od śmierci głodowej. Biedny chłopiec po raz drugi puścił się w las bez żadnego zastanowienia; przypadek zrządził, że zwrócił się na południe, podczas gdy Dik podążał na zachód. Tym razem Ben nie błądził długo, gdyż tegoż samego wieczora spotkał się z Johnsonem.

Pocziwy myśliwiec natychmiast odprowadził zmęczonego i wycieńczonego chłopca do obozu, gdzie don Ramon i Karmela jak najtroskliwiej się nim zajęli. Nie mogąc mu dać innych dowodów przychylności, postanowili zabrać go ze sobą w dalszą drogę, na co Ben przystał z największą radością. Cóż miał uczynić, nie wiedząc zupełnie, co się stało z resztą jego rodziny? Don Ramon kazał zdjąć pakunki z jednego

z koni jucznych, i rozłożyć je na inne, ażeby Ben miał wierzchowca.

Nazajutrz gromadka wędrowców puściła się w dalszą drogę. Jechano jeszcze dni kilka, aż w końcu ujrzano przed sobą głęboki, długi wąwóz, na którego dnie na znak Johnsona karawana się zatrzymała, on zaś sam jeden puścił się dalej w kierunku jego ujścia. Gdy w parę godzin powrócił, był jeszcze więcej niż zwykle nachmurzony.

— Syn pański — rzekł do don Ramona — nie był jeszcze tam wcale, gdzieśmy się zejść mieli. Nie pojmuję, co mu przeszkodzić mogło w dotrzymaniu słowa... W każdym razie musiał to być powód bardzo ważny.

— Byle go jakie nieszczęście nie spotkało — mówił biedny ojciec, zawiedziony w swej nadziei.

— Ech, cóżby mu się stać miało — mruknął myśliwiec, wzruszając ramionami.

— I cóż my teraz pocniemy?

— Poczekamy.

— Tu, na tem miejscu?

— W tej okolicy przynajmniej.

— A czy nie lepiej byłoby go poszukać? — odezwiała się Karmela.

— Ba! gdyby ta puszcza nie większa była od pięknego parku, otaczającego haciendę don Ramona, tobym się na to pisał chętnie — odparł Johnson — ale tak, niech panienska daruje, nie zrobię tego głupstwa.

— Jakże pan sądzisz, czy prędko doczekamy się mego syna? — pytał don Ramon. Nieopisana tęsknota za tym synem, od tylu lat niewidzianym i tak gorzko oplakiwanym, ścisłała mu serce.

— Czy prędko go się doczekamy — mówił myśliwiec — alboż ja wiem? Może nadjechać dziś jeszcze lub jutro, ale może także się spóźnić o kilka tygodni.

— O, mój Boże! — zawołała Karmela żałośnie.

— Mojem zdaniem — ciągnął dalej myśliwiec, nie zważając na tę przerwę — trzeba się przygotować na wszystko i urządzić obóz w taki sposób, abyśmy i czas dłuższy przebyć tu mogli, nie narażając się na zbyt wielkie niewygody. Mam tu na myśli pana i pannę Karmelę; dłuższe obozowanie pod gołem niebem byłoby dla obojga państwa niemiłe, a może i dla zdrowia szkodliwe. Urządzimy zatem parę domków z kłód drewnianych.

— Więc pan sądzisz — mówił don Ramon — że mój syn niezawodnie, wcześniej lub później, przybędzie do tego wąwozu?

— Najniezawodniej. Jestem tego tak pewny, jak tego, że jutro dzień nastąpi po nocy. Nie wyobrażaj pan sobie, że my myśliwcy i wędrowcy leśni żartujemy z danego słowa, jak mieszkańcy miast. On zwłaszcza nigdy w życiu nie kazałby mi tu czekać daremnie. Że przybędzie, to żadnej wątpliwości nie ulega, — niewiadomo tylko kiedy. Jak już wspomniałem, musiała go gdzieś zatrzymać niezmiernie ważna sprawa. Zostawiłem teraz na miejscu umówionego spotkania pewien znak, po którym syn pański, przyszedłszy tam, dowie się zaraz, że jestem niedaleko i szukać mnie będzie. Możemy wybrać sobie w okolicy wygodniejsze miejsce na dłuższy pobyt i czekać cierpliwie, a już on nas niezawodnie znajdzie.

— Jabym wolał w każdym razie mniej wygo-

dne miejsce — rzekł don Ramon — byleśmy się tylko stąd zbytecznie nie oddalali.

— Bądźże pan spokojny: ja tu znam pyszne ustronie bardzo blisko, o pół milki stąd; jest to na skraju rozległego stepu, gdzie hasają stada bawolów i dzikich koni. Nieraz tam już polowaliśmy razem z synem pańskim; on tam najpierwej szukać mnie będzie.

— Cóż mam robić, panie Johnsonie, muszę cię słuchać we wszystkim.

Stanęli wkrótce na owem miejscu, wybranem przez doświadczonego myśliwca na dłuższy pobyt w puszczy. Było to na skraju tegoż samego rozległego stepu, na którym zabłądzili Cezar z Dikiem w kilku tygodni później. Według wskazówek myśliwca, zbudowano na miejscu tem kilka domków z bierwion, narąbanych w lesie; robota ta zabrała zaledwie parę dni czasu, nie brakło bowiem do niej ani rąk silnych, ani stosownych narzędzi, w które wędrowcy byli zaopatrzeni.

Po ukończeniu domków nastąpiły dni długiego, tęsknego oczekiwania. Jediną rozrywką wędrowców naszych było polowanie, w którym nawet don Ramon i Karmela brali zwykle udział. Mijały dni i tygodnie, czwarty już się rozpoczął, a o Rafaelu nie było ani słyhu. Ojciec i siostra coraz więcej się o niego niepokoili, a nawet i Johnson zaczynał tracić tę pewność siebie, z którą w początkach wspominał o przybyciu przyjaciela. Nie mówił on wprawdzie nic takiego, coby mogło zatruwić don Ramona i Karmelę, ale w duszy gryzł się i martwił niezmiernie. Milczący był więcej jeszcze niż zwykle; szukał samotności,

aby się ze smutnemi myślami swemi nie wydać, czasem tylko dawał się namówić na myśliwskie wycieczki w towarzystwie don Ramona, Ruperta i Sadowala. Zwykle też w takim razie bawili dni kilka za obozem i powracali zawsze z obfitą zdobyczą.

Na kilka dni przed ową smutną przygodą Cezara i Dika na stepie, wyruszyli także wszyscy czterej z obozu w nadziei, że im się uda zastrzelić parę żubrów, brakło już bowiem świeżego mięsa w obozie. Tym razem jednak polowanie im się nie powiodło; nie tylko żubrów, ale i żadnej innej zwierzyny nie napotkali. Dopiero trzeciego dnia natrafili na gromadkę antylop i zaraz wszyscy czterej do nich strzelili. Żadna jednakże nie padła, widać oddalenie było za wielkie; Johnson upewniał wprawdzie, że jego kula trafiła do celu, musiała jednak tylko zranić antylope, bo i ta pobiegła za innemi. Tegoż samego dnia ujrzeni ogromnego żubra, który pasł się sam jeden na stepie. Johnson utrzymywał, że szkoda prochu na taką zwierzynę, bo żubr musi być bardzo stary, skoro samotne życie wiezie, więc mięso jego nie ma żadnej wartości. Don Ramon jednak strzelił do samotnika; nie zabił go, tylko zranił lekko, gdyż szybko odbiegł dalej, niebardzo też o to dbali myśliwi nasi. Johnson uważał w każdym razie obecność starego żubra za znak, że stado musi być w pobliżu.

Za późno już było dnia tego, aby szukać stada po stepie; wskutek tego myśliwcy odłożyli to do jutra, tymczasem zaś rozłożyli się na nocleg. Ale nie miły przypadek popsuł im wszystkie plany: skutkiem nieostrożności Sadowala ogień, rozłożony raniutko dla przyrządzenia śniadania, zapalił suchą trawę

i płomienie tak szybko ogarnęły znaczną przestrzeń, że nie było co myśleć o gaszeniu pożaru.

— Teraz już po żubrach — mruknął Johnson — mocno niezadowolony i zgorszony takim nie-dbalstwem Sadowala. Ale nie było na to rady.

Myśliwcy przebyli jeszcze kilka godzin w tem miejscu, przyglądając się pożarowi i z przykrością widzieli, że ogień rozszedł się bardzo daleko. Dopiero gdy zagasł zupełnie, wsiedli na koń i stępą podążyli w stronę obozu. Jechali tak czas jakiś bez wielkiego pośpiechu, wtem ze zdziwieniem usłyszeli szczekanie psa. Podjechali bliżej i obaczyli postać ludzką, leżącą na ziemi. Postać ta na ich widok na wpół się podniosła, a był to, jak już czytelnicy odgadli zapewne, nie kto inny, jak znajomy nasz Dik Wattson.

XXIII.

Dzikie konie.

Że don Ramon i jego towarzysze troskliwie zajęli się biednym chłopcem, o tem nikt zapewne nie wątpi. W myśliwskich manierkach znalazł się napój orzeźwiający, który mu prędko przytomności i siły przywrócił, poczem zaczęto go rozpytywać, jak się nazywa, skąd pochodzi i jakim sposobem zablądził w tem pustkowiu. Niezwłocznie też wyszło na jaw, że młody wędrowiec jest rodzonym bratem Bena Wattsona. Nic mu jednak nie wspomniano o obecności brata w obozie; w duchu tylko don Ramon dziękował Bogu, że mu pozwolił obu tych chłopców urato-

wać i wielbił to cudowne zrządzenie Opatrzności, która rozdzielonych połączyła.

Myśliwcy chcieli zaraz Dika posadzić obok siebie na którym z wierzchowców i śpieszyć do obozu, lecz chłopak oparł się temu stanowczo, za nic nie chcąc opuszczać przyjaciela swego, murzyna, a don Ramon, wysłuchawszy jego opowiadania, pochwalił to postanowienie.

— Rzecz prosta, że nie możemy tego biedaka pozostawić na śmierć pewną w tem pustkowiu — rzekł — musimy odszukać murzyna.

— Niech pan sobie nie wyobraża, że to łatwa sprawa — odezwał się stary Ruperto. — Czyż warto zresztą dla murzyna tyle sobie kłopotu zadawać? Spieszmy lepiej do obozu, bo i tak straciliśmy czasu nie mało.

— Jeżeli panowie nie chcecie ratować mego przyjaciela — odparł chłopak — to i ja waszej pomocy nie przyjmę i zostanę tu na stepie.

— Dziwna przyjaźń — mruknął pogardliwie Ruperto — żeby też tak się rozkochać w murzynie...

— Gdybyś go pan znał, inaczejbyś sądził — mówił Dik i z zapalem opowiadać zaczął, jak wiele dobrego wyświadczył mu ten poczciwy murzyn, który nie tylko przyjacielem, lecz dobroczyńcą stał się dla niego.

— No, musi to być naprawdę niepospolity murzyn ten Cezar — zawyrokował Sadowal.

Don Ramon wysłuchał tej sprzeczki w milczeniu, chociaż sam ani na chwilę nie był odstępiał od zamiaru ratowania murzyna.

— Bądź spokojny — rzekł w końcu, zwracając

się do chłopca — nie powrócimy do obozu, póki nie odzyskamy tego, którego przyjacielem swoim nazywasz.

— A ja zaraz powiem — zawołał Dik uradowany — jakim sposobem go odzyskamy z łatwością.

— No, no, patrzcież państwo, kurczę chce być mędrze od kury — zaśmiał się Ruperto.

— Ten pies — mówił dalej Dik, nie zważając na żart starego — przyuczony był do tropienia murzynów. Sultan niezawodnie nas doprowadzi do przyjaciela mego, Cezara, który nie mógł odejść daleko, bo także był bardzo osłabiony.

— A! to co innego — zawołał Ruperto — czemuż od razu nie wspomniał o psie.

— Nie traćmyż czasu — ozwał się don Ramon.

— Psisko jest tak wycieńczone i zmęczone, że niedaleko zajdzie — rzekł Sandowal; — mam tu trochę wody we flaszcze, napoję biedaka, raźniej potem pobiegnie.

Stary myśliwiec napoił psa z dłoni, czem go tak orzeźwił, że Sultan podskakiwać zaczął wesolo. Dik wówczas wymówił kilkakrotnie imię Cezara, znakami dając roztropnemu zwierzęciu do zrozumienia, aby szukało murzyna. Po chwili Sultan z nosem spuszczo-
nym ku ziemi puścił się żwawo w kierunku, w którym Cezar odszedł, zostawiając się z towarzyszem.

— Siadaj tu koło mnie — rzekł Johnson i podniósłszy chłopca, jak piórko, posadził go przy sobie na koniu.

Ku wielkiemu podziwieniu Dika, jechali tak ze dwie godziny, a pies biegł ciągle naprzód, nie okazując ani wahania, ani wątpliwości żadnej. Gdyby

go Dik nie znał tak dobrze i nie był pewny jego roztropności, sądziłby może, że zmylił trop murzyna; lecz Sultan niezdolny był do tego, niezawodnie ani na chwilę nie zboczył z drogi, którą szedł Cezar. Przejeżdżano obok kilku małych kępek drzew i krzewów koleczastych, i przy każdej spodziewano się na koniec zastać murzyna; nadzieja jednak zawodziła raz po raz. I otóż znów jeźdźcy ujrzeli przed sobą drzewa, lecz zauważyli zarazem, że ponad niemi w powietrzu krążyła gromada sępów. Ptaki spuszczały się niekiedy niżej, dotykały skrzydłami wierzchołków drzew, za każdym razem jednak unosiły się znowu i krakały wysoko w powietrzu.

— Chyba padlina jaka leży pod drzewami — rzekł Sandowal.

— Głupstwo — mruknął Johnson — gdyby to była padlina, toby sępy na niej siedziały. Murzyn musi tam leżeć.

— O, mój Boże! on już może nie żyje! — zawołał Dik żałośnie.

— Głupstwo także — powtórzył myśliwiec — gdyby nie żył, toby żarłoczne ptactwo nie traciło czasu. Ale ono zawczasu czyha na ucztę, gdyż bardzo jest przezorne i przewidujące.

— O, śpieszmy, śpieszmy, zlituj się pan — błagał chłopak — okropneby to było, gdybyśmy przybyli zapóźno.

— Zapóźno nie będzie, mam nadzieję, ale i nie zawcześnię — mówił myśliwiec, spinając konia ostrogami.

Sultan także coraz śpieszniej biegł ku tym drzewom, nareszcie gromadka jeźdźców się zatrzymała:

— Jest, leży tam nieborak! — zawołał don Ramon, wskazując ręką murzyna, wyciągniętego pod drzewem.

— O Boże wielki! nie powstaje nawet, chociaż powinienby nas już zobaczyć i usłyszeć... — wołał Dik przerażony.

— Nie powstaje, ale rękoma porusza, więc żyje — rzekł Sandowal.

— Zdaje się, że porusza rękoma nieprzytomnie, opędzając się od drapieżnych ptaków, których krakanie mu dokucza — mówił Johnson.

Zsiadłszy z koni, jeźdźcy zbliżyli się do murzyna; Dik wyprzedził wszystkich i przykląkł obok przyjaciela, któremu Sultan lizał ręce. Cezar otworzył oczy, spojrzał błędnie i znowu je przymknął, machając rękoma.

— Wody, wody, on kona! — wołał żałośnie Dik i, objawwszy murzyna ramionami, okrywał go z pieczętotami, powtarzając z płaczem: — Cezarze, Cezarze, przyjacielu mój najdroższy, to ja, Dik, ocknij się, przemów do mnie!

Tymczasem wszyscy otoczyli biedaka. Don Ramon podniósł mu głowę, a Johnson wyjął flaszkę, napełnioną wodą i zbryzgał nią twarz omdłonego, po czem zaczął mu zwilżać usta spieczoną gorączką, wlewając w nie ostrożnie po parę kropel wody. Po długich staraniach murzyn otworzył wreszcie oczy i napił się cheiwie; jeszcze chwilę leżał nieruchomy, w końcu spojrzał przytomnie dokoła, a gdy wzrok jego zatrzymał się na Diku, uśmiech rozjaśnił mu twarz pocziw.

— Dik! — szepnął ledwo dosłyszalnym głosem,

a jednak ileż w tym jednym wyrazie było głębokiego uczucia, ile radości z wybawienia przyjaciela.

Cezar wkrótce przyszedł do siebie i mógł opowiedzieć ostatnie swoje przygody. Były bardzo proste, świadczyły jednak o niezmordowanych usiłowaniach pocziwca, który poświęceniem własnego życia pragnął być uratować młodszego i słabszego towarzysza. Przez kilka godzin krążył po stepie i gdzie tylko dostrzegł drzewka lub krzaczka, szukał upragnionej wody, a szukał jej nie tyle dla siebie, ile dla Dika, o nim jedynie myśląc podczas tych poszukiwań. Nakoniec padł bezsilny pod drzewami i powstać już nie był w stanie; wkrótce też stracił przytomność i sam nie wiedział, jak długo tam leżał, gdy go przebudziło gwałtowne ułknięcie w twarz. Otworzywszy oczy, zobaczył dwa sępy, które siedziały mu na piersiach i twarz dziobały, uważając go za umarłego. Przerażony tem, zaczął prawie bezwiednie poruszać rękoma, odpędzając żarłoczne potwory, walka ta jednak nie byłaby z pewnością długo potrwała.

Dwaj przyjaciele uściśnęli się serdecznie i teraz dopiero zrozumieli w całej pełni, jak okropnej śmierci uniknęli. Serca ich z uczuciem niewymownej wdzięczności zwróciły się ku Temu, którego Opatrzność tak widomie czuwała nad nimi i uratowała ich od tylu strasznych niebezpieczeństw, w tylu przygodach wspierała ich swoją pomocą.

Gdy już Cezar mógł wstać i wsiąść na konia, Sandowal posadził go przy sobie; Ruperto miał do murzynów niepokonane uprzedzenie. Johnson tak doskonale był obeznany ze stepem, że ani razu nie zmylił drogi; jechano jednak tak wolno, że nad wie-

czorem dopiero jeźdźcy dotarli do okolicy, gdzie już śladów pożaru nie było i ujrzeni przed sobą przejrzyste nurty rzeki, w której Johnson poznał jeden z większych dopływów Arkansasu. Postanowiono tutaj zanoć, ażeby dwaj znużeni i osłabieni wędrowcy wypoczęli należycie. Siedząc przy ognisku, Cezar i Dik opowiedzieli i dawniejsze swoje przygody, przyczem z uwielbieniem największem wspominali o białym myśliwcu, wybawcy i opiece obu.

— Jakże się nazywa ten człowiek, który wam tyle dobrego wyświadczył? — zapytał nagle Johnson, zrywając się z miejsca, jakby nową jakąś myślą tknięty.

— Serce prawe — odpowiedział Dik. — Czy go pan znasz może?

— Czy ja go znam! — wykrzyknął myśliwiec — ale mówcież prędzej, gdzie on się obraca, czemu go niema w tych stronach?

Chłopcy opowiedzieli w krótkości wszystko, o czem czytelnicy nasi od dawna już wiedzą.

— Czemuż ta wiadomość nie doszła do mnie wcześniej! — wykrzyknął myśliwiec, podnosząc ręce w górę — my tu siedzimy, czekamy, wyglądamy go tak niecierpliwie, a on tam życie naraża i krew przelewa w obronie uciśnionych.

— Co pan mówisz? — odezwał się don Ramon zdumiony — cóż to za jeden, ten myśliwiec, którego nazywacie Sercem prawem? Wszak my tu czekamy na mego syna, Rafaela de Saavedra?

— Don Ramonie — odrzekł Johnson z pewną goryczą — zabroniłeś pan synowi nosić swego na-

zwiska, więc mu dajemy inne, zdobyte własną załugą.

— Jakto? ten myśliwiec, o którym chłopcy mówią z takim uniesieniem, to syn mój, Rafael?

— Rozumie się. Przyjaciele jego Indyanie dali mu to imię tak stosowne dla niego, Serce prawe. Myśliwcy i traperzy nazywają go także «Pogromcą tygrysów», bo zgładził z tego świata niezmierne mnóstwo jaguarów, gdy przebywał w Meksyku i innych krajach pogranicznych.

— O mój Boże! więc on teraz może narażony jest na tysiączne niebezpieczeństwa w walce z krwiożerczymi Pawnisami, a my tu siedzimy bezczynnie, zamiast śpieszyć mu z pomocą! Nie traćmyż ani chwili czasu; na koń, towarzysze, może jeszcze w porę przybędziemy na jego ratunek, lub przynajmniej podzielimy z nim niebezpieczeństwa!...

— Nie tak nagle, don Ramonie, nie tak nagle — uspakajał Johnson rozgorączkowanego ojca — jeszcze przybędziemy w porę. Do siedlisk Osagów to kawał drogi, więc nim się tam dostał, upłynęło sporo czasu. A i Osagowie w jeden dzień przecież nie przygotują się do wojny z potężnym nieprzyjacielem. W każdym razie i ja nie myślę ociągać się dłużej niż potrzeba z odjazdem, bo radbym uściskać przyjaciela jak najprędzej.

— Już mów pan sobie co chcesz, a ja obstaję przy swoim i proszę na wszystko, abyśmy natychmiast do obozu wracali.

— Chyba pan chcesz koniecznie zablądzić i tak drogę przedłużyć, ażebyśmy i jutro do obozu nie dojechali.

Don Ramon westchnął, lecz nie już nie odpowiedział, widział bowiem, że z koniecznością zgodzić się potrzeba. Nie zważając na osłabienie Cezara i Dika, długo jeszcze usnąć im nie dał i rozpytywał o tego, którego zwali Sercem prawem. Najdrobniejsze szczegóły go zajmowały, kazał im powtarzać po kilka razy jedno i toż samo; późno w noc dopiero spostrzegł, że chłopcy upadają ze znużenia i zachęcił ich, aby się udali na spoczynek. Dnia następnego nad wieczorem jeźdźcy przybyli do obozu; zdobywcę ich myśliwska ograniczała się do kilku kurek stepowych i małych stepowych zajęcy, przywozili natomiast ważne wieści.

Czyż potrzebujemy opisywać powitanie dwóch braci, którzy tak niespodzianie spotkali się zdala od domu i od swoich? Długo trzymali się w objęciach, płacząc rzewnie. Po pewnym czasie dopiero Ben spostrzegł murzyna i wyraz zdziwienia, a zarazem i pewnej odrazy ukazał się na jego twarzy.

— Co ten lotr tu porabia? — szepnął do Dika — toż on jest przyczyną wszystkich naszych nieszczęść.

Dik, odprowadziwszy brata na stronę, zaczął opowiadać o poświęceniu pocziwego murzyna, jak go dwukrotnie uratował od śmierci, jak czuwał nad nim w chorobie, i ile mu wyświadczył dobrego; wspominał także o jego niepospolitej roztropności i rozlicznych wiadomościach, któremi się z nim dzielił tak chętnie. Ben słuchał, lecz głową kręcił, jakby słowom brata niedowierzał; wszystko to zdawało mu się tak nieprawdopodobne i niepojęte, że nie umiał pogodzić się z myślą, aby ten murzyn, którego on za sprawcę swej niedoli uważał, mógł zasługiwać na

życzliwe uczucie... I on jednakże miał się uleczyć z czasem z tych niesłusznych i niegodnych uprzedzeń.

Don Ramon, niespokojny o syna, zaraz po powrocie do obozu wydać chciał rozkaz, by wszyscy gotowali się do drogi dnia następnego o świcie. Mieli jechać wprost do koczowisk Pawnsów, gdyż tak radził Johnson, który jednak zbyt niego pośpiechu nie pochwalał, mając do tego aż nadto ważne powody.

— Musimy przedewszystkiem zaopatrzyć się w zapasy żywności — mówił — jutro więc, mojem zdaniem, powinniśmy się wybrać liczniejszą gromadką na polowanie. Tym razem będziemy pewnie szczęśliwsi i natrafimy na to stado żubrów, które tu niezawodnie w okolicy się włóczy. Trzebaż zresztą pomyśleć i o tem, że nam przybyło trzech ludzi; jakże ich teraz zabierzemy z sobą? Z niewielkiej odległości mogliśmy ich przywieźć na swoich koniach, — w dalszą podróż jednak niepodobna tak się puszczać. Nietrudnoby zaś było postarać się o wierzchowce dla nich; na stepach hasają całe stada dzikich koni, idzie więc tylko o to, by parę z nich złowić, a w gromadce naszej znajdują się tacy, którzy to potrafią.

Don Ramon musiał w końcu przyznać słusność doświadczonemu myśliwcowi, który znał dobrze puszcze i stepy, i bezwątpienia najlepiej wiedział, w jakich warunkach można odbywać dalekie wędrówki na tych niezmiierzonych przestrzeniach. Postanowiono więc dzień następny poświęcić polowaniu na żubry i łowom dzikich koni, tak zwanych «mustangów». Ponieważ kilku ludzi musiało pozostać na straży w obozie, więc don Ramon pozwolił Cezarowi i dwu Wattsonom wsiąść na ich konie i wziąć udział w wy-

prawie, na co chłopcy, rozumie się, z wielką radością przystali.

Nazajutrz gromadka jeźdźców wyruszyła z obozu przed wschodem słońca, wkrótce jednak się rozdzieliła; jedni pod wodzą Johnsona pojechali szukać żubrów, drudzy skierowali się w inną stronę, gdzie spodziewali się napotkać stado koni. W tym drugim oddziale znajdował się don Ramon z córką, oraz trzej nasi młodzieńcy. Kilku ludzi wprawnych do łowienia koni uzbroidło się w stosowne do tego przyrządy; jedni mieli dobrze znane łąsy, inni znów tak zwane bolasy. Bolas składa się z trzech niezbyt długich rzemieni, które z jednej strony są zczepione razem, a z drugiej mają końce obciążone zaszytymi w skórę okrągłymi kamkami. Przyrząd ten ciska się za koniem w taki sposób, ażeby ciężkie kamki, wprowione w ruch obrotowy, opłatały mu rzemieniami nogi i obaliły na ziemię.

Cezar upewniał, że umie się obchodzić z obutymi przyrządami, gdyż nieraz już dawniej konie łowił; usłyszał to jeden z tych, którzy zostawali w obozie, i dał mu swoje łąsy. Łatwo się domyślić, że Dik z tego powodu z podwójnym zaciekawieniem jechał na te łowy. Na przewodnika obrano niemłodego, doświadczonego «Peona», — tak nazywają w Meksyku ludzi, zajmujących się ujeżdżaniem i doglądaniem koni. Ten wkrótce spostrzegł na stepie świeże ślady kopyt końskich; jechano za tymi śladami z pół godziny, gdy nagle peon przystanął i, wyciągnawszy rękę, wskazał jakiś oddalony przedmiot, wołając:

— Tam, tam są, już je mamy!

— Ale cóż ty tam widzisz? — pytał don Ra-

mon, który daremnie wzrok wyteżał, patrząc w stronę wskazaną.

— Jakiś ruch tam widać, ojcie — odezwała się Karmela — wygląda to tak dziwnie, jakby las, gwałtownym wichrem miotany. Czyżby to miało być stado koni? — zapytanie to zwróciła do peona.

— A tak, panienko — odrzekł — i wcale piękne stado.

— Musi tam być najmniej trzysta koni — mówił tymczasem Cezar do Dika.

— A czy złowisz dla mnie konika? — spytał chłopak — wiem, że potrafisz wybrać ładnego.

— Wybrać potrafię i złowię z ochotą — odpowiedział murzyn — nie wiem tylko, czy Dik na takim koniu pojedzie, bo na to trzeba być doskonałym jeźdźcem.

Podjechano tymczasem do owego stada tak blisko, że już z łatwością rozróżnić można było każdego konia.

— Ależ one wcale na nas nie zważają — mówił Dik.

— I nie będą zważały — odrzekł Cezar — póki nie usłyszą wyraźnie odgłosu kopyt naszych wierzchowców, nie mają bowiem bystrego wzroku.

— Rozdzielmy się, nie najeżdżajmy na nie całą gromadą — zakomenderował stary peon. Jeźdźcy ustawili się jedni za drugimi w dość znacznych odstępach, Dik jednak trzymał się obok przyjaciela murzyna, a Karmela nie odstępowała ojca. Ci ostatni zostali oboje trochę w tyle, gdyż ani ojciec ani córka nie mieli zamiaru czynnie do łowów należeć.

Dzikie konie spostrzegły wreszcie najeżdżają-

cych, nie okazywały jednak zbytnej obawy i nie śpieszyły z ucieczką. Duży, przepyszny koń kary, pasący się w niejakiem oddaleniu od reszty stada, najpierwszy głowę podniósł, dmuchnął rozwartemi nozdrzami, parsknął, kopnął ziemię przednimi kopytami i zarżał głośno. Natychmiast wszystkie inne konie paść się przestały; jedno po drugich podnosiły lby i rżały, jakby hasło, dane przez przewodnika, przechodziło przez wszystkie szeregi. Po chwili całe stado poruszyło się; piękny karosz szedł na przedzie, — lecz nie była to wcale ucieczka. Przeciwnie, dzikie konie postąpiły ku jeźdźcom, jakby szły na ich spotkanie, i dopiero znacznie zbliżywszy się już do nich, zwróciły się na prawo; i teraz jednak nie uciekały, tylko poczęły galopować, zakreślając wielkie koło naokoło gromadki jeźdźców.

— Stać teraz na miejscu, nie ruszać się! — półgłosem komenderował stary peon — zsiadać z koni i ukryć się za nimi.

Rozkazy te szybko przechodziły z ust do ust i śpiesznie wykonane zostały, a tymczasem mustangi coraz ciasniejszym kołem opasywały łowców, ani się domyślając podstępnych ich zamiarów i pragnąc z braćmi swoimi przyjazne zawiązać stosunki. Doświadczony peon nie darmo kazał jeźdźcom pochować się o ile możności za wierzchowcami; wiedział on, że dzikie konie, gdy tylko spotkają się z oswojonymi, zaraz usiłują je do siebie zwabić. A trzeba wiedzieć, że owe stada mustangów amerykańskich nie są to właściwie dzikie, lecz zdziczałe konie, pochodzą bowiem od oswojonych, które niegdyś oswobodziły się z niewoli. Pierwsi zdobywcy nie zastali

koni w Ameryce; przewieziono je tam z Europy i liczne te stada, uganiające po niezmiernych stepach i pampasach, są wszystkie europejskiego pochodzenia. I dziś konie oswojone chętnie zaprzyjaźniają się z dzikimi, jeśli się sposobność do tego nadarzy i uprzejmie przez nie zapraszane, łączą się ze stadem. Niejeden wędrowiec nieostrożny stracił tym sposobem pięknego wierzchowca; ale i łowcy ze swej strony umieją ten zwyczaj mustangów na swoją korzyść wyzyskać.

Całe stado krążyło tak blisko naszych łowców, że mogli doskonale obejrzeć każdego pojedynczego konia, ocenić piękność jego kształtów, zwinność i siłę. Maść ich była jak najrozmaitsza; kare, gniade, bułane, kasztanowate, szpaki wszelkich odcieni migwały w szybkim pędzie przed oczyma znawców, — mieli w czem wybierać.

— Niechże teraz każdy upatrzy sobie jednego konia, który mu się najlepiej podoba — odezwał się stary peon — już pora się zbliżyć, zaraz rozpoczniemy łowy.

— Gdyby to można było naprawdę wybierać — szepnął Dik do Cezara — tobym wybrał tego pysznego karosza, co biegnie ciągle na przedzie, jakby prowadził całe stado. W życiu mojem nie widziałem jeszcze tak pięknego rumaka. Patrz, jaką on ma szersę czarną, błyszczącą, jak heban; a jak prześlicznie wygląda ta długa grzywa rozwiana, ogon podniesiony do góry, a oczy! błyskawice z nich strzelają, skry się sypią. Ach, cóżbym dał za to, żeby tego karosza można było złapać! Cóż to za koń, co za koń!

— Co też tobie w głowie — mówił Ben — to

przewodnik, a przewodnika złowieć niełatwo, — rzadko komu udaje się taka sztuka. Jest on zawsze najroztropniejszy, najsilniejszy i najdzikszy z całego stada. Jakże możesz przypuszczać nawet, ażeby murzyn takiego konia złowił. Dostyć byloby z niego, żeby któremu z najgorszych dał radę.

Cezar nie odpowiedział na te pogardliwe wyrazy i rzekł spokojnie, zwracając się do Dika:

— Zobaczymy, zrobi się, co można.

Lecz od tej chwili nie spuszczał z oczu karo-sza i śledził każde jego poruszenie, jakby chciał bliżej się z nim zapoznać.

— Ja ciebie nie odstąpię podczas łowów — szepnął Dik.

— Ciekawym, co z tego będzie — mruknął Ben.

— Baczność! — odezwał się w tej chwili donośny głos peona, a w parę minut potem zawołał: — Na koń!

Z szybkością błyskawicy jeźdźcy wskoczyli na konie, a łowcy, unosząc w rękach lassa i bolasy, jak wichher puścili się po stepie i pognali za upatrzonymi mustangami. Całe stado jednym chórem zarżało, lecz teraz w rzeniu tem brzmiała trwoga i dzikie konie poczęły umykać we wszystkie strony.

Murzyn miał ciągle wzrok utkwiony w karo-szu przewodniku, który biegł i teraz w potężnych susach i raz po raz głośnem rzeniem wzywał towarzyszy do śpiesznej ucieczki. Cezar, Ben i Dik jechali wszyscy trzej na wybornych wierzchowcach, don Ramon wybrał bowiem do tej podróży najlepsze konie ze swych stajen. Nietylko murzyn, ale i obaj bracia nie pozostali w tyle za stadem i coraz więcej

zbliżali się do pięknego karego ogiera. Ale ten dotychczas widocznie zwalniał biegu, nie chcąc reszty stada odstąpić; teraz zaś spostrzegłszy grożące z blisko niebezpieczeństwo, pomknął nagle jak strzała.

— Cha cha cha! a co teraz będzie, przemądry murzynie? — zaśmiał się Ben — dajmy za wygraną i wracajmy.

Cezar i Dik nie zważając na te szyderstwa Bena, spięli konie ostrogami i jak wichher popędzili w po-goń za karoszem. Ben przez ciekawość, jak mówił sam do siebie, pomknął także za nimi. Wkrótce zbliżyli się znacznie do pięknego konia.

— Wiesz co — mówił Dik do murzyna — możemy go i naprawdę dogonimy. Mniejszy jest od naszych wierzchowców i chociaż prędzej nogami prze-biera, dwa kroki prawie na ich jeden robić musi.

Cezar nie odpowiedział. Całą uwagę skupił na karoszu, wzrok wyteżył i śledził wszystkie jego ruchy. Koń pędził ciągle, jak szalony; kiedyniekiedy odwracał łeb i rżał z coraz to większą trwogą. Gdy Ben obaczył, że powodzenie łowów stawało się bardzo prawdopodobne, i jego nakoniec ogarnął zapal.

— Możebyśmy się rozdzielili — zawołał — i natarli na niego z różnych stron.

— To byloby doskonałe — odrzekł Cezar.

— Wskażże nam, co mamy robić — mówił Dik.

— Czyżby Ben chciał mnie usłuchać? — szepnął murzyn.

— Ależ usłucham, usłucham! — wołał tamten z żywością — dowództwo do ciebie powinno należeć.

— Jeżeli tak — mówił Cezar, zawsze w pełnym galopie — to niechże Ben, który ma najlepszego wierz-

chowca, spróbuje karosza wyprzedzić i drogę mu zabiegnać. Dik niech dobrze uważa, czy na prawo czy na lewo się zwróci i przetnie mu znowu ucieczkę z boku. Ja tymczasem przygotowuję lasso i zarzucę mu je na głowę.

— Wyborny pomysł! — wykrzyknął Ben — ale czyż ty potrafisz lasso zarzucić?

— Już niech Ben o to się nie troszczy.

— Naprzód! — zawołał Ben i pomknął z kopyta, podczas gdy obaj towarzysze jego na chwilę powstrzymali swoje rumaki, dając im się trochę wysapać.

Ben doskonałym był jeźdźcem i miał w rzeczy samej najlepszego wierzchowca; zrównał się też wkrótce z uciekającym karoszem, wyprzedził go i zmusił do zbiegnięcia z drogi. Ogier zarżał rozpaczliwie i zwrócił się na prawo.

— Teraz na mnie kolej! — zawołał Dik uszczęśliwiony i wypuścił konia tak gwałtownie, że o mało czapeczka nie spadła mu z głowy. Z łatwością zabiegł drogę karoszewi; ten oszalały znów w inną stronę się zwrócił, lecz tu Bena powtórnie zobaczył przed sobą.

Cezar tymczasem nie próżnował. Rozwinął długie lasso, jednym końcem silnie przytwierdzone do siodła, prawą ręką podniósł sznur z pętlą ponad głowę i z błyskawiczną szybkością przyskoczył do karosza, którego dwaj bracia trzymali w szachu. Ten, oszalały na widok trzeciego napastnika, ogromnym susem rzucił się w bok, stanął dęba, okręcił się na tylnych nogach i byłby się niezawodnie wymknął z tej pułapki, gdyby Cezar opóźnił się o jedno mgnie-

nie oka. Lecz murzyn korzystał z chwili, gdy zwierzę obok niego przemknąć się miało, wywinął pętlą w powietrzu i zarzucił ją z zadziwiającą zręcznością na szyję ogiera. Skoro tylko pętla dosięgła celu, Cezar spiał konia swego ostrogami i puścił się galopem w stronę przeciwną. Gwałtowny pęd nie tylko zaciągnął pętlę, lecz nawet obalił pochwyconego karosza, który wlokł się nawpół uduszony po ziemi za swoim zwycięzcą. Ben i Dik przyskoczyli z okrzykami tryumfu.

— Znakomicie, nieporównanie! A to ci się udało! — wołał Ben ze szczerem uwielbieniem.

— Ale co my teraz zrobimy z tym koniem? — mówił Dik z zakłopotaniem — złowiliśmy go, to prawda nie wiem jednak, jak my zdołamy tę zdobycz odprowadzić do obozu? Leży teraz spokojnie, bo ledwo dysze, lecz niechno przyjdzie do siebie, natychmiast zacznie brykać i dokazywać po swojemu.

— Może sobie brykać do woli — odrzekł Cezar — będzie miał na grzbiecie takiego, co go uchodzi.

— Jakto! — wykrzyknęli jednogłośnie dwaj bracia — czyż tybyś się odważył wsiąść na tego dzikiego, rozhukanego konia?

— Zapewne, i muszę się z okielznaniem i osiodlaniem pośpieszyć, nim przyjdzie do siebie; Ben i Dik będą laskawi odprowadzić potem mego wierzchowca na innej, zapaśnej uździenicy, którą zabrałem ze sobą. Lasso musi jeszcze pozostać zaciśnięte czas jakiś, póki się nie załatwię z osiodlaniem tego dzikusa. Wygodniejby mi było daleko, gdybym go mógł uwiązać do drzewa, ale tu niema co o tem myśleć, — trzeba sobie i tak poradzić.

Wszyscy trzej posiadali tymczasem z koni; Cezar zajął się włożeniem na dzikiego karosza uździenicy i siodła, a dwaj bracia trzymali w mierze lasso, ażeby ciągle tamowało oddech zwierzęcia, nie dusząc go jednakże.

— Puszczajcie! — zawołał wreszcie Cezar, gdy ukończył swoje zadanie. Zdjął pętlę z szyi konia i skręcił lasso w kilkoro, biorąc je teraz do ręki zamiast bata, — a był to bat nielada. Zaledwie ogier uczuł się oswobodzony z duszącej pętli, zerwał się z błyskawiczną szybkością na nogi, lecz Cezar niemniej był zwinny od niego i w tejże samej chwili siedział mu już na grzbiecie.

Koń stał przez czas jakiś nieruchomo, drżał cały; niezwykle ciężar, który czuł na sobie, widocznie dziwił go i przerażał. Wkrótce jednak pomiędzy jeźdźcem i wierzchowcem rozpoczęła się walka zawzięta. Dzikie mustang pomknął naprzód, zatrzymał się nagle i stanął dęba; przez chwilę zdawało się, że się na wznak przewróci. To znów wsadził leb pomiędzy przednie nogi, a tylnymi wierzgał szalenie. Kłękał, kładł się na ziemi i próbował tarzać; leb wykrywał, usiłując zębami pochwycić jeźdźcę, i znów zrywał się, skakał i szalał najokropniej. Nie zdołał jednak wysadzić z siodła jeźdźcę, który zdawał się z nim zrosnąć. Nieraz też ciężkie lasso smagało niesfornego konia po bokach na dowód, że jeździec nie obawia się tych wszystkich wybryków.

Z godzinę mozolił się tak Cezar z dzikim karoszem, a Ben i Dik, siedząc na swoich koniach i trzeciego luzem prowadząc, nie oddalali się od niego ani na chwilę. Nareszcie mustang zaczął upadać na si-

lach; cały pianą okryty, nozdrzami, rozwartymi szeroko, chwytal gorączkowo powietrze i dziko toczył wokół oczyma nabiegłymi krwią; czas jakiś jeszcze rzucił się wściekle, lecz widocznie był już pokonany.

— Sprawa skończona — rzekł Cezar, oddychając głęboko, bo i on był zmęczony nie na żarty. — Gdybym nie miał do czynienia z niezwykle silnym i dzielnym koniem, tobym się nie odważył ujeżdżać go w sposób tak gwałtowny. Inny nie byłby wytrzymał, ale to konik nielada — będzie miał Dik znakomitego wierzchowca!

— Muszę ci oddać sprawiedliwość, Cezarze — odezwał się Ben — widzę, że brat mój nie przesadzał wcale, wysławiając twoje zalety. Nieporównany z ciebie chłopak; pragnę odtąd być twoim przyjacielem.

Podczas tej rozmowy karosz nie przestawał brykać ciągle potrosze, coraz mniej jednak, i coraz powolniej dawał się powodować murzynowi. Ten był uszczęśliwiony swoim powodzeniem, mówił bowiem, że dzikie konie nie zawsze dają się tak łatwo uchodzić; czasem nawet niema sposobu ich ujeżdżyć i łowcy muszą je w końcu wypuścić na swobodę, — niecierpliwi w leb strzelają niesfornemu zwierzęciu.

Gromadka łowców późnym wieczorem przybyła do obozu; karosz szedł za innymi końmi, niebyt co prawda ochotnie; jeźdźca mniej wprawnego niż Cezar z pewnością byłby wysadził z siodła, — w każdym razie dał się na miejsce doprowadzić, co już niemało znaczyło.

Innym łowcom także się nieźle powiodło; przyprowadzono do obozu ze sześć mustangów, żaden jednakże nie mógł iść w porównanie z pysznym karo-

szem. Wszyscy podziwiali murzyną, obsypując go pochwałami; tym jednym bohaterskim czynem Cezar pozyskał powszechny szacunek, urósł w oczach tych ludzi, ceniących nadewszystko siłę fizyczną i zręczność. Nawet niechętny mu dotychczas Ben od tej pory zaprzyjaźnił się z nim serdecznie, ku wielkiej radości brata.

Oprócz pięknego karosza zatrzymano jeszcze dwa najpiękniejsze mustangi; inne, jako niepotrzebne, wypuszczono na wolność. Wyprawa myśliwska John-sona powiodła się także, nie było więc już żadnego powodu odwlekać wyjazdu do koczowisk Pawnisów. Zaraz też dnia następnego karawana puściła się w drogę; na trzech świeżo złowionych koniach jechali Cezar i dwaj starsi, doświadczeni jeźdźcy; Ben i Dik wzięli po nich dobrze ujeżdżone konie.

XXIV.

Serce prawe.

Do zrozumienia dalszych wypadków, musimy znowu cofnąć się wstecz o kilka tygodni.

W godzinach popołudniowych gorącego dnia letniego, mała gromadka wędrowców w milczeniu i bez szelestu przesuwiała się przez las. Składała się z trzech Indian i dwóch białych, w zwykłym ubiorze osadników. Na twarzach wszystkich wyryty był głęboki smutek, a także wielkie znużenie.

— Nie, już dalej iść nie zdołam, musimy tu wypocząć nieco — wyrzekł starszy z dwóch białych i mó-

wiąc to usiadł pod rozłożystym orzechem; młodszy towarzysz niebawem poszedł za jego przykładem. Trzej Indianie, nie wymówiwszy ani jednego słowa, usiedli także w pewnem oddaleniu od białych. Wszyscy musieli być ogromnie znużeni, gdyż nie przerywając milczenia, rozciągnęli się na ziemi i jeden po drugim usnęli.

W pół godziny później na tejże samej drodze, którą przybyli ci wędrowcy, ukazał się mężczyzna atletycznej postaci, w stroju traperów, z ciężką strzelbą na plecach. Bystry wzrok jego dostrzegł już z daleka śpiących pod drzewami. Zbliżył się i przystanął, nie zbudził ich jednak, lecz zdjawszy powoli strzelbę z pleców, oparł ją o pień drzewa i stanął przy niej, poczem na tymże samym pniu wsparty, ręce na pierśsiach skrzyżował i spoglądał spokojnie na uspionych wędrowców.

— To dobrze — mruknął sam do siebie — nie omyliłem się. Ale nie mogłem się mylić, za dobrze znam te ślady. Poznałem też od razu, że są bardzo świeże. A więc po raz drugi tych dwu ludzi spotykam i z przyjemnością widzę ich w tak dobrem towarzystwie. Lepszych przewodników i opiekunów nie mogli sobie dobrać. Ale gdzie może być wódz z innymi? Musiał gdzieś na chwilę odejść, a ci wypoczywają tymczasem; niechże się wyśpią, krótki wypoczynek i mnie nie zawadzi.

To powiedziawszy, myśliwiec także usiadł pod drzewem, jednak spać mu się widocznie nie chciało, bo nie przymknął oczu, lecz utkwil je w uspionych wędrowcach. Siedział tak z godzinę nieruchomo, jak posąg śpiżowy.

— Hm — mruknął wreszcie — śpią smacznie, niema co powiedzieć, sądzę jednak, że nie powinni za wiele czasu na to tracić w obecnych okolicznościach. Nie mieli pewnie zamiaru spać tak długo; trzeba ich zbudzić.

I w tejże chwili myśliwiec począł najdoskonalej naśladować mruczenie jaguara, na którego odgłos trzej Indyanie zerwali się nagle na równe nogi i pochwycili łuki. Szelest sprawiony przez nich przebudził także dwóch białych ludzi, którzy również wzięli strzelby do ręki i szybko powstali.

— Hug! — wykrzyknęli jednogłośnie Indyanie, gdy spostrzegli myśliwca; na twarzach ich pojawił się wyraz radosnego zdziwienia.

— Serce prawe! — zawołali obaj biali ludzie, dawni znajomi nasi, osadnik Wattson i syn jego Jan.

— Tak, tak, ja to jestem, panie Wattsonie — odpowiedział Serce prawe, gdyż on to był we własnej osobie — cieszę się bardzo z tego spotkania. Idę od wczoraj rana za śladami panów, natrafiwszy na nie przypadkiem. Musiałem też porządnie pośpieszać, aby za panami podążyć. Przykro mi tylko, że spotykamy się pośród smutnych okoliczności.

— Bóg doświadczył mnie ciężko od ostatniego widzenia się naszego — odrzekł Wattson, ściskając serdecznie dłoń myśliwca, co też uczynił i syn jego.

— Nie rozpaczaj pan — mówił Serce prawe — wszystko jeszcze za łaską Bożą odmienić się może. Czy masz pan jaką pewną wiadomość o córce?

Wattson zaczął opowiadać od początku, jakim sposobem zapoznał się w lesie z Orłem czubatym i jego wojownikami.

— Gdzież jest przyjaciel mój, wódz Osagów? — przerwał mu Serce prawe, a gdy Wattson ociągał się z odpowiedzią, zwrócił się z tem samem pytaniem do Indyan. Twarze ich, już i przedtem posępne i smutne, przybrały wyraz nieopisanego bólu i żalości.

— Mówcież, co się stało z Orłem czubatym? — powtórzył po raz trzeci niespokojnym głosem pytanie swoje myśliwiec.

— Orzeł wpadł w żarłoczne paszcze wilków, wilki chciwie pochwyciły swą zdobycz — wymówił jeden z Osagów grobowym głosem.

— Co to jest? mówcie wyraźniej, powiedzcie mi całą prawdę — wołał myśliwiec, zwracając się do Wattsonów, głosem mocno wzruszonym.

— Jest jeńcem Pawnisów — rzekł osadnik ze smutkiem głębokim.

— Co pan mówisz! To niepodobna! — wołał myśliwiec z wyrazem gwałtownej boleści.

— Niestety! tak jest w rzeczy samej — potwierdził Jan słowa ojca.

— To być nie może! To być nie może! Nie wierzę temu! — powtarzał Serce prawe w uniesieniu namiętnego żalu — czy podobna, ażeby najrozumniejszy, najdzielniejszy, najzaciejszy ze wszystkich czerwonoskórych, wpadł w ręce śmiertelnych swych nieprzyjaciół?! Przyznajcie się, żeście chcieli zażartować ze mnie, a chętnie wam ten żart wybaczę.

— Wiemy od samego wodza — rzekł Wattson — jak serdeczny stosunek przyjaźni pana z nim łączy, Nie dziwimy się pańskiej rozpacz, lecz krzywdę nam wyrządzasz, podejrzewając nas o żart podobny.

Orzeł czubaty jest jeńcem Pawnisów... Posłuchaj pan, jakim sposobem wydarzyło się to straszne nieszczęście.

I Wattson opowiedział znane nam szczegóły myśliwcowi, a ten uspakajał się stopniowo słuchając, i gwałtowne, burzliwe jego wzruszenie zwolna przeszło w głęboki, cichy smutek.

— Orle czubaty, drogi, nieszczęśliwy przyjacielu! — powtarzał myśliwiec i ukrywając twarz w dłoniach, milczał przez chwilę pogrążony w bólu. Potem znów z żywością zwrócił się do Indian, wołając:

— I wy, tchórze, nie ratowaliście go, nie próbowaliście wydrzeć waszego wodza z rąk Pawnisów?

— Z dziewięciu wojowników Osagów trzech tylko powraca do siedlisk swoich — odrzekł z prostotą najstarszy Indianin. — Tamci odeszli do gruntów myśliwskich wielkiego ducha. Osagowie chcieli wydrzeć Orła z wilczych szponów, lecz nie zdołali tego dokazać: wilki trzymają silnie tę szacowną zdobycz.

— Ach! więc to dla tego jest was tu trzech tylko — mówił myśliwiec.

— Wysłuchajże pan do końca opowiadania naszego — odezwał się Wattson. — Gdy ten dzielny, szlachetny wódz Osagów odszedł do obozu, aby córkę swoją oswobodzić, myśmy zostali w lesie i w największej trwodze wyglądali jej przybycia. Zaraz potem mieliśmy napaść z hałasem wielkim na obóz Pawnisów, a podczas zamieszania, jakie stąd powstać miało, wódz spodziewał się umknąć. Lecz nie doczekaliśmy się mojej córki, natomiast dali się słyszeć z obozu dzikie okrzyki, a wśród nich odezwał się donośnie głos sępa, znak umówiony, którym Orzeł czubaty

nam oznajmiał, że plan jego się nie powiódł. Ach! była to dla nas wszystkich okropna chwila...

— Dalej, dalej, cóż potem? — naglił Serce prawe.

— Głos sępa był zarazem przestrogą dla nas, abyśmy się mieli na ostrożności i natychmiast uciekali z pobliża obozu. Takie było wyraźne polecenie wodza. Ale ponieważ nie wiedzieliśmy, co się stało, więc dwaj Indianie zakradli się pod sam obóz, i z podsłuchanej rozmowy uradowanych Pawnisów dowiedzieli się o uwięzieniu wodza. Ukryliśmy się w lesie, lecz gdy Pawnisy wyruszyli w dalszą drogę, szliśmy za nimi w pewnej odległości, bo ci wojownicy nie chcieli oddalić się od swojego wodza, nie chcieli go pozostawić w rękach śmiertelnych wrogów.

— Ach, tak! Jest on w rękach śmiertelnych swych wrogów, najokropniejszy koniec go czeka... Ale nie, nie, ja tego nie zniosę...

— Pozwólże mi pan dokończyć — przerwał osadnik...

— Dobrze, mów pan, ale jak najkrócej — rzekł Serce prawe, który znów swój zwykły odzyskał spokój.

— Pawnisy nas wysłedzili; polowali na nas zupełnie, jak na dzikie zwierzęta. Sześciu Osagów zginęło, zostało tylko trzech i my dwaj z synem. Bylibyśmy z pewnością zginęli co do jednego, a że jeńcom nie mogliśmy nieść żadnego ratunku, więc postanowiliśmy zawrócić z drogi i pójść uwiadomić o strasznym nieszczęściu cały lud Osagów, aby przyspieszył przygotowania wojenne i biegł na ratunek wodza. Szliśmy długo bez wytchnienia, aż nakoniec znużenie niepokonane nas ogarnęło i usnęliśmy pod temi drzewami...

— Bardzo dobrze się stało — przerwał myśliwiec — bo panów przecież dogoniłem; a teraz, dowiedziawszy się o wszystkim, bez zwłoki puszcę się do koczowisk Pawnisów.

— Co! pan to uczynisz? — wykrzyknęli jednogłośnie obaj Wattsonowie.

— Rozumie się, i biada tym zbójcom, jeśli włos spadnie z głowy Orła czubatego lub pańskiej córki! — wołał Serce prawe, a oczy jego ciskały błyskawice.

— W takim razie — rzekł osadnik — pozwól pan, abyśmy obaj z synem ci towarzyszyli. Ci trzej Osagowie prędzej zapewne bez nas dostaną się do siedlisk swoich.

— To dobrze — odparł myśliwiec — pójdziemy we trzech i czuwać będziemy nad jeńcami. Nim przybędą liczniejsi obrońcy, nie damy im krzywdy zrobić. Ale muszę jeszcze pomówić z tymi wojownikami.

Serce prawe zwrócił się do Indyan, którzy nie a nie z tej rozmowy białych nie rozumieli. Mówił z nimi dość długo, ale tak cicho, że osadnik i syn jego zaledwie parę wyrazów bez związku dosłyszeli. Gdy skończył, Indianie pożegnali go zarówno jak i obu Wattsonów i przyspieszonym krokiem puścili się w dalszą drogę.

— Idźmy i my — rzekł myśliwiec, a piękna twarz jego już przez ten czas odzyskała zwykły wyraz spokojny, lecz niewypowiedzianie smutny — niema chwili czasu do stracenia.

I zarzuciwszy strzelbę na plecy, poszedł w kierunku wprost przeciwnym tej drodze, którą odeszli Indianie. Osadnik z synem pośpieszyli za nim.

— Na szczęście znam doskonale najprostsza

i najkrótszą drogę do koczowisk Pawnisów — mówił Serce prawe po dłuższej chwili milczenia. — Ci hultaje, jadąc konno i wielkim taborem, musieli wybrać daleko dłuższą, a chociaż znacznie nas wyprzedzili, mam jednak nadzieję, że nam się uda przybyć na miejsce, nim oni się dowloką. Trzeba się tylko pośpieszyć o ile możliwości.

Nielatwo było obu Wattsonom zdążyć za tym olbrzymem, który dwa razy większe kroki od nich stawiał, a mięśnie zdawał się mieć ze stali. Szli bez wytchnienia do późnej nocy; dopiero gdy już zupełnie się ściemniało, myśliwiec pomyślał o noclegu. Musieli też poszukać schronienia, bo niebo się zachmurzyło i deszcz padać zaczął.

Trzej wędrowcy przechodzili właśnie przez wąską kotlinę, z obu stron opasaną stromemi lecz niezbyt wysokimi skalami. Myśliwiec spodziewał się pośród tych skał napotkać jaskinię, w którejby się mogli schronić od deszczu. Kotliną tą, niezbyt długą, nie miała drugiego wyjścia, a tam, gdzie się kończyła, przytykała do skalistej, prostopadłej prawie ściany. W tem miejscu, znacznie rozszerzonem, woda, nieustannie ze skał spływająca, wyłobila obszerne i głębokie jeziorko, oddzielone od prostopadłej ściany wąską ścieżyną. W miejscu, gdzie ta ścieżeczka najwięcej się zwężała, bystre oczy myśliwca wykryły czarną szczelinę w skale, prowadzącą do głębi jaskini.

— Mamy tu schronienie — mówił Serce prawe i wcisnął się w szczelinę, a odwracając się do towarzyszy, dodał: — Poczekajcie tu chwilę, moi panowie, muszę wprzód obejrzeć tę norę.

To rzekłszy, wydobył krzesiwo i zapalił długą

gałąź smolną, ściętą po drodze; trzymając tę pochodnię w rękę, zapuścił się w głąb jaskini. Była tak niska, że ledwie mógł się w niej posuwać naprzód w postawie stojącej.

— Obrzydła dziura — mówił, powróciwszy po dość długim przeciągu czasu. — Wąziutkie i niskie przejście ciągnie się dosyć daleko, w końcu rozszerza się o tyle, że będziemy mogli we trzech rozłożyć się tam na noc. Dalej znów podziemie się zwęża, ale nie wiem dokąd ten drugi korytarz prowadzi; zresztą niepotrzebna nam ta wiadomość. Chodźcie, panowie. Będzie nam twardo i niewygodnie, ale przynajmniej od ulewy się schronimy.

Obaj Wattsonowie poszli za nim. Ponieważ nie było czasu myśleć o urządzeniu jakiegokolwiek posłania, wędrowcy nasi, napędce posiliwszy się podróżnymi zapasami, usiedli pod ścianą najsuchszą i oparli się o nią plecami, a pomimo tak niewygodnego położenia, usnęli wkrótce, gdyż nadzwyczajnie byli znużeni.

Okolo drugiej po północy Serce prawe pierwszy się przebudził; towarzysze jego spali obaj głęboko. Młody myśliwiec podniósł się cicho, i odszedłszy dalej nieco, ukląkł na ziemi, odmówił krótką lecz gorącą modlitwę i powstał znowu. Człowiek ten, żyjący w samotnej puszczy, nie zaniedbywał nigdy rano i wieczór wzywać opieki Stwórcy i polecać się Jego łasce. Ale będąc w towarzystwie ludzi, nie czynił tego w ich obecności, tak, że nawet Cezar i Dik, chociaż mieszkali z nim razem przez czas jakiś, nie widzieli go jednak ani razu odmawiającego modlitwy.

Powstawszy z klęczek, Serce prawe drgnął na-

gle i z widocznym niepokojem słuch wyteżył. Osobliwsze i bardzo podejrzone głosy dochodziły z owego wąskiego przejścia, prowadzącego do dalszej części podziemia, której myśliwiec nie obejrzał z wieczora.

— Młode niedźwiadki — mruknął z cicha i zbliżywszy się natychmiast do śpiących towarzyszy, zbudził ich, poczem zapalił krzesiwem pozostały kawałek luczywa.

— A to piękna rzecz! — zawołał osadnik, gdy myśliwiec wyjaśnił w kilku słowach, z jakiego powodu im smaczny sen przerwał — toż dopiero bylibyśmy w opalach, gdyby stare niedźwiedzie powróciły były w nocy do swojej dziatwy. Zabierajmy się jak najprędzej z manatkami, bo czuli ci rodzice niezawodnie wyszli na łowy; na szczęście dłużej trochę zabawili, ale przededniem tu będą i wątpię, aby nas gościnnie przyjęli w swoim mieszkaniu.

— Ja myślę, że to muszą być czarne niedźwiedzie — rzekł Jan.

— Według wszelkiego prawdopodobieństwa szare odpowiedział Serce prawe, śpiesznie postępując ku wyjściu jaskini — nie mamy czasu do stracenia bo stare muszą być niedaleko, — niedarmo mały tak piszcza.

— To prawdziwa łaska Boża, żeśmy się z nimi nie spotkali — rzekł Jakób Wattson, pośpieszając za myśliwcem.

I miał słuszną zupełną. Niedźwiedź szary amerykański jest tak drapieżny i straszny, że obawiają się go więcej jeszcze, niż jaguara. Ma on siłę niesłychaną; największego żubra pokonywa z łatwością i wlecze nieraz daleko. Podczas gdy wszystkie niedź-

wiedzie innych gatunków lękają się człowieka, jeden tylko szary nie ma dlań najmniejszego poszanowania. Śmiało rzuca się na nieszczęśliwych wędrowców, których na swej drodze napotka, zadaje im potężnymi zębami i pazurami najokropniejsze rany i dusi ich w strasliwym uścisku. Sam jest przytem wytrzymały do najwyższego stopnia; śmiertelnie nawet rani, jeszcze nie przestaje być groźnym. Lecz biada temu, kto lekko go tylko zrani: niedźwiedź wówczas wpada we wściekłość i nielatwo uchronić się przed jego zemstą. Nieraz zdarzyło się, iż dobę całą nie odstępował od drzewa, na które umknął myśliwiec niedość szczęśliwy, aby zadać od razu cios śmiertelny drapieżnemu zwierzęciu.

Wiedzieli o tem wszystkiem trzej nasi wędrowcy i nie dziw, że uchodzili z pośpiechem, nie mając najmniejszej ochoty spotkać się z szarymi niedźwiedziami, nietylko w jaskini, ale i w wąskiej kotlinie. Nie uniknęli jednak tej przyjemności... Przebyli już większą część podziemnego korytarza, i byli tak blisko wyjścia, że wzrok ich rozpoznawał wpadające przez szczelinę promienie wczesnego porannego brzasku, gdy nagle spostrzegli ciemną jakąś postać u wejścia do podziemia.

— Otóż go mamy! i naprawdę szary niedźwiedź — szepnął stary Wattson przerażony.

— On sam — rzekł Serce prawe z najzupełniejszym spokojem. — A teraz śmiało, ktoś ustąpić musi — on albo my. Broń do ręki. Strzelaj pan pierwszy, panie Wattsonie; potem niech pan Jan wypali. Ja swoją kulkę zachowam na sam koniec, bo prawie pewny jestem, że ta czuła rodzicielska para,

jeżeli nie idzie razem, to nie na długo się rozdzieliła z sobą.

Niedźwiedź tymczasem spostrzegłszy zuchwałców, którzy ważyli się najść jego siedlisko, przystanął u wejścia i ryknął wściekle, aż skała zadrżała.

— Strzelaj pan, już czas! — zakomenderował myśliwiec, postępujący na przdzie.

Wattson wysunął się naprzód, wymierzył i strzelił. Huk rozległ się w całym podziemiu; powtórzyły go echa niezliczone... Postać niedźwiedzia znikła w szczelinie, a jednocześnie dał się słyszeć plusk wody, jakby ciężki jakiś przedmiot wpadł do jeziorka.

— Dobry strzał, wyborny! musiał w sam łeb trafić — rzekł Serce Prawe i przyspieszonym krokiem wybiegł z podziemia. Trzej wędrowcy, przechodząc obok jeziorka, ujrzeni zwierzę drgające jeszcze w wodzie, lecz nie mieli czasu bliżej mu się przypatrywać, bowiem drugi niedźwiedź, zapewne samiec, ukazał się na wąskiej ścieżeczce, oddzielającej jeziorko od stromej skały. Szedł ze łbem podniesionym i ryczał wściekle; był już o kilka kroków tylko od myśliwca, który czekał na niego spokojnie z bronią w ręku. A wtem Jan Wattson, stojący tuż za nim wymierzył i strzelił. Niedźwiedź, lekko zadraśnięty kulą, podskoczył w szalonym gniewie i z taką gwałtownością rzucił się na myśliwca, że ten nie miał czasu dobrze wymierzyć. Trafił wprawdzie, zwierzę zachwiał się, lecz nie padł, tylko biegł dalej i straszliwą łapą dosięgnął myśliwca. Wszystko to trwało daleko krócej od opowiadania naszego.

Obaj Wattsonowie bez tchu prawie spoglądali

na myśliwca, podziwiając nadzwyczajną jego siłę. Jedną ręką trzymał mocno łapę niedźwiedzia, drugą odsunął od siebie jego łeb; tym sposobem na chwilę obezwładnił całkowicie zwierzę, tak, że nie mogło go ani ująć w objęcia zwyczajem swoim, ani potężnymi zębami poczęstować. To mocowanie się z silnym potworem nie potrwałoby zapewne długo, gdyby myśliwiec nadludzkim wysileniem w końcu nie był pchnął niedźwiedzia w wodę, przyczem i sam, nie mogąc utrzymać równowagi, wpadł z nim razem do jeziora. Ale w tejże samej chwili skoczyli za nim do wody stary Wattson z Janem. Myśliwiec z całej siły cisnął łeb niedźwiedzia, utrzymując go pod wodą; nie udało mu się to tak łatwo, gdyby zwierzę nie było już osłabione utratą krwi z dwóch ran. Wkrótce jednak szerokie ostrza nożów myśliwskich obu Wattsonów utonęły w cielsku potwora i pokonały go ostatecznie.

Wędrowcy nasi nie zadawali sobie trudu wyciągania zabitych zwierząt z wody. Były to dwa okazy prawdziwie olbrzymie: długość ich cielska wynosiła około dwu metrów, a ciężar każdego doświadczony Wattson ocenił na dziewięć centnarów co najmniej.

Serce prawe, pomimo całej swej waleczności, nie wyszedł bez śladów podrapania z tego straszliwego pojedynku; odzienie jego więcej jeszcze ucierpiało, gdyż silne pazury zwierza poszarpały je porządnie. Wszyscy trzej musieli się rozebrać, i o ile możności, wycisnąć z wody i osuszyć ubranie.

— To dobrze — rzekł myśliwiec — będziemy mieli wyborną pieczeń. Szkoda, że nie możemy w tak

pośpieszną podróż zabierać z sobą większych ciężarów, ale cztery łapy odetnę w każdym razie, chociaż i te zaważą niemało.

— Bóg łaskaw, żeśmy tak szczęśliwie wyszli z tej przygody — mówił Wattson — niebezpieczeństwo było okropne.

Wędrowcy przyciągnęli do brzegu jednego niedźwiedzia, i odciawszy mu łapy, puścili się w dalszą drogę, idąc jak najspieszniej, ażeby się rozgrzać po tej mimowolnej zimnej kąpieli. Na szczęście wypogodziło się i słońce przygrzało, osuszyło więc wkrótce do reszty wilgotne ich odzienie.

Podróż trwała dni kilka bez żadnych szczególnych przygód; przechodzili stepy rozległe i gęste lasy, napotykali niekiedy okolice dzikie i bardziej ogolone od innych, prawdziwe pustkowia, ani razu jednak młody myśliwiec nie okazał najmniejszej niepewności, nie zawahał się w wyborze drogi. Szóstego czy siódmego dnia Serce prawe zaczął coraz częściej i pilniej poszukiwać śladów na ziemi.

— Tu w tej okolicy możemy już spotkać się z Pawnisami — rzekł — bo nie mają innej drogi do koczowisk swoich.

W rzeczy samej dnia następnego z rana spostrzeżono liczne ślady kopyt końskich na trawie.

— Teraz musimy zachować największą ostrożność, ażeby nas nieprzyjaciel nie podszedł — przemówił myśliwiec.

— Jesteśmy pod rozkazami pańskimi — odrzekł osadnik — uczynimy wszystko, co rozkażesz.

Ślady stawały się coraz wyraźniejsze. Tegoż samego wieczora Serce prawe rzekł do towarzyszy:

— Indianie są bardzo blisko; trzeba skorzystać z ciemności nocnych i pójść na zwiady, by się dowiedzieć przynajmniej, co się dzieje z jeńcami. Ja to najlepiej zrobić potrafię, — zostańcież więc tu panowie i czekajcie na mnie.

Po krótkim pochodzie, ujrawszy w oddaleniu obóz nieprzyjacielski, Serce prawe położył się na trawie i pelzał, jak wąż, ukrywając się co chwila, to za pniem drzewa, to za krzakiem lub w zagłębieniu gruntu. Tym sposobem zakradł się w pobliże obozu i tam przez czas jakiś leżał nieruchomo. Następnie z większą jeszcze ostrożnością podsunął się aż pod same szalasy, podpatrzył i podsłuchiwał wszystko, o co mu chodziło. W parę godzin zaledwie powrócił do towarzyszków, wyglądających go z wielkim niepokojem. Był bardzo smutny i zasepiony.

— Orzeł czubaty — rzekł do obu Wattsonów — skrepowany jest w sposób najokrutniejszy i liczne straże pilnują go dniem i nocą. Daleko lepszy jest los panny Elli i starego sługi. O ile mogłem wysledzić, Pawnisy bardzo dobrze obchodzą się z córką pańską, a przez wzgląd na nią i z Tobiaszem. Jest tam młody chłopak, syn znakomitego wodza, nazywa się Jeleń wrzący; on jeden może z całej tej zgrai lotrów ma serce lepsze i szlachetniejsze uczucia, — słyszałem o nim wiele. Otóż na szczęście Jeleń wziął pannę Ellę w opiekę, możemy więc o nią tymczasem być zupełnie spokojni. Ale przyjaciel mój Orzeł czubaty, a nawet i stary sługa, w wielkim są niebezpieczeństwie; stąd musimy nieustannie być w pogotowiu na wypadek, gdyby ratunku potrzebowali. Jestem przekonany, że Pawnisy długo zwłóczyć nie będą

i obu zgładzą najokropniejszą śmiercią, skoro tylko przybędą do swoich siedlisk. Lecz zaprawdę, póki w żyłach moich jedna kropla krwi pozostanie, wyleję ją chętnie w obronie przyjaciela i nie dopuszczę do tego, aby niegodziwi wrogowie się nad nim znęcali. Wszak mogę liczyć na pomoc panów?

— Czyż potrzebujesz pan pytać o to! — Zawolał osadnik — mamy najświętsze obowiązki wdzięczności dla tego szlachetnego wodza, który własne życie poświęcił dla uratowania mojej córki.

— To dobrze — odrzekł myśliwiec, ściskając ręce obu — jutro Pawnisy staną już w swoich koczowiskach, my zaś musimy się usadowić w pobliżu i urządzić czujne warty. Będziemy potrzebowali do tego niemależ roztropności i nieustraszonej odwagi.

XXV.

Siedliska Indian.

Nie domyślając się wcale, że są z tak bliska szpiegowani, Pawnisy wyruszyli nazajutrz w dalszą drogę, uwożąc ze sobą jeńców. Ella i Tobiasz rzeczywiście, dzięki opiece Jelenia wrzącego, żadnych przykrości nie doznawali i jedynie tylko na brak swobody uskarżać się mogli. Inaczej rzecz się miała z Orłem czubatym. Skrepowano go najokropniej i na chwilę nie spuszczano z oczu, a oprócz tego duczano mu nieustannie rozmaitymi sposobami. On wprawdzie znosił wszystko z niewzruszonym spokojem, obojętnością lub szyderstwem odpowiadając na przesła-

dowania, lecz to właśnie zwiększało jeszcze złość i nienawiść jego nieprzyjaciół. Serce Elli przepełnione było współczuciem i wdzięcznością dla zacnego wodza Osagów, daremnie jednak usiłowała zbliżyć się doń i choć słówko przemówić; czujna straż ani razu nie dopuściła do tego.

Młoda dziewczyna bardzo była rada, gdy dowiedziała się od Indyan, że już niezadługo dojadą na miejsce. W rzeczy samej dnia następnego kawalkata zbliżyła się do położonej na skraju lasu i przerzniętej bystrym strumieniem łąki, na której rozsypane były szałas-y czyli wigwamy Indyan. Już z daleka, nim jeszcze do osady dojechano, Pawnisy, powracający z podróży, powitali swoich trzykrotnym donośnym okrzykiem. Ella dowiedziała się później, że było to zarazem i powitanie, i oznajmienie, ilu jeńców ze sobą prowadzą. Nieopisany gwar powstał natychmiast w osadzie: gromady kobiet, starców i dzieci wybiegły na spotkanie jeźdźców z krzykiem i wrzaskiem przeraźliwym, a hałas ten zwiększały jeszcze psy, których Indyanie trzymają mnóstwo.

Po pierwszych powitaniach wojowników z rodzinami, tłum kobiet i dzieci otoczył jeńców i począł znęcać się nad nimi niemilosiernie. Targano ich za włosy, nosy i uszy, szarpano, popychano, obrzucano szyderstwami i obelgami. Najwięcej się dostało wodzowi Osagów, który i teraz, zachowując pogardliwą obojętność, uśmiechał się i szydził z prześladowców swoich. Mniej daleko dokuczano staremu Tobiaszowi, a najmniej Elli. Zawdzięczała ona to Jeleniowi wręczemu, który jej nie odstępował.

Jeźdźcy otoczeni tłumem pieszych jechali z wolna

dalej i stanęli wreszcie w swej «wiosce». A dziwna to była wioska, wcale do naszych europejskich niepodobna. Darmobyśmy tam szukali ulic, gdyż chaty, a raczej szałas-y, nie stały rzędami, lecz rozrzucone były tu i owdzie bezładnie. Budowa tych mieszkań także różniła się od wszystkiego, cośmy nawykli widzieć w krajach cywilizowanych. Po większej części owe wigwamy składały się z cienkich słupków, w okrąg w ziemię wbitych, u góry związanych razem w ten sposób, że tworzyły kształt piramidy. Odstępy pomiędzy słupami założone były korą drzewną, szpary i szczeliny poprzetykane trawą i gliną zalepione. Okien nie było wcale, tylko otwory, zastępujące drzwi, podczas wiatru lub niepogody osłonięte skórami żubrów. Mały otwór, pozostawiony u samego wierzchołka pomiędzy słupkami, służył do odprowadzania dymu.

Tak były pobudowane najporządniejsze mieszkania; inne daleko nędzniej wyglądały. Składały się także z kilku palów, mniej zresztą licznych, u góry podobnie związanych i obwieszonych skórami, niezbyt przystającemi do siebie. Takie szałas-y urządzali sobie naprędce wędrowni Indyanie, należący także do plemienia Pawnisów, lecz wiodący życie jeszcze bardziej od innych koczownicze i czasowo tylko zamieszkałi w tej wiosce. Odchodząc dalej, zabierali ze sobą skóry i w innem miejscu także same szałas-y wznosili.

Na całej rozległej łące pomiędzy chatami powstał teraz wielki ruch i ożywienie. Kobiety rozpytywały mężów i synów o szczegóły podróży, chłopcy nawpół nadzy odbierali od ojców i starszych braci

konie i odprowadzali je na pobliskie pastwisko. A wśród tego psy szczekały nieustannie, małe dzieci krzyczały na rękach matek, jednym słowem hałas był ogłuszający.

Przyprowadzono jeńców na środek łąki. Z rozporządzenia wodza umieszczono niezwłocznie Orła czubatego w jednej z najmocniej zbudowanych chat; czterech podrastających chłopaków indyjskich stanęło tymczasem przy drzwiach jej na warcie. Tobiasza pozostawiono na łące i nie zsadzono z konia. Obok niego stało kilkunastu jeźdźców, którzy także nie zsiadli wraz z innymi. Jeleń wrzący, jadący ciągle obok Elli, teraz odstąpił ją na krótką chwilę, podjechał do wodza, pomówił z nim, znowu powrócił do młodej dziewczyny i rzekł z uśmiechem przyjaznym:

— Jeleń wrzący już się porozumiał z Tygrysem zębatym co do Sarenki modrookiej. Od tej chwili Sarenka będzie pod wyłączną opieką Jelenia. Cóż siostra moja na to mówi?

— Z całego serca się cieszę, że mam tak szlachetnego opiekuna — odrzekła Ella, podając mu rękę.

— Niechże siostra moja jedzie teraz ze mną — rzekł młody Indyanin.

— Dokądże mamy jechać? — spytała z lekkim niepokojem.

— Niedaleko. Wioska Jelenia leży na drugim brzegu rzeki — staniemy tam za chwilę.

— A Tobiasz i Orzeł czubaty pozostaną tu w mocy Tygrysa zębatego?

— Tylko Orzeł czubaty. Błady człowiek pojedzie z nami.

— O! czemuż Jeleń wrzący nie weźmie także i Orła czubatego w swoją opiekę.

— To niepodobna. Tygrys zębaty odstąpił Jeleniowi Sarenkę modrooką i bladego starca za to, że mu zostawił Orła czubatego.

— O mój Boże! — westchnęła Ella — jakimże okropnym kosztem jestem okupiona!

— Gdyby nie to, że wódz Osagów wpadł w ręce Pawnisów, byłaby okropna kłótnia wynikła o Sarenkę modrooką, bo Tygrys zębaty chciał ją zabrać dla siebie. Ale Orzeł czubaty jest największym jego nieprzyjacielem, więc wyrzekł się bladych jeńców, aby go zatrzymać wyłącznie w swej mocy. Zresztą, to zupełnie wszystko jedno; niech Sarenka nie wyobraża sobie, że Jeleń wrzący mógłby darować życie wodzowi Osagów.

— Niema więc żadnego ratunku? Orzeł czubaty musi zginąć i to najokropniejszą śmiercią... O Boże!

— Sarenka modrooka powinna była od początku o tem wiedzieć.

— A kiedyż to straszne nieszczęście się spełni?

— Gdy słońce trzydzieści razy ukryje się w wielkiej wodzie (w oceanie, to jest zajdzie).

— Czy Jeleń wrzący wie to z pewnością?

— Tak, z pewnością największą.

— A cóż się stanie z nieszczęśliwym Tobiaszem?

— Ożeni się z wdową, którego z poległych wojowników, będzie pamiętał o jej potrzebach, a wówczas Pawnisy przyjmą go za brata.

— I będzie miał prawo odejść, gdzie mu się podoba?

— Co też Sarenka mówi! Pocóż ma odchodzić,

jeżeli zobowiąże się wojować razem z braćmi swoimi Pawnisami i opiekować się troskliwie żoną?

— A jeśli on na te warunki przystać nie zechce?

— To musi zginąć.

Nastąpiła chwila milczenia, poczem Ella spytała znowu:

— Czy ja będę mogła widywać się z Tobiaszem? Takbym chciała mieć go ciągle przy sobie.

— Póki nie zostanie bratem Pawnisów, będzie strzeżony, jako jeniec i mieszkać musi w osobnym wigwamie zamkniętym; nawet i Sarence nie wolno będzie zaglądać do niego.

Podczas tej rozmowy gromadka jeźdźców wraz z Tobiaszem przyłączyła się do nich i puścili się wszyscy brzegiem rzeki. Dojechali wkrótce do miejscy, gdzie woda była płytka i ledwo do kolan sięgała, przebyli więc rzekę w bród i niezadługo Ella ujrzała przed sobą wioskę indyjską, zupełnie do tamtej podobną. Tu nastąpiły znów także same powitalne okrzyki i hałaśliwe przyjęcie.

Jeleń wrzący podjechał wraz z Ellą do chatki większej i porządniejszej od innych, stojącej nieco na uboczu. Stary Indyanin ogromnego wzrostu i okazałej postawy, przybrany w oznaki wodza, stał u wejścia i powitał Jelenia serdecznie. Był to jego ojciec. Młodzieniec poszeptał mu coś na ucho, czego Ella dosłyszeć nie mogła, chociaż widziała, że na nią wskazywał. Stary uśmiechnął się, podszedł do dziewczyny i podał jej rękę, pomagając zsiąść z konia.

— Niech córka moja będzie pozdrowiona i wejdzie do wigwamu wodza Pawnisów — rzekł uprzejmie.

— Jeleń wrzący i jego ojciec pamiętać będą

o tem, aby Sarence modrookiej nie brakło nigdy świeżego mięsa i słodkiego miodu; będzie też Sarenka miała młodszą towarzyszkę, do siebie podobną, Stokrotkę polną; obie zapewne pokochają się wkrótce wzajemnie. Niech córka moja idzie za mną.

Ella zaciekawiona była wzmianką o młodej towarzysze, nie śmiała jednak pytań zadawać. Jeleń wrzący poszedł w inną stronę, a stary wódz poprowadził ją do malej chatki, stojącej na uboczu, w pobliżu jego własnej. Dowiedziała się później, że to było mieszkanie dla gości wodza przeznaczone. Całe urządzenie odznaczało się czystością; brakło wprawdzie najprostszych nawet sprzętów, bo Indyanie nie mają wyobrażenia o wygodach życia cywilizowanego, znać było jednak wszędzie pewną staranność. Ziemię pokrywały skóry żubrów, a w jednym kącie skóry te, ułożone wysoko jedne na drugich, tworzyły poślanie miękkie i ciepłe. Przez całą szerokość chatki przeciągnięty był sznurek, na którym wisiały paski suszonego mięsa. Na grubej kłodzie drewnianej stał kociołek miedziany i kilka większych i mniejszych naczyń glinianych.

— Niech Sarenka modrooka uważa tę chatkę za swoją i rozgości się wygodnie — rzekł stary wódz. — Jeleń wrzący i ojciec jego nie dopuszczają tu z pewnością niedostatku. A teraz może Sarenka modrooka chce na chwilę zostać samą.

I wyszedł, a Ella, obejrzawszy mieszkanie swoje, co jej niewiele zabrało czasu, usiadła na posłaniu ze skór i pogrążyła się w smutnych myślach. Chociaż jej samej żadne niebezpieczeństwo nie groziło w tej chwili, nie mogła być spokojną, wiedząc, jaki los

okropny czeka szlachetnego wodza Osagów, który się dla niej poświęcił. Biedna dziewczyna nadaremnie łamała sobie głowę, szukając sposobów ratowania nieszczęśliwego. Niestety! musiała przyznać, że to było niepodobieństwem.

Smutne te myśli tak ją całkowicie pochłonęły, że nie od razu spostrzegła, jak na progu jej chatki, to jest przy otworze, zastępującym drzwi, stanęła młoda Indyanka. Dziewczyna ta musiała być w tym samym wieku, co Ella; lecz niedość na tem, w całej jej postaci, w wyrazie twarzy, a nawet w ruchach, było pewne nieokreślone, lecz uderzające podobieństwo do córki osadnika. Gdyby nie różnica cery, możnaby je wziąć za rodzone siostry. W czarnych, błyszczących oczach Indyanki malowała się takąż sama łagodność i słodycz, połączona z siłą ducha i energią, jak w pięknych szafirowych oczach Elli. Dziewczę to miało na sobie krótką spodniczkę ze skóry jeleniej, starannie wyprawionej, rodzaj pantofelków z podobnego materiału, i na tem koniec: mody indyjskie nie są zbyt wyszukane. Indyanka spoglądała przez chwilę w milczeniu na Ellę, która plecami do drzwi była obrócona i dotąd jej nie spostrzegła. Ładna jej twarzyczka wyrażała zdziwienie i dziecinną radość. Wkońcu szepnęła półgłosem:

— Sarenko modrooka...

Ella odwróciła się nagle i powstała.

— Kto ty jesteś? — zapytała zdziwiona.

— Nazywam się Stokrotka polna — odpowiedziała Indyanka dźwięcznym głosem i uśmiechnęła się łagodnie.

— Ach, Stokrotka polna! — powtórzyła Ella —

slyszałam już to imię. Czy Stokrotka jest córką wodza?

— Jeszcze nie — odpowiedziała dziewczyna i znowu uśmiech twarzyczkę jej rozjaśnił — ale Stokrotka polna zostanie córką wodza niezadługo.

— Nie rozumiem — mówiła Ella.

— Alboż Sarenka modrooka nie wie o tem, że Jeleń wrzący jest synem wodza? — rzekła młoda Indyanka, spuszczać oczy z pewnem zakłopotaniem.

— Ach! wiem już, wiem — zawołała Ella — Stokrotka polna jest narzeczoną Jelenia i wkrótce zostanie jego żoną. Nieprawdaż?

— Siostra moja prawdę powiedziała — potwierdziła Indyanka.

— Stokrotka polna będzie miała dzielnego i zamego męża. Cieszę się serdecznie tą wiadomością.

— Jeleń wrzący jest synem wielkiego wodza i sam niezadługo wodzem będzie — rzekło dziewczę z dumą.

— Najszczerzej życzę Stokrotce, aby była szczęśliwa.

— Sarenka jest bardzo dobra. Stokrotka polna i Sarenka modrooka pokochają się z pewnością i nigdy w życiu się nie rozłączą.

— Czy tak Stokrotka sądzi? — szepnęła Ella drżącym głosem, gdyż taka przyszłość nie uśmiechała się wcale biednej dziewczynie.

— Tak, tak; Jeleń wrzący opowiedział już wszystko Stokrotce. Jak tylko zobaczył Sarenkę modrooką, zaraz ją polubił za to, że taka podobna do Stokrotki polnej. Jeleń chce, żeby Sarenka była towarzyszka i przyjaciółką Stokrotki i nie odstępowała

jej, gdy Jeleń wrzący będzie odjeżdżał na łowy lub na wojnę.

— Dobrze — rzekła Ella, widząc, że musi sobie tymczasem zaskarbić życzliwość młodej Indyanki — będziemy przyjaciółkami; Jeleń wrzący tyle mi wyświadczył dobrego, że radabym mu wdzięczność moją okazać i chętnie spełnię jego życzenia.

— Stokrotka polna od razu pokochała Sarenkę modrooką i zawsze ją kochać będzie.

Obie dziewczyny usiadły obok siebie na posłaniu z futer i długo jeszcze rozmawiały poufale. Stokrotka polna opowiedziała nowej przyjaciółce, że jest sierotą. Matka jej umarła przed kilku laty, a ojciec zginął w walce z nieprzyjacielskim plemieniem. Od tej pory opiekował się nią pewien człowiek biały, który od wielu bardzo lat przebywa pośród Pawnisów i którego z powodu nadzwyczajnej mądrości i znajomości sztuki lekarskiej zwać «wielkim prorokiem». Zasługuje też najzupełniej na tę nazwę. Otóż ten starzec jest przybranym ojcem Stokrotki polnej, a ona przywiązana jest do niego, jak do rodzonego ojca.

Dowiedziała się więc Ella, z jakiego powodu młody Indyanin okazał się dla niej tak przychylnym, lecz zarazem utraciła nadzieję, aby jej wrócił swobodę. Jeleń wrzący przeznaczył ją na zabawkę dla swojej młodej narzeczonej; przywiózł jej w darze tę zdobycz wojenną i uważał za rzecz zupełnie prostą i zwyczajną, że biała dziewczyna całe życie spędzi pomiędzy Pawnisami, w których moc wpadła. I tak jeszcze za bardzo szczęśliwą uważać się mogła, że tak łaskawie wszyscy się z nią obchodzili. Wszakże była tylko ich niewolnicą...

Młoda Indyanka, wspominając o swoim weselu z Jeleniem, które już niezadługo odbyć się miało, opowiedziała Elli, że Indianie mają zwyczaj podczas takich uroczystości, dla uświetnienia ich niejako, wykonywać wyroki śmierci na jeńcach wojennych. Dziewczyna wyznała nowej przyjaciółce w tajemnicy, że tego widoku nie lubi i nie chciałaby, ażeby w dniu jej wesela działy się podobne rzeczy; a tymczasem nie obejdzie się bez tego z pewnością i to jej przykreść sprawia.

— Skądże Stokrotka wie o tem? — spytała Ella niespokojnie.

— Stokrotka polna słyszała rozmowę starszych.

Ella zadrżała; nie wątpiła, że to Orzel czubaty miał ponieść śmierć straszną i służyć za widowisko w dzień wesela Jelenia ze Stokrotką.

— Niechże teraz Sarenka modrooka pójdzie zapoznać się z przybranym ojcem Stokrotki, wielkim mędrceem białym.

Ella poszła za Indyanką, która ją zaprowadziła do pobliskiej chatki; zastały tam sędziego bardzo staruszką. Właściwie jego imię było Ludowiko; dawniej trudnił się handlem i odwiedzał często siedliska Pawnisów, przynosząc im broń, paciorki kolorowe, małe zwierciadelka i inne podobne drobiazgi, oni mu zaś w zamian za to dawali skóry i futra. Tym sposobem z biegiem czasu zaprzyjaźnił się z nimi i na starość stale się u nich osiedlił. Od lat piętnastu już przebywał pośród dzikich ludzi i prawie zapomniał o tem, że sam był człowiekiem innego pochodzenia, tak całkowicie przywykł do obyczajów Indian czerwonych.

Ludowiko powitał Ellę uprzejmie, lecz parę słów zaledwie przemówiwszy do obu dziewcząt, zabrał się na nowo do przerwanej roboty, — a musiała być ważna i pilna, gdyż staruszek zdawał się skupiać na niej całą uwagę. Miał on przed sobą kawalek kory brzozonej i na wewnętrznej jej stronie, białej i gładkiej, kreślił różne figury i znaki narzędziem z twardego drzewa, podobnem do rylca.

— Co on robi? — spytała półgłosem Ella towarzyszek.

— Pisz.

— Pisz? Ależ ja tam wcale liter nie widzę tylko jakieś dziwaczne rysunki, postacie zwierząt, znaczki różne.

— Rysunki te i znaczki mają swoje znaczenie — odezwał się staruszek, który uwagi Elli dosłyszał — moja córka nie zna się na tem. Otrzymałem zlecenie od pewnego sąsiedniego plemienia, abym na wieczną rzeczy pamiątkę opisał niezmiernie ważne wypadki. Plemię to, napadnięte zniemacka przez innych, wrogich mu Indyan, w wielkiem było niebezpieczeństwie, gdy mu przybyli na ratunek waleczni biali myśliwcy i nieprzyjaciół odparli. Otóż te figury i znaki opisują całe to zdarzenie. Indyanie innego pisma nie znają.

Staruszek pozwolił Elli przypatrzeć się bliżej swojej robocie i objaśniał jej znaczenie rysunków. Młoda dziewczyna wydziwić się nie mogła, z jakim dowcipem figurki i znaki były dobrane, aby wyrazić to wszystko, co opowiedzieć należało. Staruszek zaprosił ją przy pożegnaniu, aby go często odwiedzała, na co ona przystała chętnie, bo spodziewała się od

niego dowiedzieć różnych szczegółów o obyczajach Indyan, a to ją niezmiernie zajmowało.

— Może Sarenka modrooka przejdzie się trochę po wsi? — spytała młoda Indyanka, gdy obie wyszły z chaty starca.

— O dobrze, chodźmy razem — odrzekła Ella i obie przez czas jakiś przechadzały się pomiędzy chatami. Wrzawa już się uciszyła i spokój zapanał nade wsią; wojownicy wypoczywali na posłaniach swoich po trudach długiej podróży, kobiety z pomocą starszych dzieci zajęły się końmi i uprzątały przywiezione mięso i skóry, z czem miały roboty niemało. Oporządzenie skór odłożono na dzień następny; Ella chciała się temu bliżej przypatrzeć, poszła więc i nazajutrz przejść się po wsi, a tym razem towarzyszył jej Jeleń wrzący, który jej wszystko tłumaczył i opowiadał.

Prawie przy każdej chatce Indyanki zajęte były oporządzaniem skór, przywiezionych przez mężów i braci. Rozciągały je na ziemi sierścią na dół i stronę odwrotną smarowały jakąś gęstą masą, a następnie polewały raz po raz wodą. Zazwyczaj przytwierdzały skóry do ziemi drewnianymi kołeczkami.

— Ta masa — mówił Jeleń wrzący — składa się z gliny zmieszanej z gnojem żubrów. Skóry trzy dni tak będą leżały, sierść pozostanie na nich nie-
tknięta. Potem kobiety opluczą je porządnie w rzece i oskrobia kośćmi, ostrymi kamieniami, a nawet nożami. Następnie wytrą je starannie tłuszczem żubrym, obmyją raz jeszcze i zawieszają w dymnikach, poczem w krótkim czasie będą zdatne do użytku.

— To jednak rzecz dziwna — zauważyła Ella — że przy tem smarowaniu i myciu sierść się nie psuje.

— Kobiety umieją na to poradzić; gdy spostrzegą, że włos wychodzi, posypują skórę od strony sierści tłuczoną korą dębową i wodą zwilżają, co znacznie włos wzmacnia.

Idąc dalej, zobaczyli znów inny, zupełnie odmienny sposób garbowania skór. Układano je w dużych stągwiach drewnianych jedno na drugich, przysypując grubemi warstwami popiołu; następnie nalewano do naczynia wody, która rozpuszczała w sobie popiół i tworzyła ług ostry i gryzący.

— Te skóry są wyprawiane na rzemień — wyjaśniał Jeleń wrzący — będą więc leżały w tych stągwiach, póki włos z nich zupełnie nie wyjdzie. Potem kobiety z obu stron je oskrobia i pociągną ową masą tak samo, jak i tamte.

— Widziałam na rzece czółenka całe obciążnięte skórami — mówiła Ella — ale zdaje mi się, że to skóry niegarbowane.

— Sarenka ma oczy bystre — rzekł młody Indyanin z uśmiechem; widoczną mu to przyjemność sprawiało, że dziewczynę tak zajmowało wszystko, co tu widziała. — Skóry do obciągania łódek nie są garbowane, tylko napuszczane tłuszczem i trzymane w dymie przez czas jakiś. Możeby siostra moja chciała widzieć, jak się te czółenka sporządzają?

— O, bardzobym rada to zobaczyć.

— Niechże Sarenka modrooka idzie za Jeleniem; tu niedaleko kobiety z dziećmi robią takie łódki.

Przyszli niezadługo do miejsca, gdzie gromadka podrastających chłopaków zajęta była wyplataniem

karkasów do łódek. Służyły im do tego cienkie, giętkie pręty, których jednak nie splatali porządnie, lecz zczepiali jakkolwiek mniejszemi gałązkami lub paskami z kory; skoro tylko karkas taki był sklecony, zaraz go brały w swoje ręce kobiety i powlekaly skórami, które związywały i spajały mocno pewnego rodzaju włóknami. Ella dowiedziała się, że to były wysuszone i wyciągnięte należycie ścięgnię żubrów. Na niektóre czółna starczyło jednej dużej skóry, na inne po dwie trzeba było zszywać; wreszcie na największą łódź poszło aż sześć skór, ale ta już była ogromna. Skóry obracano sierścią na wierzch, ale Ella dowiedziała się od Jelenia, że włosy prędko w wodzie wychodzą, dla tego też na dawniejszych łódkach nie pozostało już z nich ani śladu. Szwy napuszczano obficie lojem, aby je uczynić nieprzemakalnymi. Taka łódka jest bardzo trwała, a przedstawia tę ogromną dogodność, że niewiele waży i może być z łatwością przenoszona na plecach w dalszych nawet wędrownkach, zaś w razie deszczu, odwrócona dnem do góry, służy Indianom za parasol.

Dnia następnego Ella miała znów sposobność zobaczyć, jakim sposobem Indianie wyrabiają garnki i inne pożyteczne naczynia z gliny. I garncarstwem trudnią się wyłącznie kobiety... Młoda dziewczyna z ciekawością przyglądała się ich robocie. Naprzód mieszały glinę z wodą długo i starannie i wyjawszy z niej drobne kamyczki oraz wszelkie twardsze grudki, przerabiały ją na masę miękką i jednolitą. Następnie oblepiały nią formy wyrobione z drzewa i nadawały jej tym sposobem kształty większych lub mniejszych naczyń. Gлина obsychała najpierw na

słońcu, poczem zdejmowano naczynie z formy i wypalano w piecu, jakkolwiek piec ten, po prostu z kilku większych kamieni złożony, nie zasługiwał na tę nazwę. Nie potrzebujemy dodawać, że mnóstwo naczyń podczas suszenia i wypalania pękało i rozmaitym ulegało uszkodzeniom. Większe garnki, używane głównie do warzenia cukru, innym jeszcze sposobem były wyrabiane. Zamiast foremek drewnianych, używano pewnego rodzaju koszów plecionych z gałęzi, oblepiając je ze strony wewnętrznej gliną.

Wspomnieliśmy o warzeniu cukru; zaraz też możemy opowiedzieć i o tej robocie, której Ella także była obecną. Jeleń wrzący najpierw zaprowadził ją do lasu i pokazał, jak się otrzymuje sok z pnia cukrowego klonu. Chłopiec indyjski, który poszedł razem z nimi, wywiercił ostrem narzędziem otwór w pniu, zapuścił tam rurkę i ustawił pod drzewem stągiewkę. Sok zaczął zrazu sączyć się kroplami, potem ściekał nieustannie cienkim strumyczkiem, upłynęło jednak dość czasu, nim stągiewka napelniła się po brzegi. Następnie przelewano słodką tę ciecz w duże garnki i gotowano póty, póki się woda nie wygotowała, zostawiając na dnie naczynia kryształki cukru. Indianie niezmiernie lubią cukier i zjadają go moc wielką.

Przez kilka dni po powrocie z wyprawy mężczyźni siedzieli z założonemi rękoma, wypoczywając po trudach; czasem tylko który dla zabawki zrobił sobie fajkę glinianą, lub wystrugał jaki drobny przedmiot z drzewa. Raz jeden zobaczyła Ella, i to po tygodniu dopiero, jak kilku mężczyzn ustawiało duże

kamienie, używane do tłuczenia kukurydzy, uprawianej także wyłącznie przez kobiety.

Ella uważnie przypatrywała się wszystkiemu, co się naokół niej działo; wkrótce też dowiedziała się wielu ciekawych szczegółów o sposobie życia i obyczajach Indian. Wszelkie zapasy żywności, tak zboż z polowania jak i plody ziemi, są u nich własnością ogólną wszystkich rodzin. Każdy ma prawo czerpać z tego w miarę potrzeby. Zapasy te przechowywane są po chatach dość starannie; kukurydza w naczyniach z kory drzewnej sporządzonych, orzechy w workach skórzanym, olej i miód także w podobnych workach, starannie zawiązanych; ziemniaków niewiele uprawiają Indianie i zakopują je w ziemi, a tytoń rozwieszają na sznurach. W czasach głodu, jak opowiadano Elli, wojownicy ustępują swoją część kobietom i dzieciom, a sami mężnie znoszą niedostatek. Podobne klęski wydarzają się tylko w zimie; głód bywa niekiedy tak ciężki, że cała ludność musi poprzestawać na nędznych korzonkach i obgryzać młodą korę z drzew. Pochodzi to jedynie stąd, że Indianie nie umieją mięsa przechowywać jak należy; w porze właściwej mogliby z łatwością upolować taką ilość zwierzyny, że gdyby ją porządnie osolili i uwędzili, przez cały rok nigdyby z pewnością głodu nie zaznali.

Sztuka kuchenna Indianek budziła także ciekawość Elli, starała się więc poznać ją bliżej i zmuszona była podziwiać jej prostotę. Mięso na przykład owijają kobiety Indyjskie w liście zielone, kładą w gorący popiół i węgle żarzące, i tak smażą. A jednak pieczeń, tym prostym sposobem przyrządzona, sma-

kowała Elli wybornie. Czasem znów pieczono mięso, zawieszając je nad płomieniem na kiju, oblepionym mokrą gliną; to znów gotowano je w garnkach z dodatkiem kukurydzy i przyprawiano w tym razie z tłuszczem niedźwiedzim lub żubrym. I ta potrawa również się Elli podobała.

Jadano tu zwykle trzy razy dziennie: o wschodzie słońca, w południe i wieczorem. Dzieci zjadły nieraz i w innych porach dnia, ile razy chciały, i Ella wydziwić się nie mogła ich żarłocztwu. — Ale i starsi byli niewstrzemięźliwi w jedzeniu i często na niestrawność chorowali.

Podczas pięknej pogody gotowano jedzenie zawsze na dworze, na świeżem powietrzu, w dni słotne po chatach i wówczas trudno było w nich wytrzymać z powodu nieznosnego dymu, gdyż otwór u góry urządzony nie mógł braku komina zastąpić.

Pieców także nie było żadnych w tych chatach; ogień rozpalano po prostu na dużych płytach kamiennych, lub w dołkach w ziemi wykopanych. Rozumie się, że o stołach i krzesłach nikt tam nie miał wyobrażenia; zasiadano z podgiętymi pod siebie nogami na matach, skórach, lub na murawie. Gotowane potrawy podawano w małych miseczkach, mięso każdy brał w palce od razu. Mężczyźni zwykle jadali osobno; przy jedzeniu nikt nie rozmawiał.

Wszyscy Indianie kładli się spać zawsze zaraz po zachodzie słońca, a o pierwszym świtaniu znów wstawali. Ale mężczyźni, jeżeli nie wychodzili na polowanie, często i w dzień się wysypiali; za to w razie potrzeby często przez kilka dni i nocy z rzędu oka nie zmrúżyli. Co do dzieci, te kładły się i wsta-

wwały, kiedy im się podobało (nikt tam o nie zbyt cznie się nie troszczył). Matki owijały niemowlęta w skóry i uwiązywały sznurkami na małych deseczkach. Starsze biegały nago i tylko w największe zimna okrywano je skórami. Matki z małutkimi dziećmi odbywają czasem dalekie podróże; wówczas uwiązują je sobie na plecach razem z deseczką i nie zważają wcale na przeraźliwe ich wrzaski.

Ella zauważyła, że wychowanie dzieci, a zwłaszcza chłopców, zasadzało się u Indian głównie na budzeniu w nich śmiałości i odwagi, oraz na przyzwyczajaniu do znoszenia bez skargi bólu i wszelkich cierpień fizycznych. Młoda dziewczyna widziała nieraz w jaki sposób matki postępowały z synkami, aby w nich pożądane zalety rozwijać. Matka naprzykład dawała malcowi pręciak do rączki i wskazywała mu psa, zachęcając, ażeby go uderzył. Gdy pies uciekał, uczyła znów malca, aby za nim gonil i śmiało prętem smagał raz po raz. Czasem znów matka drażniła chłopca, pobudzając go rozmaitymi sposobami do złości, a pojętny uczeń i ją wtenczas bił pręciem z całej siły. Ona jednak nie obrażała się tem wcale, lecz w dalszym ciągu szczypała malca, klóła, rwała mu włosy z głowy; miała w tem cel podwójny: uczynić go wytrzymałym na ból i do obrony pobudzić. Gdy już nauka była tak daleko posunięta, że chłopak nie dał sobie krzywdy zrobić i gotów był na każdego rzucić się śmiało i bić prętem, jak należy, matka zaprzestawała dalszych lekcyj, natomiast używała do tego starszego jakiego chłopaka, aby się z malcem szamotał i bił; sama zaś z zadowoleniem

spoglądała z boku na te zapasy, pyszniąc się synkiem, jeżeli się złościł należycie.

Ella wielką znajdowała przyjemność w przypatrywaniu się zabawom dzieci indyjskich, zarówno chłopców, jak i dziewczynek. Te ostatnie zwykle zabawiały się tańcem, ścigały się między sobą, rzucały obręczami, skakały i pływały, po większej części wiele okazując zręczności we wszystkich tych ćwiczeniach. Młodzi chłopcy należeli do tych zabaw, starsi zaś najczęściej osobno się zbierali i urządzali gry, w których wprawiali się do przyszłych myśliwskich i wojennych popisów. Rzucali więc siekierkami, strzelali z łuków do celu, za który im zwykle służył znak wycięty w korze drzewnej. Szczególnie ciśkanie tomahawku czyli siekierki do takiego celu nie jest rzeczą łatwą, a jednak starszym chłopakom udawało się to nieraz doskonale. Wybornie także strzelali z łuków; często widziała Ella, jak jeden po drugim trafiał do celu i cały pęczek strzał tkwił prawie w tem samym miejscu pnia. Zazwyczaj który ze starszych Indian przewodniczył tym ćwiczeniom młodzieży.

Niekiedy znów chłopcy bawili się w wojnę, toczyli zawzięte walki, wymyślając przytem najrozmaitsze podstępny i chytne zasadzki, w czem zupełnie naśladowali ojców. Obie strony walczące ukrywały się najpierwej w lesie lub wysokiej trawie; przednie strażę wysuwały się ostrożnie, szukając śladów nieprzyjaciela, poczem cała zgraja podnosiła okrzyk wojenny, a gdy już wszyscy wytłukli się i naszamotali do upadłego, zasiadali poważnie wokół

i zapalali fajkę pokoju. Na zakończenie następował taniec wspólny, potwierdzający zgodę i przymierze.

Dnia pewnego Ella była świadkiem, jak stary wódz, ojciec Jelenia wrzącego, zasiadł na murawie, otoczony liczną gromadką chłopaków dorastających, i dawał im różne nauki. Mówił rzeczy piękne i budujące, lecz przeplatał je także takimi radami, które wcale do przekonania Elli nie trafiały. Mówił on tak na przykład:

— Nigdy, synowie moi, nie okradajcie się wzajemnie, nie ściągajcie na siebie nienawiści własnych braci. Nieprzyjacielowi tylko wolno zabrać jego własność i powinnością jest nawet wyrządzać mu jak najwięcej złego. Waleczność, przebiegłość, chytrość, oto są największe cnoty wojownika. Gdy urośnięcie, pamiętajcie bronić odważnie waszych gruntów myśliwskich i ziemi waszej przeciw napaści nieprzyjaciół. Nie dozwołcie nigdy, aby w plemienu waszem starcy, kobiety i dzieci cierpiały niedostatek; brońcie ich od wszelkiej krzywdy, i opiekujcie się także obcymi ludźmi, jeżeli schronienia pośród was szukać będą. Nie zdradzajcie przyjaciół, ale nie opuszczajcie żadnej sposobności pomszczenia się na nieprzyjaciół. Nie pijcie nigdy odurzającej ognistej wody białych ludzi (to jest gorzałki). Oni ją mają od złego ducha na zgubę i zagładę Indian. Nie lękajcie się śmierci, — tchórze tylko boją się umierać. Szanujcie i słuchajcie starszych, a przedewszystkiem rodziców, którym tak wiele zawdzięczacie. Nie obrażajcie i nie wyzywajcie złego ducha, ażeby wam nie szkodził, a czcijcie i kochajcie Wielkiego, dobrego ducha; on nas wszystkich stworzył, grunta nasze zaopatrzył

w zwierzynę, do niego na wiekuiste łowy pójdziemy po śmierci.

Ella musiała przyznać, że Indianie w stosunkach wzajemnych pomiędzy sobą postępowali bardzo uczciwie i sumiennie, zwłaszcza bez najmniejszej obłudy. Nigdy nie zdarzyło się jej słyszeć, aby jeden drugiego obmawiał poza oczami. Jeżeli który miał coś do zarzucenia innemu, wypowiadał to z całą otwartością. Przybrany ojciec Stokrotki polnej zapewnił Ellę, że człowiek, któryby się dopuścił potwarzy, byłby wystawiony na pogardę powszechną. Kobiety także wystrzegały się tego starannie. Jeżeli się czasem pokłócili, nikt nie mieszał się do tego i zwykle wkrótce następowała zgoda. Ludzie sędziwi, zarówno mężczyźni jak kobiety, otaczani byli największym uszanowaniem; nigdy się też nie zdarzyło, aby ktoś odważył się uchybić starcowi lub staruszce. — Były to wszystko przymioty godne naśladowania. Ale Ella spostrzegła także i wad niemało pośród swego otoczenia. Pycha, do śmieszności posunięta, okrucieństwo, żądza zemsty, oto są cechy właściwe wszystkim Indianom, a możnaby dodać do tego i inne strony ujemne.

Ella zapoznała się w przeciągu dni kilku z wielu mieszkańcami tej osady; wszędzie ją przyjmowano uprzejmie i obchodzono się z nią przyjaźnie, — widocznie uważano ją za należącą już niejako do plemienia Pawnisów. Wiedziała ona, iż szczególnie te względy zawdzięcza głównie Jeleniowi wrzącemu i narzeczonej jego, Stokrotce polnej, ale niemało się do tego przyczynił i biały staruszek, opiekun Stokrotki, który także roztropne i miłe dziewczę polubił nie-

zmiernie; zdanie zaś starca ogromne miało znaczenie pomiędzy Indianami. Ella odwiedzała go często, i zaprzyjaźniwszy się z nim bliżej, nieraz rozpytywała o różne szczegóły obyczajów czerwonoskórych.

— Czy Indianie mają jakie prawa pisane? — pytała dnia pewnego ciekawa dziewczyna.

— Nie — odpowiedział Ludowiko — oni praw takich nie potrzebują. Jeżeli który popełni przestępstwo, zbiera się rada, złożona z najstarszych i najpoważniejszych mieszkańców osady i wydaje na winnego doraźny wyrok. Zabójcy i tchórze karani są śmiercią, mniej winni skazywani na wygnanie; bywają też i lżejsze kary. Wogóle jednak tak mało przestępstw tu się popełnia, że i sądy podobne rzadko się odbywają. O wypadku kradzieży nigdy nie słyszałem. Moja córka widzi, że chaty stoją wszystkie otworem, nikt tu nie zna i nie potrzebuje zamków. Karą kłamców i kłótników jest pogarda powszechna; kobiety tylko częściej się kłócą, ale i one zwykle godzą się prędko dla uniknięcia wstydu.

— Ciekawa jestem — spytała znów Ella, gdy starzec umilkł — jakim sposobem Indianie czas mierzą, nie mając kalendarza?

— Gdy ziemia zrzuca z siebie białe całun zi mowy — odrzekł stary — gdy kwiaty w lesie i na stepie budzą się do życia, podczas wiosennego porównania dnia z nocą, u Indian nastaje rok nowy. Miesiące zaczynają się na pełni księżyca, a dni o wschodzie słońca.

— Czy miesiące mają u nich jakie nazwy właściwe?

— Pierwszy miesiąc nazywa się myśliwski albo

ptasi, drugi kwiatowy, trzeci siewny, bo wówczas zasiewa się kukurydza, czwarty słony, bo zwierzyzna stadami wędruje do słonych jezior; piąty jest miesiacem żubrów, gdyż najwięcej o tej porze zbiera się tych zwierząt po stepach, szósty zwie się śliwkowym, siódmy miesiacem zbiorów, ósmy niedźwiedzim, bo zwierzęta te najwięcej tłuszczu dają w tym czasie, dziewiąty jelenim, gdyż jelenie zrzucają wtedy rogi, — nazywają go także i wietrznym, — dziesiąty słusznie nosi miano mroźnego lub śnieżnego, jedenasty jest martwy, dwunasty deszczowy, a trzynasty cukrowy, w tej porze bowiem sok cukrowy najobficiej z kłonów wycieka.

— Radabym jeszcze dowiedzieć się — mówiła młoda dziewczyna — jakie są religijne wyobrażenia Indian, co oni naprzykład sądzą o stworzeniu świata i człowieka?

— Chętnie ciekawość córki mojej zaspokoje — odpowiedział staruszek uprzejmie. — Nie wszystkie plemiona mają jednakowe podania o stworzeniu świata i ludzi. Jedni naprzykład utrzymują, że piersi ludzie wyrosli z ziemi, tak jak rośliny i zwierzęta. Inni znów powiadają, że Wielki duch stworzył najpierw mężczyznę i kobietę i parę tę osadził na pięknej wyspie pośród wielkiej wody, to jest oceanu. Lecz wkrótce było im tam za ciasno; kobieta poprosiła więc Wielkiego ducha o pomoc, a ten zesłał ogromne mnóstwo bobrów, piżmo-szczurów i innych zwierząt podobnych, które tyle z dna morskiego naniosły ziemi, że się z tego dzisiejsze wielkie lądy utworzyły. Opowiadają też i inne, śmieszniejsze bajki. Wszyscy jednak wierzą w istnienie istoty wszechmocnej i dobrej,

którą zowią Wielkim duchem. Ten Wielki duch, według ich mniemania, pierwszą parę ludzi czerwono-skórych otaczał opieką i łaską; dał im przepyszne grunta myśliwskie, często sam z nimi rozmawiał, nauczał i rady udzielał. Byli też wówczas bardzo szczęśliwi, lecz w końcu zawinili nieposłuszeństwem i Wielki duch odsunął się od nich, a za karę oddał ich w moc złego ducha, który jest przyczyną wszelkiego złego na ziemi. Dobry duch nie przestaje pomimo to opiekować się dziećmi swojemi, a że jest potężniejszy daleko od złego ducha, więc obronić może każdego, kto się doń ucieka. Z powodu tych dziwacznych pojęć, Indianie oddają cześć dwu bóstwom: dobremu duchowi dziękują za wszystkie dobrodziejstwa i o opiekę go proszą, złemu zaś duchowi okazują pewne względy, ażeby się od jego zemsty uchronić.

A czy oni wierzą w życie przyszłe?

— Wierzą, ale dziwne o tem życiu pośmiertnem mają pojęcia: wyobrażają je sobie zupełnie podobnem do teraźniejszego. Przekonani są, że po śmierci zamieszkają w pięknej, rozkosznej krainie, gdzie wiosna nigdy nie mija, niebo jest wiecznie pogodne, a lasy i łąki obfitują w zwierzynę; każdy będzie mógł tam polować, ile mu się spodoba. Lecz los ten szczęśliwy ma być szczególnie udziałem walecznych wojowników, poległych z chwałą w boju z nieprzyjaciółmi; tych po śmierci czekają największe odznaczenia.

— Czy Indianie mają pewne dni oznaczone, w których cześć bóstwu oddają?

— Takich dni nie mają; zwracają się z modlitwą do dobrego lub złego ducha, ile razy zachodzi

tego potrzeba, a więc — przed rozpoczęciem wojny, po otrzymaniu zwycięstwa, przy zawarciu pokoju, podczas klęsk i nieszczęść. Starsi Indyanie i wogóle wszyscy cnotliwsi i rozumniejsi, codziennie zanoszą prośby o opiekę i łaskę do dobrego ducha, dodając krótką modlitewkę do złego, aby im zbytecznie nie dokuczał. Rzadko kiedy modlą się głośno; zwykle w myśli rozmawiają z bóstwem. Uroczyste nabożeństwa odbywają się tylko w ważniejszych wypadkach; np. gdy wojna jest wypowiedziana, cały lud się zgromadza, nawet starcy, nie mający władzy w nogach, każą się przynosić na noszach do miejsca, gdzie wspólne modły są odprawiane. Zwykle wybiera się do tego piękna ustron leśna. Tam starzy i młodzi zanoszą do Wielkiego Ducha gorące błagania, aby im dał zwycięstwo. Po skończeniu wojny zwycięzcy tańczą i śpiewają, a w pieśniach tych wspomniane jest często ze czcią i wdzięcznością imię Wielkiego Ducha. Wśród zwyciężonych — przeciwnie: wojownicy milczą ponuro, w duszy tylko proszą na przemianę dobrego i złego ducha, aby nieprzyjaciół ich zgębili i wszelakie klęski spuścili na nich. Kobiety i dzieci płaczą głośno, wrywają sobie włosy, biją się pięściami w piersi i w niebogłosy wołają do obu duchów, wzywając ich pomsty na nieprzyjaciół.

Tu staruszek umilkł i powstał; dotychczas siedział obok Elli na posłaniu z futer.

— Cóрка moja nie weźmie mi za złe, że ją pożegnám — rzekł — muszę odwiedzić chorego w sąsiedniej chatce, ale za chwilę powrócę i gdyby córka moja zaczekać tu chciała...

Ella przystała na to z ochotą. Stary Ludowiko

w rzeczy samej niedługo bawił, a gdy powrócił, zawiązała się znów zajmująca rozmowa o chorobach Indyan i sposobach ich leczenia. Wielki prorok, jak nazywano Ludowika, miał sławę umiejętnego lekarza i to mu największy szacunek jednało pośród czerwonoskórych przyjaciół. Febry, kataralne gorączki i niestrawność, te były dolegliwości, przytrafiające się najczęściej u Indyan. Ludowiko leczył je różnymi niewinnymi roślinnymi środkami: korą drzewną, korzonkami, ziołami. W każdej chacie indyjskiej znajdowała się apteczka domowa, mieszcząca się w woreczkach ze skóry bobrowej lub wydrzej.

— Indyanie — opowiadał starzec — znoszą wszelkie cierpienia nadzwyczaj cierpliwie; uważają je za karę Wielkiego ducha za różne przewinienia. Ciężko chorzy odwiedzani są zwykle przez wszystkich mieszkańców wioski i każdy wówczas jest do nich dopuszczany. Goście ci jednak nie rozmawiają, lecz zachowują uroczyste milczenie. Chory zaś, jeśli ma siłę, przemawia do nich, daje im różne nauki i rady, które są słuchane z największem uszanowaniem i święcie przechowywane w pamięci. Panuje tu bowiem przekonanie, że człowiek przed śmiercią obdarzony jest pewnego rodzaju jasnowidzeniem. Umierający zazwyczaj z wielkim spokojem wygląda ostatniej godziny. Nadzieja lepszego i szczęśliwszego bytu po śmierci umacnia go i często napęla widoczną radością. Wielkie to zmartwienie dla całej rodziny i dla przyjaciół, jeśli się zdarzy, że chory okazuje obawę śmierci, — wówczas bowiem, według ich mniemania, musi się znajdować w mocy złego ducha. Wzywają więc gorąco pomocy Wielkiego, dobrego ducha.

— Jakież są ceremonie przy pogrzebie Indyana? — spytała Ella.

— Zmarły leży parę dni w chacie na skórach żubrów; gdy ciało zdradza już ślady zepsucia, krewni i przyjaciele wynoszą je na miejsce spoczynku, dość oddalone od wioski. Uroczyste milczenie trwa podczas tego pochodu; syn zmarłego lub inny najbliższy krewny niesie za nim jego przybory myśliwskie, luk, strzały, siekierkę i inne przedmioty, które się składa w grobie w tem przekonaniu, że nieboszczyk w przyszłym życiu posługiwać się tem wszystkiem będzie. Tu dopiero na grobie rodzina zaczyna rozwodzić głośnie żale. Kobiety zwłaszcza krzyczą, jęczą, włosy sobie wrywają na głowie i w najhałaśliwszy sposób objawiają swoją rozpacz. Ale i mężczyźni, którzy we wszelkich innych okolicznościach uważają sobie za obowiązek powstrzymywać się od widoczniejszych objawów uczuć, na pogrzebach płaczą i krzyczą na cały głos. Zdawałoby się, że gwałtowne te wybuchy wyczerpują żal odrazu do szczytu, gdyż zwykle płacząca i krzycząca w niebogłosy rodzina pociesza się bardzo prędko i po dniach kilku nie pozostaje ani śladu tego strasznego smutku.

Takie i tym podobne rozmowy, codziennie prowadzone z pocziwym staruszkiem, wielką były dla Elli rozrywką i pomimo niepokoju, który serce jej napelniał, czas wcale jej się nie dłużył. Dni jedne po drugich mijały, — zbliżała się pora, oznaczona na wesele Jelenia wrzącego ze Stokrotką polną. Uroczystość ta, jak wiemy, miała być uświetniona śmiercią wodza Osagów, szlachetnego Orla czubatego.

XXVI.

Przygody Tobiasza.

Dziesięć dni upłynęło od powrotu Pawnisów. Przez cały ten czas stary Tobiasz, towarzysząc niedoli Elli, ani na chwilę nie wyszedł z nędznego szałas, który mu za więzienie służył; dzień i noc jak najściślej był strzeżony. Mieszkanie jego nie było wygodne ani przyjemne. Usadowiono biedaka w starej, opuszczonej budzie, gdzie tylko kiedyniekiedy przebywali jeńcy wojenni, a jak łatwo odgadnąć, nikt nie dbał o to, aby im tam było dobrze. W korze, pokrywającej słupy, nie brakło dziur większych i mniejszych, a ponieważ nigdy ich nie zatykano, deszcz i wiatr hulały tam tak swobodnie, jak na dworze. Stara, podziurawiona skóra żubra stanowiła posłanie i jedyną ochronę od zimna.

Dnia pewnego biedny Tobiasz siedział na tej skórze, z głową w dłoniach ukrytą, w smutnych myślach pogrążony. Bo też niemal miał powodów do smutku. Od chwili przybycia do tej osady indyjskiej rozłączono go z Ellą; nie widział jej ani razu i nie wiedział nawet, co się dzieje z ukochaną jego panną. Srogie i nielitościwe postępowanie Indyan tem więcej go dziwiło, że w ostatnich dniach podróży obchodzili się z nim coraz łagodniej. Teraz było zupełnie co innego; jedzenie dawano mu tak okropne, że je zaledwie mógł przelknąć, wody nawet świeżej nie dostawał. Najmocniej jednak przeraził się dzisiejszego rana, posłuchując rozmowę Indyan, którzy

stali na straży przy jego więzieniu. Tobiasz rozumiał ich język; mowa była o tem, że już niedługo będą Niemity swój obowiązek pełnili przy jeńcu, skąd można było wnosić najgorsze rzeczy. O ulaskawieniu marzyć nawet nie mógł wśród takich okoliczności, więc Pawnisy mieli zapewne śmierć jego na myśli, — tym sposobem bowiem zwykle pozbywali się jeńców.

Nieszczęśliwy rozmyślał nad tem, że wkrótce zapewne będzie musiał rozstać się z życiem doczesnem i wzdychał ciężko, bo jeszcze mu się ten świat nie naprzykrzył. Nagle przerwano mu to żalosne rozmyślanie. Czterech Pawnisów weszło tak cicho do szalasu, że Tobiasz spostrzegł ich dopiero w chwili, gdy stanęli przy nim. Nieborak był przekonany, że ostatnia jego godzina wybiła, zerwał się na nogi, usiłując jednak ukryć swoje przerażenie. Indyanie spojrzeli na niego ponuro; dwaj z nich schwycili go za ramiona, dwaj inni stanęli tuż za nim.

— Niech blada twarz idzie z nami — mruknął jeden z prowadzących Indyan, i pociągnęli go za sobą.

— Czego chcecie odemnie? — zapytał Tobiasz, nadaremnie usiłując ukryć drżenie głosu.

Nie otrzymał żadnej odpowiedzi; Indyanie wlekli go tak prędko, że ledwie mógł nadążyć. Przechodzili pomiędzy chatami, wreszcie zatrzymali się na małym wzgórku, ocienionym kilku rozłożystymi drzewami. Czekala tam na nich dość liczna gromadka Pawnisów, między którymi Tobiasz poznał Jelenia wrzącego; obok tego ostatniego stał stary wódz, jego ojciec, — lecz tego Tobiasz nie znał. Pochmurne oczy wszystkich zwróciły się na jeńca, który zaledwo na nogach mógł się utrzymać ze strachu. Na wzgórku

wbity był w ziemię mocny pał, do którego przywiązano biednego Tobiasza za ręce i za nogi. Ojciec Jelenia wystąpił naprzód i zwrócony do zgromadzenia Pawnisów, przemówił mniej więcej w te słowa:

— Bracia moi wiedzą dobrze, jak wiele złego blade twarze wyrządzają czerwonym dzieciom Wielkiego ducha. Gdy niegdyś przed laty po raz pierwszy ludzie ci przybyli do tej krainy, ojcowie nasi, prawej właściciele, przyjęli ich gościnnie, gdyż gościnność jest najpierwszą cnotą Indyan. Dano posilek zgłodniałym, znużonym schronienie, chorych opatrzone lekami. Jakaż była wdzięczność za te wszystkie dobrodziejstwa? Jadowita żmija póty jest nieszkodliwa, póki leży zdrewniała; głupiec rozgrzewa ją u łona, — gdy się rozbudzi i odżyje, zapuści jadowite swe żądło w jego ciało i śmierć mu zada. Tak uczynili i blade ludzkie. Przypatrzysz się myśliwskim gruntem Indyan, zapragnęli je objąć w posiadanie i czerwonych właścicieli zaczęli z nich wypierać. A jak się obchodzili z nimi! Wyniszczali ich i tępili tak zawzięcie, jak szkodliwe wilki i pantery. Od kul ich zginęło Indyan mnóstwo; ileż to żon oplakuje mężów, ile matek synów! Te okrucieństwa pobudziły zemstę czerwonoskórych i wypowiedzieli wojnę wiekiustą bladym twarzom. Gdzie tylko napotkają nieprzyjaciół, strzały ich świszczą i tomahawki latają. Lecz jeśli blade człowiek żywcem dostanie się w ich ręce, musi ginąć uwiązany do pala. Indyanie kobietami nie są, za złe złem odpłacają, tak każe Wielki duch. Oto i ten człowiek blade dostał się w nasze ręce. Zasłużył on na śmierć czterokrotnie, bo był razem z tymi, którzy czterech wojowników naszych wysłali do wie-

kuistych myśliwskich gruntów. Trzy matki płaczą za synami, jedna wdowa oplakuje męża, czworo dzieci ojca. Któż pocieszy wdowę i sieroty? Kto chaty ich zaopatrzy w zwierzyne, kto obroni od nieprzyjaciół? Błady człowiek pokrzywdził ich strasznie, wdowa powinna go przeklinać. A jednak nie przeklina, litość wzruszyła jej serce i gotowa przebaczyć blademu człowiekowi, jeśli zechce chatę jej zaopatrywać w zwierzyne, a sierotom ojca zastąpić. Czy blada twarz słyszy i rozumie te słowa?

Wódz zwrócił się nagle z tem zapytaniem do Tobiasza, który przykrych bardzo uczuć doznawał, słuchając długiej przemowy wodza i dopiero przy końcu uspokoił się trochę i odetchnął.

— Słyszałem i rozumiałem wszystko — zawołał żywo.

— I cóż blada twarz ma do powiedzenia biednej wdowie? — zapytał znów wódz.

— Prosiłbym o kilka dni do namysłu.

— O nie, blada twarz musi natychmiast odpowiedzieć stanowczo. W przeciwnym razie śmierć go czeka.

— A gdybym się zgodził — spytał Tobiasz.

— Wówczas błady człowiek natychmiast będzie wolny, i Pawnisy powitają go jak brata i przyjaciela. Odtąd błady człowiek polować z nimi będzie i towarzyszyć im na wojennych ścieżkach. Oni zaś wezmą go w opiekę i nie pozwolą mu nigdy krzywdy wyrządzić. Lecz gdyby ich oszukał i zdradził, pomściliby się w najstraszniejszy sposób.

Biedny Tobiasz nie namyślał się długo. Z jednej strony widział śmierć najokropniejszą, z drugiej natychmiastową swobodę, czyliż mógł się wahać?

Oświadczył więc natychmiast wodzowi, że gotów jest spełnić żądany warunek. Ten zadał mu jeszcze parę pytań, a otrzymawszy zadawalniającą odpowiedź, kazał Indyanom odwiązać jeńca od pala i puścić wolno. Tymczasem srogie i pochmurne twarze wojowników wypogodziły się szybko, wszyscy starali się okazać nowemu bratu przychyłność i najprzyjaźniejsze uczucia. Nie jednak Tobiasza tak nie uradowało, jak wiadomość, że wdowa nie mogła go zaraz poślubić, gdyż musiała odbyć wprzód żałobę po pierwszym mężu, co jeszcze potrwać miało dwa tygodnie. Aż do tego czasu nie potrzebował więc myśleć o żywności całej tej rodziny, — inni wojownicy się tem zajmowali. Dowiedział się także z mniejszą już przyjemnością, że przyszła jego małżonka należała do plemienia Tygrysa zębatego, i on więc stał się członkiem tegoż plemienia i niezwłocznie miał być do tamtej wioski przewieziony. Tobiasz prosił o pozwolenie widzenia się z Ellą, ale mu wręcz odmówiono. Kilku Indyan wpakowało go do łódki i rzeką dopłynęli na miejsce. Rozjaśniło się nieco posępne czoło Tygrysa, gdy się dowiedział o postanowieniu jeńca; i on także zadał mu kilka pytań, następnie kazał powtórzyć solenne przyrzeczenie, że o potrzebach wdowy i sierot pamiętać będzie.

— Brat mój jest wolny — rzekł wódz na zakończenie — może przechadzać się po całej wiosce, wychodzić z niej jednak nie ma prawa, póki czynami nie dowiedzie swej przychyłności i wierności dla czerwonych braci.

Dano Tobiaszowi na mieszkanie dość porządną chatę, stojącą pośrodku wioski, niezbyt daleko od tej,

w której więziono Orla czubatego. Poczciwiec nasz z rozkoszą używał upragnionej swobody. Czuł on to wprawdzie, że jeszcze nie zupełnie przestał być jeńcem; wszędzie, na każdym kroku, widział zwrócone na siebie podejrzliwe spojrzenia Indyan. Nawet kobiety i dzieci zdawały się należeć do tej czujnej straży, rozciągniętej nad nim nieznacznie. Ale roztropny Tobiasz starał się pozyskać większe zaufanie. Ile razy nadarzyła się do tego sposobność, głośno i wymownie wynurzał wdzięczność swoją za ulaskawienie tak wspaniałomyślne. Gdy Pawnisy w obecności jego zaczęli lżyć swoich nieprzyjaciół, on zaraz najdosadniejszych dobierał wyrazów i przechodził innych w zapale. Gdy czasem i o Osagach była mowa, wówczas chytry stary udawał zawziętą ku nim nienawiść. Dla usprawiedliwienia tych uczuć nieprzychylnych, twierdził zawsze, iż złe traktowanie, jakiego doznawał od Pawnisów, przypisuje temu «głupiemu wodzowi Osagów», jak się wyrażał. On to bowiem swym nedorzecznym pomysłem wyswobodzenia jeńców niechęć i nieufność ku nim wzbudził w sercach szlachetnych Pawnisów. Tobiasz z zimną krwią powtarzał nieraz, że za tę głupotę Orzel czubaty zasłużył na śmieć najokrutniejszą i że on sam radby najprędzej być świadkiem wykonania wyroku.

Nie potrzebujemy zapewne upewniać czytelników, że stary nie myślał tego co mówił; naśladował on tylko przebiegłość i chytrą swoich przybranych braci. Zresztą wyjaśnia to najlepiej dalsze wypadki. Tymczasem roztropnem tem postępowaniem Tobiasz pozyskał wkrótce większą ufność. Już po kilku dniach pozwolono mu odbywać dalsze przechadzki poza obre-

bem wioski. Spostrzegł wprawdzie, że i tam Pawnisy śledzili go z początku, wkrótce jednak zaniechali tego zupełnie, stary bowiem zawsze w porę powracał i zdawał się zupełnie zadowolony pośród «miłych swych braci, którym tyle zawdzięczał». Stopniowo doszło do tego, że przestano nad nim czuwać i gdyby był chciał, łatwo by mógł nawet i uciec, ale on o tem nie myślał wcale.

Indyanie uważali go za najwierniejszego przyjaciela, a w nienawiść jego dla wodza Osagów tak dalece uwierzyli, że zaczęli się wyręczać «białym bratem» przy pilnowaniu tego ważnego jeńca. On zaś najchętniej im tę usługę wyświadczał, i stał cierpliwie na straży po kilka godzin, zastępując tego lub owego wojownika, a ta uczynność tak im się podobala, że nie tylko w dzień, lecz nawet i w nocy na «białego brata» ten niezbyt przyjemny obowiązek składali. Będąc już teraz przypuszczony do zaufania Pawnisów, stary wiedział o tem od dawna, że śmierć Orla czubatego odkładano do dnia zaślubin Jelenia ze Stokrotką. Wyrok miał być wykonany ze zwykłym okrucieństwem podczas tej uroczystości, którą już niezapadło obchodzić zamierzano.

Noc była ciemna, burzliwa i słotna; stary nasz znajomy, uzbrojony wedle zwyczaju indyjskiego w nóż i tomahawk, przechadzał się dokoła chaty, w której przebywał wódz Osagów, zawsze od stóp do głowy skrepowany. Tobiasz nigdy jeszcze dotychczas nie odważył się do niego przystąpić lub przemówić choć jednym słowem. Tej nocy postanowił zdobyć się na to. Najpierw z wielką uwagą oglądał się dookoła i słuch wyteżał, a przekonawszy się, że cała osada

we śnie jest pogrążona, zbiżył się cicho i ostrożnie do otworu, zastępującego drzwi w chatce.

— Czy wódz Osagów nie śpi? — zapytał ledwo dosłyszczanym głosem.

— Nie — odszepnął tamten niemniej cicho.

— Wódz ma przy sobie przyjaciela, niech tylko stara się zachować jak najspokojniej i słucha.

— Cóż to za przyjaciel?

— Biały człowiek, który razem z Ellą, córką osadnika, dostał się do niewoli.

— Ten sam, co psom Pawnisom pomaga strzedz jeńców — szepnął wódz.

— On to czyni dla tego, ażeby Orła czubatego uratować.

— Hug! — ozwał się tamten półgłosem.

— Trzeba teraz się naradzić — mówił znów Tobiasz — jakim sposobem mógłbym dopomódz wodzowi do ucieczki.

— A gdzie jest biała dziewczyna?

— W osadzie Jelenia wrzącego.

— Zawsze w niewoli!

— Tak, sądzę jednak, że Jeleń nie da jej krzywdy wyrządzić.

— Ale jest niewolnicą tych psów Pawnisów... jakimże sposobem brat mój myśli ratować Orła czubatego?

— Zdaje mi się, że mam niezły pomysł.

— Niech brat mój mówi.

— Przetnę natychmiast więzy wodza i razem stąd umkniemy. Noc ciemna, śpią wszyscy...

— A Ella? Oni się pomszczą na niej.

— Jeleń ją obroni.

— Nie obroni jej, choćby chciał nawet.

— Dla czegoż wódz tak sądzi?

— Tygrys zębaty będzie się wściekał, gdy śmiertelny wróg mu się wymknie. Ella odpowie za nas obu. Jeleń będzie musiał chyba krwawą walkę stoczyć, by nie dopuścić do tego; na to znów ojciec Jelenia nie pozwoli, — uzna on zemstę Tygrysa za sprawiedliwą.

— Orzeł czubaty ma słuszość. Stary głupiec ze mnie, żem tego sam nie zrozumiał. Orzeł czubaty ma serce najzaczepniejsze i najszlachetniejsze w świecie; woli zginać okrutną śmiercią, aniżeli panienkę narażać na niebezpieczeństwo.

— Czy brat mój nie słyszał, kiedy los Orła czubatego ma się spełnić?

— Podczas wesela Jelenia wrzącego.

— A kiedyż to wesele ma się odbyć?

— Za parę tygodni.

— Orzeł czubaty szydzi ze swych nieprzyjaciół.

— Pięknie to bardzo, ale oni go dlatego zamordują.

— Nim wilki pożrą Orła, jaguar wilki porozdziera.

— Cóż to ma znaczyć? Czyżby wódz miał jakie nadzieje? W takim razie powinienby mi te rzeczy jaśniej wyłożyć.

— Czy brat mój jest pewny, że nas nikt nie podsłucha, że żadnego z tych psów Pawnisów niema w pobliżu?

— Ależ niema z pewnością.

— A więc niech brat mój się dowie — mówił

Orzeł czubaty tak cichym szeptem, że Tobiasz ledwo go dosłyszeć zdołał — przyjaciele są blisko.

— Ach, to doskonale! Iluż ich jest?

— Tymczasem trzech tylko.

— Cóż może trzech ludzi uczynić przeciw takiej sile?

— Będzie ich wkrótce więcej, paruset zapewne.

— To byłoby już lepiej, chociaż i paręset niełatwo da radę tej niezliczonej zgrai Pawnisów. Ale skąd u Pana Boga mógł wódz się o tem dowiedzieć?

— Jeden z tych trzech przyjaciół doniósł sam o wszystkim Orłowi czubatemu.

— Co, tu, w obozie Pawnisów. To niepodobieństwo, Orzeł czubaty żartuje sobie ze mnie.

— Orzeł czubaty nie ma zwyczaju żartować! Otrzymał on te wieści kilka dni temu, wówczas gdy brat mój stał także na straży przy tej chatce.

— Czy to być może!

— Brat mój ani spostrzegł, gdy przyjaciel do chatki się wśliznął.

— Nie, nie, ja temu uwierzyć nie mogę, wódz Osagów żarty sobie ze mnie stroi.

— A jednak tak było. Ale niech mój brat nie dziwi się temu zbyt, ten, który go w pole wyprowadził, zręczniejszy jest i przebieglejszy od wielu Indian.

— Któż to taki, jak się nazywa?

— Serce prawe.

— Serce prawe? Ten znakomity myśliwiec, o którym takie nadzwyczajne rzeczy opowiadają?

— Ten sam. Zaraz pierwszej nocy, która na-

stąpiła po dniu naszego tu przybycia, Orzeł czubaty dowiedział się, że przyjaciel jego jest bardzo blisko.

— To rzecz niesłychana! trudna do uwierzenia!

— Najpierw trzy razy w krótkich odstępach odezwało się z lasu gruchanie dzikiego gołębia. Orzeł czubaty dowiedział się tym sposobem, że najlepszy przyjaciel jego, takim bowiem jest mu Serce prawe, znajduje się w pobliżu i czuwa nad nim.

— Ale wódz wspomniał o trzech przyjaciółach; któż są dwaj inni?

— Ojciec i starszy brat Elli.

— O mój Boże, co za szczęście! — wykrzyknął stary sługa uradowany, głośniejszy nieco, niż należało.

— Brat mój jest nieostrożny — przestrzegali Orzeł czubaty.

— To prawda, zapomniałem się — mówił Tobiasz znów ciszej — już to podobno dosyć będzie na dziś tej rozmowy. O jedno tylko jeszcze muszę zapytać: co ten myśliwiec Serce prawe doniósł wódzowi?

— Że kilku wojowników pośpieszyło do siedlisk Osagów, aby dać znać o uwięzieniu wodza, zapewne też przybędą mu na ratunek.

— Daj to Boże! A czy oni prędko mogą tu przybyć?

— Słońce musi jeszcze po wiele razy zanurzyć się w wielkiej wodzie, nim Osagowie się zbiórą i daleką drogę odbędą.

— Niestety! a tu wesele Jelenia wrzącego ma już niezadługo się odbyć.

— Wielki duch wszystko na dobre zwróci — rzekł spokojnie Orzeł czubaty. — Osagowie się nie

spóźnia, mają rączę konie, Serce prawe zalecił im pośpiech jak największy.

— Ja jednak w najokropniejszej trwodze czekać będę dnia wesela.

— Orzeł czubaty jest spokojny, Serce prawe czuwa nad nim.

— Wódz pokłada widocznie pewną ufność w tym myśliwcu.

— Ufność bez granic. Przyjaciół mój jest odważny, mądry, posiada siłę olbrzyma. Czyżby zwyczajny człowiek potrafił zakraść się do obozu Pawnisów?

— To prawda. Dotąd nie pojmuje, jak on mógł tej sztuki dokazać. A pomimo to wszystko, cóż zdoła jeden człowiek uczynić przeciw takiej liczbie?

— Mój brat nie ma podobno zbyt odważnego serca...

— Pst! na miły Bóg, ktoś idzie — szepnął Tobiasz i śpiesznie wyszedł z chatki.

Ujrzał w rzeczy samej zbliżającego się wolnym krokiem Indyanina. Był to Tygrys zębaty, który co noc prawie, a zwłaszcza, gdy Tobiasz stał na straży, zaglądał do swojego jeńca w obawie, aby nie umknął. Obaczywszy wartość na swoim miejscu, odszedł spokojnie dalej. Tobiasz chodził przez czas jakiś naokoło chatki, wreszcie upewniwszy się, jak sądził, że Tygrys zębaty spać się położył, znowu wszedł po cichu do jeńca.

— Kto wie, czy będę miał drugi raz taką dobrą sposobność do rozmowy z wodzem — rzekł — przyszedłem więc jeszcze na chwilę, może Orzeł czubaty ma mi co do polecenia.

— Mój brat jest nadzwyczaj nieroztropny — odrzekł wódz Osagów — jeżeli Tygrys zębaty powziął choćby najlżejsze podejrzenie, musi go teraz szpiegować.

— Orzeł czubaty może być spokojny. Tygrys zębaty ani myśli o tem; widziałem doskonale, jak wszedł do swojej chaty i teraz pewnie już chrapie. Nie jestem przecież ślepy.

— Błady człowiek jest ślepy i nikczemny! — odezwał się w tej chwili za plecami śmiertelnie przerażonego Tobiasza głos przyciszony, lecz drżący z wściekłości Tygrysa; chwycił on jednocześnie bledaka za kołnierz i jednym pchnięciem powalił na ziemię. Wnet zjawilo się czterech Indyan i skrepowano mu ręce i nogi.

— Tak to błady człowiek postępuje z Pawnisami, którzy mu zawierzyli i przyjęli za brata? — mówił Tygrys zębaty do nieszczęśliwego Tobiasza — bładzi ludzie są ślepi, głusi i głupi, jak indyki i równie łatwo dają się w pole wyprowadzić. Błady człowiek wyobrażał sobie, że nikt nad nim nie czuwa, że zdrada jego się ukryje. Mylił się bardzo i kara śmierci teraz go nie minie. Pilnować mi dobrze tego nędznika!

Dwaj Indyanie odprowadzili nieprzytomnego prawie ze strachu i zmartwienia Tobiasza, dwaj inni pozostali na straży przy Orle czubatym. Tygrys polecił, aby odtąd strzegła go straż podwójna. Sam zaś nim odszedł, rzekł jeszcze do jeńca z jadowitym uśmiechem:

— Wódz Osagów obawia się śmierci, jak stara kobieta. Ogląda się na wszystkie strony za ratun-

kiem i straże namawia do zdrady. Ale Tygrys zębaty czuwa dobrze; chciał wypróbować błądą twarz i dlatego ją postawił na straży. Wódz Osagów powinien był to odgadnąć, cóż, kiedy Orzeł czubaty jest głupi i łatwowierny, jak stara kobieta.

I odszedł śpiesznie, nie czekając odpowiedzi.

Tobiasza następnego rana odesłano napowrót do wioski, gdzie wodzem był ojciec Jelenia wrzącego. Ella strasznie się zmartwiła, gdy cała ta przygoda doszła do jej uszu. Ale napróżno błagała o łaskę dla starego slugi; Indyanie byli srogo obrażeni tą zdradą i Jeleń wrzący ją upewnił, że gdyby chciał nawet, nie mógłby teraz od śmierci uratować winnego. Wyrok był nieodwołalny: biedny Tomasz miał zginąć razem z Orłem czubatym podczas wesela Jelenia ze Stokrotką.

Upłynęło znowu parę tygodni i nadszedł wreszcie z taką trwogą oczekiwany dzień uroczystości weselnej. Od samego rana w chacie i przed chatą Ludowika, przybranego ojca Stokrotki polnej, zbierać się zaczęli krewni narzeczonej i narzeczonego. Ella musiała także być obecną, chociaż nie mogła się dobrać do ogólnej radości. Na bladej twarzyczce dziewczyny malowała się boleść głęboka; oczy jej niespokojnie spoglądały w stronę lasu, jakby stamtąd ratunku czekała. Wiedziała, że ojciec i brat jej wraz z wojownikami Orła czubatego mieli pośpieszyć do siedlisk Osagów, lecz czemuż pomoc tak się opóźniła? Gdybyż przybyli póki czas jeszcze, choćby w ostatniej godzinie! dziewczyna gorąco błagała o to Boga w głębi duszy, lecz nadzieja już w niej zamierała...

Gdy wszyscy goście weselni się zebrali, rozpo-

częła się właściwa uroczystość ślubna. Jeleń wrzący, dziś po raz pierwszy przybrany w oznaki wodza, podszedł poważnym krokiem do Stokrotki polnej, wziął ją za prawą rękę i wyprowadził na środek murawy, dokola której siedzieli Indyanie. Wśród uroczystego milczenia pan młody zaczął mówić o szczerem swoim przywiązaniu do Stokrotki, a mówił to wszystko głosem wzruszonym i pełnym uczucia. Potem przyrzekł solennie wybraną swoją opiekować się, bronić jej przeciw nieprzyjaciolom i własną piersią osłaniać przed niebezpieczeństwem, oraz zawsze o tem pamiętać, aby miała obfitość zwierzyny, aby nigdy nie znalazła niedostatku. Nakoniec podał Stokrotce w darze piękny naszyjnik z kolorowych paciorków.

Teraz z kolei podniosła głos panna młoda. W wyrazach kwiecistych i wyszukanych przyrzekała sobie spełniać pilnie i gorliwie obowiązki gospodyni domu, uprawiać ziemię, zasiewać i zbierać zboże, nie zaniedbywać rozmaitych robót, należących do kobiety. Na zakończenie ofiarowała Jeleniowi nóż myśliwski. Najbliżsi krewni pierwsi składali młodej parze powinszowania i życzenia szczęścia, następnie zbliżali się inni z kolei; oni zaś wszystkim dziękowali serdecznie. Ceremonia była skończona; rozpoczęła się biesiada, która jednak nie trwała długo. Spożywwszy szybko mięso pieczone i gotowane, placki z kukurydzy i inne przysmaki, całe zgromadzenie wyruszyło na wielki plac, gdzie miało się odbyć okrutne widowisko, — wykonanie wyroku śmierci na dwóch nieszczęśliwych jeńcach.

Plac ten znajdował się pod lasem. Po samym środku jego wznosiły się wbite w ziemię dwa mocne

pale, czarno pomalowane, przy których leżały plecionki rzemienne. Cała ludność tłoczyła się na placu, otaczając dokola pale, przy których pozostawiono miejsce wolne. Byli tam i starcy, i kobiety, i dzieci, i wojownicy uzbrojeni jak do boju. Ella pokonała straszliwe wzruszenie i, przecisnąwszy się w towarzystwie panny młodej i innych dziewcząt indyjskich przez tłum, stanęła blisko złowrogich palów. Chociaż krew stygła w jej żyłach na samą myśl tak okropnego widowiska, jednak z drugiej strony nieokreślone jakieś uczucie ją tam ciągnęło, i jakiś głos tajemny mówił w duszy, że jej obecność mogła się na coś przydać nieszczęśliwym skazańcom. Dziewczyna posiadała odwagę i moc ducha niepospolitą, zapanaowała więc i teraz nad trwogą i wytrwała w postanowieniu.

Wkrótce ukazał się na placu wódz Osagów. Ella nie widziała go od chwili, gdy z nim przybyła do siedlisk Pawnisów; zmiana, którą spostrzegła w jego powierzchowności, boleśnie ją dotknęła. Twarz wychudła, oczy głęboko zapadłe, świadczyły aż nadto, jak okrutnie nielitościwi nieprzyjaciele obchodzić się z nim musieli w więzieniu. A jednak i teraz postawa jego była śmiała i dumna, głowa podniesiona wysoko, oczy spoglądały spokojnie dokola. Ręce miał związane na plecach, pomimo to otaczała go gromadka wojowników uzbrojonych. Tuż za nim postępował Tygrys zębaty; chociaż usiłował nadać swej twarzy wyraz spokojny i uroczysty, znać było na niej złośliwą, wstrętą radość.

Gdy tylko zgromadzeni ujrzeni skazanego, zaczęli go obrzucać najdotkliwszymi obelgami, przyczem

niezbyt zaszczytnie odznaczały się kobiety. Orzeł czubaty nie zdawał się zwracać na to najmniejszej uwagi. Kiedyniekiedy szyderski uśmiech ukazywał się na chwilę na zaciśniętych jego ustach. Raz tylko jeden, gdy spotkał zalane łzami oczy Elli, wyraz głębokiej boleści pojawił się na pięknej, szlachetnej jego twarzy; nikt jednak, oprócz młodej dziewczyny, tego nie spostrzegł. Wódz Osagów w mgnieniu oka pokonał wzruszenie, skinął ku niej głową z uśmiechem niewymownej słodyczy i życzliwości, mówiąc głosem wdzięcznym i spokojnym:

— Orzeł czubaty żegna białą siostrę swoją. Wyglądał on ratunku do ostatniej chwili, teraz już widzi, że umierać musi. Orzeł czubaty potrafi śmierć ponieść tak, jak na wodza przystało.

Oprawcy szybko uprowadzili go dalej, a w kilka chwil potem był już uwiązany rzemionami plecionkami do pala. Znowu podniosły się dzikie wrzaski kobiet. Tygrys zębaty wystąpił naprzód, skinął ręką i cisza uroczysta zaległa dokola.

W mowie napuszonej, pełnej najśmieszniejszych przechwalek, wódz Pawnisów zaczął dowodzić, iż lud jego miał tysiączne powody nienawiści do całego plemienia Osagów, a szczególnie do Orla czubatego, którego Wielki duch oddał w jego ręce. Potem zwrócił uwagę obecnych, że on to sam, Tygrys zębaty, pochwycił tego śmiertelnego wroga, co stanowi zasługę niemałą. Wspomniał z szyderstwem, jak w początkach obawiano się, aby Osagowie nie wypowiedzieli wojny Pawnisom, usiłując wodza swego ratować. On wszakże spokojny był o to, wiedział bowiem, że Osagowie są tchórze i bez wodza swego nie odważą się nigdy na

wojenną wyprawę. Nie widział też żadnej potrzeby zabezpieczać się przeciw tej napaści; teraz okazało się, iż miał słuszność. Oto nadeszła ostatnia godzina skazanego, a nikt się o niego nie upomniał, nikt nie próbował nawet go ratować.

Gdy Tygrys umilkł, z kolei głos podniósł Orzel czubaty. Spokojnie i z umiarkowaniem począł opowiadać o walecznych czynach, których niemało już spełnił, pomimo lat młodych. Lecz więcej daleko od własnego wynosił męstwo swoich wojowników, porównywał ich do Pawnisów i tych z największą pogardą nazywał tchórzami. O śmierci swojej wspominał jako o rzeczy nic nie znaczącej i mówił na zakończenie:

— Orzel czubaty wypełniał wiernie wszystkie obowiązki względem swego ludu aż do tej godziny. Wygrał wiele bitew i liczne skalpy nieprzyjaciół wiszą w jego wigwamie. Dzielni wojownicy Osagowie pomszczą niezawodnie krwawo śmierć swego wodza. Niech Pawnisy strzegą odtąd nieustannie swoich skalpów, bo Osagowie śledzić ich będą na różnych ścieżkach. Tygrys zębaty przechwalać się umie, a jest tchórzem, napada odważnie tylko na starców, dzieci i bezbronne kobiety. Ale przekona się Tygrys o waleczności plemienia Osagów; nie zdążyli wojownicy Orła czubatego w porę, by go uratować, lecz tem srożej śmierć jego pomszczą. Orzel czubaty nie obawia się umierać, jest wojownikiem; śpieszcie więc, tchórze, stare kobiety, psy żarłoczne, rzucajcie się na Orła czubatego, — on śmieje się z waszej złości!

Przeraźliwe, wściekle wrzaski odpowiedziały na tę zuchwałą mowę Orła czubatego, który w tym



celu chciał zniecierpliwie swoich wrogów, aby mu oszczędzili męczarni i prędzej zamordowali. I w rzeczy samej niejeden tomahawk podniósł się groźnie, młodzi szczególnie wojownicy nie mogli tych obelg znieść spokojnie. Ale Tygrys zębaty nie dopuścił do tego; chciał on się napić wprzód widokiem cierpień znienawidzonego nieprzyjaciela. Zastrzegł też sobie u Jelenia wrzącego i jego ojca zupełną swobodę postępowania ze swoim jeńcem.

Dał znak ręką i wnet liczna gromada starych kobiet rzuciła się na skazanego. Jędze te obrzucały go obelgami, pięściami mu wygrażały, ogłuszały wrzaskiem straszliwym. Ale to był tylko początek. Okrutne kobiety trzymały w ręku pęki ciernistych gałęzi i poczęły smagać nieszczęśliwego po obnażonych piersiach i plecach, aż póki krew nie wytrysnęła z drobnych, niezliczonych ranek. Potem przystąpiła gromadka wojowników; trzymali w ręku ostre tomahawki i ciskali je szybko jeden za drugim. Ella krzyknęła i z rozpaczą załamała ręce; myślała, że go w jednej chwili zamordują, — ale była to tylko okrutna zabawa. Wojownicy tak zręcznie rzucali broń swoją, że ostrze dotykało pała po nad samą głową skazanego, nie sprawiając mu najmniejszego uszkodzenia. Wieczna hańba spadłaby na niezgrabiarza, któryby go zabił lub zranił tylko. Trwało to dość długo; przez cały ten czas Orzeł czubaty ani drgnął, a chociaż głowę miał zupełnie swobodną, nie poruszył się nawet i nie zmrużył oka, gdy ostre siekierki przelatywały raz poraz tuż za nim. Kiedyniekiedy śmiał się pogardliwie, lżył swoich nieprzyjaciół, zarzucał im tchórzostwo i kobietami nazywał.

Ella zalewając się rzewnymi łzami, z przerażeniem spoglądała na tłuszcę rozszalałą, która takie męczarnie zadawała bliźniemu; chociaż ją opuściła już wszelka nadzieja, jednak mimowoli oczy jej w dal się zwracały, jakby wzywając pomocy, ratunku!

— Niech Sarenka modrooka teraz odejdzie — szepnęła jej do ucha Stokrotka polna — widok będzie coraz okropniejszy; Sarenka nie nawykła do tego, sprawi jej to pewnie wielką przykrość.

— Jeśli go dobija, przynajmniej cierpieć przestanie — odrzekła Ella — czy to ma zaraz nastąpić?

— O, nie — mówiła Stokrotka — nie prędko oni zabiją Orła czubatego, długo jeszcze cierpieć będzie.

— O Boże miłosierny! — mówiła Ella, łamiąc ręce — co za straszne okrucieństwo.

— Niech Sarenka modrooka odejdzie — powtórzyła Stokrotka.

Ella jednak nie odeszła, lecz pod wpływem najżywszej boleści bez namysłu poskoczyła do miejsca, gdzie stał Tygrys zębaty w towarzystwie Jelenia i jego ojca. Biedna dziewczyna chciała błagać o łaskę dla nieszczęśliwego, a chociaż nie miała nadziei zmieknąć kamiennego serca wodza Pawnisów, nie mogąc jednak stać bezczynnie, postanowiła spróbować tego ostatniego środka. Lecz w tejże samej chwili od strony lasu dały się słyszeć dzikie okrzyki i nagle zamieszanie powstało pomiędzy Indianami. Przerażone głosy zewsząd wołały raz po raz:

— Osagowie! Wielki biały myśliwiec!

XXVII.

Wesele Jelenia wrzącego.

Jak wiadomo czytelnikom, myśliwiec Serce prawe, a z nim osadnik Wattson i jego syn Jan przybyli w tę stronę jednocześnie z Pawnisami, powracającymi do swoich rodzinnych siedlisk. Przyszło im to z łatwością, gdyż Indianie nie śpieszyli zbyt zbytnie z podróżą, a Serce prawe, znając doskonale tę całą okolicę, często krótsze drogi wynajdywał. Na szczęście rozległy i gęsty las graniczył z wioskami Pawnisów, mógł więc myśliwiec, ukryty wśród gęstwiny, bystrym swym wzrokiem szpiegować, co się tam działo. Wkrótce wysledził, w którym szalasie więziony był Orzeł czubaty; dowiedział się także i o tem, że Ella i Tobiasz znajdowali się w drugiej wiosce, na przeciwnym wybrzeżu rzeki.

— To dobrze — szepnął on do starego Wattsona — o córkę pańską i o Tobiasza możemy być tymczasem spokojni. Jeleń wrzący wziął ich oboje w opiekę, Tygrys nie ma już obecnie żadnej władzy nad nimi. Niegodziwiec tem się zadawał, że dostał Orła czubatego w swoje ręce. Nie śpieszy z zamordowaniem jeńca, bo pragnie jak najdłużej się nad nim znęcać; bardzo to nam na rękę.

Wszyscy trzej krążyli niepostrzeżeni przez dzień cały w pobliżu wiosek indyjskich i byli świadkami hulaśliwej radości mieszkańców przy powitaniu powracających z wyprawy wojowników. Ale i w nocy Serce prawe nie chciał się oddalać od przyjaciela,

zagrożonego tak srogo w rękach śmiertelnych wrogów. Umówił się więc z dwoma towarzyszami i urządzili rodzaj warty nieustającej; każdy z nich kolejno przez kilka godzin czuwał pilnie z daleka nad wioskami indyjskimi. Nazajutrz o świcie zeszli się razem i długo radzili nad tem, co dalej czynić wypadło.

— Przedewszystkiem — odezwał się Serce prawe — uwiadomić trzeba jeńca, że przyjaciele są w pobliżu.

— Ale jakimże sposobem? — zapytał Jan Wattson.

— Oto takim — odrzekł myśliwiec i przyłożywszy obie ręce do ust, z zadziwiającą dokładnością począł naśladować gruchanie dzikiego gołębia.

— I on ten znak zrozumie? — pytał znów Jan.

— Najniezawodniej — i myśliwiec powtórzył gruchanie.

— Więc to znak umówiony pomiędzy wami?

— Tak, mamy dużo podobnych znaków, a do każdego, stosownie do pory dnia lub nocy, przywiązane jest pewne znaczenie. W dzień naśladowanie głosu indyka, sępa leśnego, przedrzeźniacza i innych ptaków, najmniej zwraca uwagi, podczas ciemnej nocy można udawać skrzeczenie żab drzewnych, mruczenie kuguara, wycie wilków stepowych, brzęczenie świerszcza, lecz raniutko o świcie najwłaściwsze jest gruchanie dzikich gołębi. Rozumie się, że są jeszcze umówione inne drobne znaki, po których wszystkie te udane głosy rozróżniamy od prawdziwych.

— A zatem jesteś pan pewny, że Orzeł czubaty wie już w tej chwili o naszej tu obecności? — spytał stary Wattson.

— Najpewniejszy. Niepodobna, aby to wołanie, tak dobrze znane, uszło jego uwagi.

— Nie na wiele mu się to przyda, co prawda — mruknął Jan.

— Teraz, rozumie się, nie możemy mu dać żadnej pomocy — rzekł myśliwiec — zawsze jednak ta myśl, że wierny przyjaciel, który już nieraz życie narażał w jego obronie, znajduje się w pobliżu, nie małą mu przyniesie pociechę. Przytem zacznie wyglądać z dnia na dzień odwiedzin tego przyjaciela.

— Odwiedzin? Jak pan to rozumiesz? — spytali jednocześnie obaj Wattsonowie.

— Jakże to mam rozumieć? Odwiedzę go którego dnia w więzieniu.

— Czyś pan oszalał?

— Bynajmniej.

— Chcesz pan chyba dobrowolnie i bez żadnej potrzeby narazić się na najokropniejsze niebezpieczeństwo! — zawołał stary Wattson zatrwożony.

— To zależy od okoliczności.

— I kiedyż pan myślisz się puścić na to szaleństwo? Wybacz wyrażenie.

— Nie zaraz. Trzeba trochę wyczekać. Jeniec z czasem dowie się zapewne, jak prędko wyrok ma być na nim spełniony, a dla nas ta wiadomość jest nadzwyczaj ważna.

— Masz pan słuszość, wówczas dopiero potrafimy obliczyć, czy Osagowie zdążą w porę na ratunek swego wodza.

— A jeżeli nie zdążą! — odezwał się Jan — co my pocniemy w takim razie?

— Co do mnie, wiem co uczynię — mówił Serce

prawe spokojnie — jedynem mojem zadaniem będzie wymierzyć karę zasłużoną okrutnemu i nikczemnemu Tygrysowi. Potem gotów jestem zginać razem z przyjaciółm moim Orłem czubatym. O życie moje nikt nie dba na tej ziemi. Panowie zaś będziecie mogli ratować się ucieczką.

— A Ella? — rzekł stary Wattson.

— Jej się nie zlego nie stanie pod opieką Jelenia wrzącego.

— Czy pan sądzisz, że on ją wypuści z niewoli i pozwoli do nas powrócić?

— O nie, tego Pawnisy nie uczynią nigdy.

— I nam więc nic nie pozostanie, tylko zginać wraz z panem.

— Tak jest, my stąd nie odejdziemy bez Elli — potwierdził Jan.

— To dobrze — rzekł myśliwiec — jesteśmy więc wszyscy przygotowani na najgorsze. Ale ja mam nadzieję, że do tej ostateczności nie dojdzie, bo Osagowie pośpieszą, o ile tylko będą mogli. Dałem im pod tym względem stosowne polecenia. Dla nas obecnie najważniejszym jest zadaniem ukrywać się tak starannie, ażeby nas tu Pawnisy nie zwietryli. Niemałej na to potrzeba roztropności, uwagi i czujności, aby wszelki ślad zatrzeć za sobą i bystry ich wzrok oszukać. Ostrzegam panów, że to sprawa nielatwa, bo musimy bądź-co-bądź trzymać się ciągle w pobliżu ich wiosek. Niebezpieczeństwo, rozumie się, największe jest w dzień, a jednak właśnie w biały dzień najpilniej czuwać musimy, gdyż wyroki śmierci zawsze około południa bywają wykonywane. Wszyscy trzej jednocześnie nie powinniśmy się nigdy narażać, są-

dzę więc... Ale wprzód powiedzcie, moi panowie, czy macie we mnie zupełne zaufanie?

— Najzupełniejsze, nieograniczone — odpowiedzieli obaj.

— Masz pan w całym kraju zachodnim sławę najznakomitszego myśliwca i najzacniejszego człowieka. Któżby mógł panu nie ufać — dodał ojciec.

— To dobrze. Powierzcież mi czuwanie dzienne.

— A cóż my przez ten czas robić będziemy?

— Będziecie się ukrywali w zacisznym ustroniu, które wam wskażę. Nocą zaś kolejno wartę odprawiać będziemy. Czy nie panowie przeciwko temu nie macie?

— Postanowiliśmy słuchać pana we wszystkim — odrzekli.

— To dobrze. Chodźcież teraz ze mną do tej kryjówki. Gdybyście kiedy usłyszeli trzykrotnie powtórzony w jednakowych odstępach krzyk jastrzębia, będzie to znak, że przyjaciel wasz jest w wielkim niebezpieczeństwie. Czyńcie wówczas, co za stosowne uważać będziecie, ratujcie się sami ucieczką, lub próbujcie mi dać pomoc. Idźmy.

Myśliwiec ruszył naprzód, dwaj towarzysze poszli za nim i wkrótce przybyli do miejsca, jakby stworzonego na bezpieczną kryjówkę.

— Pozostańcież tu panowie i zachowujcie się jak najciszej — rzekł Serce prawe. — Pojmujecie, że nie możemy zdradzać obecności swojej strzałami z palnej broni, musimy więc wyrzec się polowania i poprzestać na nędznym posiłku, którego nam dostarczą korzonki i jagody leśne.

— Rozumie się, inaczej być nie może — odpowiedzieli tamci.

— Do widzenia więc wieczorem.

Wyrzekłszy te słowa, myśliwiec odszedł. Uplynęło tak dni kilka; nocą wszyscy trzej czuwali kolejno, w dzień obaj Wattsonowie przebywali w swej kryjówce. Z zadziwiającą przebiegłością młody myśliwiec umiał uchronić się od spotkania z Pawnisami i wszelkie ślady tak zręcznie po sobie zacierał, że nieprzyjaciele ani się domyślali obecności takiego szpiega w okolicy.

— Musi w tem coś być — rzekł pewnego wieczoru Serce prawe do towarzyszy — że Pawnisy tak długo się ociągają z zamordowaniem Orła czubatego. Lubią wprowadzić męczyć jeńców takim wyczekiwaniem śmierci, tym razem sędzę jednak, że inna okoliczność przyczynia się do tego. Może jaka uroczystość ma być obchodzona w tym czasie i chcą ją uświetnić okrutną śmiercią wodza Osagów.

Czytelnicy już wiedzą, że Serce prawe nie mylił się w tych przypuszczeniach. Gdy następnego wieczora przyszedł do kryjówki Wattsonów, twarz jego miała wyraz niezwykłej radości.

— Dobra wiadomość — zawołał na powitanie — Pawnisy wypuścili Tobiasza, przenieśli go do wioski Tygrysa zębatego po tamtej stronie rzeki. Widziałem na własne oczy, jak stary przechadza się swobodnie pomiędzy szalasami. Musiał im przyrzec wierność, gdyż nie sędzę, aby pod innym warunkiem swobodę odzyskał.

W kilka dni później myśliwiec dziwniejszą je-

szcze przyniósł nowinę, mianowicie, że Tobiasz używany jest przez Pawnisów do pilnowania jeńca.

— Teraz podobno najlepsza będzie pora — dodał na zakończenie — muszę się koniecznie dostać do Orła czubatego.

— Że Tobiasz pana nie zdradzi, to pewna — rzekł Jan — tylko...

— Ależ ja wcale nie myślę się pokazywać Tobiaszowi — przerwał żywo myśliwiec — choćby mi nie chciał zdradzić rozmyślnie, przez nieroztropność mógłby narobić hałasu, zanimbym zdążył mu się dać poznać, lub z powodu nagłego wzruszenia. Co prawda, od niego dowiedziałbym się od razu wszystkiego, na czym mi zależy, ale to rzecz zanadto niebezpieczna. Dlatego jedynie myślę wybrać porę, gdy on na warcie stać będzie, że starowina ten nie może być tak czujny, jak rodowity Indyanin, więc łatwiej mi przyjdzie go podejść.

Obaj towarzysze musieli przyznać słusność myśliwcowi; wszyscy też niecierpliwie i niespokojnie wyglądali chwili stosownej do wykonania tego niebezpiecznego przedsięwzięcia. Nadarzyła się wkrótce. W parę dni później Serce prawe wyszpiegował, że Tobiasz późnym wieczorem postawiony był na warcie przy szalasiu Orła czubatego. Łatwo stąd mógł wnosić, że stary pozostanie tam do rana.

— Dzisiejszej nocy muszę spróbować — rzekł myśliwiec, przyszedłszy jak zwykle o zmroku do kryjówki Wattsonów.

O samej północy wyruszył na tę trudną wyprawę, uzbrojony tylko w długi nóż myśliwski. Żegnając ojca i syna, dawał im rozmaite polecenia

i rady, jak człowiek, który nie jest pewny, czy powróci.

Znał on już od dawna jak najdokładniej położenie szalasu, w którym Orzel czubaty był więziony i wiedział, że stoi niedaleko od rzeki, na której wybrzeżu, dość wysokimi krzakami zarośniętem, rozsypane były chatki indyjskiej wioski. Upewniwszy się, że go nikt nie śledzi, myśliwiec wszedł do wody; była płytka, do kolan mu nawet nie sięgała, postępował więc dalej, trzymając się brzegu i starannie unikając najłżejszego szelestu. Kiedyniekiedy tylko podnosił głowę ponad brzeg rzeki, aby się nie posunąć za daleko. W końcu ujrzał przed sobą osadę; panowała w niej cisza najgłębsza. Teraz jeszcze częściej niż przedtem przystawał myśliwiec, i podnosząc głowę pilnie się rozpatrywał wśród ciemności. Dłużej zatrzymał się w miejscu, gdzie gęste zarośla ciągnęły się aż w głąb wioski i osłaniały chatki przed jego oczyma; wyteżył słuch, lecz nie podejrzanego nie dosłyszał. Stąd wydostał się z największą ostrożnością na wybrzeże i zaczął się przesuwając na czworakach pomiędzy krzakami. Dostawszy się do skraju zarośli, przystanął znowu, a rzuciwszy bacznie wzrokiem dokoła, spostrzegł wkrótce, że miał prawie prosto przed sobą więzienie wodza Osagów. Ażeby się do niego dostać, trzeba było przebyć niewielką przestrzeń odkrytą, na szczęście jednak i na niej rosło w pewnych odstępach kilka krzaków, a z nich jeden niedaleko wejścia do szalasu.

Otóż teraz trzeba było dotrzeć do tego krzaku, a to zadanie ogromne przedstawiało trudności. Wartownika niepodobna było dojrzeć, musiał jednakże

stać blisko wejścia. Jak wąż, bez najłżejszego szelestu, przyczolgał się myśliwiec do pierwszego krzaka; niedaleka ta droga trwała jednak dość długo. Pod osłoną krzaka zatrzymał się znowu i z największą uwagą wzrok i słuch wyteżył. Ostrożność ta nie była zbyteczną; w rzeczy samej daly się słyszeć kroki i Pawnis uzbrojony ukazał się w pobliżu. Serce prawie powstrzymał oddech w piersi, a w ręce zacisnął kurczowo nóż myśliwski, gdyż przygotowany był na to, by drogo sprzedać swe życie. Indyanin zdawał się zmierzać wprost do jego kryjówki; wnet jednak zawrócił w inną stronę i podążył do szalasu Orła czubatego. Po chwili myśliwiec poznał w olbrzymiej postaci Indyanina strasznego wodza Pawnisów, Tygrysa zębatego.

— Oho! — rzekł sobie w myśli — nie ufa widocznie białemu wartownikowi i sam nad nim czuwa. Ale zapewne nie długo zabawi i spać pójdzie.

Nie omylił się tym razem; ujrzał ze swej kryjówki, jak wódz zbliżył się do Tobiasza, przemówił doń słów parę, których jednak dosłyszeć nie było można, poczem wolnym krokiem odszedł do swej chatki.

— To dobrze — mruknął znów sam do siebie myśliwiec — stary Tobiasz jest już spokojny po tych odwiedzinach i z pewnością niezbyt gorliwie strzeże jeńca, bo cóż mu tam na tem zależeć może? Trudno w to przecież uwierzyć, aby na dobre zbratał się z Pawnisami.

Przeczekawszy jeszcze czas jakiś, podpełznął z tą samą oszczędnością do następnego krzaka, potem do dalszego, aż póki nie dostał się do tego, który stał

tuż przy szalasio. Pozostawało już tylko wśliznąć się do środka szalasu; tymczasem Tobiasz, jak na złość, z największą gorliwością chodził dokola, nie zatrzymując się ani na chwilę. W tej przechadzce tak się niekiedy zbliżał do leżącego pod krzakiem myśliwca, że ten mógłby był ręką za odzienie go pochwycić. Serce prawe zaczynał już myśleć, że nie będzie innego sposobu, tylko przypuścić Tobiasza do tajemnicy, obawiał się jednak niezmiernie, aby ich nie zdradził mimowoli w pierwszej chwili przestachu. Postanowił więc czekać jeszcze. Tymczasem Tobiasz, znużony nakoniec przechadzką, stanął przy wejściu szalasu i ręce na piersiach założył. Korzystając z głębokiej ciszy, myśliwiec z wprawą zadziwiającą naśladował świerszcza i powtórzył to trzy razy, — i wnet z głębi szalasu odpowiedział mu odgłos podobny na znak, że jeniec usłyszał i zrozumiał przyjaciela.

Tobiasz tej nocy nie śmiał jeszcze zbliżyć się do Orła czubatego; długie czuwanie znużyło go w końcu i zaczął poziewać, — myśliwiec spostrzegł to z zadowoleniem i czekał cierpliwie. Nie zawiódł się w oczekiwaniu: stary poziewał raz po raz, aż wreszcie ku wielkiej radości myśliwca usiadł na ziemi, i oparłszy się plecami o szalas, wkrótce chrapać zaczął w najlepsze. Teraz już łatwo przyszło wśliznąć się do szalasu. Wielką była radość Orła czubatego na widok ukochanego przyjaciela, musiał jednak głośnie jej objawy powstrzymać. Obaj porozumieli się w kilku słowach, wymówionych cichym szeptem, lecz wieści, których sobie udzielili wzajemnie, nie były wesołe. Zmartwiło to myśliwca, że wódz Osagów nie mógł mu powiedzieć, kiedy wyrok śmierci miał być na nim

wykonany, a tamten znów zasmucił się brakiem pełniejszych danych o przybyciu jego wojowników.

Jakkolwiek Orzeł czubaty mógł być z łatwością wymknąć się teraz z pomocą przyjaciela, żadnemu z nich nawet na myśl to nie przyszło, wiedzieli bowiem, że wówczas biedna Ella wpadłaby z pewnością w moc Tygrysa zębatego, a ten pomściłby się na niej okrutnie. Przyjaciele nie przedłużali swej rozmowy nad konieczną potrzebę, chociaż Tobiasz chrapał; co chwila mógł się przebudzić, obaj zaś zgodzili się na to, że niebezpiecznie było przypuszczać go bez uprzedniego przygotowania do tajemnicy. Serce prawe powrócił do lasu tą samą drogą, którą się tu dostał.

I znowu czas upływał wśród niespokojnego oczekiwania. Każdy dzień, świtający na niebie, mógł być ostatnim dla Orła czubatego. Myśliwiec niecierpliwie wyglądał przybycia Osagów, którzy opóźnili się więcej, niż należało według jego obliczeń. Dnia pewnego myśliwiec stał na czatach, jak zwykle, gdy z przerażeniem ujrzał na placu pod lasem gromadkę Indian, zajętą wbijaniem w ziemię pali i malowaniem ich czarną farbą. Wiedział on aż nadto dobrze, do czego takie pale służyły. Twarz jego, zawsze posępna, powlokła się jeszcze głębszym smutkiem; westchnął ciężko i półgłosem wyrzekł sam do siebie:

— To dobrze; uratować go nie zdołam, lecz zgine przynajmniej z nim razem.

Potem udał się jak najspieszniej do ustronia, w którym Wattsonowie przez dzień cały się ukrywali. Zawiadomił ich o tem, co się działo, oni zaś obaj upewnili go, że go nie odstąpią i jeśli nie będą

mogli żadnej pomocy przynieść wodzowi Osagów, życie w jego obronie poświęcą. Wszyscy trzej zbliżyli się ostrożnie do wioski indyjskiej; łatwo było spostrzedz, że panował tam ruch niezwykle, — zwłaszcza kobiety i dzieci okazywały wielkie ożywienie, jakby w przeddzień jakiejś uroczystości.

Serce prawe nie usnał tej nocy ani na chwilę. Raniutko, o świcie, oddalił się nieco od towarzyszy i w miejscu ustronnem, gdzie go nikt widzieć nie mógł, padł na kolana, gorącą modlitwą wzywając łaski Tego, który nie zapomina o najuboższych swych dzieciach. Po ukończeniu modlitwy wyjął z torby myśliwskiej paczkę, w papier owiniętą, z którą się nigdy nie rozstawał. Gdy papier rozwinął, ukazała się mała książeczka, po której okładce znać było, iż często musiała być brana do ręki. Serce prawe przycisnął do ust książeczkę, i odwróciwszy okładkę, odkrył kartę tytułową. Było to «Naśladowanie Chrystusa». Myśliwiec wyjął z kieszeni kopertę, na której wypisany był adres następujący: «Do rąk własnych don Ramona de Saavedra, właściciela haciendy del Milagro w okolicy miasta Hermosillos». Niżej dodany był napis w tych słowach: «Ktokolwiek znajdzie tę książeczkę i umieszczone w niej pismo, proszony jest o oddanie jednego i drugiego według adresu». Następnie myśliwiec wyjął z koperty ćwiartkę papieru zapisaną i odczytał ją od początku do końca. Spojrzymy mu przez ramię i odczytamy list ten z nim razem.

«Ojcie mój drogi! Przebac, o przebac nieszczęśliwemu synowi twojemu winy, popełnione niegdyś przez młodzieńczą lekkomyślność, zaślepienie szalone

i zacięty upór. Odpokutował on ciężko, bardzo ciężko. A jednak dziś błogosławi godzinę, w której mu wymierzyłeś tę zasłużoną karę, gdyż ona to go doprowadziła do upamiętania. Bóg go wziął w bezpośrednią swoją opiekę i sprowadził ze zgubnej drogi zatracenia. Tyś mnie odepchnął od siebie, ojcie, lecz tym sposobem uratowałeś moją duszę. Serce moje do ostatniej chwili pełne było miłości i czci dla ciebie; odszedłem z tego świata z tą myślą błogą, że i ty mi przebaczyłeś. Euzebio, jeżeli żyje jeszcze, niech przyjmie serdeczne moje dzięki za książeczkę, którą mnie obdarzył przy pożegnaniu. Znalazłem w niej pociechę, radę, umocnienie ducha, w najcięższych chwilach życia uciekałem się do niej z ufnością. Jej to głównie zawdzięczam, że nie uległem rozpacz, że powróciłem stopniowo do równowagi ducha, którą utraciłem wśród szalu młodości, że zwróciłem myśl moją do Boga, jedynego pocieszyciela i do ostatniego tchnienia w tych uczuciach wytrwałem».

«Ojcie mój, i ty, siostró moja, Karmelo, wam przesyłam ostatnie to pożegnanie; gdy list ten dojdzie rąk waszych, ja już żyć nie będę na tej ziemi. Obaczmy się w lepszym świecie, — tam czeka nas pojednanie.

Rafaël».

— Tak, w innym świecie dopiero ich zobaczę — mówił myśliwiec sam do siebie — a jednak, jakżebym pragnął z własnych jego ust, w tem życiu jeszcze usłyszeć przebaczenie...

Serce prawe włożył list do koperty, a tę do książki, obwinał wszystko starannie w ten sam papier i schował do myśliwskiej torby. Potem wstał

i wolnym krokiem wracał do towarzyszków. A wtem zatrzymał się nagle i uważnie wsłuchiwać zaczął; po chwili położył się i ucho do ziemi przytknął. Gdy po chwili powstał, na twarzy jego malowało się wielkie wzruszenie; szybkim krokiem pośpieszył do kryjówki, gdzie obaj towarzysze niespokojnie go wyglądali.

— Jeźdźcy się zbliżają — wołał do nich z daleka — i to znaczny oddział jeźdźców. Daj Boże, aby to byli Osagowie! Poczekajcie tu na mnie, panowie, ja pobiegnę na zwiady.

Nie czekając odpowiedzi, puścił się w głąb lasu i znikł wkrótce z oczu przyjaciół, uradowanych pomysłą wieścią. Myśliwiec nie potrzebował iść daleko; tętent licznych kopyt końskich coraz wyraźniej słyszeć się dawał, — jeźdźcy zmierzali prosto w tę stronę. Serce prawe stanął, słuchając uważnie; potem wdrapał się na drzewo, a z ust jego wydobył się przeraźliwy krzyk jastrzębia i rozległ się szeroko po lesie. Powtórzył on to wołanie trzy razy w krótkich odstępach, następnie w dłuższych dwa razy. Zaledwie skończył, takież sam odgłos, w ten sam sposób powtórzony, odpowiedział mu z daleka.

— To oni! — wykrzyknął radośnie myśliwiec, ze zwinnością wiewiórki spuszczać się z drzewa i biegł w stronę, z której nadjeżdżali jeźdźcy. Postacie ich ukazały się wkrótce pomiędzy gęstwiną leśną. Byli to Osagowie, — lecz ze zdumieniem poznał myśliwiec pośród jadących na przedzie starych, prawie niedoleźnych wojowników, którzy już do wypraw podobnych rzadko należeli, brakło zaś najmłodszych

i najdzielniejszych. Spodziewał się najmniej dwustu Osagów, w hufcu tym zaś było ich około ośmdziesięciu.

— Bracia moi zaledwie na czas przybyli — rzekł do nich — o mało się nie opóźnili i przyjaciel Orła czubatego sądził, że zupełnie o wodzu swym zapomnieli. Widzi on teraz ze smutkiem wielkim, że część tylko plemienia Osagów uznała za słuszne przybyć na ratunek wodza, — najsilniejsi i najmłodszy woleli oczywiście wylegiwać się w swoich wigwamach.

— Mój brat niesłusznie ma podejrzenie — odpowiedział jeden z najstarszych Indyan. — Gdy przybyli wojownicy ze straszliwą wieścią, że wielki i ukochany wódz wpadł w ręce psów Pawnisów, zastali tylko mniejszą część mieszkańców po wioskach, reszta wybrała się na daleką myśliwską wyprawę. Odszukiwanie ich i sprowadzanie potrwałoby za długo, w każdym razie nie zdążyliby na czas. Osagowie złożyli więc radę wojenną i postanowili, aby każdy, kto tylko broń utrzymać zdoła, wyruszył na ratunek wodza. Trzech ludzi tymczasem puściło się w pogoń za polującymi i zapewne wraz z nimi już także są w drodze.

— To dobrze — rzekł myśliwiec — przykro mi, że Osagów posadziłem niesłusznie. Bardzo to nie-szczęśliwie, że lud rozproszył się tak nie w porę, lecz na to rady niema. Gdy przybędą ci, którzy się na myśliwską wyprawę wybrali, już tu będzie po wszystkim. Bracia moi muszą natychmiast gotować się do walki; niema chwili do stracenia, gdyż nieprzyjaciele dziś jeszcze zamierzają Orła czubatego zamordować. Nie mogę ukrywać przed braćmi moimi, że walka będzie bardzo nierówna: Pawnisy mają ze trzystu

wojowników, a zatem więcej niż trzech na jednego. Czy zatem bracia moi gotowi są pomimo to ratować wodza wraz ze mną, krew i życie oddać za niego?

— Osagowie chętnie życie poświęcą dla wodza! — ozwały się liczne głosy; wszyscy, co do jednego, powtórzyli te słowa.

— To dobrze — rzekł myśliwiec i twarz jego się rozjaśniła. — Przedewszystkiem niech Osagowie natychmiast wybiorą z pośród siebie tymczasowego wodza, który ich do boju poprowadzi.

— Brat nasz Serce prawe będzie wodzem Osagów w zastępstwie Orła czubatego! — wykrzyknęli na to wojownicy jednogłośnie.

— To dobrze — powtórzył raz jeszcze myśliwiec — nie traćmyż czasu. Niech Osagowie natychmiast zsiadają z koni i tu je zostawią pod strażą dwóch najstarszych wojowników. Inni wszyscy niech idą za mną.

Rozkazy te śpiesznie wykonane zostały. Wszyscy zsiadli z koni, które dwóch starych Indian odprowadziło dalej na pastwisko, poczem gromadka wojowników w milczeniu szła za myśliwcem; prowadził on ich do miejsca, gdzie obaj Wattsonowie z niecierpliwością największą na niego czekali. Cicho, bez najłżejszego szelestu, przesuwały się ciemne postacie indyjskich wojowników przez gąszcze leśne. Dużo zależało na tem, aby nieprzyjaciel nie dowiedział się przed czasem o ich przybyciu. Serce prawe chciał zaskoczyć Pawnisów znienacka; przy tak nierównych siłach, tym sposobem jedynie mógł mieć jakąkolwiek nadzieję wygranej.

Stary Wattson z synem ucieszyli się niezmier-

nie na widok Osagów, a chociaż ci ostatni nie przybyli w takiej liczbie, w jakiej się ich spodziewano, w każdym razie i taka pomoc była pożądana. Teraz przynajmniej zamiast iść na śmierć pewną, prawdziwą walkę mieli przed sobą. Myśliwiec natychmiast wydał stosowne rozporządzenia; sam miał się zacząć na drzewie, niedaleko od skraju lasu, wszystkim innym zaś kazał się ukryć dalej nieco w gęstych zaroślach i dopiero na jego znak przybywać jak najśpieszniej, unikając wszelkiego hałasu, i rzucić się nagle na nieprzygotowanych do tego napadu nieprzyjaciół. Hasłem, wzywającym do boju, miało być kucie dzięcioła, które myśliwiec równie dobrze naśladować umiał, jak i inne leśne odgłosy.

Serce prawe wydawał wszystkie te rozporządzenia ze spokojem i stanowczością człowieka, który nie pierwszy raz w życiu znajduje się w tak trudnych okolicznościach i krew zimną zachować umie w największym niebezpieczeństwie. Ukryty wśród gęstych liści na drzewie, był on od samego początku świadkiem okrutnego widowiska, odbywającego się na wielkim placu pod lasem. Patrzał na to, jak Pawnisy prowadzili Orła czubatego na miejsce kaźni, jak go uwiązali do pala; nie poruszył się wcale, gdy niegodziwe jędze znęcały się nad skazanym, gdy wojownicy rozpoczęli straszliwe swoje igraszki. Wiedział, że to wszystko nie zagraża życiu Orła czubatego, a chcąc go uratować, należało wybrać chwilę najstosowniejszą, i wyczekać aż Indianie wpadną w szal i o wszelkiej ostrożności zapomną.

Nadeszła wreszcie stosowna chwila; myśliwiec znając dobrze zwyczaje indyjskie, wiedział, kiedy

prawdziwe niebezpieczeństwo zagrażać zaczyna skazanemu i w samą porę dał znak umówiony. Kucie dzięcioła jest tak pospolite po lasach amerykańskich, że Pawnsy uwagi na to hasło nie zwrócili. Lecz poznać je musiał Orzeł czubaty; z oczu strzeliły mu błyskawice, na ustach dziwny uśmiech zaigrał. A tymczasem Wattson z synem i gromadką Osagów stanął przy boku myśliwca, który śpiesznie z drzewa się spuścił.

Gdy Ella, rozpaczą wiedziona, podbiegła do miejsca, na którym stał Tygrys zębata i Jeleń wrzący z ojcem, Serce prawe wypadł ze swej kryjówki i z bronią podniesioną w rękę przedzierał się przez tłumy Pawnsów; tuż za nim szli Wattsonowie i gromadka Osagów z głośnym okrzykiem wojennym. Wówczas to młoda dziewczyna usłyszała wołanie:

— Wielki biały myśliwiec! Osagowie!

XXVIII.

Pomoc niespodziewana.

W tej samej chwili, gdy okrzyki te słyszeć się dały, Tygrys zębata podniósł tomahawk w górę i poskoczył do Orła czubatego. Krew zastygła w żyłach Elli, w oczach jej pociemniało, lecz odważna dziewczyna w mgnieniu oka odzyskała przytomność i mimowolnem wiedziona uczuciem, wyprzedziła okrutnika i stanęła przed wodzem Osagów, osłaniając go własnem ciałem.

— Usuń się, blade dziewczę, bo cię z nim razem zamorduję! — krzyknął Tygrys ze złością.

Ale Ella się nie usunęła, tylko wyciągnęła ramiona, jakby niemi chciała odepchnąć śmiertelne pociski. Wtem przed oczyma mignęła jej olbrzymia postać białego myśliwca... Serce prawe przebił się w jednej chwili przez tłumy dzikich, i ze zwinnością pantery rzuciwszy się na wodza Pawnsów, wywinął kolbą i wytrącił mu z ręki tomahawk, a ręką, którą go trzymała, opadła bezwładna. Za myśliwcem biegli obaj Wattsonowie; noże ich szybko porozcinały więzy Orła czubatego, który natychmiast sięgnął po tomahawk, upuszczony przez Tygrysa.

Tymczasem Pawnsy, którzy w pierwszej chwili przerażenia nie zdołali zatrzymać trzech białych, oprzytomnieli prędko, i przeciąwszy drogę wojownikom Osagom, nie dopuścili ich do środka placu. Tym sposobem rozdzielili siły dzielnych obrońców Orła czubatego; Jeleń wrzący wraz z ojcem i licznym oddziałem swoim odpierał Osagów, a druga gromadka Pawnsów otoczyła Tygrysa zębatego. Ci mieli przed sobą czterech tylko przeciwników, trzech myśliwców białych i wodza Osagów; gdy jednak ozwał się huk palnej broni, stracili głowę i umykać poczęli; ledwie ich powstrzymał Tygrys zębata, którego na widok tego tchórzostwa prawdziwa wściekłość ogarnęła.

I rozpoczęła się straszna, rozpaczliwa walka. Ci czterej ludzie nieustraszeni stali naprzeciw kilkunastu dzikich wojowników, rozumiejąc to dobrze, że jeśli Opatrzność nie ześle im pomocy, w końcu zginąć muszą, lecz postanowili drogo sprzedać życie. Stanęli jeden przy drugim, Ellę wzięwszy w pośro-

dek i na przemiany strzelali. Po każdym strzale jeden Indyanin padał na ziemię zabity lub przynajmniej bezwładny, lecz reszta nacierała z tem większą wściekłością. Osagowie walczyli mężnie, ale zbyt byli słabi, by odeprzeć przemożną liczbę nieprzyjaciół i przyjść w pomoc ukochanemu swemu wodzowi. Położenie stawało się coraz niebezpieczniejsze; Tygrys zębata zniecierpliwiony pobudzał swych wojowników, którzy ze wszystkich stron przyskakiwali do bohaterskiej gromadki i dokola ją otoczyli; on sam ze zręcznością kota umiał zawsze uskoczyć w porę przed kulą i nie był nawet raniony.

Nagle od strony, gdzie walczyli Osagowie, ozwał się huk strzału; potem drugi, trzeci, dziesiąty, — jednym słowem prawdziwa kanonada. Zdziwienie przyjaciół naszych, a także i Pawnisów było tak wielkie, że bój ustał na chwilę. Co to mogło znaczyć? Oczywiście pomoc niespodziewana przybywała jednej ze stron walczących, lecz której? Wątpliwość niedługo trwała; Osagowie podnieśli grzmiący, radosny okrzyk tryumfu, zawtórowały im inne głosy, w których łatwo było rozpoznać wykrzykniki białych ludzi. Serce prawie nasłuchiwał z natężoną uwagą i jeden z tych głosów znać dobrze mu był znany, gdyż drgnął cały; oczy mu błysnęły i szepnął półgłosem:

— Johnson — a zwracając się do towarzyszy, dodał: — Jesteśmy uratowani; przez chwilę jeszcze odpierajmy napastników, — pomoc się zbliża, chociaż nie pojmuję, skąd tylu obrońców naraz się wzięło? Lecz jeden przynajmniej nas nie zawiedzie.

Zaledwie wymówił te słowa, gdy Orzeł czubaty wywinął tomahawkiem, z przeraźliwym okrzykiem

wojennym rzucił się w środek gromadki Pawnisów, i dosięgnawszy Tygrysa zębatego, nim tamten zdolał pomyśleć o obronie, jednym zamachem ugodził go śmiertelnie. Wódz Osagów byłby już przedtem zaspokoił gwałtowną żądzę zemsty, lecz uczuł, że obowiązek nie pozwalał mu odstępować Elli i towarzyszy. Usłyszawszy o pomocy, nie mógł się postrzymać i z zuchwalstwem szalonym poskoczył do nieprzyjaciela.

W innej chwili nie byłoby mu to uszło na sucho, lecz Pawnisy nie mieli obecnie czasu myśleć o pomszczeniu wodza, gdyż nagle dał się słyszeć tętent licznych koni i na placu boju ukazał się Johnson, za nim don Ramon de Saavedra, Cezar z Benem i Dikiem, Sandowal, Ruperto i cała gromadka jeźdźców zbrojnych, tak dobrze nam znana. Wybawcy przybyli w samą porę; losy bitwy rozstrzygnęły się bardzo prędko. Pawnisy, przerażeni widokiem tego hufca białych wojowników, uzbrojonych w pioruny, umykać poczęli z pośpiechem.

Przyjaciele nasi byliby wcale za nimi nie gonili, gdyż nie pragnęli rozlewu krwi, musieli jednak udać przynajmniej pogoń, by dostać się do wioski indyjskiej, gdzie był więziony Tobiasz. Wszyscy więc puścili się za uciekającymi, oprócz don Ramona i kilku innych, którzy pozostali przy Karmeli i Elli. Uwolniono bez trudności starego sługę, którego radości opisywać chyba nie potrzebujemy. Obie panienki zajęły się tymczasem opatrunkiem rannych Indyan. Ella niespokojna była o Jelenia wrzącego, gdyż nie widziała go od rozpoczęcia bitwy, a pocziwa dziewczyna nie mogła zapomnieć, że on jeden pośród tej

zgrai okrutników po ludzku się z nią obchodził. Nie wiedziała także, co się stało ze Stokrotką polną; zaraz po rozpoczęciu bitwy kobiety, dzieci i starcy uciekli śpiesznie do wsi. Wkrótce młoda dziewczyna bystrym swym wzrokiem dostrzegła na skraju lasu, gdzie przed chwilą toczyła się najzawziętsza bitwa z Osagami, dwie postacie pochylone nad trzecią, leżącą na ziemi. Zbliżywszy się nieco, Ella poznała w nich starego Ludowika i Stokrotkę. Serce jej ściśnęło się smutnem przeczuciem; przyspieszyła kroku, — don Ramon i Karmela podążyli za nią.

Przeczucie nie omyliło Elli: Jeleń wrzący, ranniony kulą w bok, leżał na trawie; śmiertelna bladość pokrywała piękną jego twarz, chociaż żaden jej rys nie zdradzał cierpienia; spojrzenie miało wyraz spokojny i obojętny. Stokrotka klęczała przy nim i zalewając się łzami, cisnęła jego rękę w swoich dłoniach. Gdy ujrzała Elle, wybuchła głośnie łkaniem. Tamta uklękła także przy rannym i usiłowała go pocieszyć. On się łagodnie uśmiechnął i szepnął:

— Sarenka modrooka...

Ella opowiedziała Karmeli i jej ojcu, jak wiele młody ten Indyanin uczynił dla osłodzenia jej losu podczas niewoli; don Ramon wysłuchiwał tych słów z zajęciem, a ponieważ znalazł się na opatrywaniu ran, sam zaraz obejrzał troskliwie Jelenia. Ku wielkiej radości młodej dziewczyny, upewnił ją, że rana nie jest niebezpieczna. Natychmiast urządzono wygodne nosze i przeniesiono rannego do chaty Ludowika, który go miał doglądać razem ze Stokrotką. Ella obiecała odwiedzić przyjaciółkę przed wyjazdem; teraz opuściła ją śpiesznie, gdyż serce jej rwało się do

ojca, do braci, których wśród zamieszania i bitwy jeszcze prawie nie zdążyła powitać. Don Ramon i Karmela z daleka tylko widzieli podczas owego zamętu ukochanego swego Rafaela, którego tak gorąco pragnęli uściskać; z jaką tęsknotą wyglądali teraz jego powrotu, domyślają się zapewne czytelnicy.

Zwycięzcy ukazali się wkrótce, wiodąc w tryumfie oswobodzonego Tobiasza. I nastąpiło wreszcie rżewne, rozczulające powitanie, którego żadne pióro opisać nie zdoła. Uściskom i wykrzyknikom nie było końca, a lzy radości we wszystkich oczach błyszczały.

— Ojciec mój! — mówił Rafael głosem wzruszonym — powtórz raz jeszcze, że mi przebaczasz i wracasz synowi marnotrawnemu miłość swoją. Ach! jakże ja pragnąłem usłyszeć to z ust twoich.

— Przebaczyłem ci już od dawna, synu ukochany — mówił don Ramon. — O, gdybyś wiedział, jak cierpiałem, jak byłem nieszczęśliwy w ciągu tych długich, smutnych lat twojego wygnania. A ty, Rafaelu, czy nie masz żalu do biednego ojca za to, że się tak srogo z tobą obszedł?

Młodzieniec zamiast odpowiedzi tylko pochylił się do kolan ojca, który go podniósł i znowu czule do serca przycisnął.

— Mój Boże! — powtarzał don Ramon — więc ja naprawdę odzyskałem ciebie, Rafaelu, i nie zostaniemy się więcej? Trudno mi uwierzyć w tak wielkie szczęście.

— Siostrzyczko moja, droga Karmelo! — zawołał młodzieniec, zwracając się z kolei do siostry — ciebie nawet i pytać nie potrzebuje, czy mi przebaczyłaś i czy możesz pokochać mnie znowu?...

— Ja nigdy nie przestałam cię kochać, bracie. A ile lez wylałam nad tobą... ale nie mówmy o tej minionej boleści, — Bóg ją przemienił w radość i szczęście, niech imię Jego będzie błogosławione.

Mniej rzewne lecz równie serdeczne było powitanie rodziny Wattsonów, a brał w niem udział nie tylko Tobiasz, ale i poczciwy murzyn Cezar. Dik z takim zapalem opowiadał ojcu i starszemu bratu o jego dobroci, roztropności i poświęceniu bez granic, że obaj wyciągnęli dłonie do biedaka, którym niegdyś tak pogardzali. Przebyte cierpienia i przeciwności ukorzyły ich pychę, a miłosierdzie Boże zmięczyło serca, w których zawistne i niechętnie uczucia stopniały, jak lód topnieje w promieniach słonecznych. Cezar był zachwycony tą zmianą usposobienia dawnych swych chlebobawców i gdy przyszło do tego, że sam stary Wattson go serdecznie uściskał, biedny murzyn wpadł w taki szal radości, że aż puścił się w płasy i skoki i nawet parę kozłów przewrócił na trawie.

Serce prawe, którego odtąd zwać będziemy Rafaellem, zbliżył się wreszcie do Johnsona, stojącego na uboczu.

— Tobie, zacny, nieoceniony przyjacielu, zawdzięczam to szczęście — rzekł, ściskając obie jego dłonie. — Sprawileś mi taką niespodziankę, o jakiej marzyć nawet nie śmiałem.

— Bóg to sprawił, że mi się tak dobrze powiodło — odrzekł poczciwiec wzruszony. — Puszczając się w drogę, sam przecież nie wiedziałem, co z tego wyniknie. Ale nie mogłem patrzeć obojętnie na twój smutek, — musiałem coś na to poradzić. Ach! ręka

Boża wyraźnie kierowała wszystkim; strach mnie przejmując na samą myśl, jakie nieszczęście stać się mogło, gdybyśmy się byli o parę godzin opóźnili.

— Tak, tak, Bogu przedewszystkiem winniśmy złożyć dzięki — mówił Rafael, a wyrazy te, wymówione z uczuciem głębokim, ostatecznie przekonały ojca i siostrę, że zbłąkany niegdyś młodzieniec był teraz na dobrej drodze.

A jednocześnie i stary Wattson mówił do swoich dzieci:

— Dziękujmy Ojcu Przedwiecznemu, który się ulitował nad nami i winy przebaczyć nam raczył.

Wszyscy złożyli ręce, jak do modlitwy, a po chwili Ben i Dik, jednogłosem uczuciem wiedzeni, zbliżyli się do murzyna i raz jeszcze kolejno go uściskali.

Przez tydzień cały obie rodziny obozowały w sąsiedztwie wioski Pawnsów, w której pozostali tylko ranni, — reszta umknęła w dalsze strony. Ella pomagała Stokrotce w pielęgnowaniu Jelenia, i niebezpieczeństwo prędko minęło; młody Indyanin podniósł się po kilku dniach i podążył za swoimi, zabierając ze sobą żonę i starego Ludowika, ten bowiem tak się przywiązał do Pawnsów, że nie chciał się z nimi rozstawać. Ella żegnała ich ze łzami w oczach; nigdy też więcej nie spotkała się z nimi w życiu i o dalszych ich losach nie słyszała.

Nazajutrz po odjeździe Jelenia wrzącego przybył liczny hufiec Osagów. Byli to wojownicy, odszukanii na dalekiej wycieczce myśliwskiej; pomimo wielkiego pośpiechu, nie mogli oni przybyć wcześniej na ratunek wodza, którego powitali z uniesieniem naj-

żywszej radości, a Rafaelowi i białym jego towarzyszom serdecznie dziękowali. Orzeł czubaty oczekiwał na nich; teraz musiał ich odprowadzić do rodzinnych siedlisk. Jakkolwiek umiał panować nad uczuciami swojemi, gdy nadeszła godzina pożegnania, szlachetny Indyanin nie zdołał ukryć głębokiego smutku. W mileczeniu ścisnął wszystkie dłonie, które się wyciągały do niego; rączkę Elli zatrzymał dłużej, i wzrok w twarzyczce jej utkwiał, jak gdyby pragnął wyrzucić ten obraz w swojej duszy na zawsze, — wreszcie przycisnął do ust rękę młodej dziewczyny ze czcią rycerską i szybko się odwrócił.

Rafael także z serdecznym żalem żegnał przyjaciela, który przez lat tyle rodzinę mu zastępował, i odprowadził go o mil parę, a gdy wreszcie rozstać się musieli, Orzeł czubaty rzekł do niego:

— Brat mój powraca z ojcem do rodzinnego domu, do swoich; nigdy już zapewne stopa jego nie postanie na tych stepach, w tych puszczech, nie ujrzą go więcej przyjaciele, którzy tu zostają. Boleść wielką przeżywa Serce Orła czubatego. Już on nie znajdzie tak wiernego przyjaciela i brata, tak mądrego doradcy, tak dzielnego obrońcy w razie niebezpieczeństwa... Orzeł czubaty nie pocieszy się nigdy. A brat mój, czy też wspomni czasem wodza Osagów tam w oddalonej swej ojczyźnie?

— Zawsze, do końca życia pamiętać będę o tobie i kochać cię nie przestanę, wierny, szlachetny przyjacielu — odrzekł Rafael. — Żegnaj mi, Orle czubaty nie roztkliwiamy się, wszak nigdy nie mieliśmy tego zwyczaju.

— Tak, już pora nam się pożegnać. Niech brat

mój powraca do ojca i siostry, niech też raz jeszcze pozdrowi od Orła czubatego piękną dziewczynę białą, Ellę; wódz Osagów do śmierci obraz jej zachowa w swem sercu. Jest śliczna, dobra i odważna, godna największego szczęścia, godna nawet... takiego męża jak Serce prawe...

I wyrzekłszy to z widocznym wysileniem, wódz Osagów wspiął konia ostrogami i galopem odjechał.

Rafael pozostał wśród lasu sam jeden; po męskiej jego twarzy spływały duże łzy, — otarł je szybko i podążył do swoich. Wszyscy już zamyślali o odjeździe. Don Ramon zwrócił się do starego Wattsona i zapytał:

— Dokąd pan się udasz teraz z rodziną?

— Sam nie wiem — odpowiedział tamten i czoło jego nagle się zasępilo. — Indyanie ogolócili mię ze wszystkiego, muszę więc szukać po świecie sposobu do życia.

— Jeżeli to panu wszystko jedno, czemużbyś nie miał jechać razem z nami do Meksyku, naszej ojczyzny?

— A cóżbym ja tam robił?

— Mógłbyś pan zostać dzierżawcą i w lepszych warunkach prowadzić gospodarstwo rolne.

— Za dzierżawę płacić trzeba, a ja nie mam pieniędzy — rzekł Wattson z westchnieniem — mogę tylko być «skwaterem», założyć nową osadę w pustej, dzikiej puszczy.

— Ależ pan możesz śmiało zostać dzierżawcą u nas w Meksyku, nie mając grosza gotówki. Ja sam mam rozległą i piękną posiadłość, którą wypuszczam w dzierżawę. Teraźniejszy dzierżawca jest

już bardzo stary i potrzebuje odpocząć, poszukuje więc innego na jego miejsce. Gdybyś pan chciał to wziąć na siebie, nie żądałbym z góry żadnej zapłaty. Nie idzie mi też wcale o wielkie zyski, tylko o to, aby posiadłość dostała się w dobre ręce i utrzymywana była w porządku. Pan masz dzielnych synów do pomocy, córkę zapewne gospodarną i pracowitą, byłbym więc zupełnie spokojny, gdybym powierzył mienie moje takiemu dzierżawcy. A sądzę, że i pan na tem nieźle wyjdiesz; ów staruszek przybył tam bez grosza, dzisiaj zaś odchodzi człowiekiem mającym. Cóż, czy się pan zgadzasz?

Wattson tak był uradowany, że w pierwszej chwili słowa wymówić nie mógł. Ciężki niepokój spadł mu z serca; podziękował gorąco don Ramonowi i bez wahania propozycję jego przyjął. Później dopiero wyszło na jaw, że pomysł ten poddał ojcu Rafael, a poparła go także Karmela, która nie chciała rozstawać się z Ellą; obie dziewczyny odrazu przyłgnęły do siebie i pokochały się, jak siostry.

Pocziwy Cezar był w prawdziwym kłopotcie; gdy oznajmił Dikowi, że musi zamieszkać u swojego pana, Rafaela de Saavedra, chłopak rozplakał się rzewnie i murzyn sam już nie wiedział, co robić. Rafael uspokoił im upewnieniem, że Cezar, jako człowiek wolny, będzie mógł kolejno przebywać w obu domach. Uszczęśliwienie dwóch młodych przyjaciół wzrosło jeszcze, gdy don Ramon, wyegzaminowawszy murzyna i dowiedziawszy się o niezwykłym jego zamiłowaniu do nauki, obiecał mu dostarczać książek ze swojej biblioteki.

— Będziesz mnie uczył — rzekł Dik. — Pamię-

tasz, jak nieraz słuchając twoich zajmujących opowiadań powtarzałem, że pragnąłbym także nabyć z książek różnych wiadomości. O, jakże szczerze starać się będę dorównać tobie, mój drogi Cezarze.

— Będziemy się razem uczyli — odrzekł murzyn.

Rafael prosił ojca, aby przed opuszczeniem puszczy na zawsze zwiedzili jeszcze wszyscy razem jego «twierdzę», miał on tam bowiem różne pamiątki, które zabrać chciał z sobą. Karawana wyruszyła zatem w tę stronę; jechano wolno, bez pośpiechu, a w twierdzy wypoczywać miano znowu przez dni kilka.

XXIX.

Opowiadanie Rafaela.

Wędrowcy nasi przed wieczorem przybyli do twierdzy. Upał dnia tego był nieznosny od samego rana; powietrze, którego najlżejszy wietrzyk nie poruszał, nie odświeżyło się wcale, gdy ciężkie, szare obłoki przeciągały po niebie. Służba don Ramona zajęła się urządzeniem szalasów na nocleg dla siebie, gdyż w podziemiu wszyscy pomieścić się nie mogli.

— Okropna nawałnica się zbliża — odezwał się Johnson, spoglądając w górę ku chmurom. — Będzie to jeden z tych orkanów, tak pospolitych w Ameryce, co to drzewa wyrrywają z korzeniami, jak żdźbła słomy, wodę w strumieniach i rzekach podnoszą wysoko i wszędzie sięją straszliwe spustoszenie.

— Masz słuszość, przyjacielu — rzekł Rafael — nawałnica wybuchnie niezadługo, to też najniepotrze-

bniej ci ludzie trudzą się urządzaniem szalasów. Wi cher je poprzewraca i uniesie w mgnieniu oka, jak domki z kart. W podobnym razie najlepiej konie popętać i zmusić, aby się pokładły na ziemi, ludzie także powinni położyć się przy nich; tym sposobem jedynie zdolają się od gwałtowności wichru uchronić.

— Zaraz wydam stosowne rozporządzenia — odpowiedział Johnson, który zawsze pełnił obowiązki dowódcy, a nie mając nic lepszego do roboty, odprowadzał przyjaciela do rodzinnego domu. Rozkazy jego wykonano niezwłocznie; zaledwie konie, mocnymi rzemieniami popętane, ułożyły się na trawie, zadał wicher straszliwy i orkan nadciągnął z całą gwałtownością. Ella i Karmela siedziały bezpiecznie w podziemiu, reszta towarzystwa pośpieszyła do nich po drabinie sznurowej, służba zaś została przy koniach; ludzie ci, nawykli do niewygód, nie obawiali się nawałnicy, pokładli się więc na ziemi według wskazówek Johnsona, pootulani w koldry i skóry, szydząc ze wściekłości huraganu.

Nagle ściemniło się, jakby wśród najciemniejszej nocy, błyskawica olśniewająca długim zygzakiem mignęła na niebie, i grom rozległ się prawie jednocześnie. Było to hasło, po którym nastąpiła kanonada nieustanna. Błyskawice latały jedna po drugiej, gromy były raz po raz; zdawało się, że atmosfera cała objęta jest olbrzymim płomieniem. Wicher huczał z szaloną wściekłością, gruchocząc gałęzie, i obalał pnie potężne; stare drzewa, które wieki przetrwały szczęśliwie, dziś padały, jak kłosa na łące. Widok to był straszliwy, lecz i wspaniały zarazem w swej grozie.

Gromadka naszych przyjaciół, ukryta w podzie-

miu, gdzie wygnaniec pędził smutne lata osamotnienia, nie widziała i nie słyszała tego wszystkiego. Rafael siedział pomiędzy ojcem i siostrą. Od kiedy don Ramon odszukał syna, zaszła w nim zmiana uderzająca; zdawało się, że odżył nagle i odmłodził. I nie dziw: wielki ciężar spadł mu z serca; mógł teraz swobodnie wynurzyć uczucia głębokiego przywiązania, ukrywane przedtem starannie, a ten, który tych uczuć był przedmiotem, ze wszech miar na nie zasługiwał.

Zmieniła się także znacznie i powierzchowność Rafaela; ów wyraz rozdzierającego smutku i bólesci, rozlany na jego twarzy, znikł z niej zupełnie; szczególnie gdy zbliżał się do ojca lub siostry, cały szczęściem promieniał. I teraz więc rozmawiał z nimi wesoło, a wszyscy obecni ze współczuciem patrzeli na te rodzinne wynurzenia.

— Synu mój — rzekł don Ramon — radbym bardzo poznać dokładnie wszystkie przygody, których doświadczyłeś w tej puszczy podczas długiego naszego rozłączenia. Czy nie zechciałbyś opowiedzieć nam dziejów swoich? Serce moje zapewne nieraz się zakrwawi, bo wiem, że dużo cierpiełeś, pragnę jednak wiedzieć całą prawdę. Opatrzność, sam to przyznałeś, sprowadziła cię z manowców na drogę cnoty i duszę twoją uleczyła; opowiadanie to będzie więc zapewne dla nas wszystkich pouczające.

— Najchętniej spełnię życzenie twoje, ojcze drogi — odpowiedział Rafael. — Dzieje młodości mojej rzeczywiście są pouczające, niejeden mógłby z nich przykład i naukę zaczerpnąć. Wy zwłaszcza, młodzi

przyjaciele, Benie, Diku i ty, Cezarze, zbliżcie się i słuchajcie.

Trzej chłopcy z zapalem pośpieszyli na to wezwanie. Wszyscy uwielbiali młodego myśliwca, a nadzieja usłyszenia dziejów jego życia napelniła ich wielką radością. Rafael rozpoczął opowiadanie od samego początku; mówił o burzliwych swych latach chłopięcych z całą szczerością, nie nie ukrywając. Twarz jego zaszpeciła się znowu, gdy kreślił ten smutny obraz dawniejszego swego życia, gdy mówił o występnej lekkomyślności, uporze i zaciętości, którymi tak ciężko obraził ojca. Opowiedział następnie, jak ojciec go ukarał, uwożąc w głąb puszczy i zostawiając samego; tu dodał, że surowy ten wyrok, który mu się wówczas okrucieństwem wydawał, dziś błogosławi, gdyż ciężkie warunki życia doprowadziły go do opamiętania.

— Co się działo ze mną — mówił dalej — gdy Euzebio się oddalił i pozostałem sam jeden w puszczy, tego żadne słowa określić nie zdołają. Z jednej strony buntowałem się przeciw tobie, ojcze, a z drugiej znów czulem w sercu budzący się dziwny, mimowolny żal do siebie samego. Chwilami pragnąłem biedz za tobą, dogonić cię i objąć twoje kolana, błagając o przebaczenie. Miałem przeświadczenie wewnętrzne, że toby mi ulgę przyniosło. Lecz zacięty upór zwyciężył to uczucie i biegłem w stronę przeciwną, oddalając się coraz więcej od ciebie. A tymczasem w uszach mi brzmiały ciągle słowa twoje, o których i później nigdy nie zapomniałem: «Nie umiałeś żyć pośród ludzi oświeconych, przedstawiając z dzikimi plemionami i zwierzętami drapieżnemi. Nie chciałeś ulegać niko-

mu, będziesz musiał teraz ugiąć się przed wyższą władzą Tego, który rzadzi światem całym. Oddaję cię w ręce Boga; może On pychę twoją zamieni w pokorę, dziki upór twój poskromi, naprowadzi cię na lepszą drogę».

Wówczas, ojcze, nie rozumiałem jeszcze tych słów twoich; brzmiały mi wprawdzie w uszach, lecz drażniły mnie tylko i zwiększały żal mój do ciebie. Zamiast skrucy i pokory, zgubna pycha wzrastała w sercu mojem. Postanowiłem na przekór tobie o własnych siłach dawać sobie radę w tem trudnem położeniu; o modlitwie i wzywaniu pomocy i opieki Bożej nie pomyślałem nawet. Miałem broń, amunicję, nie brakło mi też zapasów żywności, powiedziałem więc sobie, że nie potrzebuję nic więcej. Ten rodzaj życia nie był dla mnie zupełnie nieznanym; nieraz dni i tygodnie spędzałem na dalekich myśliwskich wyprawach, nocując pod gołym niebem, wędrując w okolicach odludnych i dzikich, gdzie stopa ludzka nigdy może przedtem nie postąpiła. Lecz wyprawy te odbywałem zawsze w towarzystwie starszych myśliwców, — wkrótce też przekonałem się, że to było coś zupełnie odmiennego. Wówczas widziałem przy sobie twarze innych ludzi, myślałem o powrocie do miejsc zamieszkałych; teraz byłem sam, sam jeden, i wkrótce ogarnęło mnie przygnębiające uczucie osamotnienia i opuszczenia.

Przez dzień cały błądziłem tu i owdzie, nie myśląc o obraniu sobie stałego siedliska; w głowie mojej panował zamęt. Wieczorem zatrzymałem się nad brzegiem małego strumienia, wijącego się wśród gąszczów leśnych. Piękne to ustronie wyglądało na przy-

bytek spokoju i ciszy, lecz zarazem wywierało wrażenie pustelni. Długo stałem na wybrzeżu i wpatrywałem się w przejrzystą wodę strumyka, pogrążony w smutnych, posępnych myślach. Potem zacząłem się oglądać dokoła, szukając miejsca stosownego na nocleg. Spostrzegłem w pobliżu ślady różnych zwierząt, a między innymi i jaguarów, które tu zapewne przychodziły pić wodę; wieczór zapadał, zwierzęta zwykle o tej porze zaspakają pragnienie, — co chwila mogłem więc ujrzeć te straszne, drapieżne istoty; ujrzałem przed oczyma wyobraźni rozwarłe ich paszcze, uzbrojone w ostre zęby i zadrżałem od stóp do głowy.

Pierwszą myślą moją było uciekać z tego okropnego miejsca, lecz gdzież miałem znaleźć bezpieczniejsze schronienie? Nie zastanawiając się jednak nad tem, gnany trwogą mimowolną, biegłem prosto przed siebie, aż póki się nie ściemniło zupełnie. Zmęczony i zdyszany, zatrzymałem się wreszcie; przyszedłszy nieco do siebie, rozpalilem ogień, przypomniałem sobie bowiem, że to najlepszy sposób odstraszenia drapieżnych zwierząt. Nic nie jadłem od rana, a jednak głodu nie czułem. Później dopiero otworzyłem torbę, zawierającą zapasy żywności, gdyż rozsądek nakazywał posilić się czemkolwiek; instynkt zachowawczy zwyciężył przygnębienie moralne. Układając pakunki w torbie, przypadkiem wyrzuciłem z niej małe zawiniątko, które mi dał przy pożegnaniu Euzebio. Podniosłem je, odwinąłem papier i ujrzałem małą książeczkę. «Naśladowanie Chrystusa».

Widok ten w pierwszej chwili tak mię oburzył, że wyrzuciłem książkę, lecz po jakiejś chwili odszu-

kalem ją w trawie i włożyłem na dno torby. Tłómaczyłem sobie, że staruszek uczynił to w dobrej chęci; czemuż nie miałem zachować tej pamiątki, chociaż nie mogła mi przynieść żadnego pożytku? Takie było wtedy przekonanie moje, — później dopiero błąd swój poznałem.

Długo, bardzo długo tego pierwszego wieczora oczu zamknąć nie mogłem; w końcu jednakże młodość i znużenie pokonały burzę wewnętrzną i usnąłem snem kamiennym. Nic nie przerwało spoczynku mego tej nocy, obudziłem się o świtaniu; resztki ogniska nie wygasły były jeszcze, — roznieciłem je więc i wysuszyłem odzienie, przemoczone rosą nocną. Zacząłem rozmyślać nad tem, co dalej począć; nie przyszło mi nawet na myśl, aby przełamać wolę ojca i powrócić do ojczyzny. Przeciwnie, postanowiłem o ile możliwości oddalić się od rodzinnej ziemi, opuścić Meksyk i skierować się ku północy. Pewien doświadczony myśliwiec, któremu nieraz towarzyszyłem na wycieczkach, nauczył mię, jakim sposobem w nieznaney okolicy można zawsze, w każdej porze dnia, rozróżnić przynajmniej cztery strony świata i zachować jednostajny kierunek w pochodzie.

Uplywały dni i tygodnie; w wędrowce mojej przebywałem wzgórza, rzeki i strumienie, przyczem niejedna mię spotkała przygoda. Zaczynałem się po mału oswajać z tym nowym rodzajem życia i nawet smakować w niem trochę. Strzelałem bardzo zręcznie, a gdy wyczerpałem proch i kule, miałem już zapas skór kosztownych i napotkawszy po drodze osady myśliwskie, wymieniłem je na świeżą amunicję. Wogóle w potrzebie tylko zachodziłem do mieszkań

ludzkich, postanowiłem bowiem sumiennie spełnić wolę ojca, który mię skazał na przebywanie pośród dzikich zwierząt. Ach! wyznaję to szczerze, nie tyle w tem było może sumiennosci, ile nagannej pychy; usiłowałem wmówić w siebie, że to, co ojciec za karę uważał, nie było dla mnie wcale karą, lecz dogadzało upodobaniom moim.

Tymczasem dłuższe osamotnienie, przebywanie wśród najwspanialszej przyrody, a przy tem brak wszelkiej sposobności i zachęty do złego, wszystkie te nowe warunki życia dobroczynny wpływ na mnie wywierały. Chociaż uporczywie odpychałem wspomnienia domu i rodziny, nie mogłem jednak się ich pozbyć, spostrzegłem też z pewnym rodzajem niezadowolonia, że myśli te budziły we mnie dziwne wzruszenie i rozrzewnienie i że w uczuciach tych topniała dawna zaciętość i pycha.

Po długiej wędrówce przybyłem wreszcie do tej okolicy, gdzie znajdujemy się obecnie. Od dni kilku czułem się niezdrow, ustawiczne trudy i niewygody musiały w końcu nadwężyć nawet mój silny organizm. Miewałem częste zawroty głowy, pragnienie mi ciągle dokuczało, chociaż jeść nic nie mogłem; nogi chwiały się podemną i coraz wolniej wlokłem się dalej. Trwoga niewypowiedziana przejmowała mię na myśl, że mogę ciężko zachorować w tem pustkowiu. Na setki mil dokoła darmobym tu zapewne szukał mieszkania ludzkiego; byłem sam jeden wśród dzikiej, leśnej gęstwiny, wystawiony na deszcze, wichry, nawałnice, narażony na żarłoczność drapieżnych zwierząt, bez żadnej ochrony i pomocy. I wówczas mimowoli nasuwały się miślom moim obrazy przeszłości,

wyobrażenia przedstawiała mi urok domowego ogniska, tkliwą miłość i troskliwość ojca i siostry... Usiłowałem odpędzić te myśli, przytłumić rzewniejsze uczucia; upór mój nie złamał się jeszcze, — trzeba było silniejszego bodźca na to, aby mi się oczy otworzyły.

Choroba moja wzmagala się szybko; chwilami przejmowały mię zimne dreszcze, to znów gorączka paliła straszliwie. Musiałem przerwać wędrówkę i upatrzyć sobie miejsce na dłuższy wypoczynek. Myśl o śmierci samotnej w tem pustkowiu przejmowała mię grozą niewypowiedzianą. Często w gorączce traciłem przytomność, a gdy powracała, już nie odpychałem tkliwszych wspomnień; zaciętość moja zaczynała zwolna mięknąć, uczucie szczerzej skruchy zbudziło się w duszy i wywołało przesilenie stanowcze.

— O synu mój, biedny, ukochany synu, ileż ty wycierpieć musiałeś! — odezwał się don Ramon głosem wzruszonym, tuląc rękę młodzieńca w swoich dłoniach.

Karmela, cała splakana, oparła głowę na jego ramieniu, — wszyscy obecni mieli łzy w oczach. Po chwili milczenia, Rafael tak mówił dalej:

— Miałem przed sobą wzgórze, okryte bujnymi krzakami; gałęzie ich, oplątane mnóstwem wijących się roślin, tworzyły gęstwinę, która mogła być wyborną ochroną od deszczu i skwaru słońca. Dobylem sił ostatnich i zacząłem pisać się na wzgórze, spoglądając na wszystkie strony, czy nie ujrzę gdzie w pobliżu źródła lub strumyka, gdyż pragnienie ciągle mię paliło. Byłem tak osłabiony, że musiałem się czołgać na czworakach; z trudnością dowlóklisz się na

wierzcholek, pożądaną wody nie odkryłem, natomiast ujrzałem kilka skał, których z dołu nie byłem dopatrzyl. Zdyszany, nawpół żywy, padłem u stóp najwyższej skały i przymknąłem oczy. Senność gorączkowa już mię poczęła ogarniać, gdy wtem, wśród głębokiej ciszy leśnej doleciał mię szmer lekki, jednostajny, wyraźnie szmer strumyka. Zerwawszy się na równe nogi, poszedłem w stronę, z której miły ten odgłos się odzywał, i wnet zobaczyłem źródło czyste jak kryształ wody, tryskający z pod tej samej skały, tylko po drugiej stronie i niknący w gęstwinie.

Osunąwszy się na ziemię przy dobroczynnym źródle, chciałem pitem chłodną, orzeźwiającą wodę, poczem zwilżyłem nią czoło rozpalone. To mi tak wielką ulgę przyniosło, że postanowiłem pozostać przy tem źródle i czekać cierpliwie końca choroby, podając się rozporządzeniu Bożemu. Wypocząwszy nieco, zacząłem szukać wygodnego miejsca, gdziebym mógł sobie urządzić posłanie. Wzrok mój natrafił przypadkiem na otwór w skale, w zaroślach ukryty; obejrzałem go uważniej i spróbowałem się wsunąć do tego przejścia. Było ciasne, lecz z łatwością się w niem pomieściłem i pełzając ostrożnie coraz dalej, wkrótce spostrzegłem blade światło, migające w oddali. Sądziłem zrazu, że podziemne przejście wyprowadzi mię na drugą stronę skały, lecz jakież było zdziwienie moje i radość, gdy nagle zobaczyłem przed sobą obszerną, wysoką pieczarę, oświetloną dostatecznie, gdyż promienie słoneczne wpadały do niej przez szpary i szczeliny w skalistej ścianie. Znalazłem mieszkanie, o jakim nie marzyłem nawet, było to bowiem toż samo podziemie, w którym znajdujemy się obecnie.

Okrzyki zdumienia słuchaczy przerwały w tem miejscu opowiadanie; po chwili milczenia Rafael mówił dalej:

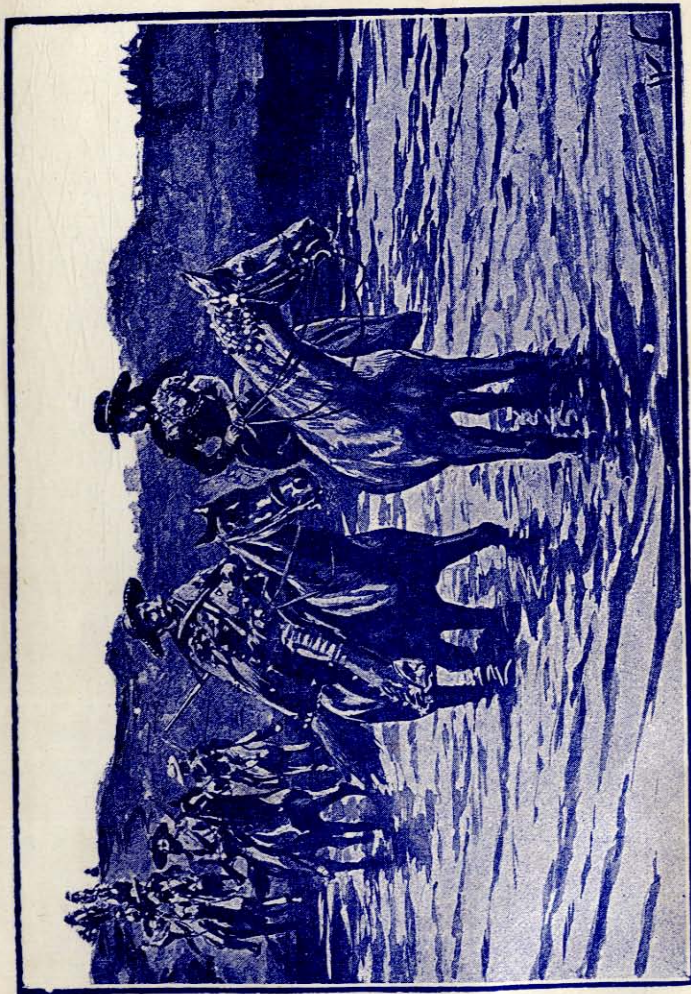
— Obejrzałem starannie jaskinię i przekonałem się, że nie była schronieniem drapieżnych zwierząt. Odkryłem też zaraz to drugie wyjście, prowadzące na szczyt skały, a pomimo zmęczenia i osłabienia, przedewszystkiem oba te otwory zabezpieczyłem starannie kamiennymi płytami. Wnętrze jaskini wilgotne było i nagie, lecz dobywając sił ostatnich, nabierałem suchego mchu i urządziłem sobie posłanie, które przykryłem skórą zabitego niedawno jelenia.

Zaledwie ukończyłem te przygotowania, gdy mię chwyciły dreszcze. Osunąłem się na posłanie; wkrótce po dreszczach nastąpiła straszna gorączka, — na szczęście wlałem w myśliwską moją manierkę wody ze źródła, mogłem więc zaspokoić palące pragnienie. Nigdy nie zapomnę okropnych chwil, które wówczas przeżyłem. Ta jaskinia wydawała mi się grobem, w którym mię żywcem pogrzebano. A cóż dopiero, gdy nastąpiła noc i otoczyły mnie ciemności. W gorączkowem rozdrażnieniu nie mogłem ani na chwilę oczu zmrużyć, straszne widziadła poczęły się snuć przedemną; zrywałem się, wołając ratunku, z rozpaczą wzywałem ojca, siostry, — niestety, żaden głos mi nie odpowiadał. Nakoniec siły mię opuściły... Padłem na wpół martwy na posłanie i straciłem przytomność.

Jak długo trwał ten stan okropny, nie wiem, ale zapewne najmniej dni kilka, może i kilkanaście. Gdy przyszedłem do siebie, zrazu nie mogłem sobie przypomnieć, gdzie jestem i co się ze mną dzieje.

Zdawało mi się, że słyszę głosy znane; oglądałem się, czy nie zobaczę ojca, siostry, lub którego z domowników. Gorączka mię jeszcze nie opuściła, — usta miałem spieczone i zeschłe i pragnienie dręczyło mię straszliwie. Spostrzegłszy manierkę z wodą, chciałem się z niej napić, lecz woda tak była zgnila i cuchnąca, że przelknąć jej nie mogłem. Tymczasem nie miałem ani siły, ani przytomności tyle, żeby się dowlec do źródła. Zamęt moich myśli rozjaśnił się zwolna, lecz byłem tak osłabiony, że głowy nawet podnieść nie zdołałem; leżałem więc nieruchomo na posłaniu, rozmyślając nad smutnym losem swoim. Srogie cierpienia szarpały ciało moje, lecz stokroć cięższe dręczyły duszę. Wyobrażenia przedstawiała mi ciągle lata młode, które tak lekkomyślnie zmarnowałem. Gdyby nie szaleństwa moje, jakżeby był szczęśliwy w tej chwili w domu rodzinnym, pod opieką dobrego ojca. A teraz — samotny, opuszczony, zagrożony śmiercią w tem pustkowiu, pomimo żalu i skrucy, przeszłości wynagrodzić nie byłem w stanie. Rozpacz mię ogarnęła... Uderzałem głową o ziemną i wilgotną skalę, łamałem ręce, wzywałem nawet śmierci, aby zakończyła moje męczarnie.

Po chwili jednak uspokoiłem się; strumień lez mnie oblał i to mi niejaką ulgę przyniosło. Wzrok mój padł na torbę podróżną, leżącą przy mojem posłaniu. Ze zdziwieniem spostrzegłem, że była otwarta, a przedmioty, które się w niej mieściły, walały się teraz po ziemi. Zapewne podczas gorączki nieprzytomnie je powyjmowałem i porozrzucałem. Pomiędzy tymi przedmiotami była i ta mała książeczka, dana mi przez Euzebia. I nagle stanęły mi w pamięci wy-



razy, wymówione przez starca, gdy mi tę pamiątkę wciskał w ręce. «W chwilach przygnębienia, rozpaczy znajdziesz w niej pociechę i siłę». Podniosłem książeczkę, otworzyłem i wyczytałem te słowa: «Pójdźcie do mnie wszyscy, którzy pracujecie i obciążeni jesteście, a ja was ochłodzę».

Dziwne wzruszenie mię ogarnęło... Położyłem książeczkę przy sobie i mimowoli prawie złożyłem ręce. W myśli powtarzałem dziecinne modlitwy, których mię matka niegdyś uczyła, lecz sercem raczej niż słowami modliłem się gorąco, a serce to było skruszone, pozbyło się zgubnej pychy, i zaciętości. Modlitwa przyniosła mi wielką ulgę i pociechę, straszne uczucie osamotnienia i opuszczenia przestało mię dręczyć; wydało mi się, że już nie jestem sam jeden w tej puszczy, że znalazłem pomoc i opiekę. Uspokojenie duszy korzystnie wpłynęło także i na stan mego zdrowia; od tej chwili nastąpił w chorobie zwrot pomyślny, — czułem się coraz silniejszy. Nakoniec pewnego rana, przespawszy całą noc smacznie, bez gorączkowych marzeń, mogłem wstać, przebyć podziemne przejście, odsunąć kamień, zamykający otwór w skale i dostać się do źródła.

Z rozkoszą niewypowiedzianą napiwszy się świeżej, wybornej wody, spojrzałem na jasne niebo, na drzewa zielone i wydało mi się, że się narodziłem na nowo. Siły powracały mi szybko; po kilku dniach czułem się prawie zupełnie zdrowy, lecz błogosławiłem tę dobroczynną chorobę i dziś ją szczerze błogosławię, ona to bowiem uleczyła moją duszę i umysł zbłąkany doprowadziła do równowagi. Codziennie odczytywałem po parę stronice w książeczce Euzebia

i coraz nowe odkrywałem w niej skarby, niewyczerpane znajdując źródło pociechy. Powoli przywiązałem się do tego schronienia, w którym przebyłem tak ciężkie chwile; chociaż więc i siły mi powróciły, nie miałem ochoty opuszczać tej jaskini. Przytem kryjówka ta przedstawiała wszelkie warunki wygody i bezpieczeństwa, a że niełatwo mogłem znaleźć w puszczy podobno, postanowiłem więc tu się osiedlić na czas dłuższy.

Przez rok cały prowadziłem życie spokojne i jednostajne w tej pustelni. Parę razy tylko, gdy mi zabrakło amunicji, puszczałem się na dalekie wycieczki do osad ludzkich, lecz zawsze tu wracałem; odwykłem powoli od życia towarzyskiego, nie mogąc myśleć o powrocie do swoich, nie miałem tembardziej ochoty zamieszkać wśród obcych. Bylbym zapewne się stąd nie ruszył do dnia dzisiejszego, gdyby okoliczności nie zrzędziły inaczej.

Pewnego wieczora powróciłem z wyprawy myśliwskiej, która trwała dni kilka; byłem nadzwyczaj znużony, przyspieszałem jednak kroku, aby copędzej dostać się do swego schronienia. Pograżony w myślach szedłem z głową spuszczoną, gdy nagle usłyszałem szelest; podniósłszy oczy spostrzegłem tuż przed sobą przytuloną do drzewa ciemną postać, w której z niemalym przestachem poznałem dzikiego Indyanina. Już parę razy spotkałem był czerwonoskórych z różnych plemion i wyszedłem z tego obronną ręką, lecz było to podczas dalekich moich wycieczek w innych okolicach; dotąd nigdy nie waleśali się w pobliżu mojej stałej siedziby. Obawiałem się niezmiernie, ażeby nie odkryli mojego ulubionego

schronienia, bo wówczas nie miałbym już chwili spokoju i musiałbym się stąd wynosić.

Wahałem się przez chwilę, czy czekać, aż Indyanin odejdzie, czy potraktować go kulką. Wybrałem to pierwsze, miałem bowiem wstręt mimowolny do morderstwa, a tymczasem Indyanin znikł mi z oczu. Przyspieszyłem kroku, chcąc jak najprędzej dostać się do swej kryjówki, lecz miałem jeszcze znaczną przestrzeń do przebycia, gdy nagle usłyszałem za sobą przeraźliwy okrzyk wojenny i z przerażeniem spostrzegłem, że cała zgraja dzikich mnie goni. Pomknąłem naprzód jak strzała, — wiedziałem, że w biegu nawet i dzicy niełatwo mnie prześcigną; byle mi zaś tylko nie przecięli drogi do twierdzy, mogłem się tam ukryć bezpiecznie przed nimi. Nie znając tajemnicy podziemia, nigdyby odgadnąć nie mogli, co się ze mną stało; przetrząsaliby gąszcz leśny, a w końcu uwierzyliby, że odbiegłem dalej.

Dostałem się szczęśliwie do tulipanowego drzewa i wdrapawszy się na nie, przeskoczyłem na skałę. Rozciągnięty na samej jej krawędzi, spojrzałem bacznie dokoła. Niestety! przekonałem się wkrótce, że Indyan nie zdołam w pole wyprowadzić. Straciwszy mnie z oczu, biegli za śladem moim, a ponieważ ten dochodził do drzewa i skały, i tu się kończył, nie szukali już dalej, tylko okrążyli skałę, na której leżałem. Nie spostrzegli mnie jednak, gdyż byłem dobrze ukryty za krawędzią skały; postawszy trochę, odeszli nieco dalej, widocznie w celu naradzenia się między sobą. Skorzystałem z tego, aby niepostrzeżenie spuścić się w głąb jaskini, w której spędziłem spokojnie noc całą. O świcie, gdy się cokolwiek rozwi-

dnio, wyrzalem przez szczelinę i zobaczyłem, że dzicy nie zaniechali obleżenia; wprawdzie nie dawałem najmniejszego znaku życia, ale to ich wcale nie zrażało; cierpliwie stali na warcie przez dzień cały i noc następną. Drugiego dnia z rana, po długiej naradzie, jeden z Indyan zbliżył się i wszedł na drzewo tulipanowe. Ponieważ nie wątpiłem, że przeskoczy na skałę, której płyta ruchoma nie mogła ujść jego uwagi, więc wysunawszy lufę strzelby przez szczelinę, strzeliłem w powietrze, nie mierząc wcale, co tak przeraziło Indyanina, że w mgnieniu oka spuścił się z drzewa i odbiegł do towarzyszy.

Niezwłocznie po tym wypadku cała zgraja zaczęła rozmawiać z ożywieniem i w końcu, ku wielkiej mojej radości, pozbierawszy wszystkie swoje graty, porozrzucane na trawie, odeszła. Nie mając jeszcze wyobrażenia o chytrości i przebiegłości czerwonoskórych, byłem pewny, że dali za wygraną i dłużej mnie prześladować nie będą. Bo i cóż zresztą, myślałem sobie, mogło im na tem zależeć, aby dostać w swoje ręce człowieka, od którego żadnej krzywdy nie doznali? Spostrzegłszy zwłaszcza, że zdobycie mojej twierdzy nielatwo im przyjdzie, pożalowali zapewne na to i czasu i trudu. Tak rozumując, coraz więcej utwierdzałem się w przekonaniu, że uniknąłem szczęśliwie niebezpieczeństwa i mogę być zupełnie spokojny. Już więc tylko przez zbytek ostrożności, jak mi się zdawało, nie wychodziłem przez czas jakiś z mojej kryjówki. Zawsze o tem pamiętałem, ażeby tam mieć zapas żywności i w razie obleżenia mógłbym się był i miesiąc cały utrzymać w twierdzy.

Z wodą tylko trudniejsza była sprawa. Miałem wprawdzie dużą stągiewkę, z kłody drzewnej wyciosaną i napelnioną wodą, lecz po kilku dniach niepodobna było prawie pić tej wody, zgnilej i cuchnącej. W koniecznej potrzebie zapewne musiałbym wstręt przelamać, teraz jednak zdawało mi się, że bez żadnego niebezpieczeństwa mogę zapas odnowić ze źródła. Od tygodnia nie dostrzegłem najmniejszego śladu dzikich w okolicy, pomimo to nie odważyłem się wyrzec w dzień z mojej kryjówki, aż około północy bez najmniejszego szelestu wysunąłem się podziemnem przejściem. Nim odwalilem kamień, wyteżyłem słuch bacznie; cisza panowała głęboka, śmiało więc głaz poruszyłem, lecz nie zdążyłem jeszcze wydobyć się z podziemia, gdy przed oczyma mignęły mi ciemne postacie, pochwyciły mię silne ręce i wyciągnęły z ciasnego przejścia.

Wszelki opór był nadaremny, — nie myślałem zatem nawet się bronić. Indyanie, którzy tak cierpliwie i przebiegle mię podeszli, w mgnieniu oka skrepowali mi ręce i nogi, poczem wśród okrzyków tryumfu odnieśli mię do swego obozu, rozłożonego w pobliżu. Nazajutrz z rana zgraja dzikich dostała się do środka mojej twierdzy i splądrowała ją całkowicie, zabierając broń, sprzęty i zapasy wszelkiego rodzaju. Dokonawszy tego, Indyanie wyruszyli niezwłocznie do swoich siedlisk, i mnie powlekli za sobą, jako jeńca. Po drodze dowiedziałem się, że wpadłem w ręce wojowników z plemienia Osagów.

Zwykły los jeńców wojennych i mnie ominąć nie mógł. W kilka dni po przybyciu na miejsce, Indyanie urządzili widowisko podobne do tego, którego

byliśmy świadkami niedawno. Uwiązano mię więc do drzewa i rozpoczęto igrzyska, poprzedzające ostateczne wykonanie wyroku śmierci. Teraz przekonałem się, jak wielką siłę daje wiara i nadzieja przyszłego, lepszego życia. Wszystkie te przygotowania nie zatrwożyły mię wcale; przypominając sobie mękę Chrystusa na krzyżu, spokojnie czekałem śmierci. Prześladowcy moi widocznie to poznali, — a Indyanie nadzwyczaj wysoko cenią odwagę; mężna moja postawa korzystnie ich usposobiła, tembardziej, że byłem wówczas jeszcze bardzo młody. Okrutna zabawa nie trwała długo; ze zdziwieniem ujrzałem, że na znak wodza wszyscy odemnie odstąpili, natomiast rozpoczęła się jakaś narada.

Nareszcie przystąpił do mnie wódz, — był to nieżyjący już ojciec Orla czubatego. W krótkich słowach powiedział mi, że młodość moja, a nadewszystko nieustraszona odwaga wzruszyły serce Osagów. Postanowili więc darować mi życie, żądając w zamian, abym przyrzekł uroczyście być wiernym ich przyjacielem i bratem... Rozumie się, że zgodziłem się na to najchętniej; skutkiem tego oswobodzono mię natychmiast i wojownicy poczęli się wyprzedzać w oznakach życzliwości dla nowego swego brata. Z początku niewolno mi było opuszczać siedlisk Osagów, co zresztą nie sprawiało mi wielkiej przykrości, gdyż szczerze się przywiązałem do tych ludzi, pomimo ciemnoty swej, zacnych i szlachetnych, a z młodym Orłem czubatym, synem wodza, zaprzyjaźniłem się serdecznie.

Gdy Orzeł po śmierci ojca wodzem został, odzyskałem zupełną swobodę; nieraz też, dogadzając upodobaniu, powracałem do tej twierdzy i przez czas

dłuższy żyłem samotnie. Zawsze jednak uważałem się za członka plemienia Osagów; w każdej ważniejszej potrzebie powracałem do nich i niejedną im oddałem usługę. Mamże prawdę wyznać? I teraz nawet, wśród szczęścia, które napelnia serce moje, smutno mi jednak pomyśleć, że nigdy już nie zobaczę Orla czubatego, nie powrócę nigdy do tego ulubionego schronienia.

— Mam nadzieję, że ci to wynagrodzimy, synu ukochany — rzekł don Ramon — że w domu rodzinnym nie będziesz tęsknił za puszcza.

— Czy wiesz, Cezarze — szepnął Dik do przyjaciela murzyna — że i mnie przykro opuszczać na zawsze tę jaskinię. Przebyliśmy tu takie pamiętne chwile... i obaj w milczeniu uścisnęli sobie wzajemnie dłonie...

Burza tymczasem ucichła, — niebo się rozpogodziło i całe towarzystwo wyszło z jaskini, by odetchnąć świeżem powietrzem wieczornem. Konie, spuszczone z uwięzi, pasły się na rozkosznej łące; w pobliżu jaskini służba don Ramona rozpalala ognisko z suchych gałęzi, których zapas obfity znalazł się w zagłębieniu skały.

Nazajutrz z rana gromadka wędrowców puściła się w dalszą drogę. Już wszyscy siedzieli na koniach, gdy Rafael sam jeden poszedł jeszcze na chwilę do podziemia; niewiadomo, co tam robił, lecz gdy powrócił, w oczach jego widać było ślady łez. Szanując to wzruszenie, przez czas jakiś cała kalwakata jechała w milczeniu.

Zakończenie.

Niewiele nam już zostało do powiedzenia. Tym razem znajomi nasi przybyli wreszcie do haciendy del Milagro bez żadnych nadzwyczajnych przygód. Radości i rozrzewnienia starego Euzebia, gdy przycisnął do serca ukochanego Rafaela, którego przez czas tak długi oplakiwał, żadne wyrazy opisać nie zdołają.

— Teraz już mogę umrzeć spokojnie — wołał pocziwiec, zalewając się łzami. — Jakże pragnąłem dożyć tej szczęśliwej chwili, bym mógł potomka i spadkobiercę moich panów powitać na tym progu!

Wattson z rodziną, po kilku dniach wypoczynku w domu don Ramona, przeniósł się do posiadłości niezbyt odległej od haciendy, którą ojciec Rafaela wypuścił mu w dzierżawę na bardzo korzystnych warunkach. Nasz osadnik przekonał się wkrótce, że tu z łatwością dojść może do znacznego majątku i błogosławił spotkanie swoje z rodziną meksykańską. Tobiasz nie rozłączył się ze swym dawnym panem, a co do Cezara, ten musiał się dzielić pomiędzy haciendą del Milagro i domem Wattsonów, bo wrywano go sobie wzajemnie.

Karmela i Ella były prawie nierozłączne; córka don Ramona najczęściej zabierała przyjaciółkę do haciendy del Milagro i wypuścić jej od siebie nie chciała; skończyło się wreszcie na tem, że córka osadnika stale zamieszkała z rodziną de Saavedra, gdyż została żoną Rafaela. Czyż potrzebujemy dodawać, że to wcale nie osłabiło przyjaźni jej z Karmelą,

która podobno od samego początku pragnęła tego zakończenia.

Johnson przez rok cały pozostał w domu przyjaciela, gdzie wszyscy starali się wszelkimi sposobami rozerwać go i uprzyjemnić mu życie. Pomimo to myśliwiec często zamyślał się smutnie, — wspomnienia przeszłości nie zatarły się w jego sercu. Po upływie roku wyznał przyjaciołom, że nie jest w stanie dłużej usiedzieć na miejscu, że taki rodzaj życia nieznosny jest dla niego, — postanowił więc powrócić do puszczy. Darmo go proszono ze łzami, aby tego zamiaru zaniechał; pewnego pięknego poranku wsiadł na konia i wyruszył w drogę. Towarzyszili mu Sandomal i Ruperto, którym przygody myśliwskie wśród puszczy i stepów uśmiechały się także. Żaden z nich nie powrócił, i nigdy nawet nie zasłyszano o ich losach.

KONIEC.



268940

SPIS RZECZY.

	Str.
I. Spotkanie	1
II. Cezar	8
III. Osada	25
IV. Straszna noc	35
V. Orzeł czubaty	50
VI. Smutny powrót	68
VII. Dik na zgłiszczach osady	85
VIII. Łowienie bobrów	94
IX. Za śladami	109
X. Twierdza	131
XI. Losy Elli	152
XII. Polowanie na żubry	169
XIII. Chybione usiłowania	184
XIV. Syn marnotrawny	203
XV. Wyrok ojcowski	216
XVI. Poselstwo	232
XVII. Polowanie na gołębie	252
XVIII. Kuguary i inne zwierzęta leśne	262
XIX. Przebyte niebezpieczeństwa	277
XX. W lesie i na stepie	300
XXI. Bez drogi	315
XXII. Wyprawa don Ramona	333

	Str.
XXIII. Dzikie konie	358
XXIV. Serce prawe	378
XXV. Siedliska Indyan	392
XXVI. Przygody Tobiasza	421
XXVII. Wesele Jelenia wrzącego	441
XXVIII. Pomoc niespodziana	458
XXIX. Opowiadanie Rafaela	469
Zakończenie	488

